

Jaume
Cabré

G Ł O S Y P A M A N O



Jaume
Cabré

G Ł O S Y P A M A N O

Przełożyła z języka katalońskiego ANNA SAWICKA

WYDAWNICTWO MARGINESY

Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Od tłumaczki](#)

[Dedykacja](#)

[Wstęp](#)

[I. Lot dzwońca](#)

[II. Imiona na ziemi](#)

[III. GWIAZDY JAK CIERNIE](#)

[IV. REQUIEM DLA KATA](#)

[V. KINDERTOTENLIEDER](#)

[VI. PAMIĘĆ KAMIENI](#)

[VII. PIEŚŃ GROBÓW](#)

[Dramatis personae](#)

[Przypisy](#)

Tytuł oryginału: LES VEUS DEL PAMANO
Przekład: ANNA SAWICKA
Redaktor prowadzący, Redakcja: ADAM PLUSZKA
Korekta: ELŻBIETA JAROSZUK
Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne: ANNA POL
Łamanie, montaż: MANUFATURA
Zdjęcie na okładce © Pagès Editors and Arxiu Comarcal de Sort
© Jaume Cabré, 2004
© first published in Catalan by Raval Edicions, SLU, Proa, 2004
Published by arrangement with Cristina Mora Literary & Film Agency (Barcelona, Spain)
Copyright © for the translation by Anna Sawicka
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2014
The translation of this work was supported by a grant from the Institut Ramon Llull



Język i kultura katalońska

Wydanie pierwsze, Warszawa 2014
ISBN 978-83-63656-90-4
Wydawnictwo Marginesy
ul. Forteczna 1a,
01-540 Warszawa
tel./faks: 48 22 839 91 27, 48 696 451 127
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl
Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

OD TŁUMACZKI

Jedna z recenzji, jaka ukazała się po niemieckojęzycznym wydaniu *Głosów Pamano*, zaczynała się mniej więcej tak: nigdy bym nie uwierzył, że nie będę mógł się oderwać od książki, która ma niezrozumiały tytuł i jakieś dziwne zdjęcie na okładce. Zdjęcie zostało zrobione przed szkołą w miejscowości Enviny, w pobliżu Llessui w Pirenejach, w 1941 roku, czyli w czasach, gdy rozgrywa się akcja powieści. Autorowi na spotkaniu z czytelnikami w Sort – dzięki obecności jednej z uczennic uwiecznionej na znalezionej w archiwum państwowym fotografii – udało się zidentyfikować nauczycielkę i kilka innych osób. Stało się to już po publikacji książki, której okładka ma sygnalizować główny wątek powieści: losy nauczycieli w powojennej Hiszpanii, w katalońskich Pirenejach. Natomiast tytuł w obecnej postaci pojawił się bardzo późno. Początkowo Jaume Cabré, zafascynowany zagubionymi w górach cmentarzami, gdzie pośród nagrobków szukał nazwisk dla swoich postaci, zastanawiał się nad *Pamięcią kamieni* lub *Imionami na ziemi*. Ostateczny wybór, z lokalną, mało znaną nawet w samej Katalonii nazwą górskiej rzeki, ma po prostu zaintrygować czytelnika i skłonić go do szukania odpowiedzi w książce.

Wszystkie pojawiające się w utworze toponimy są autentyczne, z jednym wyjątkiem. Inspiracją dla powieściowej Toreny była miejscowość Llessui, w pobliżu której znajdują się ruiny zamku Torena. Tak jak w powieściowej Torenie, również w Llessui w latach sześćdziesiątych otwarto stację narciarską, która funkcjonowała do 1987 roku.

Mieszkańcy górskich miejscowości zachowali dawny zwyczaj używania w życiu codziennym zamiast nazwisk rodowych tradycyjnej nazwy domu, w którym mieszkają. Zatem rodzina składająca się z ojca (Joan Esplandiu i Rella), matki (Glòria Carmaniu), syna (Joan Esplandiu Carmaniu) i dwóch córek, Cèlii i Rosy (Esplandiu Carmaniu), identyfikowana jest przez sąsiadów jako rodzina Ventura, od pojawiającego się spontanicznie i utrwalonego przez lata przydomku czy przezwiska, który nie jest kojarzony z konkretną osobą, lecz z miejscem zamieszkania – domostwem, gospodarstwem, dworkiem. Na przykład nazwa domu Gravat pochodzi od dekoracji na fasadzie, dom Maria del Nasi upamiętnia nazwisko pierwszej właścicielki, a nazwa domu Ventura (dosłownie: „szczęśliwy dom”) miała zaklinać los, jak na ironię, zważywszy tragiczne losy jego mieszkańców. Również o każdym z jej członków mówi się, używając tej nazwy-przezwiska, na przykład ojciec Ventura, Ventura matka, stara Ventura, mały Ventura, również stosując liczbę mnogą (Ventures o rodzeństwie) lub zdrobnienia (Ventureta). Te ostatnie nie zostały jednak zachowane w przekładzie polskim.

W powieści *Primavera, estiu, etcètera* Marta Rojals opisuje trudności, jakie

miała jej bohaterka ze znalezieniem nazwiska abonenta w lokalnej książce telefonicznej, sporządzonej według nazw domów. Zachęcam Czytelników do odszukania w katalońskiej Wikipedii takich miejscowości jak Sort, Altron czy Lllessui, gdzie poza opisem geograficznym i historycznym zamieszcza się jako ważną informację... spis domów, z podaniem ich tradycyjnych nazw.

Ponadto pozorne uproszczenie potocznego systemu identyfikacji mieszkańców zmusza ich do długiego opisu, kiedy muszą się przedstawić, a więc: porucznik Marcó to Joan Esplandiu i Rella z domu Ventura z Toreny, pochodzący z Altronu. Albo: Felisa, żona Josepa Mauri z domu Maria del Nasi z Toreny. Prawda, że proste? Z tego oryginalnego systemu wynikają pewne korzyści, jak wspólne przezwisko dla całej rodziny, zamiast czterech nazwisk.

W Hiszpanii i kobiety, i mężczyźni noszą oficjalnie nazwisko ojca i matki (czasem opcjonalnie łączone spójnikiem), niezależnie od stanu cywilnego. A więc na przykład legitymujący się tymi samymi nazwiskami Joan i Rosa Esplandiu Carmaniu to nie małżeństwo, tylko rodzeństwo. Na co dzień ze względów praktycznych Hiszpanie posługują się tylko pierwszym nazwiskiem, chyba że komuś bardzo zależy na podkreśleniu swojego rodowodu. Wtedy wymienia się po kolei: nazwisko ojca, matki i nazwiska dwóch dziadków i dwóch babć. Przy rodowodach arystokratycznych lista nazwisk może się wydłużyć ze względu na nazwiska podwójne (Centelles-Anglesola) lub rozwinięte (Erill z Sentmenat) oraz dodanie linii żeńskiej, czyli drugiego nazwiska ojca, matki, dwóch dziadków i dwóch babć. Pisarz nie wszystkie postaci przedstawia oficjalnie; nie znamy więc drugiego nazwiska Ventury matki, czyli Glòrii Carmaniu, za to rodzinę Vilabru poznajemy z bardzo bogatym rodowodem.

Jaume Cabré – jeden z najpoczytniejszych pisarzy katalońskich, znany w Polsce dzięki opublikowanej w 2013 roku bestsellerowej powieści *Wyznaję* – zdążył oswoić czytelników z oryginalnym stylem narracji i redakcji: z opuszczaniem znaków interpunkcyjnych przed przytoczeniem wypowiedzi czy z płynnym przechodzeniem od pierwszej do trzeciej osoby (lub odwrotnie) w tym samym zdaniu. W *Głosach Pamano* można znaleźć zdania, które zaczynają się w latach siedemdziesiątych, a kończą w czterdziestych. Zgodnie z wolą autora cytaty i wypowiedzi w języku obcym nie zostały przetłumaczone ani wyróżnione graficznie, a kursywa jest zarezerwowana wyłącznie dla tytułów.

Głosy Pamano to również tytuł dwuczęściowego filmu telewizyjnego, adaptacji powieści dokonanej przez Xeska Barceló i Eduarda Xortèsa, w reżyserii Lluísa M. Güella (2009).

ANNA SAWICKA – iberystka, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, redaktor „Studiów Iberystycznych”, tłumaczy z języka katalońskiego i hiszpańskiego. Przez pięć lat była lektorem języka polskiego i wykładowcą literatury polskiej na Uniwersytecie Barcelońskim. Zajmuje się m.in. literaturą i kulturą katalońską (*Paryż–Barcelona –Sitges. Modernistyczny „genius loci” w Katalonii z perspektywy Santiago Rusiñola*, 2003, *Drogi i rozdroża kultury katalońskiej*, 2007). Ma w dorobku przekłady kilku katalońskich dramatów (Sergi Belbel, Josep Maria Benet i Jornet, Carles Batlle, Josep Pere Peyró, Lluïsa Cunillé, Guillem Clua) oraz opowiadania Pere Caldersa i Javiera Tomeo (*Minihistorie*, 2009), średniowieczny brewiarz mistyczny Ramona Llulla (*Księga Przyjaciela i Umiłowanego*, 2003), a także powieści Alberta Sancheza Piñola (*Chłodny dotyk*, 2006), Lluisa-Antona Baulenasa (*Za worek kości*, 2008), Marii Àngels Anglady (*Skrzypce z Auschwitz*, 2010) i Eduarda Mendozy (*Miasto cudów*, 2010). W 2013 roku ukazała się w jej przekładzie pierwsza tłumaczona na język polski powieść Jaume Cabrégo *Wyznając*.

KSIĄŻKA UHONOROWANA Nagrodą Krytyki Hiszpańskiej, 2005
oraz Nagrodą Siódme Niebo, Salt 2007
AUTOR NAGRODZONY TYTUŁEM
Premi d'Honor de les Lletres Catalanes dla najlepszego pisarza katalońskiego

ORAZ

Krzyżem Świętego Jerzego,
najwyższym katalońskim odznaczeniem

Dla Margaridy

Ojcze, nie przebaczasz im, bo wiedzą, co czynią.

VLADIMIR JANKÉLÉVITCH

Manewr był bezszelestny, delikatny jak pieszczota. Dłoń w rękawiczce przytrzymała klamkę od wewnątrz, żeby uniknąć hałasu. Drzwi domknęły się z ledwie dosłyszalnym westchnieniem. Ktoś, jakaś niewyraźna sylwetka, pojawiła się w ciemnym mieszkaniu. Jura dobrze widział nocą i mógł śledzić jej ruchy w milczeniu. Przybysz wszedł do gabinetu. Wkurzył się, że nie zaciągnięto na noc żaluzji. Po drugiej stronie okna pejzaż zamrożony niespodziewanym prądem arktycznym trwał w martwej ciszy, potęgowanej opadającymi powoli płatkami śniegu. Nie dobiegał nawet szum rzeki. Przybysz zostawił żaluzje w spokoju, żeby nikt, nigdy, pod żadnym pozorem nie domyślił się, że ktoś tej nocy zakradł się do mieszkania.

Z ciężkim westchnieniem zasiadł przy biurku, postawił teczkę na podłodze obok krzesła i włączył komputer. Ucieszył się, że panujący tu wzorowy porządek ułatwi mu zadanie. Jura bezszelestnie odprowadził intruza do gabinetu, a teraz zatrzymał się w progu i obserwował go w milczeniu. Kiedy niebieskawe światło ekranu wypełniło pomieszczenie, przybysz zaniepokoił się, że ta zimna, słaba poświata może być widoczna z opustoszałej ulicy czy z wnętrza mieszkania. Nad ekranem ktoś przykleił kartkę: „Dzień dobry! Jedzenie jest w szafce nad lodówką. Dziękuję za wszystko!”. Zaczął przeglądać zawartość folderów. Wyciągnął z kieszeni paczkę dyskietek i zabrał się do systematycznego kopiowania plików. W budynku ktoś zakaszłał. Domyślił się, że to sąsiedzi z dołu wrócili nieco zamroczeni z jakiejś imprezy, a teraz, zmęczeni i znużeni, narzekali, że są za starzy na takie wysokości. Jakiś powoli brnący przez śnieg samochód ponownie zakłócił ciszę nocną. Czemu te komputery tak wolno pracują, kiedy człowiekowi się spieszy. I czemu robią tyle hałasu, skoro teoretycznie są bezszelestne. W tym momencie zadzwonił telefon. Przybysz zastygł w bezruchu i nie zamykając dokumentów, natychmiast wyłączył komputer. Nie otarł kropli potu spływającej mu po nosie, bo na ten moment zawiesił swoje istnienie. W mieszkaniu panowała absolutna cisza.

– Nie mogę teraz odebrać. Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału.

– Słuchaj, jutro rano nie przyjdę, bo niespodziewanie przyszło zamówienie z Tremp na kamienne płyty i córka postawiła na swoim. Nie martw się, będę koło południa, przed obiadem. Cześć. Powodzenia. Buziaki. Później cię odwiedzę. Ach, jeszcze jedno: miałaś rację, rzeczywiście słychać kantylenę rzeki Pamano.

Bi, bip. Żegnaj. Męski głos, w którym pobrzmiwał akcent z gór, zachrypnięty od tabaki i kawy z procentami, z nadzieją mówił o jutrzejszym dniu. Nieznajomy odczekał chwilę, czy w mieszkaniu otworzą się któreś drzwi.

Nic. Nikt. Na szczęście dla siebie Jura postanowił się nie ujawniać i tkwił nieruchomo jak przedmiot. Kiedy rozpląnęło się w powietrzu echo głosu z telefonu i nieznajomy znów usłyszał, jak delikatnie opadają płatki śniegu, pokrywając wszystko za oknem, ostrożnie zaczerpnął powietrza do płuc i ponownie włączył komputer.

Jura opuścił swoje stanowisko przy drzwiach i nie mając konkretnego planu działania, wymknął się do salonu, cały czas wsłuchując się w odgłosy dochodzące z gabinetu.

Intruz kontynuował przerwane zajęcie. Szybko zapełnił pięć dyskietek plikami z folderu oznaczonego literami O.F. i skopiował jeszcze parę innych na wszelki wypadek. Kiedy skończył, wykasował wszystkie dokumenty. Upewnił się, że nie pozostał po nich żaden ślad i że niczego nie przegapił. Następnie skopiował z własnej dyskietki złośliwe oprogramowanie. Wyjął dyskietkę z wirusem i wyłączył komputer.

Zapalił latarkę. Trzymał ją w zębach, żeby mieć wolne ręce. Opróżnił szybko trzy segregatory znalezione na biurku. Były w nich papiery, zdjęcia, jakieś dokumenty. Wrzucił wszystko do swojej teczki, a segregatory odłożył. Na podłodze pod ścianą stała czerwona walizka, spakowana do podróży. Otworzył. Uważnie przejrzał zawartość, ale nie znalazł nic ciekawego. Zamknął ją i odstawił na miejsce. Już miał wyjść, kiedy coś go tknęło, żeby na wszelki wypadek przejrzeć jeszcze szuflady. Dużo czystego papieru, notesy, szkolne zeszyty. I pudełko. Otworzył je i poczuł, jak oblewa go zimny pot. W tym momencie usłyszał jakby ciężkie westchnienie w głębi mieszkania.

Zanim zamknął za sobą drzwi, upewnił się, że nie zostawił żadnego śladu swojej piętnastominutowej obecności, z pełną świadomością, że im dalej od tego miejsca zostanie go świt, tym lepiej dla niego.

Kiedy Jura został sam, wszedł do pogrążonego w ciemnościach gabinetu. Niby wszystko pozostało na swoim miejscu, ale coś go dręczyło. Miał nieodparte wrażenie, że nie stanął na wysokości zadania.

I

Lot dzwońca

Imiona na ziemi przykryły kwiaty.
JOAN VINYOLI

O dziewiątej rano w piątek trzydziestego marca dwa tysiące drugiego roku od narodzenia Chrystusa, w tym dniu tak wytęsknionym i upragnionym, oczy licznych wiernych zgromadzonych na placu Świętego Piotra w Watykanie, przybyłych ze wszystkich zakątków świata, wpatrują się w napięciu w przystrojone okno, z którego jego świątobliwość Ojciec Święty ma udzielić błogosławieństwa urbi et orbi. Mimo pierwszych dni wiosny doskwiera chłód, wywołany mroźnym zdradzieckim wiatrem znad Tybru, który nadciąga przez via della Conciliazione i dziarsko, triumfalnie wpada na plac z zamiarem zakłócenia nabożnego skupienia wiernych oczekujących, aż pojawi się Summus Pontifex. Chłód i emocje zmusiły do wyciągnięcia chusteczek. Porusza się okno i w szybie otwieranego do wewnątrz balkonu odbija się światło. Najpierw wyłonił się mikrofon, który jakiś usłużny kapłan zainstalował na odpowiedniej wysokości, a zaraz potem ukazuje się przygarbiona, obleczona w nieskazitelną biel sylwetka Ojca Świętego Jana Pawła II. Wypowiadane przez niego ledwie dosłyszalne słowa gubią sens, nim dotarły do ludzi, mimo że wszyscy schowali już chusteczki i umilkli. Udziela błogosławieństwa. Sześć zakonnic z Gwinei, klęczących na mokrych kamiennych płytach, płacze z radości. Pielgrzymi z grupy księdza Relli, usytuowani w bardzo dobrym miejscu, na wprost papieskiego okna, starają się zachować milczenie, zakłóca je tylko nieco zabobonne zachowanie paru osób. Niektórzy potrząsają owiniętymi wokół dłoni różańcami, inni całują obrazek za pół euro przedstawiający papieża, jeszcze inni starają się uwiecznić tę chwilę na zdjęciu. Ksiądz Rella uciska ich ruchem ręki, żeby się przedwcześnie nie ekscytowali, i patrzy na zegarek. Trzeba się pospieszyć, mają tylko pół godziny na dojście do piazza del Sant'Uffizio. Kiedy tylko Ojciec Święty, zaraz po błogosławieństwie, znika porwany przez lekarzy, ksiądz Rella podnosi rękę, wskazując kierunek, zdecydowany użyć czerwonego parasola do torowania drogi przez gęsty jak zarośla tłum zgromadzony na watykańskim placu. Jak jeden mąż grupa składająca się z pięćdziesięciu kobiet i trzynastu mężczyzn podąża za czerwonym parasolem. Zgromadzeni rozchodzą się powoli, bez pośpiechu, jakby im było żal opuszczać miejsce, o którym tak długo marzyli.

Ulicą via di Porta Angelica przemyka zręcznie jak kot limuzyna z przyciemnionymi szybami, skręca w prawo i zatrzymuje się przy punkcie kontrolnym na via del Belvedere. Dwaj mężczyźni ze słuchawkami w uchu, w ciemnych okularach i z wygolonymi karkami rzucają się do okien, które otwierają się elegancko, jak zalotnie opuszczone powieki. Obaj wyprostowują się równocześnie i dają znak, że droga wolna. Jednakże jeden z nich towarzyszy samochodowi, idąc szybkim krokiem, by wskazać, w którym miejscu na via della Posta ma zaparkować. Watykański odźwierny wynurza się wprost ze ściany i otwiera drzwi limuzyny z prawej strony. Stojący przed drzwiami Palazzo Apostolico gwardzista szwajcarski przebrany za janczara sprawia

wrażenie zupełnie niezainteresowanego tym, co się wokół niego dzieje. Patrzy przed siebie, na budynek żandarmerii, jak gdyby chciał przeniknąć skrywane tam tajemnice. Z limuzyny wyłaniają się kształtne stopy obleczone w surową czerń obuwia ze srebrną sprzączką i delikatnie dotykają ziemi.

Msza zostanie odprawiona zgodnie z protokołem i kalendarzem liturgicznym w Bazylice Świętego Piotra w Watykanie, z udziałem Kongregacji do spraw Kultu Bożego w pełnym składzie. Jak nakazuje ostrożność, wszyscy honorowi goście zostali zaproszeni trzy godziny przed ceremonią, żeby uniknąć najmniejszego choćby zgrzytu, bo co jak co, ale na przestrzeni wieków Święty, Powszechny i Apostolski Kościół Rzymskokatolicki nauczył się planować, przygotowywać i przeprowadzać ceremonie dowolnego rodzaju z idealnie dobranym do wagi uroczystości poziomem przepychu.

Ubrana w czerń dama, szczupła i wyprostowana mimo swoich osiemdziesięciu siedmiu lat, w dyskretnym, ale bardzo eleganckim kapeluszu na głowie, czeka, aż jej syn i była synowa ustawią się obok niej. Z niechęcią i znużeniem puszcza mimo uszu hałas dochodzący z placu, gdzie zgromadzeni ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że tworzą tłum. Gasull załatwia coś z mundurowym, który pojawił się w ślad za odźwiernym.

– Gdzie się podział Sergi – dama wypowiada słowa, patrząc przed siebie z powagą, nie starając się nawet zakończyć zdania intonacją pytającą.

– Tu jest, mamó – odpowiada oschłym tonem Marcel. – A gdzie miałyby być?

Sergi został z tyłu, żeby zapalić papierosa, przewidując, że wewnątrz nie pozwolą mu ani razu się zaciągnąć, na wieki wieków amen.

– Nie słyszę go.

Mogłabyś się pofatygować i jemu samemu zadać to pytanie, myśli Mertxe, która od rana ma kwaśną minę. Ale ty nigdy nie zapytasz pewnych osób o pewne sprawy ani nie odwrócisz głowy, żeby się obejrzeć, bo nie chcesz pokazać zmarszczek na szyi i uważasz, że to inni powinni się stawić przed tobą.

– I co? – dama zwraca się do Gasulla.

– W porządku. Wszystko załatwione.

Pięcioosobowa grupa opatrzona numerem 35Z przekracza próg Palazzo na trzy godziny przed rozpoczęciem uroczystości.

Sala Świętej Klary jest przestronna, oświetlona łagodnym, leniwym światłem wpadającym przez trzy balkony wychodzące na obszerny dziedziniec wewnętrzny, gdzie właśnie miota się w pośpiechu pewien dziwny osobnik przystrojony żółtą szarfą przewieszoną na ukos przez ramię, podążający za uczynnym obywatelem w codziennym ubraniu, który ruchem ręki wskazuje mu właściwe drzwi. Vis-à-vis balkonów ogromna, ciemna półkula globusa ukazuje wszystko, co ludzkość wiedziała o Ziemi w XVII wieku. Tuż obok fortepian,

zaskakujący w tym otoczeniu, przybiera wyszukaną pozę, właściwą instrumentom muzycznym, kiedy milczą.

Odpowiedzialny za protokół chudy mężczyzna w takiej samej surowej czerni jak dama, najprawdopodobniej ksiądz, poucza ich, mrużąc pod nosem po włosku, przeświadczony, że i tak go nie rozumieją: że mogą usiąść i czuć się jak u siebie w domu, że teraz trzeba czekać, a w razie potrzeby za fortepianem są drzwi, które prowadzą do stanza de bagno. Podczas gdy oni oswiają się z miejscem, kobieta w średnim wieku, najpewniej zakonnica, wjeżdża do sali z wózkiem pełnym przekąsek i napojów bezalkoholowych, a chudy mężczyzna szepce do ucha Gasulla, że na godzinę przed uroczystością ten wózek zniknie, sam pan rozumie dlaczego.

Dama zasiada na wygodnej sofie, ze złączonymi kolanami, i kieruje wzrok w głąb sali, tak jakby mogła cokolwiek zobaczyć, dając dobry przykład pozostałym. Jest spięta do granic wytrzymałości słabego ciała. Ale ukrywa to napięcie, by ani syn, ani była synowa, ani wnuk, który teraz obojętnie wodzi wzrokiem po balkonach, ani adwokat Gasull nie domyślili się, jak bardzo jest zdenerwowana, niemal przytłoczona, siedząc na sofie w przestronnym pomieszczeniu Świętej Klary, w Palazzo Apostolico w Watykanie. Ta dama wie, że po dzisiejszym dniu będzie już mogła spokojnie umrzeć. Kładzie rękę na piersi, żeby dotknąć krzyżyka zawieszzonego na szyi. Wie, że dziś zakończy się dla niej czas sześćdziesięciu lat udęki, i nie potrafi przyznać się sama przed sobą, że mogłaby lepiej przeżyć życie.

W dniu, w którym odesłano jego imię w niepamięć, na ulicy znajdowało się bardzo mało ludzi. Nawet gdyby nie padało, też mało kto by przyszedł, bo większość zdecydowała się udawać, że ich to nie dotyczy, i tylko dyskretnie, zza firanki, zza płotu, śledzili przebieg wydarzenia zamykającego czasy, które kosztowały ich tyle łez. Burmistrz zdecydował, że pomimo ulewy nie odwoła uroczystości, nie wspomniał tylko, że prawdziwą przyczyną tej politycznej determinacji okazało się spotkanie z klientem w Sort. Już mu ślinka ciekła na samą myśl o wspaniałej, soczystej paelli przyrządzanej w restauracji Rendégo. Ale nazwisko, które nosił, do czegoś zobowiązywało. Bringué musiał pokazać całemu miasteczku, a przede wszystkim mieszkańcom domu Gravat, że uroczystość się odbędzie, choćby i potop. Tak więc dokonali wymiany w obecności burmistrza, radców, sekretarza i dwóch podekscytowanych turystów w jaskrawych płaszczach przeciwdeszczowych, którzy przyplątali się nie wiedzieć skąd i nie wnikając, w czym rzecz, bez przerwy robili zdjęcia ilustrujące dziwne obyczaje mieszkańców wysokogórskich miejscowości; z oczywistych względów był też obecny Serrallac. Aż trudno uwierzyć, że w czymś takim wzięła udział również pani Báscones; po co, na litość boską? Toż to istna kolostomia. Jaume Serrallac wykuł i pomalował na czarno litery na czterech wspaniałych, jasnoszarych marmurowych tablicach, których elegancja aż się prosiła o bardziej okazałe ulice, porządniejsze ściany i godniejszą miejscowość. Ulica prezydenta Francesca Macià zastąpiła ulicę generalissimusa Franco, Główna pojawiła się w miejsce ulicy Joségo Antonia, Rynek zastąpił plac Hiszpanii, a ulica Środkowa zostawiła z niczym falangistę Fontellesa. Ponieważ przygotowania zostały dopięte na ostatni guzik, otwory wywiercone, a Serrallac zdążył nabrać wprawy dzięki gorączce wymiany nazw, jaką pociągnął za sobą upadek dyktatury, wszystko poszło jak z płatka. Tylko ostatnia tabliczka, z nazwiskiem falangisty Fontellesa, stawiała opór, i żeby ją usunąć, musiał rozbić starą płytę młotkiem na samej ścianie. Później wrzucił smętne szczątki historii do kontenera stojącego przed domem Batalla. Okruchy falangisty Fontellesa odpowiedziały niemym, bezsilnym krzykiem, brzmiącym niemal unisono z ledwie dosłyszalnym jękiem na balkonie domu Gravat, wydanym przez nieruchomą postać w napięciu zaciskającą ręce na poręczy, na którą nikt, poza kotami, nie zwrócił uwagi. Dwie kobiety, jedna w podeszłym wieku, obie ciepło ubrane, przyglądały się wszystkiemu z wysokości ulicy Rasa. Kiedy się upewniły, że Serrallac rozbił na kawałki starą tabliczkę, zeszyły powoli ulicą Środkową; trzymały się pod rękę i oglądały po kolei wszystkie

fasady, okna i drzwi, komentując coś od czasu do czasu półsłówkami, półgłosem, żeby pokryć zmieszanie wywołane świadomością, że wiele oczu obserwuje je z wnętrza domów tak samo bezkarnie, jak one obserwowały z góry ceremonię zmiany nazwy ich ulicy. Kiedy dotarły do kontenera, zajrzały do środka, jakby chciały się upewnić co do jego zawartości. Oficjalna delegacja skierowała się już tymczasem ulicą Francesca Macià w stronę Rynku, gdzie miała się dokonać ostatnia z zaplanowanych zamian i gdzie burmistrz zamierzał przypomnieć w krótkich słowach, że uroczystość przywrócenia tradycyjnych nazw jest symbolicznym aktem pojednania. Od momentu, gdy ulica znów pogrążyła się w zwykłej ciszy, w Torenie wszyscy wyrzucili z pamięci Oriola i w każdym domu dało się słyszeć westchnienie ulgi, wyraz ogólnego przeświadczenia, że oto zniknął znieprawiony symbol niezgody. W całym miasteczku o Oriolu Fontellesie zapomniał każdy, oprócz cienia na balkonie domu Gravat, który właśnie przecierał okulary, myśląc jeszcze zobaczycie, kto będzie się śmiał ostatni, aż do chwili, gdy dwadzieścia cztery lata później zaczęto mówić, że trzeba zburzyć opuszczony, nieczynny budynek dawnej szkoły, żeby miasteczko mogło wejść w dwudziesty pierwszy wiek z nową twarzą.

Było oczywiste, że dyrektorka szkoły w Sort wysłała do Toreny Tinę Bros z misją oficjalnego myszkowania w szpargałach, z myślą o przygotowywanej wystawie na temat historii materiałów dydaktycznych. Istniała szansa, że w tym niewielkim budynku będzie można znaleźć coś ciekawego. Przeszarżałe podręczniki i inne ciekawostki. Ponieważ pisała książkę, uchodziła w szkole za specjalistkę od wszystkiego. Tak więc Tina, mimo że głowę miała zaprzątniętą czym innym, musiała pojechać, chcąc nie chcąc, po raz drugi w ciągu trzech dni do Toreny tym swoim charakterystycznym czerwonym citroenem. Nie wiedziała, że zaparkowała samochód dokładnie pod tabliczką, która dwadzieścia cztery lata temu przywróciła oryginalną nazwę ulicy Środkowej. Poprosiła o klucze w ratuszu, a tam odesłali ją do robotników pracujących przy rozbiórce budynku. Kiedy dotarła na miejsce, na rogatki miasteczka od strony wzgórza Triador, ekipa zaczynała już rozbierać dach, zdejmując łupkowe dachówki jedna po drugiej. Nie zastanawiając się długo, wyjęła swój mały aparat fotograficzny z kliszą o wysokiej czułości i korzystając z migotliwego światła zmierzchu, zrobiła trzy zdjęcia budynku. Udało się jej tak wykadrować, że na żadnym nie było widać robotników. Może któreś z tych ujęć przyda się do książki. Kto wie. Na szczęście robotnicy rozpoczęli rozbiórkę od strony łazienki. Zdążyła sprawdzić zawartość dwóch szaf w sali lekcyjnej, pobrudzić ręce lepkiem, czarnym, wieloletnim kurzem, wyrzucić niepotrzebne szpargały, ocalić z tuzin podręczników stworzonych w myśl zasad prehistorycznej pedagogiki, których staroświecki urok w sam raz pasuje do wystawy, przy czym wsłuchiwała się cały czas w stukot młotków odsyłających ten budynek w

niebyt. Wyselekcjonowany przez nią materiał zmieścił się w kartonowym pudle, które przywiozła z Sort. Zatrzymała się na chwilę przy oknie i zapatrzona w dal zastanawiała się, czy to, co zamierzała zrobić po opuszczeniu szkoły, nie uwłacza jej godności. Na pewno uwłacza, ale Jordi nie dał jej wyboru. Jeszcze dwie minuty z otwartymi ustami; żadnego wyboru. Mój Boże, dlaczego Jordi, dlaczego Arnau. Dlaczego w domu nigdy o niczym nie rozmawiali, dlaczego byli tacy zamknięci w sobie, dlaczego Arnau coraz bardziej się od nich oddala, całymi dniami poza domem, i tak nerwowo reaguje na pytanie, z kim spędza czas. Po dłuższej chwili otrząsnęła się z tych gorzkich refleksji, westchnęła, spuściła wzrok i wróciła do rzeczywistości, do opuszczonej szkoły w Torenie. Musiała wziąć się w garść i choć na moment przestać myśleć o nich dwóch, zwłaszcza o Jordim. Wtedy wpadła na pomysł, żeby sprawdzić zawartość szuflad nauczycielskiego biurka. W pierwszej z nich, poza niematerialnymi wspomnieniami, które ulotniły się natychmiast po otwarciu szuflady, ktoś pozostawił strużyny ołówka. W pozostałych dwóch nie znalazła nic, nawet wspomnień. Za brudnymi szybami niespiesznie dogasał dzień i nagle dotarło do niej, że od jakiegoś czasu nie słychać uderzeń młotka.

Przy tablicy znalazła kawałek kredy. Kiedy ją wzięła do ręki, nie mogła się oprzeć pokusie i starannym, belferskim pismem wykaligrafowała datę: środa, 13 grudnia 2001 roku. Odwróciła się natychmiast, jakby za jej plecami w zjedzonych przez korniki ławkach siedziały dzieci, którym trzeba wyjaśnić, jaki jest plan zajęć na dziś. Ale zamarła z otwartymi ustami, kiedy dostrzegła w głębi sali, tuż przy drzwiach, nieogolonego robotnika z papierosem w ustach i pudełkiem po cygarach w jednej dłoni; w drugiej trzymał gazową campingową lampę. On też zamarł z otwartymi ustami, ale szybciej zareagował.

– Proszę pani... Musimy już kończyć, sami siebie nie widzimy. Odda pani klucz?

Podszedł do niej z lampą; do dzinsów miał przytroczony pęk kluczy. Tina odniosła wrażenie, że zbliża się do niej uczeń z dzienniczkiem, a ona, jak sięgnąć pamięcią, jest w tej szkole nauczycielką. Robotnik położył pudełko po cygarach na biurku.

– Znaleźliśmy je za tablicą.

– Za tą tablicą?

Majster podszedł do ściany i popchnął tablicę. Wydawało się, że jest umocowana na stałe; a jednak przesunęła się nieco z jękiem i odsłoniła niewielką ciemną wnękę. Poświecił lampą.

– Tu, w środku.

– Jak skarb piratów.

Majster przywrócił tablicę na poprzednie miejsce.

– To zeszyty uczniowskie – oświadczył, stukając dłonią w pokrywkę.

Pudełko świetnie się zachowało, ktoś je przewiązał czarnym sznurkiem.

– Mogę je zatrzymać?

– Miałem je wyrzucić.

– Mógłby mi pan zostawić światło?

– Zamarznie pani tutaj – ostrzegł, spełniając jej prośbę.

– Jestem ciepło ubrana. – Wskazując lampę, dodała: – Dziękuję.

– Kiedy pani skończy, proszę zamknąć na klucz i zostawić lampę przed drzwiami. Jutro ją znajdziemy.

– Jak długo potrwa rozbiórka?

– Jutro będzie po wszystkim. Dziś robiliśmy przygotowania. Zburzyć taki budynek to żadna filozofia.

Zasalutował jej jak żołnierz marines, przykładając kościsty palec do skroni. Zamknął za sobą drzwi i głosy trzech robotników powoli rozwiały się za brudnym oknem, aż zapanowała taka cisza, że Tina prawie słyszała suchy kaszel Elviry Lluís, tej dziewczynki z pierwszej ławki, która pięćdziesiąt sześć lat temu zmarła na gruźlicę. Tina rozejrzała się wokół. Światło lampy wywoływało coraz to nowe, nieznanne cienie. Zburzenie takiego budynku to żadna filozofia, powtórzyła w myślach. Ile pokoleń dzieci nauczyło się tu pisać i czytać? zastanawiała się. I w ciągu jednego dnia to wszystko zamieni się w gruz, westchnęła.

Wróciła do biurka i uświadomiła sobie, że robotnik mówił świętą prawdę: w klasie było zimno jak w lodowni. A światło dnia kończyło swoją dniówkę z coraz większym pośpiechem. Postawiła lampę na biurku i zadumała się nad skarbem piratów. I pomyśleć, że mogliby zburzyć szkołę i pogrzebać diamenty w środku... Rozwiązała czarny sznurek i otworzyła pudełko: diamentami okazały się zeszyty w jasnoniebieskiej czy jasnozielonej okładce, trudny do rozpoznania kolor, z wykaligrafowanym w poprzek drukowanymi, czarnymi literami słowem „Zeszyt”. Uczniowskie zeszyty. Dwie, trzy, cztery sztuki. Jaka szkoda, że to nie diamenty, westchnęła. Poczowała ukłucie, które nie dawało o sobie zapomnieć.

Otworzyła jeden z nich: natychmiast zwróciła uwagę na charakter pisma, porządnym, równym, czytelnym; litery wypełniały od góry do dołu wszystkie strony. Od czasu do czasu jakaś ilustracja. Wszystkie zeszyty były bardzo podobne. W pierwszym z nich rysunek twarzy. Nie wiedziała, że to autoportret Oriola sporządzony przed lusterkiem w uczniowskiej toalecie. Mężczyzna o smutnym spojrzeniu. W drugim zeszycie rysunek domostwa, podpisany „Dom Gravat”. A co w trzecim, zobaczmy..., ach, kościół. Kościół Świętego Piotra w Torenii. I pies rasy springer spaniel. Tina nigdy nie widziała u żadnego psa tak smutnych oczu. Najprawdopodobniej nazywał się Achilles. W ostatnim zeszycie szkic do portretu jakiejś kobiety, rozpoczęty, zmieniony, poprawiany tysiące razy i niedokończony, pozbawiony ust, bez źrenic, jak marmurowe rzeźby nagrobne,

które sprzedawał Serrallac w swoim warsztacie. Usiadła, nie zdając sobie sprawy, że z powodu zimna wydychane przez nią powietrze zamienia się w mgłę, jakby chciało ukryć ujawnienie tych czterech zeszytów. Gdzie mogła słyszeć to imię? Na pewno całkiem niedawno, tak. Jak gdyby ktoś jej o nim przed chwilą opowiadał.

Tina Bros zaczęła czytać zaintrygowana, nieuprzedzona i niepodejrzewająca, jakie nieszczęście właśnie na siebie ściąga. Zaczęła od pierwszej strony pierwszego zeszytu, odczytała nagłówek, adresowany do kogoś słowami kochana córko, nie wiem, jak się nazywasz, ale wiem, że istniejesz, bo widziałem twoją rączkę, małą i słodką. Chciałbym, żeby ktoś, kiedy dorośniesz, przekazał ci te linijki, chciałbym, żebyś je przeczytała... Boję się, co inni mogą ci o mnie powiedzieć, zwłaszcza twoja matka.

O wpół do dziewiątej, kiedy światło lampy zaczynało dogasać, nagle uniosła głowę, jakby wracała z innego świata. Bardzo nierozsądne było narażanie się na zamarzenie w tej klasie. Poczowała dreszcz. Zamknęła miękką okładkę ostatniego zeszytu i zaczerpnęła powietrza do płuc. Chyba na czas lektury zawiesiła oddychanie. Uznała, że zeszyty nie przydadzą się na wystawę organizowaną przez Maite. Umieściła je w pudełku po hawańskich cygarach, które wraz z czarnym sznurkiem włożyła do przepastnej kieszeni swojej kurtki, i skierowała się do wyjścia, opuszczając szkołę, gdzie, jak się jej teraz wydawało, spędziła dobre pięćdziesiąt lat.

Zostawiła lampę w miejscu wskazanym przez robotnika udającego marines, oddała klucz w ratuszu i ruszyła w stronę marmurowej tabliczki informującej, że jest na ulicy Środkowej. Tam czekał na nią jej wierny citroen przykryty cienką warstwą świeżego śniegu, którym odgrodził się od melancholii swojej pani.

Szosa do Sort, którą zjeżdżała w dół, była bardzo zimna i całkiem odludna. Ponieważ nie chciała tracić czasu na zakładanie łańcuchów, jechała powoli, w rytm swoich myśli, oszołomiona zimnem, zawartością przeczytanych przed chwilą stronic oraz perspektywą dalszego ciągu dzisiejszego wieczoru. Na starym murze chroniącym przed osuwaniem się gruntu, na zakręcie Pendís, wyznaczającym granicę gminy Torena, graffiti sporządzone w charakterystycznej dla radykałów estetyce denuncjowało wycinkę drzew w Tuca Negra w celu przedłużenia trasy narciarskiej. W szkole nikogo nie zastała: zostawiła kartonowe pudło opatrzone stosowną notatką w gabinecie Maite i uciekła w pośpiechu, bo ciemne, puste korytarze zawsze budziły w niej lęk. Jakby w taki mróz widma miały tu coś do roboty. Citroen bez problemu dowiózł ją do ustronnego pensjonatu. Mimo że Ainet leżało dalej na północ, jeszcze nie było w tych okolicach śniegu. Na siedzeniu pilota leżało pudełko po

cygarach z czterema zeszytami. Ostrożność odradziła jej korzystanie z parkingu, więc zdecydowała się ukryć samochód przy pustej bocznej drodze. Zgasiła światła, wyłączyła silnik i zastygła w bezruchu, wpatrując się obsesyjnie w oświetlone drzwi ośrodka. Zaczął padać śnieg, zdawał się tylko czekać na ten moment, cicho i ostrożnie, a ona dotknęła pudełka na siedzeniu obok, sprawdzając, czy aby na pewno tam jest. Nie mogła się skupić na słuchaniu delikatnego szumu płatków pokrywających wszystko wokół.

Wychodziła parę razy na mróz, żeby oczyścić przednią szybę, nie tracąc z oczu ani na chwilę drzwi pensjonatu. Wolała nie włączać w samochodzie ogrzewania, żeby nie ujawniać swojej obecności, bo w tej magicznej ciszy pudełka czekoladek wyłożonego aksamitem, gdzie nawet rzeka starała się płynąć bezszelestnie, szum silnika musiałby przyciągnąć uwagę Jordiego.

Kiedy wysiadła z samochodu po raz kolejny, żeby rozruszać zmarznięte stopy, usunęła skrobaczką lód z przedniej szyby i przykryła świeżym śniegiem zgarniętym na drodze tablicę rejestracyjną. Przyznać się przed sobą, że balansowała na granicy utraty godności, to jedno, ale przyznać się do tego przed innymi, to całkiem inna kwestia. Poczowała, że zmarzł jej nos.

Wróciła do auta, nie odrywając wzroku od oświetlonych drzwi, przez które w tym czasie wyszły tylko dwie nieznanym osobom. Ostrożnie dotknęła pudełka po cygarach, nie zdejmując rękawiczek.

– Coś ty powiedział?

– To, co słyszałaś.

Rosa, z ustami otwartymi ze zdziwienia czy może ze strachu, czuła, że serce wali jak młotem. Zakręciło się jej w głowie i musiała przysiąść na fotelu. Wyszepiała: – Dlaczego?

– Wszyscy tu narażają się na niebezpieczeństwo.

– Nie, niebezpieczeństwo zagraża tylko temu dziecku.

– Robię, co mogę.

– Gównem prawda. Idź lepiej z tym do pani Elisendy.

– Po co?

– A co, nie lubisz jej odwiedzać? – drążyła z intencją zadania bolesnego ciosu. – Nie ślinisz się na jej widok? Że niby ma taką plastyczną twarz, takie trudne oczy...

– Co ty mówisz?

Jakby niczego wcześniej nie insynuowała, Rosa, patrząc w okno, powiedziała zmęczonym głosem jesteś jedyną osobą w miasteczku, której ona wysłucha.

– Pani Elisenda nie może nic zrobić.

– Tutaj wszystko dzieje się pod jej dyktando.

– Akurat.

Rosa spojrzała na Oriola. Wpatrując się uważnie w jego oczy, próbowała odgadnąć sekrety, jakie on i pani Elisenda przekazywali sobie wzrokiem, kiedy

byli razem. Oriol już miał odpowiedzieć, ale rozdzwoniły się dzwony na Anioł Pański. Zamilkli, choć przecież nigdy się nie modlili, nawet podczas zimy tak srogiej jak ta. Zanim dzwony umilkły, Rosa wybuchnęła.

- Jeśli czegoś z tym nie zrobisz, wracam do Barcelony.
- Nie zostawiaj mnie.
- Jesteś tchórzem.
- Tak, jestem tchórzem.

Rosa instynktownie położyła rękę na brzuchu i powiedziała zmęczonym głosem nie chcę, żeby nasza córka się dowiedziała, że jej ojciec to tchórz i faszysta.

- Nie jestem faszystą.
- A czym się różnisz od tego skurwysyna burmistrza?
- Nie krzycz, ściany mają uszy!
- On sobie na wszystko pozwala, a ty mu przyklaskujesz.
- Słuchaj, jestem tylko skromnym nauczycielem.
- Mógłbyś okręcić sobie burmistrza wokół palca.
- Mrzonki. Poza tym się boję. Boję się go.
- Musisz obronić małego Venture.
- Nie mogę. Przysięgam, on się ze mną nie liczy.

Rosa po raz ostatni spojrzała mu w oczy. Odwróciła głowę i bujając się w fotelu, patrzyła przez okno. To było jak pożegnanie. Zastanawiała się, dlaczego tak się stało, i przeklinała dzień, w którym zdecydowali się objąć posadę tu, w tej pięknej miejscowości charakteryzującej się, według encyklopedii, dużą populacją rogacizny i owiec; będzie nam wspaniale, będziemy czytać i kochać się, nareszcie starczy nam czasu na wszystko. Rozważywszy każde za i przeciw, w końcu powiedziała zgoda, Oriol, jedźmy do Toreny. Co z tego, że ciasto na świąteczne krokiety stygło na stole. Nie powinna była w ogóle zabierać się dzisiaj do gotowania, niepotrzebne całe to Boże Narodzenie za cztery dni, nic jej nie przejdzie przez gardło, kiedy sobie pomyśli o tym biednym dziecku.

Oriol spojrzał na kark Rosy. Zacisnął szczęki z wściekłością i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Natychmiast znów je otworzył, jakby czegoś zapomniał. Zatrzymał się w progu z ręką na klamce i próbował opanować gniew. Rosa ciągle wyglądała przez okno na ulicę, obojętna na rozciągającą się przed nią imponującą panoramę doliny Àssua, którą przysłoniła jej teraz mgła łąz. Sięgnął po kurtkę i czapkę i wyszedł.

Wystarczyło osiem miesięcy na stanowisku nauczyciela w Torenie, by Oriol stał się innym człowiekiem. Była w pierwszym miesiącu ciąży, kiedy tu przyjechali, pełni entuzjazmu. Nie mogli uwierzyć, że im się udało, mimo że Oriol nie walczył na froncie ani nawet – z powodu wrzodów żołądka – nie służył w wojsku. Jednak otrzymał posadę zarezerwowaną dla weteranów, dla

kogoś, kto się zjawi nie wiadomo skąd z legitymacją Falangi w zębach albo z orderami pogromcy Republiki zawieszonymi na cienkim wąsiku. Cieszyli się, nie zdając sobie sprawy w swojej naiwności, że na posadę nauczyciela w Torenio nie zgłosiłby się sam Pan Bóg, który może i się urodził w stajni, ale do szkoły chodził w Nazarecie, gdzie było boisko z prawdziwego zdarzenia i przyzwoite, czyste ściany, osobne klasy dla dziewcząt, osobne dla chłopców, a poza chłopskimi dziećmi uczyli się w niej też ciesielscy synowie.

Patrzyła przez okno, ale nie widziała placu. Valentí Targa odmienił jej męża. Od pierwszego dnia zaczął go sobie podporządkowywać i ustawiać. Od pierwszego wyzywającego spojrzenia, jakim ich obrzucił, stojąc z rękami na biodrach, kiedy wysiedli z taksówki z nadzieją w oczach i z dużym koszem pełnym naczyń kuchennych. Ze starannie zapakowanym portretem, który namalował jej Oriol. Nie umiała w porę dostrzec niebezpieczeństwa. I tak spędzili w Torenio w milczeniu długie trzy miesiące, i docierało do nich, że co jakiś czas czarne samochody wożą na ugór Sebastiana zapłakanych mężczyzn, a potem ciężarówki do przewozu bydła transportują ich gdzieś uciszonych na zawsze, już bez łez. Ona też się zmieniła: Valentí Targa sprawił, że przestała się odzywać. Za długo milczała. Aż do dzisiejszego dnia, kiedy Oriol wrócił z ratusza, gdzie go wezwał ten przekłety Targa, i oświadczył, nie patrząc jej w oczy, że powinien wstąpić do Falangi, a ona, jak stała przed piekarnikiem, tak zamarła z otwartymi ustami i zabrakło jej słów, może źle go zrozumiała, może to tylko żart. Ale nie: nadal unikał jej wzroku i milczał, czekał na reakcję. Odłożyła blachę z krokietami na bok i z wysiłkiem przeszła w stronę bujanego fotela, poprzedzana brzuchem, chcąc w ten sposób oddalić swoją córkę od męża, i zapytała coś ty powiedział?

– To, co słyszałaś.

José Oriol Fontelles Grau, poległ za Boga i za Hiszpanię. Teraz Tina sobie przypomniała, skąd zna to nazwisko. Tydzień temu, kiedy jeszcze była szczęśliwa, wybrała się do doliny Àssua w związku z książką, w której chciała wspomnieć również o miejscach wiecznego spoczynku. Cmentarz w Torenio w porównaniu z innymi przypominał pięciogwiazdkową wieczystą rezydencję. Wołała uzyskać lepszy kadr, dostosowując odległość niż ustawiając teleobiektyw. Na samym środku miał stać pewien bardzo zniszczony pomnik. Po obu stronach wyrastały z ziemi rzędy grobów, większość z przerdzewiałymi żelaznymi krzyżami, niektóre z krzyżem z marmuru. W głębi, przysłonięty przez pomnik, kolejny rząd grobów, wzdłuż północnego muru, od strony, z której nacierał wróg i lodowaty wiatr. I jeszcze mauzoleum miejscowych bogaczy po lewej, okazałe i zadbane.

Pstryk. Dzwoniec, który wzbijał się do lotu, został uchwycony na zdjęciu, na prawo od zaniedbanego pomnika. Nie zauważyła go. A może jednak; podobnie jak wielu fotografów, którzy kontrolują wszystko, co ma się znaleźć w kadrze,

ale i tak, wywołując zdjęcia, oczekują jakiejś niespodzianki.

Biały papier, skąpany w czerwonej poświacie, powoli wypływał z siebie dziwne kształty i utrwał je, najpierw ledwo widoczne, a później już z pełną świadomością obiektów. Poruszyła pęsetą papier w kuwecie i kształty przekształciły się w obrazy, coraz wyraźniejsze. Świetnie wykadrowane, stwierdziła. Wyciągnęła pęsetą papier z utrwalacza i zawiesiła go obok pozostałych dwudziestu zdjęć z filmu numer trzy, piątego grudnia dwa tysiące jeden, cmentarz w Torenne. Tak, świetnie wykadrowane.

Kiedy przystąpiła do podsumowywania efektów tej sesji fotograficznej, stwierdziła, że wszystkie zdjęcia wyszły zgodnie z oczekiwaniami, bez niespodzianek. Wtedy dopiero zwróciła uwagę na dzwońca zatrzymanego w kadrze w momencie, gdy wzbijał się do lotu, na fotografii przedstawiającej zaniedbany pomnik. Zapomniała o nim. Coś takiego. Co za, no nie wiem, poezja? Przyjrzała się ptakowi pod lupą. Tak, dzwonec z opuszczonymi skrzydłami, uchwycony w trakcie wznoszenia się w powietrze. W dziobie trzymał robaka. Nie. Przy wywoływaniu przykleił się jakiś okruch. Nie; to rysunek wyryty na pomniku na drugim planie zdjęcia: ptaszek tylko przed nim przelatywał i powstało złudzenie optyczne. Rysunek wyryty na pomniku. Wtedy przyjrzała się lepiej tamtej płycie nagrobnej. Mimo że zapadał zmrok, dzięki idealnie wyliczonemu czasowi naświetlania, całe tło było bardzo wyraźne. Dzwonec i pochylona płyta miały świetny kadr. Może całość wyszła zbyt akademicka, zbyt płaska. Pomyślała, że dzwonec jest jak pióro i dziobkiem niczym stalówką zapisuje słowa na płycie. Dzwonec zapisał José Oriol Fontelles Grau (1915–1944), poległ za Boga i za Hiszpanię. Wyrysował tam jeszcze faszystowskie jarzmo i strzały. Ostrze jednej z nich wyglądało jak robak unoszony przez dzwońca do gniazda.

Tina odłożyła lupę na stół i przetarła oczy. To zdjęcie, ostatnie na kliszy, mogłoby pójść na początek, czarno-białe, ilustrujące upływ czasu i tym podobne historie.

Wciąż trzymała dłoń na pudełku po cygarach z zeszytami Oriola Fontellesa i dzięki temu, że zastanawiała się nad ich zawartością, pozwalając, by śnieg znów zasypał przednią szybę samochodu, udało się jej zapomnieć na chwilę o tym, co tu robi, przyczajona przed oświetlonymi drzwiami pensjonatu w Ainet. Wyobrażała sobie, że płatki śniegu to gwiazdy, które spadają zmęczone bezowocnym przebywaniem na niebie, rozczarowane świadomością, że ich światło potrzebuje całych wieków, by dotrzeć do źrenic kochanych osób. Są na świecie ukochane osoby? No tak, ja kocham Arnaua, on jednak nie daje się kochać, tylko milczy, zajęty swoimi sprawami, jakby nie chciał patrzeć w gwiazdy, podobnie jak Jordi. Jej mężczyźni nie potrzebowali gwiazd. Kiedy już

się zbierała, żeby wyjść na zewnątrz i przetrzeć szybę, zauważyła jakiś ruch przy drzwiach pensjonatu. Ktoś wychodził. Jordi. Jordi. Jej Jordi wychodził z pensjonatu w Ainet, wiele kilometrów od domu, i rozglądał się, zakładając czapkę. Nie dostrzegł czerwonego samochodu zaparkowanego poza zasięgiem światła. Odwrócił się i wyciągnął rękę do kogoś za progiem. Patrzyła na ten gest z zazdrością. Większą zazdrość wzbudził w niej sam gest niż kobieta, która pojawiła się w ślad za nim, prawie tak wysoka jak Jordi. Spod kurtki nie wystawał nawet czubek nosa i nie dało się jej rozpoznać. Tym gestem Jordi obejmował nie tylko tamtą kobietę, ale i wszystko, co się z nią wiązało. Opiekuńczy gest był policzkiem wymierzonym w nią, która marzyła tu w samochodzie tylko po to, żeby potwierdzić coś, czego się obawiała.

W końcu zareagowała. Wyjęła aparat, przechyliła się przez kierownicę, żeby dobrze wykadrować, ustawiła szeroki plan, długi czas naświetlania i pstryknęła. Dwa, trzy zdjęcia. Cztery, pięć. A teraz teleobiektywem: jedno, drugie, trzecie, czwarte, piąte, szóste... Przestała pstrykać i zastanowiła się nad sobą. Poczula się jak jakaś prymitywna paparazza. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej poczuć na policzku zamarznętej łyzy.

Jego Ekscelencja Nazario Prats, łysy, z przystrzyżonym wąsikiem, kroplami potu na czole i pod bielizną, gubernator cywilny i lokalny przywódca Ruchu Narodowego, czuł się nieswojo. Przed panią Elisendą albo się czujesz nieswojo, albo nie jesteś facetem. Dobiegł go niebezpieczny zapach perfum, wyjątkowych i niepowtarzalnych, których używała jaśnie pani, ten sam, który towarzyszył aksamitnemu głosowi szepczącemu mu do ucha polecenia podczas pogrzebu, z całkowitym lekceważeniem jego rangi gubernatora cywilnego, przypierający go do muru, jakby nie obchodziło jej, że był lokalnym przywódcą Ruchu Narodowego i musiał trzymać się przepisów, ona bowiem miała przepisy gdzieś i nie zawahałaby się pozbawić go należnych mu profitów z bezwzględnością godną, nie przymierzając, Stalina. Wcale nie przesadzam. Żeby dobrze wyjść na zdjęciach, zrobiła uprzejmą minę, przyglądając się, jak latorośl zaszczepiona na pniu nieodżałowanego towarzysza Santiaga Vilabrú zjeżdża w chyba dobrym stylu trasą narciarską, a na dole już czekają on, trzech zastępcy delegatów, sześciu burmistrzów i ta przeklęta jaśnie wdowa oraz trzy autokary klakierów z doliny Àssua, z Caregue i z Batlliu, żeby asystować w inauguracji toru narciarskiego w Tuca Negra, który jest symbolem innowacyjności, chrztem bojowym odważnych inicjatyw i oskardem wbitym w Niderlandy przyszłości. Wszystkie trzy autokary biły brawo z profesjonalną gorliwością, bo skoro ludzie niczego nie rozumieli, to znaczy, że chodziło o coś bardzo ważnego. Tym wyróżnionym narciarzem zjeżdżającym z wysokości dwu tysięcy trzystu metrów z hiszpańską flagą przymocowaną porządnie do pleców był Marcel Vilabrú Vilabrú. Czuł, jak przyhamowuje go powiewające za nim fru fru fru płótno w kolorze ognia i złota, podczas gdy świst nart roztaczał aurę intymności i ciszy. Szusując w dół, rysował esy-floresy uzgodnione wcześniej z Quique i przećwiczone ze trzydzieści razy, żeby zapewnić doskonały efekt i wykluczyć przypadkowy manewr, który by sprowadził na ziemię jego, flagę i cały ten spektakl na świeżym śniegu: spektakl ów Marcel Vilabrú oficjalnie inaugurował tą epicką jazdą. Dobrze, Jacinto, dobrze się spisałeś.

Jego Ekscelencja Nazario Prats z przyklejonym do twarzy uśmiechem przyglądał się, jak chłopiec zjeżdża, i co chwila kątem oka sprawdzał, czy jego nieprzyjaciółka nie robi znudzonej czy zde gustowanej miny, czy w jakikolwiek inny sposób nie daje mu do zrozumienia, że porozmawia o nim z którymś z ministrów, z czystej złośliwości. Z ministrem albo z towarzyszami z Falangi. Nie, jaśnie wdowę interesował tylko jej ukochany syn i z dumą wpatrywała się w powiewającą cicho na wietrze dwukolorową flagę (fru fru fru nie dochodziło

do uszu władz) w czasie tej pamiętnej jazdy, którą kamery kroniki filmowej zarejestrowały w czerni i bieli.

– Trzynaście lat, a proszę spojrzeć, jak jeździ – rzucił ogólną uwagę, żeby usłyszeli go wszyscy, a przede wszystkim ona. Nikt nie zareagował i nagle zaczęły mu się pocić ręce, jak zawsze, kiedy się denerwował. Nawet ona nie odpowiedziała, a przecież mogłaby się zdobyć na gest zwykłej uprzejmości. Ale najwyraźniej wkurzanie mnie sprawia jej przyjemność.

Spojrzał w lewo, skąd jazdę Marcela Vilabrú podziwiał podstarzały, milczący ksiądz August Vilabrú, kanonik czy coś w tym rodzaju. Czuł dumę, jakby był ojcem chłopca. Gubernator nie wiedział, ale tamten miał podstawy, żeby uznawać się przynajmniej za ojca matki młodego narciarza, bo kiedy Elisenda skończyła pięć lat, zakomunikował jej rodzicom słuchajcie, Anselmie i Pilar, ta dziewczynka to prawdziwy skarb. A Josep? Josep (biedny Josep, świętej pamięci) jest zwyczajnym dzieckiem, natomiast Elisenda posiada ponadprzeciętną inteligencję, umiejętność syntezy i... Wiesz, co ci powiem? Szkoda, że jest dziewczynką. Ta twoja galanteria. Proszę, nie kłóćcie się teraz z mojego powodu, do cholery, przyjmijcie do wiadomości, że wasza córka, Anselmie i Pilar, to diament, i czułbym się zaszczycony, gdybym mógł go oszlifować, żeby nabrał blasku. Niestety, sugestie Augusta trafiły w próżnię. Anselm Vilabrú miał głowę zajętą wojaczką, a Pilar, w tajemnicy przed wszystkimi, całymi dniami flirtowała. Zresztą zarówno brat, jak i bratowa zlekceważyli go zupełnie, zakładając z góry, że matematycy nie znajdują się na ludziach. A zwłaszcza matematycy w sutannie. W tej sytuacji ksiądz August sam przystąpił do działania i zapisał dziewczynkę do internatu przy szkole prowadzonej przez towarzystwo świętej Teresy od Dzieciątka Jezus w Barcelonie, ponieważ jemu bardzo odpowiadał ten rodzaj duchowości, jaką reprezentował wielebny ojciec Henryk d'Ossó, który na pewno kiedyś zostanie wyniesiony na ołtarze. Porozmawiał z matką Venàncią i zdobył w niej sprzymierzeńca w niezbędnym dziele edukacji dziewczynki pochodzącej z dobrego domu, ale zaniedbanej przez rodziców. Matka Venància zrozumiała go w lot. Wiedziała, że ksiądz August Vilabrú zwrócił się do niej, gdyż była uosobieniem terezańskiej surowości. Jej krótki, ale owocny pobyt w klasztorze w Ràpicie w czasach przeoryszy Dorotei wyostrzył u niej poczucie obowiązku i zaszczepił głębokie aż do szpiku kości przekonanie, że kiedy człowiek posiada prawdę, jest zobowiązany nie ustawać w czynieniu tego, co powinien, jeśli uważa to za słuszne. Celujący z arytmetyki, celujący z gramatyki, celujący z łaciny, celujący z przyrody, celujący z religii to więcej niż diament, księżę Auguście, ta dziewczynka to więcej niż diament.

Dobrze, Jacinto, dobrze się spisałeś.

Kiedy dzielny młodzieniec dotarł na dół, odczepił flagę, chwycił ją za drzewce i wbił w śnieg z miną zdobywcy geograficznego bieguna północnego,

w miejscu uzgodnionym z Quique i z niejakim Matanzasem, nudziarzem, specjalistą od oficjalnego, urzędowego protokołu. Ten jakże męski gest wbicia czegoś w dziewiczy śnieg zyskał gorący aplauz władz i autokarów. Wtedy śladem flagi ruszył slalom trzydziestu narciarzy, tworząc w trakcie zjeżdżania warkocz, i znów rozległy się oklaski władz i autokarów. Pan Nazario Prats obrócił się o czterdzieści pięć stopni i tuż przed jego nosem pojawiła się taca z czerwoną poduszczką, na której spoczywały inauguracyjne nożyczki. Wziął je do ręki i kręcąc nimi młynka, zastanawiał się, czy by nie popełnić jakiegoś szaleństwa. Sam Onésimo Redondo wyznał mu pewnego wieczoru, że genialne pomysły albo są efektem intuicyjnej improwizacji, albo nie są genialne. W tym momencie jemu przytrafił się taki genialny pomysł i bez namysłu podał nożyczki wdowie Vilabrú.

Bierz, ty dziwko, najchętniej wbiłbym ci je w szyję. Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

– Nie znajdę godniejszego pomocnika przy inauguracji trasy narciarskiej w Tuca Negra.

Pani Elisenda nie dała się prosić, przekonana, że ma do tego prawo, i zamiast pomagać, sama przecięła dwukolorową wstęgę odgradzającą władzom dostęp do wyciągu krzeselkowego, a konkretnie do ślicznego szwajcarskiego domku, w którym miano im serwować gorącą kawę z dowolnym rodzajem procentów. Władze i autokary oklaskiwały przecięcie wstęgi przez panią Elisendę, dziedziczkę domu Gravat. Po odłożeniu nożyczek na poduszczkę dziedziczka ruszyła w asyście władz w stronę schroniska, które miało stać się centrum życia towarzyskiego w Tuca Negra. Wyłącznie władze przekroczyły tę dopiero co zainaugurowaną i już zatartą linię, ponieważ pasażerowie autokarów, którzy całe życie spędzali w śniegu, nigdy nie zakładali nart; zimą mieli pod dostatkiem roboty z naprawą i wyrabianiem narzędzi rolniczych, klepaniem kos, smarowaniem sprzętu mechanicznego, łataniem dziur, wymianą potłuczonych dachówek, a kiedy było mniej śniegu, doglądali bydła, patrzyli w dal i marzyli o innym, nieosiągalnym życiu. Wyłącznie przedstawiciele władz i Jacinto Mas, który nikogo nie pytał o zgodę, tylko po prostu nigdy nie oddalał się od swojej pani, nie żeby ktoś nastawał na jej życie, ale dlatego, że jego życie, blizna na twarzy i cała jego przyszłość miały sens wówczas, kiedy mógł wyczytać w spojrzeniu jaśnie pani pochwałę dobrze, Jacinto, dobrze się spisał.

Ksiądz August Vilabrú pobłogosławił lokal (drewniane ściany pociągnięte pokostem, fałszywe trofea eksponowane na ścianie, duże okna, z których rozciągał się widok na stok narciarski), wypędził złe duchy wodą święconą, wymamrotał pod nosem asperges me i wypowiedział życzenie, używając słów, których nikt nie rozumiał, by to miejsce zawsze promieniało dobrem. A jednak

po paru latach Marcel i Quique zostali wplątani w ten skandal pod prysznicem. A jednak cała tłumiona nienawiść Quique zaowocowała przekleństwami i złorzeczeniami, których te pobłogosławione ściany musiały z rezygnacją wysłuchać. A jednak schronisko w Tuca Negra stało się siedliskiem trzydziestu zdrad małżeńskich rocznie, a jeśli sezon wyjątkowo się udał i dopisały warunki atmosferyczne, liczba ta wzrastała do czterdziestu; a jednak wielu stałych klientów, ludzi dobrze wychowanych, nie miało skrupułów. Cóż o tym mógł wiedzieć ksiądz August Vilabru. On pobłogosławił to wszystko hurtem, spokojny dzięki błogiej nieświadomości, której pozbawiona była Bibiana, znawczyni ludzkich postępów i ich przyszłych konsekwencji.

Władze, które wchodziły do pobłogosławionego schroniska, mogły obserwować przez okno niewiarygodne zjawisko – liczącą około trzydziestu osób grupę narciarzy i narciarek, pokazujących w wystudiowanym uśmiechu doskonałe zęby, imponujących zdrową cerą, wyposażonych w świetny sprzęt, zerkających ukradkiem w stronę kamery kroniki filmowej, choć im tego surowo zabroniono, którzy nagle wyłonili się ze śniegu i gawędząc swobodnie między sobą, ustawili się w kolejce do wyciągu krzeselkowego zainaugurowanego dosłownie przed chwilą, w przeczuciu, że dystygowana klientela tylko na to czeka i zjawi się tłumnie, korzystając z nowej, asfaltowej drogi L-129, specjalnie zbudowanej odnogi pobliskiej autostrady L-1317. A wszystko to, podsumowywał mówiący przez nos spiker, dzięki lokalnej inicjatywie i przedsiębiorczości oraz znaczącemu wsparciu władz prowincji, które postanowiły przekształcić ten idylliczny zakątek w atrakcję dla doborowych miłośników coraz bardziej popularnego w naszym kraju sportu zimowego. Zapomniał tylko dodać, że mówiąc o lokalnej przedsiębiorczości, użył eufemizmu, ponieważ siedemdziesiąt procent kapitału wnieśli Szwedzi, mimo że tak się brzydzą dyktaturą. Pozostałe trzydzieści procent należało do pani Elisendy z domu Vilabru, wdowy Vilabru, jedynej potomkini i wyłącznej dziedziczki trzechsetletniego majątku rodziny Vilabru z domu Gravat, dziedziczki osobistego majątku, też nie do pogardzenia, nieżyjącego już męża, Santiaga Vilabru. Była jedyną przedstawicielką miejscowych przedsiębiorców, jako że wszyscy ewentualni inwestorzy pokręcili nosem i stwierdzili, że jedna trasa narciarska w Molinie wystarczy, a Tuca Negra nie ma żadnej przyszłości. W następnym reportażu Franco inaugurował kolejną zaporę, trzecią w tym roku, tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym, dziewiętnastym od zwycięstwa.

Gubernator popijał kawę z koniakiem i palił śmierdzące cygaro. Uśmiechał się pod wąsem i udawał, że patrzy na śnieg za oknem, podczas gdy w rzeczywistości pożerał wzrokiem z masochistyczną, niebezpieczną przyjemnością odbijającą się w szybie sylwetkę jaśnie wdowy. Jaśnie wdowa, pani Vilabru, doskonale zdawała sobie sprawę z tego zaślinionego spojrzenia,

widziała, jak wyciera, przejęty, spocone dłonie i czoło, ale nie robiło to na niej wrażenia, bo liczne i niezbadane są ścieżki Pana. Spojrzeniem wydała polecenie Xato, by nie zabrakło koniaku gubernatorowi ani żadnemu innemu gościowi w mundurze wojskowym czy falangistowskim. Pewien szczupły i niepozorny mężczyzna wznosił kieliszek wina jakby do toastu; już od ponad dwóch lat adwokat Gasull troszczył się o legalność prowadzonych przez panią Elisendę interesów i myślał tylko o niej, o jej oczach, o jej koncie, o jej w najwyższym stopniu ryzykownych operacjach finansowych i politycznych, o jej cerze i wyrafinowanej obojętności, z jaką przyjmowała drżenie jego serca. Gasull chciał przesłać uśmiech na odległość, z wzniesionym kieliszkiem wina, ale pani Elisenda nie zwróciła uwagi na pusty gest adwokata, bo właśnie w otwartych drzwiach pojawił się Quique, wpuszczając do środka zimne powietrze, a wraz z nim Marcel i dwaj inni doborowi narciarze. Musiała mu przekazać gratulacje gubernatora za udany slalom i jeszcze dodała nie jadę do Barcelony, zostaję na noc w Torenie, co nie jest informacją, Quique, tylko rozkazem. Idź teraz przywitać się z gubernatorem. Razem z Marcelem. Dyskretny uśmiech na opalanej od śniegu twarzy szefa trenerów w Tuca Negra wyrażał satysfakcję. Ruszył w stronę gubernatora w towarzystwie Marcela Vilabrú. Jego Ekscelencja Nazario Prats ostentacyjnie zignorował przystojnego trenera i położył dłonie na ramionach najmłodszej latorośli rodziny Vilabrú, chłopca niższej i silniejszej postury niż ten idiota, jego ojciec. Powiedział Marcelowi Marcelo, twój ojciec, gdyby mógł tu być, czułby dumę. Nie masz pojęcia, jak bardzo. Biedny Santiago, szkoda, że nie dożył tej chwili. Wyobraź sobie, że ja dobrze wiem, o czym mówię, łączyła mnie bowiem z twoim ojcem prawdziwa i szczerza przyjaźń, jaka zdarza się tylko między dwoma otwartymi umysłami. Do tego stopnia, że, jak to się mówi, zmarł na moich rękach, biedny Santiago. Marcel Vilabrú uśmiechnął się uprzejmie, bo cała jego wiedza o ojcu ograniczała się do chłodnej twarzy na jednym ze zdjęć, jakich wiele stało w salonie domu Gravat. Szkoda, że taty tu nie ma, proszę pana, odpowiedział na wszelki wypadek gubernatorowi. Dobrze, Jacinto, dobrze się spisałeś.

Nie słyszała, o co pyta ją uczeń, aż ten, zniecierpliwiony, pociągnął ją za rękaw, bo mimo że miała przed sobą atlas z kontynentem azjatyckim, jej myśli przymarzyły do drzwi pensjonatu w Ainet. Wracało obsesyjne pytanie, kim była tamta kobieta, kim była, kto to mógł być, no kto.

– Nie widzę nigdzie Hongkongu.

Kiedy wróciła do domu, torebkę i klucze rzuciła byle gdzie i siadła w pierwszym z brzegu fotelu, w milczeniu patrząc przed siebie niczym doktor Żywago, i zaczęła obsesyjnie drażnić temat, a ja myślałam, że jestem ponad takie uczucia jak zazdrość. A ja myślałam, że zawsze będziemy postępować honorowo. A ja myślałam, że... Nie: to upokarzające. Upokarzające jest przede wszystkim to, że mnie lekceważy, oszukuje, okłamuje, i to wszystko za moimi plecami.

– A co, wolałabyś, żeby to robił ostentacyjnie? – wtrącił doktor Żywago, otwierając pyszczek w szerokim ziewnięciu. – To dopiero byłoby upokarzające.

– Nikt cię nie pytał o zdanie, Juriju Andriejewiczu.

Doktor Żywago zamknął pyszczek, wygiął grzbiet i z właściwą sobie kocią gracją, nie tracąc godnej postawy, zeskoczył z oparcia fotela i zwinął się w kłębek na kolanach Tiny. Głaskała go po głowie, za uszami, tak jak lubił, w skupieniu, ponieważ już postanowiła, że gdy tylko Jordi się pojawi, poprosi go, żeby usiadł; niech się tłumaczy, kim ona jest, od jak dawna się z nią zadajesz, co ona ma takiego, czego mnie brakuje, dlaczego mi to robisz, czy już mnie nie kochasz, nie wiesz, że moja miłość nie wygasła, dlaczego mnie oszukujesz, a nasz syn, pomyślałeś o nim, chcę się rozwieść, chcę cię zabić, ty skurwysynie, przysięgałeś mi wierność, czy ty rozumiesz, co znaczy to słowo? Znaczący wierzyć i nie opuszczać drugiego, a ty mnie zostawiasz, bo już we mnie nie wierzysz, dlaczego mi sam nie powiedziałeś, co się z tobą dzieje, a jeżeli brak ci odwagi, wyślij list, listy są jak światło gwiazd, wiedziałeś o tym, Jordi? Wydaje mi się, że nie zasłużyłeś, żeby ci wyjaśnić, co listy mają wspólnego z gwiazdami. Co się między nami zmieniło, kiedy się zmieniło, w którym momencie, czyja to wina, co zrobiłam źle, no co, Jordi, jaki popełniłam błąd, żebyś teraz po kryjomu zadawał się z Maite, jeżeli to ona, czy z Bego, czy z Joaną, czy z kimś, kogo nie znam. Kim jest kobieta, która zajęła moje miejsce, Jordi? Koleżanką ze szkoły? A Jordi będzie na nią patrzył z otwartymi ustami, przerażony, że ona wie o wszystkim, czego nie wziął pod uwagę w tych swoich paranoicznych kalkulacjach. I wtedy zacznie płakać, będzie prosił o przebaczenie, a ona spróbuje zapomnieć o tym gorzkim epizodzie, który na

szczęście pozostanie tylko epizodem; trudno jej będzie zapomnieć, ale robi to, bo jest nastawiona pozytywnie i zawsze chciała patrzeć przed siebie. A kara? Jak powinna go ukarać?

Tina nie wiedziała, czy lepiej będzie teraz zrobić kolację czy czekać, aż Jordi wróci z narady. Jordi i Maite, intelektualista i dyrektorka, niezła para oszustów i cudzołożników, którzy po zakończeniu zebrania będą zwlekać z wyjściem tak długo, aż zostaną sami w ciemnym budynku. Jeżeli Jordi po powrocie zastanie ją w kuchni, nie będzie miała odwagi wygarnąć mu tego, co miała do powiedzenia, bo o takich sprawach nie rozmawia się przy garach, tylko siedząc wygodnie w salonie, a wtedy ona zacznie Jordi, wiem o wszystkim, okłamujesz mnie, zdradzasz mnie z jakąś kobietą, spotykacie się co tydzień w pensjonacie w Ainet, zawiodłam się na tobie, jestem smutna i chce mi się płakać; przecież ja jeszcze jestem całkiem do rzeczy jako kobieta, trzy kilo nadwagi, ale całkiem nieźle się trzymam, Jordi, czy ty tego nie dostrzegasz? to tobie rośnie brzuch, ale mnie się podobasz, Jordi, z brzuchem czy bez, czemu z ciebie taki skurwiol, żeby mnie zdradzać, czy nie umówiliśmy się, że jesteśmy honorowi, Jordi? Tak, lepiej w salonie niż w kuchni. Ciągle głaskała po głowie doktora Żywago i mimo woli myślała, że tamci pewnie już zostali sami w budynku szkoły; wszyscy natychmiast się zmyli... Jeżeli nie, to dlaczego jeszcze nie wraca. Jeżeli to jest Maite. Z kim mnie zdradzasz, Jordi? Znam ją? Maite mnie popamięta, jeśli to ona.

Odczekała kolejny kwadrans, już czuła głód, ale nie chciała ruszyć się z miejsca, wolała, żeby Jordi zastał ją właśnie w tej pozie, czekającą na niego, gotową na wyjaśnianie ciemnych punktów w ich życiu. Przyciągnęło jej wzrok pudełko cygar, które zostawiła na stoliku. Otworzyła cztery zeszyty Oriola Fontellesa. Mimo własnego cierpienia Tina miała w uszach słowa Oriola córeczko, mój list jest jak światło gwiazd, dotrze do twoich oczu wiele lat po mojej śmierci. Koniecznie trzeba pisać, na przekór śmierci, to takie okrutne pisać, kiedy śmierć przysłania ci jakikolwiek blask nadziei. To musiało być wtedy, kiedy czekała na Jordiego, wtedy zrozumiała, że Oriol Fontelles desperacko pisał, żeby odebrać śmierci prawo ostatniego słowa.

Zauważyła napięcie doktora Żywago: zawsze wyczuwał Jordiego, zanim jeszcze znalazł się na schodach. Zeskoczył z kolan Tiny i pobiegł do drzwi. Chyba miał wyrzuty sumienia, że to robi, spojrzawszy kątem oka na Tinę i podniósł ogon, próbując powiedzieć bardzo mi przykro, ale właśnie nadchodzi Jordi, nic na to nie poradzę. Usiadł przed drzwiami, a Tina pomyślała obyśmy się kochali, ty i ja, tak jak nas kocha Jurij Andriejewicz.

– Cześć, Jura – powiedział w progu Jordi, podczas gdy doktor Żywago ocierał się bezszelestnie o nogawki jego spodni. Zauważył Tinę siedzącą w fotelu i zwrócił uwagę na dziwny wyraz jej twarzy. – Co jest na kolację?

– Nic nie przygotowałam. Jak ci poszło?

– Dobrze – westchnął. – Jestem wykończony.

Zostawił kurtkę na wieszaku i podszedł do żony. Pogłaskał ją po głowie, coś w stylu cześć, Tina, i zmęczony opadł na fotel doktora Żywago. Tina poczuła dreszcz pod wpływem pieszczoty Jordiego, a doktor Żywago wskoczył mu na kolana, gotów go bronić.

Jordi, odkryłam, że mnie zdradzasz, co środę wychodzisz na zebranie związku nauczycieli, żeby spotykać się z jakąś kobietą w pensjonacie w Ainet, wiem o wszystkim, przestań udawać, oszuście, kim jest ta kobieta? Dlaczego jesteś taki fałszywy?

– Idę przygotować kolację – powiedziała. – Została zupa z obiadu.

– Świetnie – odpowiedział Jordi i relaksując się, zamknął oczy, głaszcząc miękki kark doktora Żywago. Otworzył je ponownie, kiedy dotarło do niego, że Tina nie ruszyła się z miejsca. zaproponował: – Jeśli chcesz, mogę usmażyć jajecznicę.

– Doskonale.

Zawsze stanowili zgraną parę, Tina i Jordi. Oczekała, aż mąż będzie miał ręce zajęte przy kuchni i siedząc nadal w fotelu ze wzrokiem wbitym w ścianę, bo czuła wstyd, zapytała jak się udało zebranie, co?

– Phi. Ròdenes się rozchorował.

– Będziecie musieli znów się spotkać?

– Tak, na pewno.

Ty obłudniku, taki synu, który okłamujesz własną żonę w obrzydliwy sposób, starym, wyświechtanym kłamstwem, niewyszukaną wymówką wszystkich facetów, którzy robią skok w bok, to wstrętne, co za bagno, a ja myślałam, że nam się to nigdy nie przytrafi, bo nasza miłość jest szczerą, a my jesteśmy honorowi.

– Jedliście coś?

– Takie tam przekąski.

Tina wstała i weszła do kuchni. Oparła się plecami o drzwi, nie mając zamiaru pomagać w przygotowaniach. Nie patrzyła na niego: – Dużo osób przyszło?

– Sześć czy siedem. Całkiem sporo.

Ty obłudniku. Sześć czy siedem! Dwoje: ty i ona, ona i ty, zebranie w łóżku, oficjalne rozpoczęcie, dyskusja na temat wprowadzania reformy nauczania w rejonach wysokogórskich, ona rozkładała nogi, a ty pieściłeś jej piersi tak delikatnie, jak wtedy, gdy pieścisz moje. Gdy pieściłeś moje. Ona. Kim jest? Z jaką kobietą mnie zdradzasz, jak mogło do tego dojść? A nasze poczucie honoru?

Kolację zjedli w milczeniu. Niemożliwe, żeby Jordiemu nie dała do myślenia ta cisza. Absolutnie niemożliwe, jaśniej nie da się tego wyrazić. No, tak. Jest

inny, bardziej bezpośredni sposób. Słowami.

– Idę spać – oświadczyła, zamiast szukać słów.

Jesteś żaloszna; nie potrafisz zdobyć się na odwagę, żeby zadać proste pytanie dlaczego mnie zdradzasz, Jordi, ty skurwysynu, i zaspokoić tę niezdrową ciekawość z kim. Pewnie po to, żeby porównywać: co takiego ona ma, czego mi brakuje, czy ja mam coś, czego ona nigdy mieć nie będzie, jest młodsza czy starsza, na pewno jest szczuplejsza ode mnie, znam ją, nigdy jej nie widziałam. Dlaczego mnie się to przytrafiło? Dlaczego, przecież się kochaliśmy? Dlaczego, o mój Boże, przecież byliśmy tacy honorowi...

– Ja też już się zbieram – powiedział Jordi.

Przynajmniej weź prysznic, ty świni. Teraz jest odpowiedni moment, żeby mu powiedzieć nie masz czego szukać w tym łóżku. Nie odezwała się ani słowem. Patrzyła, jak Jordi się kładzie i po dziesięciu minutach równo, spokojnie oddycha, jak człowiek z poczuciem honoru, podczas gdy ona leżała z szeroko otwartymi oczami i ciągle nie mogła uwierzyć, że to się im przytrafiło. Zasnęła dopiero o wpół do czwartej i śniły się jej koszmary. Co mówiłeś, Sergi?

– Nie umiem znaleźć Hongkongu.

Hongkong. Sergi Rovira z domu Ros nie umie znaleźć Hongkongu na mapie Azji. Poważna sprawa: nie wiedzieć, gdzie leży Hongkong. Teraz, kiedy już przerobili Chiny, to niedopuszczalne, by Sergi Rovira z domu Ros szukał Hongkongu w Japonii. O czym ten chłopiec myśli? O czym myślał Sergi Rovira, kiedy mówiła im, że to terytorium, jeszcze do niedawna brytyjskie, teraz znów należy do Chin w myśl zasady jedno państwo, dwa ustroje; nie można być szczęśliwym, kiedy zdrada odbiera ci sen, czyżbyś nie wiedziała, że marzeń i snów nie da się retuszować, że jak raz się na nich zawiedziesz, już nigdy nie będziesz im ufać.

– Proszę pani, czemu pani płacze?

Otarła łzy chusteczką, spłoszona, i powiedziała to nic, nigdy wam się nie zdarzyło, że łzawią wam oczy, na przykład kiedy coś was szczypie?

– Jak się kroi cebulę. Też płakałem.

– I ja.

– Ja też.

– No właśnie, masz rację, Alba. Ja teraz tak się czuję, jakbym kroїła cebulę przez całą noc.

Podczas długiej przerwy Maite zawołała ją do biblioteki, żeby pokazać materiał na wystawę. Z boku Joana katalogowała książki i wszystkie przybory szkolne przeznaczone do ekspozycji: od gumki marki Ebro po pojedynczą różową kredkę z kompletu Alpino. Maite wzięła do ręki starą książkę ze stosu leżącego na środkowym stole.

– Te podręczniki, które przywiozłaś z Toreny – odezwała się Joana, nie odrywając wzroku od fiszek – są genialne. Wydane w roku czterdziestym

drugim i czterdziestym piątym.

– Dobrze, że Tina je przywiozła.

W tym momencie Tina uświadomiła sobie, że już od wielu godzin nie myślała o Oriolu Fontellesie i jego zeszytach.

– Powinnaś przekonać Jordiego – mówiła dalej Maite – żeby powiedział parę słów na wernisażu.

– Przecież ty tu jesteś dyrektorką.

– Nie wychodzą mi publiczne wystąpienia.

A jeżeli to ona? Jeżeli tą nielojalną koleżanką jest Maite? Wierna przyjaciółka, pracowita, ale niezbyt wybredna w doborze facetów do łóżka? Może tak być? Może tak być. Czyli jeszcze na dodatek teraz każe jej namówić Jordiego... Co za hipokryzja.

Spojrzała jej prosto w oczy, a Maite odpowiedziała szczerym uśmiechem. Czy stać by ją było na taki chłód, taki cynizm? Maite odłożyła książkę na stół i otrzepała ręce z kurzu.

– To jak będzie? Pogadasz z nim?

A jeśli to nie Maite? Jeśli to jakaś nieznajoma kobieta?

– Słuchaj, Maite, nie mogę ci niczego przyrzec.

– On zawsze robi, co mu każesz – stwierdziła dyrektorka poufałym tonem.

Leżąc z szeroko otwartymi oczami do wpół do trzeciej nad ranem, Tina zastanawiała się, jak się zasypia u boku niewiernego męża, nielojalnego oszusta, po czym wstała, przekonana, że bolesny smutek już nigdy nie da jej odpocząć, i po cichutku wymknęła się do ciemni. Po raz pierwszy od kiedy urządziła ją w małej łazience, przy entuzjastycznym aplauzie Jordiego i obojętnym milczeniu Arnaua, zamknęła drzwi na klucz. Poczowała się obco we własnym domu. Zaczęła pracować, mimo że ze zdenerwowania drżały jej ręce, ale skoro nie mogła spać, czemu nie miałyby się tym zająć.

Kiedy wieszala wywołane mokre zdjęcia, zrozumiała, że nie pomógłby nawet teleobiektyw. Na wszystkich fotografiach widniał Jordi i jego szerokie, niegdyś szlachetne, niegdyś kochane czoło; Jordi, jak wychodzi z pensjonatu, patrząc przed siebie, jak obejmuje kobietę w pasie albo bierze ją w ramiona, jak coś do niej mówi. A kobieta, ukryta w kurtce z kapturem, była tylko nieodgadnionym cieniem, mrocznym, bez znaków szczególnych, czegokolwiek, co mogłoby podsunąć jakiś trop. Kobieta, która ukrywa się w ciemności. Należało zrobić zdjęcie z fleszem, ale wtedy zauważyliby ją i jej Citroëna i przeżyłaby upokorzenie zdemaskowanego szpiega. Jordi natychmiast podszedłby ze słowami to nie to, co myślisz, Tino, naprawdę, tylko zebranie wcześniej się skończyło i... no wiesz, wpadliśmy się czegoś napić, znacie się? chcesz, żebym ci ją przedstawił?

– On zawsze robi, co mu każesz – powtórzyła Maite, ta zołza.

A więc tak ich postrzegali ludzie. Dlaczego tak bardzo się mylili? Dlaczego prawdę znał tylko doktor Żywago?

Joanie wypadła książka z rąk. Schyliła się, przeciągnęła po niej dłonią, jakby chciała ją oczyścić, i spojrzała na Tinę: – Słyszałam, że zrobiłaś zdjęcie starej szkoły w Torenii.

– Tak. Jeszcze nie zdążyłam go wywołać, a szkoła już nie istnieje.

– Straszne.

– Tak. Tempus fugit jak zwariowany.

– Zrobisz dla nas odbitkę? Na wystawę...

– Tak, jasne. Możemy sfotografować przed i po.

A jeżeli kobieta na zdjęciu to Joana? Dyskretna sekretarka, poważna, ale zawsze żądna przygód. Pasuje, jeszcze jak. O mój Boże, chyba zwariuję, dlaczego nie umiem się zachowywać z godnością, dlaczego jestem zazdrosna, dlaczego jestem wściekła i czuję się upokorzona, brudna jak ścierka, nie mogę spać i nie mogę przestać myśleć, co zrobiłam nie tak, dlaczego ten szlachetny i lojalny Jordi zdradza mnie w ten sposób. Nie, Joana nie: może Dora albo Carme. Albo Pilar. Może Agnès, która jest... No dobrze, nie wiem. Carme całymi dniami opowiada pieprzne dowcipy, jak mężczyzna. Nie, raczej Dora, taka młoda... Ale wydaje mi się, że Dora jest za niska. Skąd mogę wiedzieć...

– Pani Tino, czy pani mnie słyszy? Powie mi pani, gdzie jest Hongkong, czy mnie pani olewa?

– Il faut tenter de vivre – odpowiedziała. Dzieci popatrzyły po sobie, zdziwione i rozbawione, nagle onieśmiałone jej zachowaniem. Spojrzała na uczniów nieobecny wzrokiem. – Le vent se lève, tak – dokończyła.

– Pani Tina mnie olewa.

Ekspres z Szanghaju majestatycznie opuścił stację. Osie kół lokomotywy, dokonując tytanicznego wysiłku, wprawiły w ruch ciężką, potężną lokomotywę, która ciągnęła dwa luksusowe wagony.

W tym samym czasie pani Elisenda zdjęła łańcuszek z krzyżykiem i schowała go w szkatułce z kości słoniowej, a następnie otworzyła drzwi od podwórka, żeby wpuścić Quique, który wchodził po kryjomu jak kłusownik, i tylko Bibiana, która znała wszystkie westchnienia w całym domu, parząc sobie rumianek, pomyślała biedna panienska.

Quique poczuł, jak mu się ściska gardło na widok pani Elisendy w czarnej, długiej sukni, którą tak lubił. Ucisk w gardle brał się stąd, że jego romantyczne nastroje ona zawsze uciniała, wydając mu kategorycznym tonem rozkazy, i dodawała nie zwracaj sobie głowy i nie myśl o głupotach: przyszedłeś tu, żeby mnie zerznąć i nic więcej. Więc bierz się do roboty, za to ci płacę. Raniło go ostrze ukryte w tych słowach. A płaciła faktycznie dobrze. Bardzo dobrze. Elisenda zdejmowała długą suknię, rozkładała nogi i prezentowała przed atletycznym, opalonym kochankiem swoje sekrety, jakby jej się spieszyło, jakby z niewiadomego, tajemnego powodu oboje musieli wspólnie odprawić jakiś uciążliwy rytuał. Nigdy, podczas żadnej z tych grzesznych nocy, Quique nie widział uśmiechu na jej twarzy. Nigdy. Natomiast jej namiętne krzyki utwierdziły go w przekonaniu, że jako kochanek nie ma sobie równych. Ale żeby dostrzec wściekłość zawartą w tym krzyku, Quique musiałby najpierw ściągnąć okulary słoneczne. Nie miał pojęcia, co i jak się wydarzyło. Nie wiedział, że pani Elisenda pragnęła z całych sił, by życie powtórzyło się od tego momentu, kiedy uciekła do Burgos, w towarzystwie Bibiany, która nie chciała zostawić jej samej, z walizką wypełnioną zemstą.

– Już doszłaś?

– Nie. Dziś jeszcze nie...

– Cholera.

Po raz pierwszy Quique poczuł zawód. Zwykle funkcjonował jak maszyna, która niezawodnie spełnia wszystkie oczekiwania.

Ekspres z Szanghaju wesoło parł przed siebie, mijając pola uprawne i most, prawdziwe dzieło sztuki brytyjskiej inżynierii, nad głęboką rzeką, po czym wjechał do pełnego tajemnic tunelu, zostawiając za sobą przygaszony, bardzo słaby dźwięk triumfalnego gwizdka.

– Nie wiem, co dziś ze mną nie tak... – Quique usprawiedliwiał się zawstydzony.

Zadziwiająco delikatnie ujęła jego członek w dłonie i z dużą znajomością rzeczy przywróciła go do życia, co zakończyło się zadowolającym wytryskiem. Z wdzięczności młodzieniec podarował jej kolejny orgazm przyjęty krzykiem, lecz nie rozkoszy, tylko furii, bo przypomniał jej, że miłość jest niemożliwa. Bibiana, siedząc w swoim pokoju z filiżanką rumianku, przeżegnała się i westchnęła biedna panienska, taka ładna, taka bogata i taka smutna, ciągle za nim tęskni, bo Bibiana pozbyła się wszystkich swoich cierpień, przejmując się wyłącznie cierpieniami panienski, i dlatego rozumiała udręki duszy pani Elisendy Vilabré.

Dokładnie w momencie kociego wrzasku pani Elisendy ekspres z Szanghaju wziął zakręt z nadmierną prędkością. Ten zakręt tuż pod oknem. Pojazd wypadł z torów i runął na ziemię, przewracając ośnieżone sosny, z których jedna wyleciała w powietrze tak łatwo, jakby była wykałaczką. Dwa luksusowe wagony leżały nieruchomo w żalnym stanie w poprzek torów; kręciły się jeszcze koła. Marcel nawet nie próbował interweniować. Oczywiście widział, że wykoleiła się jego ukochana lokomotywa, ale on w tym czasie onanizował się ze łzami w oczach, nie pojmując sensu krzyków, które przypominały kocie wrzaski. Gdyby pani Elisenda wiedziała, że dzięki cudom architektury jęki z jej pokoju doskonale słychać na strychu, może by się zastanowiła przed podjęciem decyzji o przeznaczeniu pomieszczeń na górze na dziecięcy pokój, z elektrycznym pociągiem i innymi bajerami, z niemieckim gramofonem, stojakiem na narty, miejscem na buty narciarskie i dodatkowym łóżkiem, na wypadek gdyby odwiedził go jakiś kolega.

– Z internatu nikt nie przyjedzie, a miejscowi nie zostaną tu na noc.

– Nie chcesz tej leżanki?

– Uważasz, że Xavi Burés będzie tu nocował, skoro mieszka naprzeciwko?

Zdecydowała się na przebudowę strychu, żeby pocieszyć Marcela po nagłej śmierci ojca.

– Mamo, nie chcę wracać do szkoły.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– To syf. Wolę mieszkać tutaj.

– Trzeba ci wyparzyć buzię. Nigdzie cię tak dobrze nie wykształcą jak tam.

– Mógłbym chodzić do szkoły w Torenie.

– Nie-ma-mo-wy. Koniec dyskusji. A jak przyjedziesz do domu, będziesz miał całą górę do dyspozycji.

Quique szybko się ubrał, żeby skrócić niezręczność oschłego finału. Odprowadziła go do kuchennych drzwi, a kiedy została sama, siadła w salonie w nocnej koszuli i ze szkatułką z kości słoniowej w dłoniach. Zbierało się jej na płacz, czuła się upokorzona. Jak na ironię, z odległej przeszłości powracały do niej dawne przestrogi matki Venàncii, która zawsze powtarzała, że czystość jest największym skarbem kobiety, panno Elisendo Vilabré, celujący z arytmetyki,

celujący z geografii, celujący z łaciny i zero z czystości, matko Venàncio, a to wszystko z powodu nieszczęścia.

– Na ogół, moje dziecko, kobiety nie czują silnego pożądania.

– Myślę, ojcze, że potrafiłabym się obyć bez seksu.

– To już naprawdę nic z tego nie rozumiem, córko – spowiednik zamilkł, skonsternowany. Ulicą Llúria przejeżdżał właśnie hałaśliwy tramwaj i w ciemnym konfesjonale na moment zapanowała cisza.

– Sama nie wiem. To taka potrzeba... Chcę pokazać, że... Nieważne.

– Ważne, słucham cię, córko.

– Nie, nie, nic.

– Dlaczego nie wyjdiesz ponownie za mąż?

– Nie, nigdy więcej. Przeżyłam wielką miłość i obiecałam sobie, że nigdy więcej nie wyjdę za mąż.

– Więc dlaczego zadajesz się z mężczyznami?

– Z wściekłości.

Następny tramwaj. Spowiednik przeciągnął ręką po policzku, który o tej porze dnia już nie był całkiem gładki. Zastanawiał się, co powiedzieć.

– Nie rozumiem cię, moje dziecko.

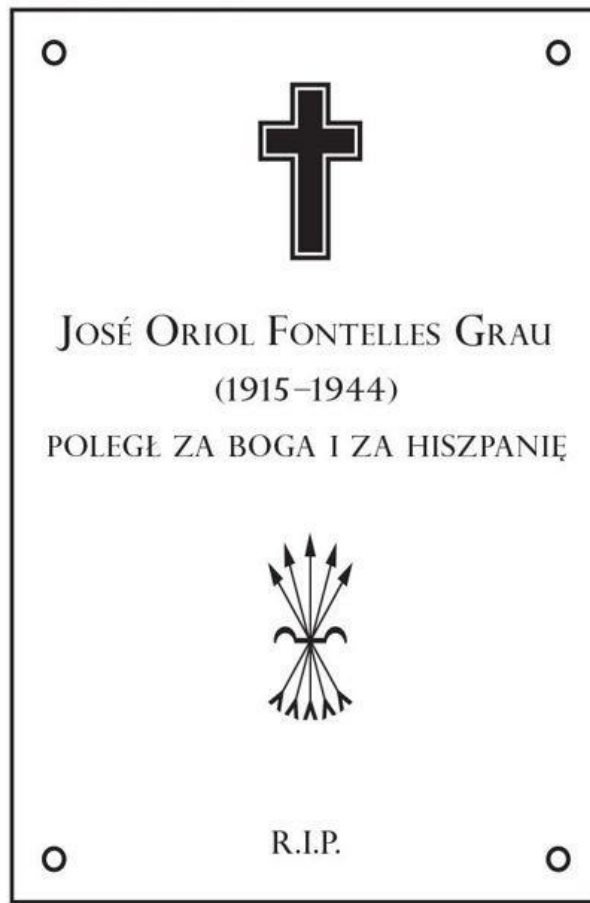
– Wolałabym, żeby sprawy nie potoczyły się tak, jak się potoczyły.

– Tak... – Długa chwila refleksji. – Zastanawiałaś się może kiedyś nad chrześcijańską cnotą rezygnacji?

– Czy może mi ojciec udzielić rozgrzeszenia?

Zanim poszła do sypialni, zupełnie rozbudzona, przesunęła dłonią po zdjęciach na serwantce, jakby chciała zrobić szybką powtórkę ze wszystkich swoich miłości i nienawiści. Zgasła światło w salonie. Przez szczeliny żaluzji sączyła się słaba poświata mroźnego księżyca.

Bibiana, od kiedy żyła w duszy jaśnie pani i potrafiła jednym spojrzeniem odgadnąć jej myśli, pociągnęła ostatni łyk smętnego rumianku i też zgasła światło w swoim pokoju.



Wiesz, synu? Cmentarze w małych miejscowościach zawsze mi się kojarzyły ze zdjęciami rodzinnymi, z których nie możesz się wycofać: wszyscy się znają i wszyscy pozostają nieruchomi; jeden obok drugiego już na zawsze, każdy zatopiony w swoich marzeniach. Nawet nienawiść gubi drogę w takim bezruchu. Nie myśl sobie, gdyby to ode mnie zależało, nigdy bym nie grawerował tego nagrobka, mimo że to twój nauczyciel. Nie podoba mi się, że muszę utrwać w kamieniu pamięć mordercy. Ale czasem musimy robić coś, co nie jest po naszej myśli, tak jak teraz: poległ za Boga i za Hiszpanię i współwinny zbrodni, o której zawsze będziemy pamiętać. Równy wymierzyłem, co?

– Tak.

– Widzisz? Tu zamarkuję główkę gwoździa.

– Po jednej z każdej strony.

– Bardzo dobrze, synu. Wkrótce będziesz wiedział więcej niż ja. Nauczyciel nie zasługuje na takie ceregiele, ale nie umiem pracować byle jak. Tak, widzisz?

– Tak. Ojczy, pozwól mi wyszlifować płytę.

– Nauczycielu spod ciemnej gwiazdy, narobiłeś więcej zła niż sam pan Valentí, bo tamten przynajmniej niczego nie udaje. Wyrzuc go z pamięci, Jaumet. Nie mów nikomu, o czym tu dziś rozmawialiśmy. Amen.

II

Imiona na ziemi

Talitha kum.

EWANGELIA WEDŁUG ŚW. MARKA, 5,41

Gdyby nie fakt, że dzień należy do wyjątkowych, ksiądz Rella już dawno przegoniłby gdzie pieprz rośnie z pół tuzina swoich owieczek, które przez całą podróż – dwa dni zwiedzania Rzymu i nawet w dniu uroczystości – bez przerwy krytykują organizację pielgrzymki, czyli organizatorów, czyli księdza biskupa, niby półgębkiem, ale tak, że on dobrze słyszał to owcze beczenie. A najgorsza jest Cecilia Báscones, niech Bóg mi wybaczy, ale im starsza, tym więcej ma energii. Mój Boże, jak ciężko jest okazywać miłosierdzie wszystkim owieczkom z bożej owczarni, zwłaszcza tej Báscones, która już trzeci raz podczas ich pobytu w Rzymie rzuca niby od niechcienia komentarz, w obecności zaprzyjaźnionych kumoszek, że to jej one wszystkie zawdzięczają wyprawę do Wiecznego Miasta. Ksiądz Rella musi się bardzo starać, żeby nie okazywać niechęci, jaką budzą w nim jego owieczki, zwłaszcza te kobiety, które teraz uśmiechają się do niego, bo napawa je dumą perspektywa imponowania wszystkim po powrocie, że zostały wpuszczone do prywatnych apartamentów watykańskich wejściem zarezerwowanym dla wyjątkowych gości, takich jak my. A ten gwardzista szwajcarski, niczego sobie, tak między nami. Pewnie niewiele by zwojował tą swoją lancą z mosiądzu, ale jakie ma piękne oczy, akurat jak mój wnuk. I jeszcze odźwierny, który nas wpuszcza do środka. Niestety, ten dureń, ksiądz Rella, nic tylko nas liczy, jakbyśmy byli stadem baranów czy uczniami na wycieczce szkolnej.

– Quarantanove e txinquanta – podnosi głos pasterz owczarni. Odźwierny nie odwdzięcza mu się ciepłym uśmiechem za tę próbę mówienia po włosku. Co to ich obchodzi, tych wszystkich facetów.

Grupa złożona z dwunastu byłych falangistów z długim stażem emeryckim, każdy z małżonką, pięciu burmistrzów różnych orientacji politycznych i barwnej reprezentacji kilku diecezjalnych rad parafialnych zostaje porzucona na pastwę losu w korytarzu tak szerokim, że można by w nim urządzić bale, ozdobionym freskami w górnej części, tworzącymi fryz na całej długości i wypełniającymi przestrzeń pomiędzy okrągłymi oknami. I jeszcze ogromny obraz przedstawiający świętego Józefa z rozkwitającą różdżką. Na drugim końcu korytarza inna grupa, podobna do nich, porozumiewa się nie wiadomo jakim językiem, zdaniem pana Guardansa, chyba rosyjskim.

– Tego świętego Józefa chyba żółć zalewa.

– Faktycznie, na to wygląda. Chyba mu się podniósł poziom bilirubiny. Mogę się założyć, że powodem żółtaczką tego świętego jest nadmierna hemoliza erytrocytów.

– O cholera.

– Jesteście państwo pewni, że to święty Józef?

– Pół tonu ciszej – mówi ksiądz, który zaczyna mieć już tego dość.

– Niech ksiądz zapyta, czy jest tu gdzieś łazienka.

– Musi być.

– Nie odzywaj się. – Do księdza: – Może ksiądz zapyta?

Ksiądz stoi tyłem, niezadowolony, żeby nie dać po sobie poznać rozdrażnienia. Oczywiście osobą, która musi natychmiast zrobić siusiu, jest pani Báscones, skaranie boskie. Ksiądz się rozgląda, ale dostrzega tylko znudzoną zbroję podpierającą ścianę tuż za grupą rosyjską.

– Chyba o nas nie zapomnieli, co?

– Mam nadzieję, że nie. Przebyć taki kawał drogi, żeby człowieka zamknęli w jakimś korytarzu razem z Rosjanami...

– Czy oni przypadkiem nie wyznają innej religii?

– Moje panie, proszę o spokój.

Najpierw cicho, potem coraz głośniejszym nad rejwachem niezadowolonych głosów wybija się stukot obcasów, roztaczając magiczną aurę bezsprzecznego autorytetu. Powoli szum milknie. Widać, że wszyscy nasłuchują tych kroków, które zbliżają się nie wiadomo skąd, bo w tym ogromnym gmachu echo roznosi się we wszystkich kierunkach. Nagle zza rogu tuż za grupą wyłania się młody człowiek, zaskoczony i ucieszony, że ich tu znalazł, i z uśmiechem zwraca się do pierwszej z brzegu osoby, zachęcając gestem, żeby iść za nim. Ksiądz Rella, nie chcąc stracić autorytetu w oczach grupy, wysuwa się naprzód, podchodzi do młodzieńca i podaje mu rękę. Tamten przyjmuje ów gest ze zrozumieniem. Ale ksiądz ma problem do rozwiązania, więc pyta łazienka?

Mężczyzna patrzy na niego zdziwiony.

– Toilette, gabinetto – próbuje dalej ksiądz.

Teraz dociera do młodzieńca, o co chodzi. Zatrzymuje się, bo właśnie stoją przed gabinetto, pół godziny przerwy, nie zdejmować plecaków, nie pić za dużo wody, można usiąść, ale nie wolno się kłaść, można podziwiać otoczenie. Na drugi raz niech im zorganizuje pielgrzymkę święta Rita, zarzeka się ksiądz.

Teraz podchodzą do nich ci Rosjanie czy kim oni są, reagując na nagłe poruszenie. Obie grupy niebezpiecznie się mieszają i jeden z tamtych na pytanie zadane po angielsku przez Guardansa, najbardziej obytego z nich wszystkich, protestuje, skądże znowu, wziął nas pan za Rosjan? Niestety, nie może się podzielić z pozostałymi tą rewelacją, bo przeważająca część obu grup z westchnieniem ulgi oddaje się właśnie opróżnianiu przepełnionych pęcherzy.

Na końcu ulicy Głównej, obecnie Joségo Antonia, znajdował się dom Gravat, wzniesiony, jak głosił napis wyryty na nadprożu, w tysiąc siedemset trzydziestym pierwszym roku. Wybudował go Joan Vilabrú i Tor w miejscu należącego do jego rodziny gospodarstwa Gravat, kiedy zdecydował, że praca i dom to dwie różne sprawy. W gospodarstwie Padrós, gdzie mieszkali dotychczas, zostawił zarządcę, administratora, wszystkich parobków, do ostatniego popychadła włącznie, maszyny, narzędzia, siano, ziarno, gzy, smród, gnój, muły, cielaki i cały żywy inwentarz, i urządził nowy dom na taką rezydencję, jakie widywał w Barcelonie, dokąd się wybrał, żeby odkupić tytuł od zrujnowanego barona z Malavelli; w wyniku tej operacji powiększył ogromny majątek rodzinny o parę grządek i dołączył do towarzystwa drobnej szlachty. Jeden z jego synów, który potraktował poważnie awans na barona, szukał szczęścia w Barcelonie i na Minorce, ale w końcu docenił bezpieczeństwo swojskiej doliny, przekonany, że rodzina potrafi się wzbogacić, zajmując się tym, co zawsze: kupowaniem i sprzedawaniem bydła, upłynnianiem nadwyżek siana zebranego na ich polach, handlem wełną, obrotem gruntami, inteligentnym wykorzystaniem tego, co dzięki uwłaszczeniu dóbr kościelnych Historia serwowała im na tacy; nasłuchiwaniami, skąd wieje wiatr, żeby ubiec innych i pochwycić w lot każdą użyteczną informację, odstępując zarządzanie gruntami ludziom w najwyższym stopniu godnym zaufania tylko wtedy, gdy dosłownie żaden Vilabrú nie mógł się tym zająć osobiście. Od tego czasu posiadłość Gravat rosła wzdłuż i wszerz. W tysiąc siedemset osiemdziesiątym roku na ścianie frontowej pojawił się wykonany techniką sgraffito wspaniały, sławny w okolicy mural przedstawiający powtórzoną trzykrotnie na płaszczyznach oddzielonych balkonami tę samą, dobrze zbudowaną kobietą postać symbolizującą czas żęcia traw, postrzyżyny owiec i redyk stad na idylliczne uroczyska. Gdyby było więcej miejsca, potomkowie Joana Vilabrú w czwartym pokoleniu mogliby dodać do tego inne sceny, też idylliczne, przedstawiające długą karawanę przemytników zmierzających z towarem w kierunku przełęczy Salau, ponieważ w XIX wieku sporo grosza do kiesy rodziny Vilabrú wpadło dzięki dobrym układom z bandami przemytników. Żeby korzystnie handlować z kupcami z Arieja czy z Andory, wystarczyło dać w łapę karabinierom ze straży pogranicza, umiejętnie rozparcelować towar i w żadnym razie nie dać się przyłapać władzy na gorącym uczynku. Wreszcie nadeszły czasy świętej pamięci Marcela Vilabrú (1855–1920, mąż opatrzniościowy Toreny, R.I.P.), który, kiedy tylko zakończyło się

szalone awanturnictwo Pierwszej Republiki, lojalnie zaczął współpracować z przywróconą do łask monarchią, i żeby szacowna rodzina Vilabrú rzeczywiście nie tylko budziła grozę, ale i szacunek, zdecydował, że drugi syn, August, zostanie księdzem, a najmłodszego wysłał do Akademii Wojskowej. Kiedy ci synowie już się ustawili, zmarł najstarszy, ten, który miał zostać dziedzicem, Josep (Josep Vilabrú, 1876–1905, nasz nieodżałowany syn, R.I.P.), i ojciec wybudował rodzinny panteon na cmentarzu w Torenio, wydając fortunę na uporządkowanie całej tej poświęconej ziemi. Zawistnicy twierdzą, że pan Marcel na dobrą drogę wkroczył pod przymusem, kiedy na przełomie wieków pojawili się przemysłowcy odważni i nieobliczalni, świetnie zorientowani w terenie, znający wszystkie drogi, ścieżki i bezdroża, kryjówki, spichlerze i pastery, których już nie satysfakcjonowało pośredniczenie i zaczęli handlować na własną rękę.

Gdy otwierały się drzwi domu Gravat, człowiek od razu znajdował się w innym świecie, otaczała go inna atmosfera, specyficzne zapachy, przytłumione dźwięki i trzy służące, podwładne starej Bibiany, które bez przerwy ścierały kurze i walczyły ze smrodem przenikającym do środka przez tysiące szczelin. Drzwi po prawej stronie holu prowadziły do wielkiego salonu przeznaczonego dla gości. W przestronnym salonie stały trzy solidne fotele, sofa i dwuosobowa kanapka chippendale, kominek, w którym ogień palił się przez całą zimę, nad kominkiem półka pełna bibelotów, dwa lustra zachowujące w tajemnicy to, co widziały, oraz olejny portret dziadka Marcela. Tuż obok drzwi wisiał duży ścienny zegar, z tego samego kompletu co reszta mebli, który co godzinę głębokim, szlachetnym tonem przypominał domownikom, że czas ucieka i nie wraca. Na prawo od zegara, tuż przy balkonie, stała komoda z szufladami pełnymi dokumentów potwierdzających, że w tym domu od jedenastu pokoleń rodzina Vilabrú zarabiała pieniądze i powiększała swoje włości. Na komodzie wyeksponowano osiemnaście zdjęć, osiemnaście tajemnic bolesnych poświęconych tym dwom postaciom, których wspomnieniem oddychał cały dom i jego mieszkańcy. Jaśnie pan Anselm Vilabrú, w mundurze polowym ze stopniem kapitana, i dwójka dzieci, Josep i Elisenda, w atelier fotograficznym: Anselm Vilabrú z ciemnymi, nastroszonymi włosami, Josep ze spojrzeniem zagubionym we mgle i Elisenda zamyślona. Pewnie już w dzieciństwie chciała zdecydować o przyszłości świata. Fotografie rodzeństwa w różnym wieku. Elisenda jako podłotek, sama. Oriol przesunął palcem po ramce tego zdjęcia: ten sam doskonały owal, z idealnym nosem i żywym spojrzeniem. O tak, trudno będzie oddać te oczy. Na największym zdjęciu, na poczesnym miejscu, kapitan Anselm Vilabrú, już w cywilu, i jego najstarszy syn Josep jako młodzieniec *altius, citius i fortius*, zasiadający w ogrodzie domu Gravat, przy stole z serwisem do herbaty, wpatrywali się obaj w obiektyw z takim natężeniem, jakby w nim szukali tej odrobiny przyszłości, jaka im została w chwili

pozowania. Cztery dni temu kupili grunty w Boscose i jaśnie pan Anselm chciał zgarniać pieniądze pełnymi garściami, żeby zrekompensować sobie królewską niełaskę, czyli utratę praw do baronii w Malavelli, ale lada moment samowolna bojówka FAI^u z Tresp, którą dowodził nauczyciel Cid, wyciągnie ich obu z domu za uszy, aż na górę Sebastiana za cmentarzem, w środku dnia, a za tym, Bibiano, musiał stać Bringué i tamtych dwóch, jak im tam, no, jak im tam, to oni na nas donieśli, Bibiano, co tam mogli o nas wiedzieć w Tresp, to oni ich tu ściągnęli, Bibiano, przysięgam ci, że ta śmierć stanie im ością w gardle. Cicho siedź, dziecko jesteś. Bibiano, nie mam zamiaru milczeć.

I jeszcze kilka zdjęć o tematyce wojskowej. Na najwyraźniejszym z nich kapitan Anselm Vilabru w oficerskiej czapce z trzema gwiazdkami stał z zadowoloną miną obok dwóch Ryfeńczyków, którzy wyglądali na pokonanych, niczym myśliwy wpatrujący się w obiekt z nogą opartą o ustrzelonego jelenia. (Jak się dobrze przyjrzeć, dało się zauważyć, że obaj Marokańczycy trzymali ręce z tyłu, co poniekąd tłumaczyło zadowoloną minę kapitana Vilabru.) Josep wyjaśnił Elisendzie w tajemnicy, że nie widać rąk Ryfeńczyków, bo zostali związani, byli więźniami; po zrobieniu tego zdjęcia tato kazał ich rozstrzelać. On sam ich dobił, ale nikomu o tym ani słowa, nie przyznawaj się tacie, że wiesz to ode mnie, bo cię zabiję. I Elisenda zachowała to dla siebie, a teraz Oriol odstawił zdjęcie na miejsce, nie poznawszy jego sekretu. Dlaczego nie ma żadnego zdjęcia matki? – zastanawiał się. Czyżby pani Elisenda była sierotą? Jej mąż też nie zasłużył na zdjęcie?

Zegar oznajmił obojętnym tonem, że jest szósta po południu i że na zewnątrz zmierzcha.

– W tym miasteczku kryje się dużo skurwysyństwa, powinieneś o tym wiedzieć – zakomunikował mu pan Valentí Targa w dniu, kiedy podpisywał jego nominację na stanowisko nauczyciela w Torenio.

– Jestem nauczycielem i muszę pilnować swoich obowiązków, które...

– Jesteś nauczycielem i będziesz, kim ja ci każę.

Siedzący na krześle burmistrz podniósł głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Oriol stał przed nim i po raz pierwszy w obecności pana Valentína poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Nic nie odpowiedział, a burmistrz dał mu głową znak, żeby usiadł. Potem go oświecił, że kiedy ojczyzna tkwiła w marazmie rewolucji komunistycznej i separatystycznej, na którą odpowiedzią było Glorioso Alzamiento, opatrnościowe powstanie, tu, w Torenio, wydarzyło się coś bardzo poważnego.

– Co się wydarzyło?

Oriol wpatrywał się w ścianę za burmistrzem. Po prawej Franco w grubym polowym płaszczu, po lewej José Antonio z włosami natłuszczonymi brylantyną, w ciemnej koszuli, a na środku obłudna mina ukrzyżowanego, na

takim samym krucyfiksie jak w szkole.

– Ona woli o tym nie mówić: to jej ojciec i brat.

– Jaka ona?

Valentí Targa patrzył na niego zdziwiony. Po chwili ocknął się i wyjaśnił: – Pani Elisenda Vilabré.

Matowym głosem, jakby ciągle nie umiał zapanować nad emocjami, powiedział, że przyszli po nich dwudziestego lipca, że to była bojówka czerwonych i anarchistów z Tremp. Słyszałeś kiedyś o Máximo Cidzie? Nie? Nauczyciel, taki jak ty. A jednocześnie zbrodniarz. Zbrodniarz, którego załatwili jego własni ludzie i przez to straciłem okazję, żeby się z nim porachować.

– Pani Elisenda nic mi o tym nie mówiła.

– Często się z nią spotykasz?

– Nie. Złożyliśmy jej wizytę z Rosą. A dlaczego?

– Nie, nic.

– Faktycznie o tym nie mówi, ale ma zdjęcia. Zdjęcia brata i ojca.

– Nie wspomina o tym, bo chciałyby zamknąć ten rozdział.

Sięgnął po papierosa i przez chwilę palił w milczeniu. Wyłuskując z dymu wspomnienia, zaczął opowiadać założyli im sznur na szyję i ciągnęli aż na ugór Sebastiana. Pan Vilabré zmarł po drodze. Ale Josep, biedny chłopiec, jeszcze żył, więc go oblali benzyną. Dodał, że współnikami tej zbrodni są ludzie z miasteczka.

– Tak pan uważa?

– Trzech morderców i parę tuzinów ludzi, którzy nie kiwnęli nawet palcem. Bringué, Gassia, ci z domu Maria del Nasi...

Teraz Oriol, stojąc przy oknie w domu Gravat, patrzył, jak światło powoli dogasa, ustępując miejsca nocy i z niewiadomej przyczyny ogarnęła go melancholia. I właśnie w tym momencie zabłysło słońce, bo pojawiła się pani Elisenda, coraz piękniejsza. Uśmiechała się nieśmiało, ale Oriol zwrócił uwagę, że od razu szybko obrzuciła go wzrokiem, żeby sprawdzić, czy przyniósł przybory do malowania.

– Jak mam usiąść? – zapytała, nie mogąc się doczekać.

Oriol poczuł, że ma niebo w zasięgu ręki. Niebo w postaci ramienia pani Elisendy. Jak to możliwe, że ta kobieta, mimo swojej młodości, wygląda jak bogini, a mnie się płacze język i nie umiem powiedzieć proszę usiąść tu, na tym krześle, trochę w tę stronę, do mnie, o tak.

Elisenda założyła brylantowe kolczyki, rzucające iskry przy każdym, nawet najmniejszym poruszeniu głową i oślepiające Oriola, który właśnie wydusił z siebie wyznanie, że nie jest malarzem, tylko rysownikiem.

– Portret, który pan namalował Rosie, jest doskonały.

– Dziękuję.

Oriol czuł się oszołomiony, tym bardziej że teraz zaczęła do niego docierać czarodziejska aura tej kobiety, mieszanka świeżego, delikatnego zapachu perfum i czystego ciała. Zapach nardu, powiedziała Rosa, nie podejrzewając, że śnił o nim przez dwie noce.

Rozkładał tubki z farbą, paletę i pędzle, starając się nie patrzeć przed siebie, zdenerwowany, bo pierwszy raz był z nią sam na sam. Wcześniej przychodził do domu Gravat z wizytą, w towarzystwie Rosy, i zawsze przy ich spotkaniach znajdował się ktoś trzeci. Nie tym razem. Elisenda, wspaniała i promienna, przestrzeń przesycona nardem i białe płótno. Drżącymi palcami odkręcał tubki z farbą. Spojrzał na swoją Elisendę. Swoją klientkę.

– Zapłaci?

– Tak powiedziała.

– Ile zapłaci?

– Nie podałem ceny. Nie wiem, ile powinienem wziąć. Ale nalegała, że chce zapłacić.

Rosa wbiła igłę w koszulę i odłożyła ją na koszyk z przyborami do szycia, po czym dotknęła ręką brzucha, jakby chciała kontrolować ruchy dziecka, i spojrzała na Oriola smutnym wzrokiem. Powiedziała zażądaj pięćset peset.

– Naprawdę?

– Tak. Jeśli powiesz mniej, będzie wyglądało, że marny z ciebie artysta.

– Bo marny ze mnie artysta.

– Sześćset peset.

Oriol przesunął dłonią po twarzy. Jak tu zażądać sześciuset peset od zjawiskowej kobiety.

– Sześćset – potwierdziła Rosa. – I to jak najszybciej, bo gotów jesteś w ogóle o tym nie wspomnieć.

– No wiesz...

– Oriol, sześćset.

Powinien zażądać sześciuset peset. Teraz? Kiedy zakończy tę sesję? Jutro? Nigdy?

– Tak dobrze wyglądam?

Dobrze wyglądasz w każdej pozycji.

– Jeśli pani pozwoli...

Oriol podszedł bliżej, aż owionął go duszny zapach nardu, podniósł jej rękę i położył delikatnie na oparciu krzesła; drżącymi, błagalnymi palcami dotknął jej podbródka i delikatnie obrócił twarz w bok, żeby zmienić pozycję frontalną. Może sam siebie oszukiwał, ale dotykając tego ciała, czuł przechodzący go prąd. Może tylko tak mu się wydawało, lecz w spojrzeniu jaśnie pani, kiedy wziął ją za rękę, dostrzegł tłumione pożądanie. Nie jestem pewien. Chyba tak.

– To pierwszy portret w moim życiu – powiedziała lekko drżącym głosem.

Chciałbym cię sportretować nago. Zgodziłabyś się?

– Wie pani? Dziś zrobimy tylko... Dziś zaplanuję kompozycję. I tylko parę pociągnąć pędzlem, żeby sprawdzić światło...

Nie odważę się tego zaproponować, ale tak naprawdę chciałabym ci pozować nago. Masz takie szlachetne ręce, subtelne spojrzenie. Lepiej mnie nie dotykaj, bo...

– Mój mąż uparł się na ten portret, więc żeby mi tu nie sprowadził kogoś obcego, ja sama...

Dlaczego nigdy nie widziałem twojego męża? Dlaczego nie masz go nawet na zdjęciu?

Oriol upozował naelektryzowaną rękę modelki, cofnął się dwa kroki, żeby się jej przyjrzeć, zmieszany, i wrócił ze złamanym sercem do sztalug. Zaczął szkicować węglem i to go uspokoiło.

– Już pan zdecydował, ile mnie to będzie kosztować?

– No... Ja... Nie trzeba, żeby...

– Nalegam. Jeśli pan nie weźmie pieniędzy, nie będę pozowała.

– Sześćset – wyszeptał zawstydzony.

– Ile?

Teraz mnie pośle do diabła, nazwie złodziejem, przemytnikiem, oszustem i lichwiarzem.

– Pięćset – poprawił się, nieco zmieszany.

– Ach, świetnie. Prawdę mówiąc, myślałam, że będzie drożej.

Imbecyl. Idiota. Osioł.

Zamilkli oboje. Płynęły minuty, noc zamalowywała pędzlem ciemności pejzaż za oknem, a tymczasem Oriol szkicował węglem na płótnie profil kobiety.

– Ma pani tu jakąś książkę? – ożywił się, bo wpadł na koncepcję obrazu. – Zresztą, wszystko jedno: proszę wziąć zdjęcie. Tak, proszę je trzymać w dłoniach jak książkę. O, tak.

Brylantowe kolczyki przy jej minimalnym ruchu rzuciły tysiące iskier nadziei. Jaką ma delikatną szyję. Co za piękne ręce artysty, jakie szerokie czoło, co za głos.

Oriol podszedł do pani Elisendy i wyjął zdjęcie z jej rąk. Przedstawiało księdza w sutannie i pelerynie z porządnej wełny, z grubym łańcuchem przyczepionym na wysokości trzeciego guzika i z książką w ręce; miał miłą twarz i nieco ironiczny uśmiech; siedział przy tym samym stole w ogrodzie co na innych zdjęciach. Obok niego stał kapitan Anselm Vilabru, w cywilu, wpatrując się w obiektyw przenikliwym wzrokiem, ale z miną pozornie pogodną, tak jak ksiądz. Wydawało się, że obaj przeżywają szczęśliwe chwile.

– Proszę trzymać zdjęcie jak otwartą książkę.

– Nie potrafię.

– To proszę mi coś opowiedzieć. Kim są ci ludzie na zdjęciu.

Oriol wrócił do sztalug, a tymczasem pani Elisenda zaczęła posłusznie recytować ci dwaj to mój ojciec i stryj August, jego brat. Mój ojciec jest najmłodszy z rodzeństwa. To znaczy był. Potem stuknęła palcem trzy czy cztery razy w postać księdza: – Niedawno wrócił z Rzymu. Musiał uciekać, kiedy... No, w dniu śmierci mojego ojca. – Spojrzała na zdjęcie z uwagą, jak gdyby widziała je po raz pierwszy. – A tak bardzo go kochał.

Ksiądz August Vilabru odłożył książkę na stół, zwolnił fotografa, który opuścił ogród, i poprosił brata, żeby usiadł. Miły wyraz twarzy rodzeństwa rozpląnął się jak galareta na słońcu.

– Chcę cię poinformować o postępach twojej córki.

– Wszystko mi jedno, słowo honoru. Elisenda to tylko dziewczynka. Ja bym wolał, żeby Josep miał trochę więcej oleju w głowie.

– Mój Boże, Anselmie – powiedział, przestając panować nad sobą. – Skąd w tobie tyle nienawiści?

– Nie masz prawa mnie pouczać.

– Sądzę, że mam. Jestem od ciebie siedem lat starszy, jestem kapłanem i teologiem.

– Jesteś matematykiem w sutannie, którego interesują tylko pochodne i całki. Nie wiesz, co to znaczy pole bitwy.

– Matko Najświętsza... – Zgorszony, pojednawczym tonem: – Pole bitwy...

– Nie bądź takim hipokrytą, w Biblii pełno jest krwi, bebechów i pól bitewnych.

– Zmieniasz temat rozmowy.

– Niczego nie zmieniam. – Anselm Vilabru, kapitan, od pięciu miesięcy na przymusowym urlopie, wstał wściekły i pochylając się nad bratem, bombardował go słowami o śmiertelnej sile rażenia. – Tobie nikt nie zabije sześćdziesięciu ludzi z powodu niefortunnego rozkazu.

Ksiądz August milczał, z czego jego brat skorzystał, by kontynuować. Niech to zostanie między nami, ale trzeba jasno powiedzieć, że mój prawdziwy wróg to nie Igueriben ani marokańskie siły zbrojne, ani Alhucemas, ani nawet ten zdrajca Muhammad ibn Abd al-Karim. Moim wrogiem jest król, ma na imię Alfons XIII. To kawał głupiego skurwysyna, który położył palec z równo przyciętym paznokciem na mapie w sali, gdzie zwykł bawić się w wojnę, i powiedział tutaj, tu chcę wysłać wojsko, do Alhucemas, na co inni zareagowali ależ Wasza Wysokość, powinno o tym wiedzieć naczelne dowództwo. A ten pieprzony król...

– Bądź uprzejmy uważać na język. Obrażasz moje uszy.

– Dobrze, no więc król, kiedy usłyszał, że go przekonują ależ Wasza Wysokość, o tym powinno wiedzieć naczelne dowództwo, znów stuknęła w mapę

palcem wskazującym, tam, gdzie Alhucemas, i powtórzył tutaj, a wszyscy patrzyli przerażeni, nie wiedząc, jak zareagować, i dlatego króla, który za karę odebrał mi baronię, uważam za swego wroga i cieszę się, że żołnierz takiego pokroju jak generał Primo de Rivera, odważny i poważany, wprowadza porządek w tym nieszczęsnym kraju, w którym przyszło nam żyć. Czy jasno się wyrażam?

Kapitan Anselm Vilabrú nauczył się słuchać samego siebie w Akademii Wojskowej i z biegiem lat osiągnął dużą zręczność retoryczną. Teraz czuł się usatysfakcjonowany efektem, jaki wywarło jego przemówienie. Zwłaszcza gdy sobie uświadomił, że jego patriotyczny zapał zasiał wątpliwość w duszy brata. Dokończył w duchu prorockim: – Zawsze kiedy jakiś wojskowy zechce zaprowadzić porządek w tym chaosie, będzie mógł na mnie liczyć.

Ksiądz August zamiast odpowiedzi otrzepał poły sutanny. Już dawno nie czuł się tak niezręcznie w obecności młodszego brata jak tamtego popołudnia. Żeby nie przyznać się do porażki, zdecydował się na strategię dissimilitudo i dostosował do niej spokojny i poufaly ton: – Nie lubię wojskowych.

– Ojciec mnie wysłał do wojska. A ciebie do seminarium.

Ksiądz August znów spojrzał bratu w oczy.

– Nie lubię, kiedy ktoś upokarza króla.

– Wiesz, co jest najgorsze? Że tego wszystkiego, co się zdarzyło w Annual, a mnie przy okazji złamało karierę, można było uniknąć.

– Za głupi jesteśmy na wielką politykę.

– Wiesz, co jest jeszcze gorsze?

– Masz serce przepełnione nienawiścią. Winny nie jest król, tylko Pilar.

– Bo w Igueriben, kiedy dostałem rozkaz wymarszu z trzecią kompanią, wiedziałem, że połowa z nas zginie. Ale ruszyliśmy do ataku, bo rozkaz to rozkaz.

– Niech Bóg ci wybaczy, Anselmie. – Zgromił go lodowatym spojrzeniem. – Przepraszam, że się wtrącam, ale od kiedy Pilar...

– Z którego roku jest to zdjęcie? – zapytał Oriol, żeby podtrzymać rozmowę.

– Tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty – przeczytała datę na dole. – Rok, w którym mój ojciec przeszedł do rezerwy i osiedliśmy tutaj.

– A pani matka? Dlaczego jej nie...

– Ubiegłej wiosny stryjek August wrócił z Rzymu. Jest kanonikiem przy katedrze w Urgell... – Uśmiechnęła się. – Ale często mnie tu odwiedza. Lubi mówić, że jest moim mistrzem duchowym.

– A jest?

– Tak. Oczywiście.

– Proszę mówić dalej.

– Jest bardzo mądry.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Opublikował książkę, coś o algebrze czy czymś w tym rodzaju, i bardzo go cenią za granicą. – Przerwała z wymuszonym uśmiechem: – Dlaczego mam ciągle mówić?

– Żeby naturalnie wyglądać.

– Dawno pan skończył seminarium nauczycielskie? – przeszła do kontrataku.

– Przed wojną, gdy byłem bardzo młody.

– Wie pan, co mi się podoba? Że ma pan w domu tyle książek. Że ma pan...

– No, to normalne... – odpowiedział skromnie Oriol – ...i wcale nie jest ich tak dużo.

– Ile ma pan lat?

– Dwadzieścia dziewięć.

– No proszę, jesteśmy w tym samym wieku.

O kurczę. Właśnie się przyznała, że ma dwadzieścia dziewięć lat. Ja jej dawałem dwadzieścia. Dwadzieścia dziewięć. Gdzie jest jej mąż?

– A jak to się stało, że zajął się pan malarstwem?

Istnieje ten pan Santiago, czy to tylko wymyślona przez ciebie bariera chroniąca przed natrętami?

– Lubilem rysować, więc zacząłem chodzić na kursy do Llotja, podczas wojny.

– W Barcelonie?

– Tak. Jestem dzieckiem Poble-Sec. Zna pani Barcelonę?

– Tak, oczywiście. Tam się uczyłam.

– Gdzie?

– U terezjanek w Bonanovie.

Dyskretnie rzucił na nią okiem. Terezjanki. Bonanova. Inny świat w tym samym mieście. Poczul nad językiem wyschnięte podniebienie. Mówiła dalej: – Tam zostałam ukształtowana intelektualnie i duchowo. Pod kierunkiem stryja Augusta, ponieważ ojciec zawsze służył gdzieś daleko.

A matka?

– Ja mam złe wspomnienia ze szkoły. W ciemnym mieszkaniu przy ulicy Margarit...

– A ja nie. I kiedy jadę do Barcelony...

– Mają tam państwo mieszkanie?

– Tak, naturalnie. Właśnie Santiago został tam na tydzień.

I na miesiąc, i na rok.

– Tak, oczywiście.

– Przejdźmy na ty. – Powiedziała to z pełną świadomością, mając wrażenie, że leci w dół nieskończoną i kamienistą drogą, jak zbocze wąwozu Forcallers, ale z uczuciem rozkosznej przyjemności.

– Co takiego?

– Jak zrobisz przerwę, poproszę, żeby nam przynieśli herbatę.

O mój Boże, przypłacę ten obraz zawałem. Muszę do tego podchodzić bardziej... No, nie wiem.

– Ty nie byłeś na froncie...

– Nie. Z powodu problemów z żołądkiem.

– Nawet nie wiesz, ile ci zostało oszczędzone. Lubisz pracę w szkole?

– Tak, ale proszę mnie nie zmuszać do mówienia. To pani ma mówić.

– A co chcesz usłyszeć, Oriolu?

Brylanty zaiskrzyły, przestraszone, choć nie drgnął ani jeden włos. A może te iskry poleciały z jej oczu?

6

Kobieta, która otworzyła jej drzwi, zamiast zapytać kim pani jest i czego tu szuka, wpatrywała się w nią, z ręką na klamce, jakby oderwała się na chwilę od jakiegoś zajęcia, któremu towarzyszył poważny namysł. Sinusoidalne zmarszczki na twarzy tworzyły skomplikowaną historię życia, które walecznie zbliżało się do siedemdziesiątki. Jej oczy zmierzyły się z nieśmiałym spojrzeniem Tiny. Poczowała się nieswojo i zapytała czy to pani Ventura?

– Tak.

– Starsza pani Ventura?

– Jeszcze jedna dziennikarka?

– No, nie, ja... – Chciała schować aparat, ale było już za późno. Widziała wyraźnie, jak ręka na klamce drżała nerwowo, choć na twarzy Ventury nie widniał nawet ślad zniecierpliwienia.

– Już trzy miesiące minęły, odkąd skończyła dziewięćdziesiąt pięć lat. – Powoli traciła cierpliwość. – Zapewniali nas, że już dadzą nam spokój z uroczystościami na jej cześć.

– Przychodzę w innej sprawie.

– W jakiej?

– Chodzi o wojnę.

Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, kobieta zamknęła drzwi i zostawiła Tinę Bros na środku ulicy, z niemądrą miną i z tym frustrującym uczuciem, jakie ma myśliwy, gdy potknie się o korzeń i spłoszy zwierzynę. Popatrzyła w górę i w dół ulicy i zobaczyła tylko obłoczek własnego oddechu. Znów zaczynały łagodnie opadać nieprzeliczone białe płatki zimnej ciszy i kiedy pomyślała jaka szkoda, że nie umie zjednywać sobie ludzi, i już zastanawiała się czy iść w górę, w dół, czy się schronić w kawiarni, drzwi domostwa Ventura się otworzyły i ta sama chuda kobieta posyłająca ją do diabła, zaprosiła ją do środka krótkim, zdecydowanym gestem, który z góry wykluczał jakąkolwiek dyskusję.

Myślała, że zastanie staruszkę pokonaną wiekiem, a może i bólem, leżącą w łóżku, narzekającą na swój los. Ale kiedy weszła do niewielkiej jadalni połączonej z kuchnią, zobaczyła ubraną na ciemno kobietę z siwymi, rzadkimi włosami, która czekała na nią, stojąc podparta na lasce, z równie przenikliwym spojrzeniem jak jej córka. Wszystkim w Torenzie wyostrzyła wzrok długo tłumiona nienawiść.

– Przyszła tu pani opowiadać mi o wojnie?

Pomieszczenie było niewielkie. Zachował się tu kominek i kaflowa kuchnia

dająca ciepło. Pod oknem zlew, czysty i zadbane. Na ścianie w głębi półka wypełniona głębokimi talerzami, poobijanymi od częstego używania. Na środku stół przykryty pośliską ceratą, a w kącie gazowa kuchenka. Na przeciwległej ścianie jadalni mały, ściszony telewizor, który pokazywał niesamowite loty skandynawskich skoczków narciarskich z niewiarygodnie wysokiego rozbiegu, a na telewizorze serwetka z ekspozycją pocztówek, których pochodzenia Tina nie odgadła.

– Ja nie... Chciałabym, żeby mi pani wyjaśniła... Czytałam pani oświadczenie w piśmie „Llar” i dlatego...

– Chce się pani dowiedzieć, dlaczego noga moja nie stanęła na ulicy Środkowej przez trzydzieści osiem lat.

– No właśnie.

Gestem równie energicznym jak wcześniej jej córka wskazała Tinie krzesło.

– Pani pewnie ma ochotę na kawę, Cèlio.

– Nie, mnie nic nie...

– Zrób jej kawy. – I tytułem wyjaśnienia: – Sama nie piję, ale lubię zapach.

Po trzech minutach już sączyły razem z Celią czarną mocną kawę, a stara nie odrywała od nich wzroku, zafascynowana tą czynnością. Tina podjęła postanowienie, że nie będzie niczego przyspieszać, i czekała, aż tamta się zdecyduje. Upłynęło dużo, dużo czasu, ale w końcu stara Ventura przemówiła. Zmieniła nazwę ulicy na Falangisty Fontellesa.

– Kto to taki?

– To nauczyciel, którego mieliśmy w miasteczku zaraz po wojnie. – Uściśliła: – Oriol Fontelles.

– Uczył mnie – wtrąciła Cèlia. – Słabo go pamiętam, bo byłam wtedy bardzo mała. – I znów skryła się w milczeniu za swoją kawę.

– Obłudny zdrajca, który przyniósł nieszczęście naszej rodzinie. I całemu miastu. – Dodała innym tonem: – Zgaś telewizor, córko.

– Co się stało z żoną nauczyciela?

Cèlia wstała i wykonała polecenie bez dyskusji. Za plecami Tyny skoczek z Finlandii, który już miał pobić rekord, został zatrzymany w locie przez wyłączenie odbiornika. Stara Ventura zastanawiała się: – Nie wiem. Wyjechała.

– Pamiętam ją – powiedziała córka, wracając na swoje miejsce.

– Przez te wszystkie lata musiałyśmy nadrabiać drogi przez ulicę Rasa, żeby kupić chleb.

– Nikt z naszego domu nie postawił stopy na tamtej ulicy. – Dodała po cichu: – Przez wzgląd na pamięć mojego brata.

Tinie szybciej zabiło serce. Opanowała się i zadała neutralne pytanie: – A co ludzie o tym mówili?

– Byli tacy, którzy też ją omijali. – Wzięła filiżankę swojej córki, drżącą ręką podsunęła sobie pod nos, jakby miała zamiar pociągnąć łyk, ale tylko

powąchała. Cèlia wstała, aby zabrać matce niepotrzebną filiżankę, i zaraz wróciła na swoje miejsce. Stara Ventura nawet nie spojrzała w jej stronę. – Ramona z domu Felicó zmarła, nie doczekawszy zmiany nazwy, biedaczka.

– A inni?

– Państwo Burés, rodziny z domów Majals, Narcís, Batalla... – Przerwała litanię, żeby poszukać w pamięci. Spojrzała na pustą filiżankę i ciągnęła dalej: – Cały dom Savina, dom Birulés... I dom Gravat, oczywiście.

– Co oczywiście?

– Oni wszyscy się cieszyli. To faszyści, ucieszyli się, jak weszli narodowcy. I Cecilia Báscones z kiosku, ta suka, która śpiewała *Cara al sol* przed domem.

Przerwała, żeby złapać oddech, jak po biegu, i dokończyła im wszystkim pasowała ulica falangisty Fontellesa.

Zamilkła i obie kobiety uszanowały tę ciszę. Tina wyobrażała sobie, że wszystkie nazwiska w pamięci starej Ventury wytrawił ogień.

– A inni ludzie? – odważyła się zapytać Tina, wieki później.

– Milczeli. – Teraz patrzyła Tinie w oczy. – W tym mieście zawsze dużo się milczało. Sami obłudnicy.

– Mamo...

– Trzeba nazywać rzeczy po imieniu. Jak można było nadać ulicy imię jakiegoś drania, który doniósł na moje dzieci, bo podsłuchał ich rozmowę w klasie... – Patrzyła daleko przed siebie, jakby zastanawiała się, czy mówić dalej. – Oczywiście, że mogłoby się trafić gorzej. Gdyby to na przykład Targę uhonorowali ulicą jego imienia.

Córka wtrąciła się nieśmiało, usprawiedliwiając się przed Tiną: – Minęło sześćdziesiąt lat, ale drzazga mocno utkwiała w mamy głowie. – Uśmiechnęła się niewesoło. – Niewiarygodne, prawda?

– O co chodzi z tym donosem?

– Obie z siostrą się wystraszyłyśmy, bo ktoś puścił plotkę, że szukają mojego ojca, żeby go zabić, i mówiłyśmy, że...

– A ten potwór nauczyciel podsłuchał, co mówią – wtrąciła się stara – i zaraz pobiegł do burmistrza. Panie burmistrzu, Ventura ukrywa się we własnym domu, wiem o tym od dziewczynek, pięć i dziesięć lat, które ze strachu nie wiedzą, co mówią. I po tym, co zrobił, pewnie jeszcze się spodziewał, że w miasteczku będziemy go uważać za człowieka, a nie bydlę. – Zamyśliła się nad przeszłością, wpatrując się w ścianę. – A potem zdarzyło się to, co się zdarzyło.

Stara kobieta westchnęła, stuknęła laską i powtórzyła z naciskiem: – Prawdę mówię, za dużo w naszym mieście obłudy.

– Mamo, co ta pani sobie pomyśli...

– Po to tu przyszła, nie? Niech teraz słucha.

Matka i córka rozmawiały otwarcie, nie zwracając uwagi na Tinę. Wreszcie

Cèlia spróbowała uciąć temat kategorycznym tonem: – Mamo, potem to odchorujesz...

– Nigdy więcej nie zobaczyłam męża. – Do Tiny, oskarżycielskim tonem: – Niech sobie mówią, co chcą. Byliśmy w separacji. Kiedy zdecydował się iść w góry, powiedziałam, że zostaję z dziewczynkami i z Joanetem, bo niby co mogli mi zrobić. On wolał igrać z ogniem. Zawsze taki był...

Wracała w myślach do swojego męża, nie wiadomo, z czułością czy z żalem.

– Nie umiał usiedzieć na miejscu. W młodości szmuglował towar przez przełęcz Salau. I to mu zostało... W domu się dusił, ten mój Joan.

Cèlia postanowiła zareagować. Z macierzyńską troską upomniała starą: – Mamo, sama widzisz. Lepiej do tego nie wracać.

– Przekonywałam, że faszyści nic mu nie zrobią, ale on wolał uciec w góry.

– Gdy mama zaczyna mówić o ojcu... potem zawsze ma gorączkę.

– Ale to Joan miał rację. Szukali go, jeszcze jak szukali... Ten sukinsyn Valentí Targa z domu Roia...

– Mamo...

Stara Ventura zaczęła mówić głośniej, żeby córka jej nie przerwała: – Bardzo się ucieszyłam, jak się dowiedziałam, że na zakręcie rozwalił sobie łeb o skałę.

– Dawne dzieje – wyjaśniła Cèlia Ventura. – Dobrze pięćdziesiąt lat.

Stara Ventura pogрузyła się w rozmyślaniach. Cèlia sięgnęła po filiżankę i zostawiła matkę w spokoju. Wiedziała, że w myślach właśnie odtwarza scenę, gdy w porze kolacji czterech umundurowanych mężczyzn i piąty, obserwujący tę scenę z daleka, z niewyraźną, kwaśną miną, wtargnęło do domu Ventura. Nie powiedzieli nawet dobrego wieczór, tylko od razu rzucili się na najstarszego z rodzeństwa, a Joanet miał wtedy czternaście lat, i na oczach jego przerażonych sióstr zapytali grzecznie gdzie jest ten skurwysyn twój ojciec.

– Zostawcie go w spokoju. On nic nie wie.

Glòria Carmaniu, Ventura, weszła do mieszkania. Bez pośpiechu położyła przy palenisku przyniesione szczapy. Wycierając ręce w fartuch, wskazała nakryty do kolacji stół: – Częstujcie się... – rzuciła im zaproszenie.

Valentí Targa puścił szyję chłopca i podszedł do kobiety.

– Ale ty wiesz.

– Nie. Myślę, że we Francji. – Spojrzała na intruzów wyzywająco, z pogardą.

– Wiecie, gdzie jest Francja? – Wskazała ręką piątego mężczyznę, tego w cywilu, który stał w progu z kwaśną miną. – Zapytajcie może pana nauczyciela.

Mimo że w wieku szkolnym człowiek sporo już wie o trudach życia, mali mieszkańcy domu Ventura po raz pierwszy zobaczyli, że precyzyjnie wymierzony cios w policzek może kogoś unieść w powietrze. Ich matka wpadła na ten sam kredens, na którym po latach będzie stał telewizor transmitujący konkurs skoków narciarskich, i tam osunęła się na podłogę. Po policzku spływała jej krew. Valentí, który miał jeszcze rozgrzaną od zadanego ciosu

dłoń, wskazał ją palcem i wycedził przez zęby głosem tak cichym, że aż groźnym: – Ponieważ wiem, że go widzisz, to mu powiedz, żeby się pofatygował do ratusza i oddał w ręce władz.

Kobieta próbowała się podnieść, ale łzy zalewały jej oczy.

– Nie widuję go. Nie wiem, gdzie jest. Przysięgam.

– Dwadzieścia cztery godziny. Jeśli się nie zjawi przed dziewiątą wieczorem, ten zajmie jego miejsce.

Wskazał chłopca i dał znak swoim ludziom. Jeden z nich, ten z ciemnymi kręconymi włosami, wykręcił mu ręce do tyłu i założył kajdanki. Dzieciak tak się bał, że nie odważył się powiedzieć aj, boli. Zabrali go. Tego wieczoru nikt nie miał ochoty na kolację.

Zardzewiała żelazna brama stała otworem, a ze środka dochodziło stukanie. Tina spojrzała na szare, śnieżne niebo; wydawało się, że lada moment nabrzmiała powłoka pęknie i spuści na świat lawinę śmiertonośnego mrozu. Nie było jeszcze tak zimno, kiedy pukała do drzwi domu Ventura, a teraz pomyślała, że nigdy nie przyzwyczaiłaby się do tego agresywnego chłodu, który przenika aż do serca.

Główna alejka, bita droga, prowadziła do pomnika, który sfotografowała parę dni temu. Nie był zbyt okazały. Ktoś usunął z niego litery i został bez opisu; po lewej, w głębi za pomnikiem, rozciągały się na ziemi rzędy grobów, a wśród nich gdzieniegdzie kępy zielska. Najczystszy cmentarz w komarce Pallars. Jeszcze bardziej zadbane niż ten z Trívii. Po prawej drugi rząd mogił i naburmuszony Jaume Serrallac z dłutem i młotkiem, pochylony nad kamienną tablicą, która najwyraźniej źle została wymierzona, bo jest za gruba z lewej strony. Przydałaby się piła, której nie zabrał z warsztatu, a teraz nie chciało mu się po nią wracać. Klął w duchu na Cesca, który już po raz drugi nie zmierzył jak trzeba, a teraz to on musiał wypić to piwo. Czytając napis na niesymetrycznej płycie, dostrzegł kątem oka młodą kobietę, tak ciepło ubraną, że spod kaptura i szalika wystawał jej tylko nos, która zatrzymała się przy pomniku na cześć poległych za boga i ojczyznę i patrzyła w prawo, sprawdzając, czy dzwonec już poderwał się do lotu.

Na grobie Oriola Fontellesa Grau (1915–1944) było mniej zielska niż na innych i bez trudu dało się przeczytać na płycie wspomnienie o jego heroicznym życiu, ozdobione jarzmem i strzałami. Bujna trawa na niektórych mogiłach okazała się najlepszym dowodem, jakim wrogiem pamięci jest czas. O Fontellesie jednak ktoś pamiętał. Tina zorientowała się, że ucichł stukot narzędzi, a mężczyzna oderwał się od pracy przy płycie i szedł w jej stronę, szurając stopami. Odwróciła się, a kiedy zaczął szukać papierosa w pudełku, które wyglądało, jakby przejechał po nim pociąg, zauważyła, że nie ma

rękawic.

– To ktoś z pani rodziny? – zapytał od niechcienia, wskazując grób Oriola. Nie chciał się przyznać do ciekawości, dlatego skoncentrował się na zapalaniu papierosa.

– Nie.

– Tym lepiej.

– Dlaczego?

Niebieskooki, skulony mężczyzna rozglądał się wokół skonsternowany. Wypuścił dym i wskazał pomnik.

– Nikt go tu dobrze nie wspomina – lekko się uklonił – za przeproszeniem, bo to mój nauczyciel.

Schylił się i nie wypuszczając papierosa, stwardniała od długich lat pracy ręką z miłością przeciągnął po płycie, ścierając delikatną warstwę nieistniejącego kurzu z błyszczącego, lakierowanego mebla.

– Ta płyta to dzieło mojego ojca – dodał, wskazując głową do tyłu. – Tamten pomnik też.

– Pański ojciec musiał go dobrze znać.

– Już nie żyje. – Zrobił szeroki ruch ręką. – Wszystkie płyty w odcieniu szaroniebieskim ja wykułem. Taka teraz moda – pozwolił sobie na fachowy komentarz.

– Musiał pan ich wiele zrobić w ciągu całego życia.

– Ojciec mawiał, że wszyscy mieszkańcy komarki w końcu trafią w nasze ręce... – Cały czas był bez rękawiczek.

– Pewnie miał rację, prawda?

– Tak sobie myślę, że słowa, jakie wykuwamy na nagrobkach, to historia życia człowieka w pigułce.

Tina w myślach przyznała mu rację: faktycznie, zapis na płycie to lakoniczna opowieść o jednym życiu. José Oriol Fontelles Grau, tysiąc dziewięćset piętnaście, tysiąc dziewięćset czterdzieści cztery. Opowiadanie z początkiem i zakończeniem, a rozwinięciem jest myślник pośrodku, skromny reprezentant całego życia między dwiema liczbami. Jeżeli poza tym jest jeszcze epitafium, tak jak w tym przypadku, mamy streszczenie ludzkiego dzieła: męczennik i faszystowski bohater, poległ za boga i za hiszpanię. I jeszcze kurz i skoszone wokół grobu zielsko.

– Skąd tu taki porządek?

– Wie pani... to sprawa... ludzi z miasteczka.

Niebieskooki mężczyzna zaciągnął się i wskazał ręką sąsiedni grób, ozdobiony gołąbką w locie, zanadto ckliwym, oraz żółto-niebieskim kwiatkiem z plastiku, przywiązany przegniłym sznurkiem do pokrytego rdzą krzyża.

– Joan Esplandiú Carmaniu – przeczytała Tina.

– Chodzi o dzieci z domu Ventura. Tak naprawdę nazywaliśmy ich Ventura. Od nazwy domu.

– Wiem, o kogo chodzi.

– Tu pochowane jest rodzeństwo, Joan i Rosa. Widzi pani? Natomiast po ojcu ślad całkiem zaginął.

– Może zmarł we Francji.

– Może. Mogę tylko panią zapewnić, że tutaj nie leży.

– Rosa Esplandiu Carmaniu. Miała serce czyste i wielkie jak góra Montsent – przeczytała Tina. I zamilkła na chwilę, zazdroszcząc pomysłu temu komuś, kto wymyślił takie słowa.

– Rosa Ventura... – powtórzył mężczyzna i podrapał się po nieogolonym policzku.

– Na co zmarła?

– Na tyfus. – Po dłuższej chwili smutnego zamyślenia podjął: – Na tyfus, w wieku zaledwie dwudziestu lat. – Wolał zmienić temat i odsunąć od siebie przykre wspomnienie. – A tu jest Joan Ventura.

– A on na co zmarł?

– Od kuli.

Dopiero w tym momencie Tina zwróciła uwagę na słowa wyryte pod nazwiskiem: ofiara faszystowskiej podłości.

Jaume Serrallac uniósł brwi i wygłosił filozoficzną sentencję: – Tyle wojowania i nienawiści, a i tak w końcu wszyscy tu spoczną, jeden obok drugiego. Są tu razem już od czterdziestu lat, a ile jeszcze przed nimi. Ojciec mawiał, że to tak, jakby się było uwiecznionym na zdjęciu, z którego nie możesz się wycofać.

Tina podeszła do grobu rodziny Ventura. Popatrzyła na plastikowy kwiat, który zdążył wypłowieć, wystawiony na niepogodę, i zrobiło się jej smutno na myśl o opuszczeniu tego rodzeństwa. Mężczyzna znów się zaciągnął, co zapowiadało kolejną sentencję.

– Smutna historia. Minęło sześćdziesiąt lat, a rana jeszcze się nie zagoiła.

Potrząsnął głową ciężką od wspomnień. Nagle się ożywił.

– Takich przypadków jest tu sporo: z domu Feliçó zginęła jedna osoba, z domu Misseret dwie, a rodzina z domu Tor straciła obu synów na froncie. I nieszczęsny Mauri z domu Maria del Nasi. No i oczywiście zamordowani z domu Gravat.

Wskazał głową mauzoleum nieco oddalone od miejsca, w którym rozmawiali. Nagle zaczął mówić szeptem, żeby ich nie usłyszeli jacyś szpiedzy.

– Jeszcze teraz są tacy, którzy się śmieją z ich nieszczęścia – wyznał. Znów się zaciągnął. – Torena ma mało mieszkańców, ale jedni drugich potopiliby w łyżce wody. Pani jest dziennikarką?

- Piszę książkę o miejscowościach w Pallars. Domy, ulice...
- I cmentarze.
- Tak... Chyba tak.

– Na cmentarzach znajdzie pani zamrożoną historię miasteczka. – Wskazał groby i mauzoleum w głębi. – Dom Gravat ma wyjątkowy grób. Prawie w każdej miejscowości jest jedna zamożna rodzina. Na każdym cmentarzu jedno mauzoleum. Można się wiele nauczyć, wykuwając nagrobki.

Tina miała przelotne skojarzenie z Szekspirem, mało konkretne. Podeszła do mauzoleum. Zobaczyła napis rodzina Vilabru i rzeźbę dłuta Rebulli. Przedstawiała otwartą księgę i siedzącego nad nią anioła, który najwyraźniej – prowadząc niebiański rejestr wejść – zapisywał imiona sprawiedliwych dusz z rodziny Vilabru. I makabryczna przewidywalność następnych płyt. Trzy wolne miejsca: przewidziane trzy zgony. Zrobiła zdjęcie.

Obok mauzoleum dyskretny grób jakiejś ważnej figury. Napis głosił Don Valentín Targa Sau, Altron 1902 – Toren 1953. Burmistrzowi i lokalnemu przywódcy Ruchu Narodowego w Toren wdzięczna Ojczyzna. Zadbany grób, lecz bez kwiatów. Zorientowała się, że mężczyzna stoi tuż za nią, ale mówi bardzo cicho: – To kat Toren. Ten człowiek ma na sumieniu pół miasteczka.

Tina się odwróciła. Kamieniarz patrzył jej w oczy.

– Burmistrz miasta?

– Tak. Pochodził stamtąd. – Zrobił taki gest, jak gdyby Altron leżał pod podeszwą butów Tiny.– Mówią, że miał romans z... No, takie tam plotki...

– Zamrożona historia miasteczka.

Tina bardzo chciała wiedzieć, czyim kochankiem był Valentí Targa. Żeby zachęcić niebieskookiego mężczyznę do mówienia, powtórzyła jego własne słowa: – Jak mawiał pański ojciec, został uwieczniony na rodzinnym zdjęciu.

Ale Serrallac, zamiast kontynuować opowieść, rzucił niedopałek na ziemię i starannie go przydeptał. Ruchem głowy, pełnej wspomnień, wskazał tekst płyty nagrobnej niejakiego Valentína Targi.

– Ano właśnie, a ja tylko wykonuję pod tym zdjęciem podpis.

Te ostatnie słowa wypowiedział, oddalając się ku nagrobkowi, nad którym teraz pracował. Tina wróciła pod pomnik falangisty Fontellesa i zrobiła kilka zdjęć. Później w szerszym kadrze ujęła też grób rodzeństwa Ventura. Pstryk. Tego ujęcia nie robiła z myślą o książce. Miało być jej osobistym hołdem dla pewnego chłopca, który się nazywał Joanet Esplandi Carmaniu z domu Ventura, 1929–1943, i padł ofiarą faszystowskiej podłości. W głębi, nieco z boku, zmieściło się w kadrze mauzoleum rodziny Vilabru, trochę przypadkiem, podobnie jak kiedyś dzwonic na innej fotografii.

Mimo że Oriol musiał czekać pół godziny, zanim pani Elisenda załatwiła interesy z zarządcą majątku – a musieli nieźle natężyć mózgi, licząc pogłowie rogacizny i hektary zalesionych powierzchni, które dałoby się przekwalifikować na grunty orne – druga sesja przebiegała w swobodniejszej atmosferze. Pani Elisenda już była Elisendą, ciasteczka stały na stole w salonie od samego początku, a Oriol zajmował się przenoszeniem doskonałego ciała, reprodukowaniem, odbijaniem go na płótnie, słuchając, jak opowiada, że owszem, kiedy zaczęła się wojna, wyjechałam do San Sebastian. Właśnie tam poznałam mojego męża. Tak, daleki krewny. Tak, też nosi nazwisko Vilabré, podobnie jak ja. Nie, w Barcelonie. Jest bardzo zajęty i nie znajduje czasu, żeby tu przyjechać. Och, oczywiście, że za nim tęsknię. Ale tak nie można, nie tak się umawialiśmy.

– Słucham? – Oriol zatrzymał pędzel na lewej piersi Elisendy.

– Umawialiśmy się, że będziemy na ty.

– Ale...

– To rozkaz.

Jak rozkaz, to rozkaz. Pędzel znów zaczął swobodnie się przesuwać po wypukłej piersi pod gładką suknią, w której tak pięknie wyglądała.

– Kiedy zaczniesz malować twarz?

– Chciałbym panią... Chciałbym cię lepiej poznać. Bardziej się oswoić z...

– Tak, jasne.

– Nie siedź tak sztywno. Poruszaj szyją, ramionami. Mów, o czym chcesz.

Gdybym mogła ci opowiedzieć o moich uczuciach. Gdybym mogła wyznać, że czuję się zmieszana i że twoje ręce są magiczne.

– Ale nie wiem o czym.

Weszła Bibiana z dzbankiem gorącej herbaty. Spojrzała Elisendzie w oczy, a tamta, odwracając wzrok, potwierdziła tylko podejrzenia służącej, która dyskretnie opuściła salon. Oriol zauważył, że obie kobiety rozumieją się bez słów, ale udawał, że koncentruje się wyłącznie na fałdzie rękawa.

– Czym twój mąż się zajmuje? – zapytał, gdy znów zostali sami.

– Bardzo cię interesuje mój mąż.

– Niekoniecznie. Tylko podsuwam ci temat.

No więc głównie spekulacją na czarnym rynku w zмовie z dwoma pułkownikami z kapitanatu w Barcelonie, i z władzami. I odwiedzaniem burdeli, jak mi donoszą ci, którzy mają donosić. Zgarnia kupę forsy, ale nienawidzi przyjeżdżać tu w odwiedziny, bo nie może spojrzeć mi w oczy.

– No więc... Prowadzi interesy. Handlowe. Ma jakieś biuro, nie wiem dokładnie jakie, z którego praktycznie nie wychodzi. I ciągle gdzieś jeździ.

Nie chce o tym mówić. Zmieniamy temat. O czym moglibyśmy rozmawiać?

– Nie wolałabyś mieszkać w Barcelonie?

– Nie. Tu jest mój dom. Poza tym lubię sama dopilnować majątku. Tutaj zmarli mój ojciec i brat.

A twoja matka, Elisendo? Dlaczego nigdy nie mówisz o matce?

Drobne poprawki na szyi, inny odcień. Delikatna szyja pani Elisendy, która teraz jest po prostu Elisendą.

– Smakowały Rosie czekoladki?

Już samo pudełko wyglądało jak dzieło sztuki, drewniane, rzeźbione, lakierowane. W środku dwanaście czekoladek jak dwanaście klejnotów. Rosa sięgnęła po tę w szmaragdowym złotku.

– Dlaczego powiedziałeś pięćset?

– Nie miałem śmiałości...

– Powiedziałabyś tysiąc i też by ci zapłaciła. Co z ciebie za facet.

Rozwinęła paperek, powstrzymując kaszel, i przegryzła czekoladkę na pół.

– Pyszna – powiedziała. – Poczęstuj się.

Tak, bardzo dobra. Pyszna.

– Smakowały, jeszcze jak. Kazała podziękować.

– Cieszę się.

Potem opowiadała o stryju Auguście, o jego książce, chyba na temat pochodnych, o tym, że jest sławny, o tym, jak wykładał w Rzymie, kiedy go wypędzili z Hiszpanii komunistyczne hordy. Ponoć zdobył tam sławę matematyka intuicyjnego, jak twierdzi ksiądz Aureli Bagà, proboszcz Toreny, który przywiózł tę plotkę z kurii, bo stryj sam nigdy się nie chwalił. Ale nie miała ochoty zwierzać się nauczycielowi, z jakim uporem stryj powtarzał jej przy każdej okazji, że miejsce żony jest u boku męża, tak ogólnie, nie żeby ją upominał, aż pewnego dnia, niedawno, mając dość tych nacisków, powiedziała wiesz, w czym rzecz, jeśli pojedę do Barcelony zająć miejsce u boku Santiaga, zastanę go otoczonego wianuszkiem kurew. Więc może byś już przestał zwracać mi głowę.

– Przepraszam, córko. Ja nie...

– Poza tym, zawsze będę mieszkać w Torenie. Jestem tu panią na włościach, mam pod sobą posiadłości domu Gravat i to dzięki mnie interes prosperuje. A ja chcę pomnażać majątek, żeby żółć zalała mieszkańców tego miasteczka.

Bibiana pamiętała, że po tej rozmowie Elisenda Vilabru zastąpiła kawę herbatą, żeby zwiększyć dystans w stosunku do miejscowych, i zaprzestała raz na zawsze spacerów błotnistymi uliczkami miasteczka.

– Nienawisć przez ciebie przemawia. Przypominasz mi... Nie, nieważne.

– Kogo ci przypominam, stryjku?

- Twego ojca.
- Zabili go, i stąd we mnie ta nienawiść.

Mój Boże: stryj August czuł się bezsilny wobec mrocznych labiryntów duszy ludzkiej. W porównaniu z nimi jakże czysta, irracjonalna i bezdyskusyjna była liczba e. Ale jako dawny opiekun dziewczyny miał obowiązek ją ostrzec. Nie wiem, czy to dobrze, żywić takie uczucia.

- Wojna odcisnęła piętno na mojej duszy.
- Musisz się nauczyć przebaczać.

Zamilkła i zamyśliła się nad naukami, których on sam jej udzielał na temat Prawdziwego Sensu Sprawiedliwości i Kary Bożej, na temat nieprzyjaciół Kościoła katolickiego, których powinna uważać za swoich osobistych wrogów, na temat przekonania o życiu w Prawdzie. W porozumieniu z matką Venancią wprowadzał ją w sekrety życia zawarte w takich książkach jak *Duch świętej Teresy od Dzieciątka Jezus*, *Niebiańskie strony*, *Wzorowa rodzina* czy *Środki zapobiegawcze i lecznicze na choroby duszy*, wszystkie dzieła, które wyszły spod pióra wielbnego Henryka d'Ossó, założyciela terezjanek i autentycznego animatora powołań. Któregoś dnia zostanie błogosławionym. I z czasem Rzym ogłosi go świętym, sama zobaczysz, córko.

- Wszystko w swoim czasie – odpowiedziała stryjowi po dłuższym zastanowieniu.
- Uważaj na ramię. Nie, na plecy.
- Zdrętwiało mi.
- Dobrze, zrobimy pięć minut przerwy.

Kiedy pili herbatę, mimo że do rozluźnienia mięśni rozmowa nie okazała się niezbędna, opowiedziała mu, że najszybciej jak się dało wysłała zarządcę, by zajął się majątkiem i odzyskał wszystko, co im zabrano, i zaraz z San Sebastian wrócili do Toreny. Nie wspomniała o wyprawie do Burgos, o tamtych trzech dniach, szarych, ciemnych, ale koniecznych. Powiedziała tylko z San Sebastian pojechaliśmy do Barcelony już jako małżeństwo. Po kilku miesiącach bezczynności sprowadziliśmy się tutaj, żeby doprowadzić majątek do porządku, ale Santiago wytrzymał tylko dwa tygodnie. Wszystko mu przeszkadzało, nie znosił smrodu bydła w miasteczku i miał pilne sprawy w Barcelonie.

- A tak spokojnie się tu żyje.

Oriol Fontelles Grau, nauczyciel, malarz Jej Wysokości królowej Elisendy, mieszkał w Torenie zaledwie trzy miesiące. Miasteczko nie zdążyło dla niego stracić uroku nowości. Nie poznał ani jednej jesieni w Torenie, ani zimy, ani przebudzenia wiosny. Dlatego mógł jeszcze się łudzić i powiedzieć tak spokojnie się tu żyje.

Z nią rzecz miała się inaczej. Ona, gdy tylko upewniła się, że z domem wszystko w porządku, że nie padł łupem rabusiów, długo się zastanawiała, czy

wrócić. Kiedy podjęła decyzję, najpierw wysłała Bibianę, żeby zrobiła porządki. Kiedy przyjechała razem z Santiagiem, Bibiana opowiedziała jej, co słyszała od ludzi, że nowy burmistrz, najstarszy syn z domu Roia z Altronu, zebrał wszystkich mieszkańców Toreny na placu Hiszpanii, u wylotu ulicy caudilla, i tam stawił się w mundurze falangisty z obstawą pięciu innych mundurowych, samych zamiejscowych, z rękami na biodrach, i Valentí Targa, który teraz kazał się tytułować don Valentínem Targą, pouczył wszystkich, jak dzieci, przemądrzałym tonem, kalecząc język kastylijski i zmyślając słowa, że ma za zadanie egzekwować prawo w Torenie i czuwać nad jego przestrzeganiem przez innych, że zamierza tu posprzątać i zrobić czystkę. I nikt mnie nie powstrzyma w wypełnianiu świętej misji, którą powierzyli mi Bóg i caudillo. Żaden winny nie pozostanie bez kary, chyba że już został ukarany. Nie wszyscy rozumieli, co mówi, ale sens wynikał jasno z intonacji. A ponieważ to, co miał w tym momencie do powiedzenia, było bardzo ważne, przeszedł na kataloński i oświadczył jeśli ktoś teraz chce złożyć donos, niech przyjdzie, a ja go wysłucham. A jeżeli jakiś republikański zaprzaniec chciałby protestować, ze mną będzie miał do czynienia i dostanie taką nauczkę, że mnie dureń popamięta do końca życia. Przysięgam na generalissimusa. I znów przechodząc z katalońskiego na hiszpański, krzyknął niech żyje Franco, wiwat Hiszpania. Tylko ci w mundurach i Cecília Báscones, wtedy jeszcze bardzo młoda, odpowiedzieli okrzykiem niech żyje. Diaphragmodynia czy diaphragmalgia. Pozostali tymczasem patrzyli w stronę Bonyente. Poza tymi z domu Narcís, którzy uśmiechali się pod wąsem, i tymi z domu Birulés; oni myśleli wreszcie nastał porządek, skończył się chaos i my, przyzwoici ludzie, będziemy mogli bezpiecznie wyjść na ulicę bez obawy, że coś złego nas spotka. Diaphragmatocele.

– Trochę porządku w Torenie nie zawadzi, Bibiano. – Służąca chwyciła w lot sens tych słów.

– Mam zamiar często wychodzić w plener – powiedział Oriol, zamyślony, wracając przed sztalugi.

– Malujesz też pejzaże?

– Robię, co mogę. Jestem dyletantem.

Zaczął sprawdzać fałdy sukni i znalazł błąd na łokciu. Nagle się przestraszył, czując za sobą zapach nardu, jakby miał nos na plecach. Zanim zdążył się odwrócić, usłyszał ten słodki głos i słowa jeżeli ty tak twierdzisz, może i jesteś dyletantem, ale robisz to po mistrzowsku.

Oriol się odwrócił. Uważnie oglądała obraz.

– Nie przeszkadza ci, że go oglądam, zanim będzie skończony?

– Nie – skłamał. – Jest twój.

Jedno od drugiego na odległość dłoni. Życie stawało się niemożliwe.

Dwudziestego pierwszego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku Marcel Vilabrú i Vilabrú po raz ostatni w życiu zszedł po sześciu schodkach prowadzących do głównego wejścia Instytutu IPAIC Sant Gabriel, szkoły z internatem (miejsce idealne do integralnego wychowania waszych dzieci, które dba o ich fizyczny, intelektualny i duchowy rozwój), gdzie zaliczył klasę wstępną i przebrnął przez pierwszą, drugą, trzecią (plus dwa przedmioty z drugiej), czwartą (plus jeden przedmiot z trzeciej i jeden z drugiej), by w końcu zrobić małą maturę. Jaki profil chłopiec teraz wybierze, nauki ścisłe czy humanistyczne, a ty co chciałbyś robić, co uważasz za najlepsze, ja ci powiem, co dla ciebie najlepsze. Chyba profil matematyczny. Nie: humanistyczny. Zajmiesz się humanistyką. Ale ja chciałbym. Co ty tam wiesz. No więc: chciałbym... no nie wiem, coś związanego z górami, lasem, śniegiem. Zejdz z obłoków, Marcelu: humanistyka, a potem zostaniesz adwokatem i będziesz mógł się zająć interesami rodziny, które, jak zapewne pamiętasz, mają związek ze śniegiem. To nie to samo, ja chciałbym... Popatrz tylko na mnie: jestem adwokatem i świetnie sobie radzę. A co na to mama. Ona chce, żebyś został adwokatem, bo zawsze, jak oblałeś jakiś przedmiot, to albo matematykę, albo fizykę. To niech sama przyjedzie i mi to powie. Jest bardzo zajęta; czyli wybierasz profil humanistyczny. Piąta klasa (łacina i greka oblane w czerwcu i we wrześniu), szósta (z łaciną i greką z piątej), matura po szóstej w czerwcu i we wrześniu, pierwsza przymiarka do kursów przeduniwersyteckich PREU, druga przymiarka do kursów przeduniwersyteckich, i wreszcie egzamin wstępny na uniwersytet. Zszedł po sześciu schodkach i zamiast odwrócić się, żeby wspominać piękne chwile (pamiętasz tamtą noc, kiedy w czasie kolacji otworzyliśmy szafę tego tam, albo lekcje gimnastyki w gęstej mgle płaskowyżu Vic, no, przyznaj, nie było wcale tak źle... prawda?), czekał zrezygnowany, aż adwokat Gasull wyjdzie w towarzystwie pani Pol, która oświadczyła definitywnie zakończyliśmy proces kształcenia tego młodego człowieka, niech teraz wyruszy na podbój świata. A kiedy oboje podeszli bliżej i pan Romà Gasull właśnie żegnał się wylewnie z panią Pol, Marcel Vilabrú i Vilabrú ostentacyjnie splunął na ziemię i odszedł w stronę czarnego samochodu, w którym Jacinto zdążył już porządnie zmarznąć, skracając sobie czekanie przeglądaniem jakiegoś duńskiego czy szwedzkiego świerszczyka. Marcel Vilabrú nie pożegnał spojrzeniem szkoły, w której opanował trygonometrię, w której nauczył się kłamstw i masturbacji, bezmyślnego recytowania pięciu deklinacji łacińskich, zdrady we własnym interesie, żeby uniknąć kary,

deklamowania z fatalnym akcentem Ô rage, ô désespoir! i przekonał się, że jego matka jest osobą bardzo zajęta, która rozkazuje wszystkim mężczyznom w swoim otoczeniu, nie wykluczając jego, i że po śmierci taty już nie mówi, tylko ogranicza się do wydawania rozkazów coraz bardziej kategoriycznych, coraz bardziej szczegółowych i oczekuje, że wszyscy będą je wypełniać bez szemrania.

W drodze powrotnej trzech mężczyźni milczeli (pani Pol Marcela też uznała za mężczyznę), a on uświadomił sobie, że zawsze, gdy wracał do domu, otaczali go faceci tacy jak Jacinto i Gasull. Gasulla widywał częściej niż tatę. Tak naprawdę jedyne wspomnienie, jakie zachował po ojcu, to jego pytające spojrzenie, którym go obrzucał, pewny, że on tego nie dostrzega, i przekonanie, że go nie kochał, że nie przewidywał dla niego miejsca w swoim życiu. W tych rzadkich sytuacjach, kiedy miał okazję go widzieć.

– Dlaczego tato jest taki dziwny?

– Nie jest dziwny.

– Tak jakoś na mnie patrzy.

– Coś sobie ubzdurałeś, synu.

– Dlaczego nigdy nie ma go w domu?

– Jest bardzo zajęty.

– Tato jest bardzo zajęty, ty jesteś bardzo zajęta. Do dupy z taką rodziną.

Wtedy po raz pierwszy Elisenda pomyślała, że może należałoby głębiej się zastanowić nad edukacją syna. Że może Instytut IPAIC Sant Gabriel nie jest najlepszym miejscem i że może trzeba by wziąć pod uwagę tę szkołę w Bazylei, o której wspominała Mamen Vélez. Ale kiedy sytuacja się zmieniła, już nie wróciła do tego tematu. Tak się bowiem stało, że szóstego listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku, kiedy Marcel miał zaledwie dziewięć lat, pan Santiago Vilabru pozwolił sobie na potężny atak serca, który go załatwił na amen. Miał tyle wyczucia, że nie zmarł ani w Gniazdeczku, ani w żadnym innym burdelu czy w objęciach czyjejś wiarołomnej żony, ale w biurze Wertykalnego Syndykatu. W ten zimny dzień wybrał się w towarzystwie don Nazaria Pratsa, gubernatora cywilnego i przywódcy Ruchu Narodowego w prowincji Lleida, do Wertykalnego Syndykatu, na spotkanie z Agustínem Rojasem Pernera. Obaj umówili się na trzecim piętrze, gdzie zamierzali się rzucić do oczu temu skurwysynowi Rojasowi Pernerze, ponieważ zatrzymał dla siebie zysk ze skomplikowanej, brawurowej operacji przemytniczo-czarnorynkowo-korupcyjnej, której przedmiotem było amerykańskie mleko w proszku. Tę błyskotliwą transakcję wymyślił Vilabru, a doszła do skutku dzięki kontaktom Pratsa. Dlaczego więc cały, caluteńki zysk trafił do kieszeni tego chuja Pernery? Teraz mieli go przed sobą i bezsilnie patrzyli, jak się cynicznie uśmiecha, pod opieką portretów Franco i Joségo Antonia. Obserwował ich, sprawdzając równocześnie przez matową szybę, co się dzieje na korytarzu, i

mówił półgłosem jakie zyski, jaka transakcja, przyjaciele, towarzysze, tu nie ma śladu po żadnej operacji. Ani tu, ani nigdzie. Że kłamie i że zrobił ich na szaro, to jeszcze by uszło. Ale Vilabrú (po tym wszystkim, co musiał znieść w życiu, zwłaszcza ze strony swojej małżonki) nie mógł tolerować kolejnego złośliwego uśmiechu i postanowił umrzeć. Plaf, upadł na podłogę, przed biurkiem tego zasranego Pernery, a gubernator Nazario Prats natychmiast się ulotnił, nie sprawdzając, czy chodziło o omdlenie, zawrót głowy, niestrawność, zawał serca czy zgon. Nie chciał, żeby ktokolwiek go zobaczył w gabinecie Pernery, gdzie na podłodze leżały zwłoki, zostawił więc współnika własnemu losowi. Jak burza przejdzie, to się zobaczy, natomiast gdyby rzeczywiście zmarł, to można będzie wyciągnąć od Pernery także jego udział. W pewnym sensie mam do tego moralne prawo. Elisenda z synem szli na czele konduktu żałobnego w Barcelonie. Ukrywała swoją obojętność pod woalką i myślała jak to ładnie z twojej strony, Santiago, że zmarłeś, bo zostawiłeś w moim życiu tak nikły ślad, że nawet cię nie znieawidziałam. Przez trzynaście lat małżeństwa dopatryłam się w tobie tylko jednej zalety, że nazywałeś się Vilabrú, tak samo jak ja.

Ta część rodu Vilabrú, skoligacona z rodem Comelles, która mieszkała w Barcelonie od trzech pokoleń, z poczuciem, jakby byli tam od zawsze, najbardziej konserwatywna część rodu, frankiści, a wcześniej monarchiści i karliści, zwłaszcza od czasu powiązania z rodem Comelles, która była spokrewniona z rodem Aranzo z Nawarry, z tymi, o których mówiono, że byli karlistami jeszcze przed don Carlosem, wszyscy oni przyjęli ze smutkiem wiadomość o śmierci Santiaga i zapewniali, jedni mniej, inni bardziej gorliwie: jeszcze wczoraj rozmawiałem z nim przez telefon i nie odniosłem wrażenia, że; albo: zawsze odchodzą ci najlepsi, albo przynajmniej: taka jest kolej rzeczy, no, kto by przypuszczał. I pomyśleć, że byliśmy umówieni na przyszły tydzień, albo: co za bezsensowna śmierć. Chłopczyk ma zaledwie dziewięć lat? No, no, dziewięć lat, biedne dziecko, osierocony przez ojca w wieku dziewięciu lat. I na dodatek podobno pozbawiony prawa do tytułu baronii. Tak. Elisenda za bardzo zadziera nosa, nieprawdaż? Kobieto, przecież dopiero co zmarł jej mąż. Nie, nie, wiem, co mówię. Elisenda jest z tych, którym ludzie nie zasłaniają widoku, ona po prostu ich nie dostrzega.

– Pani Vilabrú, proszę przyjąć szczere wyrazy współczucia – wyrecytował don Nazario Prats, najwyższy rangą spośród polityków, którzy zdecydowali się uczestniczyć w pogrzebie, nie licząc ministra rolnictwa i przewodniczących rady miejskiej z Barcelony i Lleidy.

– Dziękuję, pozostaję dozgonnie wdzięczna.

A następnie, uśmiechnąwszy się smutno do jedyne go ministra obecnego na cmentarzu, wyszeptła gubernatorowi do ucha udział Santiaga należał do

Santiago, a teraz należy do mnie. Jeśli nie chce pan, żebym złożyła donos.

Don Nazario wytarł spocone ręce, a następnie złożył pocałunek na dłoni pani Vilabru, podczas gdy ci żałobnicy, którzy nie należeli do rodziny, zastanawiali się głośno, dlaczego ta wielka pani zamyka się gdzieś w dzikich górach.

Tak więc Marcel nie opłakiwał śmierci swojego nieprzystępnego ojca ani nie został wysłany do Bazylei, tylko w ciężkim trudzie brnął dalej, by zdobyć dyplom w Instytucie IPAIC Sant Gabriel, przyjeżdżał do domu w czasie wolnym od zajęć i od kiedy zainaugurowana została Tuca Negra, w czasie ferii zimowych prawie nie bywał w domu, zajęty szusowaniem pod okiem Quique, który mu pokazał najlepsze miejsca poza trasą, i przy okazji, niechcący, nauczył go kochać góry. Nudził się tam tylko latem, bez śniegu i bez Quique.

Na kolację gotowała warzywa. Lubiła, kiedy zapach kalafiora rozchodził się po mieszkaniu, bo przypominał jej dzieciństwo. Wywoływał poczucie komfortu, zwłaszcza w połączeniu z widokiem za oknem, gdzie śnieg ciągle płakał w milczeniu nad uśpionymi ulicami. Kompensacyjne łyzy. Kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi od ulicy, serce zabiło jej szybciej, bo już podjęła decyzję, jak zacząć rozmowę. Teraz tak. Dziś jest ten dzień. Powie mu Jordi, zawiodłam się na tobie, bo jesteś oszustem: zdradziłeś mnie, a to mnie obraża. Co będzie potem, zależy od reakcji Jordiego. Tak trudno jest powiedzieć prawdę. Odwróciła się, gotowa wygłosić Jordi, zawiodłam się na tobie, bo jesteś oszustem, ale słowa uwięzły jej w gardle, bo stał przed nią nie Jordi, lecz Arnau, który postawił swoją torbę pełną sekretów na środku pokoju i pocałował ją w policzek.

– Skąd się tu wzięłeś? Czy nie wybierałeś się do...

– Muszę wam powiedzieć coś ważnego. – Rozejrzył się po mieszkaniu. – A gdzie jest ojciec?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie Jordi stanął w progu, gwizdząc pod nosem jakąś trudną do zidentyfikowania melodię. Zdjął kurtkę i wtedy zwrócił uwagę na Arnaua. Doktor Żywago zrobił się czujny, zdziwiony, że widzi wszystkich troje jednocześnie.

– A ty co tu robisz? – Z lekkim resentymentem: – Czy nie miałeś być z grupą tych narkomanów?

– Właśnie poprosiłem o przyjęcie do wspólnoty benedyktyńskiej w Montserrat. – Wszyscy nadal stali. – I chciałem, żebyście o tym wiedzieli.

Jak figurki w szopce, wszyscy troje stali nieruchomo, na tle śniegu za oknem stajenki, ona wpatrzona w Arnaua, Jordi z otwartymi ustami, rzucający spojrzenia to na wołu, to na muła.

– W przyszłym tygodniu zaczynam tam postulat.

Tina opadła zniechęcona na pierwszy z brzegu fotel. Ulotnił się z jej głowy tekst Jordi, zawiodłam się na tobie, bo jesteś oszustem, i po raz pierwszy zobaczyła swojego syna jako kogoś, kim był naprawdę, wielkim nieznajomym, który rósł u jej boku, ale zawsze znajdował się daleko.

– To jakaś bzdura – gderał pod nosem święty Józef, rzucając kurtkę na sofę.

– Nie. Jestem w wieku, kiedy mogę decydować, co chcę zrobić z własnym życiem.

– Ależ Arnau, przecież ty... – Tina, zrozpaczona, uświadamiała sobie właśnie, że jej przeświadczenie o doskonałym wychowaniu syna to czysta entelechia. –

Przecież ty nie jesteś ochrzczony! Przecież cię wychowaliśmy na wolnego obywatela!

– Jestem ochrzczony. Trzy lata temu poprosiłem o chrzest.

– Dlaczego nic nam nie powiedziałeś?

– Nie chciałem was martwić. – Zawahał się. – Może należało was o tym poinformować.

– Zaraz, zaraz, zaraz. – Jordi już się pozbierał po tym niespodziewanym policzku. – Nabierasz nas, prawda? – Próbował znaleźć z nim wspólny język, taki równy gość, z tych, co lepiej się czują w roli przyjaciela niż ojca własnego syna. – Co to, ukryta kamera? Założyłeś się z kolegami? Chcesz nam zagrać na nerwach? Zapomniałeś, że mamy dwudziesty pierwszy wiek? Zapomniałeś, że wychowaliśmy cię w atmosferze wolności, multikulturalizmu i ponadpartyjnego transwersalizmu?

– Nie, nie, skądże znowu. Ale ja wierzę, praktykuję i odkryłem w sobie powołanie zakonne. – Powiedział to powoli, ze spuszczoną głową, cichym, ale wyraźnym głosem.

– Ty nie masz żadnego pieprzonego powołania – wybuchł nagle Jordi, urażony bardziej łagodnym tonem syna niż sensem jego deklaracji.

– Dlaczego nigdy nam nie powiedziałeś, że chcesz... że masz zamiar... dlaczego nie... dlaczego...

Kiedy Tina desperacko jak brzytwy chwytiała się pytania dlaczego, wiedziała już, że przegrała bitwę, bo zadawanie pytań o to, co by było, gdyby, stawało się ćwiczeniem całkiem bezużytecznym, ponieważ sprawy ułożyły się bez żadnego gdyby i należało stawić czoło temu, co jest, a nie jakiemuś gdybaniu. Dlaczego Jordi nie jest mi wierny i mnie zdradza, dlaczego Arnau nie ma do mnie za grosz zaufania, dlaczego wszystko potoczyło się tak fatalnie, dlaczego nie znam obu mężczyzn w moim domu, dlaczego to wszystko, o mój Boże, w którego nie wierzę?

– Posłuchaj, Arnau. – Teraz Jordi znów próbował nawiązać dialog. Wykorzystał bezradne milczenie Tiny, żeby wtrącić swoje trzy grosze. – Wychowaliśmy cię w atmosferze wolności, byliśmy cały czas po twojej stronie, wspieraliśmy cię, kiedy tego potrzebowałeś, przekazaliśmy ci naszą wiarę w człowieka, w metysaż kulturowy i...

– Co mówisz?

– Że nauczyliśmy cię nie wierzyć w przesady, wyjaśniliśmy ci, że wielkość człowieka bierze się z uczciwości i że bycie dobrym polega na honorowej postawie wobec siebie samego i w stosunku do innych, zwłaszcza teraz, w świecie coraz bardziej zglobalizowanym, i że wszystko to, co Kościół tłoczył nam do głów przez całe wieki, to zwykłe oszustwo, sposób na utrzymanie władzy nad ludźmi. Czy nie wyjaśniliśmy ci tego wystarczająco jasno?

– Nikt mi nie wciskał wiary.

- Zostań ekologiem. Ale nie mnichem, tylko nie to, proszę.
- Ojczy...
- Nie miałeś w domu żadnych religijnych zaszczości, do jasnej cholery!
- Ale poza domem tak.

Kto cię przekabacił? zastanawiała się Tina. Kto cię zdybał i zawładnął twoją duszą, żebyś pełnił jego świętą wolę? Usłyszała, jak mąż mówi poważnym głosem, nieco teatralnym, Arnau, synu, byłem przekonany, że wychowałem cię w duchu sprawiedliwości i wolności, szlachetności i poczucia honoru, myślałem, że daliśmy ci dobry przykład. W tym momencie Tina, zbulwersowana, chciała rzucić mu się do oczu. Miała na końcu języka zamilcz, Jordi, nie masz prawa mówić o sprawiedliwości i wolności, o honorze i o szlachetności, skoro prowadzisz podwójną grę, kłamiesz i jesteś takim tchórzem, że ukrywasz przede mną nawet sny, bo już mnie w nich nie ma.

Troje nieznanym, jedno obok drugiego, podsumowała, troje obcych ludzi, którzy mieszkają razem od ponad dwudziestu lat, a teraz otwarcie przyznają, że mogliby sobie darować to wspólne życie, skoro tak marne okazały się jego efekty.

– Masz jakieś zastrzeżenia do naszego sposobu wychowania? – zapytała Tina słabym głosem.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale dałeś nam do zrozumienia – wtrącił się ojciec.

– Nie. Ale wydaje mi się, że interesowało was tylko, czy używam prezerwatyw i czy nie daję sobie w żyłę.

Uklucie trafiło prosto w serce Tiny. A ja myślałam, że, mój synu. Chociaż zajmujemy się wychowywaniem cudzych dzieci, nikt nas nie nauczył, jak wychowywać własne, i kiedy to sobie uświadamiasz, życie już cię wyprzedziło, dzieci odchodzą i nie dają ci drugiej szansy.

Widząc, że żona się zamyśliła, Jordi zepchnął z sofy doktora Żywago i usiadł na jego miejscu z ciężkim westchnieniem, z intencją wywołania współczucia. Nagle uderzył się dłońmi w kolana.

– To niedopuszczalne! – wyrzucił z siebie, próbując innej metody. – Ty mnichem? Ja miałbym mieć syna mnicha? – Podniósł się zde gustowany i spojrzał na Tinę, szukając u niej oznak poparcia. – Nie chcę, żeby mój syn został niewolnikiem.

– Nie jestem żadnym niewolnikiem. – Nadal mówił tym cichym, łagodnym tonem. – Pragnę nadać głębszy sens moim czynom.

– A studia dziennikarskie?

– Nie interesują mnie.

– A koledzy i koleżanki z waszego mieszkania?

– Oni mają swoje życie, a ja mam swoje. – Zdecydowanym tonem,

niepozostawiającym nawet cienia wątpliwości: – Za tydzień wstępuję do zakonu, czy to wam się podoba czy nie. – Spojrzał im w oczy. – Proszę tylko, o ile to możliwe, o wasze błogosławieństwo. – Pokręcił głową. – Przepraszam: żebyście to przyjęli do aprobowanej wiadomości.

– Niesłychane.

– Arnau, ja tylko chcę, żebyś był szczęśliwy.

Obyś chociaż ty był szczęśliwy, skoro nie możemy wszyscy troje, bo Jordi, skoro ukrywa przede mną swoje życie, najwyraźniej nie jest, a ja w dniu, w którym Renom zakomunikowała mi widziałam twego męża w Lleidzie, nieźle się trzyma, a on przecież wyjechał na dwudniową konferencję do Seu, a potem miał czelność zmyślać i opowiadać wrażenia, w tym dniu na zawsze pożegnałam się ze szczęściem, bo szczęście to żyć w zgodzie ze sobą, a Jordi zniweczył tę zgodę.

– Bardzo mi przykro, że nie potrafiłam cię wychować inaczej – westchnęła. Spojrzała na doktora Żywago, który zrewanżował się obojętnym ziewnięciem. Wtedy poczuła ukłucie, bardziej bolesne niż zwykle. To tylko nerwy, reakcja na szok.

– Żeby utracić syna w tak haniebny sposób... Nie zgadzam się. – Jordi próbował jeszcze walczyć.

Nie dotarło do ciebie, Jordi, że straciliśmy go już dawno temu, pomyślała zrezygnowana.

– Mam waszą zgodę?

– Tak.

– Mojej nie.

– Przykro mi, ale wstąpię do klasztoru nawet bez twojej zgody, ojcze.

– Kto o tym wie?

– Tak bardzo cię obchodzi ludzka opinia? – wybuchnęła.

– Jasne, że mnie obchodzi! – Zirytowany zwrócił się w kierunku Arnaua: – Wiesz? Nie chciałbym się najeść wstydu wobec... – Zrezygnowany: – Nieważne, zostawmy to, jesteś wolnym człowiekiem. Tyle lat walczyłem, żeby w społeczeństwie zapanowała sprawiedliwość, a mój własny syn...

Akurat ty się nawalczyłeś, prostaku, pomyślała Tina. Ludzie, o których pisze Oriol Fontelles w swoich dziennikach, walczyli naprawdę, ale ty i ja...

Jordi pocierał ręce, zdenerwowany, pokonany:

– A ci pieprzeni mnisi nie pofatygowali się nawet, żeby nas zawiadomić, że...

– Prosiłem ich, żeby się nie wtrącali. To ja jestem waszym synem, nie oni.

– To kiedy odchodzisz?

Mimo że czuła wściekłość, Tina już od jakiegoś czasu zastanawiała się, co powinien zabrać ze sobą syn, który wstępuje do zakonu, ile zmian bielizny, ile koszul i majtek, czy od razu dadzą ci sutannę czy jak to się tam nazywa. W takim surowym budynku, gdzie tyle przeciągów, na pewno będziesz bez

przerwy się przeziębiał, potrzebne będą ciepłe podkoszulki, a może powinnam ukradkiem przemyścić ci jakąś książkę, żebyś się nie nudził, albo suchą kiełbasę, gdyby nie smakowało ci klasztorne jedzenie. Czy będziemy musieli do ciebie mówić proszę księdza, ojczy, bracie, czy po prostu Arnau. Żeby tylko nie zmienili ci imienia, synu, bo nadaliśmy ci je na całe życie. Kiedy będziemy mogli cię odwiedzić, Arnau, synu.

Wargi pełne, idealne, w delikatnym ciemnoróżowym kolorze. Kości policzkowe lekko, prawie niedostrzegalnie wystające. Profil twarzy owalny, a na jego tle wybijają się oczy, nieprzeniknione od nadmiaru skrywanych historii. Na razie nie będzie zgłębiał ich tajemnic. Włosy...

– Powinnaś mieć tę samą fryzurę.

– Oczywiście. Nie pomyślałam o tym. Tak jest dobrze?

W życiu nie słyszał równie absurdalnego pytania.

– Jeśli czujesz się swobodnie. Ale pamiętaj, żeby na następną sesję uczesać się tak samo.

– O czym będziemy dziś rozmawiać?

– Nie ja. Ja muszę się skoncentrować. Ty mi coś opowiedz. O swoim dzieciństwie.

W dzieciństwie spotkało mnie nieszczęście, ponieważ mama nas opuściła, a ja nie wiedziałam dlaczego, dopóki brat nie wyjaśnił mi w tajemnicy, tylko przysięgnij, że nikomu nie powiesz, bo inaczej cię zabiję, że mama uciekła z jakimś panem. A co to znaczy, powiesz mi, Josep? Że nigdy już jej nie zobaczymy i dlatego tatuś jest taki wkurwiony. Co znaczy wkurwiony. Nie wiem dokładnie, ale jeśli komukolwiek powiesz, to cię zabiję, albo tatuś cię zabije. Masz, pocałuj krzyżyk i przysięgnij, że nikomu nie powiesz. Elisenda pocałowała krzyżyk i powiedziała przysięgam, że nigdy nie powiem wkurwiony. Nie, ten drugi sekret, to o mamie. Elisenda znów pocałowała krzyżyk i powiedziała przysięgam, nikomu nie powiem, że mama uciekła z jakimś panem. A potem płakała pięć dni i pięć nocy, bo zrozumiała, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Za krótko się znali, żeby opowiadać o tym malarzowi, więc milczała, wpatrując się w dal, próbując przypomnieć sobie twarz matki, wydobyć z przeszłości, z mgławicy wspomnień, ciemny kontur, oczy jak szpilki, niecierpliwe drżenie rąk. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje, i nie chcę wiedzieć. Wołanie mamó, gdy nie słyszysz w odpowiedzi słucham cię córeczko, pozostawia w ustach słodko-gorzki posmak i zasnuwa wspomnienia mgłą.

Przez pół godziny ani malarz, ani modelka nie otworzyli ust. Odkryli, że dobrze im się razem milczało, jedno w bliskiej obecności drugiego. Że nie trzeba koniecznie wypełniać pustki przy pomocy nieśmiałych słów. Odkryli przyjemność pozostawiania w ciszy, sam na sam ze swoimi myślami. Elisenda pewnie nadal wspominała swoją matkę, której ślad zatarł się w pamięci, a Oriol przypominał sobie dzień, kiedy tu dotarł z Rosą. Ona z walizkami i z jeszcze

niewidocznym brzuchem w astmatycznej taksówce, on za nią na motorze. Podróż z Barcelony ciągnęła się bez końca, najpierw w ciemności poranka, przez następną godzinę w słońcu i upale, pod znakiem ogromnego zmęczenia od chwili, gdy minęli Balaguer i obrali kierunek na miejscowość tak odległą od świata, że nie mogły tam zagrzeć miejsca ani troski, ani radości.

Ledwie żywi dotarli w południe na Rynek Toreny, przechrzczony na plac Hiszpanii, i wyładowali swój dobytek z taksówki, parę talerzy, parę książek, trochę ubrań oraz portret Rosy, nie wiedząc, gdzie pójść, bo na placu nie znaleźli żywej duszy, choć czuli na karku palące, ostre jak brzytwa spojrzenia wymierzone w nich zza okien.

– Tamten budynek w głębi to chyba szkoła – powiedział Oriol, starając się wykrzesać z siebie nieco optymizmu. Zostali sami, bo dychawiczna taksówka już zjeżdżała w dół szosą do Sort, na soczystą paellę. O ile w tych okolicach wiedzą, co to takiego paella.

– Mieszkanie nauczyciela powinno być koło szkoły.

– Tak przypuszczam.

Ruszyli przed siebie niepewnym krokiem, obładowani bagażem, oddalając się od placu. Niewielki budynek szkolny znaleźli w miejscu, w którym kończyło się miasteczko i zaczynał górski krajobraz. W tym czasie Valentí Targa, siedząc w ratuszu, już wiedział, że przyjechał nowy nauczyciel i właśnie szuka mieszkania. Zaciągnął się papierosem, połknął dym i powiedział wcześniej czy później będzie musiał tu przyjść.

Nauczycielskie mieszkanie okazało się małą klitką daleko od szkoły, po drugiej stronie Rynku, z wąskimi okienkami, których jedyne zadanie polegało na utrzymaniu wnętrza w wilgoci i ciemności, oświetloną dwiema żarówkami dwudziestopięciowatowymi, wyposażoną w łóżko, szafę z lustrem i zlew do mycia fajansowych naczyń, przywiezionych przez Rosę w wiklinowym koszu. Smętna i uboga nora.

– Mówiłem ci, że nie musisz ze mną jechać – powiedział – dopóki ja...

– Miałabym cię zostawić samego?

Rosa rozejrzała się po tej namiastce domu. Powolnym krokiem ciężarnej kobiety podeszła do męża i pocałowała go w policzek.

– Najważniejsze, że mamy pracę.

Najważniejsze, że mieli pracę, mimo że musieli jej szukać na końcu świata, mimo że wiedzieli z góry, że pierwszeństwo mają weterani. Ale zwycięskich weteranów nie ciągnęło na koniec świata, gdzie nie mogły zagrzeć miejsca ani troski, ani radości, i nadal walczyli, tym razem o posadę w dużych miastach, powołując się na swoją wierność nowemu ustrojowi. Posada nauczyciela w Torenie nie została obsadzona, bo nikt nie miał pojęcia, gdzie może leżeć jakaś tam Torena. Oni też nie wiedzieli. Chodziły słuchy, że w dwudziestotomowej encyklopedii, która znajduje się w parafii Santa Madrona w dzielnicy Poble-

Sec, jest absolutnie wszystko. Dlatego Oriol Fontelles i jego żona zajrzeli do niej podekscytowani, chcąc się czegoś dowiedzieć o miejscowości, która im się trafiła, kiedy już stracili nadzieję, że młody nauczyciel, który podczas wojny nie walczył po żadnej stronie z powodu jakże fortunnego wrzodu żołądka, który nie odbył służby wojskowej przez ten sam wrzód, w ogóle ma szansę na jakąkolwiek pracę. A dwudziestotomowa encyklopedia informowała, że Torena to sielski zakątek niedaleko Sort, w komarce Pallars Sobirà, w którym mieszka trzysta pięćdziesiąt dziewięć osób, według ostatniego spisu ludności (plus około dwudziestki emigrantów i trzydzieści trzy ofiary wojny: dwie osoby, gdy tylko wybuchła faszystowska rebelia, a pozostali polegli w czasie konfliktu zbrojnego. I jeszcze cztery osoby, które miały umrzeć, choć jeszcze o tym nie wiedziały, również z powodu wojny, i nie pojawiali się w żadnej statystyce, bo tylko Pan Bóg wie, co wydarzy się jutro). Najważniejsze uprawy to ziemniaki (najczęściej), pszenica na własny użytek, żyto, jęczmień, parę jabłoni na ugorze Sebastiana (gdzie miały zostać popełnione pewne zbrodnie) i gdzieś tam, przy słonecznych miedzach, parę główek kapusty i kilka zagonów szpinaku. Ponieważ okolica obfituje w naturalne pastwiska, jest spore pogłowie rogacizny i owiec. Miasteczko jest usytuowane na wysokości tysiąca czterystu ośmiu metrów nad poziomem morza względem poziomu Alicante (i jest tam nieprzyzwoicie zimno. Nawet latem potrzebny jest sweter). Poza kościołem parafialnym pod wezwaniem Świętego Piotra jest jeszcze szkoła, do której uczęszcza czterdzieścioro dzieci z miasteczka i okolic (wyjątkiem jest Tudonet z domu Farinós, chłopiec upośledzony pod każdym względem, którego rodzina woli nie pokazywać).

– Oaza spokoju – podsumował Oriol, zamykając encyklopedię, bez cienia ironii w głosie, bo on, w przeciwieństwie do Bibiany, nie umiał przewidywać przyszłości. – Dobrze ci zrobi na płuca.

Parę dni po podjęciu decyzji uczeplił się myśli, że dla niej byłoby lepiej zostać w Barcelonie, że tam w górach jest bardzo zimno, i że dopóki nie urodzi, to znaczy teraz, lepiej nie. Ale Rosa się postawiła i powiedziała twardo, że pojedzie tam gdzie on, i jeżeli będzie musiała urodzić w górach, to urodzi w górach, tak jak wszystkie kobiety w Torenie. Koniec dyskusji. I przestali dyskutować.

No, a teraz już byli w tej oazie zimna i spokoju. Stali obładowani książkami i patrzyli na wypchany strąkami siennik, który miał im służyć za materac, i na ściany w kolorze kawy z mlekiem, okopcone w ciągu długich lat palenia drewnem.

– Jaka przyjemna cisza, prawda? – zakaszła Rosa, wycierając nos chusteczką.

– Tak – westchnął. – Jaka przyjemna cisza.

Odłożył książki na łóżko i oboje zaczęli się zastanawiać, jak może działać piecyk na drewno. Usłyszeli hałas silnika. Przez miniaturowe okno dostrzegli czarny samochód, który zatrzymał się na środku pustego placu. Zaczęli z niego wychodzić mężczyźni, o cholera, wyglądają na falangistów.

– O Matko Boska.

Trzech. Nie, czterech młodych falangistów, wszyscy identycznie uczesani, z przedziałkiem, hałaśliwie zatrzasnęli drzwi i zniknęli po przeciwnej stronie placu, niewidocznej z ich okna. Odebrało im mowę. Milczeli. Wiadomo, taki zdecydowany na wszystko oddział falangistów nie wróży niczego dobrego.

Valentína Targę Oriol poznał kwadrans później, kiedy stawił się w ratuszu, żeby oficjalnie objąć posadę, nim ktokolwiek, gdziekolwiek zdąży zmienić zdanie. Oriol Fontelles i Valentí Targa, kat Toreny, po raz pierwszy rozmawiali ze sobą w gabinecie, niewielkim pomieszczeniu w kolorze wyblakłej zieleni, z podziurawionymi przez korniki meblami ustawionymi na czerwonej posadzce. Pan burmistrz, też w mundurze falangisty, z podwiniętymi rękawami koszuli, nosił cienki wąsik nad górną wargą i miał wilgotne, niebieskie spojrzenie, kontrastujące z czarnym kolorem włosów. Na twarzy już zaznaczyły się pierwsze zmarszczki, ale cała jego osoba emanowała energią, nader dobitnie uzasadniającą miano kata Toreny. Dwaj umundurowani mężczyźni, z tych, którzy przyjechali czarnym samochodem, weszli do gabinetu i zaraz szybko go opuścili, nie pytając o pozwolenie i nie zwracając uwagi na Oriola, jakby był mrówką. Rozmawiali po hiszpańsku. O wszystko można obwinić dwudziestotomową encyklopedię w parafii Santa Madrona w dzielnicy Poble-Sec, która nie uprzedziła ani Rosy, ani jego, że poza licznymi zaletami zdrowotnymi Torena miała jedną wadę – nad kilkoma mieszkańcami wisiła śmierć, której już bardzo się spieszyło.

– Zakładam, że po obiedzie zobaczymy się w kawiarni – podsumował krótką rozmowę o pracy burmistrz. – Dziś i każdego dnia, również w dni wolne od zajęć.

Oriol nie od razu się zorientował, że właśnie otrzymał rozkaz, i zaczął tłumaczyć, że oboje są teraz bardzo zajęci, że muszą posprzątać dom, poukładać ubrania w szafach, to znaczy w szafie, i że może innym razem.

– O trzeciej w kawiarni – odpowiedział na to pan Valentí i odwrócił głowę, dając do zrozumienia, że nie widzi nikogo w gabinecie. Wtedy dotarło do Oriola, że usłyszał rozkaz i odpowiedział tak, panie burmistrzu. Spojrzał na portrety Franco i Joségo Antonia na ścianie za burmistrzem i pomyślał tylko, że tym ścianom przydałaby się świeża warstwa farby. W gospodzie Marésa paru mężczyzn spędzało wolny czas, zapewniając półgłosem, że nie ma żartów, pan Valentí kupił właśnie połowę stoku Tuca Negra, który należał do domu Cascant, i że właściciele wcale nie zamierzali go sprzedawać. No więc kiedy ktoś doniósł na Tomàsa, że ma republikańskie poglądy, od razu ta część Tuki jakimś

cudem została wystawiona na sprzedaż, prawem kaduka. Tak. Ale ja słyszałem, że to nie on kupił. Szybko zmienili temat rozmowy, bo właśnie wchodził burmistrz, jak zawsze o tej porze, żeby w milczeniu wypalić papierosa przy stole, gdzie poza panem Valentínem Targą, burmistrzem i lokalnym przywódcą Ruchu Narodowego w Torenio, siedział jeszcze jeden z jego towarzyszy, mężczyzna z ciemnymi kręconymi włosami, który też się nie odzywał, jak gdyby obaj niecierpliwie, w milczeniu na kogoś czekali. Oriol, który dołączył do nich o trzeciej, obserwował, że również pozostali nieliczni mężczyźni w lokalu zamilkli, grając spokojnie w remika i obserwując, z kim będzie trzymał ten nowy.

Wieczorem w domu nauczyciela, o którym już wszyscy wiedzieli, po czyjej jest stronie, Oriol i Rosa, która z trudem powstrzymywała kaszel, kochali się na materacu wypchanym strąkami, ostrożnie, ze względu na ciążę, ale przede wszystkim starając się nie hałasować, by zachować tę urokliwą ciszę idyllicznego zakątka. Od tego dnia drżały mu ręce, może w przeczuciu tego, co miało się wydarzyć. Ręce. Trzy rzeczy najtrudniejsze do namalowania na portrecie to ręce, oczy, a przede wszystkim dusza. Ręce Elisendy były jak dwie białe turkawki zatrzymane w locie, eleganckie, pewne siebie, idealnie ukształtowane. Niebawem trzeba będzie się za nie zabrać. Oczy na samym końcu, kiedy już przestaną go zawstydzają. I dusza, no tak, ale to już nie zależało od niego. Albo wchodziła w płótno z własnej woli, albo pozostawała na zewnątrz z grymasem pogardy.

– Oriol, przerwijmy na chwilę.

– Bardzo dobrze.

– Może zaprosisz Rosę na herbatę? – zaproponowała Elisenda, wstając i przeciągając zdrętwiałe ramiona ze swobodą, która speszyła Oriola. – Chcesz, żebym po nią poszła?

Chce się przede mną bronić? Boi się mnie?

Wobec niezdecydowania Oriola zadzwoniła na Bibianę i kazała wysłać Jacinta po żonę pana Fontellesa, jeśli będzie uprzejma przyjść. Bardzo dobrze, Jacinto, świetnie się spisał.

- Montse Bayo? To idiotka.
- Ślinisz się na sam jej widok.

Marcel nie zareagował na tę impertynencję i zamknął jej usta namiętym pocałunkiem, który pozbawił ją tchu. Teraz on tu rządził, był na swoim terenie. Zbliżała się ósma wieczór, ale gra wstępna ma swoje prawa, należało przestrzegać zasad i dlatego jej pytanie, skąd to wszystko się wzięło, skłoniło go do spojrzenia świeżym okiem na bibeloty nad kominkiem.

- Nie wiem. Zawsze tu stały.
- A ten zegar...

Wskazała złoty zegar na kominku z rzeźbionymi aniołkami po obu stronach tarczy, który wydzwaniał godziny dyskretnie, jakby się pogodził z tym, że ton nadaje jego szacowny kolega wiszący na ścianie.

- Co z nim nie tak?
- Jest uroczy. Skąd wiesz, że nikt nie wejdzie?
- Ale przynudzasz. Dlaczego o to pytasz?
- Moglibyśmy pójść na górę.
- Dokąd?
- Do twojego pokoju.
- Po co? – Odwrócił się w jej stronę. – Chcesz się pobawić kolejką elektryczną?
- Też coś... – Lisa opadła na fotel z obrażoną miną, obliczoną na efekt. – Skąd wiesz, że nie pojawi się twoja matka i...

- Nie pojawi się – uciał Marcel. – Dlaczego cię to interesuje?

Lisa wstała i zdjęła koszulę. Pod spodem miała wełniany podkoszulek marki Stadler, jeden z tych, które jej rodzice kupowali w Zurychu.

- Będzie mi gorąco, skoro zostajemy przy kominku.
- Mnie też. – Teraz Marcel ściągnął sweter i koszulę. Jego podkoszulek, też wełniany, miał metkę lokalnej firmy z Mataró, La Pastora.
- Gdyby teraz weszła twoja matka i zobaczyła, jacy jesteśmy rozgrzani... – Roześmiała się bardzo, ale to bardzo nerwowo.

- Jest w Madrycie.
- Ładna jest.
- Kto?

Lisa wskazała portret wiszący na honorowym miejscu nad kominkiem. Elisenda elegancka, bardzo młoda, ale już z tą charakterystyczną elegancją, trzymała książkę w dłoniach i patrzyła przed siebie, patrzyła na nią pełnymi

życia, błyszczącymi oczami, które zdawały się mówić do niej Liso, dziewczyno, chcesz uwieść mojego syna, ale nie jesteś go warta.

– Taka z niej pobożnisia, że pewnie by padła na miejscu, gdyby nas zobaczyła.

Raczej ty byś padła, pomyślał Marcel. Mam wrażenie, że chciałabyś, żeby ktoś nas przyłapał. Ale z ciebie dziwka, dodał w myślach. Z galanterią pocałował ją w rękę. Wyciągnęła stopy do ognia, starając się przeciągnąć ten moment, bo to całowanie po rękach bardzo jej się podobało. Ale żaden pocałunek nie trwa wiecznie.

– Gdzie nauczyłeś się tak świetnie jeździć na nartach?

– Nie pamiętam, od ilu lat tu przyjeżdżam. Wpadam, kiedy tylko mogę.

– Tak, ja też od dawna... – Spojrzała mu w oczy. – Ale jednak ty...

– Dla mnie śnieg jest całym życiem. Góry, drzewa przygięte pod śnieżną czapą, cisza, świst nart, wiatr, który zapiera dech... A ludzie zostają daleko, jak punkciki, które nie mówią, nie krzyczą, nie wkurzają człowieka... To dopiero jest życie. – Odłożył koszulę na fotel. – Na wysokości dwu tysięcy stu metrów jestem bogiem.

Lisa patrzyła na niego z otwartymi ustami. Zrobiła na niej wrażenie ta deklaracja zasad. Marcel patrzył z satysfakcją, jak łatwo udaje mu się owinąć Lisę Monells wokół palca. Nagle dziewczyna się poruszyła i zanim się zorientował, już ściągnęła spodnie kombinezonu narciarskiego. Wyłoniły się białe, krągłe, gładkie, idealne nogi, z dołeczkami przy kolanach, niczym zapowiedź szczęścia.

– Ciepło tu przy kominku.

– Chcesz whisky?

– Nie. Nie teraz.

Chciała przez to powiedzieć, że może później, jeśli wreszcie dotrzemy do tego później, bo z całego wydziału prawa, niech sobie Montse mówi co chce, ty jesteś najbardziej opieszałym facetem, jakiego kiedykolwiek wzięłam na tapetę.

Lisa, niby w żartach, rozpięła Marcelowi pasek i śmiejąc się, jednym ruchem zdjęła mu spodnie.

– No już – śmiała się. – Gorąco tu. Żebyś tylko nie złapał odry.

Owłosione, śniade, silne, muskularne, atletyczne nogi Marcela Vilabru. Dokładnie takie, jak je opisywała Montse Bayo.

Złączyli uda, żeby porównać kolor skóry. Wyglądasz jak Murzyn, Marcel. On zaczął delikatnie pieścić jej udo, a Lisa pomyślała no wreszcie, do cholery, co z ciebie za facet, Marcelu Vilabru. Żeby podtrzymać konwersację, zadała pytanie masz tu w miasteczku przyjaciół, a on zrobił minę no co ty, ja, tu, chyba zwariowałaś.

– Bo skoro mówisz, że w każdy weekend tu przyjeżdżasz...

– Tutejsi ludzie śmierdzą stajnią.

– I kto to mówi. – Lisa zaczęła bronić mieszkańców Toreny. Dodała oskarżycielskim tonem: – Ty też jesteś stąd.

– Urodziłem się w Barcelonie. – Ujął jej nogę za lewe kolano, na wysokości dołeczka. Jaki ładny. – Ja tylko przyjeżdżam na narty i w odwiedziny do matki – usprawiedliwiał się. – I żeby powłóczyć się po górach.

Oświadczenie Marcela Vilabru trochę rozmijało się z prawdą. Faktycznie, nie zadawał się z mieszkańcami miasteczka, poza Xavim Burésem, który studiował agronomię w Szkole Przemysłowej. Faktycznie, kiedy tylko mógł, przyjeżdżał do Toreny i spędzał czas w stacji narciarskiej Tuca Negra. A tam całymi dniami jeździł na nartach, wyładowując nadmiar energii, sam albo z Quique, jeśli ten akurat nie miał kursantów. Ale z Quique też się zadawał. Tak bardzo się zaprzyjaźnili, że dwa lata temu, kiedy dostał się na studia, uczcili to, zjeżdżając z Montorroio stylem dowolnym dzikim szlakiem, na przełaj, ze świadomością, że w każdej chwili mogą się rozbić jak jajka na patelni, a on nadrabiał miną, przekonany, że Quique wystawia go na próbę. I później, kiedy dotarli do klubu podnieceni przygodą, jednocześnie przemarznięci i spoceni, weszli pod prysznic i tak długo stali pod strumieniem gorącej wody, aż Quique zaczął żartować masz siusiaka małego jak groszek i tak długo baraszkowali pod wodą, że ich siusiaki przestały wyglądać jak groszki i Quique po raz pierwszy mu obciągnął, inaugurując doświadczenie, które w życiu Marcela miało się powtórzyć jeszcze trzysta dwadzieścia jeden razy, ale z wrażenia opuścił dwa długie weekendy, zastanawiając się czyżby był pedałem, skoro mu się podobało i aż się rozplakał, bo on nie chciał być pedałem, i wtedy postanowił zaliczać wszystkie kobiety, jakie się nawiną, żeby udowodnić samemu sobie nie mam nic z pedała, i stąd się wzięła jego popularność wśród dziewczyn z wydziału. Najdziwniejsze jest to, że było mi dobrze, kiedy mi obciągnął, a Quique aż sapał, kiedy ja. Nieważne. Nie wrócili więcej do tego tematu, ale Marcel od tamtej pory nie brał już prysznic w szatni instruktorów, tak na wszelki wypadek.

Ciągle pieścił prawe kolano Lisy Monells, żeby odpędzić wspomnienie dyszącego pod prysznicem Quique. W nagłym porywie ściągnął jej podkoszulek Stadlera przez głowę, przy jej dyskretnej pomocy, a ona to samo zrobiła z jego podkoszulkiem, i wtedy on, napalony, próbował odpiąć klamerkę stanika. Lisa Monells myślała patrzcie go, świetny narciarz, najbardziej rozchwytywany student trzeciego roku, mimo że miał poprawkę z cywilnego na pierwszym i z karnego na drugim, mimo że trzyma się z daleka od rozpolitykowanych kolegów, którzy zaczynali organizować samorząd studencki, a on na nich patrzył z politowaniem, jakby chciał powiedzieć jesteście naiwni, nie warto, i mówił odczepcie się ode mnie, ja nie chcę się narażać, gdzie narty, gdzie polityka; miał powodzenie, bo miał pieniądze i mógł

bez problemu zaprosić cię na kawę z mlekiem albo na whisky; mówiono o nim, że ma kupę forsy i niebywałe doświadczenie w sprawach łóżkowych, był przystojny, miał przepiękne dłonie i oczy takie, że tylko się zakochać, i żeby tymi pięknymi dłońmi facet nie potrafił rozpiąć stanika, to żenada i strata czasu. Lisa musiała odsunąć jego rękę i jednym krótkim i precyzyjnym ruchem rozpięła klamerkę, zdjęła biustonosz i z dumą zademonstrowała oba swoje skarby, bo już nie mogła się doczekać, żeby sprawdzić, jakie wrażenie zrobią na Marcelu Vilabrú; ciekawe, czy da się to wyczytać w jego oczach, zresztą nieważne, wystarczyło, żeby Marcel na nią spojrzął, a już czuła ten szczególny, rozkoszny dreszcz. A poza tym, niewiele jej brakowało, żeby wygrać zakład z Montse Bayo. I wtedy zadzwonił telefon.

– Tak, mammo.

Marcel przeklął staroświeckie zwyczaje domu Gravat, w którym znajdował się tylko jeden aparat, jak w neolicie. Stał w napiętych spodenkach, wyraźnie podniecony, a przed nim Lisa, wdzierając się w koronkowych majtkach, słuchała, jak powtarza tak, mammo, tak, mammo. Oczywiście, że jestem sam, właśnie wybierałem się do łóżka, nie pamiętasz, że jutro zamierzam zaliczyć całą trasę w Tuca Negra? Tak, będzie ze mną Pere Sans i Quique, tak. A tymczasem Lisa wstała i zaczęła przed nim robić striptiz, zdejmując powoli majtki i dusząc się ze śmiechu, a on miałby ochotę popatrzeć, ale ustawił się twarzą do ściany, żeby się skupić i mówił, że wraca w poniedziałek, żeby rano przysłała po niego Jacinta, tak, w poniedziałek nie ma zajęć, jest strajk, tak. Ależ oczywiście, będę ostrożny, przecież wiesz, że znam trasę jak własną kieszeń. Aha, Quique mówił, że na wysokości dwa tysiące trzysta można by zrobić świetną czarną trasę w kierunku Batllii, tylko trzeba zbudować wyciąg krzeselkowy i wysadzić w powietrze parę skał. Tak, mammo. Odłożył słuchawkę, stojąc twarzą do ściany i przeklinając własną matkę w żywy kamień. Zadzwoniła z Madrytu tylko po to, żeby go kontrolować i narobić mu wstydu przed obcymi, ktokolwiek by to był, bo Marcel miał pewność, że matka nie uwierzyła w ten strajk i na pewno zrobi mu awanturę w poniedziałek wieczorem, jeśli przed powrotem do domu Gravat zatrzyma się w Barcelonie, i Marcel wiedział też, że ona wie, że nie skłamał, kiedy jej powiedział, że właśnie się wybierał do łóżka.

– Tak, mammo.

Marcel odwrócił się, upokorzony ironią w głosie Lisy parodiującej jego tak, mammo. Dziewczyna zdjęła już majtki i kręciła nimi na jednym palcu. Jaka ta Lisa jest słodka. Rzucił się na nią i oboje upadli na podłogę, ale on pod pretekstem, że trudno się zrelaksować na twardej powierzchni, podporządkował się temu, co los zadekretował już parę godzin wcześniej, i poszli do łóżka. Ale nie z powodu niewygodnej posadzki, tylko z powodu magicznego spojrzenia młodej, szczupłej Elisendy z obrazu nad kominkiem, której obecność całkiem

go rozbierała. Zdecydowali się na majestatyczne łoże matki, w pokoju, gdzie przyjemną temperaturę zapewniało centralne ogrzewanie, gdzie ściany przesiąkły wszystkimi koszmarami dziesięciu pokoleń rodu Vilabru, ale najważniejsze, że w sypialni nie wisiły portrety, pod których wzrokiem czuć się niezręcznie, które by ci przypominały, że twojej matce zebrało się akurat na dewocję i ciągle zadaje się z biskupami i księżmi i ma obsesję na punkcie świętych i błogosławionych i gdyby zobaczyła, jak się pieprzę z Lisą Monells, wygłosiłaby mi kazanie na temat grzechu, skruchy i postanowienia poprawy. A gdyby mnie zobaczył ksiądz August, biedaczek, to szlag by go trafił na miejscu.

Trzeci mężczyzna dał znak lewą ręką. Zdawał sobie sprawę, że pozostali dostrzegą go pod warunkiem, że jego sylwetka nie wtopi się w śnieżne tło, i dlatego stanął na środku zasypanej śniegiem łąki. Ale zdawał sobie również sprawę, że jeżeli jego towarzysze będą go widzieli, to wrogowie też. Przekonał się o tym, kiedy kula zmasakrowała mu pół twarzy. Nawet nie zdążył opuścić lewego ramienia. W krajobrazie jak z szopki bożonarodzeniowej na białym śniegu o piątej po południu szóstego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku utworzyła się ciemna plama krwi pierwszego partyzanta, który poległ w dolinie Isil w walce z faszyzmem. A jego towarzysze nie odpowiedzieli amen, tylko wycedzili przez zęby przekleństwo, bo pułkownik Nerval zapewniał ich, że na posterunki straży natkną się dopiero po południowej stronie Isavarre. Drugi mężczyzna dał znak porucznikowi i zniknął w ciemności. Porucznik Marcó domyślił się, że poszedł sprawdzić, kto wstrzymał ich marsz. Obrzucił spojrzeniem swoich ludzi, trzydziestu nieogolonych mężczyzn, z determinacją w oczach, nieskłonnych do uzalania się nad sobą. Przez chwilę czuł się dumny jako dowódca tej jednostki, ale to uczucie mieszało się z lękiem i z bolesnym wspomnieniem o Pacu, bo tak się nazywał mężczyzna, który zabarwił na ciemno śnieg na łące po drugiej stronie szosy, a tymczasem drugi mężczyzna już mu szeptał do ucha droga wolna, już ich załatwiłem, to tylko dwóch żołnierzy.

Trzy patrole przeprowiły się przez rzekę, przeszły przed stanowiskiem straży, o której ten pieprzony Nerval ich nie poinformował i która składała się z dwóch martwych żołnierzy, dwóch mauzerów, skrzynki nabojów i garnka z zamrożonym grochem. Dwaj partyzanci szybko skonfiskowali strzelby, a trzeci skrzynkę z amunicją, bez hałasu, z wprawą, i nikt się nie uzalił nad losem dwóch żołnierzy z poderżniętym gardłem, mimo że tacy młodzi, bo mieli za zadanie dotrzeć jak najszybciej tam, gdzie pierwszy mężczyzna musiał już chyba odmrozić sobie nogi od długiego czekania.

– Co to był za strzał? – zapytał tamten, przytupując, żeby rozgrzać zmarznięte stopy.

– Miałeś żołnierzy w odległości mniejszej niż sto metrów.

– Strzał słyhać było z daleka. Zaraz będziemy tu mieć ciężarówkę. Muszą być w Borén. Albo i bliżej.

– Trzeba to wykorzystać.

– A most?

– Niech tam idą trzej pirotechnicy. Będą mogli spokojnie pracować, masz

moje słowo. – Do wszystkich mężczyzn: – Zajmijcie pozycje i przygotujcie granaty. – I tak jak matka, która wyprawiając dziecko do szkoły, owija mu szalikiem nos i szyję, zakłada na plecy tornister pełen książek i nadziei i ostrzega, żeby uważało, przechodząc przez ulicę, tak porucznik Marcó szeptem ostrzegł cały oddział: – Uważajcie na krzyżowy ogień.

Nie jedna, a trzy. Trzy ciężarówki pełne żołnierzy. A więc trzymali wojsko w pobliżu Esterri. Oni, mimo że spędzili popołudnie ukryci w spichlerzu, czekając na zmierzch, nic wcześniej nie zauważyli. Powoli, ale nieubłagane ciężarówki się zbliżały, jedna za drugą, jak na procesji, oświetlając słabym światłem reflektorów białą wstęgę wąskiej drogi, z karabinem maszynowym nad kabiną kierowcy pierwszego pojazdu. Jechały na północ, w stronę niewidzialnego wroga, z majorem, który wyklinał tych pieprzonych partyzantów kurwa ich mać, gdyby to ode mnie zależało, rozprawiłbym się z nimi w jeden dzień.

Porucznik Marcó przepuścił pierwszą ciężarówkę, a jego podekscytowanych ludzi ogarnęła gorączka, kiedy zrozumieli, że daje im wojnę na śmierć i życie. To nie będzie zwykła zasadzka, która skończy się szybką ucieczką, i niejednemu z nich przeszło przez myśl, co ja tu robię, umierając ze strachu, z zimna, o krok od śmierci. Ukradkiem obserwowali porucznika, który czarnymi, błyszczącymi oczami śledził szosę i w chwili, gdy minęła ich druga ciężarówka, a zaraz za nią, niemal przyklejona do poprzedniej, trzecia, dał znak i pięć granatów wpadło na pakę tej trzeciej, a dwa kolejne wrzucili do kabiny szofera. Po trzech czy czterech sekundach rozległa się seria wybuchów, a później krzyki, płomienie, przekleństwa, które zabarwiły noc bólem, i ciężarówka zatarasowała drogę, uniemożliwiając wycofanie się pozostałym dwóm, tak jakby jej szofer, z obiema rękami amputowanymi przez granat, przeszedł na stronę ruchu oporu.

Dwaj partyzanci przydzieleni do obsługi karabinu maszynowego, tuż przy drodze, kiedy usłyszeli rozkaz porucznika Marcó, puścili serię w stronę obu ciężarówek, z których wyskakowali żołnierze, ale mimo że uciekali, szukając ocalenia na białej, pokrytej śniegiem powierzchni, zmierzali prosto w objęcia śmierci, bo nie zdawali sobie sprawy z podstawowej zasady zasadzki, polegającej na takiej kalkulacji przewidywalnych działań, żeby zmusić przeciwnika do wypełniania co do joty naszego planu, w sposób niewiarygodnie dokładny, i tak się wygrywa potyczkę, bo to my przesuwamy pionki na szachownicy i my jesteśmy czymś w rodzaju boga, a oni, no właśnie, potulnie idą w procesji. Nawet Aureli Camós z gminy Agramunt, który walczył nad Ebro po stronie republikańskiej, a kiedy wrócił do domu, znów został powołany do wojska przez frankistów, którego dwaj bracia wyemigrowali, a on sam sięgał pamięcią zaledwie dwadzieścia trzy lata wstecz, zeskoczył z ciężarówki i roztrzaskał się o swoje tragiczne przeznaczenie. A rozwścieczony major z pierwszego wozu za późno zdał sobie sprawę, że karabin maszynowy

umieszczony na początku konwoju jest całkiem bezużyteczny, bo jeśli będzie strzelać do tyłu, zmiecie własnych żołnierzy i tylko wyklinał tych pieprzonych partyzantów, kurwa ich mać, i też pobiegł przed siebie na spotkanie śmierci na białym śniegu, stosując się do elementarnej instrukcji postępowania w warunkach zasadzki.

Dwudziestu trzech zabitych, pięćdziesięciu dwóch zaginionych w śniegu, w wąwozach, w lodowatej wodzie Noguery, w niesławie, osiemdziesiąt karabinów, dwa karabiny maszynowe, trzy duże skrzynki amunicji, jedna krótkofalówka, sto granatów, jedna szwajcarska brzytwa wojskowa pobrudzona krwią i duma, wszystko to odebrał frankistowskiemu wojsku oddział partyzantów, żeby przekazać antyfaszystowskiej armii wyzwolenczej. I dwadzieścia par skonfiskowanych kamaszy. Kwadrans strzelaniny, krzyków i zamieszania pod lodowatym spojrzeniem czarnych jak węgiel oczu porucznika, dziesięć minut na zabranie łupu i całe życie na to, by uciekać, wspinając się między spichlerzami Risé, i jeszcze wyżej, aż do Pic de Pilàs i brnąć dalej, już o wschodzie słońca, z rakami na butach, w oskarżycielskim świetle dnia, by przybyć ostatkiem sił przez Mont-roig na granicę z Francją. Ale nie wszyscy poszli w góry z poczuciem spełnionego obowiązku. Jeden oddział pod dowództwem porucznika pozostał ukryty w jaskini, żeby obserwować, co będzie dalej.

Generał Sagardía. Ten sam generał Antonio Sagardía Ramos, były dowódca sześćdziesiątej drugiej dywizji Korpusu Nawarry, który zasłużył z nawiązką na miano rzeźnika Pallars, a teraz właśnie odbywał nieoficjalną wizytę w strefie, gdzie zyskał tę sławę, na widok leżących na śniegu pokaleczonych zwłok skrzywił się zdegustowany i zwracając się do podpułkownika, który mu asystował, stwierdził, że winę ponosi niekompetentny major, który właśnie przed nim spoczywał, bez oka i bez życia, ale z gwiazdką na czapce, bo dał się złapać w najbardziej prymitywną partyzancką zasadzkę. A mnie tymczasem odsyłają do rezerwy.

Efekt był zgodny z przewidywaniami partyzantów: zwiększono środki ostrożności w tej dolinie, kosztem innych miejsc. Kiedy główne siły inspekcyjne wracały z poległymi i z częścią żołnierzy, którzy uciekli ze strachu, i kiedy ciężarówka z załogą znalazła się na moście Àrreu, porucznik o oczach czarnych jak węgiel powiedział teraz! Jeden z jego ludzi wystrzelił w powietrze racę i po dwudziestu sekundach most z dwoma jeepami i ciężarówką wyleciał w powietrze wesoło, jakby to chodziło o pokaz sztucznych ogni. Porucznik Marcó wiedział, że od tej chwili oddziały, których strefa działania rozciągała się między Isil i Collegats, będą miały ciężkie życie, między innymi dlatego, że odcięto im odwrót przez przełęcz Salau, i w trosce o bezpieczeństwo będą musiały nakładać drogi przez Espot, Estanyets i Montsent.

- Malowanie to pedalstwo.
- Dla mnie to rozrywka. Oderwanie od rutynowej pracy w szkole.
- I co? Chciała cię zbałamucić?
- Co proszę?
- Czy pani Elisenda sugerowała ci seks.

Czy pani Elisenda sugerowała mu seks... Ostatnia sesja przysłała, jak przychodzi w życiu wszystko, co sprawia ból, i Oriol, kiedy już poprawił odcień fałd sukni, kiedy zadumał się nad tymi oczami pełnymi życia, które powstały na płótnie, kiedy sobie uświadomił, że niemal płoną ogniem, westchnął, wycierając pędzle szmatką i patrząc w sportretowane oczy, oświadczył wydaje mi się, że nie mam już nic do dodania. Skończyłem, Elisendo. Elisenda szybko wstała. Podeszła do płótna i przyglądała mu się przez długą minutę w milczeniu. Oriol miał przed sobą oczy, które za jego sprawą potrafiły przewiercić duszę na wskroś, a za sobą zapach, który go prznosił w nieznane rejony. Zaczęła okłaskiwać obraz delikatnymi, finezyjnymi dłońmi, które pachniały nardem.

- To prawdziwe dzieło sztuki – powiedziała wzruszona.
- Nie wiem – odpowiedział ostrożnie Oriol – ale włożyłem w to serce.

Oszołomiony Oriol niemal umierał z upojenia, kiedy poczuł, jak intensywny prąd elektryczny przebiega mu przez kręgosłup, bo właśnie położyła dłoń na jego ramieniu i nie cofnęła jej. Niespodziewanie pochyliła się, ukazując przy tym fragment piersi, i złożyła mu milczący pocałunek na czole.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – powiedziała. – To wspaniały obraz. Powinieneś się poświęcić malarstwu.

Czy pani Elisenda sugerowała mu seks. Mój Boże. Pani Elisenda nie sugerowała mi seksu, ale ja nie przestaję myśleć o jej oczach, a Rosa jest z każdym dniem coraz bardziej skwaszona, bo czegoś się domyśla, takie sprawy kobiety wychwytyją natychmiast jakimś specjalnym radarem. O mój Boże. Chyba nie należało przyjmować tego zlecenia i ograniczyć się do szkoły i do pouczania Elviry Lluís, Cèlii Ventury i Jaumego Serrallaca, najstarszych dzieci w szkole, których rodzice jeszcze nie zaciągnęli do koszenia trawy, że nie, że podmiotem w tym zdaniu jest Hiszpania, że nigdy podmiot nie łączy się z przyimkiem, rozumiesz, Jaume, rozumiecie? Kiedy mówimy, że Hiszpania wzrasta w miłości do caudilla, w miłości nie jest podmiotem.

- Ale to najważniejsze słowo – wykaszała Elvira Lluís.
- Proszę pana, a co to znaczy, że Hiszpania wzrasta w miłości do caudilla?
- No, to taki przykład z podręcznika. Podam wam inny: pszenica rośnie w miłości do wody.
- A co to takiego pszenica?
- Po katalońsku blat. Tu mówicie foment.
- No, teraz przynajmniej wiadomo, o co chodzi. A podmiotem będzie

pszenica, prawda?

– Pani Elisenda nie sugerowała mi seksu ani niczego w tym rodzaju. To prawdziwa dama.

– Jeszcze się przekonasz. A właśnie, zapłaciła ci?

– Co do grosza. Co znaczy, że jeszcze się przekonam?

Próbował zamieszać kawę w pustej filiżance, po czym odłożył łyżeczkę na talerzyk. Chciałby już wrócić do domu, a jednocześnie obawiał się tego powrotu i konfrontacji z pełnym milczących wyrzutów spojrzeniem Rosy, która nie uśmiechnęła się nawet wtedy, kiedy jej przyniósł pieniądze za obraz.

– Niech pan nie zapomina, że Elisenda ma męża.

– Męża, który się włóczy gdzieś po świecie... No cóż.

Oriol wstał, a pan Valentí się zdziwił, że ośmielił się przejąć inicjatywę. To go zirykowało. Nieznoszącym sprzeciwu ruchem pokazał mu krzesło. Nachylił się nad stołem, oko w oko z Oriolem, tak że tamten od razu poczuł jego nieświeży oddech, i rzucił mu w twarz a ja ją przeleciałem, tę twoją panią Elisendę. I zapewniam cię, że nie było to jakieś Bóg wie co.

Oburzony Oriol już miał na końcu języka wypraszam sobie, gdy jeden z ludzi pana Valentína, ten z kręconymi włosami, wszedł do baru Marésa, skierował się prosto do stolika burmistrza i wzburzony wyszeptał mu do ucha coś, czego Oriol nie dosłyszał. Valentí Targa poderwał się natychmiast i znów podobnym jak poprzednio stanowczym gestem wydał Oriolowi rozkaz za mną, na co ten odpowiedział muszę wrócić do domu, bo Rosa.

– Zostaw wszystko i chodź za mną – powiedział jak Jezus Chrystus. – Tylko się ciepło ubierz.

Ten z gęstymi brwiami zatrzymał samochód obok cmentarza w Sort, przed szopą, w której stało w równym rzędzie około dwudziestu trumien. Z pojazdu wysiadło trzech falangistów w mundurach i Oriol, który mimo woli naśladował styl pozostałych. Żołnierze stojący na straży zaszalutowali i wpuścili ich do środka. W kącie leżały na ziemi jakieś zwłoki w mundurze wojskowym nieokreślonej formacji, z jednym otwartym okiem błagającym o niemożliwe zwycięstwo i z częścią twarzy zamienioną w krwawą masę. Valentí kopniakiem przewrócił go na wznak. Oriol, który stał obok, zadrżał i nie chcąc dłużej się wpatrywać w śmierć wypisaną na tej twarzy, roztrzęsiony odszedł na stronę, żeby zwymiotować. Valentí śledził go wzrokiem, ale powstrzymał się od komentarza. Przykucnął obok zwłok partyzanta i nie odwracając się, powiedział:

– Spójrzcie na to.

Oriol podszedł, z chusteczką przy ustach, blady, na nogach z waty. Inni otoczyli ich kołem. Valentí podniósł klapę marynarki zmarłego. W dziurce od

guzika tkwiła metalowa odznaka. Wyciągnął ją i położył sobie na dłoni. Przedstawiała czerwony dzwoneczek. Oriol przyglądał się jej w milczeniu, nie wiedząc, o co w tym wszystkim chodzi.

– Ten partyzant należał do oddziału porucznika Marcó – zwrócił się do całej grupy. – Noszą dzwonek, żeby z nas zadrwić. Dowodzi nimi Eliot.

– Kim jest Eliot? – zapytał ten z cienkim wąsikiem.

– To Anglik, który zna tu każdy kamień i który lubi wodzić nas za nos. Wodzić za nos wojsko. – Dodał z mimowolnym podziwem: – Szczwany lis.

Oriol spojrział na rząd martwych żołnierzy i ogarnął go smutek. Pan Valentí Targa niczym szef na odprawie ciągnął dalej, że ten cały Eliot i Marcó byli sprytni, ale on ich przejrzał. Gdyby tylko wojsko liczyło się z jego zdaniem...

Schował odznakę do kieszeni, wskazał na poległych żołnierzy i powiedział teraz się przekonają, czy mam jaja. Żarty się skończyły.

Wszyscy patrzyli na siebie w milczeniu, nie wiedząc, o co chodzi. Oriol pomyślał, że jeżeli dla burmistrza i jego falangistów zlikwidowanie dwóch mieszkańców miasteczka, bo mówiło się, że odpowiadali za śmierć obu panów Vilabru, i jeszcze paru innych anarchistów i republikanów, to tylko żart, to na czym będzie polegał terror, który miał się teraz zacząć.

Tina podziękowała roztargnionym uśmiechem za filiżankę kawy podaną jej przez Joaną. Wyrzała przez okno. Mimo że dopiero co dzieci wyszły ze szkoły, na zewnątrz już robiło się ciemno.

Maite wspięła się na krzesło i przyczepiała pinezkami do dużej tablicy korkowej w holu wycinki, które miały zachęcać do zwiedzania ich wystawy, tworząc coś w rodzaju muralu porządkującego chronologię wydarzeń. Tina dmuchała na kawę, przyglądając się, jak Maite umieszcza papiery na planszy. Oczywiście, to może być ona. Jasne, że tak. Ale co Jordi w niej widzi? Co może ich łączyć... Ma więcej sprytu, większe obycie. Maite ma większe obycie niż ja. To go pociąga? I nie roztyła się, w przeciwieństwie do mnie.

– Podaj mi tę kartkę. Tak, tę ze zdjęciem.

Biedna Maite, pomyślała Tina, podając jej kartkę ze zdjęciem. Musiały skoncentrować się na pracy, bo w przeciwnym razie nigdy nie skończą. Wtedy nagle powiedziała uważam, że powinniśmy poświęcić część wystawy wojnie domowej. Maite spojrzała na nią z góry, z wysokości krzesła. Także Ricard Termes i Joana, którzy właśnie coś wycinali, przerwali pracę i patrzyli w jej stronę. Uświadomiła sobie, że znalazła się w centrum uwagi, co ją zawsze bardzo peszyło.

– Nie mamy zielonego pojęcia o wojnie domowej – ostrożnie zaproponował Ricard Termes.

– Zdajesz sobie sprawę, ile to nam dołoży roboty? – Maite odwołała się do zdrowego rozsądku.

– Po co nam ten kłopot? – wyłożył kawę na ławę Ricard.

– Sama się tym zajmę. Okazuje się, że tu wiele się wydarzyło w czasie wojny i zaraz po wojnie, kiedy działał ruch oporu.

– No chyba że ty sama się podejmiesz... – tłumaczył się Ricard. – Jeżeli by te przygotowania miały się przeciągnąć, żona wyrzuci mnie z domu.

Joana bez słowa poszła do sekretariatu, a tymczasem pozostali myśleli głośno, czy warto otwierać nowy dział poświęcony szkołom w czasie wojny. Ricard powiedział wydaje mi się, że podczas wojny funkcjonowały wszystkie szkoły, bo tu niewiele się działo, a na to Maite, tak, a tymczasem Joana wróciła z sekretariatu z kartonową teczką, którą rozsadał nadmiar papierów. Otworzyła. Ukazało się parę numerów biuletynu parafialnego. Podała Tinie ten leżący na wierzchu.

– Tu masz coś na ten temat – powiedziała, wskazując artykuł, w którego tytule wymieniono nowego męczennika za Boga i Ojczyznę, z bardzo

niewyraźnym zdjęciem przedstawiającym dwie małe postacie w mundurach Falangi patrzące prosto w obiektyw. Jeden z mężczyzn położył rękę na ramieniu drugiego. Wyglądali, jak królowie życia. Tina miała trudności z rozstrzygnięciem, czy jednym z nich jest Oriol Fontelles, bo rysy twarzy były niewyraźne, a ona Oriola знаła tylko z autoportretu sporządzonego przed lusterkiem w szkolnej łazience.

Zanim skupiła się na lekturze, Tina usłyszała jeszcze pytanie Maite co to takiego i odpowiedź Joany to o takim jednym nauczycielu z Toreny. Na to Ricard, ach, to pewnie ten, który zadarł z partyzantami. A na to Joana do Maite podobno to jeden z największych faszystów w komarce, i to nauczyciel, masz pojęcie? W tym momencie Ricard znów zaczął kręcić nosem, że nowy temat bardzo nam skomplikuje życie, nie zdążymy się wyrobić przed inauguracją, na co Maite no dobrze, dobrze, jeszcze to przedyskutujemy, nie panikuj. Tina wyłączyła się, czytając wyrażoną w nadętym, kwiecistym, oficjalnym i sztucznym języku notatkę o tym, że tydzień temu, osiemnastego października tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, w dniu ewangelisty świętego Łukasza, z pełną premedytacją wykorzystania święta, by spowodować jak najwięcej szkód, duży i dobrze uzbrojony oddział partyzancki zaatakował trzy miejscowości komarki (Torena, Sorre i Altron) z zamiarem opanowania tej strefy i utorowania drogi ciężkiej artylerii, która miała zbombardować dolinę Noguery wraz ze stolicą regionu, aby zatrzymać tam wojsko narodowe etc., etc. Prześliznęła się wzrokiem po kolejnych liniijkach. O tu, tu: wzbudziła podziw dzielna postawa nauczyciela z Toreny Oriola Fontellesa Grau. W pojedynkę, uzbrojony tylko w małokalibrowy pistolet, stawiał czoło czerwonej hordzie, która chciała się wdrzeć do kościoła, żeby dokonać profanacji. Oriol Fontelles, nowy męczennik, zabarykadował się w środku i bronił kościoła przez dwie godziny, dopóki nie skończyła mu się amunicja. Nasze źródła donoszą, że kiedy umierał w pokoju na rękach swojego przyjaciela, burmistrza Toreny, towarzysza Valentína Targi, oświadczył, że chciał zyskać na czasie i umożliwić siłom porządkowym dotarcie do Toreny, zanim czerwoni zdążą zająć uprzywilejowaną pozycję. Wyznał, że zdawał sobie sprawę, iż poświęca własne życie, by ratować innych, i zrobił to z radością. I tak oto święty wojownik, gorliwy nauczyciel, w kwiecie wieku oddał ducha Panu Wojsk Niebieskich i Ziemi. Niech spoczywa w pokoju ten bohater i męczennik, falangista Oriol Fontelles Grau (1915–1944). O cholera.

– Mogę to sobie zatrzymać? – zwróciła się do Joany, wskazując kartonową teczkę wypełnioną biuletynami parafialnymi.

– Mnie to niepotrzebne... – Joana spojrzała na Maite, która też nie miała nic przeciwko temu.

– To z myślą o książce... Nie wiem... Ten temat mnie interesuje, po prostu. Choćby nawet nie miała się ukazać.

– Ale wracając do wystawy – skorzystał z okazji Ricard – to może lepiej zrezygnujmy z wojny, żeby niepotrzebnie nie komplikować. Dobrze?

Ustalili, że tak, że wojnę sobie darują.

Kiedy Tina zamknęła teczkę, strzelając gumkami, podeszła do Joany i powiedziała dziękuję, bardzo mi się przyda, a tamta spojrzała jej w oczy i zapytała Tino, czemu jesteś smutna. Tina otworzyła usta i przez parę sekund milczała. W końcu zareagowała, przełknęła ślinę i powiedziała ponieważ... ponieważ Arnau postanowił wstąpić do klasztoru.

Rosa wstawiała właśnie warzywa na kolację. Przez maleńkie okienko przyozdobione teraz nowymi firankami w zielono-białą kratkę zobaczyła trzy czy cztery ciemne, niewyraźne sylwetki na słabo oświetlonym placu. A z tyłu ciągnął się Oriol, wolniejszym krokiem, bez przekonania, ale jednak szedł za nimi. Miała wrażenie, że spojrział w stronę okna. Wyglądało na to, że ciągnie się wbrew sobie za budzącymi grozę falangistami, którzy właśnie wchodzili na ulicę Środkową z jakimś podłym zamiarem. Rosa westchnęła i zabrała się do obierania ziemniaków, a wtedy poczuła pierwsze kopnięcie swojego dziecka i zapragnęła z całego serca, żeby to była córka.

Oriol pozwolił się wyprzedzić trzem mundurowym, którzy natychmiast zajęli miejsce u boku swojego dowódcy. Odział szedł w górę wąską ulicą, mimo zimna odprowadzany rozradowanym wzrokiem Quima z domu Narcís, który stał w drzwiach, z trudem powstrzymując chęć zapukania do domu Birulés, żeby powiedzieć widzisz, Feliu, wreszcie ktoś tu robi porządek. Poprzestał na pozdrowieniu nowego nauczyciela, na które tamten nie zareagował, bo czuł się zbyt przygnębiony. Valentí zatrzymał się przy domu Ventura i niecierpliwie zastukał w okno. A potem sprawy potoczyły się, jak się potoczyły, a Oriol obserwował wszystko z progu: gdzie jest ten skurwysyn twój ojciec, zostawcie go w spokoju, on nic nie wie, a przede wszystkim wyzywające, pełne pogardy spojrzenie Ventury – matki – szukające jego wzroku, kiedy powiedziała wście, gdzie jest Francja? zapytajcie może pana nauczyciela, zanim Valentí, precyzyjnie wymierzonym ciosem w policzek uniósł ją w powietrze. Nie widział dalszego ciągu, bo wyszedł na ulicę. A kiedy wrócił do domu, blady, z podkrążonymi oczami, Rosa, kaszląca, nie zapytała go, co się stało, a on sam nic nie powiedział, usiadł i wpatrywał się w pustkę. Rosa w tym momencie poczuła do męża wstręt. Położyła się spać bez kolacji i bez słowa, podobnie jak wszyscy w domu Ventura. Oriol musiał zestawić garnek z ognia. Wtedy ktoś zapukał do drzwi i przez chwilę wyobrażał sobie, że to Elisenda Vilabru przyszła mu wyjaśnić swoim aksamitnym głosem, że to wszystko pomyłka. Ale nie. Targa przysłał po niego falangistę, tego z cienkim wąsikiem.

Mały Ventura nazywał się Joan Esplandiú Carmaniu, miał czternaście lat i panikę w szeroko otwartych oczach. Posadzili chłopca na krześle, nie związując go, a Valentí z dobrodusznym uśmiechem zaproponował szklanekę wody, którą tamten wypił łapczywie, a potem jeszcze zaproponował tytoń, na co chłopiec odpowiedział, że nie pali. Valentí, nie dowierzając co ty, mały, na pewno po

kryjomu podpalasz, a na to mały Ventura przyznał tak, proszę pana, czasami, ale potem mam mdłości. Valentí jak chcesz, i wycofał swoją propozycję. A teraz, skoro już zostaliśmy przyjaciółmi, możesz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o swoim ojcu. Chłopiec ależ ja nic nie wiem, matka ma rację.

– Nie. Zacznijmy od początku: twój ojciec jest we Francji?

– Myślę, że tak.

– Gdzie dokładnie?

– Nie wiem. Ojciec i matka są w separacji i matka nic o nim nie wie ani nie chce wiedzieć.

– A jak to możliwe, że widziano go o świcie, jak przeskakuje przez wasz płot?

– Ależ my nie wiemy nawet, czy on żyje, proszę pana!

– Ale ja wiem. Żyje i stał się mordercą. Chcę się dowiedzieć, kiedy was po kryjomu odwiedza.

– Przecież mówię panu, że...! – Chłopiec nie miał odwagi podnieść wzroku na Valentína. – Kiedy rodzice się rozeszli, on odszedł z wojskiem republikańskim i nic więcej o nim nie wiemy, proszę pana.

– Nie mów do mnie pan, masz mówić: towarzyszu.

– Tak, towarzyszu.

– Jak często was odwiedza?

– Nie odwiedza, towarzyszu. Przysięgam.

– Nie przysięgaj fałszywie.

– Nie przysięgam fałszywie: mówię prawdę.

– Nauczyciel już przyszedł. – Do środka zajrzał jeden z mundurowych, ten z cienkim sztywnym wąsikiem.

– Niech wejdzie.

Wpuścili Oriola do gabinetu burmistrza i wtedy mógł małemu Venturze spojrzeć w oczy. Chłopiec odwrócił wzrok, z pogardą koncentrując się na ścianie, poniżej fotografii Franco w zwycięskim mundurze polowym.

– Co mu zrobiliście?

– Nie spadł mu włos z głowy. – Wziął Oriola pod ramię i wyprowadził z gabinetu, mówiąc głośno, tak, żeby mały Ventura usłyszał, jeżeli ojciec chłopca sam się nie podda, to bardzo mu przykro, ale wtedy jednak ten włos z głowy chłopca spadnie. W słabo oświetlonym korytarzu, przed drzwiami gabinetu, Valentí, trzymając cały czas mocno Oriola za ramię, wysyczał mu do ucha tym swoim niskim, nieznoszącym sprzeciwu głosem i piorunując go wściekłym spojrzeniem nie życząc sobie, żebyś jeszcze kiedykolwiek zakwestionował publicznie jakąkolwiek moją decyzję.

– Ja tylko pana spytałem, czy...

– Ja tu rządę.

– To jeszcze dziecko. To tylko dziecko.

- Masz zrobić protokół przesłuchania.
 - Ja?
 - Jak się zabierze do pisania Balansó i cała reszta, będzie to trwało tygodniami.
 - Ale co się tu dzieje, robisz sąd nad dzieckiem? Dlaczego nie zawiadomimy władz w Sort?
 - Jak mi jeszcze z czymś podobnym wyskoczysz – powiedział, nie panując nad sobą – żywcem każę cię obedrzeć ze skóry.
 - Cały czas trzymał go za ramię, bardzo wzburzony. Kiedy się opanował, wycelował palcem w jego pierś.
 - W tym mieście ja jestem odpowiedzialny za porządek. I chcę mieć protokół, bo lubię dobrą robotę.
 - Dziecko nie może być niczemu winne.
 - Czy ja ci mówię, jak masz uczyć tabliczki mnożenia? Jeśli jeszcze w ogóle uczy się teraz mnożenia.
-

Kiedy Valentí wznowił przesłuchanie, Oriol Fontelles, państwowy nauczyciel przemieniony w sekretarza sądowego, przycupnął w kącie uzbrojony w papier i ołówkę, i unikał wzroku chłopca. Valentí usiadł naprzeciwko małego Ventury i parę razy po przyjacielsku poklepał go po plecach, mówiąc no dobrze, na czym to skończyliśmy, ach tak, chciałeś mi powiedzieć, gdzie się ukrywa twój ojciec. No, to gdzie on jest?

- Powiedziałem, że nie wiem, towarzyszu.
- Nie mów do mnie towarzyszu; nie zasługujesz na to.
- Nie wiem, gdzie się ukrywa, proszę pana.
- Bardzo dobrze. Poczekamy. – Siadł obok niego i świdrował go wzrokiem. – Ponieważ twój ojciec jest tchórzem, nie stawi się tu przede mną i będziemy musieli cię zabić. Bardzo mi przykro.

Oriol odruchowo podniósł głowę. Napotkał lodowate spojrzenie Valentína, jakby te słowa były skierowane bezpośrednio do niego.

- Mój ojciec o tym się nie dowie, że ja... – odpowiedział mały Ventura.
- Dowie się, jeszcze jak się dowie. Nie wiem, jak to się dzieje, ale nowiny roznoszą się tu na skrzydłach. – Wyjął tytoń i zaczął zwijać papierosa. – Jeśli się nie stawi, to znaczy, że jest tchórzem.

Przerwał wykonywaną czynność i z do połowy zwiniętym papierosem wskazał chłopca: – Mówi ci coś imię Eliot?

- Nie.

Oriol pochylił głowę i skupił się na notowaniu. Usłyszał drżący głos małego: – Mógłbym zapalić, proszę pana?

- Nie. Trzeba było wcześniej się zdecydować. – Patrzył na niego badawczo,

zatrzymując dłoń w połowie ruchu. – Już nie jesteśmy przyjaciółmi. Będę musiał ci zrobić krzywdę, żeby wydobyć z ciebie to, co wiesz.

Joan Esplandiu z domu Ventura, mały Ventura, zapłakał po raz pierwszy, bo nie wytrzymał już tego natężenia strachu, które rosło przez całą noc.

– Ja wszystko wiem – skomentował Valentí, zapalając papierosa. Wypluł paproch tytoniu. – Winę ponosi ten skurwysyn twój ojciec.

Mały Ventura znów pociągnął nosem i Valentí obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– Widziałem młodszych od ciebie, jak umierali z karabinem w dłoni i z radością w sercu. – Dodał cicho, tuż nad głową chłopca: – A ty płaczesz jak baba... – Wydmuchał mu dym prosto w twarz. Zakończył prawie szeptem: – Gdzie jest ten twój ojciec?

– Panie nauczycielu... – poprosił chłopiec. – Niech pan mu powie, że ja...

– Pan nauczyciel jest teraz panem sekretarzem. I nie masz prawa z nim rozmawiać.

Wstał i podszedł do miejsca, w którym Oriol stukał w klawiaturę maszyny, i gestem nakazał mu, żeby pokazał papiery wypełnione w czasie przesłuchania. Przeczytał je pobieżnie, pod czujnym spojrzeniem małego Ventury, który miał płonną nadzieję, że litery na tych ciemnych, grubych kartkach zawierają uniewinnienie, to pomyłka, proszę przyjąć przeprosiny w imieniu samego caudilla. Wtedy burmistrz niezadowolony pokręcił nosem. Wskazał palcem fragment, który mu się nie spodobał. Kiedy doczytał do końca, odłożył kartki obok maszyny, przy której siedział Oriol.

– Nie o to mi chodziło. Pisz.

Zaczął się przechadzać po gabinecie, z rękami założonymi na plecach, i dyktował Joan Esplandiu z domu Ventura został poproszony, by się stawił w ratuszu, co niżej podpisany uczynił dobrowolnie, za zgodą swojej rodziny. Ponieważ ratusz nie dysponuje salą do przesłuchań, zaproszono go do mojego gabinetu, gdzie postawiono przed nim szklanę wody. A ponieważ nie została wyjaśniona kwestia, z powodu której zwrócono się do niego z prośbą, by się tu stawił, zaproponowano mu uprzejmie, by spędził noc w ratuszu, na co on sam przystał z ochotą. Valentí wskazał papier i maszynę: – Przepisz to na czysto – powiedział, zakładając marynarkę i szalik.

Mimo że ze względu na pozycję, pochodzenie, majątek i charakter Marcel Vilabru stał się mistrzem w zadawaniu cierpienia, łamaniu serc, podporządkowywaniu sobie cudzej woli i wymuszaniu uległości u innych, i to bez najmniejszego wysiłku, wystarczyło, jak to się mówi, że kiwnął palcem, zdarzyło mu się jednak popełnić błąd i zakochać się w nieodpowiedniej osobie. Na imię miała Ramona i pochodziła z rodziny rzemieślniczej z dzielnicy Sants. Była wielką entuzjastką walki z władzą, jaką zainicjowali studenci w Nanterre. Sama utożsamiała się z rewolucją, a Marcelowi, który akurat kończył studia prawnicze, bo jakimś cudem udało mu się przebrnąć wreszcie przez prawo cywilne i handlowe, zaproponowała wspólną wyprawę, by zobaczyć rewolucję in situ. Ona studiowała filozofię; gdzieś między drugim a piątym rokiem. Żadne z nich nie miało najmniejszego zamiaru pracować w zawodzie, do którego się przygotowywali, Ramona, ponieważ postanowiła zostać pisarką, Marcel, bo nie podjął jeszcze żadnej decyzji.

– Bilet turystyczny, plecak, słone paluszki i czekolada.

Marcel nie miał odwagi się przyznać, że nigdy w ten sposób nie podróżował, bo te oczy, te usta, ten styl sam nie wiem dlaczego obłędnie mi się podobają i odpowiedział dobrze, bilet turystyczny, plecak, słone paluszki i czekolada. Matkę uprzedził, że wybiera się z Quique oglądać trasy narciarskie w Saint-Moritz, korzystając z tego, że nie ma tam teraz tłoku. Dobrze opłacił milczenie Quique, który nie omieszkał natychmiast o wszystkim donieść pani Elisendzie, otrzymując w zamian stosowną gratyfikację, kupił dwa bilety turystyczne, plecak wysokogórski, dwa kilogramy mieszanki studenckiej, trzydzieści tabliczek czekolady i udał się na Dworzec Francuski w towarzystwie ukochanej.

Pod nieobecność syna Elisenda zaprosiła Quique na dwie noce do swojego mieszkania w Barcelonie, do Gniazdka, w którym czuli się jak w oazie spokoju w porównaniu z ukradkowymi spotkaniami w Torenii. Warunek absolutnej dyskrecji stanowił od samego początku jedyną niezmienną zasadę ich zagmatwanego, nieoczekiwanego romansu, który zaczął się jedenaście lat temu, kiedy on był przystojnym, przebojowym dziesięcioletnim, a Elisenda, lekko licząc, miała dwa razy tyle lat co on. Teraz Quique był przystojnym, przebojowym trzydziestolatkiem, a jaśnie pani przekroczyła pięćdziesiątkę. I nadal nikt nie wiedział o ich romansie. A przynajmniej pani Elisenda żyła w przekonaniu, że nikt o nim nie wie, i dlatego za wszelką cenę dbała o utrzymanie ich związku w tajemnicy. Czerpali przyjemność z pełnej konspiracji, ponieważ Elisenda nie mogła ryzykować, by ktokolwiek sobie

pomyślał coś nie do pomyślenia. Również służba, teraz, po śmierci Bibiany, nie powinna wiedzieć, że pani Elisenda przeżywała orgazm w swoim nieregularnym życiu seksualnym tylko wtedy, kiedy kochankowie musieli się ukrywać nawet przed własnym kłamstwem.

A tymczasem Paryż był świętem. Marcel i Ramona wychodzili z pensjonatu przy rue Guisarde tylko po to, żeby coś zjeść, przewietrzyć się i wrócić jak najszybciej do pokoju. Nie orientowali się, gdzie może się znajdować Quartier Latin, ale udało im się z daleka dostrzec Sekwanę, jakiś most na rzece i sylwetkę wieży Eiffla. W swoim curriculum już mogli odnotować, że tam byli. Na pierwszej linii frontu.

W drodze powrotnej on, niepewnym głosem, nieco zawstydzony, czy raczej bardzo zawstydzony, wyznał zaskoczonej i coraz bardziej zgorzzonej Ramonie, że nie jest tym, za kogo go uważała, tylko się nie denerwuj, proszę, on wprawdzie nie, no skąd, ale pochodził z rodziny, powiedzmy, proreżimowej, a jego cera nie jest ciemna z natury, tylko dzięki jeździe na nartach, że dopiero drugi raz w życiu podróżuje pociągiem, a pierwszy raz to w drodze do Paryża, i że latem jeździ na narty do Argentyny, że jest nieprzyzwoicie bogaty, i że pomimo wszystko nadal ją kocha.

Zanim pociąg opuszczający stację w Perpignan zdążył nabrać szybkości, Ramona wyskoczyła w biegu, oplakując zawiedzione nadzieje i rozbite w proch marzenia, a zrozpaczony Marcel nie mógł wyskoczyć za nią, bo pociąg jechał za szybko, i tylko wołał zdesperowany Ramona, Ramona, aż do ochrypnięcia, ku radości anonimowych współpasażerów, korzystających z darmowej rozrywki.

W dniu, w którym pani Elisenda Vilabru, wdowa po Santiagu Vilabru, skończyła pięćdziesiąt trzy lata, dwa miesiące i pięć dni, zdecydowała się dokonać w swoim życiu przełomu i kupiła bilet do Fiumicino. Osiągnęła już wówczas status osoby szanowanej wszędzie, gdzie było warto o to zabiegać. Zaczęła tak wcześnie i tak doskonale wykorzystwała czas, że teraz niemal nie dało się dociec, na czym polegała atrakcyjność, jaką cieszyła się w kręgach władzy, czy przyczyną okazał się jej wrodzony spryt, czy posiadanie ogromnej, odziedziczonej fortuny, ulokowanej w ziemi i na kontach bankowych. A może wynikała ze starannego wychowania, jakie odebrała u terezjanek, gdzie nauczyła się, że kiedy już naturalną kolejną rzeczą wejdzie w wielki świat, nie musi się obawiać ludzi niemoralnych i pozbawionych zasad, ma tylko pamiętać, że w tym świecie jedyne, czego się nie wybacza, to braku dobrego wychowania. Korzystne znajomości zawarte jeszcze w San Sebastian, jej wrodzony spryt, wdzięk, nieustępliwość w sprawach zasadniczych dokonały reszty i sprawiły, że stała się niezastąpiona w świecie interesów ekonomicznych i politycznych, tych

drugich niezbędnych do właściwego funkcjonowania tych pierwszych. Jej najbardziej spektakularnym sukcesem było zrobienie pierwszego – no, może drugiego – kroku w dziedzinie sportów zimowych, gdzie wyprzedziła najodważniejszych ryzykantów, inwestując odważnie w produkcję sprzętu sportowego, a ponadto wcześniej od innych zrozumiała, że ważniejsze niż towar dobrej jakości jest wyrobienie sobie dobrej marki, i wydała ciężkie pieniądze (wbrew sceptycyzmowi swoich doradców, do których należał Gasull) na odpowiedni design, na wiele lat przed rozkwitem profesjonalnego wzornictwa przemysłowego. I w efekcie wyroby Vilabrú, które ze względu na wymogi wzornictwa nosiły logo Bru, stały się prestiżowe: narty, kijki, buty narciarskie, raki, rakiety, rękawice, okulary, krem kakaowy i spodnie, zachwalane przez Karla Schranza; rakiety tenisowe, piłki tenisowe, siatki do tenisa, stołki dla sędziego, opaski na rękę dla tenisistów, buty sportowe, koszulki, sprzedawane dzięki uśmiechom Gimena, Roda Lavera i Newcombe'a, drewniane laski do hokeja na trawie i kije do hokeja na lodzie, piłki do gry w siatkówkę, siatki do gry w siatkówkę, piłki do piłki ręcznej i do koszykówki, do piłki nożnej, piłki z wentylem i buty sportowe marki Brusport, te najłżejsze. I wspaniałe rakietki do tenisa stołowego, eksportowane do Chin, Szwecji i Stanów Zjednoczonych, gdzie ceniono je za takie zalety jak lekkość, precyzja i skuteczność. Sama to osiągnęła, bo nikt poza nią, nikt z jej otoczenia nie wierzył w skuteczność tej strategii. Ale ona lubiła płynąć pod prąd, polegając tylko na niepewnej gwarancji własnej intuicji. Właściwie praktykowała to przez całe życie i nic nie wskazywało, żeby to się miało zmienić. Bez mrugnięcia okiem tworzyła też spółki, przesowała i mnożyła ich zyski wyłącznie dzięki temu, że miała nosa, i polegając na radach udzielanych z bardziej konserwatywnej, ostrożniejszej perspektywy przez adwokata Gasulla, który może nie należał do zbyt błyskotliwych, ale za to był prawie zawsze doskonale poinformowany.

Złośliwe języki twierdziły, że Elisenda Vilabrú miała zawsze osobistego ambasadora w Radzie Ministrów. Złośliwe języki bywały czasem prawie tak dobrze poinformowane jak adwokat Gasull. Faktem jest, że często wśród zaufanych generała Franco trafił się ten czy inny adwokat, wysoki urzędnik czy latyfundysta, który otrzymał spory zastrzyk gotówki w postaci akcji zakupionych w korzystnym momencie przez panią Elisendę. Ponadto ona sama, zapobiegliwa jak mrówka, nie przestawała kupować, jeden po drugim, wielkich połaci gruntu, najczęściej w Pallars, gdzie wszystkim chciała pokazać, jak triumfuje, ale gdzie indziej też. Nie przepuszczała żadnej okazji. Mówią, że należała do niej połowa Doñany. A jednak miała poczucie winy, że nie poświęciła więcej czasu na wychowanie syna. Teraz, kiedy skończyła pięćdziesiąt trzy lata, dwa miesiące i pięć dni, a Marcelowi niewiele brakowało do uzyskania dyplomu na prawie, ten jej syn, dzięki tytanicznemu wysiłkowi, stał się perfekcyjnym obibokiem. Pani Elisenda czuła się za to odpowiedzialna,

ale nie mogła zrobić nic innego, jak tylko łagodzić sytuację po każdej wywołanej przez niego burzy, nie szcędząc mu kategorycznych pouczeń zachowującej dystans surowej matki, których Marcel wysłuchiwał z pokorą, mając je w głębokim poważaniu.

Z tych samych powodów, dla których, jak się wydawało, chciała wykupić całą komarkę Pallars, pani Elisendzie nawet przez myśl nie przeszło, że kiedykolwiek mogłaby się wyprowadzić z domu Gravat. Chociaż miasteczko nie należało do biednych, ale żal było patrzeć na jego zaniedbanie, a tymczasem ona ciągle mieszkała w domu Gravat i stamtąd prowadziła długie rozmowy telefoniczne z Barceloną i z Madrytem, kupowała i sprzedawała z zimną precyzją, liczyła dorodne cielaki i krowy włączące się po górskich pastwiskach, tony wełny sprzedawane po postrzyżynach oraz skrupulatnie przeglądała papiery, które zarządca rozkładał na stole w jadalni, tam, gdzie zdawał jej cotygodniowe sprawozdanie i tylko raz czy dwa razy w roku zaglądała, z wyperfumowaną chusteczką przy nosie, do rozgardiaszu gospodarstwa Padrós, które wytwarzało całe to bogactwo. Mieszkała w domu Gravat, powiększyła dawne stajnie, żeby zrobić w nich garaże, oczyściła sgraffito na fasadzie, kupiła sobie telewizor i pojawiała się na balkonie od strony placu, by rozsiewać wokół zapach nardu, w ramach prywatnej zemsty; w ten sposób rozstrzeliwała winnych, którym jeszcze nie wymierzył sprawiedliwości goel i którzy ciągle pozostawali przy życiu; pokazywała od niechcenia obsceniczne bogactwo i patrzyła na horyzont, tak jak gdyby dom Felicó był przezroczystry, dom Ventura zburzony, a wszyscy Gassianowie z domu Misseret, którzy rozmnażali się jak króliki, byli tylko kostkami bruku na placu; w ten sposób dawała do zrozumienia, że wojna się nie skończyła i nigdy się nie skończy, bo ona szanuje pamięć o zmarłych ze swojej rodziny. Jednakże dla wygody zaadaptowała ogromne mieszkanie w dzielnicy Pedralbes, gdzie zatrzymywała się najkrócej jak się dało, ale doceniała jego walory praktyczne. Prowadziła więc interesy w sposób metodyczny i skrupulatny, czy to w Torenie, czy w Barcelonie, czy gdzieś w drodze, w samochodzie, dzięki czemu Jacinto Mas doskonale się orientował w sprawach jaśnie pani. Ale też był osobą całkowicie jej oddaną, bo w jej spojrzeniu mogę wyczytać bardzo dobrze, Jacinto, świetnie się spisałeś, mam do ciebie zaufanie, w twoje ręce składam wszystkie tajemnice, bo ty, Jacinto, jesteś paladynem mojego bezpieczeństwa. Gdybyś wiedział, jak bardzo cię kocham, czytał w tych oczach, ale barierą jest społeczeństwo klasowe, które stoi na przeszkodzie naszej nieśmiertelnej miłości.

W intensywnym życiu religijnym pani Elisendy zdarzały się pewne przestoje. Kiedy mężczyźni z jej rodziny zostali zamordowani, a ona uciekła do San Sebastian, z całego majątku zabierając tylko Bibianę, jej gorliwość religijna ostygła do tego stopnia, że ostentacyjnie przestała chodzić do kościoła. Taką

karę nałożyła na Pana Boga za to, że nie potrafił stanąć na wysokości zadania. Ale kiedy wróciła do Toreny i stało się to, co się stało, kiedy całkiem szczerze mogła już powiedzieć, że nadszedł czas wytchnienia, wtedy znów zaczęła regularnie uczęszczać do kościoła, ku radości księdza Aureliana Bagà, który z konieczności stał się powiernikiem nieuniknionych grzechów jaśnie pani. Kiedy znów podjęła tradycyjne formy kultu, ani razu nie zlekceważyła niedzielnego obowiązku. Zawsze zasiadała w pierwszej ławce, zawsze w tej samej, a w jednej z ostatnich, tuż przy wejściu, Jacinto Mas z założonymi rękami pilnował, żeby ludzie nie robili głupstw. Nigdy, w żadną niedzielę, nikt, nawet Cecilia Bàscones, nie odważył się zająć jej miejsca. Marcel przyjął pierwszą komunię w kościele Świętego Piotra w Torenie, mimo że padła propozycja, by ta podniosła uroczystość odbyła się w katedrze w Seu d'Urgell, albo nawet w kościele jezuitów w dzielnicy Sarrià, który utrzymywał znakomite stosunki z Instytutem ICAIC Sant Gabriel. Co niedziela, wychodząc z kościoła, wkładała zwinięty banknot w dłoń księdza Aurelego, kiedy ten pospiesznie wychodził, by ją pozdrowić, udając, że interesują go również inni parafianie. Regularnie co trzy miesiące albo i częściej pytała go, jak postępuje Proces, a wtedy ksiądz Aureli Bagà, który bał się tego pytania, musiał wybrać się do Seu, żeby się dowiedzieć, jaki jest stan obecny, wypytać o szczegóły, a potem ubrać odpowiedź w gładkie słowa, których pani Elisenda zawsze wysłuchiwała w milczeniu. Przypierany przez nią do muru, ksiądz Aureli Bagà tłumaczył sobie, że przecież hojne datki pani Vilabré rekompensują te niedogodności.

Raz w miesiącu przyjeżdżał odprawić mszę w kościele parafialnym w Torenie wiekowy kanonik August Vilabré i wtedy jego bratanica Elisenda wysłuchiwała mszy z takim samym jak zawsze namaszczeniem. Ksiądz August odczuwał dotkliwie ciężar dziewięćdziesięciu kilku lat, bo już nie potrafił pojąć w lot zagadnienia właściwości ergodycznych procesów losowych zachodzących w przestrzeni metrycznej zwartej, bo oczy mu czerwieniały na widok papieru i migąły mu formułki. Wolałbym mieć o trzydzieści lat mniej, żeby śledzić na bieżąco nowinki matematyczne. Dlatego wolał milczeć i tylko spoglądał przed siebie smutnym wzrokiem myśliwskiego psa.

Mimo że pani Elisenda grzeszyła trzy czy cztery razy w miesiącu, uznała, że nie powinno to obchodzić księdza Aureliana Bagà i nie poruszała tego tematu przy spowiedzi. Ponadto częściej teraz grzeszyła w mieszkaniu w Pedralbes niż w miasteczku, ponieważ nie chciała, by ktokolwiek w Torenie usłyszał jej pełne żalu krzyki. Nie spoufalala się nawet z praworządnyimi, lojalnymi wobec Franco rodzinami z domu Birulés, z domu Savina, z domu Majals czy z domu Narcís – żadna z nich nie dostąpiła tego zaszczytu. A już zwłaszcza Cecilia Bàscones, ta poczwara. Pani Elisenda zdecydowała, że nie będzie mieć przyjaciół w Torenie. Mieszkała w Torenie, żeby stale przypominać paru kreaturom, że to ona wygrała. I żeby chodzić raz w miesiącu na cmentarz, czy

deszcz, czy śnieg. I mieć bliżej do Pana Boga, żeby mu patrzeć prosto w twarz.

Oglądała uważnie bilet lotniczy, jakby chciała na nim znaleźć rozwiązanie swoich problemów. Zdecydowała, że kolejny ruch w tej grze należy do niej.

Wyjechała z Toreny o poranku. Podczas niekończącej się podróży na lotnisko w Barcelonie rozmawiała o interesach z adwokatem Gasullem, a kiedy samochód stanął na parkingu, poprosiła go, żeby ją zostawił sam na sam z Jacintem. Odsunął szybę oddzielającą kierowcę od pasażerów i zaciągnął się upajającym zapachem nardu, a tymczasem ona udzielała instrukcji, przemawiając do jego karku. Jacinto jak zwykle zrozumiał doskonale jej polecenia i przyjął do wiadomości, patrząc na nią w lusterku wstecznym, że trzeba jak najszybciej zakończyć tę godną pożałowania aferę, w którą wciągnęła Marcela jakaś hipisowska dziwka.

– Jak wrócę, ma już być posprzątane.

– Ugaszę ten pożar.

– Dziękuję, Jacinto.

Poczuł skurcz serca, jak zawsze, kiedy mówiła bardzo dobrze Jacinto, świetnie się spisałeś. Ale ograniczył się tylko do życzeń szczęśliwej podróży, proszę pani.

Wróciła nocnym pociągami, zmęczona, smutna, a przede wszystkim z nadwątloną godnością osobistą, bo pomimo świętego oburzenia myślała teraz otworzą się drzwi i wejdzie Marcel, a ja mu powiem kawał z ciebie skurwysyna, przecież mogłeś mnie uprzedzić, ale jeśli chcesz, możemy o tym porozmawiać, co ty na to? Ale Marcel nie stanął w drzwiach wagonu, bo w tym momencie recytował przed mamą, na podstawie katalogu, jakie wrażenie wywarły na nim nowe trasy narciarskie w Saint-Moritz, a pani Elisenda, która już miała w kieszeni bilet do Fiumicino, słuchała cierpliwie, zastanawiając się z kim ty się zadawałeś, kto ci do tego stopnia zawrócił w głowie, że wysiliłeś się na tę szopkę, przecież normalnie nie ruszyłbyś palcem, żeby przypadkiem się nie spocić.

Kiedy Ramona uznała, że chyba za bardzo się pospieszyła z tym zerwaniem, bo Bogiem a prawdą, co jest złego w byciu milionerem, i już chciała zadzwonić do Marcela, Jacinto Mas znalazł akademik i przeprowadził z dziewczyną bardzo interesującą rozmowę; ona siedziała na łóżku, on stał, z papierosem w ustach, mrużąc oczy i pocierając palcem bliznę na twarzy, jak zawsze, kiedy się zastanawiał. Spoglądał co chwilę na kadzidełko, które paliło się w samotności na nocnej szafce przyniesionej z pchlego targu w Encants.

– Decyduj się.

Ramona spojrzała na niego. Była zbита z tropu. Żeby rozstrzygnąć jej moralne dylematy, Jacinto wyciągnął z kieszeni grubą kopertę i położył na

łóżku, obok niej. Nie wyciągnęła po nią ręki, aczkolwiek, jak ocenił Jacinto, o niczym innym nie marzyła.

– To plus czynsz nowego mieszkania opłacony z góry za dwa lata.

Teraz Ramona wzięła kopertę i zajrzała do środka. Jacinto wiedział, że już ją ma w garści. Dziewczyna z podziwem przesunęła palcem po harmonijce banknotów.

– Niczego nie brakuje – uspokoił ją Jacinto Mas. – Tyle, ile obiecałem. – Wskazał ręką. – No przelicz, na co czekasz...

Wyciągnęła plik banknotów z koperty i ostentacyjnie je liczyła. Mężczyzna czekał, aż skończy. Wtedy powiedział, nie patrząc na nią, strzepując popiół do ręki, bo nie dostrzegł popielniczki, jeżeli przez przypadek dowiem się, że zrobiłaś cokolwiek, żeby się spotkać z Marcelem, czy to na uczelni, czy w innym miejscu, przyjdę po ciebie, wydrę ci te pieniądze, zadenuncjuję cię jako oszustkę i wyrzucę z mieszkania przez balkon. Dotarło?

Ramona nie patrzyła w jego stronę. Luźno spuszczone włosy zakrywały prawie całą twarz i Jacinto uznał, że dziewczyna jest niebrzydka, że może się podobać, a on miał już powyżej uszu sprzątanania po Marcelu za każdym razem, kiedy tamten wpadał w tarapaty. Czy to do niej dotarło?

– Pan jest ojcem Marcela?

O niczym innym nie marzył. Wyobraził sobie te noce, te krzyki rozkoszy, niebo w zasięgu ręki.

– Tak.

Dobili targu. Jacinto sam pomógł jej spakować walizkę i zawiózł ją do nowego lokum, czyli do starego mieszkania w dzielnicy Raval, ciemnego i przesiąkniętego dziwnymi zapachami, w którym jednak znalazło się dość miejsca na wszystkie kadzidełka świata. Och, może jednak warto zostać milionerką.

Kiedy Marcel nie zastał jej w akademiku, płakał po niej niepokieszony przez parę miesięcy, rozglądał się w salach wykładowych, na dziedzińcu, w barach różnych wydziałów i w końcu zrobił z niej świętą, która złożyła pokusę łatwego życia na ołtarzu ideologii. Od tej pory zawsze kiedy ktoś go pytał o wspomnienia z maja sześćdziesiątego ósmego roku, odpowiadał ponuro, że były przejmujące, i odmawiał podawania bliższych szczegółów. Nigdy więcej nie wsiadł do pociągu. Nigdy więcej nie spotkał Ramony i nie dowiedział się, czy w końcu została pisarką.

Całe pomieszczenie wyglądało na sterylnie czyste, tą symboliczną czystością, która jest gwarancją czystości ducha. Ukrzyżowany, blady, wykrwawiony, przybity do ściany odpowiednio wysoko, żeby się nie wtrącał, mógł tylko patrzeć z góry na układy zawierane w zaciszu gabinetu. Stół,

polerowany bez końca, wyglądał jak lustro. Po jednej stronie siedziała ona, mając przed sobą dokumenty, na których nie wysechł jeszcze atrament złożonego przez nią podpisu.

– Jeżeli rzeczywiście Instytut przyspieszy lub w istotny sposób pomoże w przyspieszeniu Procesu – ruchem brwi wskazała papiery na stole – zapewniam waszą wielebność, że wielkość mojej wdzięczności będzie niewyobrażalna.

Monsinior Josemaría Escrivá de Balaguer y Albás, doktor prawa, doktor świętej teologii, profesor prawa rzymskiego, profesor filozofii i deontologii, rektor Patronatu Świętej Izabeli, prywatny prałat Jego Świątobliwości Pawła VI, doktor honoris causa Papieskiej Akademii Teologicznej w Rzymie, konsultant Sacra Congregazione dei Seminari e delle Università, założyciel i wikariusz generalny Opus Dei, członek kolegium aragońskiego, doktor honoris causa uniwersytetu w Saragossie, wielki kanclerz Uniwersytetu Nawarry, ukochany syn miasta Barbastro, honorowy obywatel Barcelony, honorowy obywatel Pampeluny, kawaler Wielkiego Krzyża Orderu Świętego Rajmunda z Penafort, Krzyża Wielkiego Orderu Alfonsa X Mądrego, Krzyża Wielkiego Orderu Izabeli Katolickiej, Krzyża Wielkiego Orderu Karola III, Krzyża Wielkiego Orderu Dobroczynności oraz markiz Peralty, z pokorą pochylił głowę i powiedział tym charakterystycznym, przymilnym głosem zależy mi bardziej niż komukolwiek na tym, by Proces doprowadzić do zadowalającego rezultatu. Rozłożył ręce, jakby chciał po bratersku objąć stół, panią Elisendę Vilabru oraz całą dostarczoną i podpisaną dokumentację, i oświadczył osobiście to zlecę monsiniorowi Alvarowi del Portillo.

– A czy mogłabym zapytać o przyczynę braku odpowiedzi na moją prywatną prośbę o przyjęcie do Instytutu?

Wielebny po drugiej stronie stołu złożył ręce jak do modlitwy. Zapadła cisza pozwalająca usłyszeć dalekie, słabe odgłosy ożywionego ruchu na ulicach Rzymu. Spojrzała swojemu rozmówcy w oczy, chcąc go pospieszyć no, odpowiedz, nie mam zamiaru siedzieć tu cały dzień. Odczytując prawidłowo ten przekaz, zdecydował się przemówić:

– Mimo że pani życie społeczne jest przykładem chrześcijańskiej postawy, szanowna pani, niestety, w życiu osobistym ukrywa pani coś, co może wywołać skandal. I biada tym, którzy gorszą innych, albowiem lepiej by dla nich było, gdyby...

– Nie mogę wywołać żadnego skandalu – przerwała mu, z trudem hamując złość – ponieważ nikt nie zna tej części mojego życia osobistego. – I dodała z lekką pogardą: – A wasza wielebność skąd o tym wie?

Monsinior Josemaría Escrivá de Balaguer y Albás, doktor prawa, doktor świętej teologii, profesor prawa rzymskiego, profesor filozofii i deontologii, rektor Patronatu Świętej Izabeli, prywatny prałat Jego Świątobliwości Pawła VI, doktor honoris causa Papieskiej Akademii Teologicznej w Rzymie,

konsultant Sacra Congregazione dei Seminarii e delle Università, założyciel i wikariusz generalny Opus Dei, członek kolegium aragońskiego, doktor honoris causa uniwersytetu w Saragossie, wielki kanclerz Uniwersytetu Nawarry, ukochany syn miasta Barbastro, honorowy obywatel Barcelony, honorowy obywatel Pampeluny, kawaler Wielkiego Krzyża Orderu Świętego Rajmunda z Penafort, Krzyża Wielkiego Orderu Alfonsa X Mądrego, Krzyża Wielkiego Orderu Izabeli Katolickiej, Krzyża Wielkiego Orderu Karola III, Krzyża Wielkiego Orderu Dobroczynności oraz markiz Peralty, tylko się uśmiechnął i odwrócił wzrok w stronę zasłon w głębi sali.

Jedno spojrzenie w oczy wystarczyło Bibianie, by odgadnąć, na jakie nieszczęście ten człowiek narazi jej panienkę. Cofnęła się o krok, zapraszając do środka. Wpuściła go do salonu i zostawiła samego. Rozejrzał się wokół. Nad kominkiem wisiał świeżo ukończony portret jego Elisendy. Zasłony przesiąkły zapachem farby. Tak, była naprawdę piękna.

– Witam.

Oriol odwrócił się spłoszony. Spojrzał na nią, porównując portret z oryginałem. Przewyższała go elegancją. Podali sobie ręce. Słyszeli uroczyste tik-tak zegara, a na zewnątrz, na placu, jakieś drzwi zatrzasnęły się z hałasem. Oriol zbliżył się do Elisendy. Miał ochotę pochwycić jej dłonie, jak dwa dzikie gołębie. Co się dzieje, wyczytał milczące pytanie w miedzianych oczach.

– Burmistrz Targa chce zabić dziecko.

– Co ty mówisz? – przeraziła się.

Wyjaśnił jej całą sprawę. Słuchała go w milczeniu. Oriol narzekał, że on nie potrafi go przekonać. Że Rosa jest oburzona. Że Rosa z każdym dniem traktuje go z coraz większym dystansem, coraz większym chłodem. Że tego popołudnia, kiedy wrócił ze szkoły, gdy tylko wszedł do mieszkania, zaskoczyła go pytaniem wiesz, co mi powiedzieli?

Patrzył na Rosę zaintrygowany, zdejmując marynarkę.

– Że to ty zadenuncjowałeś Joana Ventura.

– Ja?

– Podobno podsłuchałeś rozmowę dziewczynek z domu Ventura, kiedy mówiły o ojcu, że czasami odwiedza ich nocą po kryjomu.

– Kto tak twierdzi?

– Wszyscy.

– Rosa...

– Jeżeli natychmiast czegoś nie zrobisz... ja też w to uwierzę.

Przygnębiony usiadł na krześle. Jak ktokolwiek mógł przypuszczać, że on...

– A co ja mogę? Błagałem na kolanach, żeby przestał. Poza tym, słuchaj, Rosa, zaręczam ci, on tego nie robi.

– W miasteczku mówią, że jest zdolny do wszystkiego. A ci z Altronu, którzy go dobrze znają, twierdzą, że to typ spod ciemnej gwiazdy.

– A ja ci mówię, że tego nie robi. To niemożliwe.

– Jeźdźmy do Sort, żeby złożyć na niego donos. Trzeba gdzieś interweniować!

– Wyśmieją nas. O ile nie dobiorą się nam do skóry.

– Jesteś tchórzem.

– Tak. Ale Targa go nie zabije. A ja nie doniosłem na żadne dziecko!

To straszne, kiedy własna żona podejrzewa cię o coś takiego, uzalał się Oriol. A ponieważ czuł się w tym domu dość swobodnie, opadł na fotel, nie czekając na zaproszenie. Elisenda usiadła obok i wzięła go za rękę. Patrzyła na niego z powagą, ale nie odezwała się ani słowem.

– Ty masz na niego wpływ – błagał ją.

Elisenda nadal trzymała go za rękę. Mimo fatalnego położenia, w jakim się znalazł, dotyk dłoni Elisendy wywołał w nim przyjemny dreszcz.

– Nie mam wpływu na nikogo...

– No, ale mówi się, że...

Chciał się ugryźć w język, lecz było już za późno.

– Co się mówi?

– Nie, nic.

Elisenda wypuściła jego dłoń, jak ktoś, kto wyrzuca zmięty papier do kosza. Zauważył wyraźną zmianę, napięcie. Nalegała: – Co się mówi?

Spojrzał na nią. Bardzo spoważniała. Nie znał takiej Elisendy. Po raz pierwszy te piękne oczy, które on potrafił namalować, unikały jego wzroku. Musiał coś powiedzieć.

– Nic, tylko w Torenii się mówi, że Targa wyrównuje rachunki z tymi, którzy...

Elisenda wstała i dokończyła zdanie, które zawisło w powietrzu.

– Z tymi ludźmi z miasteczka, którzy zabili mojego ojca i brata, tak.

– No właśnie.

– Czy tobie też muszę wyjaśniać, że nie mam nic wspólnego z tymi troglodytami?

– No wiesz, ja tylko...

– Wróciłam tu rok temu, już po tych wszystkich wydarzeniach, niestety... A poza tym niewiele rachunków wyrównałam. – Stała tyłem, jakby chciała podziwiać własny portret. – I nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

Oriol pocierał twarz rękami. Nalegał: – Ja tylko chcę wiedzieć, czy możesz się wstawić, żeby ocalić życie małego Ventury.

Elisenda odwróciła się, dyskretnie wypinając biust, twarzą do malarza, niczym modelka gotowa do pozowania w pozycji stojącej. Zamiast zapytać, czy tak będzie dobrze, energicznie pokręciła głową i powiedziała wyjdź.

Wstał ze łzami w oczach, wściekły na siebie, że musi być nauczycielem w tym miasteczku, że namalował portret tej przepięknej, nienawistnej i godnej podziwu kobiety. Kiedy stał już w drzwiach salonu, usłyszał słowa Elisendy nic temu małemu nie będzie, nie martw się.

Tina nie pamiętała równie męczącej wspólnej kolacji. Obaj jej mężczyźni ze spuszczonej głowami w skupieniu jedli zupę, a ona, patrząc na nich, próbowała zagać rozmowę słowami nie wiesz, kiedy będziemy mogli cię tam odwiedzić, i w tym momencie Jordi, ciężko obrażony, nie umiejąc się pogodzić z przegraną, oświadcza, że jego noga tam nie postanie, więc Arnau zwraca się do niej i tylko jej odpowiada nie jestem pewien, ale jak tylko się dowiem, od razu was zawiadomię; bardzo bym chciał, żebyście do mnie przyjechali. Żebyś przyjechała. Następny kwadrans, potrzebny na przetrwanie słów żebyś przyjechała, wykluczających Jordiego z rozmowy, z przyszłości. Wreszcie ona przerywa ciszę, mówiąc no nie wiem, nie wyobrażam sobie ciebie w czerni, z brewiarzem w ręce, jak się przechadzasz czy śpiewasz w chórze. To takie dziwne, to jakbym przez ciebie została babcią, i to był jedyny moment podczas Ostatniej Wieczerzy, gdy Arnau szczerze się roześmiał. Naprawdę, wybuchnął śmiechem, ale Jordi do niego nie dołączył, uparł się, żeby się trzymać swojej roli do końca, nawet wbrew sobie, więc nie mógł sobie pozwolić na żaden żart. Owszem, z typowym dla niego brakiem wyczucia, kiedy kończył jeść pstrąga, rzucił uwagę będzie ci tam brakować kobiet.

– Tak. Wiem.

– To dlaczego to robisz?

– Z innych powodów. – Napił się wody. – Nie wiem, czy to cię interesuje.

– Mnie tak – odpowiedziała Tina cichym głosem.

Wtedy Arnau zaczął im opowiadać jak Jezus uczniom o świętych obcowaniu, o wartości modlitwy, ora et labora, o sensie, jakie jego zdaniem miało życie zakonne, on o nim mówił powołanie zakonne. O wartości liturgii godzin, o znaczeniu eucharystii, o decyzji wstąpienia do opactwa w Montserrat, żeby spędzić tam całe życie. Nie wiedział, czy uznają go za godnego dostąpienia święceń kapłańskich; najważniejsze, że chciał zostać mnichem na resztę życia. Te słowa, na resztę życia, zabrzmiały w uszach Tiny aż do śmierci, i usłyszała zgrzyt płyty nagrobnej, takiej jak te, które wykuwał Serrallac, zamykającej się z głośnym bum w nieznanej, ciemnej nawie. Arnau mówił spokojnie, powoli, jak zawsze, nie chcąc nikogo pouczać; dzielił się z nimi swoją intymną radością, że oto rozpoczyna się nowy etap w jego życiu i że nie, że woli tam jechać sam, że tak będzie lepiej. Że nie, naprawdę nie. Nie chce, żeby mu towarzyszyli. Rodzice w milczeniu odruchowo robili kulki z okruchów chleba na obrusie i nie mając odwagi spojrzeć na siebie, słuchali syna. Oboje myśleli z żalem że też dał się nabrać na takie bajki. Mój Boże, świętych obcowanie, a wydawał się taki

rozsądny, inteligentny, wykształcony i pracowity. W imię czego, mój Boże, przez jakie święte bzdety zrobili mu wodę z mózgu ci zachłanni łowcy dusz.

W milczeniu sprzątnęli po kolacji. Oglądanie telewizji nie pasowało do nastroju, więc zasiedli w fotelach, a Jordi zapalił fajkę. Milczeli wszyscy troje, ale nie dlatego, że czuli się niezręcznie. Raczej wybrali taki nieporadny sposób pożegnania, bo wydaje się, że już nigdy nie wrócisz do domu, o ile twój ojciec i ja nadal będziemy mieć wspólny dom. Kiedy Jordi skończył palić fajkę, Tina poczuła ukłucie, trzy dni bez bólu, i właśnie dzisiaj. Przepędziła z myśli czarną chmurę, wstała i wyszła z saloniku. Ze swojego gabinetu słyszała, jak Jordi przekonywał syna zamykając się w klasztorze, tracisz całe bogactwo metysażu kulturowego, który zatacza coraz szersze kręgi. Arnau odpowiedział coś tak cicho, że nie zrozumiała sensu jego słów. Ależ upierdliwy jest ten Jordi; zupełnie bez wycucia. Podobnie jak ja. Ja bym mu raczej uświadomiła jeżeli wstąpisz do Montserrat, stracisz kobietę, która cię pokocha. A ja przez ciebie umrę z żalu. Ale tego nie mogę mu powiedzieć. Tina wróciła do saloniku z paczką.

– To dla ciebie.

Arnau wziął paczkę zaskoczony. Rozpakował zaintrygowany, podobnie jak Jordi, który o niczym nie wiedział. Podarowała synowi kolekcję najlepszych zdjęć, jakie kiedykolwiek mu zrobiła w ciągu dwudziestu lat, od jego pierwszego ziewnięcia w klinice (och, jaka czuła się dumna jako matka, osoba odpowiedzialna za ludzką istotę) aż do ostatniego lata, kiedy wrócił spalony przez słońce z obozu pracy zorganizowanego przez francuską organizację pozarządową na terenie Bośni. Na tym zdjęciu obok niego stał Jordi, który już wtedy kręcił z na razie nie wiem kim, bo Renom widziała go w Lleidzie, choć oficjalnie miał pojechać gdzie indziej.

Arnau z uwagą oglądał album. Była przekonana, że udało się jej go wzruszyć, ale chłopak nie chciał tego okazać. Zauważyła, jak szybko przewrócił kartkę, na której sportretowała go w wieku osiemnastu lat, z jodłami i przykrytą śniegiem górą w tle, wpatzonego w swoje marzenia, przystojnego, to mój syn, to ja go urodziłam, na portrecie, z powodu którego miała prawo czuć dumę. Syn, którego nie tak łatwo zrozumieć.

Poszli spać bardzo późno, przedłużając w nieskończoność chwilę wspólnego milczenia całej trójki. Tina musiała przyznać, że Jordi zachował się dość przyzwoicie, bo nie zrobił więcej żadnej sceny, odkładając to na później, kiedy zostaną sami. Nie chciała iść do łóżka razem z nim.

– Obudzę was – powiedział Arnau, nastawiając budzik.

– Nie rozumiem, czemu musisz tak wcześnie wyjeżdżać.

– Dobranoc, Arnau.

– Dobranoc, ojciec. – Matkę czule pocałował przed snem. – Dziękuję za zdjęcia – powiedział, stojąc w drzwiach pokoju. – Sprawily mi prawdziwą przyjemność.

Gdy znalazł się u siebie, Arnau przysiadł na brzegu łóżka. Odruchowo zaczął głaskać Jurę, który panoszył się na samym środku pościeli. Kot smutno miauknął i przysunął się do niego. W tym momencie Arnau miał przeczucie i powiedział wam, że nigdy już cię nie zobaczę, Juriju Andriejewiczu. Moich rodziców tak. Ale ciebie nie. Nie okazał słabości podczas Ostatniej Wieczerzy, Ostatniej Sjesty, Ostatniego Mycia Naczyń, Ostatniego Prezentu ze Zdjęciami z Całego Życia, dzielnie zniósł smutek i zakłopotanie matki, bezsilną złość ojca... dopiero teraz, głaszcząc kota, mimo woli uronił łzę i pomyślał nie zobaczę cię więcej, Juriju Andriejewiczu, bo jesteś bardzo stary. A doktor Żywago, wzruszony, odpowiedział energicznym ziewnięciem i szybko zeskoczył z łóżka, tropiąc jakiś szelest niewiadomego pochodzenia, ponieważ nie miał zwyczaju rozmawiać z młodym.

Co teraz pocznę? zastanawiała się Tina, siedząc przed komputerem i czekając, aż Jordi zacznie chrapać. Bez syna, bez męża. Otworzyła kartonową teczkę, którą dostała od Joany, i na samym wierzchu znalazła opis śmierci Oriola Fontellesa. Przeczytała go ponownie. Z poświęceniem oglądała pod lupą niewyraźne twarze obu falangistów na sepiowym zdjęciu. Obaj w przepisowych mundurach. Młodszy z nich, bardzo wysokiego, z rozwianymi włosami, zidentyfikowała jako Oriola. Drugi był mężczyzną dojrzałym, śniadym, włosy przygładzone brylantyną zaczesał do tyłu, miał też cienki, równo przycięty wąsik. Przeczytała artykuł o uczciwym człowieku, pracującym z poświęceniem nauczycielu, bohaterze i męczenniku. Spróbowała wyobrazić sobie tę śmierć, żeby nie myśleć o synu. Postanowiła zajrzeć ponownie do zeszytów znalezionych w szkole, zapisanych równym, drobnym pismem. Jordi jeszcze nie chrapał. Kochana córko, nie wiem, jak masz na imię, ale wiem, że istniejesz, bo widziałem twoją rączkę, małą i słodką: chciałbym, żeby ktoś ci przekazał te zapiski, żebyś je przeczytała, kiedy już dorośniesz. Boję się, co inni mogą ci o mnie powiedzieć, zwłaszcza twoja matka. Ale piszę ten list, który będzie długi i który na pewno, na pewno dotrze do ciebie już po mojej śmierci. Nie będzie ci smutno z tego powodu, bo nigdy mnie nie poznasz. Wiesz? Mam wrażenie, że ten list jest jak światło gwiazd: kiedy do ciebie dotrze, mnie już od dawna nie będzie. Kochana córko, której imienia nie znam. Kochany synu, Arnau, którego imię znam, ale nie wiem, kim jesteś.

Wtedy postanowiła przepisać wszystkie zeszyty na komputerze. Żeby je udostępnić innym. Żeby ocalić pamięć pokonanego. Postanowiła, że jutro, kiedy przyjdzie czas na Ostatni Pocałunek, powie synowi, jak bardzo go kocha, i poprosi, żeby jej przebaczył, że nie potrafiła lepiej go wychować. I że bała się iść do lekarza i wysłuchać, co ma jej do powiedzenia. Z tego wszystkiego mu

się zwierzy podczas Ostatniego Uścisku. Odłożyła zeszyty na miejsce i poszła się zanurzyć w chrapaniu Jordiego.

Pierwszy raz, jak daleko Tina sięga pamięcią, Arnau ich okłamał z premedytacją. Kiedy zadzwonił budzik za piętnaście ósma, żeby ich obudzić do szkoły, stwierdzili z żalem, że syn parę godzin temu po cichu odszedł z ich życia.

Czekała na nią wyprostowana, wsparta na lasce. Służąca zostawiła je same i bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi. Pani Elisenda spojrzała smutno nieobecny wzrokiem na ścianę. Nie przejmując się jej obecnością, usiadła, patrząc przed siebie. Wykonała ręką ruch, coś jakby zaproszenie do zajęcia miejsca. Dopiero wtedy Tina zrozumiała, że ta staruszka o żywym spojrzeniu jest ślepa. Poczwała się niezręcznie i siadła przed nią na sofie. Mogli mnie uprzedzić, że pani domu Gravat jest niewidoma. Bezkarne rozejrzała się po salonie. Urządzono go z myślą o komforcie. Na ścianach obrazy w stylu Urgella, Vayredy i Vancella, a może nawet oryginały pędzla tych mistrzów. Przy kominku stał mebel, coś pośredniego między serwantką a sekretarzykiem, zastawiony zdjęciami w ramkach. Nad kominkiem wisiał obraz bardzo pięknej młodej kobiety, trzymającej z czułością książkę w dłoniach przypominających niespokojne gołębie, które rwały się do lotu. Po oczach i spojrzeniu rozpoznała, że to portret siedzącej przed nią jaśnie pani.

Weszła milcząca służąca z serwisem do herbaty i nalała obu paniom. Elisenda Vilabru poczekała, aż wyjdzie, i dopiero wtedy zaatakowała Tinę. Zrobiła to w taki sposób, jak gdyby nawiązywała do przerwanej rozmowy.

– O co chodzi z tą książką o czymś tam.

Tina wyciągnęła z teczki jeden z zeszytów Oriola i otworzyła go w przypadkowym miejscu.

– To nie książka, to zeszyty. Zeszyty. Chciałabym, żeby rzuciła pani na nie okiem. – Wyciągnęła zeszyt w jej kierunku, ale natychmiast cofnęła rękę zawstydzona. – O, przepraszam.

– O czym to jest?

– Pani znała Oriola Fontellesa, prawda?

Zapanowała gęsta, ciężka i nieprzyjemna cisza. Tina poczuła się niezręcznie i rozpaczliwie rozglądała się wokół siebie, czekając, skąd nadejdzie ratunek. Zamknęła zeszyt.

– Znam go, oczywiście – potwierdziła dama. Tina musiała przyznać, że ta wysuszona staruszka, na której twarzy osiemdziesiąt pięć lat życia odcisnęło swoje piętno, zachowała jeszcze resztki dawnej urody, które z powodzeniem broniły się przed działaniem czasu. – Co pani chce o nim wiedzieć?

– Szukam jego córki. I żony, jeśli jeszcze żyje.

Pani Elisenda na moment wstrzymała oddech, tylko na chwilę, ale Tina to zauważyła.

– Z jakiego powodu? – zapytała w końcu.

Nawet ton głosu jej się zmienił. Tina dyskretnie odłożyła zeszyt do teczki.

– Nie, ja tylko... Przygotowuję album na temat komarki Pallars i... – Jaśnie pani zwróciła się w stronę jej głosu i poczuła, jak przeszywa ją to martwe spojrzenie, intensywnością przypominające wzrok Arnaua.

Musiała jednak brnąć dalej.

– No więc, nie, tylko... Chciałabym zamieścić zdjęcia domu Gravat.

– Dlaczego chce pani rozmawiać z córką pana Fontellesa?

– No bo... Rzecz w tym, że... Znalazłam pewne listy i...

– Listy Oriola? – Po paru sekundach sama się ocenzurowała. – Pana Fontellesa?

Cisza. Obie kobiety stały się ostrożne. Już od wielu lat pani Elisenda nie czuła się aż tak zbita z tropu.

– Skąd pani je ma?

– Może mi pani powiedzieć, gdzie mogę znaleźć córkę Fontellesa, tak czy nie?

Pani Elisenda wstała, opierając się na lasce. Od kiedy skończyła siedem lat, a jej matka pewnego pięknego dnia po prostu zniknęła z domu, przyzwyczaiała się do rozkazywania. A kiedy skończyła lat siedemnaście, ojciec zaś, żeby ją wprowadzić do towarzystwa, wydał na jej cześć bal i ściągnął do Toreny grono polityków i finansistów, których noga nigdy wcześniej nie postąpiła w górach, gdzie można sobie ubrudzić obuwie, zrozumiała, że jej inteligencja i uroda potrafią łamać męskie serca i mogą być w życiu bardzo użyteczne. Od tamtej chwili wiedziała już, że jeśli się uprze, zawsze postawi na swoim. Żeby to dobitnie dać do zrozumienia wszystkim mężczyznom, którzy zaczęli się do niej zalecać, zamiast z nimi rozmawiać, ograniczyła się do wydawania rozkazów. Odniosła sukces: wszyscy w jej otoczeniu stawali przed nią na baczność, nie wykluczając ojca i Josepa. A Bibiana, siedząc przy łóżku i popijając ziółka, myślała wiedziałam, że panienka wszystkich przechytry. Elisenda nabrała przekonania, że może podbić cały świat, że życie do niej należy, i nikt jej nie uprzedził, a sama jeszcze do tego nie doszła, że są takie chwile, kiedy ciężar życia okazuje się nadmierny i jeśli nie chcesz, by cię powaliła wichura, musisz się ugiąć. Elisenda straciła duszę dwudziestego lipca trzydziestego szóstego, kiedy anarchistyczna bojówka FAI z Tremp, napuszczona, podjudzona i przyprowadzona przez zawistnych morderców z miasteczka, rozstrzelała jej ojca i brata i popchnęła ją na jedyną możliwą drogę: zrobić wszystko, żeby nigdy o nich nie zapomnieć. Nigdy, Bibiano. Przysięgam.

– Powinna pani pokazać mi te listy.

– Nie. Mają charakter osobisty i pani nie dotyczą.

– Wszystko, co jest związane z Oriolem Fontellesem, mnie dotyczy.

– Słucham?

– Zainicjowałam, sfinansowałam i osobiście nadzorowałam sprawę

beatyfikacji i...

– Słucham?

Pani Elisenda znów usiadła. Odzyskała panowanie nad sytuacją i nie chciała, żeby znów wymknęła się jej spod kontroli.

– Wiosną Ojciec Święty wyniesie na ołtarze czcigodnego Oriola Fontellesa.

– To jakiś żart.

– Nie słyszała pani o tym?

– O beatyfikacji Fontellesa?

– Oczywiście.

– Nie. Te sprawy... – przez moment zobaczyła w myślach syna – ...raczej mało mnie obchodzą.

– Proszę pani. – Ton głosu, wyraz twarzy, gesty tej kobiety, wszystko naraz się zmieniło. – Oriol Fontelles to wielki przyjaciel naszej rodziny, przyjaciel sprawdzony w trudnych chwilach, i męczennik Kościoła. – Wyciągnęła przed siebie ślepą rękę. – Dlatego chcę, żeby zostawiła mi pani na parę dni ten...

– Mówimy o tej samej osobie? Bo z tego, co można wywnioskować z jego zeszytów... nie był wcale taki święty.

Pani Elisenda wskazała laską kominek. Wymierzyła celnie w jedną z fotografii na półce.

– To ten. Nie ma innego.

Tina wstała i podeszła bliżej. Oriol Fontelles na pierwszym planie, bokiem, wpatrzony w przyszłość, której nie doczekał. Ten sam wyraz twarzy, ten sam grymas ust co na autoportrecie sporządzonym przed lusterkim w szkolnej łazience. Ale tu w falangistowskim mundurze. Miała przed sobą powiększenie zdjęcia z gazety, na którym stał obok Valentína Targi. Zawsze to samo, jedyne zachowane zdjęcie. Obok niego inne, przedstawiające jakichś nieznanych ludzi. To na pewno krewni. I ktoś, chyba jakiś kanonik siedzący na krześle, a obok niego stoi drugi mężczyzna, w ogrodzie domu Gravat. I ostentacyjnie wyeksponowane, oprawione w srebrną ramkę zdjęcie przedstawiające uścisk dłoni między kobietą, którą musiała być dużo młodsza pani Elisenda, i uśmiechniętym generałem Franco, w otoczeniu umundurowanych, nienaturalnie rozradowanych mężczyzn. I zdjęcia chłopca, z niepewnym rodzinnym podobieństwem, w różnych momentach życia. Oraz inne osoby, których nie kojarzyła.

– Tak, to on – przyznała Tina. – Nie wiedziałam, że...

– Ma pani obowiązek dać mi te listy. Czemu pani twierdzi, że wcale nie był święty?

– Zaadresowane są do jego córki. Nie mogę...

– Pan Oriol Fontelles nie miał żadnej córki.

– Oczywiście, że miał.

- Mogę pani zagwarantować, że nie.
- A jego żona?
- Zmarła mniej więcej w tym samym czasie co on...
- Coś takiego...
- My byliśmy rodziną Oriola.
- Tak, ale...
- A ja jestem jedynym żyjącym świadkiem jego śmierci.
- Pani?

Pani Elisenda laską wskazała sofę. Tina przestała oglądać zdjęcia i usiadła tam, gdzie jej kazała. Wtedy pani Elisenda zaczęła mówić tragiczne jest to, że czas zaciera pamięć nawet o bohaterских czynach, ale z mojej pamięci może je usunąć tylko śmierć. Tamtej nocy wszędzie w górach czuło się wielkie poruszenie. Burmistrz Targa ze swoimi ludźmi patrolował okolicę, żeby nie dopuścić, by jakiś partyzancki oddział zaatakował Torenę, bo właśnie partyzanci rozpoczęli tamtą pamiętną inwazję na dolinę Aran, choć pani pewnie nie wie, o czym mówię. Okazuje się, że w owym czasie niżej wymienionego kandydata na czcigodnego, męczennika i Sługę Bożego Oriola Fontellesa Grau zatrzymały właśnie w szkole jakieś obowiązki. Mimo późnej pory nadal przebywał w szkole, która stała się dla niego drugim domem. Wszystkie dzieci z Toreny, wszyscy rodzice dzieci z Toreny mogą poświadczyć, z jakim poświęceniem oddawał się swojej pracy i pouczaniu diatwy z Toreny o prawdach życia i religii katolickiej. Od jego przybycia miasteczko się zmieniło, jako że potrafił pogodzić rodziny skłócone od czasu wojny. Tym samym poświadczamy i potwierdzamy porządek i następstwo wydarzeń, które doprowadziły do męczeństwa wymienionego kandydata na ołtarze, Sługi Bożego Oriola Fontellesa Grau. A są one następujące: o godzinie ósmej wieczór dnia dziewiętnastego października tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, po pracowitym dniu pełnienia posługi dydaktycznej, kandydat na czcigodnego dostrzegł światło w kościele Świętego Piotra. Kandydat zdziwił się niepomiernie, jako że już od dwóch dni wielebny proboszcz, ksiądz Aureli Bagà Riba, który jest wytrwałym postulatorem w tym procesie, przebywał w Urgell, gdzie się udał do katedry Seu z wizytą kanoniczną do księdza biskupa. Powodowany troską, kandydat poszedł sprawdzić, co się tam dzieje. Kiedy otworzył drzwi kościoła, jego oczom przedstawił się wstrząsający, niesamowity widok: oto bandyci z partyzanckiego oddziału komunistów, separatystów i anarchistów usiłowali wynieść tabernakulum z Najświętszym Sakramentem, z pewnością w celu wytopienia złota z niewielkich elementów dekoracyjnych. Kandydat, zgorszony i przerażony tym czynem, wydał głośny okrzyk, który zaalarmował świadków poręczających ten dokument, pana Valentína Targę Sau, ówczesnego burmistrza Toreny, oraz panią Elisendę Vilabré Ramis, którzy zdążyli przybyć do kościoła i obserwowali z daleka, bezsilni i nieuzbrojeni,

męczeństwo rzezonego kandydata. Według świadectwa wyżej wymienionych, Targi i Vilabrú, oboje patrzyli, przerażeni i bezradni, jak Sługa Boży Oriol Fontelles nacierał z gołymi rękami na świętokradczych napastników, złorzecząc im i upominając, by zaprzestali tak niecnego dzieła. Partyzanci, nie przejmując się jego pouczeniem, wyśmiali go i zagrozili mu śmiercią. Kandydat jednak zlekceważył te jakże realne, poważne groźby i szedł prosto przed siebie, aż do tabernakulum.

Następnie naoczni świadkowie oświadczają, że widzieli to na własne oczy i potwierdzają, że to najświętsza prawda. Stwierdzają, że Sługa Boży Oriol Fontelles, zgorszony ostentacyjną bezbożnością tych bluźnierców, odepchnął kilku z nich i sam wspiął się na ołtarz. Zaskoczeni tym śmiałym czynem nie zareagowali od razu, co mu pozwoliło wziąć w objęcia tabernakulum. Przywódca bandytów groził mu, co się stanie, jeśli natychmiast nie opuści ołtarza. Odpowiedział, że będzie go bronić aż do śmierci. Że jest gotów oddać życie za tabernakulum, za Najświętszy Sakrament i za Kościół święty, naszą matkę (dosłowny cytat). Po chwili wahania przywódca bandytów (były przemytnik niechlubnej pamięci, nazwiskiem Esplandiu) wymierzył z zimną krwią swoją broń w męczennika i wystrzelił prosto w szlachetne czoło Sługi Bożego, powodując niemal natychmiastową śmierć, zdaniem wojskowego lekarza Samuela Sáez de Zamora, który dokonał autopsji. Najbardziej niezwykłym wydarzeniem, jakie pragniemy podać do wiadomości trybunału, jest fakt, że kiedy już oddał życie za Kościół katolicki, za tabernakulum i za Najświętszy Sakrament, bandyci, mimo że włożyli w to wszystkie swoje siły, nie mogli wydrzeć męczennikowi tabernakulum, które trzymał w objęciach. Nie dało się ich rozłączyć w żaden sposób. Przeklinając i złorzecząc, próbowali jeszcze chwilę, aż ich dowódca wydał rozkaz, żeby uciekać, zanim zjawią się siły porządkowe. Na pamiątkę swojego złowieszczonego pobytu w miasteczku rzucili parę granatów, których wybuch zniszczył północną fasadę budynku ratusza, wywołując w nim niewielki pożar.

Jak oświadcza pani Elisenda Vilabrú Ramis, ona sama, przy użyciu swej wątej siły, pozostając pod wrażeniem tego, czego była świadkiem, kiedy tylko opuścili kościół bluźniercy i mordercy, podeszła do męczennika Oriola i bez trudu zdjęła jego ręce z tabernakulum. Co potwierdza wspomniany już Valentí Targa, którego świadectwo dołączamy. W aneksie załączamy również cenne świadectwo księdza Augusta Vilabrú Bragulata, który został zawiadomiony i natychmiast stawiał się na miejscu zdarzenia, aby poświadczyć jego prawdziwość.

– Nie miałam o tym pojęcia. Dosłownie brak mi słów.

Pani Elisenda mówiła ze spuszczoną głową. Może w ten sposób chciała ułatwić pamięci przepływ wspomnień. Wskazała serwis do herbaty na stole, a

Tina uświadomiła sobie, że nie upiła nawet łyka. Zbliżyła filiżankę do ust. A potem powiedziała, że przeczytała inną wersję w ówczesnej prasie.

– Wiem. Ale to bez znaczenia. Ich tam nie było.

Tym samym zamykamy ten Proces, oświadczając jako prałat tej diecezji, że postulator ustanowiony w sprawie potwierdził powszechną opinię świętości oraz heroiczną cnotę i dokonanie cudu za wstawiennictwem Sługi Bożego Oriola Fontellesa Grau. Niniejszym poświadczamy z niezachwianą pewnością, iż przestrzegamy dekretu Urbana VIII zakazującego przedwczesnego kultu oraz wyrażamy pozytywną opinię o wydarzeniach tu opisanych. Co do dochodzenia zwanego processiculi diligentiarum musimy stwierdzić, że poza osobistymi notatkami bez znaczenia i poza zwyczajną, niewinną korespondencją pocztową, nie znaleźliśmy żadnych papierów, wyznań, dziennika, refleksji utrwalonej na piśmie, studium teologicznego czy filozoficznego, czegokolwiek, co można by dołączyć do dowodów w sprawie, czy to przemawiających na korzyść, czy świadczących przeciw kandydatowi na czcigodnego. Niniejszym oświadczamy w dniu dzisiejszym, osiemnastego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, dokładnie dziesięć lat po heroicznej śmierci kandydata, mocą udzieloną nam przez Kościół święty, naszą matkę, że pan Oriol Fontelles Grau wykazał w momencie śmierci moralne cnoty chrześcijańskie w stopniu heroicznym, co pozwala uznać go za męczennika i ogłosić Czcigodnym Sługą Bożym.

Poświadczamy, w obecności postulatora, wielebnego księdza Aurelego Bagà Riby, proboszcza parafii, w której miały miejsce opisane wydarzenia, i w obecności głównego notariusza kurii, monsiniora Norberta Pugi Closy, że proces przygotowawczy został zakończony i opieczętowany zgodnie z tym, co stanowią przepisy kościelne, a tym samym może zostać podjęty proces beatyfikacji, na rzecz czcigodnego Oriola Fontellesa Grau. Tenore praesentium indulgemus ut idem servus Dei venerabilis nomine nuncupetur. Joan, biskup katedry Seu.

– Pani Elisendo, to radosne wydarzenie jest pani wyłączną zasługą – powiedział ksiądz i aż mu się oczy zaśmiały. Następnie zwrócił się do wszystkich zgromadzonych: – Nie macie państwo pojęcia, ile bym dał, żeby dożyć czasów, kiedy będziemy czcić obraz świętego, który nim został, że tak powiem, w tym właśnie kościele.

– Będzie ksiądz żył wystarczająco długo – zdecydowała pani Elisenda.

Pere Cases z domu Majals uśmiechnął się uprzejmie. Uśmiechał się na życzenie, bo zaczynał urzędowanie od tej uroczystości i chciał zachować maksymalny dystans, jak największy, od niesławnej pamięci, jaką po sobie zostawił jego poprzednik. On na czele rady miejskiej i wdowa Vilabru podejmowali księdza w zapuszczonej sali posiedzeń ratusza, żeby porozmawiać o przyszłym błogosławionym i świętym z ich miasteczka. No, niezupełnie z ich

miasteczka, ale prawie się w nim urodził, co by nie mówić.

– Postępowanie beatyfikacyjne może się rozpocząć dopiero pięćdziesiąt lat po śmierci czcigodnego.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym – zauważył sceptycznie nowy burmistrz. Może zastanawiał się, czy będzie jeszcze wtedy przewodniczyć radzie miejskiej.

– To wielki dzień dla parafii, dla szkoły i dla naszego miasteczka – oświadczył uroczystym tonem ksiądz, na fali entuzjazmu.

– I dla Hiszpanii – dodał mało rozmowny burmistrz, patrząc nieufnie na zgromadzonych.

– Tak, oczywiście – ktoś się zgodził.

Wszyscy obecni przystąpili teraz do konsumowania nadziewanych oliwek na cześć czcigodnego, rozmawiając o moście w Boscarró, czy powinien mieć balustradę kamienną czy metalową, i rozważali wszystkie za i przeciw, a tymczasem pani Elisenda odłączyła się od grupy i stojąc przy oknie, oglądała widoczny z tej perspektywy fragment miasteczka, ze szkołą i kościołem pod wezwaniem Świętego Piotra, widok równie spokojny i anemiczny jak w tamtym dniu, parę lat temu, kiedy poszła się spowiadać, jak zwykle co dwa tygodnie, a ksiądz Aureli zaprosił ją do zakrystii i tam oświadczył, że przeprowadził długie rozmowy z jej stryjem, księdzem Augustem, w wyniku których przyjął za swoją jego zdecydowaną wolę, by rozpocząć postępowanie w sprawie męczeńskiego nauczyciela, co, jak domniemywam, jest także zgodne z pani wolą; ksiądz kanonik opowiedział mi poruszające szczegóły z przykładowego życia tego człowieka, co wpłynęło na moją decyzję, by zaproponować własną osobę na postulatora, z oficjalnym poparciem księdza Augusta. Liczę na współpracę pani oraz drugiego naocznego świadka. I przekonywał, że wprawdzie nie miał pewności, ale wydawało mu się, że jeżeli cud niemożliwości wyrwania męczennikowi tabernakulum zostanie zatwierdzony przez kurię, będzie można go włączyć do przyszłego postępowania beatyfikacyjnego, a na ten wielki entuzjazm księdza Aurelego pani Elisenda odpowiedziała uroczystym tonem tak, proszę księdza, może ksiądz liczyć na wszelką pomoc z jej strony, również materialną. I żeby to potwierdzić, pocałowała go w rękę, a przy okazji, z tą swoją przysłowiową zręcznością, wcisnęła mu do ręki zwinięty banknot. Nareszcie. Do dzieła.

Wieczorem w ratuszu usłyszał tę wiadomość z ust pani Elisendy Vilabru Valentí Targa, któremu surowo przykazała, by zachował gotowość do wszelkiej współpracy, wszelkiej, rozumiesz, co mam na myśli? Później na kilka minut zapadło między nimi milczenie, jak podczas liturgii czy czegoś w tym rodzaju, które przerwała słowami no dobrze, no to już wiesz. A teraz, w ratuszowej sali posiedzeń, gdzie Oriol oficjalnie stał się kandydatem na ołtarze, kiedy już

Elisenda przestała oglądać pejzaż za oknem i odwróciła się, miała wrażenie, że Valentí na portrecie unika jej wzroku.

– Czy teraz pani rozumie, jakie znaczenie mogą mieć te listy dla beatyfikacji?

– A jeśli z nich wynika coś zupełnie przeciwnego?

– Mogą dać świadectwo prawdzie. Proszę mi je zostawić i wrócić po nie jutro o tej samej porze.

– Nie. – Zmieniając temat: – A więc drugim świadkiem śmierci Fontellesa jest burmistrz Toreny.

– Tak. Ale on już nie żyje. Od ponad czterdziestu lat.

Wstała i podeszła do sekretarzyka ze zdjęciami. Mimo ślepoty bezbłędnie wskazała zdjęcie dyskretnie ukryte za innymi. Czarno-białe, jak prawie wszystkie. Za biurkiem okazałych rozmiarów siedział dojrzały mężczyzna i patrzył przenikliwym wzrokiem w obiektyw, jak gdyby prowadził rozmowę z fotografem. Cała jego postać emanowała energią, którą dało się też wyczytać w tym spojrzeniu. Ciemne włosy zaczesał do tyłu, miał też cienki, równo przystrzyżony wąsik. Nie był w mundurze, nosił ciemny, elegancki garnitur. W popielniczce leżał niedopałek papierosa, a za tło dla burmistrza Targi służyła flaga hiszpańska i wyżej, już prawie poza kadrem, portret generała Franco. Zegar ścienny po przeciwnej stronie wskazywał godzinę dziewiątą. Dziewiątą rano lub dziewiątą wieczorem. Świetna emulsja, pomyślała Tina, widać wyraźnie wszystkie szczegóły, a przecież to takie stare zdjęcie. Pozycja ramienia wskazywała, że właśnie odłożył słuchawkę tego czarnego trupa, który tam służył za telefon. Jego jasne, przenikliwe oczy nie patrzyły prosto w obiektyw, raczej bardziej w prawo, na jakieś widma.

– To jest Valentí Targa?

– Tak.

Po raz pierwszy mogła się przyjrzeć dokładnie jego twarzy.

– Wydaje się, że ludzie źle go tu wspominają.

– Co oni mogą wiedzieć – powiedziała z pogardą, niemal plując słowami.

– Myślałam, że był młodszy.

– To zdjęcie zostało zrobione niedługo przed jego śmiercią, tak.

Pani domu Gravat wróciła do swojego fotela, nie posługując się laską. Tina jeszcze przez chwilę zatrzymała się przy zdjęciu, żeby zapamiętać rysy twarzy.

– Miał wtedy jakieś pięćdziesiąt, pięćdziesiąt jeden lat.

– Który to rok?

– Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci – odpowiedziała bez zastanowienia.

Valentí Targa, odłożywszy słuchawkę telefonu, nie patrzył na Tinę, patrzył w prawo, na jakieś widma, tam, gdzie stała Elisenda. Zafrasowana mina burmistrza wskazywała, że coś go trapi. Energicznym gestem dał znak fotografowi. Elisenda Vilabru, której mąż zmarł dokładnie przed tygodniem,

czekała lodowata, wyprostowana, w żałobie, stojąc przed biurkiem burmistrza. Czekala, aż tamten zacznie mówić. Kątem oka sprawdziła godzinę na ściennym zegarze: dziewiąta. Kiedy fotograf zamknął za sobą drzwi gabinetu i zostawił ich samych, spojrzała rozgniewana na burmistrza.

– No już, mów, o co chodzi – odezwała się w końcu.

– Jakiś dziwny telefon.

– I dlatego mnie tu sprowadziłeś?

– Skoro nie pozwalasz mi wejść do swojego domu...

– Dlaczego dziwny? – zapytała pani Elisenda, wskazując podbródkiem telefon.

– Jakiś nieznajomy chce ze mną rozmawiać o Tuce.

– Z tobą? – Po pełnej napięcia pauzie: – Kto?

– Niejaki Dauder. Dzwoniła jego sekretarka.

– Znasz go?

– Nie. Mówi, że to on jest prawdziwym właścicielem Czarnej Doliny.

– A dlaczego nie skontaktował się ze mną?

– Mówi, że ma pewną informację, która...

– Nikt nie powinien wiedzieć, że chcę kupić... – Teraz spojrzała mu w oczy. – Komu się pochwaliłeś?

– Nikomu nic nie mówiłem! – Podskoczył urażony.

– Nigdy nie podnoś na mnie głosu – powiedziała cicho. – Zapamiętaj to sobie.

Valentí Targa potarł twarz ręką i opadł zrezygnowany na krzesło.

– Przed kim się wygadałeś?

Cisza. Pani Elisenda, żeby na niego nie patrzeć, odwróciła się do okna. Szare listopadowe niebo. Kolejny dzień mrozu i lodu na szosach. Pan Valentí Targa, kat Toreny, otworzył usta i natychmiast je zamknął. Ponieważ on nic nie mówił, ona, nie przestając wpatrywać się w ołowiane niebo, zapytała kto ci pozwolił wtrącać się do moich interesów.

– Ale ja...

– Nie, nie... – zareagowała bardzo cicho. – Pytam cię, kto ci pozwolił.

– Nikt. – Valentí pochylił głowę, pokonany.

– No właśnie. Teraz ja ci coś wyjaśnię.

Spojrzała na niego. Burmistrz skulił się na krześle, jak kiedyś w szkole, gdy uczyła go panna Rufat. Elisenda mówiła powoli, jakby zwracała się do dziecka: – Stacja narciarska to wieloletnia inwestycja i jeżeli się nie powiedzie, będzie źle. Tym, na czym mi najbardziej zależy, jest sprzedaż góry Tuca Szwedom. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będę taka bogata, że...

– Ja to wszystko wiem.

– Patrz mi na usta, kiedy mówię – upomniała go surowo. – Zanim sprzedam

góre, najpierw muszę ją wykupić kawałek po kawałku, za bezcen. Ty mi w tym pomagasz, a ja ci dobrze płacę. Zgadza się?

– Tak, panno Rufat.

– Ale jak to się rozniesie, skończy się kupowanie za bezcen. – Łagodnym tonem: – A teraz albo mi powiesz, z kim o tym rozmawiałeś, albo zostaniesz po lekcjach.

– Może coś wspomniałem... no nie wiem, delegatowi prowincjonalnemu...

– Jesteś bałwan, ty i ci twoi zasrani przyjaciele falangiści.

– Nie obrażaj mnie.

– Jak mi się zechce. – Wskazała duży aparat na biurku. – A poza tym o takich sprawach nie wolno rozmawiać przez telefon.

– Dlaczego?

– Ponieważ telefonistka może podsłuchiwać.

– Cinteta to dziewczyna bardzo...

– Jest taką samą plotkarą jak wszystkie.

Elisenda nadal patrzyła przez okno, zamyślona. Aż wreszcie podjęła decyzję i znów spojrzała na Targę.

– Dobrze. Idź się spotkać z tym Dauderem i wyjaśnij mu, że ja niczego nie zamierzam kupować. A przede wszystkim postaraj się, żeby do niego dotarło, że podejmowanie decyzji nie należy do twoich kompetencji. A temu twojemu delegatowi prowincjonalnemu przypomnij, że ma się ze mną rozliczyć z rewaloryzacji, i żebym nie musiała się odwoływać w tej sprawie do gubernatora cywilnego...

Valentí podniósł się urażony, włożył płaszcz i kapelusz i otworzył drzwi gabinetu.

– Przeszkadza ci, że ja chcę sobie zarobić.

– Na litość boską, Valentí! – Oburzyła ją do głębi jego głupota. – Zarabiam sobie, ile chcesz – celowo użyła protekcjonalnego tonu – ale nie rozmawiaj o moich sprawach ani o mnie z twoimi znajomymi. Pod żadnym pozorem. – Zanim Valentí zdążył zniknąć za drzwiami, dodała jeszcze po cichu, patrząc przez okno: – Uważaj, bo ten Dauder to pewnie tylko pośrednik.

Valentí wrócił i zamknął za sobą drzwi. Z wściekłością: – Zrobię, co uznam za stosowne.

– W żadnym wypadku. Nie wtedy, gdy w grę wchodzi moje pieniądze. Powiesz mu, że nie mam zamiaru niczego kupować. Powtórzysz mu dokładnie moje słowa. I niech sobie wsadzi swoją górę, gdzie chce.

– Ale w ten sposób wszystko się opóźni!

– Tak. Z twojej winy. Bo lubisz się chełpić. Zostaniesz bez prowizji.

Valentí wyszedł, trzaskając drzwiami własnego gabinetu.

– Valentí – przywołała go, nie podnosząc głosu.

Drzwi znów się otworzyły.

– Wiesz, że nie lubię, kiedy ktoś trzaska drzwiami.

Pan Valentí Targa, czerwony z wściekłości, delikatnie zamknął za sobą drzwi. Nie patrzyła, jak wychodzi; nie mogła wiedzieć, że po raz ostatni widzi burmistrza Toreny żywego. Rzecz w tym, że na szosie, która prowadzi do Sort, są trzy zakręty z bardzo słabą widocznością. W listopadzie, wczesnym rankiem, jeżeli nie jedzie się ostrożnie, poślizg jest murowany, z powodu oblodzenia. To się stało na drugim zakręcie, tym na wysokości Pendís. Najprawdopodobniej dlatego, że Valentí o dziesiątej umówił się w Sort i nie chciał się spóźnić na to tajemnicze spotkanie; zdaniem rzeczoznawców musiał jechać z szybkością ponad pięćdziesięciu kilometrów i nie zdążył zahamować. Poleciał w dół z boczka jak kamień i rozbił się na murze, który sam kazał tam zbudować, żeby ograniczyć osuwanie się ziemi i żeby się tam rozbić, kiedy przyjdzie czas.

– Tak, tak. Miał zaledwie pięćdziesiąt jeden lat.

– Był człowiekiem bardzo... kontrowersyjnym – powiedziała Tina, sięgając po herbatniki.

– Tak. Ale zdobył się na to, żeby zaprowadzić porządek w tym chaosie – odpowiedziała dama.

Pani Elisenda nawet nie spróbowała herbaty. Myślała o tamtym dniu w listopadzie pięćdziesiątego trzeciego, kiedy zadzwonił do niej Ernest Tremoleda Sancho, burmistrz Sort, i oświadczył pani Elisendo, stało się nieszczęście. Poproszono ją, by przyjechała do szpitala w Tremp zobaczyć zwłoki Valentína, i przekazano jej pytanie tego nudziarza gubernatora cywilnego co teraz zrobimy, nikt nie będzie chciał zostać burmistrzem na jego miejsce. Czy mamy podjąć kroki, żeby włączyć całą dolinę pod jurysdykcję Sort?

– Powiedźcie, żeby don Nazario się nie martwił; jutro zgłosi się ochotnik.

– Dziękujemy pani.

Pani Elisenda, wskazując zmasakrowane ciało Valentína Targi, zapytała: – Jak to się stało?

Powiedzieli jej o ślizgawicy i o cementowym murze, a ona pomyślała w złą godzinę musiałeś umrzeć, Valentí, już mi nie wyjaśnisz, kim jest ten Dauder tak dobrze zorientowany w wykupywaniu Tuki.

– Prosilibyśmy, żeby pani zidentyfikowała zwłoki.

– Co takiego?

– Nic, tylko prokurator prosi o potwierdzenie tożsamości denata. W kwestii formalnej.

– Aha. I co mam powiedzieć?

– Tylko tyle. Czy to na pewno pan Valentí Targa?

Tak, to Valentí Targa, mój największy błąd, człowiek, który miał zadośćuczynić, mój goel, goel mojej rodziny. Spełnił swój obowiązek, a potem

popęłnił błąd. Duży błąd. Nienawidziłam cię ze wszystkich sił, Valentí, bo wiem, że zrobiłeś to z premedytacją.

– Dziękujemy pani.

Wracając do domu samochodem prowadzonym przez Jacinta, trzydziestośmioletnia wdowa Vilabru, ze smutną twarzą, w żałobie, w myśli podziękowała betonowej ścianie, bo dzięki niej w pewnym sensie została po raz drugi wdową w ciągu jednego tygodnia i poczuła się wyzwolona: zamykała pewien etap, jak zamyka się książkę. Żegnaj, Santiago. Dziękuję, przydałeś mi się na początku. Żegnaj, Valentí. Dziękuję ci za przysługę. Teraz nastał mój czas. A chór odpowiedział in saecula saeculorum.

– Dlaczego pani twierdzi, że wcale nie był święty?

– Proszę pani... Przede wszystkim był niewierzący.

– To oszczerstwo.

– I miał kochankę.

– To obrzydliwe kłamstwo. I proszę przyjąć do wiadomości, że świętość męczennika mierzy się stopniem heroicznego jego śmierci.

– Przepraszam, ale nie przyszedłam tu dyskutować z panią o teologii, tylko szukać kontaktu z jego krewnymi.

– Wszyscy już nie żyją.

– Ta cała beatyfikacja to jakaś farsa. Oriol Fontelles zasługuje na inne upamiętnienie.

Elisenda położyła rękę na piersi, jakby chciała czegoś dotknąć. Wstała. Postać tej ślepej, zasuszonej staruszki uginającej się pod ciężarem lat nadal robiła wrażenie. Tinie przeszła ochota, żeby ją dalej przekonywać.

Elvira Lluís kaszłała z powodu gruźlicy. Oriol nie miał pojęcia, czy mogą się nią zarazić inne dzieci, ale zdawał sobie sprawę, że byłoby okrucieństwem sugerowanie rodzicom nie wysyłajcie jej do szkoły, niech umiera w domu. Dlatego pozwolił, by nadal kaszłała w klasie, siedząc w ławce tuż przy piecu. Teraz słyszeli tylko kaszel Elviry Lluís. Przyjrzał się wszystkim dzieciom. Brakowało trojga, ponieważ Miquel z domu Birulés miał anginę, a Cèlia i Rosa Esplandiu z domu Ventura po prostu nie przyszły. Kiedy odmówili *Ojciec nasz* i dzieci usiadły, wszystkie udawały, że nie zwracają uwagi na puste pulpity sióstr małego Ventury, i wpatrywały się w niego uważnie. Słyszał tylko kaszel Elviry Lluís i czuł ukłucia utkwionych w nim milczących spojrzeń wszystkich uczniów. Powinien teraz ze starszymi mówić o rzekach Hiszpanii (Miño, Duero, Tag, Gwadiana, Gwadalkiwir, Ebro, Júcar i Segura) i o ich głównych dopływach (Sil, Pisuerga, Esla, Tormes, Alagón, Alberche, Genil, Gállego i Segre), a z młodszymi powinien ćwiczyć kaligrafię, ale napotkał mur dziecięcych milczących spojrzeń, ponieważ wszyscy jego uczniowie myśleli o pustych ławkach dziewczynek z domu Ventura, które nie przyszły, ponieważ nie było ich brata, ponieważ nie było ich ojca, a pan nauczyciel, i owszem, był tam, kiedy nocą zabrali z domu małego Joana Venturę; wszyscy o tym wiedzieli w miasteczku; ej, nie miał na sobie munduru Falangi, ale był tam; było mu głupio; ale nie ruszył nawet palcem; przykro było patrzeć na jego minę; co mi przyjdzie z jego miny; taki sam z niego faszysta jak tamci. Nie podnoś głosu. Ale ja nie mogę się pogodzić z tym, że nie da się go zadenuncjować. Ty się lepiej do tego nie mieszaj. I na litość boską, nie rozmawiaj o tym w barze.

Przez cały dzień w miasteczku panowała wielka cisza, ponieważ wszyscy się zastanawiali, co robi burmistrz Targa, jeżeli Ventura ojciec nie stawi się na wezwanie, co było więcej niż prawdopodobne. Oczywiście, niemożliwe, żeby zabił dziecko, ale jeśli nie, to co? Wtedy ci co zawsze śmialiby się w kułak, za zamkniętymi drzwiami, no i co, przyszedł Ventura z podwiniętym ogonem? Akurat! Chyba nie chcecie, żeby znów wrócili anarchiści z FAI i ich porządki, prawda? Kto to może wiedzieć, przyjdzie Ventura czy nie przyjdzie. Wiedzieli wszyscy, chociaż teoretycznie nie wiedział nikt, i rozeszła się wieść niczym dobra nowina ogłoszona wszystkim ludziom dobrej woli z nadzieją, że dotrze do Ventury, że na cztery dni przed Bożym Narodzeniem jego syn został uwięziony z rozkazu Heroda, i wszyscy byli przekonani, że wruszy go to wezwanie i wyruszy w drogę, ścieżkami Palestyny, prowadzony światłem gwiazdy, a kiedy o północy dotrze do Betlejem, odda się w ręce Valentína

Targi, syna Altronu, podobnie jak on, ale też burmistrza Toreny, żeby ocalić życie swojego syna, Joana Ventury, który teraz usłyszał już jest południe, a twój ojciec nie daje znaku życia, czy wiesz, co to znaczy? to znaczy, że zostaje ci już tylko modlitwa, a mały Ventura poprosił o tytoń, tytoń, poproszę, bo nie chciał się zesrać w portki i zrobiłby wszystko, byle tylko nie myśleć, jak bardzo się boi. Nie jesteś głodny, Ventura? Kiedy po południu dzieci poszły do domu, dziś bardziej milczące niż zwykle, dziś, w ostatnim dniu lekcji, smutne, bo zaczynały ferie świąteczne ze ściśniętym gardłem, bo wszyscy obawiali się o życie małego Ventury, a te dzieci, które szły najwolniej, jeszcze zdążyły zobaczyć, jak Ventura matka znów szła do ratusza, już po raz czwarty, błagając o życie dla syna, i schylała głowę przed burmistrzem, i mówiła mnie aresztujcie, ale wypuście chłopca, a Valentí Targa z pogardą mówił ja jestem dżentelmenem i nie biorę kobiet do więzienia, co bym tam z nimi robił; jeśli nie masz dla mnie wieści o twoim mężu, to mi się tu nie pokazuj. Pamiętaj, ja wiem z dobrego źródła, że twój mąż czasami was odwiedza po kryjomu.

– Ach tak? – Spojrzała na niego z politowaniem. – A kto ci naopowiadał takich bzdur? Chyba jakiś skurwysyn, który źle mi życzy.

– Nauczyciel ani nie jest skurwysynem, ani ci źle nie życzy – zaimprovizował, nie zdając sobie sprawy, jakie konsekwencje mogą mieć jego słowa. A może sobie zdawał sprawę, lecz na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone i lepiej mieć towarzystwo niż nadstawiać karku samemu w tych ważnych chwilach, kiedy życie staje się Historią. A poza tym, od czego ma się przyjaciół. – Nauczyciel po prostu jest patriotą.

– Nauczyciel kłamie.

Cofnęła się parę kroków i spojrzała Valentínowi Tardze w oczy.

– Niech będzie na wieki przeklęty – z namaszczeniem wypowiedziała klątwę, usuwając się przed oczu burmistrza Targi.

Mimo wszystko wróciła jeszcze do ratusza dwa, trzy, cztery razy, a Valentí już jej nie przyjmował i kazał powiedzieć temu z cienkim, sztywnym wąsikiem, że jeśli nadal będzie go wkurzać, jeśli jeszcze raz przekroczy próg ratusza i nie przyciągnie za ucho męża, jeżeli ciągle będzie mi zawracać głowę, ej, to wtedy zabijemy go na twoich oczach, zrozumiałaś? Ventura wróciła do domu zapłakana i myślała to niemożliwe, czemu mnie się to przytrafiło, przecież nie jestem złym człowiekiem, a ludzie patrzyli na nią ze współczuciem. Albo i nie, niech płaci za swego męża, do cholery. Byli tacy, którzy mówili powinniśmy o tym donieść, ale gdzie chcesz z tym iść, dziecko jesteś, wiesz, że jeżeli go zadenuncjujesz, to ciebie zamkną za zdradę i za pomoc partyzantom? Gdzie z tym chcesz iść, o święta naiwności? Do generała jakiegoś tam? Teraz w Torenie rządzi Falanga i koniec dyskusji. Dopóki partyzanci będą się wspinać jak kozice po tutejszych górach, w Torenie będzie rządzić Falanga. Ale mój mąż niczym się nie naraził podczas wojny. Aha, akurat. Przysięgam, przecież dlatego nie

uciekliśmy do Francji. Czego wy się boicie? To niemożliwe. Przecież to jeszcze dziecko.

Wieczorem Rosa, z wypiętym brzuchem, stanęła przed Valentínem i powiedziała jeśli masz jaja, zabij mnie, ale wypuść to dziecko. Valentí wysłuchał jej w milczeniu i nic nie odpowiedział, tylko zadzwonił. Wszedł mężczyzna w mundurze, z kręconymi włosami. Coś mu powiedział na ucho i ten kędzierzawy wyszedł, a Valentí zmierzył Rosę spojrzeniem, zwrócił uwagę na brzuch i zapytał o co chodzi? czyżby przyszedł Ventura, a mnie o tym nie powiadomiono? A ona przytoczyła argumenty za tym, by nie zabijać czternastoletniego chłopca; argumenty główne, jak ten, że w tym wieku wszystkie dzieci są niewinne; jesteśmy pewni, że nie zrobił nic złego, i argumenty uzupełniające, jak wyrzuty sumienia z powodu zabicia dziecka. A Valentí pozwolił, żeby się wygadała, aż do momentu, kiedy przybył Oriol, wystraszony, uprzedzony przez tego z kręconymi włosami, i dopiero wtedy Valentí odzyskał cały swój wigor i powiedział panie nauczycielu, pańska żona bredzi tu już dobre pół godziny, niech pan będzie tak uprzejmy i zabierze ją do domu, bo zaraz mnie szlag trafi, a Oriol wziął ją pod rękę i powiedział półgłosem chodź, Rosa. Ona potrząsnęła ramieniem, żeby uwolnić się od ręki męża i sama poszła do domu, a Oriol poczuł się głupio i nie śmiał podnieść oczu. Wtedy Valentí zawołał ejże, żeby go zmusić do podniesienia głowy, a gdy Oriol spojrział mu w oczy, puścił do niego oko: kobiety, wiadomo, łatwo tracą panowanie nad sobą; musisz zachować spokój, tak jak dzisiaj w szkole.

– Skąd pan może wiedzieć, co robiłem w szkole.

– Ja wiem wszystko. Mam dobrych informatorów. Donieśli mi nawet, że Pisuerga to dopływ Tagu.

– Duero.

– Kąpałem się w tej rzece, kiedy tam byłem podczas wojny z komunizmem, który teraz twoja żona tu propaguje pod przykrywką gestów miłosierdzia.

– Moja żona nie...

– Mówiłem ci, jak to jest z kobietami. – Zatrzasnął z hukiem szufladę. – Ale nie zniosę żadnego wtrącania się do mojego dzieła zaprowadzania porządku. – Podnosząc głos do krzyku: – Już nie pamiętasz, ilu żołnierzy hiszpańskiej armii zginęło w zasadzce? Co?

Oriol Fontelles zamilkł i nie zapiał żaden kur, ponieważ było już ciemno. Odważył się tylko powiedzieć czy pani Elisenda nie kazała panu się z tego wycofać?

– Pani Elisenda jest teraz w Barcelonie, gdzie musi pilnować interesów, które prowadzi ten chłystek jej mąż. Coś związanego z gruntami, które jedna i druga gałąź rodziny Vilabré ma tu w pobliżu. Chcesz znać więcej szczegółów?

– Pytam, czy pani Elisenda nie kazała panu tego przerwać.

– Pani Elisenda nie rządzi w Torenii.

Miasteczko Torena oświetlały tylko dwie żarówki. Jedna z nich na Rynku, w pobliżu okienka, przez które obsesyjnie wyglądała Rosa, żeby tylko nie odwrócić głowy i nie oglądać męża. Wiedział, że dlatego tak ją zainteresował Rynek, bo nie chciała napotkać jego wzroku.

Wieczorem wszyscy byli przekonani, że Ventura zjawi się lada moment; chcieli wierzyć, że wiadomość zastała go gdzieś daleko i stąd ta zwłoka. Na wszelki wypadek, przy całkowitej obojętności wojska, które liczyło poległych i lizało rany na honorze, dwa oddziały falangistów zajęły pozycje w Torenii i opracowały system komunikacji z żandarmerią na dole, która oficjalnie o niczym nie wiedziała, na wypadek, gdyby Ventura okazał się na tyle szalony, by się zjawić w pełnym uzbrojeniu i w większym gronie. Valentí był kłębkiem nerwów. Siedział z pustym żołądkiem i postukiwał metalową zapalniczką o blat biurka w gabinecie, niezdolny zająć się czymkolwiek w oczekiwaniu, aż Ventura zjawi się błagać na kolanach o życie syna, a on mu wtedy powie, ty odrażający zbrodniarzu, choć nie chcesz się do tego przyznać, to ty załatwiłeś starszego pana Vilabrú, nie czekając, aż ktoś przyjdzie błagać o litość dla weterana, a teraz musi za to zapłacić twój syn, i on za to zapłaci, i ty zapłacisz, a ja nie spocznę, dopóki nie rozprawię się ze wszystkimi odpowiedzialnymi za śmierć pana Vilabrú i jego syna, który miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, kiedy go załatwili. To on był prawdziwym dzieckiem, dwudziestosześcioletnim, a nie ten tu, który już wygląda jak stary, bo przeżył wojnę, a wojna wszystkich postarza, więc która jest godzina.

– Wybiła dziewiąta.

– Mały Ventura kopnie w kalendarz nie z mojej winy. Przygotujcie go.

Do pokonania trzystu metrów dzielących ich od ugoru Sebastiana potrzebowali czarnego, lśniącego samochodu. Na tylnym siedzeniu mały Ventura, zapłakany, taki sam tchórz jak jego ojciec, och, gdzie mu się równać z odwagą Josepa Vilabrú, który, jak mówią, dzielnie stawił czoło śmierci, jak na wzorowego Hiszpana i uczciwego patriotę przystało, kiedy anarchiści oblali go benzyną. Łzy i smarki spływały po twarzy małego Ventury. Obok niego siedział Gómez Pié, ten z kręconymi włosami, i Andaluzyjczyk z ciemną twarzą. Z przodu Balansó z cienkim wąsikiem i jakiś nieznany szofer. A na stopniu pojazdu, trzymając się okna jedną ręką, z pistoletem w drugiej, Valentí, kołysany bożonarodzeniowym chłodem, w euforii, że oto będzie mógł wykreślić jeszcze jedno nazwisko z listy apostołów, którzy powinni polec, bo takie jest prawo dżungli, w imię pospolitej zemsty. A wokół miasteczka czaiły się oddziały falangistów, na wypadek, gdyby partyzanci.

Samochód podskakiwał na wybojach, skręcając na ugór, to niemożliwe,

żeby umarł w ten sposób, a głośno powiedział ja nie chcę umierać, i wtedy Valentí pochylił się, wsadził głowę do środka i zapytał co on tam mówi? Chce zeznawać?

– Mówi, że nie chce umierać – odpowiedział Balansó. Valentí cofnął głowę, bo nie chciał się pozbawić ostrych jak brzytwa podmuchów powietrza, podsycających jego pęd do przyszłości i postępu.

Kiedy mały Ventura zobaczył pięciu mężczyzn stojących na warcie przy ugorze, ciemnym i zimnym jak zapomnienie, rozwiła się jego desperacka nadzieja, że ojciec w ostatniej chwili spadnie na kark oprawcom. Wywlekli go z samochodu i zaciągnęli w miejsce, gdzie ugór dochodził do bramy cmentarza, w świetle reflektorów samochodu. Tam rozkleił się na dobre, powtarzając nie chcę umierać, nie wiem, gdzie jest mój ojciec. A kiedy go przywiązywali do drzewa, nie przestawał płakać, bo właśnie przekonywał się na własnej skórze, że los jest nieodwracalny, i krzyczał głośno boję się, boję się, boję się! A Valentí wyleczył go z hysterii dobrze wymierzonym policzkiem i splunął mu w twarz, bo jest tchórzem i powinien się nauczyć, do kurwy nędzy, umierać z godnością, jak umierają bohaterowie, kurwa mać. Odsunął się i wycelował do niego z pistoletu, który cały czas trzymał w dłoni i wtedy powiedział, nie zabiję cię, ty tchórzku, chciałem się tylko przekonać, ile wytrzymasz, zanim się zesrasz w portki, a mały Ventura szlochał, zrozpaczony, zadowolony, smutny, szczęśliwy, przerażony i na moment spuścił wzrok i pochylił głowę, a wtedy Valentí wycelował w jego potylicę, którą tak zachęcająco wyeksponował do strzału, i wystrzelił raz i drugi, dokładnie w chwili, gdy chłopiec podnosił głowę, i Joan Ventura przestał pochlipywać, już nie płakał, i nie bał się, i stał się wreszcie, kurwa mać, dzięki mnie, dzielnym, jednookim trupem.

Nocą Rynek oświetlony jest jednym smutnym światłem. Drugie pali się na rogatkach, przy wjeździe do miasteczka, na drodze do Sorre i Altronu. W obu tych miejscach żarówka pod byle jaką metalową osłoną kołysze się tylko na wietrze i niczego nie oświetla. Zza małego okienka nauczycielskiego mieszkania Rosa patrzyła na ulicę, nieruchoma, milcząca, w nadziei, że te wystrzały, które usłyszała od strony cmentarza, nie zwiastowały śmierci, uparcie unikając odwrócenia się w stronę mieszkania, gdzie siedział przy stole jej mąż i robił kulki z okruchów chleba, jej tchórzliwy mąż, który wyobrażał sobie, że zmieni bieg wydarzeń. I wtedy jakiś stary, nieznamy samochód zatrzymał się pod żarówką. Mężczyzna, którego nigdy wcześniej tu nie widziała, wysiadł, otworzył drzwi i wyrzucił z samochodu jakiś tłumok. Samochód odjechał, pokaszlując, tam, skąd przybył. Chociaż tobół znalazł się w polu oświetlonym przez żarówkę, niemal nie dało się rozpoznać, co to takiego, i dopiero po chwili Rosa powiedziała półgłosem zabili go, zabili dziecko, i dotknęła ręką brzucha, a Oriol podszedł do niej i chciał położyć rękę na ramieniu, żeby ją pocieszyć, ale natychmiast ją strąciła i energicznym, choć

cichym tonem rozkazała nie dotykaj mnie! Na dole, na placu, w anemicznym świetle żarówki, Ventura matka, klęcząc, próbowała w rozpaczy zakryć ręką dziurę w czaszce i dół po prawym oku syna, przeświadczona, że nieszczęście, które zagościło w ich domu, już nigdy ich nie opuści. Talitha kum, pomyślał Oriol. Talitha kum, błagam, talitha kum, a w jego wnętrzu rozpaczliwa, ślepa wściekłość zaczynała wypierać strach.

Samochód pani Elisendy minął na drodze nieznajomy wóz, który jechał szybko w przeciwnym kierunku, do innej brudnej roboty albo na jakże zasłużony kieliszek koniaku. Kiedy Jacinto zatrzymał samochód przed domem Gravat, upłynęło pięć minut od chwili, gdy rodzina Ventura zabrała ciało z mrocznego, zimnego placu. Nie działo się nic szczególnego, ale cisza brzmiała inaczej, groźnie, jakby całe miasteczko jak jeden mąż wsłuchiwało się w bezgłośny szum zimnych wód rzeki Pamano, i dlatego zdecydowała się zajść do ratusza, żeby sprawdzić, co jest przyczyną tego zastanawiającego spokoju.

Pan Valentí Targa, w nieskazitelnym mundurze, pił pogrążony w tej samej ciszy, w towarzystwie trzech czy czterech umundurowanych nieznajomych, a kiedy zobaczył jaśnie panią, powiedział towarzysze, przejdźcie do sali posiedzeń, zaraz do was dołączę. Towarzysze z kieliszkami w dłoni przeszli do komórki na zapleczu, gdzie gromadził się kurz na bezużytecznych rupieciach, a Elisenda zgromiła go wzrokiem i zapytała co tu się stało czy ma się stać. A na to Valentí nie wiem, o co ci chodzi. A ona złapaliście Venturę?

– Nie.

– Co zrobiłeś?

– Wymierzyłem sprawiedliwość.

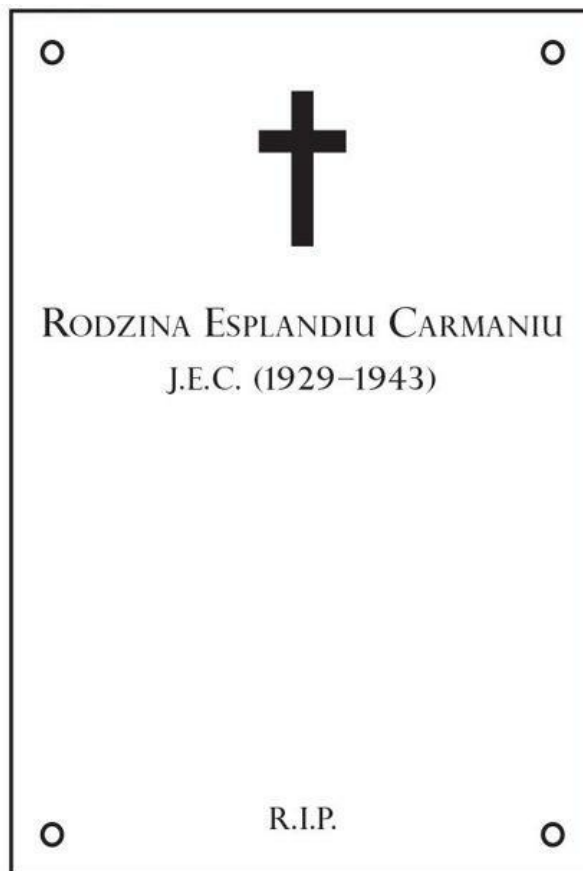
Elisenda stała spokojnie. Powiedziała nie wiem, co masz przeciwko Venturze, ale zapewniam cię, że to nie należało do twoich obowiązków.

– Co ty tam wiesz. – Spojrzenie Valentína było nieco zamglone nadmiarem koniaku, który zamienił się w jego tarczę ochronną.

– Zabiłeś chłopca?

Zamiast odpowiedzi Valentí opróżnił kieliszek jednym haustem i mlasnął językiem. Wtedy pani Vilabru powiedziała od tej chwili zmienia się nasz układ, bo nie podobają mi się twoje metody. I dodała jeszcze, nie wiem, czy pamiętasz, ale dałam słowo, że nic się nie stanie, a ty mnie zapewniałeś, tak, nic się nie stanie, tylko chciałeś postraszyć ludzi w miasteczku, a teraz okazuje się, że to straszenie polega na zabijaniu dzieci.

– Ejże, ejże, ejże: nie dzieci, tylko chłopca. Jednego.



– To najsmutniejszy nagrobek, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się wykonywać. Tysiąc dziewięćset dwadzieścia dziewięć myślnik tysiąc dziewięćset czterdzieści trzy, czyli czternaście lat. Niedługo miał skończyć piętnaście. Morderca nie ma Boga w sercu. A ty, mój synu, zachowaj to sobie w pamięci i kiedy niebo znów będzie niebieskie, gdybym ja tego nie dożył, masz zrobić nowy nagrobek dla małego Ventury. I choćby ci się źle powodziło, pamiętaj, żeby od nikogo z domu Ventura nie wziąć ani grosza za wygrawerowaną przez ciebie płytę. Nadejdzie dzień, kiedy niebo znów będzie niebieskie, Ludzkość się uśmiechnie i już nie będzie grzechem wykuwanie prawdziwych nazwisk w kamieniu, Jaumet. Wtedy wyciągniesz z szuflady szkic, który teraz ci zrobię.

– A teraz nie możemy nic dodać?

– Tylko Rodzina Esplandiu, i to bez katalońskiego akcentu. Nie będzie nic więcej. Nie pozwalają im niczego dodać. Popatrz, jest rozkaz na piśmie. Ani imienia Joanet, choćby i po hiszpańsku. Tylko Rodzina. I krzyż.

– A na prawdziwym nagrobku?

– Popatrz, co przygotowałem.



- O cholera, krzyż ozdobny.
- Jasne. Zasłużył sobie.
- Wiesz, co możesz zrobić, ojcze? Daj mu coś naprawdę ekstra. Burmistrz, nawet jeśli jeszcze będzie żył, nie zorientuje się, że to coś ekstra. Na przykład coś takiego:



– Dobrze, Jaumet: masz głowę na karku. Zapamiętaj: zostawię ci gotowy szkic do przechowania. Żebym się na tobie nie zawiódł, Jaumet; jak przyjdzie czas, mały Ventura ma mieć prawdziwy nagrobek. Wiesz co? Skopuję rysunek z wzorów Manela Lluísa.

- Który?
- No nie wiem, coś jakby... O, popatrz, ten.
- To gołębicą.



- Nie. To gołąb. Symbol. O, mój Boże.
- Nie płacz, ojcze, bo i ja się rozpłaczę.

III

Gwiazdy jak ciernie

...Unosi się kredowy kurz,
gdy Bóg ściera tablicę gąbką...

JORDI PÀMIAS

Dwuskrzydłowe drzwi otwierają się energicznie. Grupa pięciu bardzo poważnych mężczyzn w groteskowych strojach wchodzi do sali Świętej Klary. Ten pośrodku, z szerszą niż u innych ambasadorską szarfą, zmierza w kierunku czarnej damy. Adwokat Gasull pochyla się i coś jej szeptem do ucha. Dystyngowana dama podnosi chudą rękę, a ambasador składa na niej pocałunek. Adwokat Gasull stoi obok, zdenerwowany, bo nie wie, jak się zachować. Ambasador taksuje go wzrokiem, zastanawiając się, czy to ktoś z najbliższej rodziny jaśnie pani, czy ktoś w tym rodzaju. Wymieniają zdawkowe ukłony. Czarna dama krzywi się w reakcji na błysk aparatów fotograficznych uwieczniających pamiętną chwilę. Jeden z mężczyzn towarzyszących ambasadorowi mówi, że ksiądz biskup już przybył i że na pewno spotkają się na oficjalnym przyjęciu po uroczystości. Ambasador wypowiada filozoficzne uwagi o ogarniającej wszystkich dumie i porywach radości, podczas gdy ktoś z jego świty wkłada mu do ręki szklankę z sokiem owocowym. Czarna dama potwierdza skinieniem głowy, ale nie zdobywa się na uśmiech. Szkoda czasu. Niech się to wreszcie stanie, niech się odbędzie, zanim umrę. Wnuk obserwuje wszystko z bezpiecznej odległości, oparty o poręcz balkonu. Kiedy spostrzega, że ambasador prosi o tytoń kogoś ze swojej świty, czuje się usprawiedliwiony i sam sięga po papierosa.

Tymczasem Marcel Vilabru dowiaduje się od radcy ambasady, że Watykan nie jest zainteresowany inwestowaniem w sporty zimowe. Stara się być sympatyczny, przemiły, bo kto wie, czy w przyszłości nie wyślą tego człowieka na placówkę dyplomatyczną do jakiegoś państwa, gdzie nie tylko będzie zimno, ale też będzie padał śnieg i będą góry.

Ambasador pyta damę o stopień pokrewieństwa z zamordowanym i dowiaduje się, że ściśle rzecz biorąc, nie są krewnymi. Ale od zawsze byli sobie bliscy i są jedyną rodziną, jaką posiada. Tak, naturalnie, zgadza się ambasador. Wiadomo, że rodziny podczas wojny padają ofiarą różnych tragedii, wtrącił się Gasull, żeby pomóc damie. Naturalnie, to bardzo przykre, powtórzył ambasador, patrząc na najbliższego krewnego czy kogoś w tym rodzaju, jedyną osobę, z którą można wymienić spojrzenia.

Mężczyzna z krótkimi, niesfornymi, szpakowatymi włosami i jego grupa Rosjan, którzy tak naprawdę są Polakami, wracają, skąd przyszli, po krótkiej wymianie zdań z przewodnikiem. Niektórzy Polacy odwracają się i spoglądają na grupę księdza Relli, jakby stanęli u wrót Treblinki i żegnali się po raz ostatni ze swoimi bliskimi.

Młody człowiek prowadzi korytarzem tych, którzy uniknęli zagłady, gdy już udało się zebrać całą grupę. Idą niezbyt szybko. Za wiele mają żylaków, a ten korytarz zdaje się nie kończyć. Gdzieś tam wiszą jakieś ciemne,

niedoświetlone obrazy, najprawdopodobniej niezbyt wartościowe, na które nikt nie patrzy.

– Przetoki tętniczo-żylne to rodzaj tętniaka.

– Jak zwał, tak zwał, ale strasznie mi dokuczają.

Po pokonaniu kolejnego załomu korytarza przewodnik wprowadza ich do pieca krematoryjnego, który tym razem okazuje się jasno oświetloną salą wyposażoną w kilka krzeseł zajętych już przez Polaków, którzy dotarli tu wcześniej jakimś tajemnym przejściem. Na środku proste stoły średniowiecznych rozmiarów, a na nich antipasti dla invitati.

Jak szybko płynie czas, kiedy chciałoby się, żeby ten pamiętny dzień trwał wiecznie. Już chwilę temu zniknęły przekąski, rozmowy rozsypały się na okruchy i nagle, kiedy wyczerpały się wszystkie tematy, wypuszcza ich na wolność odźwierny, który otwiera drzwi sali z zewnątrz (w Watykanie dwuskrzydłowe drzwi otwierają się ze szczególnym dostojeństwem) i zaprasza, żeby byli łaskawi pójść za nim, a on będzie zaszczycony, mogąc im wskazać drogę. Wtedy ambasador wypowiada owe słowa jak szybko płynie czas, kiedy chciałoby się, żeby ten pamiętny dzień trwał wiecznie.

Dama nic nie mówi, bo wzruszenie ściska jej gardło. Wstaje, żeby ukryć niepokój, który ją ogarnął, gdy wszedł ten dobrze wychowany, ceremonialny odźwierny; czeka, aż zbierze się wokół niej reszta rodziny i syn weźmie ją pod rękę. Jest tak majestatyczna, że w końcu do ambasadora dociera, że jeżeli w tej sali jest ktoś naprawdę ważny, to właśnie ona.

Grupa księdza Relli wchodzi do bazyliki. Ksiądz wyjaśnia panu Guardansowi, że wiara w nieomylność summi pontificis przy kanonizacji świętych jest dyskusyjna. Święty Tomasz twierdzi, że pobożność nakazuje wierzyć, iż kanonizacyjny dekret pontyfikalny ma znamiona nieomylności i ten pogląd podziela większość teologów. Jednakże przyjęło się uważać, że nieomylność w tym przypadku jest kwestią wiary teologicznej; nie wynika z Pisma Świętego, nie jest więc wiarą objawioną; nie została ustanowiona przez Kościół, a więc również nie jest dogmatem.

Ponieważ bardzo mu doskwierała samotność, postanowił przenieść swój skromny dobytek z domu do szkoły. Zamienił magazyn na zapleczu w ascetyczny pokój, który niewiele różnił się od celi zakonnej, gdyż rozpoczął się w jego życiu czas pokuty za własne tchórzostwo. Prycza w kącie, szafa przeżarta przez korniki i rozlatująca się ławka służąca mu za stół do pracy, ot i całe gospodarstwo. Krzesło musiał sobie przynieść z sali lekcyjnej, ale zimna miał pod dostatkiem. Nie poczuł satysfakcji, kiedy już się urządził, bo codziennie obsesyjnie myślał o Rosie; chodził na obiady do baru Marésa i przy kawie, w towarzystwie Valentína, wychylał kieliszek anyżówki, nie przerywając milczenia. Ludzie omijali z daleka ich służbowy stolik i dopóki oni siedzieli w lokalu, zamierały rozmowy, stali bywalcy rzucali tylko ukradkowe spojrzenia i wszystkim nagle bardzo gdzieś się spieszyło. Któregoś dnia Valentí powiedział, że bardzo mu przykro z powodu jego żony, a Oriol zamiast odpowiedzi szybko wychylił kieliszek i mlasnął językiem. Żeby odwrócić uwagę od zmartwień, które zaprzętały jego myśli, Valentí powiedział słyszałem, że wojsko opuszcza naszą strefę i wycofuje się do Aragonii.

– Pomimo zamachów?

– Od czasu zamachów zrobiło się tu spokojnie jak u Pana Boga za piecem. Ale we Francji bohaterski Reich przeżywa trudne chwile.

Oriol mu nie odpowiedział. Myślenie kosztowało go zbyt wiele wysiłku.

Tego samego popołudnia Cassià z domu Maria del Nasi, jedyny członek rodziny, który mógł się swobodnie poruszać, bo brakowało mu piątej klepki (Josep Mauri uciekł, a Felisa, zgorzkniała i milcząca po wszystkich przejściach, mieszkała sama ze swoimi republikańskimi dziadkami, niereformowalnymi ze względu na wiek), zastukał do szkolnego okna i pokazał, że ma dla niego list. Starsze dzieci jeszcze się uczyły na pamięć dopływów, z mapą półwyspu zawieszoną na tablicy, a młodsze coś przepisywały do zeszytów. Oriol wyszedł, odebrał list z rąk tego listonosza z bożej łaski i ze ściśniętym sercem wrócił do klasy, chcąc jak najszybciej otworzyć kopertę. Nie było nadawcy, ale rozpoznał pismo Rosy. I pieczętkę z Barcelony. Włożył list do kieszeni i udawał, że o nim nie myśli, pytając Ricarda z domu Llates, do jakiej rzeki wpada Alagón.

Nie mógł go otworzyć, dopóki dzieci nie wyszły ze szkoły, i dopiero wtedy, stojąc przy piecu, trzęsącymi się ze zdenerwowania rękoma rozerwał kopertę. W zeszyście Oriol zachował również tę podartą kopertę, razem z króciutkim listem, który Tina przeczytała ze sto razy: „Oriol, czuję się w obowiązku powiadomić cię, że masz córkę i że dziewczynka jest zdrowa. Nigdy ci jej nie

pokażę, bo nie chcę, żeby się dowiedziała, że jej ojciec jest tchórzem i faszystą. Nie próbuj mnie szukać sam czy przez innych: wyprowadziłam się od twojej ciotki i teraz moja córka i ja będziemy sobie radzić same. Już nie kaszlę. Musiałam być uczulona na ciebie.

Żegnaj na zawsze”.

Jakie to okrutne, pomyślała Tina. W roztargnieniu patrzyła na doktora Żywago, który leżał na monitorze pochłonięty oglądaniem prawie już wiosennego pejzażu za oknem, pełnego światła i nadziei. Ciekawe, czym teraz może się zajmować Arnau. Pobożnie składa ręce i wznosi oczy do nieba, żeby się modlić tak, jak my nigdy go nie uczyliśmy. A może śpiewa. Albo klnie w żywy kamień, że sam się wpakował w to piekło, z którego trudno się wycofać. Albo nic z tych rzeczy. Tak za nim tęsknię. Wtedy przyszedł jej na myśl Jordi i musiała przyznać, że zrobiłaby to samo co Rosa, gdyby miała jej odwagę.

Oriol drżącymi rękami włożył list do rozerwanej byle jak koperty i w pierwszym odruchu chciał otworzyć drzwiczki i spalić go w piecu. Ale zmienił zdanie i schował list do kieszeni, bo parzył go w ręce. Spędził pięć minut w szkolnej łazience. Zawsze w niej panowało lodowate zimno i zatechły, kwaśny odór, który aż wiercił w nosie. Wpatrując się w wyszczerbione lustro, starał się zrozumieć całą tę bezsensowną sytuację. Rosa wyjechała dwa tygodnie temu. Nie mogła się pogodzić ze śmiercią małego Ventury. Nie mogła znieść tego, że jej mąż jest uważany za prawą rękę Valentína Targi, coś w rodzaju szarej eminencji. Ani tego, że w ludzkiej opinii popełnił zbrodnię wołającą o pomstę do nieba – wykorzystał dzieci, by donosiły na rodziców. Że podczas przerwy, dzięki tej jego fałszywej słodyczy, wyciągał od dzieci, co tylko chciał. Że nawet udało mu się dowiedzieć, kto się ukrywa w domu Llovís. Dzieci niczemu nie są winne, biedne aniołki, ledwo żywe ze strachu. Również nie mogła znieść tego, że po raz drugi z rzędu Marçanie chleb skończył się dokładnie w momencie, kiedy ona wchodziła do piekarni. Chleb i temat. A kobiety, które robiły zakupy, przerywały rozmowę albo nagle bardzo im się spieszyło i zostawiały ją samą, żalowaną, w malowniczym miasteczku Torena w dolinie Àssua, w pobliżu Sort, w komarce Pallars Sobirà, gdzie według spisu ludności jest trzystu czy czterystu mieszkańców (plus dwudziestu jeden czerwonych, zdrajców i separatystów, którzy wybrali emigrację, i trzydziestu trzech poległych podczas wyprawy krzyżowej przeciw marksizmowi, z których dwaj zginęli śmiercią bohaterską – młody Josep Vilabrú i jego ojciec Anselm Vilabrú, właściciel połowy miejscowych gruntów, przeciw którym wystąpiła zbrojnie anarchistyczna bojówka FAI dwa tygodnie po ogłoszeniu faszystowskiej rebelii). I chociaż do najważniejszych upraw należały pszenica, żyto i jęczmień na własny użytek, kiedy Rosa chciała kupić chleb, dla niej go nie starczało. Nie było, nie ma i nie będzie, nigdy więcej. Również dlatego wyjechała z miasteczka. I może też z powodu czułych spojrzeń, jakimi pani

Elisenda z domu Gravat obrzucała jej męża.

- Zapłaci mi tysiąc.
- Choćby nawet chciał ci zapłacić milion. Nie możesz mu malować portretu!
- Dlaczego nie?
- Bo to zbrodniarz.
- Teraz trzeba pochylić głowę. Kiedyś jeszcze ją podniesiemy.
- Co innego pochylić głowę, a co innego włożyć komuś... Nie brzydzisz się?

Usłyszeli dzwony żałobne z parafii Świętego Piotra. Rosa zeszywniała, ale nie ruszyła się z miejsca. Oriol odstawił szklankę mleka na stół, wskazał brzuch Rosy i powiedział cicho nie chcę, żeby nas zabili tak jak tamtego chłopca.

- Tchórz.
- Tak. Boję się śmierci.
- Jak się dobrze zastanowić, śmierć nie jest wcale taka straszna.

Oriol nie odpowiedział, a Rosa wstała i wyszła z kuchni. Po chwili do uszu Oriola dotarł z sypialni tłumiony szloch. Odsunął szklankę mleka, jakby zbierało mu się na wymioty, i zamyślił się, wpatrując uważnie w nicłość; tak bardzo pragnął w tej chwili nie być sobą. Podniósł głowę: Rosa stała w drzwiach sypialni gotowa do wyjścia, w ciemnej, skromnej sukience.

- Gdzie się teraz wybierasz?
- Na pogrzeb.
- Byłoby lepiej, gdybyś...
- Wykorzystaj ten moment i biegnij co szybciej portretować twojego pana.
- Muszę jechać do Sort na zebranie nauczycielskie – odpowiedział urażony.

Ale ona wyszła, nie czekając na odpowiedź. Oriol jeszcze wtedy nie wiedział, że już więcej się do niego nie odezwie.

Rosa wyjechała z Toreny w przeddzień świąt Bożego Narodzenia, w dniu, w którym pochowano małego Venturę, kiedy każdy miał jakieś pilne zajęcie, a Oriol pojechał do Sort na zebranie wszystkich nauczycieli z pobliskich dolin zwołane przez Falangę Hiszpańską, która ich zachęcała wstępować do nas gremialnie, towarzysze. Rosa wyjechała jak uciekinierka, bez uprzedzenia, wiedząc, że zabiera ze sobą, razem z koszem i pełną walizką, wszystkie nadzieje i te wszystkie ach, jak mogło być pięknie. Zrobiła to, bo ta silna kobieta nie chciała, by jej dziecko mieszkało z faszystą. Całą nadzieję pokładała teraz w tym brzuchu.

Nie zastanawiając się, dlaczego to robi, Tina przechowywała w zeszytach ten list jak skarb, ponieważ wynikało z niego jasno, jak bardzo nieszczęście potrafi przebić pancierz człowieka, żeby go unicestwić. Tamta przynajmniej ukryła swoją nadzieję w brzuchu, a moją nadzieję rozwiąły przeciągi w klasztorze.

Przed obrazem Matki Bożej Chórkowej, w obecności nielicznej wprawdzie, ale doborowej reprezentacji władz, przy udziale ważnych figur (kapitana generalnego pierwszego regionu, obecnego w tych dniach w San Sebastian, trzech pułkowników, dawnych towarzyszy broni nieszczęsnego kapitana Anselma Vilabrú, i dwudziestu innych osób, które się liczą i będą się liczyć w Barcelonie i w Madrycie), w sławnym barokowym kościele parafialnym pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny padły słowa czy ty, don Santiago Vilabrú Cabestany (z rodu Vilabrú-Comelles ze strony ojca i Cabestany Roure ze strony matki) chcesz wziąć za żonę pannę Elisendę Vilabrú w dobrobycie i nędzy, w zdrowiu i w chorobie?

– Tak, ojczu.

– A ty, Elisendo Vilabrú Ramis (z rodu Vilabrú z Toreny ze strony ojca i rodu Ramis ze strony matki, Pilar Ramis z Tírvii, tej pół dziwki, pół latawicy, o której lepiej nie wspominać przez szacunek dla biednego Anselma), olśniewająca dziewczyno, doprawdy, gdybym nie był wojskowym kapelanem, sam bym cię tu natychmiast zerznął, która w wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat potrafiłaś odpowiednio się zakręcić wśród uchodźców zgromadzonych w San Sebastian, wyglądających z utęsknieniem, kiedy wreszcie Katalonia wpadnie w ręce frankistów, by odzyskać to, co czerwona hołota gwałtem im odebrała. Nie traciłaś czasu, tylko zagięłaś parol na kawalera wprost nieprzyzwoicie bogatego, a mówi się, że i ty masz niezłą fortunę. A właśnie, nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale tę Pilar Ramis, twoją matkę, wszyscy mają na językach. Czy bierzesz sobie don Santiaga Vilabrú Cabestany (z rodu Vilabrú-Comelles i rodu Cabestany Roure) za męża i za gwaranta wiecznej synekury, w dobrobycie i nędzy, w zdrowiu i w chorobie, z rogami i z małżeńską oziębłością? Ja sam, mimo że nie jestem jakimś pedałem, nie miałbym nic przeciwko małżeństwu z tym całym Santiagiem, nawet gdyby mi się dobierał do tyłka raz w miesiącu, wyłącznie dla jego majątku. Mów, córko.

W ławce w dwudziestym trzecim rzędzie Bibiana, która dzięki darowi przewidywania wiedziała, jak się skończy każda historia, wpatrywała się w plecy pana Santiago i Elisendy z niepokojem i mówiła nie, dziecko, powiedz nie i uciekaj gdzie pieprz rośnie.

– Tak, ojczu.

– W imię Boże ogłaszam was mężem i żoną. Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela, aż do śmierci. Niech żyje Franco. Wiwat Hiszpania. San Sebastian, 28 lutego 1938, w Trzecim Roku Zwycięstwa. Proszę tu na dole

podpisać. Tak, oboje. Świadkowie też. Spokojnie, zmieszczą się wszystkie podpisy. Proszę o oklaski dla państwa młodych. Tak, jeszcze głośniej. Niech żyje Franco. Niech żyje hiszpańska armia.

Decyzja została dobrze przemyślana. Kochany stryj August sugerował, że jej przeznaczeniem jest zakosztowanie fortun europejskich, ale ona pogodziła się z tym, że wojna wszystko rujnuje, nawet marzenia, i zdecydowała się na Santiaga, który był od niej starszy zaledwie dwa lata, całkiem miły młodzieniec, bardzo dobrze wychowany, może i ladaco, ale nieprzytomnie w niej zakochany. A poza tym to bardzo ładnie z jego strony, że nazywa się Vilabré, tak samo jak ja. A przede wszystkim przypominał jej brata, Josepa, tę scenę, którą zachowała w pamięci, tamtą noc w domu Gravat, kiedy ją uprzedzał, że jeżeli sprawy przybiorą niekorzystny obrót, wszyscy przedostaniemy się na drugą stronę, do San Sebastian, przez Francję. Znam jednego przemytnika, który nas przeprowadzi bez problemu. A ojciec słuchał go zamyślony i powiedział może rzeczywiście trzeba będzie się z nim rozmówić. Kto to taki? Ventura, mąż naszej Ventury; zna wszystkie doliny i ścieżki jak własną kieszeń. Nie zdążyli, bo ta bojówka z Tremp, po tym, jak na nich doniosło trzech skurwysynów z miasteczka, zrobiła, co zrobiła, strzałem w potylicę zabili ojca, a mojego biednego Josepa oblali benzyną. A Santiago bardzo, ale to bardzo przypominał jej Josepa. Wydawało się, że wychodziła za mąż za wspomnienie Josepa, a nie za Santiaga Vilabré Cabestany (z rodu Vilabré-Comelles i rodu Cabestany Roure).

Wyłożyła mu swoje uczucia i plan działania po powrocie do Toreny, a on dyskretnie zmarszczył nos i odpowiedział świetnie, kochanie, ale teraz powinniśmy pomyśleć o nas, co znaczyło w tym przypadku chodźmy wreszcie do łóżka, żeby skonsumować święty związek małżeński, bo aż mnie skręca, żeby zaangażować wszystkie siły w jego święte używanie. I kiedy już go święcie wypełnili, zgodnie z nauczaniem Kościoła, a Elisenda nadal się upierała chęć, żeby trzy osoby z miasteczka zapłaciły za swoje czyny, Santiago Vilabré podrapał się po głowie i powiedział no wiesz, mnie te sprawy... Wiesz co? Najlepiej zamieszkajmy w Barcelonie, przejdzie ci ta obsesja, a Torenę będziesz czasami odwiedzać. Wtedy ona założyła ręce na piersiach i oświadczyła nie będzie więcej świętych aktów małżeńskich, dopóki mi nie przysięgniesz, że zamieszkamy w Torenie, a on jej na to, jak sobie życzysz, kochanie.

– Jesteś gotów pomścić śmierć mojego ojca i brata?

– Oczywiście. No, pokaże te cycuszki. Chodź tu do mnie, ślicznotko.

– Nie. Przysięgnij.

Doszli do porozumienia: wskaże jej odpowiednią osobę, bo ma kogoś idealnego do takiej roboty. Miejscowy, zna ludzi i ma to, co trzeba mieć, kiedy się chce... Rozepnij koszulę, no już, proszę.

- Kto to jest?
 - Znajomy. Z domu Roia, z Altronu. Korzystałem już z jego usług... No więc jest bardzo skuteczny.
 - Gdzie go mogę znaleźć?
 - W Burgos. Chodź tu do mnie, kwiatuszku.
-

W drugim dniu małżeństwa, po czterech świętych aktach małżeńskich, Elisenda Vilabré Ramis (z rodu Vilabré z Toreny ze strony ojca i rodu Ramis ze strony matki, Pilar Ramis z Tírvii, tej pół dziwki, pół latawicy, o której lepiej nie wspominać przez szacunek dla biednego Anselma), gdy zdobyła dzięki pełnej kopercie i pięciominutowej rozmowie oficjalną przepustkę, wynajęła taksówkę i pojechała z Bibianą do Burgos. Już od paru dni wprowadzała w życie radykalne pouczenia matki Venàncii, bo zaczęła sobie uświadamiać, że światem rządzą źli ludzie, złoczyńcy, zbrodniarze, komuniści, czerwoni, anarchiści, ateści, masoni, Żydzi i katalońscy nacjonałiści, i trzeba mieć twardą rękę. Dlatego należy zrobić przegląd zasad moralnych i oszacować, które można odłożyć na lepsze czasy. Wspaniale otworzył jej oczy na świat kapelan wojskowy, kapitan Fernando de la Hoz Fernández y Roda (który bardzo ubolewał, że na celebriansa zaślubin wybrano pułkownika Macías) podczas spowiedzi przedmałżeńskiej; ten święty mąż, wygłosiwszy najpierw entuzjastyczny pean na cześć osoby Świętego Caudilla, który ich doprowadzi do Ostatecznego Zwycięstwa, upewnił ją, że jakiegokolwiek działanie, jakiegokolwiek, córko, którego celem jest likwidacja i wytępienie złowieszczych hord, wszelkiej maści złoczyńców, zbrodniarzy, komunistów, czerwonych, ateistów, masonów, Żydów i katalońskich separatystów, jest miłe Panu Bogu naszemu, który jest Ostoją Sprawiedliwości i Narzędziem Bożej Kary oraz Gwarancją Świętej Jedności Hiszpanii. Musi tak być, córko, bo jak inaczej wytłumaczyć, że żaden teolog, żaden Ojciec Święty, papież nie potępił goela, biblijnego wykupiciela, i roli, jaką pełni w Biblii. Moim zdaniem to oznacza tylko jedno: dołożyć czerwonym! W obecnej chwili, córko... (tu kapitan Fernando de la Hoz Fernández y Roda musiał przerwać, otrzeć czoło chusteczką i zaczerpnąć powietrza, bo pomimo kratki w konfesjonale odurzył go aksamitny ton głosu, iskry, jakie rzucały te oczy, gdy odbijał się w nich płomyk wiecznego światła przed tabernakulum, zdolne rozniecić prawdziwy ogień namiętności, pozornie niewinne kołysanie brylantowych kolczyków i ten zmysłowy zapach, który odbiera człowiekowi rozum). Wytarł nos chusteczką, żeby się uspokoić, i ciągnął dalej w obecnej chwili, córko, jak mówię, na wszystkie Akty Sprawiedliwości Chrystus Król patrzy przychylnym okiem. A teraz odmów ze mną *Zdrowaś Mario*. Albo nie, odmów sama przed Najświętszym Sakramentem i poleć się Matce Bożej Niepokalanego Poczęcia, która jest patronką wojsk

ładowych. Ego te absolvo a peccatis tuis et hic et nunc, domina, te moechissare cupio.

– Amen – pobożnie odpowiedziała Elisenda.

W pensjonacie przy promenadzie Espolón Viejo w Burgos, gdzie się zatrzymały, skoncentrował się cały chłód pełni zimy. Bibiana, pomagając jej włożyć palto, pozwoliła sobie na ostrzeżenie uważaj, dziecko, może to wszystko za daleko zaszło. Ale Elisenda nie potrzebowała rad. Odpowiedziała dziękuję, Bibiano, ale to moje życie i wyszła z pokoju do ciasnego holu, gdzie już na nią czekał tamten człowiek w średnim wieku, raczej niewysoki, z lodowatymi, niebieskimi oczami, ciemnowłosa, który podał jej rękę, zaintrygowany i oczarowany. A Bibiana, odkładając na miejsce płaszcze, które tamta przymierzała, pomyślała przecież twoje życie jest moim życiem, dziecko, jeszcze tego nie pojęłaś?

– Nie, nie chcę ścian, które mają uszy, lepiej się przejdźmy – odpowiedziała, kiedy jasnooki mężczyzna zasugerował moglibyśmy pójść do takiej kawiarni, o której wiem, że.

Byli na wysokości placu Prima. Mgła unosząca się znad rzeki Arlanzón powoli opanowywała całą dzielnicę. W milczeniu przecięli plac. Musieli przepuścić długą kolumnę ciężarówek narodowego wojska, załadowanych średnią artylerią, podążających drogą nieuniknionego zniszczenia. Oboje, nie ściągając rękawiczek, oklaskiwali konwój jak wszyscy, którzy akurat znaleźli się na placu. Klaskali przez trzy minuty i trzydzieści dwie sekundy, aż ostatnia ciężarówka, mrugając czerwonym światłem, opuściła plac, kierując się ku zwycięstwu. Uznała, że teraz skręcą w stronę placu Libertad, bez szczególnego powodu, po prostu było im po drodze. Kiedy już tam się znaleźli, idąc ulicą La Puebla, skierowali się na plac San Lesmes i dopiero wtedy zwróciła się do mężczyzny o lodowatych, niebieskich oczach i powiedziała ty będziesz moim golem.

– Co?

Z ust mężczyzny o lodowatych, niebieskich oczach wypływały zdezorientowane obłoczki wydychanego powietrza.

Od samego początku, mimo że mężczyzna był od niej starszy, zwracała się do niego na ty, żeby nie miał wątpliwości, kto tu rządzi. Potem obdarowała go zdawkowym uśmiechem. Mężczyzna ciągle wydychał zdezorientowane obłoczki. Jasno i dobitnie Elisenda opowiedziała mu, co się stało z jej ojcem i bratem i zdziwiła się, że on nic o tym nie wie, więc się przed nią tłumaczył, że już od dawna nie mieszka w Altronie. Nie, nie słyszał żadnych komentarzy na ten temat, nic. Straszne, nieprawdaż? Ale co ja mam z tym wspólnego?

– Chcę ci zlecić pomszczenie śmierci mojego ojca i brata.

– O kurwa – wyrwało mu się nieopatrznie i od razu pożałował, że używa przekleństwa w obecności anioła.

– Trzeba wymierzyć sprawiedliwość. Sprawiedliwość w dosłownym tego słowa znaczeniu. Sprawiedliwość Boża musi osiągnąć bezpośrednio tych, którzy ponoszą winę.

Lodowatym, niebieskim spojrzeniem zmierzył sylwetkę tej atrakcyjnej kobiety i już miał na końcu języka jeśli pani rozkaże, nie zadrzy mi ręka. Ale w porę się powstrzymał. Jeszcze raz dokładnie jej się przyjrzał, zdziwiony, że tak spokojnie mówi o zabijaniu, w ten mróz, przy którym człowiekowi zamarzają myśli.

– Jakie są twoje aspiracje? – zapytała protekcjonalnie.

– Moje co?

– Cele.

– Aha. Chciałbym oczyścić świat z komunistów i separatystów. Zapisalem się do Falangi.

– Świetnie. Podam ci nazwiska komunistów i separatystów w Torenii.

– Może znam któregoś z nich.

– Joan Bringué z domu Felicó, Rafael Gassia z domu Misseret i Josep Mauri z domu Maria del Nasi. I jeszcze paru, którzy nic nie zrobili, ale śmiali się pod nosem, kiedy tamci oblali benzyną mojego brata.

Przeszli kilka kroków w milczeniu. Mróz zgrzytał krach-krach pod ich podeszwami. Nagle zatrzymał się i spojrzał jej prosto w twarz. Stwierdził, że jest olśniewająca.

– Dlaczego miałbym to robić?

– Zawrzemy umowę. Będiesz urządzony do końca życia.

– Znam Josepa z domu Maria del Nasi.

– Najpierw zapoznaj się ze szczegółami umowy, którą ze mną podpiszesz, a potem mi powiesz, czy znasz jeszcze kogoś.

Wyjaśniła mu dokładnie, mówiąc jak automat, ile pieniędzy zainkasuje za każdą egzekucję, i uświadomiła mu, jak wygodnie dzięki temu się urządzi. I jakiego rodzaju relacje będą od tego momentu obowiązywały między nimi. Jeżeli się zgodzisz, przysięgam, że dotrzymam mojej części umowy aż do śmierci.

– Kiedy dotrze tam wojsko, będą uciekać jak króliki.

– Niekoniecznie. Oni nie wiedzą, jak bardzo jestem zdeterminowana. – Wciągnęła do płuc mroźne powietrze i dodała: – W każdym razie mam nadzieję, że złapiesz ich, zanim uciekną.

Mężczyzna intensywnie myślał przez parę sekund. Kalkulował zyski, oceniał okoliczności.

– A jeśli rozprawią się z nimi żołnierze, zanim ja tam dotrę?

– Wykluczone. Ja chcę ich ukarać. Kara ma być osobista. Moja. Mojego goła. Jeśli ty ich ukarzesz, będzie tak, jakbym to ja karała. Jeśli to zrobi kto

inny, nie dostaniesz ani grosza.

– Rozumiem. Ale jak...

– Jak, to już moje zmartwienie. Ty masz jechać do Toreny, gdy tylko to będzie możliwe, i będziesz mi zdawał relacje. Ja tam wrócę, kiedy uznam za stosowne. Wszystko trzeba precyzyjnie przygotować.

– Co na przykład?

– Musisz zasłużyć się na froncie. Wtedy zrobię cię burmistrzem Toreny.

– Ty? – Wobec braku jej reakcji poprawił się: – Pani?

– Możesz mi mówić ty. Czy zgadzasz się zostać moim goelem?

– Jakim goelem?

– Zgadzasz się? Stać cię na to?

– Jeżeli ty dotrzymasz umowy... – Jeszcze się zastanawiał, jakby coś go dręczyło: – Co znaczy goel?

– W Biblii to mściciel krwi. Zgadzasz się?

– Jeżeli umowa ma być taka, jak mówiłaś, to dobrze. Ale...

Spojrzał jej w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie.

– Ale co.

– Przyjmuję pod jednym warunkiem.

– Jakim.

– Chcę zaliczyć jeden numererek.

– Co znaczy „jeden numererek”?

Powiedział, że numererek to akt małżeński, tyle że bez zawierania małżeństwa. Sam akt. Pieprzenie. Moechissare. Teraz. Znam takie miejsce, w którym możemy zostać tak długo, jak trzeba. Będzie ci jak w niebie.

Zatrzymała się i zmierzyła go wzrokiem. Niebo. Mężczyzna się przestraszył, że zaraz diabli wezmą wszystko razem, synekurę w Torenie, pensję i numererek, że naciągnął strunę za mocno i za szybko. Ale wbrew zdrowemu rozsądkowi, który nakazywał ostrożność, powiedziała zgoda, skoro ona go prosi o pewne rzeczy, on też może... I urwała, bo właśnie przechodziło obok nich jakieś małżeństwo w średnim wieku i nie należało ryzykować. Państwo Pitarch mówili, że ich znajomych z Calelli surowo przywołano do porządku; najwyraźniej w Burgos lepiej było nie mówić po katalońsku na ulicy czy w miejscach publicznych. Kiedy znów zostali sami przed wejściem do kościoła pod wezwaniem San Lesmesa, uśmiechnęła się, pogłaskała go po twarzy, nie zdejmując rękawiczki i powiedziała zgoda, ale szybko, bo się spieszę.

W drodze do znanego mu miejsca wyjaśniła, że porozmawia z jednym z adiutantów polowych generała Antonia Sagardíi Ramosa i załatwi, żeby jutro został wcielony do sztabu generalnego sześćdziesiątej drugiej dywizji Korpusu Nawarry, która lada moment ma wejść do Katalonii przez Pallars, sierżant... przepraszam, jak masz na imię?

– Valentí.

Valentí Targa, chłopak z Altronu, dawny przemytnik, przyszły znieawidzony zbrodniarz, świetnie znający okolicę i mieszkańców, świetny materiał na donosiciela, nieprzekupny patriota, falangista, który pragnie za wszelką cenę postawić Katalonię na bacność, żeby zapanowało w niej światło, porządek, prawo i religia. Zupełnie zaskoczony, przyznał się, że nie mieści mu się w głowie, żeby dwudziestoparoletnia dziewczyna...

– Mam dwadzieścia dwa lata.

No właśnie, żeby dwudziestodwuletnia dziewczyna potrafiła wszystko tak zorganizować, z taką precyzją. Nie, nie zdejmuj kolczyków, proszę.

To był numerek zdominowany przez sapanie mężczyzny, który nie mógł uwierzyć w swoje szczęście i trzymając ją w ramionach, zapewne żywił szaloną nadzieję, że od teraz na zawsze zostaną kochankami. Jednak kiedy już wyładował na jej ciele swoją chuć, Elisenda wstała, stanęła przed nim smukła i naga, popatrzyła na ciężko dyszącego mężczyznę i powiedziała no dobrze, spełniłam twój warunek. Ale nigdy więcej mnie nie dotkniesz. Taka jest moja cena.

Carmencita. Po milczącej podróży powrotnej, w trakcie której Bibiana pogodziła się z tym, że panienka ma bardzo poważne zamiary i że nie uda się jej powstrzymać, Elisenda Vilabru Ramis (z rodu Vilabru z Toreny ze strony ojca i rodu Ramis ze strony matki, Pilar Ramis z Tírvi, tej pół dziwki, pół latawicy, o której lepiej nie wspominać przez szacunek dla biednego Anselma) musiała przyjąć do wiadomości, że ta, która skutecznie ją zastąpiła w czasie nieobecności, to jakaś Carmencita używająca paskudnych perfum.

– Nawet nie próbujesz zachować pozorów – oszołomiona upomniała męża.

– Po co? Wcześniej czy później i tak byś to odkryła. Ja nie wytrzymałbym ani dnia bez pieprzenia. Musisz to przyjąć do wiadomości, księżniczko.

Elisenda postawiła walizkę na podłodze i czekała, aż zawstydzona Carmencita wciągnie na siebie spódnicę i wyjdzie bosą, żeby dokończyć ubieranie się na schodach.

– Jutro podpiszesz mi dokumenty.

– Nie ma rozwodów. Zapomniałaś?

– Nie. Chodzi o testamenty. Już o tym rozmawialiśmy.

– Ach tak. Świetnie. – Santiago usiadł w fotelu. – To znaczy, że się nie gniewasz?

Nie odpowiedziała. Nawet nie spojrzała w jego stronę. Prawdopodobnie w tym momencie rozpoczął się okres trzynastu lat obojętności. Nalegał: – Bo jeżeli się nie gniewasz... moglibyśmy spróbować...

Patrzyła na niego, ale myślami krążyła wokół dokumentów do podpisania,

goela oraz opalonego, jędrnego ciała męża. Nie zareagowała na jego propozycję. Wciąż nalegał: – Bo wiesz... moglibyśmy razem... wy obie, ona, ty i ja. Świetna zabawa... – Z nadzieją w oczach: – Nie chcesz spróbować?

Przyszły kobiety z domu Ventura, Manel Carmaniu – kuzyn Ventury matki, mrukliwi dziadkowie Esplandiu z Altronu, ze zmarszczkami na twarzy, nabrzmiałymi od tłumionej nienawiści, kobiety z domu Misseret, z podniesioną głową, bo po śmierci Rafaela nie miały już nic do stracenia, Felisa z domu Maria del Nasi, która nie знаła miejsca pobytu swojego męża, uciekł gdzie pieprz rośnie, z Cassiànem Mauri, swoim ograniczonym umysłowo szwagrem, i jeszcze jakaś kuzynka rodziny Bringué z domu Felicó. Pogrzeb celebrował ksiądz Aureli Bagà, który nie wiedział, gdzie oczy podziać, i myślał mój Boże, kiedy się to wszystko skończy, oraz Pere Serrallac. Ten ostatni, poza sprawowaniem funkcji grabarza na małych cmentarzach wszystkich miejscowości na zachód od Pamano, niedawno otworzył własny warsztat kamieniarski, gdzie trzymał płyty nagrobne, nieobrobione kamienie, gotowe rzeźby, łupkowe dachówki, kamienne elementy do budowy domów i kostki brukowe. Na razie jeszcze interes się nie rozkręcił, było dużo papierkowej roboty i małe zyski. Kto by pomyślał, że kiedyś otworzę własny zakład, po tym, jak spędziłem całe życie, głosząc bona novajo de la frateco universalà. Tylko dwanaścioro żałobników towarzyszyło małemu Venturze, zmarłemu z powodu kuli w oku. Wielu mieszkańców miasteczka deklarowało szeptem gotowość wzięcia udziału w pogrzebie, gdyby nie tych czterech mężczyzn Targi w falangistowskich mundurach stojących w wąskim przejściu; wprawdzie nikogo nie zatrzymywali, ale przeszywali wzrokiem każdego, kto się zbliżył do cmentarza, zapisując twarze i nazwiska w pamięci, podczas gdy pan Valentí gdzieś w Sort, w Tremp albo w Lleidzie tłumaczył się z tego, co tu tak naprawdę zaszło, żeby uciszyć ludzkie gadanie. Niech im tego Pan Bóg, do diaska, nie zapomni, o ile istnieje. A jeszcze inni siedzieli w domu, nasłuchiwali, skąd wiatr wieje, i myśleli w gruncie rzeczy dobrze im tak, choć Ventura nie należał ani do FAI, ani do. Coś jednak musiał przeskrobać, pomyśl tylko, z taką przeszłością. Jaką przeszłością? No, z przemysłem. To tak jak ty. Tak, ale on zaczął dużo wcześniej; stary wróbel z niego, tak, tak. Jasne. Pewnie, żal dzieciaka, ale zobaczysz, to postawi ludzi do pionu. Masz rację. Wywietrzeją im z głowy głupoty. A Bibiana z domu Gravat mówiła, że pani Elisenda leży w łóżku z ciężką migreną. Biedna kobieta. Biedna? Chciałbym mieć jej zmartwienia. A ja słyszałem, że jej nie ma, że pojechała do Barcelony. Mieszka tuż za rogiem, jak sąsiadka, a nigdy nie wiemy, gdzie się obraca.

- Mają tupet, żeby robić pogrzeb kościelny.
- No wiesz...

- Absolutnie ksiądz powinien był im odmówić. Ventura to heretyk.
- Słuchaj, może by lepiej.
- Co innego ojciec, co innego syn albo żona.
- Nie, nie. Ja uważam, że... Jak mnie wkurzą, pójdę na nich złożyć donos, wspomnisz moje słowa.

Ksiądz ograniczył się do paru łacińskich formułek i nikomu z obecnych nie przyszło do głowy prosić go o przedłużenie ceremonii, bo tonęli w cierpieniu tak wielkim, że serce było za małe, żeby je pomieścić. Zanim dzielne kobiety w towarzystwie kilku odważnych mężczyzn opuściły cmentarz, wracając do swojego smutnego życia, Pere Serrallac podszedł do Ventury matki, której oczy stały się twarde i błyszczące jak diament, i powiedział jej na ucho robię kamienny krzyż dla twojego syna, na własny koszt. Kiedy tu już wolno będzie oddychać, dostanie nagrobek w prezencie od firmy. A ona odpowiedziała, nie podnosząc oczu Bóg ci zapłaci, Serrallac, i też odeszła w kierunku swojego gorzkiego życia. Musiała złożyć doniesienie na żandarmerii, oskarżyć Valentína Targę, oczekiwać całymi godzinami na drewnianej ławce w koszarach, aż drobiazgowe policyjne dochodzenie zostanie zamknięte oświadczeniem, że nieszczęsny chłopiec padł ofiarą jednego z tych złoczyńców, którzy się ukrywają w lesie, a pani w sposób karygodny oskarża człowieka, do którego pani żywi osobistą urazę. Nie bez powodu pani i jej rodzina macie zakaz opuszczania miasteczka bez pisemnej zgody, jasne?

– To wszystko przez pana Valentína, który nienawidzi mojego męża. Z powodu tej historii z Malavelli.

– Chce pani trafić do więzienia za oszczerstwa? Co?

Ventura sama nie wiedziała, gdzie ma szukać sprawiedliwości, został już chyba tylko Pan Bóg. Dlatego wzięła kapliczkę świętego Ambrożego, adorowaną akurat w jej domu, odniosła do kościoła i zostawiła przed drzwiami, pod gołym niebem. Może ten święty nie jest niczemu winien, ale Bóg Wszechmogący na pewno. Przeżegnała się i od tej pory przestała z nim rozmawiać.

Serrallac zasypał dół i ubił ziemię płaską stroną szpadla, a następnie upewniwszy się, że jest sam, zajrzał do starej skrzyni pod murem cmentarza i wyciągnął z niej kilka świeżych bratków, żółtych w kolorze życia i intensywnie niebieskich jak niebo, żeby je zasadzić w miękkiej jeszcze ziemi, a jednocześnie zastanawiał się, jak będzie się bronić, gdyby pan Valentí upomniał go z powodu tej niestosownej kwiatowej manifestacji. Wtedy powie proszę pana, ja nic nie wiem, cały dzień spędzam w warsztacie, sam pan rozumie. Ale nie uniknął dreszczu paniki, gdy usłyszał, że otwiera się zardzewiała bramka, i to nie pod wpływem wiatru. Kiedy się wyprostował, zobaczył żonę nauczyciela, która na pewno nie będzie go oskarżać o apologię terroru przy pomocy żółtych i niebieskich bratków, bo sama niosła bukiet polnych ziół, skromnych,

zerwanych naprędce, ale starannie ułożonych. Po jej minie łatwo było poznać, że też wolałaby tu nikogo nie zastać. Pochyliła się nad grobem, mówiąc w myślach dziecko, nie przyszłam wcześniej, bo nie chciałam urazić tych dzielnych kobiet, które cię tu odprowadziły. Ale przyniosłam ci te kwiatki i proszę, wybacz mi, wybacz mi, wybacz.

– Czternaście lat – powiedział Serrallac oskarżycielskim tonem.

– To zbrodnia.

– I pani to mówi?

– Wyjeżdżam stąd – odpowiedziała.

– A pani mąż?

Ale ona już się wyprostowała i zamierzała odejść. Spojrzała na Serrallaca i powiedziała dziękuję, że posadził pan piękne bratki na jego grobie.

Po chwili zastanowienia sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej banknot.

– Proszę – powiedziała – żeby nie zabrakło mu kwiatów... na ile wystarczy tych groszy.

Ale Serrallac zdecydowanym ruchem ręki odtrącił pieniądze, zapewniając ją, że temu dziecku kwiatów tu na pewno nie zabraknie. Na jej twarzy pojawił się grymas, który z daleka dało się wziąć za uśmiech. Powiedziała jest pan dobrym człowiekiem. Położyła rękę na wypiętym brzuchu, niczym szacowny ksiądz kanonik.

– Gdzie pani jedzie?

– Nikt nie powinien wiedzieć. Ludzie mnie tu nie lubią.

– Do pani nikt nic nie ma. Tak mi się wydaje.

– Akurat. – Nagle zwróciła się do niego: – Mogłabym się z panem skontaktować, gdyby zaszła konieczność?

– Niech pani pisze na adres warsztatu. Tak będzie najlepiej. Urzędowa korespondencja.

Z dna kieszeni wyciągnął brudne, zmięte papiery. Portret Bakunina, z pierwszymi słowami tekstu *Bóg i państwo* na odwrocie, niczym żarliwa modlitwa, przetłumaczonego na esperanto, nieaktualny kalendarzyk, zdjęcie żony i syna i tuzin zmiętych rachunków. Przeglądał te rachunki jeden po drugim, przekładając je delikatnie stwardniałymi od pracy w kamieniu palcami, aż znalazł wizytówkę. Bez słowa wręczył ją Rosie.

Spojrzała na niego z wdzięcznością i skierowała się do wyjścia. Pere Serrallac odprowadził ją wzrokiem. Dopiero wtedy zauważył za bramą taksówkę Evarista z Rialb z ciężką walizką na dachu i w duchu życzył powodzenia żonie nauczyciela, która odjeżdżała, zanim zdążyła zamoczyć stopy w rzece Pamano.

– Przekonanie o nieomyślności papieża w kwestii kanonizacji świętych ma charakter wiary teologicznej, nie objawionej czy ustanowionej przez Kościół.

– Co to znaczy?

– To znaczy, szanowna pani, że nie ma o niej mowy ani w Piśmie Świętym, ani Kodeks prawa kanonicznego nie określa jej istoty. Skupia się natomiast na trybie postępowania. – Odstawił filiżankę dokładnie w to miejsce, gdzie tydzień temu postawiła ją Tina Bros, i zażartował: – Wszyscy wiemy, że Kodeks prawa kanonicznego skupia się głównie na przepisach.

Próbował nawiązać nić porozumienia, spoglądając w martwe źrenice siedzącej naprzeciwko damy, ale nie zareagowała ani dama, ani tym bardziej jej martwe źrenice. Wręcz przeciwnie, pani Elisenda pochyliła się w stronę adwokata Gasulla i nie przejmując się gościem, poprosiła wyjaśnij mi to, Romà, a on odpowiedział z tego co ja rozumiem, jeżeli Ojciec Święty uważa, że dowody dostarczone przez postulatora są wystarczające, może wszcząć postępowanie. Spojrzał na wielbnego kapłana.

– O to chodzi?

– Dokładnie tak, bardzo dziękuję. No, prawie dokładnie.

– Był drugi cud.

– Pamiętam o tym, proszę pani. Problem w tym, że Święta Kongregacja wolałaby poczekać jeszcze rok lub dwa.

– Nie zgadzam się.

Kapłan wyciągnął papierosy i spojrzał pytająco na Gasulla. Ten spanikowany pokręcił przecząco głową i mężczyzna rad nierad schował paczkę. Rozejrzał się wokół zrezygnowany. Cenne obrazy, porządne meble, nieskazitelnie czyste powietrze, elegancka cisza.

– Trzeba przyznać, że pierwszy postulator, ksiądz Bagà...

– Poprzedni proboszcz – wyjaśniła, nachylając się do Gasulla.

– ...oraz monsinior August Vilabru, pani stryj... wykonali swoje zadanie w sposób precyzyjny i fachowy. Zwłaszcza pani stryj.

– To był człowiek, który umiał zadbać o szczegóły – przyznała, cały czas patrząc przed siebie.

– Czy pani jest wierząca?

Rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty. Tina Bros i Jordi Bofill w pociągu, który zmierzał w kierunku Europy, gdzie zamierzali zaczerpnąć nieco świeżego powietrza, włożywszy do wspólnej kasy wszystkie pieniądze, jakimi

dysponowali, doszli do wniosku, że z tym kapitałem nie stać ich nawet na schronisko w Paryżu, i przypieczętowali tę konstatację gorącym pocałunkiem. Pięć lat wcześniej wsiedli do tego samego pociągu, ale wysiedli w połowie drogi, ze świeczką w dłoni i wiarą w powszechny ekumenizm w głowie i na ustach, bo zmierzali wtedy do Taizé. Poznali tam wspaniałych przyjaciół, takich na całe życie, ze wszystkich stron świata, których nigdy później nie spotkali, bo choćbyś przysięgał dozgonną przyjaźń, to jak ktoś mieszka w Kairze, Helsinkach czy w Lublanie, a ty w Barcelonie, bez możliwości kontaktu, musisz w końcu poddać się szarej codzienności. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty. Na wysokości Lyonu zaczęli rozmawiać o Taizé, o soborze młodych, o tym, jak odległe wydaje się teraz to wszystko, a pamiętasz tę arabską dziewczynę, ciekawe, co się z nią stało. Ach, tak, jak ona się nazywała. I tamten facet, biały jak albinos. Ze Szwecji. Nie, raczej z Finlandii. No tak, chyba masz rację. Cholera, miał takie dziwne imię, jakoś tak... Byliśmy bardzo młodzi i naiwni. Tak. Sobór młodych, wyobrażasz sobie? Kiedy minęli Lyon, wzięli się za ręce i patrząc na pejzaż doliny Rodanu, wypowiedzieli słowa ja Tina, ja Jordi, osoby wolne, w pełni świadomie korzystając z naszej wolności, wyrzekamy się wszelkich wierzeń religijnych, z jakimi w którymkolwiek momencie życia mogliśmy się zetknąć. A to dlatego, że jesteśmy wolnymi kobietą/mężczyzną. Co za ulga, Jordi. Jeśli chodzi o mnie, to... Religia już dawno w sposób naturalny znikła z mojego życia. Powinniśmy to potwierdzić na piśmie. No co ty, po co. Ale od tej chwili, co za ulga. A Jordi wtedy tak pięknie to podsumował, że dobrym człowiekiem jest nie ten, kto chodzi do kościoła, tylko człowiek lojalny i uczciwy. Przyrzekam, że będę wobec ciebie lojalny przez całe życie, Tino, i Tina poczuła się dumna ze swojego mężczyzny, na przedmieściach Lyonu, w pociągu, w drodze do Paryża.

– Nie, ojczu. Nie jestem wierząca.

Ale mam syna, który jest benedyktyńskim mnichem.

– To dlaczego chce się pani spowiadać?

– To nie tak. Chciałabym poradzić się w pewnej sprawie i wolałabym, żeby objęła ją tajemnica spowiedzi.

– Posłuchaj, córko: tajemnica spowiedzi to... Zresztą, nieważne: proszę mówić; pomogę, jeśli tylko będę mógł. Żadne pani słowo nie wyjdzie z tego konfesjonału.

– Może ksiądz przysiąc?

– Jak miałbym przysięgać w takiej sprawie, na litość boską?

– Tak, widzę tu pewną przeszkodę i dlatego zasugerowałem odłożenie sprawy czcigodnego Fontellesa na później.

– Jaką przeszkodę? – Zapadła cisza, którą przerwała pani Elisenda. – Śmiało

i szczerze.

– Rzecz w tym, że pani jest jedynym żyjącym świadkiem jego śmierci.

– Iluż męczenników i męczenniczek – wszedł mu w słowo adwokat Gasull – zapłaciliby każde pieniądze, no, oczywiście w przenośni, żeby mieć takiego świadka. Wielu i wiele!

– Nie wątpię. Jednakże...

Pani Elisenda pochyliła się w stronę Gasulla, który zareagował w podobny sposób i zbliżył się do niej podekscytowany, bo już dawno nie dopuszczała go do takich poufałości. Gasull już zdążył się oswoić z zapachem nardu. Teraz go kusiło, żeby ją pocałować. Złożyć pocałunek na jej martwych źrenicach.

– Zaproponuj mi pieniądze – szepnęła mu do ucha, zamiast go pocałować.

– To może wyrzeć odwrotny efekt.

– Nie w przypadku osoby, którą mamy przed sobą. Zaproponuj porządny zastrzyk gotówki.

– Ile?

– Skąd mam wiedzieć? To twoja rola.

Oboje się uśmiechnęli, a następnie adwokat Gasull wyjaśnił, że nie mogą dłużej czekać i że Fontellesa należy kanonizować w marcu, tak jak im obiecano w Watykanie. A następnie głośno wymienił zawrotną sumę.

– Żeby zostać błogosławionym, trzeba wykazać się posiadaniem cnót w stopniu heroicznym, prawda?

– Do czego pani zmierza?

– Proszę sobie wyobrazić, że Kościół ma właśnie beatyfikować osobę niewierzącą.

– Co za absurdalne przypuszczenie.

– Nie. Całkiem realne.

Siedzący w ciemnym konfesjonale ksiądz wiercił się skonsternowany, jakby miał robaki w tyłku. Pozwolił wybrzmieć tym słowem, ściganym przez własne echo w kierunku jakiegoś ciemnego zakątka w ogromnej nawie katedry Seu. Dopiero wtedy, gdy nie pozostało po nich nawet wspomnienie, podjął rozmowę:

– A ty skąd wiesz... Skąd pani o tym wie?

– Obawiam się, że nie mogę księdzu powiedzieć. Co by mi ksiądz radził? Zepsuć innym zabawę czy darować sobie tych wszystkich błogosławionych i świętych?

– Córko... To, o czym pani mówi, jest tak nieprawdopodobne...

– Czyli Ojciec Święty może się mylić.

– Słuchaj, córko: nieomylność papieża w kwestii kanonizacji nie jest potwierdzona w żaden sposób przez Pismo Święte.

– A co to oznacza?

– Że nie jest to prawda objawiona ani ustanowiona przez Kościół, który nie włączył jej do dogmatów.

– A więc papież może się pomylić i nic się nie dzieje.

– Ja bym tego tak nie ujął.

– Ostatnio się doksztaciłam w tej kwestii: zdarzyło się zostać świętymi autentycznym łotrom.

– Córko, proszę z łaski swojej uważać na słowa.

– Święty Cyryl Aleksandryjski. Święty Stefan Węgierski. Święty Ferdynand Kastylijski, Josemaría Escrivà, święty Wincenty Ferreriusz, święty Paweł... Wszyscy to albo gwałtownicy, albo ludzie pazerni na władzę, łasi na honory i bogactwa.

– Proszę innym tonem, jeśli mamy dalej rozmawiać.

– Świetnie. Nie zmieniliście się ani trochę. Mam zadenuncjować jedną z najbliższych beatyfikacji?

– Z jakiego powodu?

– Ponieważ chcę beatyfikować człowieka, który nie wierzył w Boga ani w Kościół. Mówią o nim, że zmarł męczeńską śmiercią.

– Piękna śmierć...

– Niech ksiądz postara się mnie zrozumieć. Nie wierzył w Boga, w niebo, w odkupienie, w świętych obcowanie, w autorytet Kościoła, naszej matki. Ani w świętych, ani w piekło.

Zamilkli oboje, oceniając nawzajem swoje siły. Tina dokończyła: – Owszem, był bohaterem, ale nie miał w sobie nic z męczennika w sensie kościelnym.

– Ale dlaczego pytasz mnie o zdanie, córko?

– Bo nie chcę do tego dopuścić.

– Dlaczego, skoro i tak nie wierzysz?

– Bo osoba, o którą chodzi, nie zasłużyła na to, by wypaczać jej pamięć.

Ciemność i cisza w konfesjonale. Trwała tak długo, że przez chwilę Tinie przeszło przez myśl, czy przypadkiem ksiądz stamtąd nie uciekł przytłoczony ciężarem wątpliwości. Zdążyła nawet przyznać się przed sobą, że ma obsesję na tym punkcie, ponieważ obraziła się na Kościół, który ukradł jej syna, nie pytając jej o zdanie, po kryjomu, nocą, mimo że nie wierzy ani w Boga, ani w świętych obcowanie, ani w transsubstancjację, podobnie jak Oriol Fontelles, partyzant, którego chcę teraz zrobić w męczeństwo.

– Dobrze ci radzę, córko, nie rozgrzebuj tej sprawy – wydobył z siebie głos po wielu latach, przez zaschnięte gardło.

– Dziękuję, ojcze.

– Niech wierzący rozstrzygają problemy wierzących.

– Ale właśnie o to chodzi, że ten mój przyjaciel nie wierzył!

– Powiedziałem, lepiej tego nie rozgrzebywać. Chciałaś poznać moje zdanie, czyż nie?

Ksiądz F. Rella, przeczytała na tabliczce umieszczonej na frontowej ścianie konfesjonau. Ksiądz Rella mi doradza, żebym nie rozgrzebywała tego gówna, myślała Tina, wychodząc z katedry Seu, oślepiona zimnym, niezdecydowanym światłem popołudnia. Bolała ją głowa. Na podróż powrotną do Sort musiała założyć łańcuchy, bo asfaltowa nawierzchnia przełęczy Cantó ginęła pod śniegiem. Mimo wczesnego popołudnia zapadał już zmierzch, gdy parkowała samochód przed domem. Spojrzała w górę, czy w oknach jest światło, i stwierdziła Jordi jeszcze nie wrócił. Kiedy zamykała samochód, podszedł do niej wysoki, szczupły mężczyzna; zmarzł mimo ciepłej kurtki. Zapytał, wypuszczając z ust obłok pary, czy Tina Bros, nauczycielka, to ona.

– Tak. Czego pan sobie życzy?

– Możemy porozmawiać u pani w domu?

– A o co chodzi?

– To ważna sprawa.

– Ale o co chodzi?

Jordiemu przydarzył się wypadek. Arnau spadł do przepaści, odmawiając tercję, Jurij Andriejewicz wdrapał się na drzewo i nie umie zejść. Nie, matka...

– O Oriola Fontellea.

– Co takiego?

– Oriol Fontelles. Możemy wejść?

– Nie. Czego pan chce?

– Dowiedziałem się, że przechowuje pani dokumenty, które do pani nie należą...

– Ja? A można zapytać, skąd pan o tym wie?

– ...a ja podejmuję się dostarczyć je do adresata.

– Wie pan, kto jest adresatem?

– Tak. Jego córka.

– A mnie powiedziano, że nie miał córki.

– Mógłbym zobaczyć te papiery?

Tina ruszyła w stronę budynku. Dotarłszy na miejsce, odwróciła się do zmarzniętego mężczyzny, który szedł za nią.

– Nie. I proszę powiedzieć pani Elisendzie, żeby nie zadawała sobie trudu, bo nigdy ich nie dostanie.

– Jakiej pani Elisendzie?

– Żegnam pana.

Weszła i zamknęła na klucz drzwi budynku tuż przed nosem nieznanego. Poczła dreszcz lęku na plecach, wchodząc po schodach. Kiedy się znalazła w mieszkaniu, zaryglowała drzwi na cztery spusty. Wtedy zobaczyła Jurę, jak medytuje zrelaksowany na fotelu Jordiego. Mimo głodu, bo nie zdążyła zjeść obiadu, od razu siadła przed komputerem, zdecydowana dokończyć

przepisywanie zeszytów Oriola Fontellesa. Nie wiedziała ani jak, ani dlaczego, ale czuła, że od tej chwili powinna działać bardzo ostrożnie. Zauważyła za sobą doktora Żywago, który ziewał beztrosko, przyłapany w trakcie pracowitego leniuchowania, i poczuła ukłucie zazdrości.

Podjął tę decyzję podczas drugiej sesji malarskiej. Burmistrz Targa siedział przy biurku z napiętą twarzą, przyglądając się malarzowi badawczym wzrokiem i próbując odgadnąć wszystkie jego tajemnice i wzbudzić w nim lęk spojrzeniem w kolorze lodowatego błękitu.

– Wielcy ludzie uwieczniali się na obrazach, nie na fotografiach – zadekretował.

– Tak.

– Masz mnie namalować lepiej niż panią Vilabru. – Drugi dekret.

– Każdy portret jest inny. Proszę się nie ruszać.

– Nie będziesz mi tu rozkazywał, co mam robić.

Oriol wrzucił pędzel do słoika z terpentyną, wytarł ręce brudną szmatką i westchnął. Z irytacją, która zaskoczyła nawet jego samego, powiedział w tej kwestii ja rządę, a jak się panu nie podoba, proszę poszukać innego malarza. Nie miał innego wyjścia. Gdyby tego nie powiedział, trudno sobie wyobrazić, jak wyglądałby dalszy ciąg.

Cisza. W oczach Valentína Targi wyczytał zaskoczenie. W końcu wybrnął z sytuacji, wybuchając śmiechem, rozluźnił się i żeby rozładować napięcie, powiedział masz rację, towarzyszu, masz rację. To jak u lekarza. Złączył nadgarstki, żeby pokazać, że oddaje się w ręce artysty. On tylko jest wielkim człowiekiem.

Wtedy mu to przyszło do głowy, jakby w konsekwencji pierwszego buntu. Oczywiście, że myślał o małym Venturze. Ale też o Rosie i o córce, której nigdy nie pozna. I o matce małego Ventury, którą spotkał dziś w południe na Ravalu. Bardziej niż na nią samą, natknął się na jej spojrzenie pełne pogardy i niedowierzania, w którym wyczytał pytanie dlaczego, panie nauczycielu, jesteś taki podły? A kiedy on próbował się tłumaczyć to nie jest tak, jak mówią, ja nie mam nic wspólnego z, ona zostawiła wiadro na środku ulicy i oddaliła się w stronę domu, rozdygotana z bólu, Oriol zaś czuł się tak podle, że strach ustąpił miejsca pilniejszym uczuciom. I teraz, w obecności wielkiego człowieka, uświadomił sobie, że jak się weźmie byka za rogi, to się trzyma byka za rogi. I jeżeli potrafi go utrzymać własnymi rękoma, to nie musi się niczego bać. Albo prawie niczego. Na śmiech burmistrza odpowiedział pobłażliwym uśmiechem i ponownie sięgnął po pędzel. Ale wtedy stał się już innym Oriolem. Natychmiast to rozpoznał po namalowanych pewną ręką pięciu falangistowskich strzałach na kieszeni niebieskiej koszuli Targi. Wszystko sprowadza się do przejęcia inicjatywy. Tak mi się wydaje. No nie wiem, tak

przypuszczam. I nie wolno myśleć o śmierci.

W Torenie, jeśli w ogóle coś zakłócało ciszę, to chyba tylko ryk krowy, nagły płacz dziecka, skrzywienie zużytych osi drewnianego wozu powracającego z pola o zmierzchu i astmatyczny oddech Elviry Lluís siedzącej w ławce z przodu i rozwiązującej równania z mnożenia przez dziewięć ze spokojem osoby nieświadomej tego, jak niewiele pozostało jej do śmierci, patrzącej na niego tymi wielkimi, zdesperowanymi oczami, które już wiedzą, że to nieprawda, jakoby w życiu miało się czas na wszystko. Natomiast przy ulicy Fontanella w Barcelonie bombardowały jego uszy równocześnie uporczywy dzwonek roweru, kaszel ciężarówky z lodem, która wypuszczała gryzący dym, drzwi trolejbusu, które radośnie otwierały się i zamykały tuż przed nim, i alarmujący gwizdek strażnika miejskiego, który w pobliżu placu Catalunya dyrygował ruchem ochrypłych taksówek. Ale on, udając, że czeka na trolejbus, nie spuszczał z oka wejścia do lokalu, rozglądając się przy tym na boki, żeby sprawdzić, czy ktoś za nim nie idzie i czy nikt nie zauważył, że tym razem to on jest na tropie. Kiedy Valentí Targa wyszedł ze sklepu, wkładając zapakowaną paczuszkę do kieszeni i rozglądając się na prawo i lewo, jakby się spodziewał zasadzki albo jakby to właśnie jego szukał, albo tak jakby po prostu rozglądał się na lewo i na prawo, Oriol ruszył za nim chodnikiem po przeciwnej stronie, parę kroków dalej. Ale natychmiast, obawiając się, że straci go z oczu, przeszedł przez ulicę, klucząc między paroma wlokącymi się powoli taksówkami. Opuścił rondo kapelusza i usytuował się z tyłu za swoją przyszłą ofiarą. Przeszedł obok rachitycznego motocykla, którym tu przyjechał z Toreny podczas nocnej eskapady, ciągnącej się bez końca i przeraźliwie zimnej, i zaraz odwrócił wzrok, próbując w ten sposób przekonać kogoś, kto by go śledził, że on nie ma nic wspólnego z tym demaskującym go przedmiotem ani z szalonym planem, który powziął w momencie, gdy zrobili przerwę podczas sesji malarskiej. Zaproponował panu Valentínowi, by wykorzystać świąteczny poniedziałek na pracę nad portretem, a ten odpowiedział zdecydowanym nie, w poniedziałek wybieram się do Barcelony (i zaczął mówić ciszej, jakby chciał coś ukryć przed potencjalnym szpiegiem), żeby się spotkać z pewnym Pączuszkim, który mi zawrócił w głowie. Valentí Targa, siedząc przed obrazem, w roztargnieniu kręcił głową i patrzył gdzieś w dal nieprzytomnym wzrokiem, tracąc nagle zainteresowanie pozowaniem, pewnie pochłonięty myślą o swoim Pączuszkę.

– Ty powinieneś zrobić to samo – zdecydował po chwili, wskazując palcem okolice jego serca. – Rzuciła cię? To się rozerwij, poszukaj sobie jakiejś baby, przy której o wszystkim zapomnisz.

– Pewnie ma pan rację – powiedział, chwytając za pędzel, żeby się skupić. – Może siądzie pan jeszcze na chwilę i popracujemy nad portretem?

Podczas gdy malował sławetną błękitną koszulę, uświadomił sobie, że Targa w poniedziałek pojedzie do Barcelony sam, żeby nie mieć świadków, i nikt nie będzie wiedział, że spędzi cały dzień w drodze, żeby w Barcelonie się przespać z Pączuszką. Zobaczył w tym szansę dla siebie i aż się spocił ze strachu i z podziwu, że przychodzą mu do głowy takie myśli.

Dopiero nocą, kiedy przypomniał sobie podekscytowane spojrzenie Valentína, plan się skonkretyzował. Może faktycznie udałoby się go zaskoczyć. Przynajmniej bez tego faceta z kręconymi włosami i cienkim wąsikiem przyklejonym do twarzy jak kleszcz. Jeśli mam być szczery, córko, a już ci mówiłem, jak bardzo mi zależy na szczerości tych zapisków, nie rozumiem faceta, który spędza osiem godzin za kierownicą po to tylko, żeby sobie, żeby z nią, żeby spotkać się z kobietą. Nie zrozum mnie źle. Ale miałem za sobą tyle bezsennych nocy spędzonych na rozmyślaniu o małym Venturze, o milczącym spojrzeniu Ventury matki, o niemym wyrzucie, o niechcianym aplauzie niektórych, o lęku wszystkich, a przede wszystkim o pogardzie twojej matki i o tobie, o córce, której nie poznam, ponieważ zachowałem się jak tchórz... Kiedy skończyłem malowanie cieni na niebieskiej, falangistowskiej koszuli, z oczami szeroko otwartymi po dokonaniu odkrycia, zdecydowałem, że jedynym sposobem, żeby nie być tchórzem, jest przyjmowanie śmierci, jakby była zwykłą procedurą. Nie żebyś przez to od razu stawał się odważny, ale to już jest krok w tym kierunku. Wtedy wymyśliłem doskonały plan. No, tak mi się przynajmniej wydawało.

O trzeciej nad ranem zakradł się do ratusza, żeby zarekwirować browninga, którego pan Valentí trzymał w trzeciej szufladzie; upewnił się, czy wie mniej więcej, jak zrobić użytek z tej broni, sprawdził, czy jest amunicja w magazynku, a następnie po cichu opuścił Torenę na motorze Guzzi, czując na sobie nieufne spojrzenia całego miasteczka, które go nadal oskarżały, że jest tchórzem i że próbuje zasłużyć na litość, dokonując szalonego czynu. Pierwszy kilometr na szosie pokonał z wygaszonym silnikiem i bez świateł, modląc się w duchu, by nie natknąć się na żaden przypadkowy patrol żandarmerii. Zanim jeszcze dojechał do Sort, już przemarzły mu ręce mimo rękawic, a miał przed sobą jeszcze cztery czy pięć godzin jazdy.

Pewnie jej kupił wieczne pióro, skonstatował, idąc pięć kroków za panem Valentínem. Przestraszony, musiał zasłonić twarz chusteczką, udając, że wyciera nos, kiedy Valentí Targa nagle się odwrócił, jakby spojrzenie tamtego ukłuło go w potylicę. Oriol był zły na siebie, że nie zachował ostrożności. Kiwnął na taksówkę, żeby się zatrzymała, i powiedział taksówkarzowi, że go bardzo przeprasza, ale tylko chciał zapytać, jak dojść do pomnika Kolumba; taksówkarz najpierw powiedział, co myśli o matce rzeźbionego Kolumba, a

następnie ruszył z miejsca, nie rozstrzygając jego wątpliwości. Wtedy podniósł wzrok i dostrzegł kątem oka, jak pan Valentí wchodzi do jakiejś bramy na początku ulicy Llúria.

W czasie gdy Valentí Targa spędzał poranek tego świątecznego poniedziałku w ramionach kobiety, która potrafiła zachwiać jego pewnością siebie, i śnił na jawie otoczony watajnością, wiele osób wychodziło na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy będzie zimno czy słońce i czy da się zabrać na spacer ciepło ubrane dzieci, żeby zażyły trochę ruchu na falochronie nad morzem czy na Tibidabo. A Oriol spędził słoneczny poranek na wpatrywaniu się w zamknięte drzwi, gładzeniu pistoletu, który trzymał w kieszeni, i myśleniu osądziłaś mnie zbyt surowo, Roso, należało najpierw o tym porozmawiać, Roso, nie jestem faszystą, Roso, tylko zwykłym tchórzem, Roso, ale teraz próbuję to zmienić, Roso, wiem, że jest za późno, ale gniew, który wywołuje we mnie świadomość, że już za późno, pozwala mi kontrolować lęk. Jak ma na imię nasza córka? Jestem głodny, Roso, ale nie mogę spuścić z oka tych drzwi. Jeżeli nie wyjdę z tego żywy, Roso i Ventura, chcę, żebyście obie wiedziały, że pan Valentí Targa zasłużył sobie na kulkę i będę się starał trafić go w oko, tak jak on postąpił z małym Venturą. W imię Bożej sprawiedliwości, jeśli Bóg istnieje, choć wydaje mi się, że raczej nie. No, na pewno nie istnieje. Wyjaśnij to naszej córce, Roso. Tak wtedy myślałem, córeczko.

Tina przerwała pisanie i przybliżyła zeszyt Oriola do światła. Kilka linijek zostało przekreślonych. Nie udało się odszyfrować, co napisał, a potem przekreślił Oriol Fontelles w godzinie podejmowania decyzji i powierzania ich zeszytom, bo tak ciężko jest być samemu. Wtedy poczuła kolejne ukłucie i przestraszyła się bólu, śmierci, Boga, jeżeli istnieje, choć wydaje mi się, że raczej nie, podobnie jak uważał Oriol; zawodu, jakiego przysporzył jej Jordi, a przede wszystkim tego klucia w klatce piersiowej, groźby, o której lekarka powiedziała, że jeśli tego nie zoperują, będzie tykać jak bomba zegarowa ukryta w ciele. Żeby odpędzić lęk, skoncentrowała się na dwóch zamazanych liniijkach. Co mogło się stać owego zimnego, styczniowego poniedziałku w Barcelonie, zastanawiała się, żeby nie myśleć o ukłuciu.

Stało się to, że w południe pan Valentí Targa wyszedł na ulicę z Pączuszkim pod rękę. Pączuszkim okazała się kobieta jeszcze dość młoda, która, owszem, była całkiem do rzeczy. Stało się to, że szedł za nimi ulicą Trafalgar aż do Arc de Triomf. Stało się, że jego ofiary weszły do restauracji blisko parku Cytadeli i Oriol po odbezpieczeniu pistoletu wszedł za nimi, wstrzymując oddech.

Bardzo łatwo jest zabijać. Łatwo jest zabić człowieka. Zwłaszcza gdy zabójcą powoduje nienawiść w czystym stanie i, co najważniejsze, już trzyma byka za rogi. Dlatego kiedy Oriol wszedł do lokalu (do restauracji Estació de Vilanova, druga po południu, pięć zajętych stolików, i ten zarezerwowany w kącie, który właśnie został zajęty. Jakiś cień przysłonił szybę i otworzył drzwi), a jego oczy

zdążyły się oswoić ze światłem w środku, słabszym niż na ulicy, skoncentrował się na Valentínie Tardze i ruszył prosto do jego stolika, z determinacją w sercu, starając się mieć przed sobą twarz małego Ventury i swojej nieznannej córki. Pączuszek usiadł plecami do ściany i pytał tu będzie dobrze, kochanie? a pan Valentí, odpowiadając tak, tak, odwrócił się plecami do śmierci. Oriol dotarł do potylicy Valentína i wyciągnął pistolet z kieszeni. Podczas gdy kobieta, którą miał przed sobą, otwierała usta, nie rozumiejąc, co się dzieje, Oriol pomyślał o panu Valentínie Tardze z domu Roia z Altronu, burmistrzu Toreny, podłym mordercy, nielojalnym, odważnym, aroganckim, metr siedemdziesiąt sześć, przyjacielu dla przyjaciół i tylko dla przyjaciół, wrogu dla wrogów, i ręka sama zaczęła mu drżeć, bo zabić wcale nie jest tak łatwo, jak mu się wydawało, zwłaszcza gdy znasz imię ofiary; zwłaszcza gdy nienawidzisz tego, kogo masz zabić, ale jeszcze nie nauczyłeś się nim gardzić. Ręka drżała mu w sposób tak żałosny, że jakiś klient ze stolika obok zaczął rzucać w jego stronę dyskretne spojrzenia. Musiał chwycić pistolet w obie dłonie, podczas gdy pan Valentí pochylał się nad stołem, żeby lepiej wystawić potylicę i już zamierzał powiedzieć swoim aksamitnym głosem jesteś naprawdę fantastyczna, może jak skończymy obiad, wrócimy do domu, żeby kontynuować, ale urwał niezaczone zdanie, bo zauważył, że Pączuszek otwiera usta i ponad jego ramieniem wpatruje się w coś za nim. Zdziwiło go, że nie zareagowała, przecież była łasa na komplementy, ale wtedy do niego dotarło, że nie mogła zareagować, bo przecież on jej jeszcze nie. I wtedy nastąpił ogłuszający wybuch tuż nad jego uchem.

Oriol wystrzelił raz, dwa razy i koniec, bo za trzecim razem z lufy nie wyszedł żaden pocisk, i zrobił to, myśląc o małym Venturze i o jego nastoletnim oku, które zamieniło się w ołowianą dziurę. Potem schował broń do kieszeni i wyszedł na ulicę, nie spiesząc się i nie zwracając uwagi na dwóch skamieniałych z wrażenia mężczyzn w holu restauracji. Usłyszał tylko, jak jeden z nich powiedział no kto by pomyślał, ale nie zatrzymał się, by prosić o wyjaśnienie, bo zabójcy muszą być szybcy. Kiedy zamykały się za nim szklane drzwi, usłyszał krzyk Pączuszka i hałas przesuwanych krzesel, ale się nie odwrócił, bo już zbiegał po schodach metra Triomf, przeskakując po cztery stopnie, i myślał, że przynajmniej raz w życiu sprawy układały się po jego myśli, bo właśnie wjechał pociąg. Może nie myślałby tak, gdyby wiedział, że pewien niski mężczyzna z nijaką twarzą szedł za nim od restauracji i wsiadł do tego samego wagonu. Przystanek dalej Oriol znalazł się na ulicy Fontanella, a jego niewysoki cień za nim. Pół godziny później już jechał szosą, w stronę Molins de Rei, ale nadal gwałtownie dyszał i myślał zabiłem, zabiłem człowieka z zemsty, zabiłem, zabiłem Valentína Targę i wcale nie czuję się dumny, córeczko. Ale myślałem o twojej matce, kiedy to robiłem; i o matce

małego Ventury. Na motorze miałem wrażenie, że zaczynam ściągać skórę tchórza, która mnie okrywała i było mi obojętne, że jeżeli mnie złapią, nikt mnie nie ocali przed garrotą. Kiedy tylko dotarłem do Toreny, już po zmroku, najpierw odłożyłem pistolet na miejsce, niezaładowany, bo nie wiedziałem, gdzie nieboszczyk trzymał naboje, i wszedłem do baru Marésa na kawę, a także, żeby wspomnieć mimochodem, że właśnie wracam z Lleidy, a Modest, przetrąwszy ściereczką czysty marmur, oświadczył przed chwilą dzwonił do pana pan Valentí.

– Co takiego? – poczuł, jak panika chwyta go za gardło.

– To co pan słyszy. Kawa z procentami?

– Pan burmistrz?

– Tak. Jakąś godzinę temu. Pytał o pana.

Przerażony Oriol poczuł, jak jego dusza poci się ze strachu, ale udawał brak zainteresowania tematem.

– To na pewno on?

– A co w tym dziwnego? – odpowiedział, stawiając przed nim filiżankę. – Może pan zapytać Cintetę, telefonistkę.

Zamiast pobiec natychmiast w stronę Tuca Negra, żeby zamienić się w jodłę, zamiast zaszyć się w zaroślach i rozpląnąć w nich, zabrał się do kawy. Żałował tylko, że odłożył pistolet na miejsce. Żałował tylko, że tak fatalnie się zachował, bo wystarczyło przesłuchać klientów albo samego Pączuszka, żeby mieć jego rysopis, a Valentí Targa i jego ludzie pewnie już są na tropie. Żałował, że zostało mu tak mało godzin życia. Opanował go ponury żal, że nie potrafił zdobyć się na to, by wrócić do domu pani Elisendy z zarzutem zapewniałaś mnie, że małemu Venturze nic nie grozi, i zatopić się w niej ze słowami nie widzę cię już od tyłu dni, i pozwolić, żeby go wzięła w te ramiona, które on tak pieczołowicie odmalował. Niemożliwe pożądanie niemożliwej kobiety. Wypił kawę jednym haustem i puszczając oko do Modesta, mlasnął językiem z ostentacyjną satysfakcją.

Kiedy wyszedł z baru Marésa, zobaczył Gwiazdę Wieczorną królującą na zimnym zachodzie i poczuł dreszcz śmierci.

O tej samej godzinie w kuchni domu Gravat Bibiana darła na drobne kawałki list, który przyszedł dziś rano i który wpadł w jej ręce. Niejaki Joaquim Ortiga informował pana Anselma Vilabru i Bragulat, że moja ukochana żona właśnie zmarła i spełniając jej ostatnią wolę kreślę do pana tych kilka słów, żeby oświadczyć, że Pilar nie żałuje, że w porę odeszła od pana, bo u pana boku znalazła tylko obojętność, pogardę i złą wolę, i chciała, żeby pan wiedział, że jedynym, czego żałowała, kiedy już zamieszkaliśmy w Mendozie (gdzie zresztą cały czas występowałem w teatrze), jest utrata kontaktu z małą Elisendą i

Josepem, którzy muszą być już całkiem dorośli. Proszę, żeby pan im przekazał, co do nich czuła, bo przecież w końcu to były jej dzieci. Jak może, jak może ta kobieta mówić coś takiego, myślała Bibiana, skoro rankiem tamtej wietrznej niedzieli ona sama usiłowała ją zatrzymać, kiedy z walizką w ręce manipulowała nieporadnie, jak to ona, przy zamku drzwi wejściowych, a Bibiana, obudzona hałasem, zorientowała się, co się dzieje, i powiedziała, niech pani pomyśli o dzieciach, są jeszcze małe, a tamta spojrzała na nią z góry i powiedziała nie wtrącaj się, dość mam płaczących bachorów i pogardliwej obojętności męża, więc zejź mi z drogi i pozwól iść raz w życiu za głosem miłości, i Bibiana musiała zejść jej z drogi, bo nie mogła uprzedzić pana, który od dziesięciu dni ścigał Maurów. Nie może pani tego zrobić swojej córce, proszę pani, powiedziała, chwytając się ostatniej deski ratunku. A moje życie się nie liczy, Bibiano? Otwórz drzwi, bo cię zabiję, powiedziała przez łyzy, i Bibiana wypuściła ją na ulicę, żegnając słowami przeklinam panią na zawsze. Pilar Ramis z Ramisów z Tírvi zniknęła z domu Gravat i z życia Bibiany, panienki i Josepa, którzy spali na górze, i z życia pana, który właśnie zabijał Maurów w Afryce. Bibiana nie potrafiła krzyczeć tak głośno, by zaalarmować anioła stróża. Kiedy zamykała drzwi, zastanawiała się tylko, jak to wytłumaczy panience i Josepowi.

Bibiana zebrała resztki podartego na strzępy listu i rzuciła je w ogień, pod rozgrzaną płytę, upewniając się, że wspomnienie tamtej kobiety zostało na zawsze zatarte i nie zaszkodzi już ani panience, ani pamięci biednego Josepa i nieszczęsnego pana Anselma.

– Co robisz?

– Nic, parzę sobie lipę – odpowiedziała służąca. – Napijesz się?

Elisenda nigdy się nie dowiedziała, że napar, który wypięła tamtej nocy, grzał się na ostatnich wiadomościach o jej zapomnianej matce.

Spędził bezsenną noc w szkole w oczekiwaniu na przybycie pana Valentína i jego faszystowskiej bojówki. Będą walić w drzwi? Wybiją szyby w klasie? Nie: wtargną bez uprzedzenia, z bronią gotową do strzału. Godziny tej nocy płynęły niezmiernie wolno. Lodowate słońce już się budziło nad przełęczą Cantó, a jeszcze nikt nie zakłócił spokoju szkoły-kryjówki banity Oriola Fontellesa, niedawnego tchórza i świeżo upieczonego, niekompetentnego bohatera straconej sprawy.

Pan Valentí zajrzał do szkoły w południe, kiedy dzieci poszły na obiad. Żywy. Bez dziury w potylicy. Ze swoim grubym papierosem w ustach i wodnistym spojrzeniem, jeszcze zimniejszym i bardziej błękitnym niż kiedykolwiek, które dosłownie przebijało napotkane przedmioty, a Oriol zastanawiał się załatwi mnie tutaj czy robi to z pompą. Jest zdolny zabić mnie na Rynku. Albo nie, jasne: na ugorze Sebastiana. Będę osiemnasty.

Pan Valentí wszedł bez słowa do klasy i patrzył przez parę sekund na Oriola, a ten wyczytał w jego wzroku tu quoque. Wtedy wyciągnął rękę z kieszeni i wymierzył w niego palec: – Zrobimy dziś sesję, bo chcę wreszcie zobaczyć końcowy efekt.

– Ale...

– O szóstej.

Nic więcej. Żadnej aluzji do czegokolwiek. Sesja malarska. Nawet czegoś w rodzaju wiesz, co mi się wczoraj przytrafiło. Nic. I od tej chwili Oriol już nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy. Przysięgam, że celowałem w potylicę, usprawiedliwiał się przed sobą.

Kiedy po południu, w porze kieliszeczka na deser, Oriol usiadł posłusznie jak co dzień przy stoliku pana burmistrza, ten, niby od niechcienia, zapytał go a ty gdzie wczoraj byłeś?

– W Lleidzie. Dlaczego?

– Na dziwkach?

– No wie pan... – Odczekał, aż Modest ich obsłuży, a kiedy znów zostali sami, odpowiedział cicho tak, na dziwkach.

Wtedy Valentí Targa, jak gdyby tylko czekał na tę odpowiedź, opróżnił jednym haustem swój kieliszek i wstał. Wyszedł bez słowa. Chyba myśli pociągnęły go gdzieś z neodpartą siłą. Oriol poczuł, że uginają się pod nim kolana.

Tina zauważyła kolejne ziewnięcie doktora Żywago i znów mu

pozazdrościła, bo ziewając, myślał tylko o ziewaniu, a potem, że trzeba oblizać wąsy, natomiast ona, teraz, kiedy przepisywała na komputerze kulminacyjny punkt drogi krzyżowej Oriola Fontellesa, drogi krzyżowej, która go doprowadziła do ukrzyżowania, myślała z zazdrością, że nie może być na miejscu doktora Żywago, i o Jordim, który sprzeniewierzył się wszystkim ich marzeniom, nie pamiętasz już naszego pocałunku przed Taizé, jak przysięgaliśmy sobie wierność, nie pamiętasz, Jordi, swojej proklamacji lojalności w pociągu, w drodze do Paryża? i również myślała o tym, co też teraz może porabiać Arnau. Mój Boże, oby tylko nie wywracał oczu i nie mówił tym nieswoim liturgicznym głosem, fałszywym i rytualnym, amen. Po wyjściu ostatniego ucznia, po starannym wytarciu tablicy, rozgarnięciu dogasającego żaru w piecu, Oriol poszedł do łazienki, żeby zmyć kredę, która przez cały dzień nawarstwiała się na jego dłoniach. Woda, niemal tak zimna jak jego dusza, sprawiała ból nie do zniesienia, ale mimo to przez chwilę trzymał ręce pod strumieniem, czekając, aż zmięknie kreda na jego dłoniach. Wycierając powoli i dokładnie ręce brudnym ręcznikiem, patrzył na swoje odbicie w poplamionym lusterku i nie wiedział, co ma teraz robić, spodziewać się plutonu egzekucyjnego czy szukać Rosy nie wiadomo gdzie, klęknąć przed nią i powiedzieć próbowałem zabić, dla ciebie i przez wzgląd na pamięć małego Ventury, chcę, żebyś wiedziała, ukochana, że zdarłem z siebie skórę tchórze, ale umieram ze strachu i muszę natychmiast cię zobaczyć. A przy okazji chcę poznać moją córeczkę, córkę kogoś, kto okazał się tchórzem, a teraz jest nim może trochę mniej. Kiedy skończył wycierać ręce, wrócił do klasy i chociaż było tam ciemno, wyczuł dziwną obecność. Znieruchomiał na środku sali, próbując odróżnić zjawy od cieni. Na zewnątrz, na ulicy, panował mrok, a wewnątrz ciągle unosił się zaduch, jaki pozostawiły po sobie dzieci. Ale pojawiła się jakaś nowa woń, zapach lasu i spojrzenie ciemne jak węgiel.

– Kto tu jest? – zapytał.

Cień oderwał się od ściany. W anemicznym świetle ulicznej latarni, oświetlającej jego profil przez brudne szyby, Oriol zauważył, że ten osobnik trzyma coś w dłoni, najprawdopodobniej pistolet, i pomyślał więc to już, wszystko się skończyło, nie zdążyłem powiedzieć Rosie, że przestałem być tchórzem. Ponieważ cień się nie ruszał, Oriol przekreślił włącznik; mężczyzna przylgnął do ściany i wtedy mógł mu się przyjrzeć: brudny, z twarzą ogorzałą od niepogody, ubrany w zniszczoną odzież. I owszem: browning w ręku nieznajomego wpatrywał się w Oriola czarnym okiem.

– Zgaś światło – rozkazał przybysz.

– Kim jesteś?

Mężczyzna nadal podpierał ścianę, kryjąc się przed spojrzeniami z ulicy, i cały czas trzymał go na muszce.

– Co robisz codziennie o tej porze?

- Siedzę tu i poprawiam zeszyty. Dlaczego?
- To udawaj, że to robisz, i porozmawiamy. Czy ktoś ma tu przyjść?
- O czym mamy rozmawiać?
- Czekasz na kogoś?
- Nie.
- Rób swoje.

Mężczyzna ciągle trzymał wycelowaną broń. Oriol zaczął porządkować biurko zavalone zeszytami starszych uczniów, którzy dziś robili zadanie z geografii fizycznej: trzynaście zeszytów; jedenaście, jeśli odliczyć zeszyty obu dziewcząt z domu Ventura, jeszcze niezapisane.

– Kim jesteś? – zapytał zdeorientowany. Przecież oczekiwał granatowego munduru falangisty.

Tamten milczał i Oriol, żeby się czymś zająć, otworzył górną szufladę i włożył do niej drewnianą linijkę. Podszedł do tablicy. Zapisał datę środa szesnastego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego, dokładnie w tym samym miejscu, w którym prawie pięćdziesiąt siedem lat później Tina miała napisać środa trzynastego grudnia dwa tysiące pierwszego, tym samym starannym pismem nauczycielskim, zanim zniszczono tablicę, szkołę zburzono, a wszystkie sekrety zamknięte w niej tyle czasu uleciały z wiatrem.

- Dlaczego chciałeś zabić Targę?
- Ja? – Cisza i gorączkowe myślenie co mam zrobić, co mówić, o mój Boże.
- Ja?
- Ty – oskarżył go nieznajomy, nie przestając mierzyć weń z pistoletu.
- To nieprawda. Kiedy?
- Wczoraj.
- Wczoraj wybrałem się do Lleidy. Na dziwki.
- Nie jesteś przyjacielem Targi?
- A ty kim jesteś?
- Jeśli masz teraz coś pisać, to udawaj, że to robisz.

Oriol siadł przy stole i otworzył zeszyt. Piec zaczął stygnąć i klasa za chwilę zamieni się w lodownię. Nagle podniósł głowę i spojrzał w kierunku cienia.

- Ty jesteś z partyzantki.
- Dlaczego chciałeś go zabić?
- Bo zamordował dziecko z miasteczka. Mógł być moim uczniem.
- Ale ci się nie udało, jak widać.

Oriol milczał. Nie, nie udało mu się, bo trudno jest zabijać, kiedy palce masz związane sumieniem.

- Czego ode mnie chcesz?
- Zaprzepaściłeś okazję zamachu, który był już na dobrej drodze.
- Ja?

- Jak sądzisz, dlaczego nikt cię nie gonił?
 - Nie rozumiem.
 - Wysłaliśmy jednego, żeby udawał, że cię śledzi.
 - Co tam robiliście?
 - Czekaliśmy na niego. Raz w miesiącu Targa jedzie pieprzyć się do Barcelony i je obiad w restauracji Vilanova. Zawsze tak samo. Czekaliśmy na niego, a ty wszedłeś nam w drogę i wszystko popsułeś.
 - Bo ja...
 - Jesteś falangistą.
 - No, ja...
 - Jesteś wielkim przyjacielem Targi. Wszyscy tak mówią. – W tym momencie opuścił broń i schował ją. – I mówią, że twoja żona odeszła do innego.
 - Nie. – Z wściekłością. – To nie tak! Zostawiła mnie... Ale z nikim nie odeszła.
 - Dlaczego cię zostawiła?
 - To nie twoja sprawa.
 - Owszem, moja.
 - Zostawiła mnie, bo jestem tchórzem.
 - Tchórz, który ryzykuje własne życie, żeby pomścić małego Venture.
 - Znałeś tego chłopca?
- Mężczyzna nie odpowiedział. Oriol wyjrzał na ulicę prowadzącą do Rynku. Nic nie widział, bo żarówka w klasie dawała więcej światła niż lampa na zewnątrz. Może stał pod jego oknem czarny samochód pana Valentína i czterech umundurowanych czekało z rękami na biodrach, aż wyjdzie, żeby przeszyć go serią z karabinu, z koniecznym do realizacji tego celu grymasem pogardy na twarzy.
- Czego ode mnie chcesz?
 - Chcę wiedzieć, po której jesteś stronie.
 - Po co?
 - Bo musisz nam pomóc.
 - Ja? A wy kim jesteście?
 - Chcemy, żebyś nam przekazywał wszystkie informacje, jakie uzyskasz od Targi.
 - Nie jestem... Moja pozycja... – Zamknął zeszyt, który miał przed sobą, wkurzony. – Przede wszystkim powinienem uciec, zanim pan Valentí się zorientuje, że...
 - Nie. Zostaniesz tutaj, nadal oficjalnie będziesz przyjacielem Targi, ale zaczniesz pracować dla nas.
 - Kim jesteście?
 - A poza tym komendantura zdecydowała, że szkoła w Torenie to idealne

miejsce na skrzynkę kontaktową i kryjówkę. Poddasze będzie w sam raz do tego celu.

Pewnie nigdy nie zobaczysz szkoły w Torenii. To budynek, którego jeden bok usytuowany jest stosunkowo blisko Rynku, ale druga ściana, ta od boiska, gdzie dzieci się bawią podczas przerwy, wychodzi na góry. To ostatni budynek w miasteczku, za nim roztacza się widok na całą dolinę.

– Skąd wiecie, że na górze jest strych?

– Prawda, że śpisz w szkole?

– Tak.

– Pod koniec tygodnia przechowasz uciekinierów. Pochodzą z Holandii i zmierzają do Portugalii.

– A jeśli odmówię?

Cień odchylił nieco połą kurtki, tak żeby Oriol mógł zobaczyć kolbę pistoletu.

– A poza tym masz cały czas kontrolować Valentína Targę. Będziesz nam przekazywał wszystko, co ci powie, każdy jego ruch.

– Nie jestem człowiekiem czynu – powiedział żalonym głosem.

– I nadal będziesz udawał, że nie jesteś człowiekiem czynu. Pozostaniesz tym skurwysyńskim falangistowskim nauczycielem, wielkim przyjacielem kata Torenii. Ale będziesz pracować dla nas.

– Pan Valentí wie, że chciałem go zabić.

– My uważamy, że nie wie.

– Nie jestem człowiekiem czynu.

– Ja też nie byłem. Nikt nie był przed wojną.

Mężczyzna odczekał kilka sekund i wtedy, starając się nadać swoim słowom uroczysty ton, powiedział od tej chwili jesteś żołnierzem partyzantki. Wspierasz również aliantów w walce z nazizmem i faszyzmem.

– Ale ja przecież...

– Nie masz wyboru.

Tak zwyczajnie i po prostu, córeczko, zaczęła się moja działalność w partyzantce. Z mieszanymi uczuciami, bo nie jestem odważny, ale z pragnieniem zasłużenia na przebaczenie małego Ventury, który zmarł w wieku czternastu lat zapewne dlatego, że nie okazałem się wystarczająco stanowczy wobec Valentína Targi. A komendantura rozkazała mi, żebym nic nie zmieniał w swoim życiu, wszystko ma pozostać bez zmian, lekcje, kieliszeczek w barze z Valentínem, towarzyszenie mu w jego wyprawach, współpraca z Falangą, tak żeby nikt w miasteczku nie wątpił, że jestem stuprocentowym faszystą.

Moje pierwsze zadanie to holenderscy Żydzi, którzy uciekali z nazistowskiej Europy. A później trzech mężczyzn, którzy uciekali przed reżimem frankistowskim na północ, w drodze do innego horroru, i spędzili całą niedzielę

na strychu, aż się zrobiło ciemno. Jeszcze później grupa sześciu osób, które przekroczyły granicę parę godzin temu, w górach. Dwójka z nich okazała się brytyjskimi lotnikami. Wszyscy oni byli twardzi, lakoniczni, znali reguły gry, bo już od dawna żyli w zagrożeniu. Słyszałem, że we Francji ich bezpieczeństwo też stało pod znakiem zapytania, bo jeśli ich złapią, rząd z Vichy natychmiast ich wyda nazistom. Jedynym miejscem, gdzie można liczyć na prawdziwy odpoczynek, są takie wyspy – używali określenia wyspa – jak moja szkoła, miejsca, w których nikt ich nie znajdzie, bo nikt nie wie, że istnieją.

– Skąd wiecie, że na górze jest strych?

– Nie zadawaj pytań.

– Skąd mam wiedzieć, czy mówisz prawdę? A jeśli jesteś agentem Valentína Targi?

– Tej nocy będą zamieszki w Sort. To mój dowód na to, że nie kłamię.

– Jakie zamieszki?

– Pamiętasz ten most, który wysadziliśmy w powietrze jesienią, od strony Isil?

– Tak. To twoja sprawka?

– Znasz most na drodze do Rialb?

– W Sort, tak.

– Bum.

– Ach.

– Nie zapomnij jutro oburzyć się na widok zniszczenia. Żeby Targa miał do ciebie pełne zaufanie. Niech cię kocha, niech ci się dobiega do tyłka, jeśli trzeba. Ale niech ci o wszystkim mówi. Dopóki go nie załatwimy. Jesteś nam to winien.

– Mogę spróbować jeszcze raz.

– Siedź spokojnie i miej go na oku. – Powtórzył po chwili milczenia. – I wyciągnij z niego jak najwięcej informacji, dopóki jeszcze żyje.

Ryzykowanie życia, córeczko, nie jest wcale takie trudne: kiedy już wiesz, że najgorsze, co ci się może przytrafić, to jego utrata, strach nie znika, ale zostaje na drugim planie. Coś podobnego powiedziała mi twoja matka, zanim ode mnie odeszła. Przez parę dni żyłem dumny ze swojej nowej rzeczywistości wewnętrznej: powoli przestawałem być tchórzem. Gorszy, trudniejszy niż ryzykowanie życia jest lęk przed bólem, przed torturami. Ale jest jeszcze coś, co najbardziej mnie boli: że muszę pozostać zdeklarowanym faszystą w ludzkich oczach. Dwa dni po tej wizycie przysięgałem Valentínowi Tardze, że załatwię wszystkich partyzantów świata, i dopominałem się o mundur Falangi. Valentí bardzo przeżywał udaną akcję partyzantów: przed samym nosem wojska wysadzili w powietrze most w Hostal Nou, na dawnej drodze do Rialb. Nigdy partyzanci nie działali tak daleko na południe, a to rozwścieczyło

wojskowych i rykoszetem odbiło się również na falangistach. Od tego dnia Valentí bezdyskusyjnie uważał mnie za jednego ze swoich, a na dodatek następnego dnia zrobili mi oficjalne zdjęcie w mundurze. Teraz rozumiem, że okrutniejsze, niż uchodzenie za faszystę w oczach całego miasteczka, jest uchodzenie za faszystę w twoich oczach, moja córko. I w twoich, Roso.

– Ze względów bezpieczeństwa. Kiedy wszystko minie, będzie można udzielać wyjaśnień.

– Ale to moja żona.

– Nie. Niemożliwe. Na dodatek nie mieszkanie razem.

– Jeśli tak, odmawiam współpracy z wami.

Wtedy mężczyzna wyciągnął pistolet i powiedział obojętnym głosem w takim razie mam rozkaz, żeby cię od razu zlikwidować.

– Robisz z mojego życia piekło.

– Pomyśl o piekle, w jakim żyje Ventura, na przykład. Albo Tònia z domu Misseret. Albo o rodzinach tysięcy żołnierzy, którzy teraz walczą w partyzantce. Pomyśl o tym.

Broniłem się, argumentując, że wojna skończyła się parę lat temu, na co mi odpowiedział, że Europa stanęła w płomieniach, naziści jeszcze nie zostali pokonani i tu też wiele osób nadal walczy. Jaka jest twoja decyzja? Oriol nie odzywał się przez dobry kwadrans, udając, że poprawia zadania domowe, a ciemny mężczyzna, nieruchomy, obserwował go z kąta, który krył go przed wzrokiem ewentualnych ciekawskich. Oriol celebrował w głowie coś w rodzaju Pasji z Drogą Krzyżową i Ukrzyżowaniem, i modlił się Ojczy, oddał ode mnie ten kielich, i wołał Eli, Eli, lema sabachthani, a nieznajomy, siedząc w kucki tuż obok, grał w kości o jego szatę, obserwował jego agonię i czekał na decyzję.

Kiedy im odpowiedziałem, że akceptuję propozycję, zrobiłem to, ponieważ nie miałem innego wyjścia, a nawet w głębi duszy poważnie rozważałem możliwość, żeby go później zadenuncjować. Ale coś w rodzaju wstydu, chęć zachowania resztek godności sprawiły, że byłem szczerzy, mówiąc zgoda, zgadzam się, ale nie mogę tak żyć, jeśli nie powiem o tym mojej żonie.

– Postaramy się znaleźć jakiś sposób – wykręcił się niezobowiązująco, po czym dodał energicznie: – Dziękuję, towarzyszu.

– Nie mów do mnie towarzyszu. Wszyscy mnie tak nazywają. Dla falangistów jestem towarzyszem, mimo że oficjalnie do nich nie należę; w gazecie moje zdjęcie podpisano towarzysz Fontelles. Nie chcę, żebyście mnie nazywali towarzyszem. Nazywam się Oriol Fontelles.

– Dobrze, dobrze. Ja się nazywam porucznik Marcó.

Tak więc, córeczko, od kilku tygodni duża część komunikacji w tę i w tamtą stronę granicy przechodzi przez moje ręce.

Wstąpiłem do Falangi, Valentí traktuje mnie jak równego sobie i mówi, że

jest ze mnie dumny, a ja tymczasem przygotowuję ostrożnie nową datę jego egzekucji. Naprawdę jestem z siebie dumny i ze wszystkiego, co przeżywam, ukrywając głęboko lęk. Wiem, że pisząc do ciebie ten list, przekraczam wszelkie zasady i rozkazy, jakie otrzymałem. Ale nie chciałbym, gdyby mnie zabili, żebyś ty uważała mnie za tchórze. Przeczytasz to tylko w przypadku mojej śmierci, o ile twoja matka będzie potrafiła sobie przypomnieć naszą tajemną skrytkę, w której obiecałem jej któregoś dnia ukryć skarb. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, córeczko, ja sam, jeśli mi pozwolisz, opowiem ci, tobie i Rosie, jeśli zechce mnie wysłuchać, prawdziwą historię o tym, jak tu igraliśmy ze śmiercią.

Kiedy powiedziałem, że się zgadzam, dodałem, że pomoże mi dotrzymać słowa myśl, że mały Ventura mógłby być moim uczniem albo nawet synem. Mężczyzna z brodą i spojrzeniem twardym jak węgiel, sprawdzwszy uprzednio, czy nikogo nie ma na Rynku, podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu. Dopiero wtedy się zorientowałem, że te spracowane ręce należały do wieśniaka, nie do regularnego żołnierza.

– Dobry pomysł – powiedział. I dodał: – Mnie pomaga wytrwać w walce świadomość, że na nieszczęście dla mnie i dla mojej żony mały Ventura był moim najstarszym synem.

Zniknął tak samo bezszelestnie, jak się pojawił, jakby pochłonęła go ciemność. A ja w tym momencie poczułem, że nigdy nie zdradzę sprawy, i stałem się partyzantem z prawdziwego zdarzenia, niewidzialnym; nadal chodziłem na kieliszek anyżówki z Valentínem i rozumiałem, jakie to dziwne uczucie, kiedy się kocha kogoś, kto cię nienawidzi, Roso... I inne sprawy, których być może nigdy nie zrozumiesz, córeczko, ale o których pewnie ci opowiem. A może nie.

Następnego dnia dowiedziałem się, że tamtej nocy duży oddział partyzantów wysadził w powietrze most w Hostal Nou. To był dowód obiecany mi przez Venturę, a generał Yuste z wściekłości o mało nie dostał zawału. Nikt w tym dniu nie zawracał sobie głowy sesją malarską.

Niech cię nie dziwią te szkolne zeszyty. To jedyny papier, jaki miałem pod ręką. To są zeszyty przeznaczone dla Cèlii Esplandiu, jednej z sióstr Joana Ventury z domu Ventura, która po feriach świątecznych już nie wróciła do szkoły i która mnie śmiertelnie nienawidzi.

Oriol zgasił światło w klasie i po ciemku odsunął tablicę, żeby schować zeszyty małej Ventury w pudełku po cygarach. W tym pudełku została zamknięta prawda o jego życiu.

– Mertxe Centelles-Anglesola i Erill.

– Co?

– To: Mertxe Centelles-Anglesola i Erill.

Marcel usiadł w fotelu ze szklaneczką whisky. Zastanawiał się, z czym mu się kojarzy to nazwisko. W ogromnym salonie mieszkania w dzielnicy Pedralbes, w którym faktycznie mieszkał, od kiedy zapisał się na pierwszy rok prawa, z wyjątkiem pobytów w Torenii, nagle wszystko umilkło i słychać było tylko tik-tak ściennego zegara, który miał szlachetniejszy dźwięk, bardziej egzotyczną obudowę i solidniejszy mechanizm niż zegar ścienny w domu Gravat w Torenii. Tik-tak bardzo stateczne, ponieważ czas na tak dostojnym zegarze z natury rzeczy płynął wolniej.

– Kto to taki?

– Najmłodsza córka państwa Centelles-Anglesola. Tych, którzy mają dom w Viladrau, obok państwa Dilmésów.

– Ach tak. Mówiłaś, że kiedy przyjdzie?

– Dziś po południu.

– Pozdrów ją ode mnie. Nie mogę zostać.

– Nie. Musisz zostać.

– Mamo, przecież ci mówiłem, że nie mogę!

Pani Elisenda wstała i podeszła do balkonu. Po cichu, patrząc przed siebie na Barcelonę, na odległe domy i na ludzi wielkości łebka od szpilki, którzy przechodzili, niosąc na ramionach swoje życie, powtórzyła zmęczonym głosem ty masz tu być i masz się nią zająć.

Marcel pociągnął łyk whisky. Nigdy, w całym jego życiu, nie przyszło mu do głowy, że mógłby się sprzeciwić życzeniom matki. W każdym razie nie wprost. Pozostawało stosowanie różnych wybiegów, żeby osiągnąć swój cel. Ale czasem nawet one zawodziły. Tym razem wybrał ucieczkę do przodu.

– Masz zamiar mnie z nią ożenić? – W kolejnym łyku alkoholu utopił cały sarkazm, na jaki go było stać.

Elisenda odwróciła się do syna. Powolne tik-tak zegara. Zaskakujący w tej eleganckiej, spokojnej ulicy krzyk tragarza. Żałosny jęk karetki pogotowia gdzieś w oddali, wiozącej czyjąś wiszącą na włosku egzystencję. W perspektywie, niczym scenografia teatralna, pulsujące życiem miasto.

– Chcę, żebyście się poznali.

– Mam narzeczoną.

– Doprawdy? – umiejętnie zabarwiła ironią swoje słowa. – Co za nowina.

Jeszcze przed obiadem Marcel przyznał się mamie, że nie, że tak naprawdę nie ma narzeczonej, że to tylko jego dziewczyna.

– Masz wiele dziewczyn.

– Co w tym złego?

– Nic. Ale przychodzi taki moment, kiedy trzeba jeden akapit zakończyć kropką i zacząć od nowej linii. Nie możesz udawać nastolatka przez całe życie. Masz już dwadzieścia sześć lat.

– Niecałe.

– Dwa lata temu skończyłeś studia. Najwyższy czas zacząć żyć na poważnie.

Dało się to przewidzieć. Wszystko w życiu ma swój kres i Marcel wiedział, że dla niego zabawa się skończy w dniu, kiedy mama powie czas zacząć żyć na poważnie i wspomni coś o nowym akapicie. Że dość już się zabawiał. Potrzebował kolejnej szklaneczki whisky, żeby się z tym zmierzyć. Która to już: druga? trzecia? Opuścił głowę zrezygnowany. Zastanówmy się nad propozycją mamy. Czwarta.

Zacznianie od nowej linii w rozumieniu pani Elisendy polegało na przedstawieniu synowi panny Mertxe Centelles-Anglesola i Erill, żeby się pobrali, połączyli majątki, dali jej wnuki i żyli bardzo szczęśliwie, i Marcel poczuł się jak król czy delfin, tyle że bez korzyści, jakie daje korona.

– A więc nie mogę się ożenić, z kim chcę, tylko zgodnie z racją stanu.

– No, a z kim ty chcesz się żenić? – Elisenda próbowała zbagatelizować gorycz zawartą w tym pytaniu.

– Nie chcę się żenić. Jestem wystarczająco dorosły, żeby o tym decydować.

– Tak sądzisz?

Między matką i synem zapadło milczenie. Ona przy drzwiach balkonowych, on z pustą szklaneczką w dłoni.

Przez dwadzieścia sześć lat miał aż nadto czasu, żeby się wyszumieć, poznać życie, wszystkiego spróbować i tak dalej. Mama powiedziała jeżeli tego nie robiłeś, to jesteś głupi. A jeśli robiłeś, to powinno ci wystarczyć, teraz najwyższy czas się ustatkować, ożenić i przychodzić codziennie do pracy, do mnie albo do Gasulla. Dość już rozmyślania całymi dniami o ulepszeniach i nowych trasach na czarnym szlaku. Jesteś adwokatem i masz pracować tu, w Barcelonie, w biurze.

Codziennie.

Fantastycznie. Fantastycznie. Wsłuchiwanie się w tik-tak zegara nieco go uspokoiło i nie rzucił jakiejś nieprzemyślanej odpowiedzi, która mogłaby wyrzucić odwrotny skutek. Koniec pewnego etapu. Przez chwilę, kiedy podejmował decyzję, czy na razie dać sobie spokój z whisky, bo dopiero południe, przyszło mu do głowy, że mógłby się zbuntować: nie, precz, dość, ça suffit, skończyło się, koniec kropka, finitto, finish, mamó, odmawiam, jestem wolnym człowiekiem i ożenię się, kiedy będę chciał i z kim będę chciał. A do

pracy zacznę chodzić, jak mi się zechce. Do tego nie można zmuszać. Jakże piękny jest bunt, Che i te sprawy. Ale zanim otworzył usta, by wypowiedzieć pierwsze nie, anioł zdrowego rozsądku pomachał mu transparentem, na którym były po oczach wypisane dużymi literami bezpośrednie konsekwencje równie doniosłego czynu i poczuł się tak zmęczony życiem, że postanowił poczekać do wieczora, a nuż ta cała Mertxe ma coś, co. No nie?

Spodobała mu się od pierwszego wejrzenia. Ładna, bystra, zgrabna, olśniewająca, sympatyczna, dyskretna, bardzo ładna, żywiołowa, anioł nie kobieta, ta Mertxe to jedna z tych, dla których można by popełnić szaleństwo, jaki ma miły głos, jaka elegancka, chociaż po hiszpańsku mówi przez nos i trochę pretensjonalnie. Beatrycze. Laura. Teresa.

Marcel nigdy się nie dowiedział, pod jakim pretekstem Mertxe przyszła sama do ich domu. Nie było mu to do niczego potrzebne, bo od razu wzbudziła w nim entuzjazm, więc nie miał głowy do jakichś pretekstów. Zaprosił ją do kina, zaproponował, żeby zabrała narty i przyjechała na weekend do Toreny, nie mów mi, że nie lubisz jeździć na nartach!! Przez moment cały plan mógł spalić na panewce, jakby mama mu dostarczyła wadliwy towar: widzę, że jesteś opalona i pomyślałem, że. Nie? Mama się nie odezwała, a Mertxe Centelles-Anglesola i Erill sama musiała się tłumaczyć, że nie, że to na plaży, grudzień spędziłam na Wyspach Kanaryjskich, a mnie słońce natychmiast chwyta. Co za szczęście, powiedziała mama, starając się uratować sytuację. Chwilowy kryzys został zażegnany, ponieważ on powiedział, że między jednym czarnym szlakiem a drugim zagładnie na ośłą łączkę i pomoże jej oswoić się z nartami, i tak dalej.

– Niech Quique się tym zajmie, to jego praca.

– Nie, nie ma mowy.

To kategoryczne nie, nie ma mowy Marcela uświadomiło pani Elisendzie dwie rzeczy. Po pierwsze, jeżeli Marcel nie ufał Quique, to znaczy, że Quique dał mu powód, a przecież spędzają razem całe dni i pewnie rozmawiają o kobietach, jak przypuszczam. Jeżeli Quique nie jest osobą godną zaufania dla takiego hulaki jak Marcel, to trzeba się tym zainteresować. Po drugie, Marcelowi zależy na Mertxe, a to oznacza, że jak zwykle się nie myliła, wybierając Mertxe Centelles-Anglesola i Erill, z rodu Centelles-Anglesola, spokrewnionego z rodem Cardona-Anglesola (przez Anglesolów) i z rodem Erill z Sentmenat, ponieważ matka Mertxe jest córką Eduarda Erilla z Sentmenat, tego z firmy Maderas Africanas, który jest prezesem rady administracyjnej Banku Zachodniego. A on myślał, owszem, mamy problem, ale co za usta, co za oczy. Jaka elegancka.

– Dlaczego nie Quique? – mama drążyła temat.

– Nie jest na zwolnieniu?

– Przecież nie na zawsze.

Ukradkowe spojrzenia i nic nieznaczące gesty wystarczyły pani Elisendzie, żeby się zorientować, że jej syn jest nieprzytomnie zakochany, mimo że Marcel próbował ukryć przed mamą entuzjazm, jaki wzbudziła w nim dziewczyna, a pani Elisenda wykazała zrozumienie i wspaniałomyślnie mu na to pozwoliła. Udawała roztargnienie, wyszła dwa czy trzy razy, żeby zostawić ich samych, wspomniała od niechcenia, że Mertxe ma dwadzieścia dwa lata i że dysponuje mieszkaniem w Paryżu, i zaproponowała, ale tak, żeby wyglądało, jakby propozycja wyszła od Marcela, żeby poszli się przejść, no nie wiem, może do centrum, zobaczyć Ramblę i takie tam, no nie? I wtedy Marcel stwierdził, że nie był na Rambli już chyba z tysiąc lat, i pomyślał co też Mertxe o mnie pomyśli, i ogarnęła go rozpacz, bo po raz pierwszy w życiu poczuł się taki mały przed kobietą inną niż mama, poczuł się bezbronny i chciał się przed nią popisywać, tak jak przed mamą. Elisenda, wbrew wszelkim konwenansom, zaproponowała mimochodem, żeby wybrali się do Paryża na parę dni, a kiedy wrócą, będzie mógł podjąć pracę. Paryż. Olśnienie okazało się tak gwałtowne, że nawet nie pomyślał o Ramonie, która chciała zostać pisarką. Marcel zamiast protestować, że mama znów mu coś narzuca, pomyślał no coś takiego, kilka dni w Paryżu z Mertxe. Osłabła jego czujność, stał się bezbronny. Marcel Vilabré i Vilabré Ramis (z rodów Vilabré-Comelles i Cabestany Roure ze strony ojca, a ze strony matki z rodów Vilabré z Toreny i Ramis, przez Pilar Ramis z Tírvii, tej pół dziwki, pół latawicy, o której lepiej nie wspominać przez szacunek dla biednego Anselma Vilabré) tym razem zakochał się tak, jak należało.

Kiedy zakochani opuścili mieszkanie, udając się w kierunku Rambli czy gdziekolwiek ich miały ponieść skrzydła euforii, pani Elisenda wykonała telefon do Ministerstwa Przemysłu, do samego ministra, bo tylko on był kompetentny w sprawie, którą chciała załatwić. Chodziło o import tej przeklętej maszyneryi do produkcji piłek, bo nie mam zamiaru kupować gotowych za podwójną cenę. Jeśli już, wolałabym sama sprzedawać innym producentom. Chcę robić piłki, Enrique. Pamiętaj, czekam na wiadomość. Ach, dziś będę na kolacji w Madrycie. Z kim? Z Fontaną. I odłożyła słuchawkę, zanim jeszcze z twarzy ministra zniknął uśmiech, wywołany wspomnieniem uroczego popołudnia spędzonego w towarzystwie pani Vilabré owianej zapachem sam nie wiem jakich perfum, wiem tylko, że człowiekowi od nich w głowie się kręciło, i ogarnęła go zazdrość o tego pieprzonego Fontaną. Elisenda poinformowała Gasulla o swoim zamiarze, a mając w zapasie parę godzin, uprzedziła Jacinta, że samochód ma być gotowy w każdej chwili. Zdjęła łańcuszek z szyi, ucałowała i schowała do szkatułki z kości słoniowej. Przez moment zatęskniła za Bibianą, ale szybko wyrzuciła ją z głowy, bo żywi nie mogą być ciągle do dyspozycji swoich zmarłych. Bardzo dobrze, Jacinto,

świetnie się spisałeś.

Ale podczas jazdy do centrum nie skierowała żadnego komentarza w stronę jego karku. Żadnego. Ani mru-mru. Jeśli nie wydawała rozkazów, to znaczyło, że o czymś myśli, o tak. Jeśli rozmyślała, to miała o czym. Jeśli miała o czym, to znaczy, że miała problem. Ja chciałbym rozwiązać wszystkie jej problemy, ale mi nie pozwala. Pozwala mi działać, tylko kiedy trzeba sprzątać rzygowiny tego jej głupiego synalka. Tylko wtedy. A ja oddałbym życie za. A ja oddałem życie dla. A ja.

– Zatrzymaj się tu, Jacinto.

Na środku placu Catalunya. To znaczy, że nie chce, żebym wiedział, dokąd się wybiera.

– Wróć tu po mnie za godzinę. Nie, za dwie.

Teraz złapie taksówkę i pojedzie do garsoniery tego skurwysyna Quique Esteve.

– Tak, proszę pani.

Quique zadaje się z facetami. I z kobietami. Ze wszystkim, co się rusza. Czy pani o tym wie, proszę pani?

Pani Elisenda wysiadła z samochodu i delikatnie zamknęła drzwi. Poczekwała, aż Jacinto zniknie z horyzontu i wtedy zatrzymała taksówkę, i powiedziała do garsoniery tego skurwysyna Quique Esteve, tylko szybko.

– Co za niespodzianka. – Wpuścił ją do środka. – Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się ciebie.

– Miałam coś do załatwienia w Barcelonie i pomyślałam.

– Bardzo dobrze. Ale gdybyś mnie nie zastała?

– A gdybym cię zastała z inną?

Quique delikatnie zamknął drzwi i wyprowadził ją z przedpokoju.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Z różnych powodów. Po pierwsze, już od trzynastu lat byli kochankami i o ile na początku pani traktowała go jak zwykły instrument, na którym mogła wyładować gniew na cały świat, z czasem zaczęło jej się to podobać i wytrzymywała bez niego najwyżej parę tygodni po jakiejś wyjątkowo żarliwej spowiedzi, za każdym razem w innym kościele, zawsze u nieznanomych księży, i nie dlatego, że chciała walczyć z grzechem, ale po to, by nieco poskromić swoją słabość, nie może tak być, żeby jakiś ładny chłopiec, taki jak Quique. Nie może tak być. Ale tak było. Po drugie, miała ponad dwadzieścia lat więcej niż on, co na początku może i wydawało się zabawne, ale teraz już coraz mniej, bo ja się starzeję, a on ciągle jest uśmiechniętym mężczyzną bez siwych włosów. Po trzecie, do niedawna, dopóki w jej domu nie pojawiła się Mertxe, żyła jak pod kloszem przekonana, że rekompensata finansowa, jaką od niej otrzymywał,

okazywała się wystarczającą gwarancją wierności; poza tym on był gotów na każde jej wezwanie. Po czwarte, kiedy sobie uświadomiła, że przyszedł czas ożenić syna, zostać babcią, poczuła własną śmieszność i zrozumiała, że istnieją racjonalne powody do zazdrości o Quique. Po piąte, to wszystko jest bardzo skomplikowane: skąd ta zazdrość o Quique, skoro go nie kochała; wiedziała też, że z jego strony to żadna miłość, tylko posłuszeństwo. Rzadkie przejawy czułości, jakie między sobą wymienili w ciągu tych trzynastu lat, tylko to potwierdzały. Po szóste, chociaż się nie kochali, w umowie zastrzegła sobie wyłączność. I po siódme, ponieważ wiedziała, że gdyby zrewidowała mieszkanie, znalazłaby w nim parę kochanek i nie miała ochoty przejść przez to upokorzenie.

– Chcesz przeszukać mieszkanie? Co? Chcesz sprawdzić, ile w nim ukrywam kobiet? Co?

– Tak.

– To na co czekasz.

Tonem, który próbował zatuszować niesmak, nie wiadomo szczery czy nie, Quique oświadczył nigdy nie przypuszczałem, że masz do mnie tak mało zaufania. Otworzył ramiona, obejmując nimi całe mieszkanie, i powiedział jest do twojej dyspozycji.

Pani Elisenda Vilabré i Ramis, która wieczorem miała jeść kolację z ministrem Fontaną, żeby mu przypomnieć, że oczekuje natychmiastowej odpowiedzi monsiniora Escrivy de Balaguera w sprawie procesu beatyfikacyjnego; która przyjmowała obojętnie dobre wychowanie i dyskretne lizusostwo ministra, bo musiała go upomnieć, by odświeżył pamięć monsiniorowi Escrivie, gdyby tamten już zapomniał, że jej stryj, ksiądz August Vilabré, mimo że biedaczek jest słabego zdrowia, jeszcze żyje i parę dni temu uświadomił jej, że to dzięki niemu monsinior Escrivá mógł otrzymać prałaturę personalną, bo papież Paweł raczej nieufnie podchodził do monsiniora; która zamierzała zasugerować ministrowi Fontanie konieczność zmiany gubernatora cywilnego w Lleidzie, bo to człowiek, któremu brak ogłady, wykształcenia i na dodatek robi mi na złość, kiedy tylko może, na przykład gdy chciałam poszerzyć trasy, do czego mam pełne prawo (w tym momencie minister Fontana otworzy swój kalendarzyk i drobnym maczkiem coś zanotuje, żeby nie zapomnieć, bo nie wypada zawieść tej wielkiej damy. I żeby udowodnić, że jest po jej stronie, odchrząknie i powie wszyscy wiemy, co z niego za ptaszek, z tego Garcíi Ponce. Zapewniam panią, że się tym zainteresuję); która po kolacji z ministrem Fontaną jest umówiona w apartamencie hotelu z braćmi Garrigues, gdzie mają przedyskutować, co zrobić, żeby nie płacić cła za trzy tony wyrobów sportowych, z którymi chciała wejść na rynki Meksyku, Kolumbii, Kostaryki i Chile; która najprawdopodobniej jutro, zanim zamknie się niczym w klasztorze w domu Gravat, spotka się jeszcze z ambasadorem Argentyny i będzie go

przekonywać, aby w Ameryce Łacińskiej nadał najwyższej jakości rakiecie Brusport Champion nazwę Guillermo Vilas, nie płacąc za to ani grosza argentyńskiemu skarbowi państwa, za co miał otrzymać, w ramach rekompensaty, pewną kwotę, którą wasza ekscelencja i ja możemy od razu wynegocjować, tak żeby obie strony były zadowolone (a gdyby ambasador się wahał, powie mu, że skoro tak, to rakietę będzie się nazywać Falkland, a wtedy prowizja przejdzie mu koło nosa), ta właśnie Elisenda Vilabru i Ramis zrobiła krok w stronę jadalni w małym mieszkanku Quique, które sama sfinansowała, a serce waliło jej bum-bum i myślała jeżeli znajdę tu kogoś, będę płakać, ale jestem gotowa wyciągnąć wszystkie kochanki, jakie trzyma w szafach.

– Proszę bardzo – dodał Quique tym samym obrażonym tonem, idąc do kuchni. – W czasie, gdy będziesz sprawdzać pod łózkami, ja przygotuję kawę.

Elisenda, sekretna kochanka, rozejrzała się wokół siebie. Żadnych poszlak. Poczuli się fatalnie, ale musiała odegrać ten spektakl do końca. Żadnych poszlak. Sześć pucharów, dwa za slalom, jeden za supergigant w Sestriere i kolejny za zjazd w zawodach międzynarodowych w Tuca Negra, w których Quique ryzykował życie, rywalizując z samym Magnusem Enqvistem, i zdołał wyrwać mu osiem centymetrów złota tylko dlatego, że lepiej znał teren, śnieg i klimat, jako że jeśli tylko nie jechał do Barcelony na dziwki, szusował na trasie jak wariat. Zamiast pójść do sypialni, zajrzał pod łóżko i wypłoszył stamtąd Mamen, tę dziwkę, siadła na sofie, przed kieliszkami. Quique wyszedł z kuchni. Wycierał ręce ścierką wątpliwej czystości.

– Już wszystko sprawdziłaś? Łóżka? Szafy? Zadowolona?

Unikała jego wzroku. Odruchowo wyciągnęła papierosa ze stojącej na szafce skórzanej kasetki, którą mu kiedyś podarowała po pamiętnej nocy pięciu orgazmów, raz za razem. Dopiero za dziesięć lat Elisenda zostanie zagorzałą przeciwniczką palenia. Quique siadł obok niej i położył rękę na ramieniu, delikatnie, w geście, o którym przez tyle lat marzyli adwokat Gasull, Jacinto Mas i paru ministrów. Elisenda ciągle przesywała wzrokiem ścianę przed sobą.

– O co ci chodzi? – spytał uwodzicielskim tonem. – Dlaczego się tak ze mną droczysz?

– Bo nie wiem, jak sprawdzić, czy jesteś mi wierny. – Teraz pani Elisenda się obnażała, zawstydzona, błagając o wierność przystojnego instruktora.

– Moje słowo się nie liczy?

– Nie. Prawdę mówiąc nie.

– Więc dowiedz się, że jestem twoim lojalnym kochankiem od stóp do głów. Po co miałbym cię oszukiwać?

Zamilkli. W kuchni ekspres do kawy zaczął protestować, jakby się nie zgadzał z oświadczeniem lojalnego kochanka. Wtedy Quique zrozumiał, że

musi jakoś wybrnąć z sytuacji. Powiedział, zaraz cię przekonam, że jestem ci wierny, jestem twoim lojalnym kochankiem. Chwycił jaśnie panią i uniósł ją z kontrolowaną brutalnością. Ściągnął z niej żakiet i zerwał bluzkę, podczas gdy ona odpinała haftki spódnicy.

Mamen Vélez de Tena (żona Ricarda Teny, właściciela firmy Tena Eksport-Import Sp. z o.o.), z którą Elisendę Vilabru, trzy lata od niej młodszą, łączyła przyjaźń sprowadzająca się do wzajemnych zwierzeń, podglądała przestraszona przez szparę w drzwiach, jak Quique, chłop na schwał, pozwalał, by ekspres w kuchni charczał, a on tymczasem ścigał spódnicę tej dziwki Vilabru i odrzucał za siebie z dobrze jej znaną, przyprawiającą o dreszcz dzikością; rozebrał się w mgnieniu oka i delikatnie przewrócił ją na sofę. Zwróciła uwagę, że ten lubieżnik, lojalny kochanek, specjalnie tak się ustawił, żeby ona, ukryta za przymkniętymi drzwiami, mogła wszystko widzieć, i wreszcie Dawid Michała Anioła dosiadł tej gorącej, pięćdziesięciopięcioletniej wdowy; nigdy by nie przypuszczała, że Vilabru zadawała się z taką bestią jak Quique, nigdy. Im świętsze, tym większe dziwki. Zawsze myślała, że Elisenda jest ponad to, a tu proszę, przychodzi i pieprzy się jak gdyby nigdy nic z Quique i kto wie z kim jeszcze, jak jakaś pierwsza lepsza... Mamen Vélez de Tena poczuła się podniecona, bardzo podekscytowana tym spektaklem, a przede wszystkim sekretem, który udało jej się wyrwać przeznaczeniu, co za dziwka, ta Vilabru, jak to się rozejdzie, wybuchnie prawdziwy skandal. A jak się stara. Takie niewiniątko, a proszę, jak dyszy. Ma bardzo ładne nogi, jak na nasz wiek, trzeba jej oddać sprawiedliwość. Co za tyłek ma Quique, o mój Boże, o Panie. Dawid. Apollo. Narcyz.

Quique, lojalny kochanek, sprawił, że pani Elisenda odpłynęła daleko, tak daleko, że kiedy skończyli, siedziała jeszcze jakiś czas naga na sofie, patrzyła przez okno i myśląc o czymś jeszcze bardziej odległym, spokojnie paliła papierosa, a tymczasem Quique wszedł do drugiego pokoju, nie wiem po co, a kiedy zgasła niedopałek w popielniczce, spojrzała w stronę sypialni i zachrypniętym głosem zawołała masz mi natychmiast kupić nową bluzkę. Quique? Słyszysz mnie? Muszę zdążyć na samolot.

Z kuchni dochodził lepki, smętny zapach przypalanej, wygotowanej kawy.

– Marc. Już możesz rzucić butelkę.

Otoczyło ją siedemnaścioro dzieci z drugiej klasy, jeszcze przed chwilą zajętych wyciąganiem otoczków z wody. Były gotowe do zdjęcia, które miało poprzedzać ceremonię wrzucenia butelki z wiadomością. Przy odrobinie szczęścia wiadomość powinna dotrzeć do uczniów klasy drugiej ze szkoły w Ribera de Montardit, trzy kilometry dalej. To jedno z wielu zadań, mające na celu wzbudzenie zainteresowania rzeką i jej otoczeniem. Jasny, zimowy dzień nie zachęcał do szybkiego powrotu do laboratorium, by przystąpić do wywoływania negatywów, ani do szkoły, sprzyjał natomiast myśleniu, myśleniu, obsesyjnemu myśleniu, w kółko o tym samym. Rozważała ewentualność wynajęcia detektywa, żeby odkrył tożsamość kobiety, która skradła jej spokój, tak samo jak wynajęła panią doktor Cuadrat, by przeprowadziła dochodzenie w sprawie tożsamości guza, który co jakiś czas zadawał jej bolesne ukłucia. Dwa równoległe dochodzenia w tym samym czasie. Czy jeszcze kiedyś będzie szczęśliwa?

– Już możesz rzucić butelkę. Ostrożnie.

Marc Bringué, wybrany nie dlatego, że należał do najlepszych z najlepszych, ale dlatego, że w dzienniku miał numer dwunasty, prawnuk Joana Bringué z domu Felicó z Toreny, tego, który nosił numer trzeci na czarnej liście Valentína Targi, czyli na sekretnej czarnej liście pani Elisendy, pocałował plastikową butelkę (tak mu podpowiedział Pep Pujol) i rzucił ją w nurt Noguery. Wszyscy z ulgą przyglądali się, jak butelka omija wiry przybrzeżne i posłusznie płynie środkiem strumienia w dół, tak dziarsko, jakby się jej spieszyło, by jak najszybciej dotrzeć do morza, pokonując tę samą trasę co martwe ciało Morrota, z dokumentami w kieszeni na piersi, zabezpieczonymi w metalowym pudełku. Dokumenty przeznaczone dla władz zawierały ważną informację, że oddziały partyzanckie wycofują się z doliny Sort i z dolin Àssua, Ferrera, Cardós i Àneu na zgrupowanie w okolicy Figueres, istotny dla wojska sygnał potwierdzający, że się szykuje to, co miało otrzymać nazwę Wielkiej Operacji, ale że jej centrum będzie gdzie indziej.

– Mówi Tina Bros, tak. Butelka właśnie stąd wypłynęła. Pokonanie trasy powinno jej zająć jakieś pół godziny.

– Jak ją tam wyłowią? Ej, pani Tino! Jak ją wyłowią?

– Siatką na motyle – odpowiedział Pep Pujol, który wszystko wie najlepiej.

Zrobili to bosakiem do łamania lodu, takim z długim trzonkiem, kiedy podpłynął do brzegu, nieświadomy swojego przeznaczenia. Odwrócili go twarzą

do góry, żeby sprawdzić, czy go znają, i spojrzeli po sobie.

– Nie wiem, kto to taki. To nikt z tutejszych.

– Zmarł już jakiś czas temu.

– Powinniśmy zawiadomić żandarmerię.

– Tylko nam napyta kłopotów. Zaczna tu węszyć...

– Nie możemy go tak zostawić.

– Bo co? Życia mu nie przywrócisz. – Trącił go łokciem i dał znak, żeby szedł za nim do wozu. – No, szybko, zanim ktoś nas zobaczy.

Młodszy z nich, ten ostrożniejszy, ze strachem i z oporami, bosakiem zepchnął martwe ciało Morrota na środek strumienia, żeby sobie płynął dalej, aż zostanie wyłowiony przez patrol żandarmerii w Riberze, prawdziwym miejscu przeznaczenia. Młody wszedł do samochodu i obaj mężczyźni powstrzymali się od opowiadania o tym makabrycznym odkryciu komukolwiek, nawet żonom, bo czasy nie sprzyjały zwierzeniom. Faktycznie, patrol żandarmerii odnalazł ciało Morrota, faktycznie wyciągnął je z wody, faktycznie je zrewidował i odkrył metalowe pudełko, które żandarmi natychmiast otworzyli, chcąc się popisać przed zwierzchnikami, i rozwinęli papier, a ten niższy, niecierpliwy, przeczytał głośno, żeby go wszyscy słyszeli, kamienie, otoczaki, brzany i pstrągi: – Cześć, koledzy z drugiej klasy ze szkoły w Ribera de Montardit. Ta wiadomość ma potwierdzić, że jeżeli będziemy płynąć w dół rzeki, dotrzemy do morza. Na mapie widzieliśmy, że musielibyśmy przepłynąć przez wiele miejscowości takich jak wasza, pokonać tamy i wpłynąć do rzeki Segre na wysokości Camarasy, a potem dotarlibyśmy do Ebro w Mequinensie. I stamtąd prosto do morza. Po Wielkanocy wybieramy się na trzydniową wycieczkę do delty Ebro. A wy?

Żandarm z ciemnymi włosami włożył z powrotem papier do metalowego pudełka, schował je do kieszeni szynela i wymamrotał pod nosem o tym musi się dowiedzieć sierżant.

– Co z nim? – Zapytał o topielca.

– Zaraz zgłosimy, żeby po niego przyjechali. – Popukał palcem w metalowe pudełko. – Moje odkrycie będzie bardzo ważne.

– Ale zwłoki ja zauważyłem.

– Odnotuję to w raporcie – zgodził się wspaniałomyślnie. I przez moment zobaczył oczyma wyobraźni jakże zasłużone belki kaprala na swoim mundurze.

– Miño, Duero, Tag, Gwadiana, Gwadalkiwir, Ebro, Júcar i Segura.

– Bardzo dobrze. Teraz ty, Heleno. Co to za rzeka?

– Gwadiana.

– Bardzo dobrze. A ta, Jaume?

– Tag.

- A dlaczego nie mówimy o Noguera? – odezwał się jakiś głos z tyłu klasy.
- Albo o Pamano – upomniał się Jaume Serrallac.
- Bo to mała rzeka.
- Mój ojciec mówi, że Noguera jest większa niż Miño, Xúquer i Segura.
- Twój ojciec ma rację.
- Nie, nie ma. Pamano jest większa. I można w niej łowić ryby.
- A gdzie jest Noguera?
- Tu. Widzicie, to jest Segre. To będzie Noguera. A tu jest Torena.
- Gdzie, gdzie?

Pomimo całego horroru godziny lekcji są jak spokojna wyspa na groźnym morzu. Zdjęcia Franco i José Antonia na ścianie, obowiązkowo mapa Hiszpanii, ponure spojrzenie pana Valentína, który, mam wrażenie, przechadza się przed szkołą częściej niż zwykle, jakby chciał mieć mnie na oku, jakby doskonale wiedział, co zrobiłem w dniu, kiedy prowadził swojego Pączuszka pod ramię. Mówi się, że może nawet przyślą drugiego nauczyciela, żeby się nam lepiej pracowało. Bardzo mi przykro, że obie dziewczynki z domu Ventura nie wróciły do szkoły. A ja nie mogę iść do Ventury matki, żeby jej powiedzieć byłem tchórzem, kiedy zabili twojego syna, ale teraz próbuję to odpokutować, a jeśli mi nie wierzysz, zapytaj męża, którego nigdy nie widzisz, bo się ukrywa w lesie. Przynajmniej dzieci patrzą na mnie bez nienawiści. Pewnie niektóre ze strachu, jak Jaumet, chłopiec, który może daleko zajść, jeśli będzie się uczył. To syn Serrallaca, tego kamieniarza, który jest anarchistą marzycielem, wolnym strzelcem, ale o dziwo pan Valentí nie bierze go pod uwagę w swoich planach zemsty. Wiesz, córeczko? Dziś zacząłem przygotowywać grunt pod coś, nie wiem jeszcze dokładnie, co to będzie, ale dowiem się w stosownym czasie. Tej nocy nie spałem, ponieważ poszedłem z oddziałem nad rzekę, w pobliżu Rialb, żeby podrzucić zwłoki z fałszywymi dokumentami. Trudno mi się nauczyć tak panować nad uczuciami jak niektórzy poznani teraz ludzie. Dowódca oddziału był bratem zmarłego, którego nieśliśmy. Chociaż pochodzili z Galicji, nazywali zmarłego Morrot. Zmarł z powodu gangreny niezaleczonej rany. Ani przez moment nie widziałem łez na twarzy jego brata, nawet wtedy, gdy porzuciliśmy ciało w lodowatej rzece i modliliśmy się, każdy na swój sposób, żeby go znaleźli w Sort albo jeszcze dalej, by okrutny pogrzeb żołnierza nie poszedł na marne. Oddział, wracając do bazy, spędził cały dzień w szkole na strychu, czekając, aż się ściemni, żeby ruszyć w dalszą drogę. Napawa mnie głębokim, tellurycznym lękiem świadomość, że na strychu ukrywa się dwóch, trzech, a czasem nawet dwudziestu ludzi, podczas gdy na dole wyjaśniam dzieciom, czym jest przydawka przymiotnikowa. Jeszcze bardziej się boję, kiedy widzę Valentína Targę czy jego ludzi przechadzających się po miasteczku lub wpatrujących się z daleka w okna szkoły, jakby podejrzewali, że prowadzę podwójną grę. Wiesz co? Piszę, żeby się nie bać. I

żeby opanować rozsadzający mnie od środka niepokój: bardziej niż na życiu zależy mi na opowiedzeniu ci o wszystkim, co robię. Abyś mogła mnie zrozumieć, gdy będziesz starsza. Nie chciałbym, żebyś doświadczyła, czym jest wojna, córeczko. No cóż. Gdybym się urodził ponownie, chciałbym być pisarzem i malarzem. Tylko dzięki rysowaniu i pisaniu czuję, że żyję.

Niedawno dwie kolejne noce spędziła u mnie pewna żydowska rodzina, która uciekała z Lyonu w towarzystwie niezwykle mądrego psa imieniem Achille, którego od razu przechrzcilem na Achillesa. Zrównoważeni, dobrze wychowani, milczący. Wszyscy czworo przybyli wyczerpani. Przejście przez góry jest bardzo męczące dla czterdziestoletniego adwokata, nienawykłego do fizycznego wysiłku, i dla trzydziestoparoletniej gospodyni domowej, a przede wszystkim dla dwójki dzieci. Na szczęście dla nich przewodnik, który miał ich przejąć, spóźniał się; to im pozwoliło zregenerować siły. Nasi przewodnicy są tutejszymi przemytnikami, którzy znają góry jak własną kieszeń. Większość przyuczyła się do zawodu na przełęczy Salau. Część jest stąd, część to żabojady. Ale wszyscy są spod jednej sztancy: posepni, milczący, z czujnym spojrzeniem, w średnim wieku, niewiarygodnie odporni fizycznie, zainteresowani głównie zarobkiem czy to za przeprowadzenie lotnika czy dwóch żydowskich dziewczynek z warkoczykami, w razie potrzeby gotowi narażać życie. Wiadomo, że ryzykują, ale nie mam do nich pełnego zaufania, bo koniec końców to zwykli przemytnicy. Tutaj każdy, kto potrafi wyjść w góry poza granice swojej wioski, najprawdopodobniej para się przemytem.

Dwoje dzieci. Zaimponowała mi dyscyplina tych brzdąców, dwóch chłopców w wieku sześciu i siedmiu lat, Yves i Fabrice, jedyne imiona, jakie poznałem, poza imieniem psa, te ich zawsze szeroko otwarte oczy, permanentnie wystraszone i zagubione, bo ciężko im było pojąć, czemu jakiś ludojad chce ich zabić, tak jak w bajkach, i zjeść. A Achilles, lepiej rozumiejący niezbadane tajniki bajkowego życia, całymi dniami natężał słuch i przyglądał się w milczeniu, jak wchodzę na strych z jedzeniem i wynoszę nieczystości. Chociaż miało się wrażenie, że cały czas czuwa, nigdy nie zaszczekał ani nie warknął. Wiedział, że jestem po ich stronie. Czy pies może pojmować, że są ludzie bardziej dzicy niż bestie i że on musi bronić swoich? Achilles zdawał sobie sprawę, że od jego milczenia zależy życie dzieci. Drugiej nocy pies i ja bardzo się zaprzyjaźniliśmy: cała rodzina spała, a my zwiedziliśmy dokładnie szkołę, wystawiliśmy nosy przez okno i zaczęliśmy się sobie zwierzać. Mówiłem mu o tobie, a on merdał ogonem. Powiedziałem, że jeszcze nie masz imienia, i merdał ogonem z jeszcze większym entuzjazmem, jakby je znał... W każdym razie lizał mi ręce i twarz, chyba mnie rozumiał. Po paru dniach oczekiwania spędzonych w napięciu nowy przewodnik, też posepny i milczący, zabrał ich do Barcelony, przez Poblę, w drodze do Portugalii; etap może nie tak męczący

fizycznie jak poprzedni, ale równie niebezpieczny. Achilles, zanim grupa pogrążyła się w zimnej nocy, rzucił mi takie spojrzenie, że jeszcze teraz je pamiętam. A Fabrice i Yves ucałowali mnie bez słowa. Ich ojciec, w którego wzroku cały czas widziałem smutek, chciał mi wynagrodzić gościnę swoim zegarkiem, biedny człowiek. Moim wynagrodzeniem, kochana córeczko, jest duma, że przyczyniłem się do ocalenia całej rodziny. Spróbuję zrobić portret psa, żebyś go sobie mogła wyobrazić, kiedy będziesz to czytać. Kocham cię, córeczko. Powiedz twojej matce, że ją też kocham. Tak bardzo pragnę, żeby to się już skończyło, żebym mógł cię zobaczyć, paść na kolana i opowiedzieć ci, jak było naprawdę! A jeżeli to nie będzie możliwe, zostaną te zeszyty, najdłuższy list, jaki kiedykolwiek został na Tina patrzyła zdziwiona na to urwane zdanie. Niczym skrupulatna dokumentalistka zapisała – najdłuższy list, jaki kiedykolwiek został na – i poczuła się zmęczona. Czekaając na wydruk tego, co wklepała do komputera, starała się wyobrazić sobie Rosę, prawie nieobecną w liście, która odważyła się zbuntować. Nie miała żadnego zdjęcia; znała tylko twarz bez oczu i warg z rysunku na końcu zeszytu. Znała głęboką pogardę emanującą z lakonicznej notki z informacją dla męża, że właśnie przestał nim być i że nigdy nie zobaczy córki. Próbowała wyobrazić sobie formę i ton tej pogardy i porównywała ją z tą, którą teraz budził w niej Jordi.

– Juriju Andriejewiczu, proszę, zejdź stąd, nie przeszkadzaj.

Ostatnia strona, wydrukowana z laserową precyzją, mówiła a jeżeli to nie będzie możliwe, zostaną te zeszyty, najdłuższy list, jaki kiedykolwiek został na Tina nie mogła wiedzieć, że kiedy czcigodny męczennik Oriol Fontelles zapisywał te linijki wieczorem, sam, siedząc przy biurku na katedrze, nagle otworzyły się drzwi i ten z kręconymi włosami wtargnął do klasy, nie pytając o zgodę, nauczony przez dowódców Falangi zdobywać przestrzeń, która należała do nich prawem boskim, i powiedział pan Valentí każe, żeby się pan natychmiast stawił w ratuszu. Oriol schował swój przerwany monolog między zeszytami uczniowskimi i pomyślał, że to duża nieostrożność zostawiać swoje życie i życie partyzantów w zasięgu wroga.

Rozkaz to rozkaz. Oriol musiał zamknąć szkołę, narzucić kurtkę i udać się do ratusza, zanim zdążył schować zeszyt za tablicą, odprowadzony ironicznym spojrzeniem falangisty z kręconymi włosami. Teraz mi powie śledzimy cię od dziesięciu dni i doszliśmy do wniosku, że to ty jesteś tym pudłującym skurwysynem.

– Od dziesięciu dni badamy pewien przypadek – powitał go w drzwiach gabinetu pan Valentí. Oriol milczał z duszą na ramieniu. Burmistrz wskazał sztalugi odstawione do kąta i przykryte poplamionym płótnem. – Dziś mam wolną chwilę – dodał, nie pytając, czy Oriolowi to pasuje i czy ma ochotę na malowanie.

Podczas następnej sesji po nieudanym zamachu Oriol po raz pierwszy znalazł się sam na sam z Valentínem, od kiedy napotkał spojrzenie Pączuszka, celując, jak mu się przynajmniej wydawało, w potylicę burmistrza Toreny. Valentí wykazał się niemal żołnierską dyscypliną, przyjmując odpowiednią postawę, ale Oriol był zrazu tak roztrzęsiony, że ciągle nie wychodził mu mahoniowy kolor stołu.

– Jaki przypadek? – Oriol usłyszał, że zadaje pytanie. – Co badamy?

– Pewien przypadek – odpowiedział Valentí. Nie pytając, czy można, skrzył papierosa. – Znasz niejakiego Eliota?

– Nie. – Wskazując na papierosa: – Proszę go nie trzymać w ustach.

Valentí zaciągnął się jeden raz i posłusznie odłożył papierosa do popielniczki. Hipnotyczna kolumna dymu wznosiła się krętą linią ku tajemniczemu ciemnemu sufitowi gabinetu.

– Ciekawość cię zżera, co?

– Mnie?

Musiał zaczerpnąć powietrza, bo serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi wprost na płótno, gdzie mogłoby się pobrudzić od farby.

Nic nie wiedzą. Wydaje się to niemożliwe, ale nie wiedzą, że to ja. Dziesięć dni życia w napięciu, a jeszcze w tym czasie został partyzanckim łącznikiem i dostał rozkaz, żeby nie uciekać, bo zdaniem partyzantów Valentí i jego ludzie o niczym nie wiedzieli. Chyba rzeczywiście tak było: nie mieli zielonego pojęcia. Porucznik Marcó się nie mylił.

Namalował kawałek stołu, od frontu, żeby uspokoić drżącą rękę i oswoić ją z ruchem pędzla. Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, zmienił pędzel i skupił się na brwiach. Gęste, nieco przyprószone siwizną, niemal zrosnięte ze sobą.

– Chcesz poznać pewien sekret?

Teraz faktycznie serce wyskoczyło mu z piersi i padło plackiem na jeszcze niezaschnięte płótno.

– Proszę się nie ruszać – powiedział, próbując naprawić szkody.

– Wiem coś, czego jeszcze nie wiedzą w komendanturze.

Valentí Targa czuł się szczęśliwy, gdy dysponował jakąś nowiną. Dawała mu władzę w czystej postaci, informacja przeciw ignorancji, prawda przeciw chaosowi. Sięgnął po papierosa i nie przejmując się zakazem, trzymał go w dłoni, mierząc w Oriola.

– Chcesz się dowiedzieć?

Oriol nie odpowiedział ani tak, ani nie. Gdyby powiedział tak, tak, słucham, słucham, tamten mógłby nabrać podejrzeń. Gdyby odpowiedział nie chcę wiedzieć, też byłoby to dziwne, bo kto nie chce poznać sekretu, zwłaszcza w ciężkich czasach. Dlatego zrobił nieokreśloną minę, coś w rodzaju uśmiechu, i udał, że marszczy brwi. Valentí nie mógł dłużej wytrzymać.

– Partyzanci wycofują się z tej strefy – powiedział i spojrzał mu w oczy,

czekając na reakcję.

– Skąd pan wie? – Powrócił do malowania obrazu, żeby dać do zrozumienia, że może go to interesuje, a może nie interesuje. Poza tym nie potrafił wytrzymać wzroku Valentína.

– To sekret – odpowiedział zadowolony. – Ale pochodzi z wiarygodnego źródła.

Partyzanci wycofują się z tej strefy. Żegnaj, Morrocie, przyjacielu, którego nie miałem okazji poznać żywego. Ale nie usłyszał wiesz, parę dni temu ktoś chciał mnie załatwić, i to byłeś ty. Nie usłyszał z jego ust ty skurwysynu, dziesięć dni temu chciałeś mnie zabić strzałem w potylicę. W restauracji Estació de Vilanova, jasne? Zamiast tego opowiedział mu, jak przez przypadek natknął się na patrol żandarmerii, kiedy wracał z Pobli, i od niego zdobył informację o tym istotnym fakcie, a pułkownik Salcedo, który sobie wyobraża, że jego władza sięga górskich szczytów, będzie potrzebował ludzi z Tremp, żeby się dowiedzieć, co tu się dzieje. Ten partacz uważa, że może mnie pouczać o patriotyzmie i że uda mu się mnie powstrzymać pod nieobecność biednego Yustego, który jeszcze nie doszedł do siebie po tamtym szoku.

Przez chwilę obaj milczeli. Valentí dopalił papierosa i rozgniół niedopałek na dnie popielniczki. Może wyobraził sobie w tym momencie pułkownika Salcedo.

– Ej, a jutro przyjdź na kolację z towarzyszami z komarki.

– Ja?

– Tak.

– Będzie u nas z wizytą towarzysz Claudio Asín. Chcę, żebyś go poznał.

– Kto to taki?

– Święty i wojownik. Mój mistrz. – Zmierzył go wzrokiem. – Masz być w galowym mundurze.

Zamyślił się. Później spojrzał mu w oczy.

– Nie dałoby się go skończyć na jutro, co?

– Obrazu?

Oriol rozłożył ręce, żeby pokazać, że nie oszukuje.

– Nawet gdybyśmy siedzieli tu całą noc i gdybym następnego dnia nie musiał iść do szkoły.

– Możesz sobie wziąć wolne. Pozwalam ci.

– To nic nie da, i tak nie skończymy. Odbiłoby się to na jakości.

– Co to, to nie. – Zastanawiał się przez chwilę i kręcił głową. – Szkoda.

– Pan chce zostać lokalnym zastępcą przywódcy Ruchu Narodowego.

Teraz chyba się zagalopował. Albo i nie. Spojrzenie pana Valentína, ukrytego za zasłoną powoli rozplywającego się dymu, budziło w nim lęk. Teraz mi powie ty skurwysynu, dziesięć dni temu i tak dalej.

- Sprytny jesteś. Jak na to wpadłeś?
- Poszlaki.
- Jeśli mi pomożesz, przysięgam, że mianuję cię moim osobistym sekretarzem.

Kpi sobie ze mnie?

- Dla mnie to zaszczyt, panie Valentí. A na czym miałyby polegać ta pomoc?
- Na początek zastąpisz mnie w papierkowej robocie; tobie pisanie przychodzi łatwo, a ja, prawdę mówiąc, nie bardzo sobie z tym radzę. W ratuszu jest tyle papierów...
- Mam pomagać w ratuszu.
- No właśnie. Dopóki nie sprawimy sobie sekretarza miejskiego z prawdziwego zdarzenia...

Oriol milczał, bo niby co mógł powiedzieć.

- Dostaniesz podwyżkę. – Mówił tak, jakby już wszystko było postanowione:
- Poza tym możesz mi napisać sprawozdanie... Czekać, wiesz co? Na dziś dajmy już sobie spokój z portretem. Teraz ci powiem, co możesz dla mnie zrobić...

I tak oto napisałem panegiryk, który, gdybym się nie zetknął z partyzantami, też musiałbym napisać, ale zrobiłbym to jako człowiek pokonany i zastraszone, a tymczasem zredagowałem tekst z przekonaniem, że służę sprawie wolności. Żalotne sprawozdanie wychwalające Targę za zaprowadzenie porządku w nękanej przez partyzantów strefie, której rdzenni mieszkańcy to ludzie bez wykształcenia, zdemoralizowani przez anarchistów i komunistów w czasach chaosu. I tym podobne bzdury. A przede wszystkim, jakie to szczęście, że mamy pana Targę, któremu nie drży ręka, kiedy trzeba bronić Ojczyzny. Można by pomyśleć, że pewnego dnia ogłoszą świętym pana Valentína Targę, zbrodniarza z Toreny. Tekst kończył się życzeniem długich lat życia dla tego wybitnego patrioty, jakim jest Valentí Targa Sau. Niech żyje Franco. Wiwat Hiszpania.

Podwójna gra jest jak naostrzona brzytwa z dwustronnym ostrzem. Jak się zagapisz, może to się dla ciebie źle skończyć. Nie masz pojęcia, jak bardzo się boję, córeczko.

Znów zaczynało padać. Tina Bros głaskała doktora Żywago, obserwując ospałe płatki śniegu, które spadały niespiesznie i pokrywały dywanem miasteczko. Spędziła całe popołudnie na wydzwaniu do szpitali. Przymilnym, zdecydowanym głosem zmyślała coś na temat pracy doktorskiej o latach czterdziestych, kłamała bez skrupołów jak Jordi, posługiwała się niepełnymi danymi osobowymi, obiecywała zamieszczenie w podziękowaniach w zamian za udzielenie bezcennej pomocy i skończyła całą akcję wykończona i przekonana, że nie posunęła się ani o krok i że to absurd węszyć tam, gdzie bezlitosna i nieodwołalna oficjalna prawda historyczna wszystko już definitywnie zamknęła i przypieczętowała. Odłożyła notes wypełniony pospiesznymi notatkami nabazgranymi nieczytelnym pismem i ziewnęła, obserwując śnieg za oknem, który malował wszystko na białą w ciszy niemal uroczystej. Przed nią leżało sto uporządkowanych fotografii, które wejda do już prawie gotowej, nienastręczającej wątpliwości książki o domach, ulicach i cmentarzach komarki Pallars, ale jej myśli zaprzętały zeszyty Oriola Fontellesa, pełne białych plam, pełne znaków zapytania, pełne niewiadomych gdzie mogę znaleźć córkę Oriola, która nie ma imienia dla swojego ojca ani dla mnie. Postawiła Jurę na ziemi, wzięła notes i zdecydowanym krokiem wyszła z salonu. Przekroczyła próg pokoju Arnaua po raz pierwszy, odkąd ich opuścił. Po raz pierwszy weszła, żeby tam pobyc. Wszystko uporządkowane, jakby pojechał na weekendowe kolonie, każda rzecz na swoim miejscu, że też nam się trafił taki syn, z kolejami losu, o które nigdy byśmy go nie podejrzewali.

Usiadła na jego krześle przed czystym, lśniącym biurkiem, wszystkie sprawy załatwiane na bieżąco, żadnych zaległości, Arnau nie odłożyłby na później rozmowy z niehonorowym mężem, żeby go rozliczyć z nieuczciwości. Gdyby Arnau miał taki problem, już by go rozwiązał; zawsze ma biurko czyste i posprzątane. Otworzyła szufladę. Drobiazgi, pamiątki, wieczne pióro, które otrzymał od Jordiego i od niej na dziesiąte urodziny. Kolorowe ołówki, pinezki, tęsknię za tobą, Arnau, synku. Kiedy otworzyła dolną szufladę, serce zabiło jej mocniej, bo nie mogła tego zrozumieć ani zaakceptować.

Wyjęła album i położyła na biurku. Ten sam album fotograficzny, który mu podarowała wieczorem, zanim uciekł do klasztoru, ze zdjęciami jego, ojca i jej, kiedy wszyscy byliśmy honorowi i szczęśliwi, zdjęcia przedstawiające różne momenty z ich wspólnego życia, które wtedy sprawiły mu przyjemność, sam mi to powiedziałeś, zapisałam to w sercu, dziękuję za zdjęcia, mamu, co za miła niespodzianka. Tak mi powiedziałeś, a teraz się okazuje, że leżą w trzeciej

szufladzie biurka w pokoju, do którego nie masz zamiaru wracać, bo zdecydowałeś się pogrzebać na całe życie w zimnym klasztorze, z wysokim sufitem i mnóstwem przeciągów. Jaka szkoda, synku, jaka szkoda.

Przejrzała zdjęcia jedno po drugim, zastanawiając się, co aż tak mu się nie spodobało, że porzucił je w ten sposób, i nie wpadła na żaden trop, który by ją oświecił. Doktor Żywago pojawił się cicho jak płatek śniegu, wskoczył na łóżko i popatrzył ze współczuciem na skonsternowaną Tinę.

– Co o tym sądzisz, Juriju Andriejewiczu? – Pokazała mu album. – Nie wziął go ze sobą.

– Może nie chciał zabierać niczego, co by budziło w nim tęsknotę – odpowiedział doktor Żywago. I od razu zajął się lizaniem przedniej łapy, żeby ukryć wzruszenie. Wolał nie patrzeć Tinie w oczy.

Wtedy wreszcie dotarło do Tiny, że decyzja Arnaua pociągała za sobą wyrzeczenie się wspomnień z życia, które zostawił za sobą, na rzecz nowej drogi. Co z ciebie za drań, pomyślała: jeżeli odrzucasz album, mnie odrzucasz. Dlaczego jesteś taki okrutny. I przypomniała sobie, jak okrutny Jezus powiedział chodź za mną, porzuć swoich rodziców i braci, zostaw umarłym grzebanie umarłych, czyli dokładnie odwrotnie niż to, co ona teraz robiła z pamięcią o Oriolu Fontellesie, podążając niewyraźnym tropem Rosy i szukając szpitala, w którym żona Oriola zmarła pięćdziesiąt sześć lat temu. Ja może nie jestem inteligentna, mam ze cztery kilogramy nadwagi i nie mam wielkiego obycia, ale staram się przynajmniej nie być tak okrutna jak ty, boże klasztorów, który zamieniasz synów w rybaków łowiących ludzi, nie pytając o zdanie ich matek. No dobrze, sześć kilo.

Zamknęła album i odłożyła do szuflady. Wsunęła ją bezszelestnie, jakby musiała przed kimś się kryć. Wtedy zauważyła, że w rogu biurka leży kalendarzyk. Nawet kalendarzyk zostawiłeś, synku? Tak radykalnie chcesz się odciąć? Otworzyła go, nie pytając o zgodę, na co nigdy wcześniej by się nie zdobyła. Ostatni tydzień, ostatnie dni: w poniedziałek, Mireia, dużymi literami, imię podkreślone kreską przecinającą całą stronę. Mireia. Lleida. Kim jest Mireia. Kim jest ta dziewczyna, której nie udało się wyrwać go z mnisich szponów. Mireio, chciałabym cię poznać, żebyś mi opowiedziała o moim synu. Na pewno znałaś go lepiej niż ja. Kochałaś go? Kochaliście się? Czy mój syn kiedykolwiek się kochał? Ja go już nie mogę o to zapytać. Kiedy miał, no, powiedzmy, dziesięć lat, podczas wycieczki do doliny Ferrera, wyjaśniliśmy mu, do czego będzie mu służył penis, kiedy będzie starszy, a on wtedy powiedział więc ja na pewno będę mieć dużo dzieci. A my parę dni wcześniej zdecydowaliśmy definitywnie, że nie chcemy mieć więcej potomstwa, Arnau nam wystarczy. Mireia. Lleida. Cały dzień na pożegnanie z Mireią. Musiała być bardzo ważna w jego życiu. Wtorek, Ramon i Elies o czwartej. Cervera, zebranie grupy formacyjnej. Środa szesnastego, narada diakonii parafialnej, po

południu, w Tremp. Wieczorem: pożegnanie z rodzicami, kolacja. Dla rodziców kolacja. Wszyscy już wiedzieli, poza rodzicami, którzy zawsze dowiadują się ostatni. Rodzicom poświęca tylko jedną kolację. Ramonowi i Eliesowi, całe popołudnie. Mirei – cały dzień. Czy wszyscy wiedzą, że Jordi mnie zdradza? Wszyscy wiedzieli poza mną? Ja dowiedziałam się ostatnia? A pod datą czwartek siedemnastego stycznia dwa tysiące drugiego roku energicznym charakterem pisma, niemal z euforią zanotował o dziewiątej rano wstępuję do klasztoru.

Jego wrodzony dobry gust nie pozwolił mu na zakończenie zdania wykrzyknikiem. Wstępuję do klasztoru, kropka. Nic więcej. Był tak pewny swoich planów, że nie zanotował już nic na kolejne dni w prawie pustym kalendarzyku. Ale nie, w kwietniu... Tina nieoczekiwanie dla siebie uroniła łzę, kiedy przeczytała trzydziestego kwietnia, urodziny mamy. Tak, zanotował to sobie, ale zostawił kalendarzyk. Zamknęła go zasmucona i odłożyła na miejsce, jakby zależało jej na tym, by Arnau, kiedy tu wróci po tamtym życiu, nie zauważył, że ona zaglądała do jego tajemnic. I pomyślała jeszcze po co mu kalendarzyk w klasztorze, skoro wezwanie, jutrznia, pryma, tercja, seksta, nona, nieszpory i kompleta zawsze są odprawiane w porze wezwania, jutrzni, prymy, tercji, seksty, nony, nieszporów i komplety. Biedny chłopiec, spędzi całe życie, wsłuchując się w sygnał wzywający na jutrznię, prymę, tercję, sekstę, nonę, nieszpory i komplete, i będzie przekonany, że jest szczęśliwy.

Ta noc okazała się prawdziwym wyzwaniem: wieczorem, kiedy zaczął wiać od przełęczy ostry, nieprzyjemny wiatr, który pokrył szronem zbocza góry Montsent, dotarła do niego partia, na którą czekał od dwóch dni: mężczyzna ze strachem w oczach i drżącymi rękami, kobieta w tym samym wieku – milcząca, zrezygnowana uciekinierka – i dwie dziewczynki z warkoczykami, aż żółte ze zmęczenia. O nie, tylko nie to, znowu rodzina, pomyślał. Na szczęście nie mieli ze sobą psa. Towarzyszył im przewodnik, mężczyzna z Son, który powiedział mi na ucho pozwól im spać przez cały dzień, bo są u kresu wytrzymałości.

– Skąd pochodzą?

– Z Holandii. Ja też zostaję tu na noc.

– To nie jest dobry moment, żeby przechowywać ludzi na strychu.

– Żaden moment nie jest dobry. A ja już nie mam siły.

Musiałem ich wypchnąć na schody, na górę, bo właśnie w tym przeklętym momencie zjawiał się Valentí Targa w towarzystwie dwóch swoich ludzi, zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią. Tego właśnie się obawiałem: żeby w trakcie niezapowiedzianej wizyty w szkole ktoś na górze nie kichnął lub po prostu nie zwariował. Bo nie brakowało powodów, żeby stracić zmysły. Później ta Holenderka opowiedziała mi swoją historię: oni też byli Żydami. Dziewczynki to jej córki. Natomiast mężczyzny, matematyka, którego alianci chcieli ściągnąć w ciągu dwóch tygodni do Lizbony, wcześniej nie znała. Nienawidziła go, bo zajął miejsce jej męża, który musiał zostać w Maastricht i czekać na następną partię. I jeszcze dodała, że obie dziewczynki nauczyły się milczeć i nie okazywać lęku. Przypomnieli mi się Yves i Fabrice, którzy mieli takie same nieme przerażenie w oczach. Dowiedziałem się jeszcze, że dziewczynki nawet nie pytały o dziadków, którzy zniknęli pewnej nocy, gdy SS przetrząsnęło cały Haarlem, pośród krzyków i lamentów, i wypełniło ludźmi dwa pociągi: tylko dzięki milczeniu dało się jakoś przeżyć ten horror. Ale kobieta martwiła się, że zostawi ono niezatarty ślad w ich duszy, a ja nie wiem, jak temu zapobiec. Nie miałem pojęcia, co jej poradzić, biednej kobiecie, ale wtedy dotarło do mnie, że zawsze znajdzie się ktoś, komu prawdopodobnie jest gorzej niż tobie.

Mam wrażenie, że Valentí Targa coś podejrzewał. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że właśnie tamtego wieczoru zdecydował się przyjść do szkoły po dokumentację, którą chciał zabrać do Lleidy, żeby tam rozmawiać, jak mi wmawiał, o asfaltowaniu drogi do Sort? Dlaczego nie wezwał mnie do ratusza? Umyślnie bardzo wolno przeglądał papiery. Z długimi chwilami ciszy, jakby

czekał, aż którejś żydowskiej dziewczynce z warkoczykami na strychu wymknie się mimowolne kasznięcie. Kiedy sobie poszedł, a ja udawałem, że przygotowuję się do snu w pokoju, który mam teraz w szkole, zgasłem wszystkie światła i odczekałem dobre pół godziny. Dopiero wtedy, po ciemku, zaniósłem na górę kuchenkę na benzynę i przygotowałem zupę, która pozwoliła im odzyskać siły. Od dwunastu dni nie jedli niczego ciepłego. Od kilku tygodni nie dosypiałem. To była wojna, córeczko. Przewodnik powiedział mi, że ta holenderska grupa nie przyszła z Areja przez Montgarri i przez Pla de Beret, ani przez przełęcz Salau, ale od strony Andory. Zrobili karkołomne okrążenie przez dolinę Tor i dolinę Ferrera. Zapytasz pewnie, czemu ich przysyłali tu, do Toreny; powód jest prosty, a zarazem dramatyczny: nie ma innego bezpiecznego miejsca w całej komarce Pallars, bo nikt nie chce aż tak się narażać. Szkoła w Torenii jest jedynym pewnym punktem kontaktowym, gdzie mogą się zatrzymać kolejne partie: ludzie w tych dolinach i górach bardzo się boją, prawie tak jak ja.

Tina podniosła zeszyt do oczu i znów odłożyła na pulpit. Zdjęła okulary i potarła powieki. Męczył się jej wzrok przy czytaniu tego starannego, ale bardzo drobnego pisma. Na monitorze komputera o niepokoju Oriola wyrażonym dwunastopunktową helweticą czytało się o wiele wygodniej. Tina zastanawiała się, czy te milczące dziewczynki z warkoczykami zdołały dotrzeć do Lizbony, czy też zły los przechwycił je gdzieś po drodze. O Fabrice i Yvie coś już wiedziała, ale o dziewczynkach z warkoczykami nie znalazła żadnych informacji. Od pięćdziesięciu sześciu lat holenderskie dziewczynki pozostawały dziewczynkami z warkoczykami i prerażeniem w oczach, które jadły gorącą zupę na strychu szkoły w Torenii, zburzonej w ubiegłym miesiącu. Tak bardzo bym chciała je... Tak bardzo bym chciała więcej rozmawiać z Arnauem, poznać jego marzenia. Dowiedzieć się, czy w jego oczach też jest jakiś rodzaj lęku. Tak bardzo bym chciała nie musieć iść do lekarza w przyszły czwartek. Tak bardzo bym chciała, żeby Jordi nigdy mnie nie okłamywał. Mój Boże, co zrobiłam nie tak w ostatnich czterdziestu latach mojego życia.

Zapowiadał się szarawy dzień i wszystko stawało się szarawe, poczynając od tego pieprzonego munduru, który powinien być czysty jak kryształ.

Dramat burmistrza Toreny polegał na tym, że jego dom znajdował się nie w Torenii, tylko w Altronie, gdzie mieszkali pozostali członkowie jego rodziny, którzy nie chcieli nawet o nim słyszeć, bo od lat byli ze sobą skłócenii z powodu wydarzeń w Malavelli. Burmistrz robił się bogaty, nawet bardzo bogaty, ale nie miał domu, jak Bóg przykazał, który stałby się jego przystanią, z żoną, dziećmi i ogródkiem, bo mimo że jestem osobistym golem domu Gravat, nie pozwalają mi nawet przekroczyć jego progę. Jakbym był zadżumiony. Jakby moja służba

Ojczyźnie wszystkim przeszkadzała. Na samą myśl o tym, że nafaszerowany forszą po dziurki w nosie muszą mieszkać u Marésa z moimi ludźmi, wywraca mi się żołądek. Ale kiedy skończę misję goela, zbuduję sobie dom od strony Arbessé, na widoku, żeby wszystkich bił po oczach, całe miasteczko, niech się napatrzą, a wtedy podejść do okna i odleję się na Torenę. Przysięgam, że tak zrobię. Co? Ile razy mam powtarzać, że ten pieprzony mundur ma być czysty jak kryształ? Co?

– Matka nic mi nie mówiła.

– To co ci mówi matka... – Dwukrotnie powoli wciągnął powietrze, żeby się opanować. – Bardzo dobrze, że robisz to, co ci każe matka, ale ja też mam coś do powiedzenia. Płacę i wymagam.

Modest, przy barze, słysząc narzekanie burmistrza, wymamrotał pod nosem płaci, akurat...

– Co się dzieje?

– Nic, matko, tylko pan Valentí...

– Zaraz go panu wypiorę.

– Nie wysilaj się. Jeśli chcesz, możesz od razu wyrzucić koszulę, bo ja już się spóźniłem i mam was wszystkich gdzieś. Wszystkich, bando obiboków.

– Gdyby pan burmistrz płacił za siebie... Może miałyby prawo krzyczeć...

Cisza. Spokój. Modest przy barze rwie w duchu włosy z głowy i krzyczy Mario, chyba zwariowałaś, chcesz nas zgubić.

– O co ci chodzi, Mario?

– Że jak dotąd nie opłacił pan ani jednego dnia. A mieszka pan tu już trzy lata.

– Moi ludzie płacą.

– Mówię o panu.

To prawdziwy skandal, żeby taki jak on zasłużony na wojnie bohater, odznaczony Wielkim Krzyżem Zasługi z Odznaką Czerwoną (za dwa szrapnele z karabinu maszynowego, które trafiły go w tyłek na froncie aragońskim, na trzy dni przed wkroczeniem do Trep), szanowany przez porządną ludźmi, lokalny i prowincjonalny przywódca Falangi, duchowy uczeń Claudia Asína, osobisty przyjaciel generała Sagardíi, niesłusznie oddelegowanego z tej strefy, znajomy generała Yuste (nieudolnego następcy energicznego Sagardíi), osobisty wróg pułkownika Salcedo, prawdopodobny zastępca szefa prowincji Ruchu Narodowego, jeżeli uda się pociągnąć za odpowiednie sznurki, właściciel dwóch sklepów w Barcelonie i jednego rewelacyjnego Pączuszka, którego odwiedza raz na jakiś czas, też w Barcelonie, gdy ma jakieś sprawy do załatwienia, z grubym portfelem własnej gotówki, to skandal, żeby posiadał tylko dwie niebieskie regulaminowe koszule. O, przepraszam: dwie zaszczytne, niebieskie regulaminowe koszule. Bo po prostu nie ma więcej; ciągle obowiązywały wojenne ograniczenia i koszule w kolorze khaki miały

pierwszeństwo przed niebieskimi; choćby nawet zamówił sześć czy siedem, nic z tego. A jeszcze na dodatek jesteś zdany na łaskę byle obiboków.

Zszedł z piętorka do baru ciężkim krokiem, z przytupem, a wystraszony Modest natychmiast zaczął udawać, że zmywa, co mu akurat wpadło pod rękę. Pan Valentí, w cywilu, wyszedł z lokalu Marésa bez pożegnania, w kapeluszu wciśniętym na oczy, z rękami w kieszeniach jasnego płaszcza i głową pełną czarnych myśli, bo zapowiadał się trudny dzień. Zwolnił Gómeza Pié i Balansó, żeby z nim nie jechali, nie ma niebezpieczeństwa, bez obawy, ale nie w tym rzecz, po prostu wolał nie mieć świadków prawdopodobnego upokorzenia, ponieważ rozmowa z pułkownikiem Ramallem Pezónem będzie bardzo trudna, a wiem, o czym mówię, bo nikt mnie nie będzie uczył, jak kochać Hiszpanię po tym wszystkim, co zrobiłem dla ojczyzny i tak dalej. Bo ja wszystko robię z miłości do ojczyzny, z nieprzekupnej wierności caudilla, w jednym celu: dorwać zdrajców ukrytych w górach i wykryć plugawe nory wrogich żołnierzy, którzy tkwią w Pirenejach jak śmierdzący wrzód.

Mówił, a jednocześnie rozglądał się po gabinecie, równie sterylnym jak sam pułkownik, z generalissimusem i męczennikiem José Antoniem na honorowym miejscu na głównej ścianie, obok mapy Pirenejów Wschodnich w skali jeden do pięćdziesięciu tysięcy. W powietrzu unosił się smród podłego tytoniu tego durnia Ramalla Pezóna, który milczał, milczał i pozwalał mu mówić. Wreszcie milczenie pułkownika, który dyskretnie gładził się po białych, przyciętych co do milimetra bokobrodach, obudziło jego czujność. Oficer spojrział w stronę okna, a potem odwrócił zmęczony wzrok na Valentína Targę.

– W Pirenejach nie ma wrogich żołnierzy – poprawił go. Cygaro, które zatruwało powietrze, dopalało się w popielniczce. – Nie toczymy wojny. Tam są tylko bandyci.

– Tak właśnie mówiłem, panie pułkowniku. Ale ci bandyci znają teren, bo są wśród nich miejscowi, zdrajcy. Przemytnczy, pasterze, wieśniacy. – Nie mógł się powstrzymać i uderzył pięścią w stół. – Wiem, co to za jedni! – Uderzył się ręką w piersi, jakby odprawiał pokutę. – Sam stamtąd pochodzę! Jestem synem tamtej ziemi! Znam ich wszystkich!

– Nie można działać na hura. – Pułkownik Ramallo Pezón powiedział to spokojnie, żeby zdyscyplinować rozgorączkowanego gościa. – Jak pan zapewne rozumie, mnie jest obojętne, jak pan tam się rządzi. Na pewno wszyscy oni mają coś na sumieniu. Ale teraz już trzeba dbać o zachowanie pozorów.

– Ja sam, w mojej miejscowości, gdzie jestem burmistrzem, muszę chodzić z eskortą!

– Ciężka jest służba ojczyźnie.

– Mogę załatwić tych zdrajców.

– Hiszpańskie wojsko już się tym zajmuje. – Wziął cygaro i dodał, zanim się

zaciągnął: – Falanga... powinna zmienić styl.

– Pan nie ma prawa mówić, co ma robić Falanga!

– A pan nie może kwestionować wojskowych rozkazów.

– Jestem osobistym przyjacielem generała Sagardii.

Pułkownik spojrział na niego obojętnym wzrokiem. Znów zaciągnął się cygarem i wypuścił dym prosto na Targę, z premedytacją. Burmistrz Toreny kontynuował tym samym tonem: – Jestem osobistym przyjacielem generała Yustego.

– To groźba?

– Nie. Według hierarchii to pański zwierzchnik.

Tina wyprostowała się na krześle. Na monitorze, wykorzystując emanujące z niego ciepło, z gracją ułożył się doktor Żywago i patrzył obojętnie na ścianę przed sobą. Trochę mu zazdrościła. Założyła okulary, zapisała na karteczce „Arnau” i przykleiła post-it do obudowy monitora. Zapisane ołówkiem na żółtym tle słowo „Arnau” przypominało, że ma zadzwonić do klasztoru i poprosić kogoś mówiącego namaszczonego tonem, kogo nie znam, ale kto twierdzi, że jest czymś w rodzaju mojej rodziny, o zgodę na rozmowę z synem, który naprawdę jest moją rodziną. Mój syn, którego urodziłam. Bardzo mi przykro, proszę pani, teraz nie można im przeszkadzać. Przecież mówię wyraźnie, że to ja go urodziłam, czy tak trudno zawołać go do telefonu, żeby mu przekazać wiadomość o jakiejś organizacji pozarządowej z Chile, która czegoś od niego chce, jakiegoś wyjaśnienia, miałeś im coś powiedzieć dwa miesiące temu i nadal czekają na odpowiedź.

– Ależ mam, przecież ja... Nieważne, tak, daj mi telefon kontaktowy.

– Arnau, jak ci tam jest? – W gruncie rzeczy po to właśnie dzwoniła.

– Dobrze, mam, dziękuję. A u was?

Twój ojciec mnie zdradza z jakąś nieznajomą, ja mam umówioną wizytę u lekarza, mój syn uciekł z domu, ale wszystko dobrze, bardzo dobrze.

– Słucham? Jak się macie, co, mam?

– Dobrze, synu, dobrze.

– Ucałuj ode mnie ojca.

To niemożliwe, już go nie całuję; niemożliwe, synu. Nie proś mnie o to.

– Dobrze, przekażę. Jesteś szczęśliwy?

Kiedy w końcu odważyła się o to zapytać, Arnau już odłożył słuchawkę, bo najwidoczniej bardzo mu się spieszyło wrócić do uprawiania grządki albo do śpiewania rorate caeli de super et nubes pluant iustum, z wywróconymi oczami, bo to oczywiście sprawy ważniejsze i bardziej doniosłe niż rozmowa z matką. Oj, chyba zaczynam gorzknieć.

Znów wróciła do przepisywania, do tego fragmentu, w którym Oriol opowiadał, że w dolinach Noguery wszyscy żyli w lęku, między młotem partyzantów a kowadłem wojska i karą śmierci w trybie natychmiastowym dla

tych, którzy. Następnego dnia rano, kiedy pan Valentí już jechał do Lleidy, a ja mówiłem starszym dzieciom o dopełnieniu bliższym, przyszedł Cassià z domu Maria del Nasi, okazjonalny pomocnik Taio, który nie chciał pozwolić, żeby chłopiec całymi dniami wpatrywał się w chmury z otwartą gębą, i przyniósł list inny niż te, które z rzadka przychodziły do szkoły. W obecności ponad dwadzieścioro dzieci rozerwałem kopertę i przeczytałem z tysiąc razy dziwną wiadomość, coś jakby rozkaz: godzinę po zamknięciu szkoły miałem się stawić w pewnym pensjonacie w dolinie Cardós, gdzie otrzymam dalsze instrukcje. Wydało mi się dziwne i nieostrożne wysyłanie tego rodzaju wezwania pocztą. Ale mleko już się rozlało. Zastanawiałem się, czy wykonać ten rozkaz. Na dodatek w dniu, kiedy oczy nas wszystkich, i nasze myśli, skupiały się na Lleidzie, w dniu, kiedy lepiej było nie zwracać na siebie uwagi, żeby nikt, absolutnie nikt nie mógł podejrzewać, że to od niego wyszła informacja, że za dziesięć dni, dwudziestego trzeciego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, w dniu świętego Josepa Oriola, Targa udaje się do Lleidy sam, na rozmowę z władzami cywilnymi i wojskowymi, które go wzywają w trybie pilnym, żeby go rozliczyć z nadużyć. Mogę się założyć, o co chcesz, że pojedzie sam, bo mają mu tam zmyć głowę. Ta ważna wiadomość zmobilizowała ludzi z grupy porucznika Marcó. A potem ma się spotkać z jakimś wojskowym, na którego protekcji bardzo mu zależało. Nie wiem gdzie; w drodze powrotnej. A teraz ni z gruszki, ni z pietruszki wzywają mnie do jakiegoś pensjonatu.

Poczucie dyscypliny w końcu wzięło górę i kiedy po południu zamknąłem szkołę, pojechałem do Sort okazją, ciężarówką Pere Serrallaca. To człowiek dobry jak kromka chleba, więc mi nie odmówił, mimo że mnie unika i daje do zrozumienia, że mnie, falangistę, uważa za karierowicza, ale podwiózł mnie aż do Ribery, skąd miałem już tylko pół godziny na piechotę. Przez całą drogę usiłowałem przekonać Serrallaca kamieniarza, że to nie tak, że nie jestem takim draniem, za jakiego tu uchodzę. Kusi mnie, żeby to ogłosić całemu światu. Tego się dopomina moja urażona duma. Żeby zapanować nad sobą, sprowadziłem rozmowę na jego syna i przekonywałem Serrallaca, że Jaumet powinien dalej się uczyć, bo umie czytać ze zrozumieniem i jest wrażliwy.

- W domu są książki.
- To widać. Niech go pan wyśle na dalszą naukę do Tremp.
- Nie stać mnie. Skąd na to brać pieniądze?
- To może do seminarium duchownego.
- Nigdy w życiu. Pan wybaczy, panie Oriol, ale...
- Nie, ja rozumiem... Tyle że tam mógłby się uczyć za darmo. Zawsze będzie miał czas, żeby zrezygnować.
- A jak mu się tam spodoba, to co wtedy?

Serrallac kamieniarz pokręcił głową i wyrzucił niedopałek przez okno ciężarówki.

- My, rolnicy, zawsze pozostaniemy rolnikami – zamknął temat.
- Pan nie jest rolnikiem.
- Jasne, że jestem. Ja orzę kamienie.

I wyrztał przez okno, odwracając głowę, żeby dać do zrozumienia, że dość już tego gadania, że mogą sobie być nauczycielem, ale to on decyduje o przyszłości syna. Nie odzywaliśmy się do siebie już do końca podróży.

Oriol długo jeszcze słyszał astmatyczne pokaśływanie oddalającej się ciężarówki, która skręciła w wąską, krętą drogę do Estaonu.

Pensjonat w Ainet, zaniedbany budynek, stapał się z otoczeniem w wieczornym mroku. Oriol postąpił dokładnie według instrukcji: wszedł, zapytał o numer piętnaście i zachowywał się dyskretnie.

- O kogo panu chodzi?
- Piętnaście.

Recepcjonista podał mu klucz bez komentarzy i zaraz zniknął, wolał zdystansować się od tej sprawy. Odczytał numer piętnaście na metalowym breloczku. Domyślił się, że powinien się skierować w stronę ciemnych schodów. Tak. Pokój numer piętnaście. Już chciał zapukać do drzwi, kiedy przypomniał sobie o kluczu. Włożył do zamka i przekręcił. Drzwi otworzyły się z rozpaczliwym jękiem i zobaczył porucznika Marcó, który powinien znajdować się teraz w zupełnie innym miejscu ze swoimi ludźmi, siedzącego na krześle, wpatrującego się w drzwi i roztaczającego oszałamiający zapach nardu. Zabrakło mu tchu w piersiach, a serce podskoczyło do gardła: to nie był porucznik Marcó. Elisenda Vilabru, Elisenda pachnąca nardem, która teraz się podniosła, poważna, i oświadczyła jestem pierwszą osobą, która ci złoży życzenia imieninowe. Dopiero w tym momencie uśmiechnęła się nieśmiało.

Kiedy wyszedł z gmachu gubernatury wojskowej, zdarzyła mu się pierwsza w tym dniu miła niespodzianka – natknął się na swojego admiratora, towarzysza Cartellàna, z którym dzielił chwałę i niebezpieczeństwa podczas zwycięskiego marszu przez Aragonię, z którym miał honor triumfalnie wkroczyć do Katalonii, ramię w ramię, w pierwszym szeregu tych żołnierzy, którzy przegonili sowieckie, separatystyczne hordy, a mieszkańców podbitych miejscowości zmuszali do podnoszenia ramienia w faszystowskim pozdrowieniu i do wykrzykiwania niechżyjehiszpania, wiwathiszpania. I jeszcze ich zmusili, żeby powitali ich z radością jako obrońców Ojczyzny, niezwycięzonych żołnierzy okrytej sławą armii narodowej generalissimusa Franco. Przywitali się wzruszeni, wznosząc ramiona i stukając obcasami na środku ulicy, on w cywilu (niech piekło pochłonie zasrane służące z baru Marésa), a towarzysz Cartellà w pełnym nieskazitelnym umundurowaniu. Może bliżej stolicy lepiej o nich dbano niż w górach.

Pod daszkiem kawiarni Sendo, obserwowani z daleka przez dwie pary zaniepokojonych oczu, obaj falangiści wymienili się bieżącymi informacjami i Targa pouczył starego druha, żeby zapamiętał na całe życie, że nawet w wojsku i w urzędach są ludzie zdolni rzucać kłody pod nogi prawdziwym patriotom.

– Niemożliwe.

– Tak. Wojskowi.

– Ty rób swoje. My tu wszyscy cię podziwiamy.

Może nie będzie wcale tak trudno zostać zastępcą lokalnego przywódcy Ruchu Narodowego.

– Naprawdę?

– Jeszcze jak! Jak to się mówi, jesteś w zapalnej strefie, przy granicy, a udaje ci się trzymać za mordę wszystkich mieszkańców.

– Tak, tak, ale jeden pieprzony pułkownik ma do mnie o to pretensje. Będę musiał się poskarżyć Sagardii. Albo Yustemu.

– Znasz ich osobiście? – Oczywiście jak spodki, otwarte usta.

– Bardzo dobrze. – W euforii: – Chcesz, to cię przedstawię Yustemu. Co dziś robisz?

Elisenda podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz. Diamenty w kolczykach co rusz eksplodowały miniaturowym blaskiem po obu stronach twarzy. Oriol stał nieruchomo, wyprostowany, nie wiedząc, jak się zachować. Przez chwilę jak w delirium przeszło mu przez myśl, że może Elisenda należy do partyzantki. Stanęła przed nim i powiedziała dziękuję, że przyszedłeś, a on już miał na końcu języka myślałem, że to spotkanie z porucznikiem Marcó i... Ujęła jego dłonie w swoje i powiedziała kochany Oriolu, wiem, że jesteś sam, od kiedy twoja żona cię..., no więc, musisz się czuć bardzo samotny. Chcę ci pomóc, bo czuję się za to odpowiedzialna.

– Nie mam pojęcia, co masz na myśli. – Oriol spłoszył się i stał się ostrożny.

Przypomniałem sobie, jak mnie zapewniała, że małemu Venturze nic się nie stanie, i co teraz miała mi do powiedzenia, nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Ona, jakby odgadła jego myśli, wspięła się na palce i pocałowała go w usta, pozbawiając go powietrza, wątpliwości i pamięci, przecież to niemożliwe, żeby taka dama zainteresowała się kim takim jak ja, który...

Zainteresowała się do tego stopnia, że na długo przywarła do niego ustami i pocałunek przerwała dopiero wtedy, kiedy zabrakło jej tchu; spojrzała mu w oczy, pogładziła ręką i pomyślała oto mężczyzna honorowy, wykształcony i przystojny. Już mi się nie wymknie.

Puste miejsce. Bazgroły. Na pewno Oriol Fontelles bił się z myślami, czy należało powiedzieć córce, że miał niemożliwą kochankę, której imię ukrywał z niewiadomego powodu. Rozumiała jego wątpliwości, ale mimo woli zaczęła nienawidzić Oriola, bo ta randka odbyła się w tym samym pensjonacie, w

którym Jordi. W którym. W którym wiadomo co. Ponad pięćdziesiąt lat później, ale w tym samym miejscu.

- Podobam ci się?
- Tak, bardzo. Ale przecież...
- Wiedziałaś. Kiedy mnie malowałeś... wiedziałaś.
- Ale ty, no wiesz, ty masz męża i tak dalej...
- A ty żonę. Dlaczego ostatnio mnie unikałeś?
- Nie, nieprawda.
- Dlaczego? – nalegała. – Oriolu, patrz mi w oczy.

Oriol poważnie się zastanowił, zanim wypowiedział słowa:

– Chyba się domyślasz. Mam wrażenie, że mogłaś bardziej się postarać, żeby nie dopuścić do śmierci tego...

– Valentí Targa – nie pozwoliła mu dokończyć – oszukał mnie. Przysięgał, że chce tylko postraszyć ludzi, że chłopcu nic się nie stanie.

- A ty mu uwierzyłaś.
- Kiedy wróciłam, było już po wszystkim.
- Dlaczego go nie zadenuncjowałaś?
- A ty dlaczego nie złożyłaś donosu?

Zamilkli. Mało brakowało, a spotkanie w tym momencie by się skończyło, ale mimo ryzyka te słowa musiały zostać wypowiedziane przed wejściem do raju. Elisenda podeszła do Oriola, położyła mu ręce na ramionach, spojrzała w oczy i cały jego opór prysł w jednej chwili. Uśmiechnął się zamyślony, ona mu odpowiedziała tym samym i oświadczyła spokojnym głosem, z tą naturalną pewnością siebie, która emanowała wszystkimi porami jej skóry: – Nie pozwolę, żeby ktokolwiek, wszystko jedno kto, rozdzielił nas teraz, kiedy się odnaleźliśmy.

Cofnęła się krok i mówiła dalej:

– Wyjaśnijmy sobie coś: ty mi się podobasz, ja ci się podobam i nikt nie powinien stanąć na przeszkodzie naszym uczuciom. W porządku?

- W porządku.
- I jeszcze: nikt nie powinien o tym wiedzieć. Przede wszystkim Bibiana.

Proponowała mu układ, reguły gry. Przyjął je z bijącym sercem. Mówiła dalej: – Nigdy, żaden adwokat mojego męża, nie może mnie oskarżyć o... No, o zdradę małżeńską. Nigdy. To mój warunek.

- Ta sytuacja jest nieco...
- Podobasz mi się. Ja ci się podobam?
- Tak, bardzo. Pod każdym względem.
- No, to nie ma o czym mówić. Jakikolwiek problem z moim mężem, jeśli by się pojawił jakiś problem, to moje, nie twoje zmartwienie. Zgoda?
- Jestem... Sam nie wiem. Zaskoczony.
- Skoro zrobiłaś to, o co cię prosiłam w liście, wiedziałeś, co zastaniesz.

– Myślałem, że. No, nieważne.

Postąpił krok do przodu, nie myśląc o niebezpieczeństwie. Zrobił ten krok. Podszedł do Elisendy, podniósł jej podbródek z poufałością, o której nawet nie śmiał marzyć, odsunął na bok wywołujące poczucie winy wspomnienie Rosy z nabrzmiętym brzuchem i małego Ventury z ołowiem w oku i przymknął powieki, by zachłysnąć się zapachem nardu.

– Spodobałaś mi się od pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłem.

– A ty mnie.

– Ale to jest... szaleństwo.

– Ja wszystko załatwię.

– Nie wiem, czy ci się uda. Wiem tylko, że twoje rysy mam wryte w głowie po tylu godzinach portretowania. Zamykam oczy i widzę, jak siedzisz z szyją delikatnie odchyloną w bok, żeby wyeksponować biust. Ręce dotykają książki, a oczy...

No, wreszcie znalazła mężczyznę, dla którego warto było spojrzeć na świat w inny sposób i w razie potrzeby zdobyć się na wyrzeczenia. W końcu pojawił się mężczyzna, na którego piersi mogła oprzeć głowę.

– Jesteś poetą. Kocham cię, Oriolu.

– Prawda jest taka, że czuję się zagrożony przez tego pieprzonego, nadętego pułkownika – powiedział Valentí, obserwując kątem oka, jaki efekt wywrą na Cartellànie jego słowa. – Poza tym, jego zdaniem, partyzantka nie istnieje.

– Chcesz powiedzieć, że w Hiszpanii są partyzanci? – zapytał zdumiony Cartellà.

Ani Valentí Targa, ani adiutant generała Yustego w stopniu majora nie zniżyli się do odpowiedzi. Mijały kilometry w ciszy, urozmaicone dziurami na szosie. Towarzysz Cartellà siedział naprzeciwko i z twarzą pokerzysty podziwiał zażyłość między majorem adiutantem i jego przyjacielem Targą. Po kolejnych stu wstrząsach Valentí się odezwał: – Ja uważam, że to zdrada, żeby ci, co są po naszej stronie, mieli takie poglądy...

– Przypomnij mi, jak on się nazywa?

– Faustino Ramallo Pezón, pułkownik artylerii w sztabie gubernatora wojskowego w Lleidzie. Pięćdziesiąt dziewięć lat. Kawał pedała. Zajmował się pracą biurową podczas naszej Sławetnej Wyprawy Krzyżowej. Czyli że nie pokazał na froncie, czy ma jaja. Odkomenderowany do Lleidy trzy miesiące temu.

– Możesz być pewien, że generał Yuste zmyje mu głowę.

Niemy podziw Cartellàna cały czas rósł.

– Dziękuję, majorze. A przy okazji powiedz mu, że w przyszły piątek jest zaproszony na falangistowską uroczystość w Sort. Ciebie też zapraszam, Cartellà.

Towarzysz Cartellà stłumił westchnienie podziwu, wyglądając przez okno. Właśnie mijali solanki w Gerri. Przy wyjeździe z miasteczka samochód musiał gwałtownie zahamować. Na bocznej drodze do Peramei stał wojskowy patrol.

– Kto kazał ustawić patrol w takim miejscu? – major rzucił pytanie w powietrze. – Zwrócił się do szofera: – Zwolnij. Zobaczmy, czego chcą.

Opuścił szybę, żeby nieznajomy kapitan mógł zobaczyć jego twarz.

– O co chodzi? – zniecierpliwiony zapytał komendanta patrolu.

Cartellà spojrzął na Valentína i puścił do niego oko pod wrażeniem tej rozmowy.

– W Sort była eksplozja.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem? A gdzie jest generał?

– Proszę wysiąść.

– Co? Dlaczego nie pytacie o hasło?

Trzej żołnierze dołączyli do kapitana i jeden z nich szarpnął drzwi samochodu.

– To zasadzka – zdążył powiedzieć Valentí Targa, zanim rozległy się dwa strzały i szofer łagodnie oparł głowę na kierownicy, jakby nagle poczuł nieodparty przypływ senności. Wtedy gwałtownie otworzyły się drzwi z drugiej strony, których nikt nie pilnował. Ktoś wepchnął czarnego lśniącego stena i wystrzelał pół magazynku, biorąc na muszkę falangistę Cartellàna, a w tym samym czasie, z tyłu, drugi mężczyzna celował w majora adiutanta. Jasny płaszcz Valentína Targi tak został zalany krwią, że on sam wydawał się bardziej poszkodowany niż pozostali. Udawał martwego, z otwartymi ustami, i usłyszał, jak ten, który pełnił rolę dowódcy, mówi zrobiliśmy z niego sito. Wracamy.

To ona przejęła inicjatywę. Pomogła mu się rozebrać, pociągnęła go za rękę w stronę łóżka, gdzie tymczasem dwie czy trzy butelki z gorącą wodą walczyły z niemożliwym zimnem pościeli. Ich zbliżenie było namiętne, bardzo namiętne z jej strony, z coraz bardziej aktywnym jego udziałem, aż wreszcie odrzucił wspomnienie Rosy i milczący wyrzut w jej oczach oraz strach, że za chwilę Valentí, z równym przedziałkiem, zamiast jechać do Lleidy i dać się zabić po raz drugi, wywali drzwi, podkręci palcem swój wąsik i powie patrzcie go, skurwysyna, czy teraz nadal będziesz się ze mną kłócił, że Elisenda to nie dziwka? Co? Nie masz prawa jej rżnąć, ja byłem pierwszy, a poza tym, ty trzymasz z partyzantami, a po tych słowach do mnie strzeli, ale nie w głowę ani w serce, tylko tam, gdzie najbardziej będzie bolało, na przykład w jądra, i będzie czekał cierpliwie, aż się wykrwawi i powoli ujdzie z niego życie przez nieubłaganą jamę bólu.

– Czy nie powinnaś czegoś wziąć...

– Zabezpieczyć się?

– No, nie wiem...

Objęła go i pozwoliła na penetrację, a wszystko stało się niewiarygodną

eksplozją rozkoszy.

Dwie godziny później Elisenda wyzwoliła go ze swoich łańcuchów i oświadczyła, że na tym nie poprzestanie, bo ty jesteś kimś wyjątkowym w całym miasteczku i w całych górach. Przyjechałeś motorem?

– Nie. Zabrałem się z Serrallakiem, kamieniarzem. Motor mi się zepsuł.

Na zewnątrz zapadł już mrok. W miejscu, gdzie pięćdziesiąt sześć lat później pewien zamarznęty citroen będzie opłakiwał zdradę, stał czarny samochód Elisendy Vilabrú z ciemnym cieniem w środku.

Elisenda, otulona futrem, dała znak i samochód podjechał powoli, złowrogo. Otworzyła drzwi obok szofera i wpuściła Oriola.

– Zostawimy cię na rogatkach miasteczka.

Zajęła miejsce z tyłu, sama. Wtedy Oriol przyjrzał się kierowcy: milczący facet ze szramą na twarzy, niejaki Jacinto Mas, który spojrział na niego z głębokim wyrzutem i uruchomił samochód bez słowa, nie oskarżając go o pieprzenie się z jaśnie panią, tak jakby w ogóle go tam nie było. Szofer zerknął we wsteczne lustro. Bardzo dobrze, Jacinto, świetnie się spisałeś. Przez całą drogę do Toreny nikt się nie odezwał. Zapach nardu już się całkiem ulotnił, ale pozostał w pamięci Oriola i Jacinta.

Kiedy Elisenda Vilabrú dotarła do domu Gravat, ze świeżym jeszcze wspomnieniem miłości, zauważyła coś dziwnego. Ona wie, pomyślała. Mimo zachowania wszelkich środków ostrożności, Bibiana jakoś się domyśliła. Była przekonana, że to właśnie wyczytała w spojrzeniu Bibiany, kiedy tamta otworzyła przed nią drzwi. Dlatego kiedy weszła do salonu i zobaczyła go z obstawą, przestraszyła się, bo nie tego oczekiwała. Stojąc na baczność naprzeciwko tych groźnych mężczyzn, czuła się nieswojo. Santiago ją szpieguje, wykorzystując jej goła! Zapytała co się dzieje, no, co tu się dzieje, tylko żeby zyskać na czasie.

W odpowiedzi Valentí pochylił się i podniósł z ziemi zawiniątko. Rozwinął tak, żeby mogła dokładnie obejrzeć: jasny płaszcz zamieniony w krwawą szmatę. I koszula też. Co za obrzydliwość.

– Co się stało?

– Chcieli mnie zabić.

– O mój Boże – westchnęła z ulgą, to tylko to. I jeszcze zapytała o ubranie: – A skąd ta krew?

– Należy do innych bohaterów, innych męczenników.

Valentí energicznie poruszył głową. Balansó i Gómez Pié wyszli z pokoju. Po chwili Elisenda usłyszała, jak zamykają się za nimi drzwi domu. Odzyskała panowanie nad sytuacją.

– Opowiedz mi wszystko po kolei.

– Nie, to zbyt przykre.

- To czego chcesz?
- Jeszcze nie skończyłem mojej misji.
- Brakuje Josepa z domu Maria del Nasi.
- Tak.

Nie pytając o pozwolenie, wbrew zasadom, jakie narzuciła w Burgos, Valentí usiadł w pierwszym z brzegu fotelu. Tym samym, w którym usiądzie Tina pięćdziesiąt lat później. Choć próbował to ukryć, był wyraźnie poruszony.

- Po co przyszedłeś?
- Tobie jest obojętne, czy mnie zabiją.
- Nieprawda – powiedziała, ciągle stojąc. – Czego chcesz?
- Więcej pieniędzy.
- Więcej? Więcej niż teraz inkasujesz?
- To się staje coraz bardziej niebezpieczne. Więcej pieniędzy albo z nami kwita.
- Ile ci jeszcze zajmie zlokalizowanie Josepa z domu Marii?
- Mogę porwać upośledzonego i w ten sposób zmusić Josepa, żeby się ujawnił. Cassiànowi brakuje piątej klepki.
- Czasem sam zachowujesz się jak idiota – ucięła stanowczo. I jeszcze mi nie powiedziałeś, co z tym wszystkim ma wspólnego Ventura.
- Jestem burmistrzem, nie tylko twoim golem.

Nie targowali się, bo Elisenda nie mogła dopuścić, w żadnym wypadku, żeby jej goel się wycofał, zanim zakończy swoją misję. Wynagrodziła mu hojnie ten nowy strach i Valentí oszczędł pogodzony z własnym losem. Nie, nie pogodzony: zachwycony, ponieważ osiągnął o wiele więcej, niż mogło mu się zamarzyć. Eloi Cartellà, chlubo twego miasta, Tàrregi, wyświadczyłeś mi wielką przysługę. Towarzysz Cartellà, obecny.

W nocy, w barze Marésa, opróżniwszy butelkę anyżówki w towarzystwie trzech swoich ludzi, wziął Modesta na stronę i rzucił przed nim na wyszczerbiony marmurowy stolik górę banknotów, legalnych biletów bankowych, prawie nieużywanych, nie licząc ich, żeby w ten sposób zademonstrować swoją pogardę. Gruby plik. A potem poszedł na górę do swojego pokoju bez słowa i Modest nie usłyszał ani to mój dług, ani dziękuję za cierpliwość, ani pieprzę dusigroszów z baru Marésa, ani zawdzięczam życie twojej córce, która nie uprała mi koszuli, ani dobranoc. Pozbierał banknoty z mieszanymi uczuciami ulgi i wstrętu. Gdyby tylko mógł.

Następnego dnia burmistrz Targa musiał być do dyspozycji śledczych i władz, brał udział w czuwaniu przy zwłokach i dodawał animuszu swoim druhom, żeby lęk nie paraliżował ich działań. A wieczorem sesja malarska w ratuszu: jeśli mają go zlikwidować, trzeba się pośpieszyć z ukończeniem portretu.

- Widzisz?

Pomachał gazetą i rzucił ją na służbowy stół rady miejskiej. Oriol odłożył pędzel do naczynia z terpentyną, mając szczerze dość ciągłego przerywania, i przeczytał, że w tym samym nieszczęśliwym wypadku drogowym również stracił życie towarzysz Eloi Cartellà, z miasta Tàrrega, lokalny przywódca Falangi Hiszpańskiej i pechowy pasażer owego samochodu.

– A jak to się stało?

– To nie był wypadek. Tak się mówi po to, żeby nie wybuchła panika. Chcieli mnie załatwić. Chcą mnie dopaść.

– A skąd pan wie, że to o pana chodziło?

– Biednego Cartellàna podziurawili jak sito.

– To pewnie jego szukali.

– Jego nikt nie zna. – Wziął gazetę w dwa palce i pociągnął w swoją stronę. – Natomiast ja... No, po prostu, jestem znany.

– Ale zabili tamtych dwóch.

– Cartellàna zabili dlatego, że nosił mundur.

– Ależ on wcale nie jest do pana podobny!

– Ci, którzy strzelali, nie wiedzieli, jak wyglądam. Uratowałem się, bo byłem w cywilu. I dzięki temu, że udawałem martwego.

Popatrzył ponuro, niezadowolony, że Oriol się z nim nie zgadza w tej kwestii: ofiarą miał zostać on. Tylko on.

Oriol znów zajrzał do gazety. Piekły go oczy. Może z braku snu. Usłyszał, jak Valentí mówi to już drugi zamach w krótkim czasie.

– Drugi?

Tamten zrobił gest nie ma o czym mówić, zostawmy ten temat. Oriol zrozumiał, że powinien nalegać.

– Co znaczy drugi zamach?

– Im bardziej się starają, żeby mnie wysłać do grobu – wyrecytował Valentí, składając coś w rodzaju deklaracji – tym większą mam ochotę załatwić tych wszystkich kolaborantów. Jednego za drugim. Bez nienawiści, na zimno, w imię sprawiedliwości. Poczynając od Ventury z domu Ventura, który według mnie stoi za tym zamachem.

– O mój Boże.

Valentí uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Jaja ci drętwieją ze strachu, co?

Cisza. Po chwili ciągnął dalej:

– Ventura prowadzi swoją własną wojnę. Tak jakby chodziło o coś osobistego.

– Skąd pan wie?

– Niemiecki wywiad. Mają tam swoich ludzi. Ale wygląda na to, że Ventura otrzymuje rozkazy od jakiegoś kapitana Eliota.

– Kto to taki?

– Tego jeszcze nie wiemy.

Oriol położył gazetę przed swoim wrogiem. Zakręciło mu się w głowie. Wrócił przed sztalugi, gdzie czuł się pewniej.

– Dlaczego pan uważa, że to już drugi zamach?

Zapewne, żeby się pochwalić, bo zawsze jest miło uchodzić za odważnego w oczach kogoś tak wykształconego jak nauczyciel Fontelles, nieważne zresztą, z jakiego powodu, w każdym razie Valentí opowiedział ze szczegółami, co się wydarzyło w dniu, kiedy pojechał do Barcelony, żeby się spotkać z Pączuszkim, pamiętasz? no i właśnie wtedy.

– I co się wydarzyło?

Valentí opowiedział mu to, o czym wiedział, tyle że z perspektywy kogoś, kto patrzy w kierunku ściany i nie widzi, co się dzieje za nim. Targa doszedł do wniosku, że musiał to być ktoś z miasteczka, ktoś bez wojskowego doświadczenia, bo chybił, strzelając z pozycji, z której trudniej jest chybić niż trafić.

Nagle wstał, otworzył szufladę, wyciągnął pistolet, podszedł do sztalug, stanął za Oriolem i wycelował w jego potylicę.

– Z takiej odległości – powiedział. – Uważasz, że można chybić?

Oriol, nie mając siły uciekać, zamknął oczy i czekał na strzał.

– Skoro papież Juliusz II, pełniąc funkcję opata komendatoryjnego w Montserrat, mógł ufundować gotyckie krużganki klasztoru jeszcze zanim został papieżem Juliuszem II, będąc wciąż Giulianem della Rovere – powiedział, odkładając folder na miejsce – to pani Elisenda Vilabrú, wdowa Vilabrú, jest gotowa zapłacić każdą cenę, nie przesłyszał się pan, dosłownie każdą cenę, żeby ślub mógł się odbyć dwudziestego czwartego kwietnia.

– Rozumiem, że rozmawiamy o roku siedemdziesiątym drugim.

– Nie. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym. Dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego.

– To szaleństwo. Zostało raptem sześć miesięcy.

– Czasu jest aż nadto.

– Cały dzień już jest zarezerwowany.

– Proszę odwołać rezerwacje. Jeśli da mi pan adresy wszystkich zainteresowanych, sam ich przekonam. Chcę mieć bazylikę do dyspozycji od dwunastej.

– Proszę mnie zrozumieć, mamy swoje zasady. Polecono mi nie odwoływać terminów pod żadnym pozorem.

Adwokat Gasull popatrzył z politowaniem na pracownika agencji. Zrobił zatroskaną minę, wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął z niej plik nowiuteńkich banknotów.

– To dla pana tylko za to, że mnie pan wysłuchał.

– Co to ma znaczyć? – zareagował nieco spłoszony samą formą, ale widać było, że oczy mu się śmieją do pieniędzy.

– A jeśli poza słuchaniem postara się pan tak wszystko zorganizować, żeby dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego, za pół roku, mogły się tu odbyć zaślubiny pana Marcela Vilabrú i Vilabrú z panną Mercedes Centelles-Anglesola i Erill, może nawet stać będzie pana, żeby rzucić tę robotę.

Pracownik agencji poczuł, że zasycha mu w gardle. Właśnie uczestniczył w pierwszej transakcji kupna i sprzedaży godnej tej nazwy, od kiedy zaczął zarządzać biurem, z nakazem absolutnej stanowczości w kwestii ślubów w Montserrat; wszyscy by chcieli się żenić właśnie tam i są zdolni do, no, sam rozumiesz. Zrozumiał w lot, bo już mu się zdarzało delikatnie interweniować i czasem otrzymywał dyskretne wyrazy wdzięczności. Ale teraz gra szła o wielką stawkę.

– Obiecuję, że zrobię, co się da, że się postaram.

– Nie chcę, żeby pan się starał. Chcę, żeby pan to załatwił.

Usta już całkiem spierzchnięte. Włożył kompromitujący plik banknotów do szuflady, patrząc z uśmiechem na hieratycznego adwokata Gasulla. W tym roku wreszcie spędzi urlop na Lanzarote, pomyślał, ciągle jeszcze oszołomiony grubością pliku.

Nikt nie wątpił w to, że dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku, o dwunastej w południe, pomiędzy sekstą a noną, Marcel i Mertxe pobiorą się przed głównym ołtarzem klasztoru w Montserrat, panna młoda w zwiewnej bieli, z fotografami uwijającymi się pomiędzy osobistościami ze strony pana młodego i panny młodej. Nikt nie zastanawiał się nad *Matutina ligat Christum, qui crimina purga; Prima replet sputis causam dat Tertia mortis; Sexta cruci nectit; latus eius Nona bipertit Vespera deponit; Completa reponit*, bo wszyscy mieli co innego do roboty, obserwując kątem oka, kto przyszedł, zapamiętując ze złośliwą satysfakcją, bo wśród obecnych znaleźli się i tacy, którzy nie zostali wezwani, by zasiąść po prawicy Ojca.

Gubernator cywilny i lokalny przywódca Ruchu Narodowego, ze spoconą łysiną i wilgotnymi dłońmi, był jedyną osobą spośród oficjalnych gości, która nietaktownie zjawiała się w galowym mundurze, mimo aktualnego trendu unikania zewnętrznej ostentacji falangistowskiej, bo ci, którzy teraz sprawowali władzę, uważali, że lepsza jest skuteczność niż widoczność, być obecnym tam, gdzie trzeba, i rządzić w imię Boże i w imię Bożego Dzieła. Delikatnie, lecz stanowczo. Z pokorą, lecz ambitnie. Wyjątek stanowili dwaj pułkownicy i generał, którzy, owszem, zasługiwali na to, by wystawić na widok publiczny medale na dzielnej piersi. Zwróćmy uwagę na wspaniałą suknię panny młodej, kreację Chary Rodríguez, uszytą w całości z dwustronnej satyny, ze śmiałym, płaskim dekoltem i z bardzo długim, dawno już niespotykanym trenem. Na głowie miała kapelusz ozdobiony czymś w rodzaju eleganckiego wianuszka z białych leśnych kwiatów, których zapachu mógł się tylko domyślać wasz specjalny wysłannik z odległości, na jaką go skazano. Delikatny jak mgiełka welon wieńczył niezrównane dzieło Chary Rodríguez, spływając z gracją z ramion panny młodej. W dłoniach nieszczęsna panna, która jeszcze nie wiedziała, że zawierając małżeństwo, wbija sobie cierń, który na zawsze pozbawi ją uśmiechu, trzymała zgrabny bukiet białych i różowych róż zmieszanych z pachnącym jaśminem, dzieło firmy Mateu & Trias (według relacji naszego specjalnego wysłannika).

To najważniejsza z instytucji społecznych, podstawa i fundament wszystkich pozostałych; małżeństwo jest instytucją naturalną, społeczną, religijną i cywilnoprawną. Nie będę się teraz odwoływał do etymologii słowa

matrimonium, tylko przypomnę, że pochodzi od łacińskiego *matris munium*: dosłownie ciężar spoczywający na matce, obowiązek wydania na świat potomstwa, co jest istotą i celem teologicznym sakramentu. Już święty Tomasz z Akwinu zdefiniował trzy główne cele tej instytucji, czyli prokreację, wychowanie potomstwa i troska o wzajemne dobro małżonków, a warunkami koniecznymi realizacji jego celów są: jedność, płodność, nierozzerwalność, religijność i legalność. Słuchając tych słów pani Elisenda przewinęła w pamięci film z historią swojego małżeństwa z Santiagiem i miłości do Oriola, jedyne go mężczyzny, którego uważała za wyjątkowego, i swojego związku z tym skurwysynem Quique Esteve. W tym momencie uroniła jedną, dobrze wykalkulowaną łzę, bardziej nad sobą niż pod wpływem chwili, w której państwo młodzi mieli powiedzieć tak, tak, on dlatego, że nie widział innej możliwości, bo jak uniknąć tego, o czym mama zadecydowała, a poza tym, kobitka jest taka, że palce lizać, nie pasuje mi tylko, że trzeba się żenić, wiązać sobie ręce w tak młodym wieku, a wtedy Quique czy jakiś inny powiernik z ostatniego, rozpaczliwego kawalerskiego tygodnia Marcela pocieszał go no widzisz, na każdego przychodzi ta chwila, co komu pisane, tego nie unikniesz. Natomiast Mertxe zdawała sobie sprawę, że łączy się na całe życie z jednym z największych w kraju majątków, o którym niektórzy mówili z przesadą, że jest bardziej solidny niż Bank Hiszpanii. Marcelowi wydawało się, że zdołał utrzymać w największym sekrecie, jednym z niewielu, do których mama nie miała dostępu, swoje autentyczne zakochanie, mimo oporów przed ożenkiem. Zupełnie stracił dla niej głowę. Okres narzeczeństwa upłynął bardzo szybko, spokojnie i prawidłowo, zaliczyli parę błahych kryzysów i tylko kilka skoków w bok Marcela. Nawet kiedy umówił się z Lisą Monells, żeby się pożegnać, czuł lekkie wyrzuty sumienia, bo Mertxe na to nie zasługiwała. Ale należało zakończyć tę historię, w końcu był dzentelmenem. A przy tym Lisa pieprzy się jak prawdziwy anioł. A w życiu lepiej nie palić za sobą wszystkich mostów. Dopóki Mertxe o tym nie wie, nie robię jej krzywdy. Zadzwońię do ciebie, Liso, przysięgam.

– Co?

– Teraz pan powinien powiedzieć tak.

– Tak, mammo.

Słyszysz, kochany? Już go ożeniliśmy. Myślę, że to świetna partia.

Na oficjalnym zdjęciu widać, niczym podsumowanie tej wspaniałej ceremonii, szlachetny gest młodego Vilabru zakładającego obrączkę nieszczęsnej pannie młodej. Według naszego specjalnego wysłannika do Montserrat, spekulowano, kto będzie godny celebrować ceremonię: sam opat Montserrat, biskup z Seu czy monsinior Escrivà de Balaguer. Ale szacowna rodzina Vilabru w geście, który przynosi jej zaszczyt, powierzyła celebry skromnemu, młodemu księdzu z prowincji, Fernandowi Relli. Mimo młodego

wieku uchodził już za błyskotliwego teologa, może nazbyt zasadniczego, bo jego kazanie okazało się nudnawe. Sprawował funkcję proboszcza parafii pod wezwaniem Świętego Piotra w Torenio, idyllicznym, odległym zakątku w Pirenejach, kojarzonym obecnie przez cały cywilizowany świat z rewelacyjnymi obiektami do uprawiania sportów zimowych, które z każdym dniem zyskują coraz więcej amatorów. Ten sympatyczny gest, zaproszenie proboszcza skromnej, prowincjonalnej parafii z miejscowości, z której wywodzi się ów sławny ród, komentowali z uznaniem wszyscy goście.

Na prywatnej audiencji, bez udziału prasy, opat przyjął państwa młodych, matkę pana młodego i stryjecznego dziadka pana młodego. Ksiądz August Vilabru, który żył uczepiony drzącą ręką laski z dębu i kości słoniowej, podziękował w milczeniu za gest ojca opata, który najpierw pobłogosławił nowożeńców, a potem się schylił, żeby ucałować jego pomarszczoną dłoń. Pani Elisenda kazała nieszczęsnej parze iść już na nudną, lecz niezbędną sesję fotograficzną z zaproszonymi gośćmi żebyśmy nie musieli siedzieć tu na górze Bóg wie jak długo. Wreszcie zostali tylko we troje.

– Ile ksiądz powiedział?

– Dziewięćdziesiąt trzy, ojciec opacie.

– Mało kto może się poszczycić osiągnięciem tak pięknego wieku w tak dobrej formie.

Kłamstwo. Miłosierne, ale kłamstwo, bo ojciec opat wiedział, że ksiądz August opublikował ostatnie dziełko, to o zastosowaniu pochodnych w twierdzeniu o wartości średniej, w końcu lat pięćdziesiątych, a od ciężkiego ataku apopleksji trzy lata temu już nie wrócił do zdrowia i nawet czytanie brewiarza i modlitwa stanowiły dla niego wysiłek, i zostało mu już tylko rozmyślanie o własnościach liczb pierwszych. Opat nie wiedział, że atak apopleksji był jedynie odpowiedzią jego śmiertelnego ciała na ostrą wymianę zdań z jego oczkiem w głowie, diamentem, który ja zmieniłem w brylant, ale który, żebym to wiedział dlaczego, mój Boże (*felix qui potuit rerum cognoscere causas*), stał się jednym z tych tombakowych pierścieni z okazałym brylantem, kryjącym złowieszczą trucizną działającą w parę minut. Ta, którą wychowałem w miłości do Boga i świętego, powszechnego i apostołskiego Kościoła rzymskokatolickiego, naszej matki, w kulcie duchowości ojca Henryka d'Ossó, którego jakże zasłużonej beatyfikacji już nie doczekam, w szacunku dla wielkiego dzieła Bożego stworzenia... Ona, moja duchowa córka, pociecha mojej starości, która nie chciała zgłębiać matematyki, bo wolała się bogacić, ona, najmądrzejsza z kobiet, jakie kiedykolwiek znałem, która stała się szatańsko sprytna... już na zawsze wypełniła moje serce mrokiem. Tylko że ojciec opat o tym wszystkim nie wiedział. Nikt też nie zauważył, że właśnie sytuacja miała się powtórzyć. W odpowiedzi na życzenia opata, ksiądz zrobił

wolną ręką nieokreślony ruch, który mógł znaczyć wszystko. Opat się uśmiechnął, niczego nie rozumiejąc, a pani Elisenda czekała, czujna. Aż zdecydowała, że to właściwy moment, i powiedziała swoim najbardziej przymilnym, perswazyjnym tonem stryj chciał przypomnieć, że obiecał ojciec interweniować w sprawie beatyfikacji czcigodnego Oriola Fontellesa.

– Ja nie...

– Cicho, stryju, niech stryj dopuści do głosu ojca opata... – Troskliwa, pochyliła się nad krzesłem kapłana.

Serce księdza Augusta nagle niebezpiecznie przyspieszyło. Żeby pominąć przeszkodę w postaci Elisendy, nieśmiało podniósł palec, ale ojciec opat tego nie zauważył. Nawet ten nieśmiały gest protestu, jak się dobrze zastanowić, był grzechem, a on, stojąc nad grobem, wolał uniknąć poczucia winy z powodu popełnienia poważnego przestępstwa insynuowania informacji, która do niego dotarła pod straszną tajemnicą spowiedzi. Na wszelki wypadek opuścił palec.

– Tak też postąpiliśmy, córko. – Ojciec opat spojrzał na nich zadowolony. – Jeszcze przed końcem roku zostanie wyznaczony nowy postulator w tej sprawie. Osobiście mnie o tym zapewnił biskup z Seu.

Wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Elisendą, wskazując na starca, który spuścił wzrok, przytłoczony skrupułami.

– Bardzo ksiądz zmęczony, prawda? – zapytał.

Pomógł mu podnieść się z krzesła, które specjalnie w tym celu zostało umieszczone na krużganku, gdzie przyjmowano gości, objął go z synowskim afektem, wymienił krótki uścisk dłoni z damą i z ojcowskim uśmiechem patrzył, jak oddala się przygarbiona sylwetka jego dawnego profesora, który prowadził go przez wertepy i uroczyska trygonometrii i rachunku różniczkowego przez pięć lat, które spędził w Rzymie, wspierana troskliwą ręką tej eleganckiej kobiety, jego bratanicy. Ksiądz August i pani Elisenda przekalkulowali odpowiednią odległość, dziesięć powolnych kroków, dzielącą ich od usłużnego uśmiechu brata furtiana, po drugiej stronie krużganków.

– Musisz się z tego wycofać.

– Nie. Oriol zasłużył na pamięć.

– Jesteś plugawą, odrażającą ladacznicą.

– O ile dobrze rozumiem, spowiednik, który odważy się ujawnić tajemnicę sakramentalną – odezwała się, nie podnosząc głosu – podlega ekskomunice wiążącej mocą samego prawa, zarezerwowanej Stolicy Apostolskiej.

– Bądź przeklęta.

– Kanon tysiąc trzysta osiemdziesiąt osiem, stryju. Taka jest prawda.

– Nauczyciel wcale nie był święty. To tylko twój kochanek.

– Kodeks prawa kanonicznego, stryju. Beatyfikacja się dokona, czy tego chcesz czy nie.

– Może zechcą państwo chwilę odpocząć? Może ksiądz? Może pani?

– Nie, nie, dziękujemy. Goście na nas czekają.

Ksiądz August płakał w duchu i nie słyszał pytania brata furtiana. Spróbował podnieść głowę z wypisanym na twarzy grymasem wewnętrznego bólu, który brat furtian zinterpretował jako wyraz radości z owego szczęsnego związku.

Kiedy przekroczyli drzwi, opuszczając strefę klasztorną, wystawili się na bezlitosny ostrzał fleszy fotografów kolorowej prasy, który całkowicie otumanił księdza Augusta. Z tyłu, za prasą, grupa roześmianych dziewcząt z plecakami przyglądała się, jak ta dziwna para schodzi po schodach w błyskach fleszy, i dziewczyna z warkoczami i oczami w kolorze górskiej trawy powiedziała to chyba państwo młodzi, co? I wszystkie dziewczęta zaczęły się głośno śmiać, żeby wyładować nadmiar witalności, która w nich aż kipiała. Jacinto, gdzie ty masz głowę, i to już od paru dni, do czego to podobne, żebym musiała czekać, aż raczysz podstawić samochód, co? Przepraszam, proszę pani. Wybacz, Elisendo, ale masz przepiękne oczy, kiedy się gniewasz. Bardziej niż wtedy, gdy panuje w nich spokój.

Po zakończeniu zapierającej dech ceremonii, prywatnych audiencji i nużącej, lecz niezbędnej sesji fotograficznej, oficjalni i nieoficjalni goście spotkali się ponownie w luksusowym hotelu w centrum, w którym impreza, ku powszechnej radości, miała toczyć się dalej, włączając w to nową, już trochę nudną, lecz niezbędną sesję fotograficzną w hotelowych ogrodach. Okazało się, że trzeba było zaadaptować dodatkowo dwie sale tego prestiżowego lokalu, żeby pomieścić liczne grono zaproszonych. Najlepsze towarzystwo i, jakżeby inaczej, stara arystokracja, wszyscy spotkali się przy spektakularnej okazji zaślubin dziedzica imperium sportowego marki Vilabru (Brusport, Brusport Obiekty Sportowe, Stacja Narciarska Tuca Negra S.A., Vilabru Sportwear) z Mertxe Centelles-Anglesola i Erill, przedstawicielką jednego z najznamienitszych rodów z doborowego, elitarnego środowiska starej arystokracji. Przez ojca Mertxe Centelles-Anglesola jest spokrewniona z rodem Cardona-Anglesola (przez Anglesolów), a matka Mertxe jest córką Eduarda Erilla z Sentmenat, tego z firmy Maderas Africanas, który jest prezesem rady administracyjnej Banku Zachodniego. Wielu arystokratów czystej krwi naraził na poważne straty upadek firmy Maderas Africanas, stąd podkrążone oczy zięcia Eduarda Erilla z Sentmenat, pana Fèlix Erilla z Sentmenat, który dokładnie siedem dni temu sprzedał ostatnie posiadłości w Argentynie, by zaspokoić roszczenia wierzycieli. Tak, pani Elisendzie Vilabru. Nie, za rozsądną cenę, bo wszystko można powiedzieć o pani Vilabru, ale nie to, żeby żerowała na cudzej krzywdzie. Operacja szybka, dyskretna, korzystna dla obu zaangażowanych stron, jak to się mówi. Można wręcz uznać, że wszystko zostało w rodzinie, bo jeżeli szczęśliwi małżonkowie będą mieli syna, to ten syn będzie prawdziwym Vilabru-Centelles-Anglesola i Vilabru Erill z

Sentmenat, po ojcu będzie potomkiem rodów Vilabrú Cabestany, Vilabrú-Comelles, Cabestany Roure oraz Vilabrú Ramis z tej gałęzi rodu Vilabrú, która mieszka w Torenie, i rodu Ramis od strony Pilar Ramis z Trívii, tej pół dziwki, pół latawicy, o której lepiej nie wspominać przez szacunek dla biednego Anselma, a po matce będzie potomkiem rodu Centelles-Anglesola, spokrewnionego z rodem Cardona-Anglesola (przez Anglesolów), i rodu Erill z Sentmenat, reprezentowanego przez Eduarda Erilla z Sentmenat, byłego prezesa Rady Administracyjnej Banku Zachodniego, tego od Maderas Africanas, któremu już od dobrych dwudziestu lat powtarzam, żeby sprzedał firmę, zanim korniki doszczętnie zjedzą to pieprzone afrykańskie drewno, a on na to tak uważasz, tak uważasz, a teraz wszyscy mamy nóż na gardle z powodu jego bankructwa. Natomiast prawdziwe jaja jak berety ma ta kobieta, która się pławi w bogactwie, dosłownie śpi na forsie, pół świata do niej należy, a ona tymczasem całymi dniami robi koszulki sportowe do koszykówki, projektuje piłki futbolowe i rozmnaża pieniądze jak Jezus Chrystus w ogrodzie Getsemani, do diabła.

A na dodatek, kiedy podano na przystawki zapiekane szparagi w koszulkach na tostach z dresingiem (które mnie kosztowały majątek, bo za każdą sztukę płaciłem sto peset, a ta wybredna księżniczka w diademie nawet nie raczyła ich spróbować, zając się w najlepsze szparagami z puszki), pan Fèlix Centelles Anglesola musiał wysłuchiwać z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem, który miał stwarzać pozory sympatii, jak jego świeżo upieczony zieć popisuje się, opowiadając o rakietach do tenisa stołowego, którymi osobiście się zajmuję, i o negocjacjach z Sant Moritz w kwestii bardzo korzystnych ulg celnych, i o pewnym systemie nazywanym forfait, bardzo wygodnym, naprawdę, musimy jeszcze wiele się nauczyć od Europy, no tak, to naprawdę pasjonująca praca, blablaba. Przez chwilę rozmarzył się, że pani Elisenda pochyli swoją szlachetną głowę w jego stronę i powie niech się pan nie martwi, panie Fèliksie, biorę na siebie cały ten bankiet. Mogłaby tak zrobić, bo dla niej to jak splunąć. Ale ta kobieta taka już jest, że nie kiwnie nawet palcem, dopóki ja nie wyjdę z inicjatywą. A mnie nie wypada czegoś takiego nawet insynuować.

– Nie sędzę, żeby to był odpowiedni moment na takie rozmowy. – Quique (z tych Esteve, którzy prowadzili sklep spożywczy) uśmiechnął się, prowadząc pod rękę w stronę sali balowej zjawiskową siostrzenicę jakiegoś wojskowego. Elisenda zamarła z wrażenia i natychmiast zdecydowała, że to właściwy moment, by wytoczyć armatę: facet sam sobie ukręcił stryczek, za ten swój uśmieszek dostanie taką nauczkę, że popamięta na całe życie.

Nauczkę dostał nazajutrz, kiedy wróciła do Toreny. Wezwała go do domu Gravat, odczekała cierpliwie, aż Carmina pójdzie spać, wprowadziła do sypialni, użyła z nim, ile chciała, a kiedy leżał na łożku nagi, wyczerpany,

wyciśnięty jak cytryna, paląc papierosa, jak zwykle po stosunku, i rozmyślając o dziwnych kolejach losu, z nieobecnyim spojrzeniem, może porównując ją z innymi kobietami, na pewno myśląc o innych kobietach, ona narzuciła na siebie sukienkę i stojąc w drzwiach sypialni, zakomunikowała mu masz dwie godziny na zabranie swoich okularów słonecznych z szafki personelu stacji narciarskiej.

– Co takiego?

– Zostałeś wyrzucony z pracy. Już nie jesteś kierownikiem instruktorów w Tuçe. Już nie jesteś instruktorem. Jesteś nikim.

Quique się odwrócił, zdusił niedopałek w popielniczce i wstał. Stojąc przed nią, próbował zrozumieć sens tego, co usłyszał.

– Dlaczego?

– Z powodu braku kompetencji. – Spojrzała na zegarek. – Czas leci.

– Co ja ci zrobiłem?

– Pieprzyłeś się z Lali Mestres, Glòrią Collado, Mamen Vélez de Tena, która jest starsza ode mnie, z Sònią Ruiz, niepełnoletnią... – Wyjęła z kieszeni sukienki kartkę i czytała dalej: – Również z Garym Spaderem, tym anielskim blondynkiem, z Ricardito Teną, czyli zrobiłeś debel, z matką i synem. Mamen ma sześćdziesiąt lat. Nie mierzi cię to?

– Jestem dobrym instruktorem.

W ten sposób tylko potwierdzał, że faktycznie była Lali, Glòria, Mamen Vélez, był Gary, Ricardito i inni, o których nie wiesz, ty wstrętna dziwko. Bo ty nie wiesz wszystkiego; mam inny ważny debel: spędziłem dwa upojne weekendy z Mertxe Centelles-Anglesola i Erill, kiedy zrozumiałem, w jakim celu kontaktujesz się z jej rodzicami. Jeśli chcesz wiedzieć, to pewnego pięknego dnia osaczyłem twego kochanego Marcela pod prysznicem i przeleciałem go, a jemu bardzo się to spodobało. Wielki tryplet. W Ameryce nazywają to hat-trick. Mówił ci o tym ten twój synalek? Wiesz, ja lubię być pierwszy, lubię być krok przed tobą, kiedy ci się wydaje, że jesteś nie tyle krok przede mną, co nade mną; tak, owszem, lubię się z tobą pieprzyć, jesteś stara, ale masz w sobie coś, co sprawia, że trudno ci się oprzeć, nie wiem co, ale wszystko ma swoje granice, kiedy najpierw grasz uległą sukę, a potem, kiedy ja mógłbym wejść w rolę pana, upokarzasz mnie i oznajmiasz gra skończona, kochany, wracamy do realnego świata, a potem rozkazujesz, bym szedł uczyć ludzi, jak sobie połamać nogi na stoku w Teixonerze.

– Co z tego? Znajdę stu instruktorów na twoje miejsce.

Albo i nie, bo jesteś świetny. Ale nazbyt mnie dotknęła twoja obłuda, a poza tym ludzie zaczynają mówić o tym, o czym nie powinni wiedzieć. Zapomniałeś, draniu, że pierwszy i najważniejszy punkt naszej umowy dotyczył zachowania naszego związku w największej tajemnicy, nie pamiętasz, jak przysięgłeś na moją pizdę? Będę za tobą tęsknić.

- Znudziłaś się mną.
- Jestem zbulwersowana, bo nie tylko mnie zdradziłeś, ale również wygadałeś się przed Mamen. Kto jeszcze o tym wie?
- Nic nie mówiłem. Przysięgam.
- Nie masz klasy.
- Naprawdę przysięgam ci, że...
- Nie wysilaj się. Jeśli chcesz, zaproszę ją i zrobimy konfrontację.
- Jeśli będziesz się zachowywać jak kurwa, rozgłoszę wszystko w prasie.

Przysięgam ci, że mnie to zwisa. Możesz sobie wyobrazić, jaki będzie skandal?

Elisenda chwyciła jednym ruchem ubranie Quique i wyszła z sypialni. Po chwili wróciła wściekła, z ubraniami w rękach. Próbowiła się uspokoić:

- Jeżeli będziesz mi groził, nawet w żartach – powiedziała – każę cię zabić.

Wyszła z sypialni, otworzyła drzwi wyjściowe i wyrzuciła ubranie na bruk. Był to pierwszy nieprzemyślany ruch po latach przewidywania co do milimetra każdej reakcji i jej możliwych konsekwencji. Bieliznę, skarpetki, kurtkę, spodnie, podkoszulek i koszulę kochanka oblało słabe światło gwiazd. I światełko żarzącego się papierosa, który ktoś właśnie rzucił na ziemię, po drugiej stronie placu.

Dwa sygnały oznaczały nie ma patrolu z Sort na przełęczy Bonaigua. Trzy, że nastąpiło przegrupowanie wojska z Sort do Valèncii w dolinie Àneu. Pięć znaczyło broń Boże nie schodźcie w dolinę, zostańcie wysoko w górach i niech Bóg (jak się to mówi) ma was w swojej opiece, jeśli taka Jego wola. Więcej niż pięć sygnałów oznaczało lepiej, żebyście, nieszczęśnicy, nie mieli nic wspólnego ze strychem nad szkołą w Toreníe, bo właśnie kryjówka została namierzona i znaleźliście się w śmiertelnej pułapce. System był prymitywny, ale skuteczny. I niebezpieczny dla osoby wysyłającej sygnały, bo tak samo jak oni widzieli dwa, trzy, cztery, pięć czy więcej mignięć, tak samo widział to miganie kapral Faustino Pacón z garnizonu w Sort, z wysokości góry Batlliu, na którą wspiał się w towarzystwie niezbyt rozgarniętego szeregowca, bo ktoś z dowództwa usłyszał, że nocą będzie się coś działo i trzeba iść na nocny patrol, jak u Rembrandta. O co, kurwa, chodzi z tymi światłami. Co to, kurwa, może znaczyć. Dla kogo, kurwa, są przeznaczone. Będę musiał napisać o tym w raporcie.

Oriol i porucznik Marcó stali przy oknie w domu nauczyciela, w ciemności, wpatrując się w przełęcz Cantó, na wysokości szczytu Torreta de l'Orri. Mieli świadomość, że trzeba zachować wyjątkową ostrożność ze względu na oddział, który śpi na strychu. Krążyły im po głowie myśli: przyszedłem do tego domu tylko po to, by zobaczyć w oknie, jak się zapala dla mnie latarnia, albo: nie chcę tu wracać bez żony i bez mojej bezimiennej córki, albo: tego dnia Valentí Targa powiedział, że trzeba zebrać wszystkich nauczycieli z regionu i przekonać ich, kurwa mać, żeby wreszcie przystąpili do Falangi, a on mu wtórował tak, tak, to świetny pomysł, tak, powtarzając w duchu Eli, Eli, lema sabachthani.

- Że co?
- Uważam, że to świetny pomysł.
- Jaki znów pomysł? – zapytał zdziwiony Ventura.
- Głośno myślałem. Przepraszam.

Teraz mówili jeszcze ciszej, bo w takim milczącym, nieufnym miasteczku nocą daleko się roznoszą wszelkie kasznięcia, krzyki we śnie, chrapanie, zawiść, a ściany są cienkie jak bibułka papierosa.

- Jesteś zdenerwowany.
- Tak. Chcę się wycofać.
- Teraz nie możesz.
- Ludzie mnie nienawidzą. Twoja żona mnie nienawidzi. Czemu jej nie

powiesz, że...

– Nie – przerwał. – Tak jest bezpieczniej. Bezpieczniej dla wszystkich. – Wskazując ciemność za oknem: – Nie rozumiesz, że teraz nie możesz się wycofać?

Zamilkli. Wpatrywali się w mrok, czekali. Jakaś spadająca gwiazda zapisała na niebie życzenie niemożliwe do spełnienia.

– Moja żona również mnie nienawidzi. To nie do zniesienia. Przez nią będzie mną też pogardzać moja córka.

Porucznik, jakby pod dyktando spadającej gwiazdy, w ciemności, nie przestając wpatrywać się w Torretę, wyciągnął z kieszeni kartkę i podał Oriolowi.

– Co to jest?

– Przeczytaj.

Rozłożył kartkę i w chybotliwym świetle zapalniczki porucznika przeczytał placeta de la Font, numer trzy, Barcelona.

– Co to jest?

– To adres twojej żony i córki.

Placeta de la Font, numer trzy, Barcelona. Tam mieszka Rosa i moja córka, której imienia nie znam.

– Pojadę tam w niedzielę.

– Nie. Powiemy ci kiedy. Na pewno nie przed Bożym Narodzeniem.

– Po świętach? – Zaczął liczyć na palcach. – Mam wytrzymać jeden, dwa, trzy, cztery, pięć miesięcy? Zwariowałeś?

– Ty będziesz wariatem, jeżeli mnie nie posłuchasz.

– Skąd mogę wiedzieć, czy dożyję świąt?

– Nie możesz. I spał papier. Żebyśmy nie narazili jej na niebezpieczeństwo.

Placeta de la Font, numer trzy, Barcelona. Pensjonat? Dlaczego tak uparcie ode mnie uciekasz, Roso, skoro ja staram się odpokutować swoje winy? Placeta de la Font, numer trzy, Barcelona, szeptał, spalając papier nad talerzykiem, który służył mu za popielniczkę. A ponieważ sama myśl o tym była ponad jego siły, nie przestając patrzeć w ciemność, powiedział Targa działa mi na nerwy. Mam wrażenie, że mnie podejrzewa.

Porucznik Marcó mruknął tylko coś pod nosem. Oriola wkurzył lekceważący ton i wyładował na nim swą wściekłość: – Takie z was ofiermy, że nawet nie potraficie go zabić.

– Uprzedzali mnie, żeby ci nie dawać tego adresu.

– Przepraszam. – Próbował się opanować.

Porucznik Marcó wziął głęboki oddech i wydechając powietrze, orzekł: – Ten cały Targa jest żywotny jak szczur.

I znów zamilkli. Zaniepokojony pies gdzieś w oddali próbował szczekaniem poruszyć zasłonę nocy. W tym momencie porucznik Marcó odezwał się bez

związku em-i-pięć gratuluje ci pomysłu z operacją Morrot. Spełniła swoje zadanie.

– To było proste. Ale ja się boję. Dosłownie robię w portki.

– Wszyscy się boimy. Jednak potrzebni nam są ludzie tacy jak ty. Jak latarnik na Torrecie. Jak ten, który mu dostarcza informacji. Eliot wrócił, żeby przeprowadzić reorganizację sił w interiorze.

– Pracujesz dla Anglików?

– Pracujemy dla demokracji, nieważne, skąd pochodzi. – Nieskończenie długa przerwa. – Tak, pracujemy dla aliantów.

Oriol odsunął się od okna i po omacku natrafił na puszkę z bakaliami. Wyciągnął z niej garść zjełczałych orzechów i wrócił do Ventury.

– Kiedy poznam Eliota?

– Już go znasz.

– To ty? – Podał mu garść orzechów.

– Nie. To ty.

Oriol zaniemówił na dłuższą chwilę.

– Nieprawda. Eliot działa już dwa lata.

– Jesteś trzecim Eliotem. Zawsze nasz łącznik nazywa się Eliot.

Ja jestem Eliotem. Czyli nie ma żadnego Eliota. Ja, nauczyciel z podstawówki, porzucony przez własną żonę i córkę, który ma romans z nieodpowiednią kobietą opowiadającą się chyba raczej po przeciwnej stronie, a teraz, jak się okazuje, jestem kimś, kto w ogólnej opinii ma niebywały talent organizacyjny i nadzwyczajną mobilność.

– Ale ja nie ruszam się z miejsca, a Eliot działa w...

– Bo jest paru Eliotów. Nawet my sami nie wiemy dokładnie, kto to taki. Kiedyś wymyśliliśmy czerwony dzwoneczek. Kiedy indziej znów... Chodzi o to, by zdezorientować wojskowych.

– A co ja mam robić jako Eliot?

– Na razie nie umierać.

– Aha.

– Tak. Już od siedmiu miesięcy jesteś Eliotem. Od siedmiu miesięcy szkoła jest wyspą. To prawdziwy znak.

– Znak czego?

– Siły oporu. Nigdy nie udawało nam się utrzymać tak długo żadnej wyspy.

– Aha.

– Ani żadnego Eliota. Dowództwo twierdzi, że jeżeli przeżyjesz, nadamy ci jakiś głębszy sens.

Partyzanci, em-i-pięć, armia aliantów nafaszerują mnie głębszym sensem, tak jak się napełnia farszem krokiety na świętego Szczepana. Jakby nie wiedzieli, że jestem tylko nauczycielem, który malował pejzaże, ale od kiedy

żyje w niezmiennie wyjątkowych okolicznościach, zajmuje się malowaniem portretów ważnych ludzi, takich jak Rosa z brzuchem, w którym już byłaś ty, córeczko. Jak Elisenda Vilabré, jak Targa. Któregoś dnia będę musiał ci opowiedzieć o pewnej kobiecie, którą poznałem. Nie wiem, czy będę potrafił.

– Co się z nimi stało, z pozostałymi dwoma Eliotami?

– Nic. Zabili ich.

– No proszę. Niebezpiecznie jest być łącznikiem.

– Tak. – Ventura przeżuwał w milczeniu: – Są zjełczałe.

– Nie mam nic innego.

– W przyszłym tygodniu przyjdziemy ci zainstalować nadajnik i odbiornik na strychu szkoły.

– Zwariowaliście? A jak mnie nakryją?

– Dam ci też pistolet. Gdyby cię złapali, pamiętaj, żeby im nie podać częstotliwości.

– Proste.

– Tak. Siła Eliota polega na jego formie istnienia.

– Że jest jak duch.

– Może. Chcielibyśmy na przykład, żeby podczas spotkania z Waffen generał Yuste i jego pułkownicy bali się, że ziemia im się usunie spod nóg. – Mimo że dopiero co je skrytykował, sięgnął po następną garść orzechów. – Tak, masz rację: jak duch, tak. Ponieważ ciągle jestem w ruchu, czasem też jestem Eliotem. Jesteś wszędzie.

– Jeśli tyle się ruszasz, to czemu nie zjawieś się, by zająć miejsce swojego syna?

Porucznik Marcó, nie przestając wpatrywać się w ciemność, skończył jeść orzechy. Pozwolił sobie przedłużyć milczenie na czas zwinięcia papierosa. Kiedy już skleił śliną bibułkę, powiedział: – Uważasz, że masz prawo mnie o to pytać?

– Nie wiem. Dlaczego cię tu wtedy nie było?

– Byłem w Tuluzie. Kiedy dotarła do mnie wiadomość...

Kiedy dotarła do niego wiadomość, Ventura odchodził od zmysłów, zagroził, że zabije majora Caspego, który nie pozwolił mu się ujawnić, i wymknął się, wbrew wyraźnym rozkazom. Dotarł do Toreny nocą, tylko po to, żeby zobaczyć świeżo wykopany grób swojego pierwородnego syna. Serce mu pękało, że się spóźnił, a trzech mężczyzn, którzy mu towarzyszyli, zmusili go, żeby zniknął tej samej nocy. W Tuluzie uniknął sądu wojennego tylko dlatego, że brakowało takich ludzi jak porucznik Marcó.

– Co?

– Nie, nic. Byłem wtedy w Tuluzie. – Wskazując okno: – Uważaj, to będzie lada moment.

Znów zamilkli. Trwali tak dłuższą chwilę. Teraz, kiedy Ventura od czasu do

czasu zaciągał się papierosem, ich ciemne twarze zabarwiały się kolorem krwi.

- Słyszę rzekę Pamano – powiedział Oriol.
- Z Toreny nie da się usłyszeć szumu Pamano.
- Ale ja słyszę. – Cisza. – Ty nie?

Ventura próbował ukryć uśmiech, który mimo woli pojawił się na jego ustach. Oriol to zauważył i przyglądał mu się zdziwiony. Ventura się zaciągnął.

– Bo wiesz... starzy ludzie w Torenie, dziadkowie, kiedy byłem mały, mówili, że...

- Że co?
- Nic, że słyszą rzekę tylko ci, którzy mają umrzeć.
- Wszyscy mamy umrzeć. – Niezadowolony Oriol zdobył się na ripostę.
- Nazywają ją rzeką tysiąca imion – powiedział Ventura, żeby przełamać lody, jakie między nimi wyrosły.

– Dlaczego tysiąca imion?

– Najpierw przyjmuje imię góry, która ją żywi, i nazywa się Pamano. Ci, którzy mieszkają niżej, nazywają ją Bernui, a za tą miejscowością przyjmuje nazwę Altron i zmienia się jej głos i smak. Nawet tamtejsze pstrągi smakują inaczej, nie tak słodko, nie są tak smaczne jak złowione w Pamano.

Ventura zaciągnął się papierosem. Myślami był gdzieś daleko. Patrzył przed siebie, w stronę Torrey de l'Orri, ale jednocześnie łowił ryby na brzegu rzeki.

– A jeszcze niżej, koło Mostu przy Młynie, nazywają ją Sant Antoni i tam już przestaje śpiewać.

Cisza. Na Torrecie de l'Orri ciemność. Aż im się zaczerwieniły oczy od tego wpatrywania się w noc. Ventura zamrugał, wypluł okruch tytoniu i powiedział:

– Wiesz, o co mnie kiedyś zapytał mój syn?

– O co?

– Schodziliśmy z góry Bony de la Mata i kiedy dotarliśmy do Pamano, na wysokości Seurí, skierowaliśmy się w górę rzeki.

– I co ci powiedział?

Porucznik milczał. Jeszcze raz się zaciągnął.

Oriol stwierdził, że Marcó albo właśnie wędrował brzegiem Pamano ze swoim synem, albo zasnął. Tak czy inaczej uszanował tę ciszę. Ale kiedy zbyt długo się przeciągała, w końcu odważył się ją przerwać ej, co ci powiedział mały Ventura?

– Co?

Marcó się ocknął, zdusił papierosa na talerzyku, który służył za popielniczkę, i westchnął: – Nieważne. Miał wtedy pięć czy sześć lat. – Energicznie: – Szybko, już czas.

– Co ci powiedział?

W otaczających ich ciemnościach usłyszał łzy, które wplątywały się w brodę

porucznika Marcó. Obaj wpatrywali się tak intensywnie w Torretę de l'Orri, jak gdyby chcieli latarnika przyciągnąć wzrokiem, aż piekły ich oczy. Głos porucznika był ciemniejszy niż noc: – Zapytał mnie ojciec, kiedy będę duży, to ile będę mieć lat. – Gwałtownie otarł twarz rękawem: – O to mnie zapytał mój mały Ventura.

Dochodziła jedenasta. Z zimną punktualnością, która zawsze przyprawiała go o dreszcze, latarnik przemówił. Dwa mignięcia wbiły się w noc. Dwa. Ciemność, cisza, chłód. Dwa światła. Dwa światła. I jeszcze większa ciemność. Żadnych wątpliwości: dwa mignięcia. Tyle czekania na jeden krótki sygnał. Przedstawienie skończone. Wszyscy do łóżek.

– Dwa – potwierdził porucznik Marcó, sięgając po ostatnie orzechy. – Idziemy w góry.

– Dwa światła – głośno myślał kapral Faustino Pacón, schodząc z Pujalt w stronę Sort. – Co to, do cholery, może znaczyć?

– Schodzimy czy nie, panie kapralu? – Szeregowiec drżał z zimna, a na dodatek zostawił tytoń w koszarach.

– Jasne, że o tym napiszę w raporcie. Jeszcze jak – zamknął temat kapral.

– Ventura, ty chyba nigdy nie odpoczywasz.

– Jak się skończy wojna.

– Słuchaj...

Ventura wstał i patrzył na Oriola, który na tle okna był tylko cieniem.

– No słucham – powiedział.

– Czy ty miałeś coś wspólnego ze śmiercią obu Vilabru, syna i ojca?

Ventura się ubierał; założył ciemny płaszcz, dzięki któremu będzie mógł stopić się z zimnem na zewnątrz, przechodząc przez Rynek, trzymając się ścian jak jaszczurka, zmierzając w kierunku szkoły, w której trzynastu uzbrojonych po zęby żołnierzy czekało na rozkazy, by przenieść przez góry plan Wielkiej Operacji do brytyjskiej służby specjalnej; teczkę pełną warunków, obaw, map, doktryn, nieufności i szalonej nadziei.

– Dlaczego cię to interesuje?

– Żeby sobie wszystko w głowie poukładać.

– Pan nauczyciel lubi mieć porządek.

– Dlaczego Targa tak bardzo cię nienawidzi?

– Jego o to zapytaj.

– On twierdzi, że to ty oblałeś benzyną brata... brata pani Elisendy.

– Lepiej uważaj na tę kobietę. Słyszałem, że jesteście w dobrej komitywie.

– Od kogo słyszałeś?

Joan Esplandiu z domu Ventura bezszelestnie otworzył drzwi i przemknął zręcznie jak kot w stronę szkoły, a zadane pytanie zawisło w powietrzu. Oriol wyszedł za nim, też w milczeniu.

Nie czuł się dobrze z wielu powodów. Z powodu munduru falangisty, który musiał założyć, z powodu Rosy, z powodu własnej córki, której nie znał, z powodu Elisendy, z powodu życia, które wisiało na włosku, z powodu małego Ventury, z powodu kobiet z domu Ventura, które mną gardzą, z powodu tylu innych kobiet, które krzywo na mnie patrzą, pewnie to te, których mężowie spoczęli w anonimowym grobie nad Ebro albo jeszcze gorzej, gdzieś blisko, w przydrożnym rowie w pobliżu Rialb czy Escaló. Można by tak wymieniać bez końca. Dlatego moją jedyną pociechą jest ten list, córeczko, w którym ci wszystko wyjaśniam. Jest bardziej niż prawdopodobne, że nigdy go nie przeczytasz, ale chcę, żeby został ślad na piśmie. Być może ktoś, poza myszami, które urzędują nocą w szkole, natknie się na te zeszyty obok moich rysunków. Całkiem możliwe. Gdyby tak się stało, proszę tego kogoś, żeby je przekazał mojej córce. Błagam z całego serca.

To o niej mowa. Oriol Fontelles zwracał się bezpośrednio do Tiny Bros, niech ktoś je przekaże mojej córce. Błagam z całego serca. Dlaczego mówi, że mam przekazać zeszyty jego córce, skoro Oriol Fontelles według pani Vilabru nie miał żadnej córki?

Nie czuł się dobrze z wielu powodów. A na dodatek ona stała na balkonie i mu się przyglądała; był pewien, że nie spuszcza go z oka, bo palił go kark od intensywności tego spojrzenia. Mój Boże. Mimo wszystko Oriol Fontelles, kiedy otarł pot z czoła, bo teraz słońce zdecydowało się wystawić nos zza ciężkich chmur i świeciło mu prosto w twarz, uśmiechnął się uprzejmie do pana Valentína Targi wchodzącego po schodkach na podium, na Rynku w Sort, który teraz nosił hiszpańską nazwę Plaza Mayor, gdzie dołączył do pozostałych jedenastu przedstawicieli władz. Dwanaście osób na podium, które parę lat temu służyło orkiestrze przygrywającej wieczorem do tańca, kiedy jeszcze istniało coś takiego jak muzyka. Cała dwunastka ubrała się jak muzykanci w jednakowe letnie mundury ich zespołu, z jarzmem i strzałami wyhaftowanymi na kieszonce białej marynarki, z cienkim, równo przyciętym wąsikiem, włosy z przedziałkiem, utrwalone brylantyną, żeby ich nie rozwiała jakaś wątpliwość. Patrzyli z mądrymi minami na podejrzane chmury, które co chwilę zasłaniały słońce, co tam, byle tylko nie padało, cieszyli się z obchodów rocznicy opatrnościowego powstania, które pogrążyło kraj w smutku i ruinie, celebrowali odsłonięcie pomnika ku czci miejscowych ofiar czerwonych hord i przepowiadali, że teraz nastanie czas tłustych krów, jeżeli wszyscy włączą się przykładownie do dzieła, o ile skończy się raz wreszcie do jasnej cholery całe to

straperlo²¹, co oczywiście było nierealne, bo sami umundurowani oficjele na podium, a przynajmniej trzech z nich (Rubió, Emparança i Dauder) tkwili w czarnorynkowym handlu aż po końce swoich wąsików i kiwali głowami skruszeni, kiedy gubernator cywilny i prowincjonalny szef Ruchu Narodowego, perorujący falsetem gość z Salamanki, ciskał gromy na spekulantów tuż po tym, jak Rubió, Emparança i Dauder wręczyli mu jego dolę, żeby tylko się nie wtrącał. Oriol stał w pierwszym rzędzie, z rękami przed sobą, jakby osłaniał genitalia, z ostentacyjnie dumną miną, bo burmistrz miasteczka należał do dwunastu białych apostołów, którzy przekonywali zebranych (pięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców, zmuszonych do stawienia się na Plaza Mayor), że wszyscy jesteśmy gotowi oddać życie za Ojczyznę, tak jak tysiące patriotów, ofiar czerwonej nienawiści, i dlatego dziś czcimy ich pamięć tym niewyszukanym, ale wspinałym, bezpretensjonalnym i niewzruszonym pomnikiem. (Brawo, tak trzeba mówić, właśnie tak, ekscytowali się Minguet z domu Roda z Rialb, Cándido z domu Mora z Bernui, pani Báscones, kioskarka z Toreny, państwo Cases z domu Majals, mąż, żona i najstarsza córka, też z Toreny, Andreu z domu Pona z Llavorsí, Feliu z domu Birulés z Toreny i jeszcze ze dwanaście czy piętnaście par rąk; oklaskiwali z zapalem, chociaż nie bardzo wiedzieli, co to znaczy, że pomnik jest bezpretensjonalny i niewzruszony, o ile dobrze zrozumieli wyszukaną hiszpańszczyznę gubernatora cywilnego.) Pneumopleuroparietopexis, pomyślała Cecília Báscones.

Cholera z nimi: dają ci piętnaście dni i mówią, że masz zrobić coś na podstawie niewyraźnego rysunku, rób, co chcesz, pomnik ma być gotowy tego a tego dnia, zapłacą za rok, a teraz okazuje się, że jest bezpretensjonalny i niewzruszony. Takie syny.

Oriol Fontelles w przepisowym letnim mundurze dwukrotnie kiwnął głową, że dobrze mówi, i spojrzał w stronę pana Valentína, który go właśnie obserwował. Pilnuje mnie? Analizuje moje zachowanie? Następnie kaznodzieja ogłosił, że siły porządkowe powoli i dokładnie przeczesują wszystkie góry, a ponadto w Sort będzie teraz stacjonować żandarmeria, żeby chronić lojalnych poddanych przed horrorem, jaki wywołują sporadyczne bandy rozbójników ukrywających się w górach, którzy tak naprawdę nie istnieją, a także by zmrozić lękiem serca nielojalnych obywateli, choćby nie wiem jak głęboko ukrywali tę nielojalność. Bo Bóg widzi wszystko, a Bóg jest z nami. A reszta orkiestry wtórowała mu cichym szelestem marakasów i entuzjastycznym uśmiechem od ucha do ucha, podczas gdy grający na trąbce solista dotykał ust podrażnionych siłą jego partii solowej, przedmuchiwał oniemiałą trąbkę, żeby oczyścić ją ze śliny, a na koniec zwilżył wargi, gotów kontynuować występ.

– Nie odwracaj się. Porucznik Marcó będzie dziś nocą u ciebie. O północy. To ważne. – Oriol odruchowo poruszył głową. Tamten się zdenerwował, ale nie podnosząc głosu, powtórzył: – Mówiłem, żebyś się nie odwracał! To ważne.

Lokalny przywódca Ruchu Narodowego ciągle skakał po teologicznej pięciolinii w tonacji G-Dur, a tymczasem Ventura myślała mój Boże, dlaczego siły mi nie pozwalają, żeby ukryć pod ubraniem kuchenny nóż i wbić go w sam środek duszy tych wszystkich ludzi. Boże miłości, dlaczego brak mi sił. Stała wyprostowana, w części zarezerwowanej dla mieszkańców Toreny; patrzyła przed siebie, ale widziała tylko ukryte głęboko własne cierpienie.

Oriol chciał odpowiedzieć, że nie wie, czy będzie mógł o północy, ponieważ... ale oddech, którego ciepło czuł na karku, już się ulotnił. Wtedy się odwrócił. Stały za nim dwie kobiety, które ani wyglądem, ani głosem nie przypominały partyzantów. Wykorzystał ten moment, żeby spojrzeć w kierunku balkonu, i wtedy skrzyżowały się ich spojrzenia, podczas gdy lokalny przywódca Ruchu Narodowego, z żyłą na szyi nabrzmiałą od tego dęcia w trąbę, powoli kończył przemawiać swoim piskliwym głosem. Któregoś dnia po kolacji wydanej na cześć jakiegoś zwycięstwa, w trakcie przemówienia przy kawie, cygarach i koniaku wymyślił to, co teraz powtórzył: że Bóg jest z nami. I w euforii wywołanej trawieniem dodał jak będzie trzeba, wręczymy mu grubą kopertę, żeby został po naszej stronie, bo każdego można kupić, towarzysze. Dzisiaj, w obecności pięćdziesięciu dziewięciu procent, nie poruszył tematu boskiego przekupstwa; ograniczył się w ramach konkluzji do skrytykowania chaosu panującego w Europie, marazmu wojennego, przed którym nas uchronił caudillo, i jeszcze raz podkreślił, że Bóg widzi wszystko i że jest z nami. Na zakończenie przemówienia nie padło słowo amen, tylko zwyczajowe hasła wykrzykiwane z entuzjazmem przez chór dwunastu apostołów (saksofon tenorowy życzył dyktatorowi długiego życia, klarnet się z nim zgodził, a perkusja dorzuciła coś o dobrobycie i postępie w Ojczyźnie), którym wtórował z entuzjazmem chórek Mingueta z Rialb, a nieśmiałe murmurando pięćdziesięciu dziewięciu procent ratyfikowało całość. Wszyscy, którzy nie należeli do trupy tegoż Mingueta i rodziny Birulés, powtarzali w duchu Eli, Eli, lema sabachthani, chociaż nikt w tych smutnych pirenejskich dolinach nie znał aramejskiego.

Zgrabnym ruchem toreadora z muletą na arenie gubernator cywilny i lokalny przywódca Ruchu Narodowego, piszcząc jak flecik tenorowy z ludowej orkiestry, odsłonił spod żółto-czerwonego płótna pomnik z tablicą oglądaną teraz fachowym okiem przez Pere Serrallaca, obojętnego na kakofonię głosów wszystkich obecnych członków zespołu muzycznego, wykrzykujących na cztery strony świata z wojskowym zadufaniem jedno po drugim imiona męczenników wryte w kamieniu przez Serrallaca, kamieniarza. No nie wiem... na mój gust płyta jest trochę za wysoko, a litery w trzecim rzędzie za bardzo ściśnięte, co tam, i tak długo nie postoi. I wtedy padły imiona jaśnie pana don Anselma Vilabré Bragulata i don Joségo Vilabré Ramisa, ostatnich w kolejności

alfabetycznej, podczas apelu poległych za Boga i Ojczyznę. Te dwa ostatnie nazwiska przeczytał łamiącym się głosem pan Valentí, a całe zgromadzenie wiernych odpowiedziało obecny. Kiedy skończył, pan Valentí spojrzął na balkon i jego spojrzenie napotkało wzrok Elisendy, która wyprostowana na balkonie, z rękami zaciśniętymi na poręczy, odbierała prywatny hołd swojego osobistego goła.

Uroczystość zakończyła się odśpiewaniem pieśni *Cara al sol* przez publiczność ze strachem oglądającą się za siebie. Wszyscy byli zaniepokojeni plotką, którą ktoś puścił przed koncertem, że partyzanci mają zamiar zakłócić obchody bombardowaniem miasta, żeby postraszyć orkiestrę w pełnym składzie. Każdy się bał, czy przy okazji nie oberwie. Większa część pięćdziesięciu dziewięciu procent wreszcie odetchnęła z ulgą. I ci, którzy klęli w duchu, i ci, którzy ukrywali drżenie nóg, wszyscy zaczęli opuszczać plac, szukając wzrokiem pojazdu, który powinien ich odwieźć do domu.

Z Toreny ściągnięto dwadzieścia osób, które zmieściły się w ciężarówce używanej przez Pere Serrallaca do transportowania bloków marmuru i łupkowych dachówek. Odbyli tę podróż w milczeniu, nie patrząc sobie w oczy, bo łatwiej jest podziwiać krajobraz niż spojrzeć w twarz komuś, kto milczy z tego samego powodu co ty. Chodziło o to, że w tej ciężarówce pan Valentí z premedytacją zarezerwował jedno miejsce dla Ventury, bo na pewno po przemówieniach w Sort zobaczy wszystko w innym świetle. Wszyscy milczeli z jej powodu, bo każdy wie, że nie ma bardziej dotkliwego bólu niż przeżyć śmierć dziecka. Oriol przez całą podróż patrzył w dal smutnym wzrokiem, omijając spojrzeniem Venturę, i nie zapytał, czemu Cèlia i Rosa nie wracają do szkoły, żeby nie usłyszeć, jak szczerze, z całego serca go nienawidzi.

Z tyłu za odsloniętym przed chwilą pomnikiem ku czci poległych, Serrallac, kamieniarz, odłożył do kosza rylec, który posłużył mu do wykonania ostatnich poprawek; zawsze się znajdzie jakaś krnąbrna, źle wymierzona krawędź, która psuje końcowy efekt. Gdyby nie był przygłuchy, mógłby usłyszeć, jak pan Valentí zaprasza Oriola na małe spotkanie towarzyskie musisz poznać Claudia Asína, na pewno doda ci skrzydeł, a Oriol odpowiedział tak, tak, bardzo się cieszę, tak. Ujął Valentína pod ramię i zbliżając się do pomnika, podzielił się pomysłem, który właśnie mu przyszedł do głowy, duży mural epicki przedstawiający bohaterskie czyny zwycięzców, a pan Valentí słuchał z zainteresowaniem, ponieważ on bez wątpienia należał do tych zwycięzców, a tymczasem Pere Serrallac odkładał narzędzia do kosza, który pomagał mu nieść podeksycytowany chłopiec. Spytał ojca, czy pozwoli mu grawerować następną płytę, a ten wyrzucając papierosa i wypluwając okruch tytoniu odpowiedział zobaczymy, Jaumet, ale teraz zbierajmy się stąd jak najszybciej.

– Jeszcze chwilę, chcę tylko popatrzeć, proszę...

– Jaume...

– Przecież to tylko chwila!

Mężczyzna, nie wdając się w dyskusję, wymierzył synowi kuksańca i odciągnął go od pomnika, mówiąc idziemy, a chłopiec pomyślał jak niesprawiedliwe jest życie, chciałem tylko trochę popatrzeć na litery, które sam wygrawerowałem, ojciec jest głupi.

Ponad plecami pana Valentína Oriol zauważył, jak dwaj mężczyźni w takich samych kombinezonach jak Pere Serrallac, z identycznym koszem, pochyłali się nad czymś z tyłu za pomnikiem, pewnie poprawiając jakąś usterkę zauważoną w ostatniej chwili.

– Gdzie go umieścimy?

– Co umieścimy?

– Ten mural.

– Ach. – Improwizując: – W sali plenarnej ratusza w Sort.

– Albo w Torenie.

– Tak, albo w ratuszu w Torenie.

Już skończyli, odetchnął z ulgą Oriol, kiedy obaj mężczyźni się podnieśli. W tym momencie pan Valentí, mimo że temat muralu go zainteresował, przerwał rozmowę, bo z daleka gubernator cywilny dawał mu znak, że już odjeżdża, i Oriol został sam przed pomnikiem, pragnąc tylko, by ludzie jak najszybciej się od niego oddalili, spieprzajcie, i to już, idźcie na kielicha, byle jak najdalej stąd. Wszyscy powoli się rozchodzili, bo zaczęło padać, i Oriol został sam na opustoszałym placu, śmieszny, sam na sam z kamiennym blokiem, ze wspomnieniami i z bombą, wpatrzony w monument. Wycofywał się powoli, choć najchętniej rzuciłby się do ucieczki co sił w nogach, aż się potknął o statyw. Fotograf sprowadzony, by uwiecznić to popołudnie, teraz, przykryty czarną szmatą, kadrował świeżo odsłonięty obelisk. A kiedy prawie wszyscy opuścili plac, rozległ się huk głęboki, miękki, dostojny i donośny; wstrząsnął życiem wielu ludzi i rozbił pamięć poległych na pięć kawałków, a pomnik, tuż po odsłonięciu, zadebiutował w roli ruin. Jeden fragment bezpretensjonalnej i niewzruszonej skały wystrzelił w poszukiwaniu serca fotografa, który jeszcze zdążył wykonać ostatnie zdjęcie. Beładna ucieczka, panika, wściekły wrzask, gromy gniewu na tych pieprzonych partyzantów, co to ich nie ma, a Oriol krzyczał tędy, tędy, tędy, wskazując drogę w kierunku rzeki, i uzbrojeni mężczyźni rzucili się razem z nim w pościg za sprawcami, którzy dokonali tego kryminalnego zamachu, mimo że mamy Pana Boga naszego po swojej stronie. Moja bezimienna córeczko, sprowadziliśmy cię na świat, w którym nikt nie może czuć się bezpieczny. Biedny Peret z domu Moliner, ofiara pewnej fotografii, leżał jeszcze jakiś czas na kamiennym bruku, czekając na sędziego śledczego, lekarza sądowego i swoich kolegów po fachu, fotografów

policyjnych. Pięćdziesiąt dziewięć procent natychmiast załadowano na ciężarówki i przykazano, żeby sobie zapamiętali, że tu nic się nie wydarzyło, ot, zawsze się znajdzie jakiś malkontent, wiadomo, trzeba zachować spokój, a Ventura uśmiechnęła się w duchu, bo była pewna, że tego dnia spotkała się w Sort z mężem.

Dwie godziny później, kiedy słońce przezornie się ukryło za górami Tossal Roi i Tuc de la Cometa, znów nastał pokój na Plaza Mayor, opanowanym teraz przez oddział zdezorientowanych żołnierzy. Dowodzący nimi kapitan z rumianymi policzkami, krzycząc na całe gardło, wymieniał poglądy z Valentínem i innymi członkami zespołu muzycznego, osieroconymi przez gubernatora cywilnego, który natychmiast się ulotnił w dobrze pojętej trosce o własne bezpieczeństwo i zostawił im na odjezdnym polecenie chcę mieć jutro rano na biurku gotowy protokół śledztwa. Burmistrza Sort, który klął na każdego, że też musiało się to stać w obecności gubernatora, i miał ochotę obedrzyć ze skóry wszystkich partyzantów świata, zostawili samego z tym kłopotem, na wprost niewyszukanego, lecz wspaniałego, bezpretensjonalnego i niewzruszonego pomnika, zamienionego w gruz. Ludzie Valentína zabrali się do przesłuchiwania Serrallaca, oburzonego, że oto legło w gruzach dzieło jego życia, próbując się od niego dowiedzieć, jakim cudem, gdzie, kto, kiedy nafaszerował ten pieprzony kamień, tak że wybuchł jak petarda w noc świętojańską. Mogli to zrobić, kiedy już stamtąd odszedłem.

- A jak udowodnisz, że to nie ty podłożyłeś bombę.
 - Nawet nie próbuj sugerować, że ja mógłbym...
-

– Chodź – powiedział pan Valentí do Oriola. – Kto wie, może ci się to przyda do twojego muralu.

- Jakiego muralu?
- Który namalujesz w ratuszu.

Moja córeczko, ja... Obiecałem, że będę ci mówił o wszystkim i mam zamiar dotrzymać słowa. Gdybym się nie zgodził mu towarzyszyć, pewnie teraz już bym nie żył. Ale i tak od tamtej chwili praktycznie jestem martwy. Okazuje się, że parę godzin temu mieszany patrol zatrzymał mężczyznę, który miał za zadanie wysyłać sygnały świetlne nocą z przełęczu Cantó, na wysokości Embonui albo jeszcze wyżej, z góry Torreta de l'Orri. Szukali go już od kilku dni, od paru tygodni wiedzieli o jego istnieniu, ale nie o zakresie działania, bo zawsze im się wymykał, nie zostawiając żadnych śladów. Aż do momentu, gdy donos jakiegoś zawistnego sąsiada i awaria motocykla, którym przemieszczał się w górę i w dół, ułatwiły jego zatrzymanie. W osobie spokojnego wieśniaka z Ribera de Montardit krył się kolaborant, czerwony, zdrajca, republikanin,

pederasta, nacjonalista kataloński, komunista, separatysta, żydomason, który w wyznaczonym czasie jechał w góry, w miejsce, z którego punktualnie o jedenastej wysyłał dwa sygnały świetlne lub trzy, lub, Boże broń, pięć rozpaczliwych sygnałów, a myśl, że te sygnały przydadzą się jakiemuś innemu, takiemu samemu jak on tchórzowi, pomagała mu znieść zimno i strach. Przez pięć miesięcy pełnił rolę latarnika, a teraz jeden usłużny donos zakończył całą tę nawigację.

Udali się tam wszyscy razem, rozochoceni hukiem bomby, aż do Montardit, do domu przestępcy, którego ciągle trzymano w kajdankach przy wejściu do stodoły i świetnie się bawili, kiedy jeden z sekretarzy Valentína Targi, ten z kręconymi włosami, ciężkimi buciorami tak długo kopał go w żołądek, aż ten zaczął wymiotować krwią, bo nie chciał powiedzieć, kto odpowiadał za pocztę i system komunikacji ruchu oporu w tej strefie. Chcieli jeszcze z niego wyciągnąć, gdzie do cholery ukrywa się Eliot i kto to taki. Co? Zrozumiałeś? Gdzie i kto. Ale mężczyzna skręcał się z bólu od zadanych ciosów i bełkotał coś niezrozumiale, dławiąc się własną krwią, a ja, moja córeczko, stałem tam, milcząc, uśmiechając się, patrząc to na jednego, to na drugiego, i nie miałem odwagi przerwać tej masakry, nie potrafiłem się przeciwstawić. Wydaje mi się, że ten wieśniak spojrział mi raz w oczy i odniosłem wrażenie, że wie o mnie wszystko, ale że na razie zachowuje to dla siebie.

– Słyszeliście, że jednym kopnięciem można człowieka załatwić na dobre? – odezwał się wysoki i szczupły nieznajomy facet, o którym się później dowiedziałem, że to on był tym słynnym Claudiem Asínem, ulubionym ideologiem Targi, jego krynicą, jego inspiracją, jego wykładnią świata, życia i Ojczyzny; Claudio Asín, obecny.

– No, no.

– Owszem – mówił dalej teoretyk – ale można też eksperymentować co do stopnia natężenia bólu i utraty zdolności stawiania oporu. Naukowymi metodami.

– To może być bardzo przydatne dla wojska.

– I dla policji. – Asín zmierzył ich wzrokiem i powtórzył: – Dla policji, towarzysze.

– To prawda – przyznał ktoś nie tak bystry jak tamten, chyba Targa. – Że też na to nie wpadłem.

Słynny Claudio Asín odsunął dwóch towarzyszy i stanął przed zboliałym ludzkim łachmanem, w jaki zamienił się wieśniak. Pouczającym tonem wykładowcy oświadczył, że republikanie (tu wymierzył etiologiczny kopniak w nerki swojego egzemplarza pokazowego) wcale nie żałują tego, co zrobili; czują się tylko pokonani.

– To czysta entelechia – wyrwałem się ja, córeczko – spodziewać się, że republikanie mogą mieć wyrzuty sumienia z powodu swoich zbrodni.

– Tak, proszę was, tak jest – przyznał z podziwem Claudio Asín, nasz wzór i nasza wyrocznia. Położył mi rękę na ramieniu: – Jak się nazywasz, towarzyszu?

– Fontelles.

– To nauczyciel z Toreny, o którym ci wspominałem – wyjaśnił z dumą Targa.

– Aha, ten słynny nauczyciel. – Patrząc na wijącego się przed nim wieśniaka: – Dlatego naszym świętym obowiązkiem jest utrzymywać ich w stanie permanentnej i totalnej przegranej. Jedynym lekarstwem na tę zatwardziałość jest absolutny, nieugięty, bezlitosny terror, który leży w gestii tego, kto posiada Prawdę.

Na wypadek gdyby jeszcze pozostawały jakieś wątpliwości, kopnął ponownie. Wtedy Targa poczuł się zobowiązany wtrącić swoje trzy grosze. Wiedząc, że retoryka nie jest jego mocną stroną, kopnął wieśniaka w żebra, z taką siłą, że tamten już się nie podniósł. Spojrzał dumny na Claudia Asína, swój wzór, swojego mistrza.

– Nie zabijajcie go, niech najpierw coś powie – wtrącił się jeden z obecnych, praktycznie podchodząc do sprawy. Mężczyzna leżał u moich stóp, córeczko, i poczułem intensywny smród przerażenia.

– Nie chcę umierać – wycharczał. Inni tymczasem dyskutowali. Wiem z dobrego źródła, że eksperymentować z bólem należy w sposób naukowy: mój szwagier współpracował z Waffen SS nad Rodanem i od nich co nieco słyszał. Twój szwagier? Tak, ten z Saragossy, porucznik.

– Widziałeś mundur SS?

– Zajebisty. Słowo honoru. Zajebisty.

– Tak.

– Ale zastrzegam, że trzeba to robić z lekarzem, żeby ci wszystko objaśnił; bo naprawdę, można się od cholery nauczyć.

A ja stałem nad tym męczennikiem leżącym na ziemi, nie odzywając się ani słowem, córeczko. Ani słowem. Bałem się, żeby nie ujawnił czegoś, czego nikt, nawet on, nie powinien wiedzieć, żeby im nie powiedział, kim jest Eliot, żeby się od niego nie dowiedzieli, że nauczyciel z Toreny jest wtyczką, przekazuje informacje partyzantom i w szkole ukrywa ludzi, a nawet ma tam radiostację, zresztą wystarczyłyby słowa mam rozkaz przekazywać sygnały w stronę Toreny, pod Montsent.

– Chodźcie, możemy na nim poćwiczyć.

– Nie mamy lekarza.

– Co ty pierdolisz. – Do pozostałych: – Chcecie spróbować?

Podczas gdy tamci dyskutowali, kto zacznie badać naukowo poziom odporności na ból wieśniaka z Montardit, Oriol pochylił się nad rannym, który próbował coś powiedzieć, i zbliżył do niego ucho, mimo smrodu, jaki unosił się

nad spanikowanym mężczyzną, który błagał nie zabijajcie mnie, ja tylko miałem się kontaktować z ludźmi z Toreny, podobno z tamtejszym nauczycielem...

– Co on mówi? – zapytał Valentí, coś podejrzewając.

Oriol wyprostował się.

– Prosi, żeby go dobić, nie chce dłużej cierpieć.

Naukowy kopniak wymierzony przez Claudia Asína trafił go prosto w śledzionę i pozostawił z otwartymi ustami, jakby się dziwił, że nie może oddychać.

– Uważajcie, on zaraz się wykończy.

– Faktycznie – odezwał się rozzarowany jeden z lekarzy. – Ciekawe, czy ten niedojda pozwoli nam jeszcze trochę poeksperymentować.

Na wszelki wypadek inny doktor rozpląszczył mu nos obcasem regulaminowego buta. Wieśniak zrobił się szary jak niebo, które ciemniało coraz bardziej zdezorientowane.

– Popatrzcie – wtrącił się traumatolog z dyplomem uniwersytetu w Tordesillas – jak łatwo złamać żebra, których zadaniem jest ochrona ważnych organów. – Żeby to zilustrować, kopniakiem naruszył integralność układu kostnego wieśniaka, który nie mógł protestować, bo brakło mu powietrza, a ja, córeczko, milczałem. Nie odezwałem się ani słowem, tylko patrzyłem, powstrzymując chęć wbicia mu regulaminowego sztyletu, żeby ukrócić cierpienie, tak jak się dobjają w tych dolinach psy i muły. – Natomiast – mówił dalej traumatolog, kopiąc wieśniaka w kość piszczelową prawej nogi – femur, czy jak tam go zwą, znieśie wszystko.

– Tak, to bardzo ciekawe. A ty, towarzyszu Fontelles, nie chcesz sobie poeksperymentować?

Kopnąłem bez przekonania tego biednego człowieka w nogę. Musiałem trafić w kolano, bo wydał głuchy jęk bólu. Moja dusza też jęknęła. Czekałem na oskarżycielskie pianie koguta, ale nastąpiły czasy tak ponure, że nawet koguty straciły głos ze strachu.

Widać było, jak w domu obok przemieszcza się drżące, bezsilne światło. Pan Valentí rozejrzał się wokół, jakby się poczuł niezręcznie przyłapany na czymś, co go później znów może narazić na nieprzyjemności i nagany nadętych pasibrzuchów w stylu Faustina Ramalla Pezóna, którzy, siedząc za biurkiem w gabinecie, nie potrafili pojąć, że prawdziwe życie to nie przelewki, ale oni, pułkownicy, spoglądali z teoretyczną nieufnością na bohaterkich towarzyszy z Falangi. Zwłaszcza na tych, którzy się bawili w lekarzy. Gdyby wszyscy wojskowi brali przykład z Sagardíi, lepiej by się nam, falangistom, powodziło.

– Weźcie go i zawieźcie do Sort – zamknął temat.

– Nie warto – odpowiedział najbardziej uczony z całego gremium, pewien patolog z Sallent, który pracował jako sekretarz w ratuszu w Gerri. – Już nie

oddycha.

Oriol się pochylił, żeby sprawdzić puls. Nic nie wyczuł. Nie wyczuł jego serca, nie wyczuł życia.

– Nie żyje – potwierdził. A najgorsza, córeczko, była świadomość, że odetchnąłem z ulgą, bo już nie mógł mnie wydać.

– Kurwa mać, mogliście trochę bardziej uważać, no nie?

Cisza. Martwy mężczyzna patrzył na mnie kasztanowymi, szklanymi oczami. Światło w domu stawało się coraz bardziej rozedrgane, jakby ten, kto trzymał świecę, zaczął płakać. Wtedy Oriol, patrząc na Valentína, powiedział spokojnym głosem: – I tak musimy go zabrać do Sort.

– Po co?

– Bo to on podłożył bombę.

– Niemożliwe – wyrwał się patolog. – Zwinęli go dziś rano.

Powiedziałem tak, córeczko, bo to była wojna. Ale bardzo źle się z tym poczułem. Tak bardzo, że chyba już dojrzałem do tego, żeby zabijać.

– To on podłożył bombę! – Pan Valentí nareszcie zrozumiał i spojrział na mnie z lekkim podziwem. – Towarzysz Fontelles ma rację.

– Zmarł w czasie ucieczki – wtrącił się ginekolog amator, który dobrymi chęciami nadrabiał brak wykształcenia. – Spadł ze skarpy w przepaść i...

Valentí Targa pochylił się, żeby obejrzyć zwłoki. Podeszli też inni lekarze i przez chwilę wyglądało to jak lekcja anatomii Rembrandta z doktorem Targą w roli głównej.

– Faktycznie – zdiagnozował doktor Targa. – Rzucił się w przepaść.

Od tego czasu pan Valentí nie omija mnie wzrokiem, kiwa mi głową na dzień dobry i każe sobie mówić po imieniu. Tak bardzo mnie podziwia, że podczas ostatniej sesji, kiedy malowałem te jego trudne oczy, wyznał mi po trzech czy czterech kieliszkach anyżówki, że on i pani Elisenda są dla siebie stworzeni. Że był w niej zakochany. Że byli w sobie zakochani. Że dla niej gotów zrobić wszystko, gdyby tylko zechciała. Sam nie wiem, po co ci opowiadam o tych brudach. Już nie mogę na siebie patrzeć w lustrze.

Woń tytoniu. Oriol zapalił anemiczną żarówkę w jadalni nauczycielskiego mieszkania. Na sienniku siedział porucznik Marcó, niegdysiejszy wieśniak i przemytnik z domu Ventura, z twarzą bez wyrazu. W kącie stał wyprostowany mężczyzna z ciemną twarzą i stenem przewieszonym przez ramię; to ten Asturyjczyk, zwany Valdéssem, któremu nawet lęk nie był straszny. Oriol oparł się o framugę drzwi; kręciło mu się w głowie i zbierało na wymioty.

– Już dłużej nie mogę.

– Zostaliśmy bez latarnika – odezwał się Valdés z głębi mieszkania.

– Ja tego nie wytrzymam – upierał się Oriol. – Targa zdemaskuje mnie lada

moment.

Powiedziałem też, że nie chcę, żebyś ty, córeczko, myślała przez całe życie, że twój ojciec był faszystą. A twoja matka...

– Co ważnego dla nas powiedział ci Targa?

– Dlaczego latarnik wiedział, że to ja odbieram sygnał?

– Skąd wiesz, że wiedział?

– Wysyłam sygnały do nauczyciela z Toreny, powiedział ten nieszczęśnik.

Marcó zerwał się z miejsca bezszelestnie jak kot. Oriol uspokoił go: – Nikt poza mną tego nie słyszał.

Jak automat podszedł do szafy i wyciągnął z niej porrón z winem. Postawił karafkę na stole i obaj mężczyźni się poczęstowali. Podczas gdy Valdés przełykał głośno i wzdychał z wyraźną przyjemnością, Oriol składał meldunek Targa mówi, że gubernator cywilny go uspokajał, nie martw się, mamy swoich ludzi w sztabie partyzantów w Tuluzie, którzy nas o wszystkim informują.

– Nieprawda – zareagował Valdés, ocierając sobie usta wierzchem dłoni. Odstawił porrón na stół i mówił dalej: – Niemożliwe.

– Nic nie jest niemożliwe – skomentował porucznik oschłym tonem.

– Mówi, że zaczniecie atakować od strony Nawarry, w okolicy Benasc.

Porucznik Marcó i Valdés wymienili spojrzenia.

– Nie podał ci nazwiska wtyczki?

Oriol podniósł porrón do ust i powiedział nie ma tak dobrze. Zapadła cisza.

Wtedy porucznik Marcó, jakby tylko czekał na tę chwilę, wygłosił pogadankę niskim, monotonnym i spokojnym głosem, starając się wbić mu do głowy całą informację z maksymalną precyzją: przygotowywana jest Wielka Operacja. A my musimy przeprowadzić mnóstwo ludzi w dół i drugie tyle w górę, do Francji.

– Ile mamy czasu?

– Tydzień.

– Chyba zwariowaliście.

– Zwariowaliśmy. Ciebie też to dotyczy. Zaczynamy w piątek.

– I wszyscy mają przejść przez mój strych?

– Nie wszyscy, ale prawie. Będziemy odciągać uwagę, organizując akcje w dolinie. W tym czasie góry będą jak mrowisko obładowanych ludzi przechodzących w jedną i w drugą stronę.

– Co to takiego ta Wielka Operacja?

– Nie jestem upoważniony, żeby z tobą o tym rozmawiać. Przyniosłeś adresy?

Tak, miał adresy z Saragossy i Barcelony mundurowych adiutantów Valentína.

To był, córeczko, tydzień bezustannego ruchu i permanentnego niewyspania, kiedy służyłem za przewodnika na dawnych szlakach przemytniczych,

poinstruowany przez porucznika Marcó. Przeprowadzałem milczących ludzi gotowych na śmierć; z nich co najmniej dziesięciu, różnego pochodzenia, nocowało w szkole na strychu, a ja nie mogłem wyjść z podziwu, jak całe to zamieszanie uszło uwadze Targi i jego ludzi. Na kilka dni święcie oburzony Valentí został pozbawiony wsparcia swoich współpracowników, bo nagle się okazało, że jednemu spłonął dom, ojciec drugiego ma jakiś pieprzony problem, a ten z kręconymi włosami musi załatwić gardłową sprawę w związku z ziemią, która przeszła na jego własność. Co za gówniany pech. W tej sytuacji Targa wykorzystywał dowolny pretekst, żeby jechać do Sort. Klimat w Torenio, kiedy zostawał sam, bez obstawy, był dla niego niezdrowy.

Macki Eliota faktycznie odciągnęły uwagę wojska: jeden most w Seu wyleciał w powietrze, a drugi, w Gerri, zawalił się pod tonami Skały Czarownic, blokując szosę prowadzącą do Esterri, blisko miejsca, w którym rzeka Baiasca wpada w objęcia Noguery; szosa tak skutecznie została uszkodzona, że dwudziestego piątego czerwca roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego, dwadzieścia siedem lat po tym, jak żołnierze poganiani przez niespokojnych, wściekłych oficerów usunęli cały gruz, nadal pozostawały w niej głębokie wyrwy nie do usunięcia, narażające na szwank podwozie eleganckiego, cichego, czarnego samochodu, który przyhamował i skręcił w lewo, na drogę prowadzącą do Arestui. Natychmiast krowy z doliny Baiasca ostrzegły wszystkich o obecności intruza. W Arestui i w Baiasce niejedyni mieszkańcy na wszelki wypadek zamknęli okna.

– Zapewniałeś mnie, że samochód bez problemu dojedzie pod sam kościół.

– Przepraszam, proszę pani. Musiały mi się pomylić miejscowości. Dla mnie one wszystkie są do siebie podobne.

Pani Elisenda wysiadła zirytowana, zostawiła otwarte drzwi i ruszyła pieszo do centrum Baiaski. Nie zniżyła się do tego, żeby na mnie spojrzeć, może się obraziła, a ja przecież żyję dla niej, z nią i w niej, czemu się na mnie gniewasz, ukochana? mówił do siebie Jacinto, wychodząc, żeby zamknąć drzwi od strony pani; nastawiał się na długie czekanie, jak przez całe moje życie, Elisendo.

Dwa psy pobiegły za nią zaciekawione, ale nieliczni mieszkańcy woleli obserwować zza firanek. Wystawiona z tej odległości diagnoza brzmiała: przyjechała z Barcelony po malowidła. Okazuje się, że jest sposób, żeby je zderzyć ze ścian. Uprzedźcie księdza. Na pewno, na pewno po nie przyjechała. Bo kiedy ostatnim razem ktoś ich odwiedził, a był to biskup z Seu, miał dla nich szczerzy uśmiech, piękne słówka i wzruszające błogosławieństwo, a przy okazji zabrał im z kościoła pod wezwaniem Świętego Saturnina Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus, z jabłkiem przedstawiającym kulę ziemską i z rodziną korników, która tam żerowała od wieków.

Porywaczka malowideł weszła do kościoła w chwili, gdy ksiądz Dot zastawił

sobą, gotów na męczeństwo, barokowy ołtarz, za którym kryły się polichromie apsydy. Wchodząc ze słońca do ciemnego pomieszczenia, pani Elisenda potrzebowała paru sekund na rozpoznanie czarnej figury kapłana u stóp ołtarza, zdecydowanego stawić czoło każdemu, ktokolwiek by to był.

– Dzień dobry, proszę księdza.

Nie jest z Barcelony. Natychmiast ją sobie skojarzył, no, to ta z Toreny. Miał na końcu języka, pani z domu Gravat. Pani Vilabré. Usta ma podobne do ust księdza Augusta, tego matematyka.

– Dzień dobry pani.

Elisenda Vilabré nie nawiązała rozmowy i udała się prosto do wnęki, w której ziewał z nudów niewielki konfesjonał, prawie zabawka, z drewna zeschniętego na kość od całej tej ludzkiej nędzy, jaka przeszła przez jego uszy w ciągu dwu wieków, i zrobiła znak krzyża. Ksiądz Dot przełknął ślinę, a ponieważ kobieta nie ruszyła się z klęcznika, poszedł zając miejsce w konfesjonale, wziął stulę, ucałował, założył, usiadł i pogrążył się w oparach perfum o zapachu jakiegoś wonnego, rozkosznego, grzesznego kwiatu. Elisenda Vilabré z domu Gravat, wiadomo, co za jedna, pani z Toreny, spowiadała się z burzliwego romansu, który zdecydowała się zakończyć raz na zawsze, wyrzekam się grzechu i obiecuję poprawę.

– Czuje pani skruchę?

Nie. Chcę tylko odzyskać kontrolę nad własnym życiem.

– Tak, proszę księdza.

– Skrucha jest bramą prowadzącą do zbawienia.

Nie mogę pozwolić, żeby trzymał mnie w garści taki żółtodziób jak ten skurwysyn Quique Esteve.

– Rozumie mnie pani?

Muszę mieć całkowitą kontrolę.

– Tak, proszę księdza. Dlatego chcę to wyznać głośno i w obecności świadka, w obecności księdza, nigdy więcej, nigdy więcej.

– Gratuluję pani – powiedział tonem może nazbyt przypochlebnym.

– Dziękuję – ucięła krótko.

– To się nazywa siła woli.

Ponieważ ta, jak jej tam, z domu Gravat z Toreny zamilkła, ksiądz Dot wypowiedział słowa ego te absolvo a peccatis tuis w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, i Elisenda Vilabré znakiem krzyża przypieczętowała umowę, którą zawarła sama ze sobą.

– Z Bogiem, szanowna pani, szczęść Boże.

– A pokuta?

Zaskoczyła go. O mój Boże, niby jaką pokutę mogę wyznaczyć tej no, jak jej tam, z domu Gravat. Dwadzieścia zdrowasiek, proszę pani. Tamta, wiadomo kto, podniosła się, żeby wyjść, a on stwierdził, że trzyma w zdumionych

dłoniach zwinięty banknot. Odruchowo rozłożył go i powiedział ja cię kręcę, o Matko Boska, i banknot zniknął w fałdach sutanny.

O tej samej porze, kiedy pani Vilabru wychodziła z kościoła Świętego Saturnina w Baiasce i mrużyła oczy oślepiona słońcem, rozglądając się za czekającym na nią na dole samochodem, dwadzieścia siedem lat wcześniej macki Eliota oplotły i wysadziły w powietrze słup wysokiego napięcia w okolicach Rialb. Wywołało to takie zamieszanie, że wojskowym nawet nie przyszło do głowy kontrolować tego, co się dzieje w górach, gdzie tymczasem tranzyt trwał w najlepsze.

Wiesz, co ci powiem, córeczko? Że rola bohatera jest bardzo męcząca. Boję się tak jak kiedyś. Jedyna różnica polega na tym, że z powodu zmęczenia nie zastanawiam się nad niebezpieczeństwem. Już od kilku dni przeprowadzamy ludzi przez punkt kontaktowy w Torenio. Żeby tylko ludzi! Przedwczoraj przeszedł przez nasz punkt oddział z rozłożonym na części działem, które przez przypadek zachowało się do tej pory na republikańskiej linii frontu, mimo że od wojny minęły już cztery lata. Niewiarygodne. Tej nocy przeprowadziliśmy dziesięć mułów obciążonych amunicją, którą, jak się dowiedziałem, partyzanci ukradli wojsku. Nie wiem, w czym rzecz, ale chyba szykuje się jakaś większa draka. Wszyscy ci, których ukrywam w szkole, spoglądają ponuro, ale z determinacją, jakbyśmy byli o krok od czegoś bardzo ważnego. Ale wszyscy uparcie milczą. Szczęście, że są ferie i w szkole nie ma dzieci o smutnych oczach, dzięki czemu mam wolną rękę i mogę przenocować nad własną głową dziesięciu czy dwunastu leśnych ludzi. Odpoczywają tu i nabierają sił, które wykorzystają podczas kolejnej pracowitej nocy. Tak bardzo chciałbym opowiedzieć ci o tym wszystkim osobiście... Żebyście obie mogły mnie wysłuchać, ty i twoja matka. Na dziś to już koniec, jestem u kresu wytrzymałości, bo przez ostatnie trzy dni śpię najwyżej dwie godziny na dobę. Od pięciu miesięcy prowadzę podwójne życie, dzienne i nocne. Osiem miesięcy temu zabili małego Venturę, Rosa uciekła od mojego tchórzostwa i tak krok za krokiem mój los całkowicie się odmienił.

Dochodziła dopiero szósta rano, ale nie czuł chłodu. Zaraz wszędzie słońce. Ulice spały, rozleniwione ciemnością. Plac Font w dzielnicy Poble-Sec, mimo że położony w samym sercu Barcelony, teraz był równie odludny jak Torena. Upstrzony przez ptactwo, ozdobiony kilkoma rachitycznymi platanami placyk leżał na skrzyżowaniu czterech wąskich uliczek. Ciszę zakłócało tylko poranne gruchanie gołębi, niepodzielnych władców tego miejsca. W jednym rogu rysował się ciemny kształt kiosku z przegniłego drewna. Centralne miejsce zajmował wodotrysk, od którego ten niewielki plac wziął nazwę. Oriol pochylił się i odkręcił kurek. Zimny strumień zrosił mu policzek. Zdążył już się przyzwyczaić do smaku wody z gór. Od miejskiej zbierało mu się na wymioty. Nagle rozległ się terkot karabinu maszynowego. Oriol zadrżał i przykucnął przerażony za wodotryskiem, skąd dopiero po dłuższej chwili ostrożnie wystawił czubek nosa, żeby sprawdzić, co się dzieje po drugiej stronie placu. Kto, jak, dlaczego wpadł na jego trop skoro przybyłem w pokojowych zamiarach, skoro jestem zwykłym nauczycielem, ja tylko dałem się skołować partyzantom, nie chciałem mieszać się do niczego, co... Gołębie, które wzbily się w powietrze, równie jak on przestraszone, obserwowały tę potyczkę z wysokości drzew. Bezpieczny za żeliwnym wodotryskiem zauważył po drugiej stronie placu Manela, właściciela baru, który właśnie podniósł z hukiem metalową żaluzję, a teraz wchodził do środka i zapalał słabą, anemiczną żarówkę. Oriol rozejrzał się wokół. Żaden oddział żołnierzy ani żandarmerii nie zajął placu znienacka. Spojrzał na swoje ręce, które lekko drżały, i podstawił je pod strumień wody ze źródła przy placu Font. Ventura, przemianowany na porucznika Marcó, zagroził mu, żeby nie kontaktował się z nią przed Bożym Narodzeniem. Więc po co daliście mi adres? Bo masz prawo go znać. W końcu sierpnia złamał dyscyplinę. Koniec sierpnia to nie Boże Narodzenie. Ale od nikogo nie można wymagać rzeczy niemożliwych.

Usiadł na ławce. Noc ustępowała wraz z pojawieniem się pierwszych przechodniów, a gdyby spojrział w górę, mógłby dostrzec na niebie zapowiedź świtu. Zniszczone, ciemne drzwi prowadziły do starej, czteropiętrowej kamienicy numer trzy. Tam, w jednym z mieszkań, znajdowała się Rosa i jej córka, czyli ty, moja obecna czytelniczko. Było jeszcze za wcześnie, żeby zapukać i powiedzieć Rosa, kochanie, nie jestem taki, jak myślisz: jestem skurwysynem, bo zakochałem się w innej kobiecie, owszem, ale nie jestem faszystą. Owszem, jestem tchórzem i bardzo się boję, ale to nie podłość, nie zasługuję na twoją pogardę, bo dzięki tobie i małemu Venturze przystąpiłem do

ruchu oporu, narażam się na śmierć, choć nie powinienem ci tego mówić ze względów bezpieczeństwa. Jeśli je teraz naruszam, to dlatego, że nie mogę już dłużej żyć ze świadomością, że ty mnie nienawidzisz, a moja córka, która ma dopiero trzy miesiące, już mną pogardza, bo zaczyna się uczyć, że to wstyd mieć ojca faszystę, który się przyjaźni z mordercami dzieci. Wszystko ci wyjaśnię. To chciałem powiedzieć twojej matce, moja bezimienna córeczko. Przeszył go dreszcz. Spojrzał w niebo, skąd spadło na niego mokre gołębie gówno. Nie: kropla wody. Ze wzrokiem wbitym w ziemię nie zauważył, że niebo się zachmurzyło, jakby chciało natychmiast wyładować cały swój gniew na tym niezdyscyplinowanym partyzancie. Nie, odpowiedział Valentínowi Tardze, nie zamierzam wyjeżdżać z Toreny na wakacje, ale skoro mam wolne, chcę się trochę przewietrzyć, i pod pretekstem odwiedzin u chorej ciotki, która miała wypadek, wymknął się z miasteczka na dworzec w Pobla ciężarówką załadowaną kamiennymi płytami, materiałem na przyszłe groby i na posadzkę w sieni, z Pere Serrallakiem, który rozważał na serio ewentualność wysłania na jakiś czas syna do seminarium duchownego w Seu. Gdzie mi będzie tak dobrze jak w Torenie? Ale takie jest życie, muszę odwiedzić ciotkę, żeby mi nie zmarła, zanim zdążę się z nią pożegnać. Nie powiedział tylko jednego, że ciotka, która zresztą nie mieszkała w Barcelonie, tylko w Feixes, zahartowana przez siedemdziesiąt siedem lat ciężkiego życia, mimo narzekania na wiele dolegliwości była nie do zdarcia. Zaczęło padać. Grube krople, z początku rzadkie, uderzały o ziemię i rozpryskiwały się jak krew tego biednego wieśniaka z Montardit, który umarł ze strachu na moich rękach. Zwrócił uwagę na słabe światło baru i szybko podjął decyzję.

– Co podać?

– Kawę z procentami.

Wskazał krzesło przed popękany, brudnym, marmurowym stolikiem, jakby prosił o zgodę. Właściciel zachęcił go gestem. Oriol usiadł dokładnie w chwili, gdy pojedyncze krople zlały się w jeden ogłuszający i ciągły, donośny i ciągły, ciągły, ciągły strumień, który rozmywał kontury wszystkiego, łącznie ze źródłem na placu i z obawami, jakie przeżywał obok źródła. Wystarczyła minuta, by ulewa utworzyła kurtynę i zasłoniła przed nim fasadę domu numer trzy.

– Aż trudno uwierzyć – powiedział zirytowany mężczyzna, który właśnie wszedł do środka. – Jeszcze przed chwilą wyraźnie widziałem księżyc. – Otrząsnął się jak mokry pies.

Gdyby nie ulewa, nigdy by go nie zauważył. Szary mężczyzna kulił się pod zwiniętą markizą i ze stoickim spokojem mókł na deszczu. To miejsce po przeciwnej stronie ulicy, prawie na rogu placu, stanowiło jedyny dobry punkt obserwacyjny dla kogoś, kto chciał widzieć bar. Najpierw się zdziwił, czemu nie poszuka sobie lepszego schronienia, czemu tak mu zależy, żeby zmoknąć.

Aż wreszcie zrozumiał.

Wypił swoją kawę z procentami, starając się nie okazywać zdenerwowania. On przynajmniej był suchy w tym zalatującym octem barze, przesiąkniętym zatęchłym dymem tytoniowym. Oparł dłonie na zimnym, marmurowym blacie stołu, miała taki sam kolor jak płyta nagrobna, jaką już wkrótce wykona dla niego Serrallac, i umieści na niej to, co powinno zostać zapamiętane na zawsze, czyli że poległ za Boga, Ojczyznę, za generała Franco, i takie tam dyrdymały. Jeszcze jeden łyk ciepłego płynu. W barze oprócz niego zgromadziło się czterech czy pięciu porannych klientów. A na ulicy ten, który go śledził, samotnie wystawiał się na ulewę, bo nikt nie chciał wychodzić z domu z peleryną deszczu na ramionach.

Oriol wyciągnął książkę z kieszeni i udawał, że czyta, a tymczasem jednym okiem śledził tego, który go śledził, a drugim czujnie obserwował, czy nie wyłoni się z domu numer trzy w ramionach matki, a wtedy po raz kolejny was stracę na zawsze.

Kto mnie może śledzić? Spojrzał na klientów baru: nie wyglądali ani na śledzących, ani na śledzonych. Czy on wyglądał na śledzonego? Opróżnił szklaneczkę i cmoknął. Deszcz powoli tracił impet.

– Jeszcze jedna kawa z procentami – zamówił, nie spuszczać szpiega z oczu. Drzwi kamienicy numer trzy otworzyły się i z domu wyszedł szpakowaty mężczyzna, ze śniadaniem pod pachą, gotów do rozpoczęcia pracy, podobnie jak klienci baru, którzy teraz, widząc, że deszcz przechodzi, jeden po drugim znikali, wzmocnieni kawą, kaszląc po pierwszym tego dnia papierosie. Pomimo chmur światło zyskiwało przewagę nad ciemnością i powoli ulice wychodzące na plac zaroily się ludźmi. Ludzie przechodzili w jedną i drugą stronę, przytłoczeni przegraną, w tonacji czarno-białej, nieufni, o wczesnej porannej godzinie po wojnie, która odebrała wszystkim radość życia. Szpiegował go ktoś nieznamy. Z falangistowskiego munduru został mu tylko cienki wąsik i aroganckie spojrzenie mające ukryć tożsamość. To nie wojsko. To falangiści.

Wtedy ją zobaczył. Wychodziła, trzymając w ramionach pakunek. Nie! Trzymała córkę! Rosa wyszła na ulicę w letniej bluzce. Nie było zimno, ale córkę, w czymś w rodzaju koszyka, szczelnie opatulono. Gdzie się wybierały tak wcześnie? On się nastawił na długie czekanie. Miał rozważyć, co jej powie i w jaki sposób, żeby ją przekonać. Czy ma prawo obciążyć ją tym wszystkim i zostawić samą przy placu Font, a następnie wrócić w góry i dalej narażać życie? A może uczciwiej będzie nic nie mówić? A jeżeli wyruszył w całą tę podróż na darmo?

Znów zaczął się zastanawiać, czemu musiała wyjść z domu tak wcześnie. Wtedy Rosa zakaszła, a on się podniósł i chciał przeciąć plac, żeby do niej podejść. W tym momencie zauważył, że do mokrego mężczyzny dołączył drugi,

że obaj patrzyli w jego stronę i wymieniali jakieś uwagi. Zrozumiałem, że lepiej będzie nie mieszać was do tego, ani ciebie, ani twojej matki, bo ci ludzie są nieobliczalni. Dlatego Oriol Fontelles znów usiadł i niewiele zobaczył, kiedy Rosa mijiała bar, niosąc w ramionach swoją przyszłość, bo oczy zmaciła mu jedna, duża łza. Udało mu się dostrzec tylko białą rączkę, z paluszkami jak miniaturowe kiełbaski, rączkę jego córki, rączkę córki, drugi ważny powód, żeby utrzymać wszystko w tajemnicy. Oriol nie wiedział, że ten raz jest nie tylko pierwszym, ale też ostatnim, kiedy miał okazję widzieć tę rączkę. On jednak myślał, że będzie inaczej, że wiedząc, gdzie mieszkają, wróci tu za jakieś dwa tygodnie i znów spróbuje.

Pięć minut później wyszedł z baru i przekonał się, że tamci dwaj nadal go śledzą. Poczuł się jak jaskółka, która udaje, że ma ranną duszę, i odciąga drapieżników od gniazda, w którym są jego kobiety.

– Dlaczego kazałeś mnie śledzić?

– Co robiłeś od momentu, kiedy wsiadłeś do tramwaju?

– Co to, przesłuchanie? Jestem o coś podejrzany?

Tylko o to, że się przespałem z kobietą, którą ty chciałbyś mieć, ale dla ciebie pozostaje nieosiągalna; o to, że jestem Eliotem, o pomoc partyzantom, o przygotowywanie wielkiej operacji, która nie wiem, na czym polega. Ach, tak: i o to, że chybiłem, kiedy chciałem wpakować ci kulę prosto w potylicę w restauracji Estació de Vilanova. Na pewno coś jeszcze by się znalazło.

Valentí Targa upił łyk i delikatnie odstawił filiżankę na talerzyk.

– Co robiłeś od momentu, kiedy wsiadłeś do tramwaju?

– Wybrałem się na dziwki. Mam opowiedzieć ze szczegółami?

Valentí na niego nie patrzył i Oriol się przestraszył. Skąd ten dystans. Co takiego wykrył.

– Wybrałem się na dziwki – upierał się. – Twoi ludzie nie nadają się do śledzenia. Musisz ich lepiej wytresować.

Spojrzał mu w oczy. Oriol nauczył się patrzeć w oczy Valentína po śmierci latarnika, kiedy odkrył, że tamten nie wytrzymuje jego spojrzenia dłużej niż pięć sekund, jakby czuł lęk przed życiem.

– Bardzo mi przykro, że nie masz do mnie zaufania. Chciałem odwiedzić moją ciotkę.

Marés przyniósł im anyżówkę w kieliszkach. Valentí odczekał, aż sobie pójdzie, i powiedział tak lodowatym tonem, że aż go ciarki przeszły, twoja ciotka nie mieszka w Barcelonie. Mieszka w Feixes. – I pociągając z kieliszka:

– Po co pojechałeś do Barcelony?

– Ja nie... Po nic. Na dziwki.

– Nie trzeba jechać do Barcelony, żeby się pieprzyć. Wiesz, że pani Elisenda

też była w Barcelonie?

– Kto?

– Pani Elisenda.

– Aha.

– Spotkałeś się z nią?

– Słucham?

– Czy widziałaś ją w Barcelonie.

– Jak mogłem widzieć... Słuchaj, Barcelona jest duża i...

– Powiedz mi tylko, czy się spotkaliście.

Valentí jest zazdrosny o Elisendę.

– Ja nie... – Ugryzł się w język, ale nagle wybuchnął: – A tobie co do tego?

Valentí opróżnił kieliszek i z impetem stuknął nim o marmurowy blat. Chrapliwym głosem, patrząc w dół, powiedział niech no tylko się dowiem, że się koło niej kręcisz, to cię zabiję.

– Jakie ty masz prawo do tej kobiety? – przeszedł do ataku, nie dbając o zachowanie ostrożności.

– Mam prawo i koniec.

– Wydaje mi się, że ona tak nie uważa.

– Ach, więc jednak się widujecie.

Podsumujmy. Żeby zobaczyć z daleka moją żonę i córkę (nie wiem jeszcze, jak się nazywa, ale widziałem jej słodką rączkę; mam wrażenie, że ciągle macha mi na pożegnanie), muszę się ukrywać przed partyzantką; muszę wyprowadzić w pole falangistów, którzy się bawią w szpiegów, i żeby nie narazić was na niebezpieczeństwo, córeczko, rezygnuję z rozmowy z żoną, nie dam ci całusa, nie biorę za rączkę, żeby choć raz w życiu powiedzieć ci srocza kaszkę warzyła; muszę się kamuflować każdego dnia i każdej nocy przed falangistami Targi, by realizować zadanie wyznaczone mi przez sztab; muszę milczeć, kiedy przebywam z dziećmi, żeby nie wątpiły, że jestem tylko nauczycielem, i nie domyślały się, że ukrywam uciekinierów i bojowników na strychu szkoły; muszę się zgrywać przed Valentínem Targą, żeby nie podejrzewał, że w szkole zatrzymują się ludzie, którzy podążają drogą lęku, a ja jestem ich gospodarzem; muszę unikać kobiet z domu Ventura, które mnie nienawidzą i muszę kryć się przed wszystkimi, żeby się spotykać z wyjątkową kobietą, która również kryje się przed wszystkimi, żeby się ze mną spotkać, pogłodzić mnie po policzku, popatrzeć mi w oczy i wyznać wydaje mi się, że bardzo cię kocham, Oriol, i choć w tej chwili nasz związek jest niemożliwy, znajdę jakieś rozwiązanie, bo ja zawsze znajduję rozwiązanie. Muszę ukrywać się przed samym sobą, bo byłem wielkim tchórzem. A teraz okazuje się, że ten cały Targa, ten chłystek, ten imbecyl, ten śmieć jest zazdrosny, bo wywachał, że po kryjomu widuję się z Elisendą. A najgorsze jest to, że ma rację. Widujemy się ukradkiem, jest nam jak w niebie i nie mam zamiaru tego się

wyrzec. Wiem, że to nie dla mnie, że to się źle skończy, ale tej kobiecie trudno się oprzeć. O mój Boże. Chcę stąd uciekać. Rosa, ratuj.

– Na pana ręce, panie burmistrzu – powiedział, unosząc w górę kartkę z notatkami, jakby papierem chciał wznieść toast. – Tą wystawą kadra nauczycielska składa hołd miastu, w którym sprawujemy dydaktyczną misję, w którym sami się uczymy i uczymy innych, dziewczęta i chłopców, jakie korzyści wynikają z multikulturalizmu w globalnym, stechnicyzowanym społeczeństwie, którego jesteśmy podmiotami, i w którym uczymy się i nauczamy, wszystkich i wszystkie, kochać metysaż kulturowy, ponieważ jest on wyrazem mentalnego otwarcia na ponadpartyjny transwersalizm, w najwyższym stopniu ubogacający...

Jordi, jaki ty jesteś żalorny. Po co to udawanie, ty specjalisto od metysażu damsko-męskiego...

– ...a także, czemuż by nie? proszę was, abyście potraktowali ten akt jako hołd dla naszych koleżanek i kolegów z innych, nie tak szczęśliwych czasów... my wszystkie i my wszyscy stanowimy część tego samego procesu społecznego, jakim jest nauczanie.

Były jakieś inne czasy nie tak szczęśliwe jak nasze? Czy kiedykolwiek żyłam z takim smutkiem w sercu? Nie stać mnie na to, żeby wyjść z tłumu, stanąć przed nim i powiedzieć Jordi, przestań pieprzyć trzy po trzy i zastanów się: były kiedyś szczęśliwsze czasy, pamiętasz? kiedy uważaliśmy, że postępujemy honorowo, ale zwłaszcza wtedy, gdy wierzyliśmy, że zawsze tak będziemy postępować, tak czy nie, odpowiedz, tak czy nie?

Ocknęła się na dźwięk protokolarnych oklasków wszystkich uczestników wernisażu wystawy *Pół wieku życia w szkole (1940–2002)* urządzonej w auli. Wystawa miała trwać miesiąc, do końca karnawału. W tym czasie obejrzą ją uczniowie innych szkół z komarki, ze swoimi nauczycielami, którzy również wnieśli swój wkład. Burmistrz ogłosił otwarcie i wszyscy zabrali się do jedzenia nadziewanych oliwek i chipsów, popijanych odrobiną fanty. Joana, jak zawsze na posterunku, wykorzystała zamieszanie, żeby podkleić taśmą to, co już się odkleiło. Jordi, uśmiechnięty, w towarzystwie Maite, podszedł do Joany. Tina, mimo że nie chciała śledzić męża, obserwowała tę parę bez przerwy, z odległości kilku metrów, udając, że sący napój. Odmówiła koledze, który proponował chipsy, a jej nieokreślony gest oznaczał niedawno stwierdziłam, że mój mąż mnie zdradza, więc nie mam ochoty na przekąski, bo mój żołądek jest pełen smutku. Wolę nie rozwijać tematu, bo i ty byś się rozplakał. Jordi podszedł do sekretarki.

– Moje gratulacje – powiedział, trzymając w palcach oliwkę. – Prawdziwa

rewelacja.

– A ja bym wolała, zamiast gratulacji – odpowiedziała Joana obcesowo – żebyś się bardziej zaangażował w pomoc w ostatnich dniach. – I do Maite: – Katalog jeszcze nie jest gotowy.

– Ale udało się zainaugurować wystawę w przewidzianym terminie.

Tina patrzyła, jak Joana, ostentacyjnie naburmuszona, kończy umieszczanie podpisów opisujących pochodzenie pięciu kawałków kredy różnej wielkości, które jakimś cudem zachowały się w całości w pewnej szkole w dolinie Ferrera, a następnie odchodzi do sekretariatu, gdzie zawsze jest coś do roboty. Jordi i Maite nie wiedzieli, jak zareagować, i oboje próbowali nadrabiać miną. Tina przyglądała się tej parze i próbowała ich sobie wyobrazić w kurtkach, o północy, w drzwiach pensjonatu w Ainet. Czy to mogła być ta pieprzona Maite? Nie była pewna, ale tak, to mogła być ona. Tak. To mogła być ona. Jak najbardziej. Jako dyrektorka ma dużą mobilność. To ona, tak, na pewno.

O mało się nie udławiła. Wiarołomna para zaskoczyła ją w momencie, gdy po raz kolejny odmawiała przystawek, którymi kolega uparł się ją utuczyć, jakby nie zdawał sobie sprawy, że nie tylko kłopotów ma w nadmiarze, ale też zbywa jej ze cztery kilo. Maite, zdrajczynie, zapytała zaniepokojona:

– Nie wiesz, co Joaną ugryzło?

Najchętniej odpowiedziałyby, że to ją coś ugryzło, bardziej niż Joaną, i to przez was, sprawiliście, że straciłam wiarę w ludzi. Moje życie legło w gruzach, a nie mam z kim o tym porozmawiać. Oczywiście, że to ty, Maite. Ale głośno powiedziała tylko nie mam pojęcia, przypuszczam, że to nerwy. Napracowała się, no nie?

– Wszyscy zrobili to, co do nich należało – broniła się Maite.

Tina nie zwróciła na nią uwagi, bo skupiła się na Jordim, który skinął im głową i oddalił się z rozpromienioną twarzą. Ach, więc to nie Maite. Odwróciła się, żeby nie przegapić, kiedy Jordi podejdzie do swojej prawdziwej kochanki. Ale zobaczyła tylko, jak się poklepują po ramieniu z Miquelem Darderem. Maite: znów jesteś sobą. Obie uśmiechnęły się na widok Dardera. Szczerze mówiąc, zbywało jej aż sześć kilogramów, choć wolała się do tego nie przyznawać. Przez chwilę Tina chciała powiedzieć Maite, czemu mi to robicie? Ale powstrzymała się w porę, spojrzała na Dardera, który ją pozdrowił z daleka, odpowiedziała mu, też na odległość, i usłyszała samą siebie, jak mimo woli wypowiada słowa Maite, czemu mi to robicie?

Maite, która już się oddalała, zatrzymała się i otworzyła usta; ucichł gwar rozmów między nauczycielami. Na ringu została tylko Tina jako rywalka Maite, a walka toczyła się o zrozumienie, dlaczego działo się to, do czego nie powinno było dojść, gdybyśmy cały czas postępowali honorowo. Po upływie kilku sekund:

– Kto ci robi i co?

– Och, nie udawaj. I na dodatek...

– O czym ty mówisz?

– Nie, nie, nic nie powiedziałam. – I starając się nadać swemu głosowi jak najbardziej oschły ton, ucięła: – Przepraszam.

Zostawiła Maite samą. Miała wszystkiego dość. Teraz zniosłaby tylko towarzystwo doktora Żywago.

Wróciła jednak do auli, żeby obejrzeć ekspozycję. Mimo drobnych niedoskonałości świetnie się prezentowały jej zdjęcia, jak to przedstawiające szkołę w Torenie dzień przed jej wyburzeniem. Na ogromnej mapie oznaczono obiekty, skąd pochodził przedstawiany na wystawie materiał, usytuowane na obszarze niemal idealnie odpowiadającym terenowi działania ludzi porucznika Marcó, mężczyzn, z których prawie wszyscy urodzili się w górach i którzy, jak wynikało z jej ostatnich lektur, nie czekali, aż dotrą do nich z Tuluzy oficjalne rozkazy.

Mimo że nie była głodna, wzięła jedną oliwkę, żeby się czymś zająć, i rozejrzała się wokół siebie. Jeden z nauczycieli wyjaśniał burmistrzowi, który próbował pohamować ziewanie, jakich to bohaterskich czynów należało dokonać, żeby dotrzeć do jakiegoś materiału. W tym momencie Joana podeszła do niej z plikiem papierów.

– Prawda, że cię to interesuje?

Tina przejrzała je powierzchownie: wycinki z gazet z epoki.

– Skąd to wytrzasnęłaś?

– Ze starej szkoły w Sort. Okazuje się, że jakiś nauczyciel kolekcjonował te rzadkie informacje, w których pisało się o partyzantce.

– Wiesz, co za jeden? – zapytała, patrząc łakomie na wycinki.

– Nie. – Po krótkiej pauzie: – Dlaczego tak bardzo interesuje cię... wojna?

– Bo pewien nauczyciel, bohater ruchu oporu, przeszedł do historii jako bastion faszyzmu w komarce. Chciałabym ujawnić, jak było naprawdę...

– Jakie to ma teraz znaczenie?

– To kwestia pamięci. – Spuściła oczy, kiedy zdała sobie sprawę, że popadła w ton nazbyt uroczysty. – Może mieć znaczenie dla jego rodziny. Dla jego córki. Dla mnie.

– Poznałaś jego córkę?

– Nie wiem nawet, czy żyje.

– Minęło dużo czasu.

Jak miała jej powiedzieć, że z przerażeniem patrzyła, jak ludzie się zmieniają, na przykład Oriol Fontelles czy Jordi. Zajmowała się Oriolem, bo była tchórzem. Co za urodzaj tchórzy na tak niewielkim obszarze. Mój Boże. Mam się jej zwierzyć? Opowiedzieć Joanie o Jordim? O lekarzu? O Arnau?

– W gruncie rzeczy myślę, że robię to dla siebie – zamknęła temat.

Joana patrzyła jej w oczy. Teraz Tina uświadomiła sobie, że drżą jej ręce, w których trzyma wycinki, więc opuściła je, żeby Joana się nie zorientowała.

– Macie wiadomości od Arnaua?

– Nie. Twierdzi, że jest bardzo szczęśliwy.

– Nie odwiedziliście go?

– Nie wolno. Musi upłynąć trochę czasu. Chyba jednak nie wytrzymam i ominę te zakazy.

Żadna z nich tego nie skomentowała. Obie wydawały się zakłopotane. Odchodząc, Joana uściśniła jej ramię, jakby chciała powiedzieć do zobaczenia i Tina została sama ze swoim rozczarowaniem. Arnau, mój syn, dobrowolnie wybrał drogę, a ja walczyłam z całych sił, żeby nikt go nigdy nie zmuszał do takiego wyboru. Mój syn, inne życie. Jak córka Oriola Fontellesa, która żyje w przekonaniu, że jej ojciec był faszystą, a to nieprawda.

Przeglądała wycinki. Skupiła się na dwóch czy trzech. Trzy zdjęcia bardzo dobrej jakości, nieco pożółkłe, tworzyły serię przedstawiającą pomnik na placu Sant Eloi, czy może raczej na Rynku, ale niemal nie dało się odczytać liter tworzących napis. Tina pochyliła lampkę, żeby dokładniej przyjrzeć się szczegółom. Podpis pod pierwszym zdjęciem wyjaśniał, że przedstawia ono bezpretensjonalny i niewzruszony pomnik poległych, odsłonięty w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, na moment przed zamachem, w wyniku którego wyleciał w powietrze. Zdjęcie zostało wykonane dokładnie pięćdziesiąt siedem lat, pięć miesięcy i osiem dni temu. Ukazywało jakiegoś majstra i chłopca za pomnikiem, jak schodzili z pola widzenia, a chłopiec odwracał się niezadowolony w stronę kamiennej bryły. Dało się rozpoznać, że padał deszcz. W głębi jakaś wpół objęta para, młodzi, może się całowali. Kilku mężczyzn w białych marynarkach, które skojarzyła sobie z orkiestrą Plateria. Patrzyli na pomnik i coś między sobą komentowali ze znajomością rzeczy. I jeszcze więcej ludzi, wszyscy wpatrzeni w pomnik, a może też w fotografa (Peret z domu Moliner). To było zdjęcie pełne szczegółów niezauważonych przez autora, ponieważ to oczywiste, że głównym obiektem miał być obelisk. W momencie kadrowania drugiego zdjęcia, na którym znajdował się sam pomnik, bez ludzi, brakowało tylko trzech sekund do eksplozji, która zabiła fotografa. Partyzanci zabili Pereta z domu Moliner, choć on zawsze głosował na lewicę, kiedy jeszcze na świecie się głosowało.

Trzecia fotografia, o zupełnie innej fakturze, która wyszła najprawdopodobniej spod czyjejś innej ręki, przedstawiała obraz zniszczenia po wybuchu i jakiegoś budzącego respekt mężczyznę przeklinającego czerwonych komunistów i separatystów, którzy nam niszczą ojczyznę, a ludzie tymczasem uciekali, wołali zdrowaś Mario, wystraszeni tą ciągłą, nieustanną wojną. W powietrzu unosiła się sucha woń prochu, którego użyto do wyrobu bomby, a w odległości dziesięciu kroków leżał największy fragment pomnika. Oraz

biegnący w dół niewyraźny mężczyzna, który myślał moja bezimienna córeczko, na jaki świat cię sprowadziliśmy.

Tina przejrzała inne zdjęcia. Świetny materiał. Nie miał nic wspólnego z książką, nad którą pracowała, ale wiele wspólnego z Oriolem. Dziękuję, Joano, naprawdę jestem ci wdzięczna, powiedziała w duchu, spoglądając na sekretarkę.

Intensywnie błyszczące, cierniste gwiazdy na czystym wiosennym niebie chciały coś przekazać Serrallakowi, ale ich świetliste przesłanie dochodziło z tak zamierzchłej odległości, że nie dało się go pojąć. Zresztą Serrallac nie czuł się w nastroju do słuchania lamentu gwiazd. Patrzył na konstelację układającą się w literę „M” i nie wiedział, że Kasjopeja ściągnęła nieszczęście na całą rodzinę przez własną dumę, kiedy zaczęła się chwalić córką, Andromedą, że jest piękniejsza niż nereidy. Niż nereidy! Co za tupet. A teraz wisiała nieruchomo na lodowatym niebie, a obok niej mąż Cefeusz, Andromeda i jej zakochany wybawiciel Perseusz. Ileż zdrożnych namiętności los wyrzył nożem nad głową Serrallaca. A on tymczasem patrzył w niebo i spokojnie dopalał ostatniego papierosa. Głowę mu zaprzętał tylko ten cholerny kredyt, którego nie chcą dać na pokrycie kosztów naprawy ciężarówki. Przeszedł go zimny dreszcz i zasunął pod samą szyję zamek grubego swetra.

Anemiczna żarówka po jego stronie placu się nie paliła, podobnie jak w tamtych odległych czasach, kiedy był dzieckiem, a oddziały partyzanckie czy przygodne grupy mężczyzn, kobiet i dzieci ze strachem w oczach i z zamarzniętymi warkoczykami, uciekinierów przejętych lękiem, pokonywały konspiracyjny szlak i zatrzymywały się w szkole na parę godzin odpoczynku podczas wyprawy w nieznaną. Serrallac nie miał o tym pojęcia. Siedząc w ławce po lewej, tuż przy ścianie, oglądał mapy, które pobudzały go do marzeń. Wyobrażał sobie, jak wiosłuje w górę Amazonki, tą niebieską wstążeczką w zielonej otoczce, jak dociera do części białej i brązowej, do źródeł rzeki, z okrzykiem tak donośnym, że słyszą go w całej Ameryce, od Cieśniny Beringa aż po Ziemię Ognistą.

– Słucham cię, Jaumet.

– Nie, nic... tylko że Amazonka przyprawia o zawrót głowy...

– Powiedz dlaczego.

– Nie, tylko chciałem wiedzieć, ile razy jest większa od Pamano. Albo od Noguery.

Oriol patrzył w niebieskie oczy Jaumego Serrallaca, szukając w nich prawdy. Był chyba jedynym dzieckiem, które stale się nad czymś zastanawiało; był jedynym, który w innym miejscu i innym czasie uczyłby się o wielkich sprawach, ale w Torenie Jaumet, jeśli jego ojciec nie podejmie drastycznej decyzji, będzie studiował tylko kosa, siano, krowy, owce i przy odrobinie szczęścia zwierzęta pociągowe, w których jest siła i przyszłość, zwłaszcza teraz, kiedy wszystkie muły i osły zostały skonfiskowane przez kolejne wojny.

A może będzie robił płyty nagrobne i dachówki jak ojciec, Serrallac kamieniarz.

– Amazonka jest... ponad tysiąc razy większa od Pamano.

– Niemożliwe. – Jaume Serrallac jęknął z wrażenia.

Przez całe zimne popołudnie Jaumet więcej się nie odezwał, bo potrzebował czasu, żeby zobaczyć tysiąc rzek Pamano jedna obok drugiej i cała dolina Àssua zlewała się w jego wyobraźni w rzekę tak nieprawdopodobną jak legendarny bezkres morza. Wyobrażał sobie to wszystko, a tymczasem nad jego głową, na strychu, dwie dziewczynki z warkoczykami starały się uciszyć swój lęk, aby żaden niczego nieświadomy uczeń nie wrócił do domu i nie opowiadał, że szczury i myszy nad szkołą kichają jak dziewczynki z jasnymi warkoczykami i oczami przepełnionymi lękiem.

Serrallac nie miał o tym pojęcia, bo oprócz snucia marzeń nad mapami świata zaczynał już pomagać ojcu tłuc kamienie oskardem i podziwiał małego Venturę, zanim go zabili, bo potrafił obrócić w tę i z powrotem do Coma Alta dokładnie w pięć kwadransów. Ale teraz żarówka nie paliła się nie dlatego, że jakiś infiltrowany nauczyciel ją wykręcał, kiedy mu pasowało, ale z winy tego obiboka Portulésa. Facet ma stałą pensję, więc swoją lekką robotę wykonuje byle jak, bo nikt go nie rozlicza. Pozazdrościł mu pewnych zarobków na państwowej robocie, podczas gdy on musiał spłacić raty za ciężarówkę i wymianę wałka rozrządu, zniszczonego na tej piekielnej drodze do Pujalt, którą uparł się pokonać przeładowanym samochodem.

Rzucił niedopałek na ziemię i w tej samej chwili otworzyły się drzwi domu Gravat. Znieruchomiał na swojej ławeczce, niewidoczny w ciemności, i patrzył, jak wylania się z nich kobieca postać z jakimś pakunkiem w dłoni. Pani Elisenda. Trzymała w rękach zawiniątko z ubraniem. Trafiała celnie w kałużę pod murem. Słysząc było chlup, a ona stała bez ruchu, opryskana błotem, śmiertelnie zmęczona. Po czym wycofała się i zamknęła za sobą drzwi, a Jaume Serrallac uznał, że lepiej się nie ruszać, bo pewnie będzie dalszy ciąg. Widocznie bogowie czytali w jego myślach: znów otwarły się drzwi domu Gravat, wypuszczając na zewnątrz białą postać. Nagi i bosy mężczyzna przekleństwem powitał chłód kwietniowej nocy, podniósł ociekające zawiniątko i próbował założyć majtki, ciemne od błota, których z wściekłością szukał między częściami ubrania, a w tym momencie przez ponownie otwarte drzwi jakieś energiczne ramię wyrzuciło na środek placu parę butów, które wylądowały z ironicznym, pustym kłaśnięciem. Mężczyzna zaklął pod nosem, kiedy drzwi znów się zamknęły, ale szybko pobiegł po buty. Wtedy Serrallac zobaczył jego twarz w świetle mitycznych gwiazd: to ten chłystek, który pajacował na stoku i który miał takie wzięcie wśród podlotków z Barcelony. Ten, za przeproszeniem, wypierdek i pani Elisenda? O, kurwa. I to w domu Gravat. Ale afera. Niezła konstelacja: wyniosła pani Elisenda i ten pajac w

okularach słonecznych.

Jaume Serrallac zamienił się w deseń na ścianie własnego domu, żeby tamten fagas nie zauważył jego obecności. Był zły sam na siebie, bo jeśli ktoś chciałby cokolwiek ukrywać, to tamten pieprzony instruktor, a nie on, spokojnie dopalający papierosa na ławeczce przed własnym domem, w którym spały jego żona i córka. Mimo to ani drgnął, bo już dawno zdążył przyswoić sobie lekcję, podobnie jak wszyscy w Torenio, że lepiej nie mieć do czynienia z mieszkańcami domu Gravat, pod żadnym pozorem. Instruktor i pani Elisenda. A to dopiero. Pani Elisenda, ta trusia, która ponoć wykupiła połowę terenów w okolicy, żeby na sprzedaży gruntów zbić fortunę, ta, która ciągle się zadaje z księżmi, kanonikami i nawet z biskupem z Seu, a tu proszę, jak sobie po cichu dogadza z byle narciarzem.

– Nie wierzę.

– Widziałem na własne oczy. Goły, na środku Rynku.

– Niemożliwe. Pani Vilabru...

– Pani Vilabru ma nogi jak wszyscy. A kto ma nogi, ma coś między nogami.

Tak uważał. Jaume Serrallac wygłosił uwagę, dopijając kawę z koniakiem w barze Rendé w towarzystwie tego pieprzonego agenta ubezpieczeniowego, który uparł się, że zniszczenie wałka rozrządu to nie wypadek, tylko awaria.

– Ja to wiem z dobrego źródła: przysięgał mi, że to prawda pewien nieszczęśnik, który mieszka naprzeciwko jej domu, taki jeden, co wykuwa nagrobki i produkuje różne wyroby z kamienia.

– Ale to niemożliwe.

– Ale prawdziwe: pani Elisenda pieprzy się z żółtodziobem i wygania go nagiego na ulicę.

– Po orgietce?

– Tego nie wiem: tylko ci powtarzam, co słyszałem. Sam nawet nigdy nie byłem w Torenio; ja tylko się zajmuję ubezpieczeniami, nie wiem, czy mnie rozumiesz.

– Tak, ale to, o czym mówisz, to poważna sprawa.

– Facet, który mi o tym powiedział, mieszka dokładnie naprzeciwko. Więc chyba sam rozumiesz.

– Orgie w miasteczku, panie delegacie.

– Nie wierzę.

– Może pan przeprowadzić śledztwo.

– Nie będzie mi tu pan rozkazywał, co mam robić. Ktoś po prostu źle jej życzy. To kobieta bardzo, bardzo...

– Powiedziałem, że wiem z dobrego źródła. Z pierwszorzędnego źródła.

– Jako delegat mam obowiązek nakazać panu przeprowadzenie śledztwa.

– Jeżeli sprawa jest tak poważna, jak mówią... – Z przejęciem stuknął

ołówkiem w blat stołu.

– Jestem przekonany, że to przesada. Ktoś chce jej zaszkodzić. Dochodzenie wszystko wyjaśni, proszę pana.

– No to zabierajcie się do roboty. Dyskretnie, ostrożnie, bezstronnie, taktownie i z rozwagą.

Pani Elisenda zamknęła drzwi i oparła się o framugę, jakby chciała własnym ciałem zagrozić drogę do domu Gravat plotkom, które właśnie zaczęły krążyć. Słyszała, że Quique klnie pod nosem. A zaraz potem usłyszała walenie w drzwi. Tak jak ci mówię, z niedopiętymi spodniami, zaczął uderzać butem w drzwi domu Gravat, zakłócając absolutną ciszę w miasteczku, i wołał głośno otwórz, bo będziesz żałować. Uprzedzając o sekundę moment, gdy zapaliły się światła w trzech czy czterech domach, których okna wychodzą na plac, pani Elisenda otworzyła drzwi, chwyciła Quique za włosy i wciągnęła do środka. I nic więcej nie widziałem, choć siedziałem tam jeszcze długo, ale było tak, jak ci mówię, niech umrę, jeśli zmyślam.

– Teraz ty mnie posłuchaj. – Quique trzymał jeszcze buty w ręku i dyszał z wściekłości. Nie odwracając się, powiedziała dziękuję, Carmino, wracaj do łóżka, wszystko jest pod kontrolą.

– Przepraszam, ale... jest telefon do pani.

– O tej porze?

– Mówi, że to pilne.

– Dobrze, zaraz odbiorę.

– I co. Co masz mi do powiedzenia?

Quique zdążył już założyć buty i ocierał błoto z koszuli, wściekły.

– Nie lubię powtarzać dwa razy. Jeżeli powiesz komukolwiek o tobie i o mnie, każę cię zabić. Ja nie żartuję.

– Och, już zaczynam się bać.

– Nawet nie próbuj. Nie rzucam słów na wiatr.

– Proszę pani, mówią, że to...

– Dziękuję, Carmino. – Cały czas tyłem do służącej: – Powiedziałam, wracaj do łóżka.

Kiedy Quique skończył się ubierać, pani Elisenda otworzyła przed nim drzwi, a on tylko jej splunął pod nogi. Pokonany, powiedział, patrząc jej prosto w oczy pieprzyłem twojego ukochanego synalka. Bardzo mu się podobało. Zatracony pedał. Chcesz wiedzieć więcej, zadzwoń.

Pani Elisenda zamknęła drzwi za swoim romansem z Quique, a kiedy się odwróciła, zauważyła w przedpokoju wystraszoną Carminę w koszuli nocnej. Wchodząc do salonu, powiedziała, nie patrząc w jej stronę Carmino, jutro rano spakujesz walizkę i opuścisz ten dom.

- Ale...
- Tu zostawię ci pieniądze.
- Proszę pani, ale ja...

Jaśnie pani już była w salonie, gdzie czekał na nią telefon na półce nad kominkiem.

- Słucham.
- Pani Vilabru?
- Przy telefonie.
- Pani stryj...
- Co mu jest?

Przełożony domu księży powiedział, że bardzo mu przykro, ale tym razem chyba naprawdę jest źle, bo biedaczek miał atak, teraz ma jedną połowę ciała sparaliżowaną, nie rusza się i...

- Co mówi lekarz?
- Że to źle rokuje, proszę pani.
- Dobrze. Za godzinę u was będę.
- Nie, odwieźliśmy go do szpitala i tam...
- Powiedziałam, za godzinę u was będę.

Wolała sama prowadzić, wypłakać całą wściekłość, poczuć w samotności swoją słabość, wyładować się, krzyczeć w samochodzie zmierzającym w stronę przełęczy Cantó. Kiedy dojechała do domu księży przy Pałacu Biskupim, ksiądz Llebaria, zdziwiony, już na nią czekał.

– Właśnie otrzymał ostatnie namaszczenie. Nie przeżyje tej nocy. – Patrząc kątem oka na budynek: – Ale odwieźliśmy go do szpitala.

Pani Elisenda skierowała się prosto do pokoju, który zajmował stryj August, a w ślad za nią podążał przełożony ośrodka. Kiedy dotarła na miejsce, odwróciła się i powiedziała lodowatym głosem proszę księdza, chciałabym zostać sama, proszę uszanować mój ból.

Llebaria natychmiast zamknął za sobą drzwi, nic z tego nie rozumiejąc. Pani Elisenda szybko zrobiła wizję lokalną: łóżko nieposłane, niepotrzebna już laska stryjka oparta o ścianę, książka z zagadkami matematycznymi, niczym rozważania Kempisa, leżała otwarta na stole, z zaostrzonym ołówkiem, który służył za zakładkę na stronie z rozwiązaniami. W pierwszej szufladzie znalazła to, czego szukała: niedokończony list adresowany do biskupa Seu i do nowego postulatora w sprawie beatyfikacji czcigodnego Oriola Fontellesa i Grau, który zginął w obronie wiary. Drżącą ręką, ale całkiem czytelnym pismem ksiądz August oświadczał stoję przed strasznym dylematem wyboru między mniejszym i większym złem i moje sumienie nie może sobie z tym poradzić. Cokolwiek bym zrobił, zasługuję na potępienie. Jeśli to przemilczę, będę

wspólnikiem oszustwa, jeśli będę mówił, naruszę święty sekret. Brak mi sił, by stawić czoło tej sytuacji i dlatego, w porozumieniu z moim spowiednikiem, chcę was ostrzec, monsiniorze, że mam poważne powody, by uważać, iż beatyfikacja czcigodnego Oriola Fontellesa nie powinna dojść do skutku. Kropka. Niedokończony list, bez końcowego pożegnania, bez pozdrowienia na początku, ale z imionami adresatów. Brudnopis pełen wątpliwości.

Kiedy pół godziny później ksiądz Llebaria nieśmiało zapukał do drzwi, powiedziała drżącym głosem proszę wejść. Siedziała i ocierała łzy. Ksiądz przez współczucie dla jej cierpienia zachował milczenie.

– Czy mógłby ksiądz z łaski swojej wskazać mi drogę do szpitala?

Już na ulicy ksiądz Llebaria dokończył objaśnianie trasy dojazdowej, a jaśnie pani, zamykając drzwi samochodu, wystawiła głowę przez okienko i zapytała proszę księdza, czy wie ksiądz, kto był spowiednikiem mojego stryja?

– Spowiednikiem?

Zwlekała z włączeniem silnika, czekając na odpowiedź.

– Dlaczego to panią interesuje?

– Żeby podziękować za wszystko, co dla niego zrobił.

– Ja byłem jego spowiednikiem.

– Bardzo księdzu dziękuję. Wrócę tu za parę dni, żeby wyrazić swoją wdzięczność.

Uruchomiła samochód i odjechała, zostawiając sekretarza domu jeszcze bardziej skonfundowanego, niż kiedy tu przyjechała.

Najtrudniej było znieść to spojrzenie. Okazało się gorsze niż charczenie, lekkie drżenie ramienia, wrażenie bliskości śmierci, jakim emanowała atmosfera szpitalnej sali. To spojrzenie. Wbił w nią wzrok przez lekko przymknięte powieki, chyba z wyrazem nienawiści.

– Nikogo nie poznaje – zapewnił ją lekarz. – Nauka jest bezsilna.

Oczywiście, że mnie poznaje. Patrzy na mnie i wysyła mnie do diabła, co nie jest zbyt miłe. Ale przyjmij do wiadomości, że cel jest szlachetny, a ty nie masz prawa mi mówić, co powinnam robić. Ja już zdecydowałam ogłosić wszem wobec, że Oriol jest męczennikiem i że chcę uczcić jego pamięć. Co z tego, że nie podszedłeś do tego pomysłu z entuzjazmem, podobnie jak ksiądz Bagà? Teraz już nie mogę się wycofać. Nie ma mowy. Za nic w świecie. A poza tym Pan Bóg już został poinformowany, że dopnę swego. Jeśli nie chcesz tego zrozumieć, to twój problem, ale ja to wszystko robię w imię miłości do ukochanego i przysięgam, że doprowadzę sprawę do końca.

– Stryjku, słyszysz mnie?

Przeklina mnie. Nie jestem zła, stryjku, myślisz, że jestem zła, ale ja zawsze robię tak, żeby było dobrze. Wyspowiadałam się trzy dni temu i jestem czysta.

Niemal. Nie masz prawa mnie osądzać, nie masz prawa tak na mnie patrzeć.

– Niech pani usiądzie. Proszę pomyśleć o sobie.

Ja zawsze myślę o sobie. Stryjku, dlaczego jesteś taki surowy? Nie rozumiesz, że nie mogę już się wycofać? Uważasz, że wszystko wiesz, a nie wiesz nawet połowy. Tak się sprawy potoczyły. Życie mnie nauczyło przynajmniej tego, że żadne pobożne życzenia nie zmieniają tego, co się wydarzyło: trzeba się z tym zmierzyć. Na tym polega siła. A gdyby ktoś chciał mnie sądzić, chociaż ja tylko uczciłam pamięć ojca i brata, i oddałam sprawiedliwość ukochanemu, niech najpierw sprawdzi, czy sam jest bez winy, bo wszyscy mają coś do ukrycia. I nie mów mi o przebaczeniu. To nie ja powinnam przebaczać, tylko mój ojciec i mój brat. I mój ukochany. Tak, stryjku, powiedziałam mój ukochany, coś ci się nie podoba? Ty nigdy nie zrozumiesz, jak to jest, kiedy się kogoś kocha do szaleństwa. Nigdy nie zrozumiesz, że po tylu latach nie ma nocy, żebym nie myślała o Oriolu, mimo że wydarzyły się rzeczy, o których nie masz pojęcia. Mam rozdartą duszę. Co noc o nim myślę, stryjku. Ty nie rozumiesz, co to namiętność i do czego jesteśmy zdolni, kiedy działamy pod jej wpływem. Ja czuję się wzbogacona, bo przeżyłam kilka chwil w ramionach Oriola: warto było, stryjku. Tych parę tajemnych chwil stało się moim niebem, dopóki trwały. Wszystkie pozostałe decyzje, pomnażające codziennie mój majątek, nie mają dla mnie znaczenia, stryjku. Najważniejsze to zachować pamięć o Oriolu, uhonorować go raz na zawsze. Na złość wszystkim. Nawet na złość Panu Bogu, stryjku, niech Bóg mi wybaczy. I przysięgam, że nigdy nie zdejmę tego łańcuszka z krzyżykiem, aż do śmierci, stryjku Augustcie.

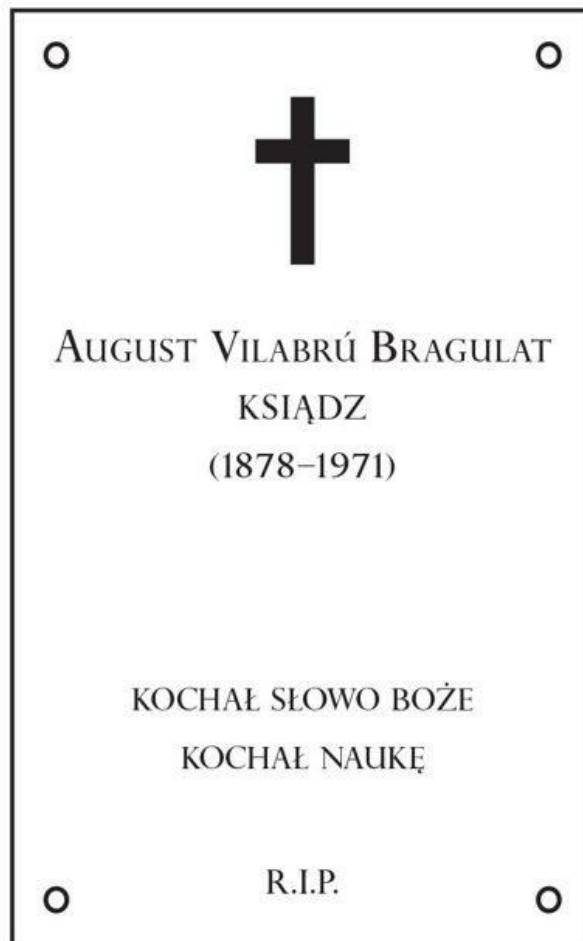
– Pani Vilabru.

– Słucham?

– Ksiądz August nie żyje.

Spojrzenie księdza Augusta było ciągle takie samo: pełne nienawiści, przenikliwe; przez półotwarte powieki patrzył na nią i oskarżał o całe zło. Jakież ty jesteś niesprawiedliwy, stryjku Augustcie.

– Czy możecie mu zamknąć oczy?



Kochał Słowo Boże. Kochał naukę. Opłakiwał śmierć brata i bratanka zamordowanych w nikczemny sposób przez anarchistów z Tremp i czuł grzeszne pragnienie zemsty. Mieszkał w Rzymie na wygnaniu i tam poznał Massima Vivaldiego, który go skłonił do napisania rozprawy *O przestrzeni funkcji całkowitych skończonego rzędu*. Miał poważne wątpliwości co do propozycji Whiteheada i Russella, by wywodzić arytmetykę z aksjomatycznej teorii mnogości. Ale kiedy przeczytał dzieło *Principia Mathematica*, od razu stał się gorliwym wyznawcą tej teorii. Dwukrotnie był kandydatem do medalu Fieldsa, mimo że po powrocie z Rzymu nie ruszył się z Seu, gdzie osiadł na wygodnej synekurze kanonika, która pozwalała mu rozmyślać cały boży dzień o funkcjach zmiennej rzeczywistej. Ale okazał słabość swojej bratanicy, która jego zdaniem jest uosobieniem zimnej furii przyrody i która wciągnęła go w spiralę decyzji nieodwołalnych i nieodwracalnych. To wszystko kryło się za myślnikiem, który Jaume Serrallac całkowicie nieświadomie wykuł pomiędzy datami 1878 i 1971. Masz zręczniejsze ręce niż ja, musiał przyznać jego ojciec. Pere kamieniarz zabijał czas na emeryturze, kręcąc się po warsztacie – który teraz należał do syna – czytając wybór myśli Bakunina, które już nie były doktryną, tylko wspomnieniem czasów, kiedy miał ideały. Sprawdzał ręką gładkość bloków marmuru i mruczał pod nosem, że dzisiejsze kamienie to nie

to, co kiedyś.

To z pewnością był nagrobek najwyższej jakości w całej jego zawodowej karierze, bo życie ludzi w górach nie mieści w sobie tyle historii. Ponadto nie pożałowali grosza, zależało im tylko na czasie. Jaume Serrallac musiał spędzić w warsztacie wieczór i noc, grawerując to streszczenie życia i marzeń krojem Perpetua Titling MT, a kiedy skończył, pomalował litery na czarno, żeby się wyróżniały na eleganckim szarym kamieniu. Prawdziwe dzieło sztuki. Biedny ksiądz, już od dawna została z niego tylko skóra i kości. Cały czas myślał kto by przypuszczał, że pani Elisenda... Owszem, kobieta elegancka i przystojna, ale żeby zaraz... Natomiast pani Elisenda, sama, bez Carminy, spacerowała po ogrodzie przy domu Gravat, niespokojna, aż do późna, i weszła do środka, dopiero kiedy Kasjopeja wykonała prawie pełne okrążenie, a mityczna Andromeda przeszła ponad Toreną. Ani chwili nie poświęciła gwiazdom ani namiętnościom, jakie kryły w sobie konstelacje: za dużo w niej było życia, za bardzo się pogubiła i zbyt wiele miała pilnych spraw do załatwienia, jak choćby wyrzucenie do sedesu podartych na strzępy listów stryja czy konfrontacja ze spojrzeniem umierającego, co okazało się trudniejszym zadaniem od tego, które wykonał Perseusz, kiedy pokonał gorgonę Meduzę tam w górze, w świecie gwiazd.

IV

Rekwiem dla kata

Panie policjancie: wydaje mi się, że jestem Bogiem.
JOHN ALLEN MUHAMMAD, SNAJPER Z WIRGINII

Introibo ad altare Dei. Ad Deum qui laetificat iuventutem meam. Adiutorum nostrum in nomine Domini. Qui fecit caelum et terram.

Ksiądz Rella już prawie zapomniał, jak się odprawia mszę po łacinie, i teraz się zadumał nad przemijaniem. Upłynęło dwadzieścia czy trzydzieści lat, od kiedy po raz ostatni odprawił łacińską mszę. Trzydzieści lat. Mój Boże. Minęło jak sen.

Jeszcze przed ewangelią między ławkami honorowych gości zaczynają krążyć ulotki, które część ludzi z namaszczeniem wkłada do kieszeni, żeby później je przeanalizować, a inni od razu rozkładają i czytają, po czym podnoszą wzrok zaniepokojeni i rozglądają się wokół, przyłapani na gorącym uczynku.

– Proszę.

Ksiądz Rella bierze do ręki papier. Rozkłada go, przekonany, że to kolejna instrukcja postępowania podczas dzisiejszych skomplikowanych ceremonii, i czyta my, członkowie Falangi Hiszpańskiej, w imieniu narodu hiszpańskiego występujemy z inicjatywą i żądaniem dokonania jakże upragnionej i oczekiwanej kanonizacji caudilla Hiszpanii, generalissimusa Francisca Franco Bahamonte. Niech żyje Franco, wiwat Hiszpania. I numer skrzynki pocztowej, gdzie można wysyłać głosy poparcia. Niech to jasny szlag. Za przeproszeniem. Zirytowany ksiądz Rella gniecie papier i demonstracyjnie rzuca go na ziemię, żeby widziała to właściwa osoba, diabli wiedzą kto. Nie mieszajmy jednego z drugim, nie mieszajmy, powtarza, żeby się uspokoić. Mężczyzna, który siedzi obok, schyla się, podnosi zmięty papier, kładzie na oparciu ławki, wygładza, starannie wyrównuje brzegi i patrząc na niego z politowaniem, wręcza ulotkę:

– Coś księdzu wypadło – upomina go surowo.

Po lekturze ewangelii sekretarz Kongregacji do spraw Kultu Bożego podchodzi do ołtarza, a tymczasem papież, w asyście usłużnego księdza w komży, ale bez ornatu, siada, nastawiając się na słuchanie. Sekretarz kongregacji wymienia po łacinie heroiczne cnoty tych, którzy w tym dniu zostaną błogosławionymi, i na koniec wypowiada z namaszczeniem w imieniu papieża słowa tenore praesentium indulgemus ut idem servus Dei beati nomine nuncupetur. Ksiądz Rella, wzruszony, podnosi palec i zwraca się do pana Guardansa, który siedzi po jego lewej stronie: w związku z tym, co zostało powiedziane, pozwalamy, aby ten Sługa Boży otrzymał miano błogosławionego. No, mniej więcej. I od tej chwili nauczyciel, czcigodny Oriol Fontelles, męczennik Kościoła, zamordowany przez komunistów; żołnierz pierwszej kompanii, czcigodny Krzysztof Fuggs, zamordowany przez nazistowskie hordy; siostry miłosierdzia, czcigodna Nebemba Wgenga i czcigodna Nonaguna Wgenga, zamordowane przez samozwańcze hordy rewolucyjne, i pielęgniarka, czcigodna Koí Kayusato, zamordowana przez hordy pirackie, otrzymują godność błogosławionych. Kościół, poprzez Ojca

Świętego, Najwyższego Kapłana, ogłasza uroczyście, że wszyscy ci Słudzy Boży, których cnoty zostały uprzednio uznane za heroiczne, cieszą się wieczną szczęśliwością i mogą być przedmiotem kultu.

Kiedy sekretarz wypowiedział te słowa, dwaj akolici słusznego wzrostu, blondyni, z karkami wygolonymi tak, że wyglądali na mormonów, ściągają coś w rodzaju płótna, które przysłaniało przednią część ołtarza, i ukazuje się pięć fotografii, pięć ujęć en face pięciorga nowych błogosławionych Kościoła katolickiego. Wielorasowy wachlarz, aż miło spojrzeć. Kościół jest powszechny również w doborze swoich męczenników. Drugi, zaraz za żołnierzem w mundurze, to Oriol Fontelles na jedynym zdjęciu, jakie po nim zostało; kto wie, gdzie patrzeć, może dostrzec kołnierz i klapy jego imponującego munduru falangisty. Amen.

Ksiądz Rella znów mnie papier i rzuca na ziemię. Mężczyzna po jego prawej pochyła się, podnosi i ponownie wygładza. Dopiero w tym momencie przypomina sobie słowa tamtej nieznanym wypowiedziane w mroku katedry. Głos nieco zachrypnięty, zmęczony, wypowiadał słowa chęć beatyfikować człowieka, który nie wierzył w Boga ani w Kościół. Mówią o nim, że zmarł męczeńską śmiercią.

– Piękna śmierć...

– Niech ksiądz postara się mnie zrozumieć. Nie wierzył w Boga, w niebo, w odkupienie, w świętych obcowanie, w autorytet Kościoła, naszej matki. Ani w świętych, ani w piekło.

– Ale dlaczego pytasz mnie o zdanie, córko?

– Bo nie chcę do tego dopuścić.

– Dlaczego, skoro i tak nie wierzysz?

– Bo osoba, o którą chodzi, nie zasłużyła na to, by wypaczać jej pamięć.

Cisza. Mrok w pustej nawie Seu. Mrok w duszy księdza, który sam nie wie, co o tym myśleć. Spojrzał przez kratkę i wszystko było milczeniem. Trwało tak długo, że przez chwilę ksiądz myślał, że ta dziwna penitentka rozwiązała się po tym, jak zaszczepiła w nim małe piekło.

– Dobrze ci radzę, córko, nie rozgrzebuj tej sprawy – wydobył z siebie głos po wielu latach, przez zaschnięte gardło. A później zasięgnął rady u swojego przełożonego, który mu przypomniał jeżeli ktoś prosi, by ten, kto zna jakąś przeszkodę, ujawnił ją, trzeba to zrobić, mój synu.

– A jeżeli nikt nie prosi?

– Wtedy, mój synu, zamilknij na wieki.

– Proszę uważać, by znów księdzu nie wypadła – ostrzega mężczyzna po prawej, wciskając mu ponownie ulotkę z żądaniem kanonizacji generała Franco.

Pani Elisenda na honorowym miejscu spokojna, blada, z pochyloną głową słucha, jak adwokat Gasull opowiada jej o tych fotografiach. Marcel i jego syn

od czasu do czasu zerkają na zegarek, bo ta impreza wydaje się nie mieć końca. Mertxe robi pokerową minę. Gasull, zaniepokojony wyglądem Elisendy, nie spuszcza jej z oka ani na moment. Nie odważy się zapytać dobrze się czujesz, bo już dawno się nauczył, że ma się ograniczać do odpowiadania na pytania, a własne cierpienie może trawić w samotności.

Elisenda robi taką minę, jakby miała się rozpłakać, ale nie ma łez. Przypomina sobie ostatnią noc, zaskoczenie, przerażenie, książki jako niefortunny pretekst, jego oczy wpatrzone we mnie, i ja, zdziwiona, zmieszana, musiałam powiedzieć stryjowi stryjku, to jest nauczyciel z miasteczka, który zaszedł po książki. A potem dlaczego, dlaczego wpadłam na pomysł, żeby sprawdzać, co się kryje w tym spojrzeniu, po co mi było wiedzieć, o czym chciałeś ze mną rozmawiać, w złą godzinę założyłam płaszcz, żeby wyjść, Oriolu. Dlaczego, skoro tak bardzo się kochaliśmy? Mimo gorzkiego posmaku w ustach, jaki pozostawiły tamte wspomnienia, damie nie udaje się uронić ani jednej łzy. Błogosławiony Oriol. Widzisz, Boże? A nie mówiłam, że postawię na swoim?

Marudne kobiety w ławkach z tyłu płaczą, ulotki w sprawie Franco krążą coraz nachalniej, ktoś szepce ilu świętych hiszpańskich, co za radość. A najważniejszym ze wszystkich jest święty Josemaría Escrivà de Balaguer i Albás. Może już czas rozpocząć starania o wyniesienie na ołtarze królowej Izabeli Katolickiej, tak, najwyższy czas. Dalej, w głębi przy filarze, ksiądz Rella przypomina sobie pewną spowiedź i myśli, że chciałby się teraz znaleźć w dolinie Àssua, słuchając odwiecznej kantyleny rzeki Pamano.

Napis na płycie nagrobnej Pereta z domu Moliner głosił Pedro Moner Carrera (1897–1944). Pere Serrallac, kamieniarz, na próżno walczył ze sobą, by uciszyć rozdzierający smutek w sercu. Zamiast go uprzedzić, skupiłem się tylko na tym, by Jaumet nie kręcił się w pobliżu; nawet przez myśl mi nie przeszło to cholerne zdjęcie. Powinienem być cię uprzedzić Peret, uciekaj stąd, za chwilę wszystko to się rozprysnie jak owoc granatu, uważaj na siebie.

W kościele parafialnym pod wezwaniem Świętego Feliksa władze zajmowały pierwsze ławki po prawej, a tę po lewej zostawili dla nieszczęsnej żony, Encarnació, i dla syna, który pracuje w Lleidzie, a teraz przyjechał ze zdumieniem wypisanym na twarzy i przez całą uroczystość nie mógł ochłonąć z wrażenia. Wśród władz wielce szanowni burmistrzowie i lokalni przywódcy Ruchu Narodowego z Sort, Altronu, Rialb, Motardit, Enviny, Toreny, Llavorsí i Trívii, i nieobecny, lecz usprawiedliwiony gubernator cywilny, oraz w komplecie ciało pedagogiczne z całej komarki, z wyjątkiem nauczycieli i nauczycielek, którzy właśnie korzystali z zasłużonych wakacji w swoich rodzinnych miejscowościach rozproszonych po różnych zakątkach ojczystej geografii.

Peret z domu Moliner. Pere Moner Carrera, myślał Oriol, wpatrując się bezmyślnie w kark księdza Coloma, który odprawiał przy ołtarzu swoje sekretne misterium, i wydawało się, że nie chce się nim z nikim dzielić.

Kaznodzieja, kalecząc język hiszpański, wyklinał komunistyczne barbarzyństwo i pomstował na bandytów, którzy chcą zakłócić pokój. Czy nie mieliśmy dość wojny? Czyżbyśmy nie chcieli, by słowo wojna zniknęło na zawsze z naszych ust? Czy za mało nam jeszcze bólu? Dwie, trzy, cztery sekundy ciszy jak w szkole, w seminarium duchownym, oczekiwania na odpowiedź tak, proszę księdza, mamy dość. Nikt się nie odezwał i celebrans skończył kazanie, nawiązując do aktów wandalizmu jak ten, kiedy partyzanci, których nie ma, niszczą pomnik ku czci męczenników Krucjaty, a na dodatek wyprawiają na tamten świat Pereta, republikanina i ateistę, który właśnie otrzymywał religijny pochówek uświetniony obecnością lokalnych frankistowskich władz, a płakała tylko jego żona, Encarnació, mówiąc w duchu masz szczęście, że nie widzisz tej szopki, Peret, bo gdybyś podniósł głowę, szlag by cię trafił. W tym momencie ktoś pociągnął za białą marynarkę munduru i Oriol musiał się odwrócić. Jacinto Mas, szofer pani Elisendy, podał mu kartkę. Zdążył schować ją do kieszeni dokładnie w momencie, gdy Valentí, który rozmawiał z burmistrzem Sort, spojrział w jego stronę, jakby chciał cały

czas mieć go na oku. W tej samej chwili ksiądz Colom odwrócił się twarzą do wiernych, wzniosł ramiona w liturgicznym geście i rozłożył je, mówiąc Dominus vobiscum, a całe zgromadzenie wstało i odpowiedziało cumespirituo, proszę księdza.

Tamtej nocy Valentí Targa wezwał go do ratusza. Popołudnie spędził w pensjonacie Ainet, już po raz kolejny, w oparach nardu, w atmosferze sekretu, w który był wtajemniczony tylko szofer z blizną na twarzy; tam Elisenda i on ślubowali sobie wieczną miłość i nieprzemijającą namiętność. Oriol dodał Dante mówi, że to nasza miłość porusza słońce i gwiazdy.

– Jakie to piękne.

– Chyba jestem szczęśliwy.

– Przyjdzie dzień, kiedy znajdziemy rozwiązanie tej sytuacji, mimo trudności, przysięgam.

Te trudności to konieczność ukrywania się przed Santiago i przed Rosą, przed Targą, przed całą Toreną, przed władzami, przed partyzantami, przed krowami i przed bąkami, przed zeszytami, pisanymi dla ciebie, córeczko, której imienia nie znam, oboje z głowami w obłokach, oboje przekonani, że są dla siebie stworzeni.

– Weź, to dla ciebie. Złoty krzyżyk.

– Bardzo ładny. Ale ja nie...

– Weź go, żeby ci o mnie przypominał.

– Nie potrzebuje krzyży, żeby... O, jest złamany.

– Nie. Ja mam drugą połowę. Nie zgub go. Łańcuszek jest mocny, nie bój się.

Założyła mu na szyję, jak medal dla atlety; on spuścił głowę na znak miłości, spojrzął na odrapane ściany pokoju i pomyślał, że wyznaczają one granice jego bezgranicznego szczęścia. Nie chciał, by wątpliwości zasadniczej natury, które go czasami nachodziły, zawładnęły nim w tej szczęsnej chwili i pomyślał no nie wiem, sam nie wiem, ale za nic w świecie nie chcę się wyrzec jej pocałunków, nie mogę, ani jej pieścizot, chcę tylko tonać w jej kochających bezkresnych oczach, przepraszam, przepraszam, przepraszam.

– Kurwa mać, ty pieprzony chuju, jeśli nie skończysz wreszcie tego jebanego portretu, każę cię rozstrzelać.

Oriol wszedł do gabinetu bez słowa. Targa, z rękami na biodrach, oglądał swój własny portret na sztalugach, stojąc tyłem do drzwi. Oriol podszedł do obrazu, odkorkował butelkę z terpentyną, wybrał dwa pędzle mniej więcej czyste, nałożył na paletę kolory brązowy, niebieski i biały, i spojrzął w kierunku biurka. W tym momencie Valentí właśnie siadał i przybierał odpowiednią postawę. Jeszcze nie zdjął munduru. Skrzyżował spojrzenie z Oriolem i powiedział tak tylko żartowałem. Ale powiedział to z powagą. W

ciszy, patrząc Valentínowi prosto w oczy, Oriol odwzorował je na płótnie, starając się oddać lodowaty błękit tego spojrzenia, ostrego jak brzytwa. Może to z powodu wyraźnych czarnych źrenic. Albo z powodu skumulowanej w nich nienawiści. Oriol myślał o nienawiści, o małym Venturze, o Rosie, o tobie, moja ukochana córeczko, i udało mi się namalować najlepsze oczy, jakich nigdy wcześniej ni później nie namalowałem. Wydawały się żywe. Były żywe, musiałybyś sama je zobaczyć. Będziesz mogła je zobaczyć, jeśli zechcesz.

Po godzinie malowania ściany w tle, powiedział gotowe, już skończyłem. Nie musisz mnie rozstrzeliwać.

Valentí Targa szybko się podniósł, żeby sprawdzić efekt końcowy. Podziwiał sam siebie przez parę sekund, raczej skrzępowany. Może się wstydził, że Oriol stoi obok, bo mężczyzna nie ogląda się w lustrze w towarzystwie drugiego mężczyzny. Nie odezwał się ani słowem. Nie zrobił żadnego komentarza. Z kieszeni marynarki munduru wyciągnął portfel i wyłożył na biurko banknoty, jeden po drugim, podczas gdy Oriol czyścił pędzle i starał się nie patrzeć na ten stosik.

– Pomyślałem sobie – przerwał milczenie Valentí – że moglibyśmy założyć spółkę, ty i ja.

Oriol ciągle milczał, koncentrując się na czyszczeniu pędzli.

– No, widzę, że się obraziłeś o to rozstrzeliwanie.

– Jaką spółkę? – Teraz Oriol podszedł do biurka i schował plik banknotów.

– Ja szukam klientów, a ty malujesz portrety. Tylko trochę szybciej, oczywiście.

– Świetny pomysł.

– Po pięćdziesiąt procent dla każdego.

Na szczęście prawdopodobnie śmierć uwolni mnie od zakładania spółki handlowej z Targą. Dobry powód, żeby nie roztkliwiać się nad niebezpieczeństwami, na które z konieczności narażamy się my wszyscy, zadając się z porucznikiem Marcó.

Od dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku, kiedy Marcel wziął ślub, tak jak zdecydowała pani Elisenda, upłynęło siedem miesięcy. W tym czasie zdradził Mertxe sześć razy, ale trzeba zaznaczyć, że za każdym razem z inną kobietą, czyli to bez znaczenia. Pani Elisenda sprawdzała raporty, coraz bardziej nieprecyzyjne i fragmentaryczne, na temat sytuacji małżeńskiej syna, które jej dostarczał Jacinto Mas, i początkowo myślała nie wiem co lepsze, pozwolić mu jeszcze się wyszumieć, czy trzymać go krótko. Ale między jednym a drugim numerkiem Marcel zaczynał trochę poszerzać horyzonty i zarówno Mertxe, jak i samo życie pokazały mu, że na świecie jest jeszcze coś poza czarnymi szlakami. Istniały też szlaki czerwone i zielone, i w każdym innym kolorze, bo klienci z tras rodzinnych wydawali dużo w temacie barowym i w temacie wynajmu małych nart; trudno oczekiwać, żeby wszyscy kupowali te urocze narciężta, które po dwóch sezonach już są za małe. Wypożyczalnia to wspaniały interes. Ponadto Marcel Vilabrú i Vilabrú z przerażeniem odkrywał, że na świecie coś się dzieje poza sezonem narciarskim, że jest sporo ludzi, którzy żyją i nawet czują się szczęśliwi, choć nigdy nie mieli pod stopami porządnego rossignola. Ani nawet, powiedzmy, butów narciarskich. A kto mówi Rossignol, w końcu powie Brusport, bo powolutku zdobywali sobie miejsce na rynku, zwłaszcza w zamkniętym kręgu skoczków narciarskich. Marcel odbył długą podróż do Helsinek w ramach wyznaczonej przez mamę nagrody za podjęcie pracy bez szemrania (dwa pamiętne nordyckie numerki z dwiema norweskimi walkiriami, czy jak je tam zwą, z Helsinek) i widział na własne oczy, że telewizja szwedzka na różnych kanałach, nie dość że w kolorze, to jeszcze przez cały boży, krótki, zimny i pochmurny dzień, nadaje obsesyjnie wszelkiego rodzaju zawody: skoki narciarskie, biegi narciarskie i narciarstwo alpejskie, a on wpadł na pomysł, żeby na nartach skokowych Brusport umieścić nazwę marki od spodu, bo kiedyś ludzie będą gremialnie oglądać telewizję i zobaczą, jak skoczkowie robią im reklamę za darmo. Tu, w Finlandii, Norwegowie rodzą się z nartą pod każdym ramieniem, a ja chcę tak zrobić, żeby to były narty marki Brusport. Co za skandal, żebym nie mógł się przyznać, skąd jestem, bo wtedy wszyscy kręcą nosem i mówią Franco skit, a wszystko wydaje im się tak odległe, że na ogół myślą Hiszpanię z Włochami i Portugalią, i Grecją, wrzucają wszystkich do jednego worka z napisem biedne kraje, gdzieś tam na dole, spalone wiecznym słońcem. Co za brak kultury, żeby pomylić Grecję z Hiszpanią i Portugalią, i z Włochami. Ale co tam, dla mnie ważne jest, że chcę sprzedawać produkty

Brusport Norwegom. Zasypię nimi rynek, bo w sklepach będą o połowę tańsze. W dupie mam tę ich awersję do generała Franco.

Marcel Vilabrú i Vilabrú również się przekonał, że jak się nie zabezpieczą, to Mertxe może zająć w ciążę, no i proszę, rach-ciach, zaszła, nie, ja bardzo się cieszę, ale czy ja wiem, może trochę za wcześnie, co? I nawet mu ręka nie drgnęła, kiedy zdecydował, że Palacios, Costa, Riquelme, obaj mężczyźni z rodziny Vila, pani Guiteres, pani Garcia Rialto, pani Pilarica coś tam, niezła babka, tak, i pani Cándida, muszą wylecieć z pracy, jeżeli ma im się udać kontrolowana ekspansja. Niezła babka Pilarica, Cándida, Garcia Rialto, Guiteres, obaj panowie Vila, Riquelme, Costa i Palacios zostali zwolnieni i poszli do sądu, bo Paco Serafín ich podbuntował i zrobił im wodę z mózgu, ale nic nie wskórali, ponieważ Marcel wyjaśnił Gasullowi, co on by zrobił, gdyby brał pensję adwokata rodziny i adwokat Gasull przeprowadził miłą, luźną, pożyteczną dla obu stron rozmowę z sędzią trzeciej instancji, don Marcelinem Bretónem Coronado. A pani Elisenda nic, tylko obserwowała te umiejętności Marcela bez komentarzy, z podziwem, no proszę, a już mu upatrzyła miejsce za przepierzeniem w biurze, żeby za bardzo nie przeszkadzał i nie brał za darmo pensji. Można powiedzieć, że teraz czuła przykrość, że nie doceniła swojego syna. Żałowała, że dotychczas ich relacje polegały na ciągłym spróbowymy, może tym razem będzie lepiej. Z pewnością dlatego, że historia stanowiła zbyt wielkie obciążenie nawet dla tak silnych ramion jak ramiona pani Elisendy.

– Mamo, chcę ograniczyć o połowę zatrudnienie w sekcji tekstyliów i podwoić produkcję, zwiększając liczbę godzin i wysokość premii. Oni tam za bardzo się objijają.

– Rób, jak chcesz, Marcel. Tylko bez ostentacji.

– Właśnie że z ostentacją. Pierwszym, który wyleci, będzie Paco Serafín.

– Nie pamiętam, co to za jeden. A dlaczego?

– Ten ze związków zawodowych.

– Lepiej uważaj.

– Muszę go wyrzucić za niemoralność. Przeleciał... – Marcel zgasił papierosa i przełożył słuchawkę do drugiej ręki. – Dobrze, mamo, oszczędzę ci szczegółów. To przypadek beznadziejny i nawet jego koledzy nie podejmą się obrony. A mnie to na rękę. To się nazywa cholerne szczęście.

Marcel, nie masz jeszcze trzydziestki, a już zachowujesz się jak przystało na mojego syna.

Ponadto Marcel Vilabrú i Vilabrú odkrył, że na świecie, pomiędzy jednym sezonem narciarskim a drugim, można grać w tenisa, w ping-ponga (w Danii widziałem bardzo fajne składane stoły, zajmę się ich dystrybucją w Hiszpanii i Portugalii), w siatkówkę, w hokeja na trawie, hokeja na wrotkach, a w szwedzkim klimacie również w hokeja na lodzie, że pocą się przy tym i zużywają skarpety, obuwie, nakolanniki, koszulki, spodnie, dresy i wszystko, co

trzeba, i stał się w Europie ambasadorem dobrej nowiny; w roku igrzysk olimpijskich w Sapporo i w Monachium jeszcze wolał się nie przyznawać, skąd pochodzi, bo Franco im śmierdział jak zgniła ryba. Ale też odkrył, że dolary, używane w charakterze dezodorantu, dokonują cudów.

Tymczasem pani Elisenda, która sześć miesięcy temu pozbyła się Quique Esteve, niewygodnego cienia, pajaca z narciarskiego stoku,

(– Wprost przeciwnie, szanowny panie delegacie. – Zaczął nerwowo stukać ołówkiem w blat stołu. – Właśnie zerwała pewną znajomość, powiedzmy, niefortunną.

– I nie było żadnych orgii, prawda?

– Kłamstwa, zawiść, nieporozumienie, obmowa... – wypunktował słowa, stukając ołówkiem. – Pani Elisenda jest nietykalna, a przynajmniej niezatapialna. Wiemy o tym już od lat.

– Chwała Bogu.)

zobaczyła, jak z ojcowskim uśmiechem otwierają się przed nią bramy Dzieła. Ta upragniona audyencja zaczęła się, kiedy powiedziała Wasza Świątobliwość, dziękuję za tak szybkie wyznaczenie terminu spotkania, a on, rozkładając ręce po drugiej stronie stołu, odpowiedział nie, nie, pani Vilabré, proszę mnie nie tytułować Świątobliwością, wystarczy monsinior, mnie nie zależy na zaszczytach, tytułach ani pochlebstwach... sama pani rozumie. A ona odpowiedziała tak, monsinior, rozumiem. A po wymianie tych wstępnych uprzejmości dalsza część rozmowy przebiegła w atmosferze błyskawic, grzmotów, uśmiechów, wichury, gradu, obietnic, poufnych informacji i paktów. Kiedy skończyli, pani Elisenda zdecydowała się nie wstępować tam, gdzie parę lat temu jej nie chcieli, ale zasiliła Dzieło sumą na tyle istotną, by zasłużyć na miano persona bardzo grata i w Rzymie zaczęto coraz energiczniej pociągać za sznurki, by przyspieszyć proces beatyfikacji czcigodnego Fontellesa, Saverio, co tam do jasnej cholery hamuje ten proces, sprawdź no, i to biegiem. I okazało się, że owszem, pani Vilabré ma rację, sprawa utknęła w jakimś watykańskim wewnętrznym biurze audytorskim z powodu nie wiem jakich zastrzeżeń proceduralnych, których nie umieli mi wytłumaczyć, mimo że w nagłówku dokumentu zostało wyraźnie zaznaczone, że szóstego lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku Ojciec Święty Pius XII uznał cudowny charakter uzdrowienia, jakie się dokonało za wstawiennictwem Oriola, zazwyczaj w takiej sytuacji procesu już się nie zatrzymuje. Ale proszę się nie martwić, w ciągu najbliższych paru lat osiągniemy upragniony cel, łaskawa pani. A teraz, tak między nami, czym pani się kieruje, by działać z taką determinacją w sprawie Fontellesa? Na twarzy monsiniora Escrivy i Tak Dalej zakwitł łagodny i cierpliwy uśmiech, gdy oczekiwał na odpowiedź damy.

Monsinior, wydaje mi się, że tak naprawdę nic księdzu do tego, jakie są moje

motywy, ale jestem kulturalna i dobrze wychowana, więc jednak odpowiem: miłością. Miłością, o której wiadomo, że to ona porusza słońce i gwiazdy, monsinior. Złożyłam przysięgę, że zawsze będę bronić jego honoru, cokolwiek by się z nami stało, czy będziemy mogli się pobrać czy nie. Przysięgłam mu to w pensjonacie Ainet, gdzie ukrywaliśmy się przed światem. Niech nikt nie rzuci pierwszy kamieniem, nie znając niewinnego charakteru naszych uczuć. Oczywiście, uprawialiśmy miłość fizyczną, ale ona stanowiła tylko efekt uboczny naszego szalonego, głębokiego uczucia. Ja nie jestem święta, jak na razie, ale wiem, że święta była nasza miłość. Od pierwszego dnia, kiedy poczułam dotyk jego palców, gdy mi poprawiał ułożenie ramienia w czasie pozowania, kiedy usłyszałam jego spokojny głos, aż po świadomość bezpieczeństwa, jakim emanowało jego czyste spojrzenie... Tej ostatniej nocy jego spojrzenie kryło w sobie równie wiele rozpaczy jak moje, jakbyśmy oboje wiedzieli, co ma nastąpić... Jak już wspomniałam, nie byłam święta; wyszłam za mąż po to, by sprawiedliwości stało się zadość. Nie kochałam Santiaga, ale potrzebowałam tego małżeństwa. Również przespałam się z pewnym podłym mężczyzną z tego samego powodu. Ale pewnego dnia poznałam moją wielką miłość, przeżyłam ją, lecz wymknęła mi się z rąk, bo los tak chciał. A teraz, monsinior, tylko ja pamiętam o Oriolu, dla nikogo poza mną nie istnieje. Został po nim ślad w Torenii, pewnym małym miasteczku, do którego ksiądz nigdy nie zabłądzi, bo zabrudziłby sobie ksiądz buty i rąbek sutanny. W Torenii zostały dwie tabliczki z nazwą ulicy poświęconej falangiście Fontellesowi, uliczki upstrzonej krowimi plackami, bardzo stromej, którą ludzie uparcie nazywają ulicą Środkową, którą to uliczkę podobno, od kiedy nosi jego imię, trzy kobiety z miasteczka obchodzą z daleka. Nie tego chcę dla Oriola, i czuję się odpowiedzialna za ten stan. Ustrój polityczny generała Franco minie, nadejdą nowe czasy, które przeklną poprzednie, i tabliczka zostanie usunięta. To będzie pierwsza rzecz, jaką się zajmą: zmiana nazw. Wtedy Oriol umrze jeszcze bardziej. On nie był złym człowiekiem mimo wszystko, mimo tego, co się wydarzyło. Owszem, nosił mundur falangisty, jak wielu w tamtych czasach, ale nie zasłużył sobie na nienawiść, z jaką się go teraz wspomina. Z tych wszystkich powodów, monsinior, i z paru innych, które teraz nie przychodzą mi do głowy, zdecydowałam się, wiele lat temu, wykorzystać opinię miejscowego proboszcza i mojego stryja, wielbnego Augusta, którego monsinior świetnie zna, o szczególnych okolicznościach jego śmierci i podjąć inicjatywę ogłoszenia mojego Oriola czcigodnym. Zrozumiałam, że ustroje się zmieniają, ale Kościół pozostaje niezmienny. Dlatego zdecydowałam, że Oriol na zawsze zostanie gwiazdą na firmamencie Kościoła. Oriol zostanie świętym, a ja chcę to zobaczyć na własne oczy. Żeby móc mu publicznie oddawać cześć, monsinior. Tylko ja wiem, ile mnie kosztuje ta szczerość, na którą teraz się zdobyłam. Beatyfikacja i kanonizacja czcigodnego Fontellesa stały się sensem mojego

życia; tak dalece, że poświęciłam im wiele innych możliwości. I nikomu nic do tego. Któregoś dnia powiedział mi ksiądz, że jest coś w moim życiu, co uniemożliwia mi wstąpienie do Dzieła. Tak, miałam kochanka. Miałam go przez jakieś dwanaście, trzynaście lat. Tak, wiem, co mi ksiądz powie, ale ja nigdy nie byłam święta. Świętym jest Oriol, nie ja. Ja jestem kobietą, która kochała krótko, ale intensywnie. Zdaje się, że nienawidzę w podobny sposób. Płakałam nad śmiercią i nieobecnością Oriola tak samo, jak opłakiwałam mojego ojca i mojego brata. Płakałam w ukryciu przez wiele lat, w ukryciu, ponieważ nikt nie powinien nigdy się dowiedzieć o moim cierpieniu. Płakałam i działałam bez współczucia. Aż któregoś dnia powiedziałam dość i wyrzuciłam chusteczkę mokrą od łez. Czułam się samotna, zwłaszcza z powodu dość szczególnej koncepcji małżeństwa, jaką wyznawał mój mąż. Kiedy zmarł Santiago, zdecydowałam, że dość już tego, że ja też mam prawo do... no, sam monsinior rozumie, i znalazłam sobie chłopca niezbyt rozgarniętego, zdrowego, na wyłączność w kwestiach osobistych i zawodowych. Nie oczekiwałam od niego, żeby mnie kochał, tylko żeby mnie pieprzył. Chociaż nigdy go nie kochałam, na nasz związek padł cień zazdrości. Nie oczekuję, że monsinior mnie zrozumie, ale potajemny romans z tym skurwysynem Quique Esteve trwał tak długo, jak długo dało się go utrzymać w tajemnicy. A teraz złożyłam Oriolowi przyrzeczenie, którego zamierzam dotrzymać, że nie będzie więcej mężczyzn w moim życiu: nie mogę pozwolić, aby sprawy wymknęły mi się spod kontroli. A także, wasza wielbność, mam inny powód... Monsinior: w gruncie rzeczy chyba chodzi o to, że chcę się zemścić na Panu Bogu.

– Przez wzgląd na pamięć o człowieku, który bez namysłu oddał życie za Kościół, w obronie Najświętszego Sakramentu, monsinior. – Spuściła wzrok z takim samym namaszczaniem jak jej rozmówca i powtórzyła z naciskiem: – Wyłącznie z tego powodu, monsinior.

Może dzięki temu łatwiej ci będzie mnie zapamiętać, córeczko. Tina przepisała dokładnie to, co napisał Oriol. Pozostałą wolną część strony po tym zdaniu zajmował rysunek przedstawiający mężczyznę o najprawdopodobniej jasnych oczach, zwyczajnej twarzy, poprawnego, młodego, o delikatnych, anonimowych rysach. Przyglądała mu się długo, próbując sobie wyobrazić, jak Oriol portretuje własne nieszczęście przed brudnym lustrem. No właśnie, na tym rysunku sportretował przede wszystkim swój ból po odejściu Rosy, zawiedzionej i zniesmaczonej, a on, nieoczekiwanie zamieniony w bohatera, nie znalazł okazji, żeby jej powiedzieć Roso, już nie jestem tchórzem. Poczł się jeszcze bardziej samotny, on i autoportret powstały przed brudnym, popękanym lustrem w szkolnej łazience. Rysował i myślał och, gdyby pragnienie i rzeczywistość szły w parze, gdyby te zapiski mogły dotrzeć do Rosy, tam, gdzie teraz jest, gdyby ona zgodziła się nie wracać, dopóki nie minie niebezpieczeństwo, och, gdyby sen był jawą. Bo za kilka dni albo będziemy wolni, albo martwi, i już nie pozostanie mi żaden wybór. Tak wygląda moja niepewność, kochana Roso, nienawidzisz mnie, bo na pewno zdawałaś sobie sprawę, co się ze mną działo, kiedy chodziłem do domu Elisendy malować jej portret. A ty, córeczko, powinnaś wiedzieć, że za tydzień albo będzie po wszystkim, albo... Szybko dokończył portret. Wyszła mu twarz przygasła, pozbawiona marzeń. Może faktycznie tak wyglądał. Prawie nic nie musiał poprawiać, jakby siebie malował tysiące razy. A kiedy skończył, pomyślał, że zostawił pamiątkę dla swojej córki, w przypadku gdyby los zdecydował, że taki będzie koniec, bo teraz codziennie myślał o śmierci jako o jednej z wielu okoliczności, które mogą się wydarzyć przed północą. Bardzo mi przykro, że cię skrzywdziłem, Roso.

Tina zamknęła zeszyt, bo usłyszała, że otwierają się drzwi od ulicy. Tajemne zeszyty Oriola Fontellesa stanowiły sekret, którym nie podzieliła się z Jordim, tak jak Jordi nie dzielił się z nią sekretem tajemnej kochanki. Taka prowizoryczna zemsta, dopóki nie zdobędzie się, by powiedzieć mu w twarz, że jest nieuczciwy, on, który przysięgał zachowywać się honorowo.

– Co robisz?

Zignorować go? Wysłać do diabła? Powiedzieć Jordi, musimy porozmawiać, wiem, że masz kochankę? Powiedzieć kaszlę, bo jestem uczulona na ciebie?

– Nic, przeglądam materiały. Chcę, żeby wszystko było gotowe, jak wrócę.

– Na pewno nie chcesz, żebym poszedł z tobą?

– Tak, na pewno...

– Zadzwoń, jak coś będziesz wiedzieć.

Tina nie zareagowała. Co mu miała powiedzieć. Że byłoby jej przykro, gdyby nie zaproponował jej, że pójdzie z nią do lekarza; że również byłoby jej przykro, gdyby jej towarzyszył, bo przepaść między nimi stała się już zbyt wielka; że bała się tam iść sama; co ona ma takiego, czego mnie brakuje. Kim ona jest. Znam ją? Co? Z tych wszystkich powodów lepiej będzie, jeśli pójdzie sama i sama stawi czoło lękowi.

Jordi wyszedł z pokoju, ściągnając kurtkę. Wiedziała, że kiedy tylko wsiądzie do samochodu, by według wersji oficjalnej spędzić w Barcelonie kilka dni i zrobić badania ginekologiczne, Jordi poczuje się wolny jak ptak i nasyci się swoją tajemną kochanką. Wiedziała to, była tego zupełnie pewna. Ale nic nie mogła na to poradzić. Koniec końców ona też, na swój sposób, go oszukiwała, bo zaraz po przyjeździe do Barcelony nie uda się do krewnych, ale do biura meldunkowego, żeby szukać dziewczynki urodzonej w roku czterdziestym czwartym, która najprawdopodobniej nosiła nazwisko Fontelles, a jej matka miała na imię Rosa. Jeśli w ogóle urodziła się w Barcelonie. Po dwu godzinach straconych na przeglądaniu nieskończonej ilości danych, przyszło jej do głowy, by sprawdzić niepewny trop znaleziony w zeszytach Oriola, nazwisko doktora Arandy, jej pulmonologa, który musiał pracować w szpitalu przeciwgruźliczym. Tam ją zniechęcili, co za pomysł, lekarz z lat czterdziestych, i wychodziła jak niepyszna ze spuszczoną głową, medytując, że może to i prawda, kto jej każe się wtrącać do cudzego życia, przecież nie jestem ani historykiem, ani detektywem, ani rodziną żadnej ze stron, i nie wiedziała, że stała się jedną z nich przez sam fakt czytania zeszytów Oriola. Kiedy głowę zaprzętały jej te myśli i kierowała się ku wyjściu, pielęgniarka stojąca obok tej, z którą rozmawiała, wyszła zza kontuaru, wzięła ją pod rękę i podsunęła jej pewien pomysł, mianowicie że na strychu są porządnie związane i uporządkowane paczki z kartotekami, które łatwo jest przejrzeć, i kiedy już miała ręce czarne od kurzu, który się nagromadził na tym zbutwiałym papierze zalatującym pleśnią, znalazła wśród lekarzy pracujących w latach czterdzieści dwa–czterdzieści dziewięć doktora Josepa Arandę i teraz Tina już wiedziała, że jeżeli w tamtych czasach pracowano porządnie, pozna personalia pacjentek doktora. Na liście przyjętych z tamtych lat znalazła dziesiątki kobiecych nazwisk, kilka z nich nosiło imię Rosa, ale nie pasowały ze względu na wiek. Gdy już się zorientowała, że na próżno traci czas, przyszło jej do głowy sprawdzić kartę doktora Arandy. Pracował też w Szpitalu Chorób Klatki Piersiowej w Feixes. Z ewangelicznym uporem Tina porzuciła wszystko, żeby pójść tym tropem, mając świadomość, że tego popołudnia ma wizytę u swojej ginekolożki, do której musi się przygotować, i kolację z matką, do której musi się przygotować jeszcze bardziej. Dwie godziny później, w archiwum Szpitala Chorób Klatki Piersiowej w Feixes, zdziwiła się, że znalazła tylko cztery karty

kobiet z dziećmi. Jedna z nich miała na imię Rosa. Rosa Dachs. Ale urodziła syna, nie córkę. Znów fałszywy trop.

O siódmej było już ciemno. Pojawienie się kobiety poprzedził jej kaszel, i teraz stała w wysokiej pustej sali z dzieckiem na ręku. Znów zajrzała siostra Renata: – Pan doktor Aranda będzie zajęty aż do późna.

Nie doczekała się odpowiedzi, bo w tym momencie kobieta osunęła się na podłogę. Mimo utraty przytomności, instynktownie tak ułożyła ramiona, by niemowlę nie ucierpiało w czasie upadku. Kiedy odzyskała świadomość, leżała na łóżku w dużej sali, oddzielona od innych czymś w rodzaju płóciennego parawanu. Zobaczyła nad sobą młodą twarz siostry Renaty i usłyszała jak przez mgłę słowa zakonnicy tak, panie doktorze, obudziła się. I znów odpłynęła, zanim zdążyła zapytać o syna. Nie dotarło do niej, że doktor Aranda marszczy czoło i mówi to bardzo brzydko wygląda, chyba nic nie możemy już zrobić; jak mogła dopuścić do takiego stanu?

Nie miał mu kto powiedzieć, że Rosa, kiedy uciekła z Toreny, żeby ukryć się przed mężem, nie wróciła do domu ani nie skontaktowała się z nikim z rodziny. Zamieszkała w skromnym pensjonacie przy placu Font, w Poble-Sec, i tam z pomocą akuszerki, którą wezwali zaalarmowani właściciele pensjonatu, wydała na świat syna. Chłopczyk wyglądał cało i zdrowo; nadała mu imię Joan i zarejestrowała pod nazwiskiem Joan Dachs, jako syna samotnej matki. Wtedy napisała list do Oriola, zaczynający się od słów Oriol, czuję się w obowiązku powiadomić cię, że masz córkę i że dziewczynka jest zdrowa. Nigdy ci jej nie pokażę, bo nie chcę, żeby się dowiedziała, że jej ojciec jest tchórzem i faszystą. Nie próbuj mnie szukać sam czy przez innych: wyprowadziłam się od twojej ciotki i teraz moja córka i ja będziemy sobie radzić same. Już nie kaszlę. Musiałam być uczulona na ciebie. Żegnaj na zawsze. Podpisała, kaszląc, ten list pełen kłamstw, z nadzieją, że dzięki nim Oriolowi trudniej będzie ją zlokalizować. Tina pomyślała jakie to okrutne, ale postąpiłabym tak samo. Chyba. Skąd mam wiedzieć. Skoro nie potrafię powiedzieć Jordiemu w oczy, jaki z niego skurwysyn, to co bym zrobiła na miejscu Rosy. Ponieważ Rosa nie chciała iść na pocztę po pieniądze, które Oriol na pewno jej wysyłał, zaczęła zarabiać na życie, cerując skarpetki, łątając wytarte łokcie i kolana i starając się zapomnieć, że w jej życiu były kiedyś szczęśliwsze czasy, kiedy wierzyliśmy, że wszyscy są dobrzy. Nie wzięła tylko pod uwagę, że kaszel się nasilił, a gorączka nie ustąpi. Dlatego wydała swoje skromne oszczędności na ciągnącą się bez końca podróż do Feixes, by prosić doktora Arandę o dokładne badanie, które przywróciłoby jej zdrowie. Zamiast przywrócić jej zdrowie, doktor Aranda, zmęczony, bo o siódmej miał już za sobą wiele godzin pracy, tylko zmarszczył czoło i powtórzył to bardzo brzydko wygląda. A dlaczego zgłosiła się akurat do mnie?

– Twierdzi, że pan ją leczył. Nie pamięta jej pan?

– Gdybym pamiętał wszystkich ludzi, których... Jak się czuje dziecko?

Na pierwszy rzut oka chłopiec wyglądał dobrze, jakby go nie obchodziło, że ma ojca faszystę i chorą matkę, oboje skazanych na śmierć, z wyrokiem, który lada moment miał być wykonany. Joan wyssał co najlepsze z Oriola i Rosy, i teraz się uśmiechał, ssąc kciuk.

Doktor zbadał dokładnie niemowlę: zdrowe. Oddając je siostrze Renacie, która wzięła je na ręce, nie mógł się oprzeć myśli, że najchętniej dokładnie zbadałby tę młodziutką zakonnice o anielskim wyglądzie, przełożoną oddziału, zapach młodości, jaki rozsiewała, sprawiał, że całkiem tracił głowę i czasem przyłapywał się na tym, jak ją obserwuje i wyobraża ją sobie nagą, w jego ramionach, uśmiechniętą i wypowiadającą słowa kocham pana, panie doktorze. Siostra Renata oddaliła się z niemowlęciem. Posłała doktorowi świetliste spojrzenie, tak świetliste, że doktor aż się zaczerwienił, przestraszony, czy nie czyta w jego myślach. Nie przyszło mu do głowy, że przyczyną emocji siostry była myśl o dziecku, bo zdawała sobie sprawę, że zostanie samo, jeśli jego matka nie przeżyje tej nocy.

Rosa budziła się parę razy, powiedziała, że jej syn ma na imię Joanet, a taktowna perswazja ukryta w łagodnym głosie siostry Renaty sprawiła, że wbrew sobie wymieniła nazwisko ojca dziecka, niejakiego Oriola Fontellesa, który mieszka daleko stąd.

– Choćby i na końcu świata, powiedz gdzie, a będziemy go szukać.

– Nie. Nie chcę, żeby ojciec się nim zajmował.

– Dlaczego?

Nowy atak kaszlu. Siostra Renata cały czas głaskała ją po ręce i czekała cierpliwie, aż minie. Wtedy przymilnym, słodkim głosem zapytała: – Powiedz, Roso... Dlaczego nie chcesz, żeby się nim zajmował, skoro to jego ojciec?

– Ponieważ jest... Nie chcę, żeby mój syn wychowywał się pod jego wpływem.

– Dlaczego nie chcesz?

– Różnimy się poglądami. Bardzo się różnimy.

Siostra Renata zamilkła. Coś takiego. Wołała zachować ostrożność: – Chodzi o politykę?

Z wielkim wysiłkiem Rosa podniosła się na łóżku i grobowym głosem poprosiła siostrę Renatę przysięgnij, że jeśli umrę, zrobisz wszystko, żeby ojciec nigdy nie znalazł tego dziecka.

– Przysięgam. – Wiarołomna zakonnica złożyła nieszczerą przysięgę.

– Dziękuję. – Rosa, wyczerpana wysiłkiem swojego gestu, opadła na łóżko, pokonana gorączką, patrząc nieprzytomnie.

– Jestem przy tobie, Roso.

Została przy niej tak długo, aż Rosa, wyczerpana, zasnęła. Wtedy przejrzała

zawartość jej torebki, szukając jakiejś poszlaki, a kiedy skończyła zmianę, zamiast udać się na spoczynek, poszła do dyżurki, zważyła w myśli ciężar obu grzechów, uznała, że kłamstwo jest mniejszym złem niż porzucenie dziecka, rzuciła okiem w kierunku, gdzie Rosa walczyła ostatkiem sił, by przeżyć dla syna, i zamówiła rozmowę zamiejscową z Toreną. Trzymała w dłoni wizytówkę niejakiego Pere Serrallaca, kamieniarza z Sort, zamieszkałego w Torenie. W tej miejscowości mieli tylko dziesięć telefonów. Ledwo się udało zamówić rozmowę; zapytała o tego Serrallaca, ale powiedziano jej, że nie ma telefonu, że pójdą po niego. Wtedy zapytała wprost o Oriola Fontellesa, a Cinteta, oszołomiona tym wszystkim, co właśnie się działo w Torenie, zapytała nauczyciel? Chodzi pani o nauczyciela? Wiarołomna zakonnica spuściła oczy z takim wdziękiem, że szkoda, że doktor tego nie widział i upewniła się Oriol Fontelles jest nauczycielem? I po paru sekundach: muszę z nim porozmawiać o czymś bardzo pilnym, w bardzo ważnej sprawie.

Zapłakana Cinteta nie zastała nauczyciela w szkole, ale ponieważ dostrzegła światło w kościele, pomyślała, że może ksiądz... Po długim wsłuchiwaniu się w ciszę przerywaną jakimiś hałasami, do siostry Renaty przemówił pewny siebie głos kobiety i usłyszała halo, kto mówi. Siostra Renata wyjaśniła, że koniecznie musi się skontaktować z panem Oriolem Fontellesem. Elisenda zawahała się. Już chciała odłożyć słuchawkę, ale jej niezawodny węch do ważnych spraw przestrzegł ją przed tym, mimo że to nie był dobry moment na subtelności.

– Nie może podejść do telefonu... Nie... To niemożliwe – odpowiedziała Elisenda znużonym głosem.

– Mam dla niego bardzo ważną wiadomość.

– Pan Oriol Fontelles właśnie zmarł – odparła Elisenda lodowatym tonem.

– Przepraszam. Ja...

Nie zważając na to, co przeżywała w tej chwili, Elisenda zrobiła się czujna.

– Dlaczego chciała pani z nim rozmawiać?

– No więc dlatego, że... ponieważ jego... jego żona jest umierająca.

– Rosa?

– Tak. Mam tu jej syna.

– Oriol Fontelles ma córkę.

– Nie, syna.

Mimo tego co właśnie się działo w Torenie, mimo sytuacji tak przerażającej, że cztery miejskie żaróweczki zgasły zawstydzone tak wielką nienawiścią, Elisenda zdała sobie sprawę z doniosłości tej informacji i starała się puścić mimo uszu strzały na ulicy.

– Jestem przyjaciółką rodziny. Osobiście zajmę się niemowlęciem. Wyślę moich adwokatów tam, gdzie pani wskaże.

Kiedy siostra Renata, ta upragniona, oszołomiona głosem, który żądał od niej

absolutnej dyskrecji, odłożyła słuchawkę, zaniepokoiło ją przede wszystkim słowo adwokaci i pewny siebie ton kobiety i wtedy pomyślała, czy nie należało naradzić się wcześniej z przełożonymi i że teraz będzie musiała wypowiadać się z kłamstwa przy łóżku chorej, a jeżeli ta biedna kobieta przeżyje, jak spojrzy jej w oczy, nie przypuszczając nawet, że o takim głębokim spojrzeniu marzył doktor, który pragnął zrobić jej szczegółowe badanie, i nie przyszło jej do głowy, że ona, w wieku dwudziestu trzech lat, trzy lata po wstąpieniu do zakonu z zamiarem służenia bezbronnym, stała się wyrocznią decydującą o losie tego dziecka.

Tina wyszła ze szpitala, kiedy zapadł już zmrok, rozmyślając o tym, że Rosa nigdy nie poznała całej prawdy o swoim mężu, który miał kochankę, ale jego drugą kochanką była potajemna wojna. Joan. Moja córeczka, której imienia nie znam ma na imię Joan i w tym szpitalu urywa się trop, całkowicie, jakby chłopiec zmarł razem z biedną Rosą. Mając głowę zaprzątniętą dokonanymi przed chwilą odkryciami, nie potrafiła się rozluźnić podczas wizyty u milczącej tym razem ginekolożki i dlatego badanie okazało się bardziej bolesne niż zwykle, a później, kiedy usiadły po obu stronach biurka, przez długą minutę patrzyła przed siebie bez słowa, co spowodowało, że Tina naprawdę zaczęła się bać.

– Może mi pani wreszcie powiedzieć, pani doktor?

Lekarka spojrzała na nią, uśmiechnęła się niepewnie, wzięła do ręki leżące przed nią papiery, jakby chciała się nimi zasłonić.

– Musimy go usunąć – powiedziała w końcu ledwie dosłyszalnym głosem.

Przez całe życie obawiała się tej chwili i ten przekłety moment właśnie nadszedł. Teraz czeka ją terapia agresywna, schudnie, wyłysieje i umrze.

– Duży jest ten guz?

– Nie ma przerzutów. To dobra wiadomość. Ale musimy szybko działać.

– Nie zabrałam piżamy.

Choć nie miała zamiaru, udało jej się rozśmieszyć lekarkę. Uzgodniły z kalendarzykiem w ręku termin przyjęcia do szpitala. Zapewniła ją, że wszystko jest pod kontrolą, że terapia nie będzie bardzo agresywna, że guz został wykryty wcześniej według mnie jest siedemdziesiąt procent szansy na wyleczenie, że praktycznie nigdy nie ma niespodzianek, że w sumie mimo wszystko ma szczęście, a ona, już w taksówce, szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w pustkę i powtarzała w myśli to szczyt wszystkiego mówić mi, że powinnam się cieszyć. Kolacja z matką okazała się trudna, bo musiała znosić kazanie obrażonej babci, której jedyny wnuk odszedł bez słowa, nie licząc krótkiej rozmowy telefonicznej babciu, wstępuję do Montserrat, a ona na to co znaczy wstępować do Montserrat? A on, że będę mnichem. Babcia uznała, że Arnau sobie żartuje i nikomu o tej rozmowie nie wspomniała. Nawet nie zadzwoniła do córki, bo po prostu nie mieściło jej się to w głowie. A teraz szeroko

otwierała usta, dowiadując się, że przez tę głupią Tinę straciła jedyne wnuka.

– Mamo, nie zaczynaj. Tak wyszło.

– To wszystko wasza wina.

Wiem, że całe zło świata to moja wina, ale uważam, że gdyby Arnau zechciał nam opowiedzieć o swoich marzeniach, nie bylibyśmy równie zaskoczeni jak ty teraz.

– To niczyja wina. Jest dorosły i może o sobie decydować.

– Źle go wychowaliście. – Po długim, nieprzyjaznym milczeniu: – Co słychać u Jordiego?

Przyprawia mi rogi.

– Wszystko w porządku.

– A ty? Te twoje dolegliwości?

Rak piersi.

– To nic poważnego, już mi lepiej.

Madame Corine (po pracy – Pilar Mengual) spojrzała zaniepokojona na kobiety i towarzyszących jej mężczyzn. Nie potrafiła rozpoznać twarzy, bo ciemna woalka zacierała jej rysy.

– Czy zdają sobie państwo sprawę, że gdybym się zgodziła, stracę klienta?

– Gównu mnie obchodzą pani problemy zawodowe – odpowiedział pobladły adwokat Gasull, strzepując popiół na talerzyk.

– Ale mnie obchodzą. – Podnosząc głos: – Wyobraża pan sobie, że...

– Jeśli pani odmówi – przerwał uprzejmie, nie patrząc jej w oczy i zaciągając się papierosem – po prostu zawiadomimy policję, poinformujemy ich, że istnieje to Gniazdeczko, wbrew surowym zakazom samego caudilla, i podamy adres. Najprawdopodobniej najpierw przyślą tu oddział zgorszonych falangistów, którzy to wszystko rozpiardolą, a kiedy już po wszystkim zjawi się policja, opowiemy im, co się tu stało z tą dziewczyną z Galicji w czasie Bożego Narodzenia. – Starł okruch tytoniu z ust i uśmiechnął się do burdelmamy: – Taka jest nasza kontrpropozycja.

Madame Corine, pobladła z wściekłości, wstała, podeszła do szafki, otworzyła ją kluczykiem, który nosiła przy sobie, i wyjęła z niej inny klucz opatrzony breloczkiem z numerem piętnaście. Elisendzie przyspieszył puls.

– Drugie piętro. – Gasull wyrwał jej klucz z ręki. – Tylko na miłość boską nie róbcie hałasu.

Gruby mężczyzna dyskretnie mrugnął zażawionym okiem do pani z twarzą ukrytą pod woalką i wszyscy troje opuścili salon Gniazdeczka, kierując się w stronę schodów na drugie piętro.

– Szlag by trafił te wszystkie panusie, gorsze z nich dziwki niż prawdziwe kurwy – burknęła pod nosem burdelmama, gdy goście opuszczali salon. Wszyscy troje stanęli w miejscu.

– Co pani powiedziała? – zapytał gruby mężczyzna groźnym tonem.

– Co, nawet nie wolno mi się wkurzyć? – Bojowo nastawiona burdelmama podniosła głos.

– Zostawcie ją w spokoju – rozkazała pani Elisenda już na schodach. Mężczyźni poszli za nią, obrzucając madame Corine najgroźniejszym spojrzeniem, na jakie było ich stać.

Gasull wsunął klucz do zamka i przekręcił. Wszyscy troje wtargnęli gwałtownie do pokoju. Pan Santiago Vilabré Cabestany (z rodu Vilabré-Comelles i Cabestany Roure) praktykował właśnie niezwykle pracochłonny

cunnilingus z młodą, oszałamiającą kobietą, którą Elisenda natychmiast rozpoznała jako Recasens, tę dziwkę. To Tita, siostra Pili, tak, ta, którą przezywają Milongą.

Pan Santiago, goły i z genitaliami gotowymi do akcji, odwrócił się przestraszony. Zbladł na widok ukochanej małżonki, nieodwiedzanej już od paru miesięcy czy nawet dłużej, która teraz podniosła woalkę i szła prosto na niego. Tita Recasens, zdezorientowana, szybko złożyła nogi. Santiago Vilabru przykrył sflaczałe genitalia obiema rękami, a tymczasem Tita wyskoczyła z łóżka, próbując się gdzieś ukryć.

– Stój – zabroniła jej Elisenda kategorycznym tonem.

Potajemni kochankowie czuli się tak zaskoczeni, że nie potrafili przejść do ataku. Tita zastygła w miejscu, a Santiago stał prosto, blady, czerwony, zielony, szczerze pragnąc być w tej chwili gdzie indziej.

– Teraz – powiedziała Elisenda – podpiszesz mi kilka dokumentów.

– O co chodzi? Czego chcesz?

– Pan Carretero – wskazała głową grubego mężczyznę – sporządzi notarialny protokół zajścia.

– Chcesz mnie szantażować...

– Jeszcze nie wiem. – Do Tity Recasens: – Mój mąż bywa tu dwa razy w tygodniu. Raz z tobą, a raz z prostytutką. – Z miłym uśmiechem: – Uważaj, żeby cię czymś nie zaraził, bo on lubi wysłużone.

– Ale z siebie...

– Tak. Chcesz, żebym ci powiedziała, co z ciebie za jeden?

– Moment, tylko się ubiorę.

– Nie. Zostań i się nie ruszaj.

– Nie ma mowy.

– Bardzo dobrze. – Elisenda zwróciła się do Tity Recasens: – Makijaż ci się nie rozmazał, kociaczkę? – Wydała rozkaz Gasullowi: – Wpuść fotografów.

Fotografowie nie weszli, Tita Recasens została wysłana do łazienki, a pan Santiago Vilabru Cabestany (z rodu Vilabru-Comelles i Cabestany Roure) przeprowadził wszystkie pertraktacje nagusieńki. Pierwszy punkt umowy obejmował adopcję przez małżeństwo Vilabru i Vilabru dziecka imieniem Marcel, nieznanymi rodziców.

– Skąd on się wziął?

– Nie twoja sprawa.

– O co tu chodzi?

– Podpisz i nie gadaj.

Gasull wręczył mu pióro i Santiago Vilabru wykorzystał łóżko miłości i grzechu jako pulpit, by podpisać dokument poświadczający jego chęć adopcji

dziecka.

– Czemu mi to robisz?

– Czemu ty mi to robisz, od kiedy wróciliśmy. A nawet wcześniej.

Dobrze, a drugi dokument ustanawiał jedyną dziedziczką majątku pana Santiago, na który składało się pięć kamienic czynszowych w Barcelonie, całkiem poważna liczba hektarów w dolinie Àssua i w innych miejscach komarki i spory kapitał w gotówce, którego jednak ubywało, choć w niezbyt alarmującym tempie, ponieważ pan Santiago Vilabrú Cabestany (z rodu Vilabrú-Comelles i Cabestany Roure) stwierdził, że najwygodniej jest być rentierem, panią Elisendę Vilabrú Ramis (z rodu Vilabrú z Toreny ze strony ojca i rodu Ramis ze strony matki, Pilar Ramis z Tírvii, tej pół dziwki, pół latawicy, o której lepiej nie wspominać przez szacunek dla biednego Anselma). Podpisane w Gniazdeczku, dwudziestego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

Gasull wyjął mu z rąk pióro, jakby się obawiał, że tamten schowa je w jakimś nieprawdopodobnym miejscu.

– Lepiej nie przyjeżdżaj do Toreny – powiedziała. – A gdybyś musiał, uprzedź mnie wcześniej.

– Mam prawo przyjeżdżać, kiedy zechcę. – Nagle skojarzył, niczym dobry dowcip: – Żeby odwiedzać syna, no nie?

– Kupiłam mieszkanie w Barcelonie. Ty zachowaj sobie mieszkanie w dzielnicy Sarrià i postaraj się nigdy mnie nie odwiedzać. Nawet po to, żeby zobaczyć mojego syna.

– Otrzyma pan kopię aktu notarialnego – poinformował notariusz Carretero bez szczególnego entuzjazmu.

– Wyrzucę go do ognia.

– Jak pan sobie życzy. – Spojrzał mu w oczy i po raz pierwszy w ciągu całego tego popołudnia uśmiechnął się, kręcąc głową: – Jeśli to panu poprawi samopoczucie. – Do Elisendy: – Skończyłem, proszę pani.

– Możecie kontynuować – powiedziała uprzejmie Elisenda. – Chcesz, żebym ci przypomniała, na czym skończyliście?

Niebo było tak gęsto upstrzone gwiazdami, że przy ich świetle jasno odcinała się droga. Nigdy nie widział krajobrazu z taką precyzją i czystością. Deszcz, który spadł po południu, oczyścił atmosferę, zmył kurz. Patrzył w niebo i myślał, jak bardzo chciałby podziwiać ten cud przyrody i cieszyć się szczęściem. Za długo już wszystko w nim płakało, nawet zrobiło mu się przykro, że na świecie istnieją takie wzruszające widowiska, skoro nie mógł ich dzielić ani z Elisendą, która wyobrażała sobie, że on teraz śpi w szkole, ani z Rosą, która nie wie, że nie jestem skończonym tchórzem, ani z córeczką, której nie poznał. Zanim weszli na białą wstęgę drogi prowadzącej do Xivirró, pod skałą Fitera, blisko miejsca, gdzie kończy się ścieżka schodząca z Comety, dowódca oddziału, posępny, asturyjski górnik z błyszczącymi oczami, zahamował tak raptownie, że Oriol, który w tym czasie myślał o swoim nieszczęściu, wpadł prosto na niego. Cały oddział się zatrzymał i zapadła cisza sięgająca dna nicości. Oriol zrozumiał, że ci ludzie przyzwyczajeni są bez słowa skargi zamieniać się w kamienie. Może oni też w duchu płakali, ale potrafili wtopić się w pejzaż. Niechcący westchnął zbyt głośno i jakaś nerwowa ręka uszczypnęła go w prawe ramię, zmuszając go wymownie, by raczej się udusił bez powietrza, niż przestał być kamieniem. Zaraz pojął, dlaczego tak ważne okazało się milczenie. Z drogi, w którą mieli wejść, dochodził dźwięk szurania stopami i wesołego pobrzękiwania dzwoneczków. Kozy? Owce? Krowy? Usłyszał zachrypnięty głos pasterza, zanim cokolwiek dało się zobaczyć. Kiedy oczy przyzwyczały się do nieco jaśniejszego pasma drogi, przekonał się, że wesołe owieczki to oddział żandarmerii, a baca – oficer w randze kapitana. Jak to możliwe, że patrolowali na tej wysokości? Coś musiało zmienić nastawienie dowództwa wojskowego tej strefy, bo dotychczas unikali zapuszczania się w góry Serra d'Altars i w obszary leśne, gdzie mogli ponieść dotkliwe straty, dysponując niewielkim polem manewru.

Całe stado uzbrojonych po zęby owiec predefilowało przed małym oddziałem partyzanckim, znacząco wzmocnionym przez miejscowego nauczyciela, który drżał jak osika. Głuchy, gęsty smród towarzyszył stadu niczym echo przypominające o jego przejściu. Po bardzo długiej chwili dowódca oddziału wstał. Oriol podszedł do niego:

- Błądzą tak już wiele godzin. Zgubili się – wyszeptał tamtemu do ucha.
- Dlaczego?
- Nie wracają do Sort, maszerują nocą, bo złapała ich popołudniowa ulewa.
- Skąd wiesz?

– Nie czułeś smrodu mokrej wełny? Zgubili się!

Karabin maszynowy z ośmioma taśmami nabojów, po trzy granaty ręczne na głowę i osiem karabinów, powolnych, ale niezawodnych. Wracając po swoich śladach, oddział dziesięciu partyzantów zaczął się na zakręcie drogi do Solanet. Dwaj mężczyźni wyznaczeni do obsługi karabinu maszynowego ustawili go na środku drogi i przetoczyli dwa głazy dla ochrony. Sygnałem do ataku będą dwa strzały, które unieszkodliwią bacę z juhasem, pasterza i pastuszka. Liczyli na to, że żandarmi, pozbawieni dowództwa, przestraszą się i rzucą biegiem w dół, uciekając przed kulami karabinu maszynowego i ośmiu pozostałych karabinów. Improwizacja nie pozwalała na nic więcej. Dowódca oddziału chciałby teraz mieć u boku porucznika Marcó, żeby pobłogosławił manewr taktyczny wymyślony przez nauczyciela, który okazał się nie taki głupi, na jakiego wyglądał.

Najtrudniej było opanować niecierpliwe palce, żeby nie zaczęły strzelać, zanim cała kompania znajdzie się za zakrętem. Wtedy dwaj mężczyźni zeszli na drogę i zamknęli odwrót z drugiej strony. Dowódca oddziału wziął bacę na muszkę, rozległy się pierwsze strzały i karabin maszynowy zaczął pluć śmiercią. Oriol Fontelles, nauczyciel państwowej szkoły podstawowej, nie wiedział, że najlepszym sposobem planowania ataku z wojskowego punktu widzenia jest takie przewidzenie reakcji przeciwnika, by stać się jego ślepym przeznaczeniem, tak jak siostra Renata, ta upragniona. Oriol o tym nie wiedział, bo nigdy nie brał udziału w bezpośredniej akcji wojskowej, a kiedy ktoś przechodzi chrzest w boju, nie wprowadzają go w tajniki wojennego rzemiosła ale najwyraźniej mam dryg do strategii. Wyobrażasz to sobie? Uczyłem się na nauczyciela, a może zdobyłbym sławę jako... Nie mam teraz ochoty na żarty, Roso. Czy piszę do ciebie, czy do naszej córki? Nie wiem, chodzi o to, że koniecznie muszę się z tobą podzielić tym niesamowitym wrażeniem, kiedy patrzyłem, jak w sposób nieodwołalny szeregowi żandarmi, którym udało się ująć z życiem po pierwszych seriach z karabinu, uciekali na oślep w dół, strzelając do duchów ukrytych w najbliższych bukach, bo nie doczekali się instrukcji kapitana czy porucznika, co mają robić (baca padł od strzału w usta, a juhas leżał na ziemi sparaliżowany paniką), skakali po skałach, pomiędzy bukami, z nadzieją na ocalenie, bo z tamtej strony nie strzelano. A po trzydziestu krokach nadziei spadali łagodnie, z krzykiem zagłuszonym przez strzały na górze, z wysokości Forcallets, i tracili pamięć na białych głazach na dnie wąwozu, jakby wiedzieli, że to te same głazy, które Pere Serrallac obrabia z bezgraniczną cierpliwością, wykuwając z nich nagrobki. Jakby im się spieszyło do zamknięcia cyklu. Jakby już chcieli się ogrzać w lodowatym grobie.

Oriol strzelał z mauzera, pewien, że zabił dwóch czy trzech ludzi. Trzech. Bez żadnych wyrzutów sumienia, bo widział przed sobą wielkie oczy małego Ventury, który patrzył na niego w ratuszu, chyba z nadzieją, że nauczyciel będzie miał więcej ikry i że go ocali. Czuł też spanikowany oddech wieśniaka z Montardit, latarnika, ale najchętniej zobaczyłby teraz przed sobą Valentína Targę. Wtedy wystrzelałby dwa magazynki w jego lewe oko, by przywrócić nieco radości wspomnieniu małego Ventury.

Następnego dnia po wielogodzinnych poszukiwaniach, bo teren był trudno dostępny, władze zdołały zbilansować tę zdradziecką, tchórzliwą operację przeprowadzoną przez nieistniejących partyzantów, wrogów ojczyzny: szesnastu szeregowców z głowami roztrzaskanymi na dnie wąwozu Forcallets, jeden kapral, który zawisł na gałęzi buku niczym zwiędła oliwka, kiedy leciał w dół wesolutko, by roztrzaskać sobie głowę, czternastu szeregowców zastrzelonych, siedmiu unieruchomionych z powodu ran, a reszta, pobladła ze strachu, rozproszyła się, by się przekonać na własnej skórze, że samotne spędzenie nocy w lesie czy na górskiej polanie, z mauzerem w objęciach i oczami aż do bólu szeroko otwartymi, jest trudniejsze niż śmierć z zimna. A do tego jeden kapitan pozbawiony ust i jeden juhas ciągle jeszcze sparaliżowany strachem i tą drogą krzyżową, która na niego teraz czeka, bo na swoją obronę nie mógł wylegitymować się żadną raną, by nieco złagodzić wstyd własnego tchórzostwa.

Porucznik Marcó obrzucił spojrzeniem dowódcę oddziału i Oriola Fontellesa. Terminującego generała i szkolnego mądralę.

– Dwunastu ludzi przeciwko ponad osiemdziesięciu żołnierzom po stronie wroga. – Spojrzał na podwładnego: – Zuchwałość nie jest cnotą wojskową.

– Wszystko przemawiało na naszą korzyść. Idealne miejsce. – Wskazując na mądralę: – Ma chłop pojęcie, wie, co i jak. – Z podziwem: – To jego pomysł.

– To nie jego rola – uciął krótko, patrząc na nich ponuro. Wskazał drzwi i dał im znak, żeby poszli za nim.

Weszli do nieco większego pomieszczenia, w którym za podłogę służyły deszczułki z dawnego zadaszania nad stajnią. W dawnych, marnych, ale szczęśliwszych czasach, bydło na dole grzało swoim ciepłem skostniałych z zimna ludzi śpiących na górze. Dziesięć ogorzałych twarzy czekało na nich już parę godzin. Ponurych twarzy. Porucznik Marcó bez wstępu przeszedł do wyjaśniania, na czym polega Wielka Operacja, dlaczego trzeba wzniecić tysiące zarzewi niepokoju w całej strefie, podobnych do tego, jakie udało im się rozpaścić tej nocy, kiedy zlikwidowali cały oddział żandarmerii. Należało mnożyć akcje, działać im na nerwy w każdym miejscu i o każdej porze.

– A Wielka Operacja?

- Armia partyzancka opanuje cały półwysep, żeby obalić faszyzm.
 - Cisza. Zbyt wielka i niepojęta sprawa dla garstki mężczyzn wycieńczonych codzienną ucieczką.
 - Jest aż tylu partyzantów?
 - Prowadzona jest rekrutacja za granicą. I w kraju. – Instynktownie, zerkając w stronę Oriola, ale tak, żeby ten nie zauważył: – Udało się przeprowadzić sporo akcji w ostatnich tygodniach.
 - Którego dnia? Z której strony? Kto dowodzi? Jakie są możliwości, żeby...? Co będzie potem? Chcecie podburzyć ludzi? Wiecie, że ludzie są zmęczeni? Oceniliście...
 - Nie wiem nic więcej. Rozkazano mi tylko to wam przekazać.
 - Dlaczego nie włączą nas do armii partyzanckiej?
 - Nasza rola polega na tym, by pełnić rolę wrzodu na tyłku faszystów, tak jak dotąd, tylko jeszcze bardziej.
 - Ryzykujesz życiem, córeczko, żeby stać się wrzodem na tyłku. Mój główny cel na dzisiaj: stać się ogromnym czyrakiem na tyłku armii generała Franco i wszystkich faszystów.
-

W wąwozie Forcallels zimą, dwadzieścia osiem lat później, nie zachował się żaden ślad po poległych w zasadzce zorganizowanej w sprytnej akcji nauczyciela z Toreny. Syn Pere Serrallaca kupował marmur od hurtownika w Seu, który sprowadzał towar od różnych dostawców. Od tej pory spadło dużo śniegu. Marcel gwałtownie zahamował i wykonał idealny manewr, dokładnie w tym miejscu, które jego ojciec wskazał dowodzącemu oddziałem asturyjskiemu górnikowi jako doskonale nadające się na pozycję karabinu maszynowego, na środku drogi, żeby zatrzymać baczę z juhasami, wywołać zamieszanie i posiąć niepokój wśród okupacyjnej owczarni.

– Tutaj. Właśnie w tym miejscu – powiedział Marcel.

Tym razem nie chodziło o karabin maszynowy, tylko o dziewczynę z ukrytymi pod żółtą czapką długimi czarnymi włosami, która zatrzymała się dokładnie tam, gdzie jej wskazał Marcel.

– Świetnie. Wydaje mi się, że już możesz się sama wypuścić na trasę.

– Ale teraz nie jesteśmy na żadnym szlaku, prawda?

– Nie bój się: znam te okolice jak...

Już chciał powiedzieć jak własny tyłek, ale się powstrzymał. Bardzo tęsknił za Quique. Z nim odkrywał nowe trasy, oznaczał miejsca do uprawiania narciarstwa klasycznego, dywagował na temat wydajności wyciągów krzeselkowych i długości dziewczęcych nóg, i życie miało urok młodości. Ale pewnego pięknego dnia, po tym, co się wydarzyło pod prysznicem, Quique po prostu zniknął i na pożegnanie nie powiedział nawet pocałuj mnie w dupę.

Mama mu kiedyś wspomniała mimochodem, że zatrudnili go w Saint-Moritz, jeśli to prawda, dobrze zrobił, że wyjechał, ale ten skurwysyn mógł wcześniej powiedzieć pocałuj mnie. Choćby i w dupę. Zresztą cokolwiek, bo chociaż go nienawidził, zazdrościł mu, pogardzał nim i go kochał, Quique na zawsze pozostanie tym Quique, który wtajemniczył go w sztukę seksu, udowodnił mu, że seks to wyrefinowana sztuka, najpierw pod prysznicem w Tuce, potem zabierając go do Białego Domku czy do Gniazdeczka, gdzie pokazał mu prawdziwe kobiety, a nie te z rozkładówek playboya oglądanych w ukryciu. A teraz zniknął bez śladu, ten imbecyl.

– Zjeżdżamy?

– Poczekaj. Popatrz, jak tu pięknie.

Kiwnęła głową, że owszem. Marcel sycił zachłanne oczy panoramą ukochanego pejzażu. Kawalek skały powyżej Solanet sygnalizował obecność góry Obi Blau. Nie mógł odnaleźć śladów Oriola Fontellesa, swojego ojca, który pokonywał tę trasę pieszo z pięćdziesiąt razy, zawsze nocą, niosąc sprzęt lekki i półlekki, z lękiem paraliżującym ciało, przeklinając ciężar skrzynki z amunicją, podziwiając stalowe milczenie innych partyzantów, z których każdy miał głowę pełną własnych cierpień, niepamięci czy tęsknoty, ale zatrzymywał je dla siebie, żeby łzy w oczach nie przeszkodziły w celnym strzelaniu.

– Tak, bardzo pięknie. Zjeżdżamy?

Wtedy ją pocałował, stojąc bokiem, ograniczony nartami. Głęboki pocałunek w usta. Kiedy poczuł wzajemność, uświadomił sobie, że po raz pierwszy, nie licząc kurew i nordyckich walkirii, od kiedy się ożenił z Mertxe, pocałował kobietę, o której wiedział, jak się nazywa i w której mógłby się zakochać. Wytrzymał cały rok w pełnej poświęcenia małżeńskiej dozgonnej wierności. No, może z wyjątkiem pani Bascompte i tej tam, no, Niny. I jeszcze paru innych, tak, racja.

– Daj spokój, nie wygłupiaj się – powiedziała, odsuwając się od niego i poprawiając ułożenie nart. Marcel pomyślał dobrze, mogę się nie wygłupiać, ale sama chciałaś, nie udawaj. Zjazd do bazy przebiegł w milczeniu i nie skomentowali ani tego miejsca, w którym eksplodowała głowa bacy-kapitana, ani tej wielkiej jodły, którą musieli wyminąć, tej samej, przy której Oriol Fontelles płakał kiedyś w nocy, kiedy poczuł, że opuściły go nawet własne siły, bo już od dłuższego czasu nie spał dłużej niż trzy godziny na dobę. Na dole czekała Mertxe, trochę naburmuszona, trochę ciężarna, trochę zdenerwowana, bo już wpół do trzeciej i umieram z głodu. Może to z powodu skradzionego pocałunku, w każdym razie Marcel już nie marudził, że wolałby jeszcze trochę poszusować, pożegnał się grzecznie z czarnowłosą dziewczyną od przelotnego pocałunku, wymienił parę słów pożegnania z kilkoma innymi klientami i poszedł prosto do samochodu, pod eskortą Mertxe.

Msza o dwunastej w kościele Świętego Piotra w Torenio, odprawiona w obecności lokalnych władz, czyli pani Elisendy Vilabru z domu Gravat, burmistrza i lokalnego przywódcy Ruchu Narodowego, pana Valentína Targi, pana Oriola Fontellesa, zastępcy lokalnego przywódcy Falangi i tytularnego nauczyciela w miasteczku, wiernego Jacinta Masa, szofera z pokierszowaną twarzą, wyspecjalizowanego w sekretach jaśnie pani, i dwóch bezwzględnie lojalnych goryli pana Valentína, Arcadia Gómeza Pié, tego z kręconymi włosami, i Balansó, tego z cienkim sztywnym wąsikiem, z udziałem półtora tuzina poddanych, wierzących, że działania podejmowane przez pierwszego w historii miasteczka burmistrza, który nie ma własnego gospodarstwa, są surowe, lecz konieczne, zakończyła się krótką pogawędką w zacienionym atrium, do której ochoczo się przyłączył ksiądz Aureli Bagà, podczas gdy burmistrz rozdzielał błogosławieństwa i ferował wyroki. Jak miło jest rządzić, kiedy ma się naturalny autorytet emanujący z własnej istoty lub, jak by to ujął ksiądz Bagà, gdy człowiek akceptuje autorytet z boskiego nadania. Wymieniając uwagi w stylu tak, nie, zobaczymy itd., zabijali czas przed przedobiednim aperitifem w barze Marésa, doprowadzając tym cotygodniowym obyczajem do bankructwa właściciela, który jeszcze nie zebrał się na odwagę, by wystawić Tardze rachunek. A tymczasem pani Elisenda, która nie chodziła po barach i nie spacerowała po miasteczku, wróciła do domu, by wykorzystać jeden z tych nielicznych momentów, kiedy wyjątkowo miała czas, i zrelaksować się rozmową z zarządcą majątku o żywym inwentarzu, o tonach siana, cenie funta mięsa, o stanie zdrowotnym bydła i o możliwości dokupienia ziemi w okolicach Batlliu. Ksiądz wziął Oriola na stronę i dobrotliwie, pragnąc pomóc tak uczciwemu człowiekowi, zapytał, czy mógłby coś dla niego zrobić w kwestii separacji małżeńskiej.

– Wydaje mi się, że to moja prywatna sprawa, proszę księdza. Wyjechała z powodów zdrowotnych.

– Ludzie w miasteczku mówią co innego. Niedobrze jest dawać zły przykład. Poza tym widzę, że pan źle wygląda. Jeśli chce pan podzielić się z kimś swoimi zmartwieniami, ja...

– Nie ma ksiądz prawa się wtrącać. – Spojrzał mu w oczy z lekką pogardą i zdecydował się skłamać: – Moja żona i ja spotykamy się czasami.

– Ale...

– Nigdy ksiądz nie słyszał, jak kaszle? – Mówił coraz głośniejszym głosem, choć za jego autorytetem nie stał ani Bóg (nie w tym przypadku), ani jego własna istota (też nie ten przypadek), lecz wyłącznie irytacja. – Nie widział ksiądz jej bladej cery...?

– A dlaczego z nią nie wyjechałeś, synu? Obowiązkiem dobrego męża...

– Do widzenia, proszę księdza. Do zobaczenia w przyszłą niedzielę, jeśli będę mógł przyjść.

Jeszcze jeden wróg, córeczko. Jak łatwo mi przychodzi ściągać na siebie nienawiść.

Pan Valentí powiedział pozostałym, żeby poszli przodem, i ruszył za nimi z Oriolem pod rękę, spacerując ulicą Środkową w górę i w dół, w wielkiej przyjaźni, przezornie dając Oriolowi czas, by ochłonął z irytacji.

– Nie przejmuj się nim. – Miał na myśli księdza. – On tak musi.

Oriol nie odpowiedział. Valentí zatrzymał się i spojrzał na niego.

– Wiesz, co się stało?

– Tak, wszyscy o tym mówią. – Zrobił zatroskaną minę. – Cały oddział? Stu ludzi?

– Osiemdziesięciu. Część przeżyła. Podobno zaatakowała ich banda ponad stu partyzantów.

– Skąd oni się biorą?

– A ty gdzie się podziewałeś? Nie widziano cię wczoraj w miasteczku przez cały dzień.

– Strzelałem do żandarmów.

– Nie mów takich rzeczy nawet żartem.

– Kontrolujesz mnie?

– Nie. – Ruszył przed siebie, nie spuszczać go z oka. – Ale może będzie trzeba. – Kategorycznym tonem: – Po południu mamy zeznawać, cośmy widzieli i słyszeli ubiegłej nocy.

– Ja nic nie słyszałem. Śpię jak zabity.

– Moi ludzie mówili, że zauważono jakiś ruch w okolicach miasteczka. Nic nie zauważyłeś?

– Już mówiłem, że nic nie słyszałem.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Oriol, pod wpływem nagłego impulsu, powiedział:

– Tak czy inaczej oczywiście pozostaję do dyspozycji władz.

Valentí się uśmiechnął. Najprawdopodobniej to właśnie chciał usłyszeć.

Pochodzi od łacińskiego *baptismus*, który z kolei wywodzi się od greckiego *baptisma* czy *baptismós*, czyli zanurzenie, obmywanie. Takie jest, bracia i siostry, znaczenie tego sakramentu: obmyć, oczyścić duszę, która przychodzi na ten świat martwa z powodu grzechu pierworodnego. Dlatego możemy powiedzieć o chrzcie, że polega na obmywaniu ciała, które w formie symbolicznej przedstawia oczyszczenie, jakie się dokonuje w duszy neofity. Już święty Tomasz z Akwinu definiował chrzest jako obrzędową ablucję ciała, regenerację przez wodę w słowie. *Sacramentum regenerationis per aquam in verbo*.

– Proszę księdza...

– Tak. Na zakończenie chciałem tylko przypomnieć, że jest prawdą wiary ustanowioną jeszcze przez sobór trydencki, iż przyjęcie chrztu jest absolutnie konieczne do zbawienia, chociaż Kościół święty, nasza matka, wyrozumiała i miłosierna, wyróżnia trzy rodzaje chrztu, w zależności od tego, jak został udzielony, czyli...

– Proszę księdza.

– Jeszcze chwilę: a więc chrzest z wody (inaczej: *fluminis*), chrzest pragnienia (inaczej: *flaminis*) i chrzest krwi (inaczej: *sanguinis*).

Krew z krwi twojej, Oriol. Ty się unieśmiertelniasz, a ja za twoim pośrednictwem.

– Proszę księdza, ale...

– Tak. A więc: jakie imię nadajecie dziecku?

– Sergi – powiedziała Mertxe.

Oriol, poprawiła w myślach Elisenda, która została matką chrzestną. Dla mnie on zawsze będzie Oriolem. Ukochany, już mamy wnuka. Krew z krwi twojej. Może teraz mi przebaczysz. Wiesz, że doktor Combalia twierdzi, że chyba mam cukrzycę? Jutro muszę jechać na... Ja, ja jestem matką chrzestną, oczywiście.

– Więc proszę podejść bliżej, proszę pani, z tą duszyczką, która pragnie wstąpić do Kościoła sprawiedliwych.

Pani Elisenda podeszła do chrzcielnicy z wnukiem falangisty Oriola Fontellesa w ramionach. Ten sam nos. To samo ułożenie warg, jeszcze wyraźniejsze niż u Marcela. Jak to możliwe, że ludzie tego nie dostrzegają? Gdzie oni mają oczy? A może nikt już nie pamięta, jak wyglądała twarz mojej tajemnicy...

– Sergi, chrzczę cię w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Kiedy ksiądz Rella mówił Sergi, chodziło mu o Sergia Vilabrú po ojcu (z rodów Vilabrú-Comelles i Cabestany Roure i rodów Vilabrú z Toreny i Ramis ze strony Pilar Ramis z Tírvii, tej pół dziwki, pół latawicy, o której lepiej nie wspominać przez szacunek dla biednego Anselma, domniemanego i czysto teoretycznego pradziadka dziecka) oraz Centelles-Anglesola po matce (z rodu Centelles-Anglesola, spokrewnionego z rodem Cardona-Anglesola, przez Anglesolów, i z rodu Erill z Sentmenat, ponieważ matka matki jest córką Eduarda Erilla z Sentmenat, tego, który za pięć miesięcy dostanie ataku dusznicy bolesnej, tak, z powodu zamieszania wokół firmy Maderas Africanas. A może z powodu tego, co teraz wypłynęło, skandalu w Banku Zachodnim, tak). A więc ksiądz Rella powiedział Sergi, chrzczę cię w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Tak naprawdę brzmiało to Sergi, ego te baptizo in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.

– Amen – odpowiedziały osiemdziesiąt trzy osoby, które zgromadziły się na tej kameralnej ceremonii w parafii Świętego Piotra w Torenie, dokąd przybyli, bo pani Vilabrú uwielbia wkurzać ludzi i zmuszać nas do brodzenia w krowim gównie, zamiast ochrzcić go w katedrze w Barcelonie, jak Bóg przykazał. Ale nie, w Barcelonie możesz sobie popatrzeć, jak na fontannie tańczy jajo, a na chrzest musisz stracić cały dzień, wziąć samochód i pobrudzić sobie buty w Torenie. Tak, amen, odpowiedziało z uśmiechem osiemdziesięciu trzech zaproszonych. Tych osiemdziesięciu trzech zaproszonych miało do Sergia/Oriola całkowicie obojętny stosunek. Dwadzieścia sześć procent zjawilo się tu, żeby się pokazać pani Elisendzie, matce chrzestnej swojego pierwszego wnuka, mimo że nie z jej krwi. Następne dwadzieścia i pół procenta chciało, żeby ich zobaczył na chrzcinach swojego pierwszego, oby z długiej listy następnych, syna Marcel Vilabrú i Vilabrú. Niecałe dziewiętnaście procent (dokładnie licząc, osiemnaście koma siedem) stanowili ci, którzy chcieli się podlizać państwu Centelles-Anglesola i Erill ogólnie lub z jakiegoś konkretnego powodu: politycznego (uprzywilejowany dostęp do informacji o prawdziwej sytuacji na Saharze), ekonomicznego (chodzi o inspekcję, jaką przeprowadził ten pieprzony inspektor, który, kurwa jego mać, przewrócił mi biuro do góry nogami, bo jest za młody i ma nasrane do gara) czy uczuciowego (tak, Kocham Begonię Centelles-Anglesola Auger, kuzynkę Mertxe, zarówno ze strony Centelles-Anglesola jak i ze strony Auger, bo rodzina Auger jest spokrewniona z Erillami, z odgałęzieniem Erill Casasses, ale dziewczyna jest nieskończenie piękniejsza i bardziej niedostępna niż Mertxe. Nie, nie jest dziewczcą. O ile wiem, to nie. Ale stary, co za różnica). Może najbardziej zwarte stronnictwa stanowiły w tej grupie przyjaciółki Mertxe, wszystkie och i ach, tak, a w duchu myślały, jaka ona odważna, ta Mertxe, to takie prostackie urodzić dziecko. Z pozostałych trzydziestu czterech koma osiem procent połowę stanowiła najbliższa rodzina, a reszta to różne przypadki, między

innymi jeden szczególnie, Jacinto Mas, którego tu sprowadziły obowiązki służbowe, oczywiście musiał uczestniczyć, a następnego dnia musi zawieźć jaśnie panią do lekarza, i jak znam życie, przy okazji uda się jeszcze z nieoczekiwaną wizytą do jakiegoś biskupa czy kanonika, bo od kiedy jej nie chędoży ten skurwysyn Quique Esteve, udaje świętoszkę. Ale Jacinto Mas był jedynym ze wszystkich obecnych, bo Gasull leżał w łóżku z grypą, on, to znaczy ja, to znaczy jeden koma dwa procentowej obecności na chrzcie Sergia Vilabrú po ojcu (z rodów Vilabrú-Comelles i Cabestany Roure i rodów Vilabrú z Toreny i Ramis ze strony Pilar Ramis z Tírvii, tej pół dziwki, pół latawicy, o której lepiej nie wspominać przez szacunek dla biednego Anselma, domniemanego i czysto teoretycznego pradziadka dziecka) i Centelles-Anglesola po matce (z rodu Centelles-Anglesola, spokrewnionego z rodem Cardona-Anglesola przez Anglesolów, i z rodu Erill z Sentmenat, ponieważ matka matki jest córką Eduarda Erilla z Sentmenat, tego, który trzy miesiące po ataku dusznicy bolesnej dostanie ataku serca, który mi go zabierze, biedaczka, podczas skandalu w Banku Zachodnim), jedynym, który wiedział, że ojciec dziecka, Marcel, nie jest synem jaśnie pani, ale przywieziony został ze szpitala dla gruźlików w pobliżu Feixes, diabli wiedzą z jakiego powodu. Jacinto Mas wiedział wszystko o swojej pani, znał jej wady i zalety, obawy i radości, gorsze chwile i napady gniewu. Znał nawet jej największe kłamstwo. I do niedawna stanowił dla niego uosobienie szlachetności, sprawiedliwości i elegancji. Nigdy nie narzekał na tę pracę; służył jej jak niewolnik, bo ona jest boginią. Kocham cię, Elisendo. Ale teraz coraz częściej łajasz mnie pod byle pretekstem. Już mi nie mówisz dobrze, Jacinto, dobrze się spisałeś, tylko mnie krytykujesz dlaczego się tu zatrzymujesz? uważaj, nie hamuj tak gwałtownie, dlaczego nie przypomniałeś mi, żebym zabrała płaszcz, gdzie ty masz głowę, Jacinto, cholera jasna. Tak, zdarza mi się zagapić, to prawda. Ale ja cię kocham tak jak zawsze: starzejesz się, Elisendo, i nie chcesz zrozumieć, że ja też mam serce. Czyżbym nie znaczył dla ciebie więcej niż twój samochód? Słuchaj, nie wiem, z jakiego powodu zaadoptowałaś to niemowlę w czasie największego zamieszania, podczas ataku partyzantów, i dlaczego pojechałaś po nie do Feixes. Jeżeli istniał jakiś powód, już ja go wyśledzę. Nie podoba mi się, że coś przede mną ukrywasz po tylu latach sprząwania rzygów po całej twojej rodzinie. Zwłaszcza po tym młodym. Amen.

Kiedy skończyła się ceremonia chrztu, wszyscy wyszli przed kościół na dziedziniec oświetlony szczodrym słońcem, z przyklejonym do ust uśmiechem mającym wyrażać ich radość, że oto Sergi Vilabrú po ojcu (z rodów Vilabrú-Comelles i Cabestany Roure i rodów Vilabrú z Toreny i Ramis ze strony Pilar Ramis z Tírvii, tej pół dziwki, pół latawicy, o której lepiej nie wspominać przez szacunek dla biednego Anselma, domniemanego i czysto teoretycznego

pradziadka dziecka) i Centelles-Anglesola po matce (z rodu Centelles-Anglesola, spokrewnionego z rodem Cardona-Anglesola przez Anglesolów, i z rodu Erill z Sentmenat, ponieważ matka matki jest córką Eduarda Erilla z Sentmenat, tego, o którym po pogrzebie zaczęto mówić, że z tym atakiem serca to nie tak, że to chyba samobójstwo) wstąpił w sposób tak zdecydowany, nie uroniwszy ani jednej łezki, do wspólnoty walczącego Kościoła.

Gdyby nie wojna, ta wojna, czasem człowiek uśmiechałby się i płakał jednocześnie, kiedy coś się wydarzy. Tej nocy opowiem ci bajkę, córeczko. Wszystko się zaczęło, kiedy zasnąłem jak kamień (teraz, gdy nie dosypiam, jestem gotów spać na stojąco, nawet prowadząc motocykl). Przyśniło mi się, że ktoś w lesie ścinał drzewo, a ja go zapytałem po co je ścinasz, kolego, i usłyszałem odpowiedź żebyście nie mieli gdzie się schować, kiedy będą was ścinać. Wiedziałem, że to sen, więc za bardzo się nie przestraszyłem. I wtedy ten człowiek przychodzi tutaj, i zaczyna ciąć drzwi domu, to znaczy szkoły, która teraz jest moim domem. A ja go pytam dlaczego tniesz drzwi domu, kolego? A on na to żeby ułatwić zadanie tym, którzy będą cię ścinać. Wtedy się przebudziłem. Otworzyłem oczy, ale nadal leżałem nieruchomo, tak jak nauczyłem się ostatnio. Ktoś ciął drzwi szkoły. Przestraszyłem się, bo wcale nie jestem odważny, córeczko. Najpierw długo się zastanawiałem, a potem na palcach podszedłem do drzwi, gdzie wreszcie do mnie dotarło, że nikt ich nie tnie. Tylko drapie. I wtedy przypomniałem sobie... Nigdy ci się nie zdarzyło, córeczko, że nagle, ze szczegółami, wracają do ciebie odległe wspomnienia, o których już zapomniałaś, i wydaje się, jakby to było wczoraj? Takie właśnie odnosiłem wrażenie. Po cichu otworzyłem drzwi na oścież i domyślasz się, kogo tam zastałem?

Tina się przyjrzała: rysunek przedstawiał psa, długowłosego, z wyciągniętym językiem, uważnym spojrzeniem; odwracał głowę w kierunku, z którego musiał dochodzić jakiś szelest. Fontelles świetnie rysował. Znam kogoś, kto ma skaner?

Minęło pół roku, córeczko, pół roku od czasu, kiedy Achilles spędził dziesięć dni w tej szkole, ani razu nie wydając z siebie głosu, w ukryciu, broniąc swoich dzieci... A teraz wrócił milczący, brudny, ze zmierzwioną sierścią, łapami pokaleczonymi od nieustannego chodzenia, chudy jak kartka papieru. Polizał mi ręce i wszedł do środka jak do siebie. Rozejrzał się po wszystkich kątach i skomlać, stanął przed drzwiami prowadzącymi na strych.

– Zgubiłeś ich? Gdzie oni są?

Polizał mnie, ocierał się o moje nogi jak kot i wtedy zrozumiałem, że musi być głodny, i dałem mu tę kromkę chleba z wędliną, którą schowałem na śniadanie. Nigdy nie widziałem kogoś, kto jadłby tak szybko. Nigdy, córeczko. Potem biedny zwierzak położył się w kącie i zasnął. Prawdopodobnie po raz pierwszy od wielu miesięcy błędnie spał w bezpiecznym miejscu.

Później porucznik Marcó, chciałbym, żebyś go poznała, kiedy znów będzie

mógł się nazywać Joan Esplandiú z domu Ventura, powiedział mi, że ta rodzina już miała w zasięgu wzroku portugalską granicę: dotarli do Alamedy de Gardón, o rzut kamieniem od Beira Alta, ale tam samochód, w którym jechali z przewodnikiem, członkiem partii, został zatrzymany, bo ktoś źle życzył przewodnikowi. Córeczko, mam nadzieję, że jakoś sobie w życiu poradzisz, tylko pamiętaj, żebyś nie została donosicielką. Już matka ci wyjaśni, co to znaczy. Myślę o przerażonych oczach Yves'a i Fabrice'a, świadomych, że w końcu zły ludojad z bajki ich dopadł, żeby ich zjeść. Wiem od porucznika Marcó, że rodzina, której nazwiska nigdy nie poznałem, została odesłana do Francji pod okupacją niemiecką, a tam załadowana na jeden z tych przepełnionych pociągów, którymi wysyłają Żydów w głąb Niemiec, do obozu pracy w Dachau, skąd, jak mówią, chociaż trudno mi w to uwierzyć, nikt nie wraca. Biedne dzieci: widziały już port, kiedy ludojad położył na nich pazur. Moje biedactwa. Ale to oznacza, że Achilles wrócił aż z okolic Salamanki tu, w Pireneje, do jedyne go chyba miejsca podczas ich długiej odysei, w którym przez kilka dni czuli, że mogą odpocząć.

– Skąd tu się wziął ten pies?

– Porzucony. Przygarnąłem go.

– Ładny jest.

– Tak.

– Rasowy.

– Tak sądzisz?

– Tak sądzę. To spaniel. Co mógł robić w tym miejscu?

– Zgubił się.

– Zgubił się? Zgubił się tutaj? – Valentí Targa coś podejrzewał. – Na tym zadupiu, w górach? Pasł się w zaroślach jak dzik? – Z rękami w kieszeniach, rozwalony na krześle, czekał cierpliwie, aż Oriol skończy przeglądać dokumenty. Wszedł Balansó, ten z ciekawym wąsikiem, ale Targa energicznym gestem kazał mu wyjść i zamknąć za sobą drzwi.

– Nie jestem adwokatem – wzdygnął się Oriol, przestraszony.

– Tylko się z tym zapoznaj. Jak chcesz, możesz zrobić to samo.

Leżała przed nim dokumentacja donosu, jaki pan Valentí Targa, burmistrz i miejscowy przywódca Ruchu Narodowego, składał na Manela Carmaniu, mieszkańca Toreny, wrogo nastawionego do ustroju, kuzyna Glòrii Ventury i kuzyna porucznika Marcó. Na mocy tej dokumentacji Manel z właściciela zamieniał się w byłego właściciela trzech hektarów ziemi, które przechodzą na własność pani Elisendy Vilabru Ramis z domu Gravat, która jest właścicielką ziem położonych w bezpośrednim sąsiedztwie. Następny dokument ustanawia zamianę tych trzech hektarów pastwisk i paru sąsiednich, na których też są pastwiska, na duży obszar na górze Tuca, zwanej Tuca Negra, o niewielkiej wartości dla rolnictwa czy pasterstwa, własność Jacinta Gavarró z domu

Batalla, który ma jeszcze zrekompensować finansowo tę zamianę właścicielce, zważywszy na ewidentną różnicę wartości nieruchomości będących przedmiotem zamiany.

– No dobrze, ale nie rozumiem, co ci z tego przyjdzie. I nie rozumiem, jak pani...

– Nie po to ci to pokazuję, żebyś mi zadawał głupie pytania. Jeśli chcesz... No, po prostu... – Valentí wstał i poszedł się upewnić, czy drzwi gabinetu są zamknięte. Usiadł. Mówił teraz o pół tonu ciszej: – Jeśli chcesz wykorzystać sytuację, pomogę ci zbić majątek.

– Jak?

– Kiedy sobie upatrzysz jakiś teren, denuncjujesz właściciela. Resztą ja się zajmę. Za rozsądną prowizję.

Oriol otworzył usta ze zdziwienia. Przywołał na twarz uśmiech, żeby ukryć konsternację.

– Nie chcę ziemi.

– Nie chcesz ziemi, nie chcesz prowizji, nie chcesz prezentów...

Instynktownie odwrócił się w stronę drzwi, jakby chciał sprawdzić, czy aby na pewno pozostają zamknięte.

– I jak mam ci ufać? – Podsunął mu pod nos papier ze stołu. – To samo się pcha w rękę.

– Dlaczego się martwisz, że nie ciągnie mnie do forsy?

– Nie martwię się: wkurza mnie to. To jest podejrzané.

– Dlaczego?

– Bo czyści zawsze są niebezpieczni.

– Nie jestem czysty.

– To rób to, co wszyscy, kurwa mać! – Walnął pięścią w czoło i wykrzyczał, rozwścieczony: – Wszyscy, którzy mają głowę na karku, korzystają z okazji. Trzeba sobie zrekompensować poświęcenie.

– Nie ma takiego obowiązku.

– Jasne, że jest. Dlaczego wyrzekasz się legalnego zysku? To wojenny łup!

– Ja...

– Ciekawe, co ty kombinujesz w tajemnicy przede mną. – Z groźbą w głosie: – Bardzo ciekawe.

– Nie gniewaj się, ale ja...

– Jak się dowiem, że to coś, co mi się nie podoba... dam ci popalić.

To znaczy, że nic nie wie. Zdecydowanie. Nie wie, że pewnego dnia celował w jego potylicę z zardzewiałego pistoletu, ani że romansuje z kobietą, której według niego nikt nie ma prawa dotknąć. A może to ona ze mną romansuje. Nic nie wie o nocnym ruchu w szkole. Nic nie wie.

Patrzył, jak tamten skręca papierosa. Kiedy po raz pierwszy się nim

zaciągnął, rozwalił się na krzesło i przyglądał mu się, wypluwając okruch tytoniu, który przykleił mu się do języka. Jakby chciał zachwiać jego błogostanem, Valentí Targa rzucił grobowym głosem jedno słowo: – Eliot.

Cisza. To już koniec. Nadzieja okazała się złudą, tylko poprzedziła finał: teraz będą tortury, oskarżenie, śmierć. Nie jestem bohaterem. I do tego co za wstyd, nie nadaję się na męczennika, wyśpiewam wszystkie nazwiska, jak ten biedny wieśniak z Montardit. Na wszelki wypadek udał obojętność i niby od niechcenia zapytał o co chodzi z tym Eliotem.

Żeby mu jeszcze utrudnić, Valentí nie odzywał się i rozmyślał. O czym tak myśli. Bawi się moim kosztem. Wie o mnie wszystko.

– O co chodzi z tym Eliotem? – powtórzył pytanie.

– Ciągłe nie wiemy, kto to jest. Ci z wywiadu wojskowego też nie wiedzą. Mówią, że to ktoś, kto prowadzi normalny tryb życia.

– Jak ty i ja?

– Jak ty i ja. Tak. A właśnie, wiesz, dwaj pułkownicy chcą u ciebie zamówić portrety. – Podniósł palec: – Ja wyznaczę cenę. Musiałbyś jechać do Pobli, żeby ich namalować.

– Jeszcze o tym porozmawiamy, dobrze?

Oriol ruszył do drzwi. Zanim je otworzył, odwrócił się i zapytał poważny: – To takie ważne, żeby wiedzieć, kim on jest?

– Kim jest kto?

– Eliot.

– Dopóki tego nie wiemy, nie możemy go rozstrzelać.

Oriol uśmiechnął się porozumiewawczo, że zrozumiał dowcip.

– Pytam poważnie – drażył temat, chwytając za klamkę. – Naprawdę jest taki ważny ten cały Eliot?

– Zastanów się – pouczył go Targa protekcjonalnym tonem. – Złapiemy Eliota i rozbijemy strukturę partyzantki w całych Pirenejach.

– Przeceniasz Eliota. Nie wierzę, żeby wszystko zależało od jednej osoby. A poza tym może to tylko wymysł.

– Co?

– Może Eliot jest kimś w rodzaju Osjana.

– Kimś w rodzaju czego?

Ale Oriol już wyszedł z gabinetu, w euforii, bo niebezpieczeństwo minęło, ale też wściekły na siebie, bo wydawało mu się, że za dużo powiedział.

– Nie wiem, do czego pani zmieza.

Dziewczyna żuła gumę powoli, tak jak przeżuwiają krowy, i patrzyła uważnie na Tinę, jakby ta była kosmitką, a nie kobietą, która próbuje odzyskać nieznane fragmenty życia swojego syna.

– Ja też nie. Czy Arnau tu mieszkał?

– Proszem pani, czemu jego pani o to nie zapyta?

Tina czuła się niezręcznie głównie z tego powodu, że dziewczyna nie mówiła do niej na ty. Poczowała się stara. Na litość boską, przecież miała dopiero czterdzieści siedem lat, sześć kilo nadwagi i męża, który jej przyprawia rogi. A czterdzieści siedem to nie sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt. A poza tym, jak Arnau mógł się zakochać w dziewczynie, która nosiła na szyi nabój w charakterze wisiorka? No, może nie nabój, srebrny śrut. I te czerwone włosy, krótkie i nastroszone. I coś metalowego w pępku. Gdyby Jordi ją zobaczył, z miejsca uznałby ją za narkomankę, zanimby poczuł ten dziwny zapach, jakim przesiąknęło mieszkanie. Przesady na stronę, trzeba być otwartym, co tam.

– Pewnie dlatego, że jestem nieśmiała.

– Jak mnie pani znalazła?

– W kalendarzyku Arnaua. Mireia. Lleida. Odwiedził cię, zanim wstąpił do zakonu.

Dziewczyna przestała żuć i Tina odniosła wrażenie, że spogląda daleko wstecz, wieki temu, a nawet miesiąc temu, kiedy najprawdopodobniej widziała po raz ostatni Arnaua. Uśmiechnęła się i Tinie zrobiło się przykro, bo poczuła się wykluczona z tych wspomnień. Dwaj chłopcy z workami cementu przeszli przez pokój. Jednemu dżinsy tak mocno przylegały do ciała, że wyglądały jak niebieska skóra, drugi miał krótkie luźne spodnie. Obaj uginali się, ciężko dysząc pod ciężarem worków. Wymamrotali coś na powitanie, na co Tina odpowiedziała grzecznym skinieniem głowy. Mireia rozlała zawartość czajniczka do dwóch brudnych kubków i Tina obiecała sobie, że nie skrzywi się z obrzydzeniem. Dopóki nie dotknęła kubka wargami.

– Nie mamy cókró – usprawiedliwiła się Mireia, obserwując ją uważnie.

Jak to możliwe, że chłopak taki jak Arnau zainteresował się tą dziewczyną?

– Nie szkodzi. Bardzo dobra – skłamała.

– To z naszej wuasney óprawy.

– Moje gratulacje.

Jak to możliwe, że taka dziewczyna zainteresowała się Arnauem?

Kolejna chwila ciszy. Mireia wyjęła z ust gumę i skosztowała herbatę. Z

aprobowanej miny wynikało, że herbata jej zdaniem zaparzyła się idealnie. Tina westchnęła: – No dobrze. Chcę tylko wiedzieć, czy Arnau jest szczęśliwy.

Tamta wyciągnęła jakąś kartkę z kieszeni spodni i podała Tinie. Tina spojrzała na nią zdziwiona.

– To telefon do mnichuf – wyjaśniła. – Dziewieńdziesiont trzy i tak dalej. Niech bendzie pohwalony jezus hrystus, słócham. Arni, jesteś szczenśliwy?

Tina odstawiła kubek z herbatą na pomalowany na pomarańczowo stół i wstała.

– Dziękuję. Myślałam, że...

– Arni trafił tó, bo byu kolegom Paca Burésa. Zdaje się, rze są z tej samej miejscowości.

– Razem chodzili do szkoły w Sort. – Tina spojrzała na dziewczynę i jeszcze raz spróbowała nawiązać dialog: – A gdzie mogę znaleźć Paca Burésa?

– Missing. Jego rodzina ma dórzo forsy i znudziuo mu się robić tó za muraża.

Paco Burés z domu Savina. Według starej Ventury, ta rodzina chyba najbardziej się cieszyła ze śmierci jej synka.

– Ale mieszka tu, w Lleidzie?

– Skont mam wiedzieć!

Tina znów usiadła, wypila herbatę duszkiem i mimo poczucia własnej śmieszności zapytała ale ty i Arni byliście przyjaciółmi, prawda?

– Tak. Arnau to ruwny gość. Ale jak on nie chce gadać, ja tesz nie pószczę pary.

– Jasne.

– Uatwiej jest rozmawiać z obcymi nisz z wuasnym synem, co?

– Tak.

Po tym wyznaniu poczuła się pewniej. Na tyle, że przeszła do ataku: – A ty rozmawiasz ze swoimi rodzicami?

– Dingdąg. Ten temat nie whodzi w zakres egzaminó.

Zostawiła citroena przy alei Blondel, blisko rzeki. Kiedy wsiadała do samochodu, ciągle jeszcze śmierdziała marychą. Arni, powtórzyła w myślach, włączając kierunkowskaz. A ja się martwię, czy zakonnicy zmieniają mi imię.

Na biurku leżały odsunięte na bok, przyniesione przez adwokata Gasulla dokumenty, które miała podpisać: upoważnienie do wystawienia czeku opiewającego na niezłą sumkę, dar na budowę sanktuarium w Torreciudad, dla monsiniora Escrivy, do rąk własnych, oraz grzeczna, ale niebawiąca się w wyszukaną kurtuazję odmowa uczestniczenia w przyjęciu wydawanym przez premiera Ariasa Navarro. Przez okno z lewej strony, wychodzące na ulicę falangisty Fontellesa, wpadało światło, nieco przyćmione i przefiltrowane przez przezroczystą firankę. A przed nią stał Jacinto z kartką papieru w ręce i drżącym podbródkiem. Nie wyciągnęła ręki po pismo. Z każdym dniem wyteżenie wzroku stawało się coraz trudniejsze, widziała jak przez zasłonę, jakby świat postanowił ukryć przed jej spojrzeniem swoje miejsca wstydlive.

– Słucham – odezwała się, nie patrząc w jego stronę, bo dobrze wiedziała, z czym przyszedł.

Zamiast odpowiedzi Jacinto Mas położył pismo na biurku. Urzędowym językiem informowano w takich mniej więcej słowach szanowny panie Jacinto Mas, z przykrością zawiadamiam, że jestem zmuszony zrezygnować z pańskich usług jako szofera rodziny Vilabru, a zważywszy na pański wiek, proponuję przejście na wcześniejszą emeryturę, na którą swoją drogą pan bez wątplenia zasłużył. Wysyłam to zawiadomienie z odpowiednim wyprzedzeniem, aby zdążył pan poszukać sobie nowego lokum w niezbyt odległej przyszłości. W oczekiwaniu na odpowiedź, łączę wyrazy szacunku, podpisany Er Gasull, Torena, dwudziestego trzeciego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku.

Elisenda wzięła kartkę do ręki i spojrzała na swojego szofera, jakby go widziała po raz pierwszy od trzydziestu siedmiu lat, dziewięciu miesięcy i szesnastu dni. Gestem wskazała mu krzesło. Do Jacinta to nie dotarło, musiała powtórzyć gest i uzupełnić o słowa: – Siadaj, proszę.

Jacinto usiadł, starając się nawiązać kontakt wzrokowy z jaśnie panią.

– Dlaczego mnie pani wyrzuca?

– Trzy wypadki w ciągu pięciu miesięcy. Jeden rozbity samochód, dwie sprawy w sądzie, trzynaście mandatów i jeszcze mnie pytasz, dlaczego cię wyrzucam.

– Pracowałem dla pani trzydzieści siedem lat i nigdy nie zasłużyłem na reprimendę.

– Właśnie ci jej udzieliłam.

– Ale dopiero teraz.

- Takie są fakty. Poza tym nieprawda, że tak długo u mnie pracujesz.
 - Od San Sebastian. Trzydzieści siedem lat, dziewięć miesięcy i szesnaście dni.
 - No dobrze, ale w czym problem? Każdy kiedyś osiąga wiek, kiedy trzeba...
 - Proszę, niech mnie pani jeszcze nie wysyła na emeryturę. Mogę robić... robić... cokolwiek, choćby w ogrodzie.
 - Mam jednego ogrodnika i wystarczy.
 - Mogę zostać ochroniarzem domu Gravat. Mogę...
 - Nie, przechodzisz na emeryturę, najwyższy czas. Naprawdę nie rozumiem, w czym problem...
 - Jestem jeszcze młody: mam pięćdziesiąt pięć lat.
 - Jesteś tu od zawsze.
 - Właśnie, zawsze robiłem, co mi pani kazała, bez szemrania.
 - I dostawałeś za to niezłą pensję. A teraz przechodzisz na emeryturę. To naturalna kolej rzeczy.
 - Nie mogę uwierzyć, że może pani być tak bezwzględna. – Jacinto Mas miał autentycznie zaskoczoną minę. – Naprawdę nie widzi pani, że...
 - Nie widzę w tym nic strasznego. Musisz się pogodzić z rzeczywistością. Jesteś w optymalnym wieku, żeby przejść na emeryturę w dobrym zdrowiu i jeszcze wykorzystać czas na zasłużony odpoczynek.
 - Wyrzuca mnie pani jak Carminę.
 - Nie. Idziesz na emeryturę i tyle. Tak jak wszyscy.
- Jacinto wskazał pismo, które położył na biurku. Nie patrząc w tekst, zacytował z pamięci: – Wysłałam to zawiadomienie z odpowiednim wyprzedzeniem, aby zdążył pan poszukać sobie nowego lokum w niezbyt odległej przyszłości.
- To chyba oczywiste, skoro przestajesz tu pracować...
 - Nie mam dokąd pójść.
 - A twoja siostra? Jesteś dorosły... Jeśli masz problem do rozwiązania, porozmawiaj o tym z zarządcą, nie ze mną.
 - Tu rządzi pan Gasull i to on nastawia panią...
 - Dość tego, Jacinto – przerwała mu cichym głosem. Ale Jacinto udawał, że nie słyszy, bo gdyby usłyszał, co do niego mówi, musiałby wykonać polecenie, jako że ten głos zawsze przenikał go na wskroś i zmuszał do bezwzględnego posłuszeństwa. Na jego szczęście mówiła bardzo cicho, przekonana, że w ten sposób wzbudzi większy respekt. Elisenda Vilabru widziała, jak wymierza w nią palec gestem jednoznacznie obraźliwym, na jaki nigdy się nie zdobył wobec niej w ciągu całych trzydziestu siedmiu lat, dziewięciu miesięcy i szesnastu dni, które jego zdaniem u niej przepracował.
 - ...Nastawia panią, jak mu się podoba. Bo to on tu rządzi i on sobie używa.
 - Co takiego?

– To: mówię, że panią chędoży.

Pani Elisenda Vilabru wstała zirytowana, oburzona, zaskoczona i dotknięta do żywego. Na Jacincie nie zrobiło to wrażenia i ciągnął dalej: – Całymi latami tego chciał i do tego dążył, aż wreszcie dopiął swego.

– Wynoś się stąd. – Z oburzenia mało nie dostała apopleksji. – Masz moje słowo, że znajdę sposób, żeby ci zaszkodzić.

Jacinto wstał i Elisenda przez moment poczuła na twarzy powiew paniki.

Chyba to zauważył, bo zaczął teraz mówić głosem chrapliwym, wypranym z emocji, w którym dało się wyczuć ciężar trzydziestu siedmiu lat, dziewięciu miesięcy i szesnastu dni niedozwolonego pożądania. Po raz pierwszy od tylu długich lat mówił do niej na ty.

– Dotrzymałem ci wierności przez całe życie. Byłem posłuszny, niczego nie kwestionowałem, znosiłem impertynencje, nieraz sprzątałem gównem po tobie i twoim synu i zawsze, zawsze pozostawałem na wyciągnięcie ręki, gdybyś mnie potrzebowała.

Elisenda nie zaprotestowała, że się z nią spoufala. Wyprostowana, nieruchoma naprzeciwko swojego szofera, stała niewzruszona jak skała.

– Za to ci płaciłam. Pominęłam któryś miesiąc?

– Pominęłaś całe moje życie. Wiele musiałem znosić i cały czas babrać się w cudzym gównie. Codziennie, przez całe życie, nic, tylko patrzeć, wiedzieć i milczeć. Codziennie. Patrzeć, jak zaliczasz facetów. Milczeć i walić konia w samochodzie, wyobrażając sobie, że to ja jestem tym szczęśliwcem. Ot i całe to moje popierdalone życie.

Elisenda przełknęła ślinę i patrząc w stronę przeciwległej ściany, niewyraźnej za mgłą, ucięła kategorycznie: – Na tym polegała twoja praca.

– Nie, ja cię kochałem.

Zabrakło jej tchu, bo Jacinto właśnie wstał i okrążał biurko, recytując jak litanię nie miałem życia poza pracą dla ciebie; nie ożeniłem się, nie założyłem rodziny, od lat nie widziałem siostry, poznałem wszystkie twoje sekrety i kaprysy i mogłem się nimi udławić, bo kiedy zacząłem dla ciebie pracować, kazałaś mi przysiąc na to, co najświętsze, wierność aż do śmierci. I zawsze dotrzymywałem ci wierności. Nie raz dla ciebie babrałem się w gównie, Elisendo. A teraz, kiedy słabnie mi wzrok i tracę refleks, nie chcesz mnie utrzymywać. Wyrzucasz mnie z domu. Niczym oskarżenie dodał po cichu nie zapominaj, że ty też tracisz wzrok.

– Nie zbliżaj się do mnie. Polecę panu Gasullowi, żeby ci zrekompensował ubytek na zdrowiu.

– Nie chcę żadnej pieprzonej rekompensaty; chcę umrzeć w tym domu, który stał się już moim domem.

Elisenda odzyskała normalny ton głosu.

– Jeśli chcesz umrzeć, proszę bardzo, nie widzę przeszkód – rzuciła mu w twarz.

– Przeklinam cię w imię Boże, Elisendo.

– Boga do tego nie mieszaj. – Wściekła: – Licz się ze słowami.

– Jestem członkiem rodziny. W rodzinie nie przechodzi się na emeryturę.

– Teraz faktycznie widzę, że nic do ciebie nie dotarło.

W nagłym odruchu, bez zastanowienia, Jacinto Mas zrobił to, co chciał zrobić przez trzydzieści siedem lat, dziewięć miesięcy i szesnaście dni. Chwycić ją, dotknąć, znaleźć się blisko niej, dołączyć do grona tych szczęśliwców, którzy ją zaliczyli, jak tamten mądrała ze szkoły, jak ten skurwysyn Quique Esteve; jak gubernator cywilny don Nazario Prats, w zamian za jeden podpis, jak Rafel Agullana z Lleidy, który później chciał ją zadenuncjować, żeby się wycofać z umowy, dopóki go nie postraszyła, że oskarży go o gwałt; jak Gasull i również pan Santiago, który jako jedyny z nich wszystkich kiedyś, na początku, był jej mężem. Ale tamten za wiele z nią nie zwojował, bo się nienawidzili. Jak wielu ministrów w Madrycie, dałby sobie głowę uciąć. Chwycił jaśnie panią za nadgarstki. Zbladła, bo nigdy w życiu nie zdarzyło się, żeby jakiś służący chwycił ją w ten sposób. Nikt jej nawet nie dotknął. Chciała krzyczeć, ale zaskoczenie odebrało jej głos. Bardziej już zblednąć nie mogła, a powinna, bo nie tylko trzymał za nadgarstki, ale też ją objął, przyciskając do piersi, z całych sił, a potem wargami poszukał jej warg, nieomal doprowadzając ją do zapaści, a ona broniła się jak mogła przed tym niedopuszczalnym atakiem służącego, któremu już udało się sięgnąć jej pod spódnicę i wymacać udo, z myślą nareszcie, nareszcie.

– Teraz będziesz moja.

– Ty chyba zwariowałaś...

– Nie, nie zwariowałem – przerwał jej, pewny siebie. – Jesteś mi winna jeden numerek.

Jacinto Mas zdawał sobie sprawę, że Elisenda nie może krzyczeć ani wzywać pomocy. Szybciej by umarła z głodu, niż wystawiła się na pośmiewisko sąsiadów z Toreny. Dlatego mógł jej bezkarnie gmerać pod spódnicą, kiedy pytała czego ode mnie chcesz, i zaciągnąć ją na sofę, na której dwadzieścia sześć lat później usiadła Tina i spytała czy wie pani, gdzie mogę znaleźć jego córkę?

Tym razem to Elisenda starała się zatuszować zdziwienie i dopiero po chwili zapytała: – Jaką córkę?

– Jego córkę. Nauczyciel miał córkę, prawda?

– Skąd pani wie?

Przeżyła wtedy jeden z tych momentów, kiedy zdawało się jej, że stery świata wyślizgują się z rąk, kiedy czuła się bezbronna. Skąd ona wie, o co jej chodzi? Czego chce ta wścibska nauczycielka?

– Jeden numererek – nalegał Jacinto. – Jesteś mi to winna. – Beznamiętnym tonem, jakby rozmawiał z wałem korbowym: – Rozbieraj się, moja ukochana.

Puścił jej nadgarstki. Zdjął koszulę, spodnie i staroświecką bieliznę. Elisenda wyprostowana, oszołomiona, nie zareagowała. Jej szofer, człowiek wierny, niemy, mur, który ją bronił i osłaniał własnym życiem, demonstrował teraz swoje wstydliwe części we wzwodzie. Siadła, bliska omdlenia, na sofie. Dostrzegła coś nowego w spojrzeniu Jacinta, coś, co budziło lęk. Prawie taki sam, jak te anonimy z groźbami, które będzie czytać za parę miesięcy, siedząc na tej samej sofie. Spojrzała na nagiego szofera i nieobecna, obojętna, odruchowo pokręciła głową.

Służący, który został starannie dobrany w niespokojnych czasach po śmierci ojca i brata. Służący, który odpowiadał życiem za bezpieczeństwo panienki Vilabru, mężczyzna, który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę należał do niej, teraz, nagi, błagał o miłość, prosił o niemożliwą, śmieszna intymność. Przeszła do ataku: – Sam się pieprz. Prawda, że lubisz?

– Zdejmuj ubranie.

– Żeby mnie zgwałcić, musiałbyś mnie najpierw zabić.

Wstała i pokonując uczucie odrazy, podeszła do Jacinta, żeby odzyskać swoją pozycję, i powiedziała sam decyduj, albo mnie zabij, albo się ubieraj. Schowaj ten żaloszny brzuch i wynoś się z mojego domu, jeśli nie chcesz trafić do więzienia. Gdyby to ode mnie zależało, najchętniej w ogóle pozbawiłabym cię emerytury.

Członek Jacinta tchórzliwie się skurczył, bez porozumienia z właścicielem, kiedy tylko się zorientował, jak bardzo zmieniła się sytuacja między nim i panią domu.

Stara Ventura przesunęła opuszkami palców po wąsach na fotografii pożółkłej ze starości, a potem dotknęła wyrazistych oczu.

– Mój Joan. Nigdy nie widziałam tego zdjęcia. – Spojrzała na córkę. – A ty?

– Nie.

– Co tu piszą? – Stara oddała wycinek z gazety Tinie i czekając na jej odpowiedź, sięgnęła po filiżankę córki, żeby wdychać zapach kawy z przymkniętymi oczami. – Co tam piszą? – dopytywała.

– Że podobno bandytę Joana Esplandiu z domu Ventura z Toreny, znanego jako porucznik Marcó, widziano w Lleidzie.

– A o którym roku mowa?

– O maju tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego.

Stara Ventura ukradkiem spojrzała na córkę. Tamta zareagowała tak samo. Tina poczuła się wykluczona z rozmowy. Spróbowała się włączyć.

– Zaraz, zaraz, o co chodzi?

– Ojciec przychodził... No więc... – Ucięła zdecydowanie: – Mamo, lepiej do tego nie wracać.

– Dziecko, minęło pięćdziesiąt lat. Myślę, że trzeba o tym mówić.

– Odwiedzał was po kryjomu, prawda?

– Był tu dwa razy.

– Trzy – odgrzebała w pamięci stara.

– No tak, faktycznie, trzy – zgodziła się Cèlia. – Raz, kiedy zabili mojego brata, tuż przed inwazją w dolinie Aran, a drugi...

Cèlia Esplandiu wypila łyk kawy. Zastanawiała się, czy mówić dalej, czy dać sobie spokój. Wskazała zdjęcie: – Mój ojciec zaangażował się w organizację inwazji republikańskiej armii. Ale z powodu nieporozumień partyjnych odstawili go na boczny tor, zlecając mu uciążliwe, nieistotne obowiązki. – Jeszcze jeden łyk kawy. – Bardzo go to dotknęło.

– Inwazja od razu poniosła klęskę.

– Po dziesięciu dniach – przerwała jej stara, jakby do tej pory nie pogodziła się z tym, co zaszło: – Ale Joan należał do tej mniejszości, która uważała, że trzeba prowadzić wojnę podjazdową i nie dążyć do otwartej konfrontacji z wojskiem. Nie liczyli się z jego opinią, jak widać...

– Chyba podzielał poglądy anarchistów, prawda?

– Chyba tak – wtrąciła się córka. – Nie bardzo się na tym znam, ale wydaje mi się, że tak.

– A w pozostałych przypadkach po co przyszedł?

Matka i córka znów wymieniły spojrzenia. Matka dała znak Cèlii, żeby się nie ruszała, ona sama sprawdzi, co się dzieje. Podeszła do okna, a kiedy lekko rozchyliła okiennice, w szparze pojawiła się ręka. Wtedy Ventura otworzyła na oścież. Joan Ventura skoczył na środek jadalni, bezszelestnie niczym dziki kot. Ventura i obie dziewczynki, Cèlia i Rosa, patrzyły na niego w milczeniu, z nadzieją pomieszaną z lękiem, zwłaszcza Rosa.

– Rosa, to twój ojciec.

– Wszystko jest pod kontrolą – powiedział po cichu. Uścisnął żonę. Szybki, krótki uścisk, zbyt krótki, później chwycił Rosę, która wyslizgnęła mu się z rąk i pobiegła do matki, i zaraz potem objął Cèlię i ją najdłużej przyciskał do piersi, aż Ventura poczuła przypływ dziwnej zazdrości. Żeby tego nie widzieć, pochyliła się nad kuchnią i napełniła talerz gorącą zupą. Ventura zabrał się do jedzenia, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, przyłączyć się do pokonanej armii, zapewniając rodzinę, że to tylko na kilka tygodni, zaciągnąć się do partyzantki, gdzie natychmiast została doceniona jego świetna znajomość okolic, które od lat przemierzał wzdłuż i wszerz jako przemytnik, współpracować z francuskim ruchem oporu, stać się groźnym porucznikiem Marcó działającym w strefie, w której się urodził, wrócić za późno, tuż po śmierci zamordowanego syna, żeby go opłakiwać wraz z najbliższymi, i zniknąć bez słowa na kolejne dziewięć lat, jak kamień w wodę, by wreszcie pewnego pięknego dnia wskoczyć przez okno do mojego życia bez pytania o zgodę, a ja mam dla niego trzymać ciepły posiłek i podsunąć mu pełną miskę.

– Już myślałam, że nie żyjesz – powiedziała, wycierając ręce fartuchem.

– Ja też. – Uśmiechnął się do Cèlii. – Ależ one urosły. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął wymięty cukierek dla Rosy, która nie odważyła się po niego sięgnąć.

– Wróciłeś na dobre?

– Nie. – Spojrzał na dziewczynki. – Wyrosłyście na prawdziwe kobiety. Ile masz lat? – zwrócił się do Rosy.

– Czternaście.

– Cholera. Czternaście. – Z podziwem: – Czternaście?

– Po co przyszedłeś?

– Powiedz twojemu kuzynowi, że mu się zrewanżuję, jak to wszystko się skończy.

– Manel nie liczy na rewanż. Po co przyszedłeś?

– Żeby zabić Targę. Już wiem, jak to zrobić.

Bóg na niebie sprawił, pomyślała Ventura, że wreszcie nadszedł ten dzień. Jak mam pomóc, o Boże miłości, mojemu mężowi w zabiciu Valentína Targi, żeby móc zasnąć raz wreszcie bez widoku mojego Joaneta z jednym okiem przedziurawionym od kuli i z lękiem w drugim oku, a ja go nie obroniłam, o Boże miłosierny...

– Pomogę ci. – Głosem nieznoszącym sprzeciwu: – Dziewczynki, idźcie

spać.

Dziewczynki za bardzo się bały, za wiele się działo, żeby z nią dyskutować. Cèlia podeszła i przytuliła się do ojca. Wyciągnęła własne wnioski: – Będiesz tu jeszcze rano?

– Nie. Ale niedługo wrócę. Teraz już na dobre.

– Ale pani nie poszła spać? – Tina dopiero teraz spróbowała kawy. Równie znakomita jak poprzednio.

– Nie. Ani Rosa. Usiadłyśmy na schodach i słyszałyśmy wszystko.

Tina rozejrzała się po jadalni. Kątem oka dostrzegła za sobą włączony telewizor, bez dźwięku. Teraz nadawano transmisję z Indianapolis w rywalizacji na dystansie pięciuset mil. Popatrzyła na otoczony kamiennym murkiem ogródek za oknem, z mnóstwem kwiatów przypominających, że mimo smutnych historii z przeszłości pań domu, właśnie zaczynała się wiosna. W głębi, obok szopy, w której zapewne znajdowała się pralnia, na ogrodzeniu wisiało coś w rodzaju krzyża z palmowych liści, postrzępionego i wyblakłego, a nad nim przyczepiono jakiś dziwny kwiat, chyba sztuczny, żółto-niebieski, niby egzotyczna ryba. Cèlia wstała i wyłączyła telewizor. Wracając na swoje miejsce, wyjrzała na podwórko zamyślona i powtórzyła sama do siebie, jakby ponownie przeżywała tamten moment, że słyszała wszystko, bo siadła na schodach z Rosą, zamiast iść spać. Wszystko, o czym rozmawiali ze sobą mąż i żona, których spontaniczność wysuszyły lata cierpienia, aż przestali czuć możliwość czy potrzebę wzajemnej czułości, co innego zaprzętało im teraz głowę. Ważniejsze było wyciągnięcie kuli z oka syna niż wzajemne wsparcie.

– Nie porusza się po miasteczku bez obstawy.

– To wiemy. Pomogli mi go śledzić i znamy jego obyczaje. – Spojrzał jej w oczy. – Są takie sytuacje, gdy nie ma obstawy.

– Kiedy?

– Kiedy jedzie na dziwki albo kiedy załatwia brudne interesy. Tyle mogli mi pomóc. Dalej muszę sobie radzić sam.

– Teraz najbardziej by się przydała pomoc, Joan.

– Partyzantka... bardzo się zmieniła. Każdy działa na własną rękę. Pomógł mi Caracremada i jego ludzie.

– Dlaczego cię z tym zostawili samego?

– Bo to porachunki osobiste. Nie mogą narażać na niebezpieczeństwo życia innych. – Zamilkł, by po chwili, ścisząc głos, przyznać się do prawdy: – Chcę go zabić własnymi rękami. Nie chcę, żeby ktoś inny brał w tym udział.

– Ale ja ci pomogę – powiedziała Ventura bez zastanowienia. – Nawet gdybyś protestował. Bo chcę patrzeć z podniesioną głową na Burésów, na Cecilię Bäscones i na wszystkich Majalsów, którzy wycierają sobie gębę tym pieprzonym Franco, Hiszpanią, Falangą i wolą boską.

– W takim wzburzeniu na wiele się nie przydasz. – Uderzył się ręką w czoło i mówił dalej półgłosem, bo konspiracyjne obyczaje weszły mu już w nawyk. – Musisz działać na zimno.

– Zgoda. Nie będę się denerwować. Wcale. Ja tylko nie chcę, żeby tamci ludzie czuli się szczęśliwi, nie chcę, żeby się śmiali, żeby myśleli, że odnieśli zwycięstwo, i nie chcę, żeby się kryli za plecami Valentína Targi ani żeby patrzyli na mnie z góry, bo jestem żoną jednego z tych, których nazywają bandytami. Niech zobaczą, że Targa nie jest nietykalny.

Glòria Carmaniu bardzo się zmieniła. Kiedy w trzydziestym szóstym jej Joan, prawie bez pożegnania, wyruszał na front, żeby bronić Republiki, Ventura usiadła w kuchni przy piecu, patrząc nieprzytomnym wzrokiem, i miała zamiar tak czekać, aż wojna się skończy. Obudził ją głód trojga dzieci i zmusił do wyjścia na ulicę, gdzie patrząc we wdowie twarze innych kobiet, stawiała sobie pytanie dlaczego, na świętego Ambrożego, czemu Bóg, jeśli istnieje, pozwala, by Torena została bez mężczyzn. A teraz, kiedy tyłu z nich nie żyje, nie chcę, żeby ktoś patrzył na mnie z góry, bo jestem żoną jednego z tych, których nazywają bandytami.

– Zostaw w spokoju tych skurwysynów. Nie zwracaj na nich uwagi i rób swoje.

– Nie mogę, bo to przecież sąsiedzi. Nie da się o nich zapomnieć. Pomogę ci we wszystkim. Nawet nie próbuj mnie odwozić.

Porucznik Marcó spojrział w okno zasłonięte okiennicami. Zastanawiał się przez kilka sekund, myślał szybko, jakby właśnie planował ważną wojskową akcję.

– Bardzo dobrze, zgoda – powiedział w końcu. – Jutro o dziewiątej rano pójdziesz do baru Marésa i stamtąd zadzwonisz do Valentína. Przedstawisz się jako sekretarka pana Daudera.

– Tylko tyle?

– Nie: powiesz mu to.

Podał jej kartkę, którą wyciągnął z kieszeni.

– A ty?

– Będę na niego czekał. Jeśli zrobisz to, co mówię, wyjdzie z domu sam.

Valentí Targa wpatrywał się w obiektyw aparatu. Pstryk. Poprawił węzeł krawata. Jeszcze jedno zdjęcie, wzrok skierowany na prawo, w stronę zmarłych. Wtedy zadzwonił telefon. Cinteta z centrali połączyła go, wysłuchał w milczeniu, powiedział co oni sobie wyobrażają i odłożył słuchawkę z zafrasowaną miną. Jeszcze jedno zdjęcie i spojrzenie w prawo.

– Dokończymy jutro, teraz mam dużo pracy – odesłał fotografa.

Dwie minuty później, kiedy dzwonił na wieży kościoła Świętego Piotra wybił

dziewiątą, stawiała się w ratuszu pani Elisenda.

– Jakiś nieznajomy chce ze mną rozmawiać o Tuce.

– Z tobą? – zdziwiła się pani Elisenda. – Kto?

– Niejaki Dauder.

Pani Elisenda poczekała, aż fotograf zamknie za sobą drzwi gabinetu. Wtedy, wkurzona, spojrzała na burmistrza i zapytała z pogardą w głosie co ci właściwie powiedział. Tymczasem Glòria Carmaniu z domu Ventura piła wodę ze szklanki, którą podał jej sam Marés. Zaszło jej w gardle, kiedy już powiedziała mężczyźnie, z którym nie chciała nigdy więcej rozmawiać, że jest sekretarką pana Daudera z Lleidy i że szef go zaprasza na rozmowę do Sort za godzinę, w sprawie prawa własności do Tuki, że lepiej będzie dla niego, jeżeli się stawi, bo jak nie, wybuchnie skandal, i wystraszona odłożyła słuchawkę, zanim Valentí zdążył odpowiedzieć co oni sobie wyobrażają, rozłączył się z zafrasowaną miną i spojrzał w prawo, w stronę zmarłych.

Kiedy minął dwa pierwsze bliźniacze zakręty, wjechał na prostą drogę w kierunku Sant Antoni. Na końcu, tuż przed zakrętem Pendís, stał elegancki mężczyzna z urzędniczą teczką w ręce, o dziwo sam na oblodzonej szosie, i pomachał, energicznie i uprzejmie, dając Valentínowi znak, by zatrzymał swojego stromberga. Targa opuścił szybę.

– Pan Targa?

– Tak.

– Jestem Joaquim Dauder.

– Czy nie mieliśmy się spotkać w...

– Pan pozwoli... Zimno tu, co?

Pan Dauder już wsunął się do samochodu, obok kierowcy.

– To najlepsze miejsce do rozmowy o Tuce. Bez świadków.

– Niech pan posłucha, ja...

Valentí nigdy się nie dowiedział, jak to się stało: w jednej chwili został przykuty do kierownicy, z czarną gardzielą parabellum, model z tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego wbijającą się w skrzydełka nosa i podciągającą mu głowę do góry, i usłyszał głos, spokojny i stanowczy musiałem czekać dziesięć lat, ale uzbroiłem się w cierpliwość. Żeby zostawili moją rodzinę w spokoju, musisz umrzeć w wypadku, ale chcę, żebyś wiedział, że umierasza dlatego, że pewnego dnia zabiłeś mojego syna, Joana Esplandiu, małego Venturę, i zrobiłeś to w najgorszy z możliwych, tchórzliwy sposób.

– Ja nic nie zrobiłem... ja nie...

– Mimo że teraz noszę brodę, jestem Joan z domu Ventura.

– Ale przecież ja... ja naprawdę...

– Zjawiłem się za późno, bo dałeś mi tylko dwadzieścia cztery godziny. –

Uniósł lufą jego nos jeszcze wyżej. – A chciałem się ujawnić, żeby ocalić mojego Joaneta.

Valentí napięty jak struna nie śmiał się poruszyć, żeby nie sprowokować przypadkowego wystrzału. Kątem oka obserwował Venturę i odruchowo szarpnął kajdankami.

– Dwadzieścia cztery godziny! Musiało ci bardzo zależeć na zabiciu dziecka – mówił dalej Ventura. – Chciałeś przejść do historii. – Zamyślił się i kontynuował dopiero po dłuższej chwili: – Teraz mój Joan miałby dwadzieścia pięć lat. – W jego głosie zdrząła pojedyncza łza. – Umrzesz też za tych wszystkich sąsiadów, których wysłałeś na tamten świat.

– Ja... Takie były czasy...

– I za śmierć Fontellesa. Gdy tylko będę mógł, wyrwę te strzały z grobu nieszczęsnego nauczyciela.

Targa jęknął z bólu. Tamten osłabił nacisk lufy na nos.

– Dobrze wiesz, że nic mnie nie łączyło ze śmiercią obu Vilabré.

Valentí Targa nie odpowiedział. Porucznik Marcó skierował pistolet w górę.

– Byłem wtedy we Francji, szmuglowałem towar przez przełęcz Salau i ty dobrze o tym wiedziałeś.

Z gardła przestraszonego Valentína wydobył się chrapliwy jęk zamiast odpowiedzi. Joan Ventura kontynuował swój monolog: – Uwziąłeś się na mnie po tym, jak narozrabiałeś w Malavelli.

– To ty się na mnie uwziąłeś, przypomnij sobie.

Kiedy grupa z Caregue przeżywała kryzys z powodu zamaskowanych, którzy przepędzali ich z dotychczasowej trasy i odbierali im klientów, wbrew wszelkim zasadom panującym w środowisku przemytników, kozłem ofiarnym został jeden z młodych zastępców Lo Caregue, ich szefa, Valentí Targa z domu Roia z Altronu, który pomimo wyraźnych rozkazów poprowadził grupę dwunastu ludzi z bardzo drogim towarem przez wąwóz Port Negre, bo co mi tam jacyś zamaskowani, nikt mnie nie zatrzyma i nie zmusi do nakładania drogi, kiedy idę obładowany. Zamaskowani zabrali im towar i pogonili ich. Zrujnowali Lo Caregue, bo to był najcenniejszy ładunek, jaki kiedykolwiek sprowadziłem z Andory. Zniżając głos i piorunując go wzrokiem, powiedział rzygać mi się chce, Valentí, jak widzę takiego mięczaka, i żebyś mi tu więcej nie psuł powietrza swoim oddechem, po tym, jak przejechałeś mój towar, tym razem ci odpuszczę, ale masz trzy dni, żeby spierdalać stąd raz na zawsze, a gdybym cię tu jeszcze zobaczył, w Caregue, w Altronie, Sort czy gdziekolwiek powyżej Tremp, to przysięgam na świętego Serwacego i świętego Protazego, na Matkę Boską z Caregue, na świętego Józefa, na anioła, na wołu, na muła i na całą szopkę betlejemską, że cię zabiję, dość mam kłopotów z zamaskowanymi. A młody Targa, zimny jak lód, wykorzystał dwa z tych dni na przeszukanie przełęczy Port Negre od góry do dołu, aż rankiem drugiego dnia w spichlerzu

Palanki znalazł pewien błyszczący, czerwony, metalowy przedmiot, który zmieścił mu się w dłoni zaciśniętej ze złości. I stał tam przez godzinę, oddychając głęboko, pozwalając, by metal zostawił ślad na jego ręce, aż kości nasiąknęły nienawiścią. I wrócił do Altronu, bo czekało go dobrych parę godzin drogi; chciał tam dotrzeć, kiedy już będzie ciemno.

– Zniszczyłeś moją rodzinę z powodu Malavelli – powtórzył z naciskiem Ventura.

– Dogadajmy się – zdołał w końcu wykrztusić Valentí Targa. I dodał, co przez to rozumie: – Mam pieniądze.

Porucznik Marcó przestał się znęcać nad nosem więźnia. Schował pistolet do kieszeni i otworzył teczkę.

– Nie ma o czym mówić. Dogadamy się tak, jak się dogadałeś z moim synem.

– Pieprz się, Ventura.

– Ty pierwszy.

Zamiast wyciągnąć z teczki akt notarialny czy potwierdzenie prawa własności do Tuki, Joan z domu Ventura wyciągnął białą szmatkę, w którą zawinięte miał coś, co przypominało ampułkę zastrzyku. Rozgniół ją w palcach i zbliżył szmatkę do ust i nosa Valentína, który rzucał się rozpaczliwie i odgrażał się jeszcze mnie popamiętasz, zapłacisz mi za to, patrząc na niego z nienawiścią, aż wreszcie oczy mu zbieleły, głowa opadła i zasnęła słodko. Joan Ventura natychmiast go rozkuł, oparł mu głowę na kierownicy i ostrożnie, ale bez pośpiechu, wiedząc, że ma dużo czasu, zanim będzie tędy przejeżdżał mleczarz Tori, zwolnił ręczny hamulec i wysiadł z samochodu. Musiał go popchnąć, mimo że stał na pochyłości. Stromberg wykonał elegancki skok, dokładnie według planu, jak zawsze wtedy, kiedy człowiek wszystko dobrze przygotowuje. Ciąg dalszy przebiegał dokładnie tak, jak przewidział porucznik Marcó. Najpierw skok po łuku, pierwsze uderzenie, stłuczone szkło i wygięta karoseria, trzy koziołki i pocałunek śmierci przy zetknięciu z murem retencyjnym, który głośno przywoływał go do siebie. Hałas towarzyszący kolizji rozpląnął się w bezkresnym pejzażu doliny Àssua. Ventura pobiegł ścieżką, którą wcześniej wypatrzył, i trzy minuty później już stał przy kupie złomu. Uwięziony i ranny Valentí patrzył na niego, prosząc o pomoc, a kiedy sobie uświadomił, z kim ma do czynienia, błagał o litość, zanim zapadł w sen. Nie powinien się obudzić, tylko taka myśl przyszła do głowy porucznikowi Marcó. Powinien umrzeć w trakcie upadku. Wsadził ręce do środka, chwycił głowę Valentína, jakby ważył arbuza, i mocno przekręcił. Chyba już. Dość. Możesz teraz spać spokojnie, synku.

Dwie minuty później jechał na swoim guzzi, oddalając się od zakrętu Pendís, od drogi do Sant Antoni i od piekła. Kiedy ciężarówka z mleczarni nadjechała

tą samą drogą z przeciwnego kierunku, przestraszony Tori wysiadł na widok przewróconego samochodu, który się rozbił o betonowy mur na zakręcie, i przyjechał do miasteczka zawiadomić o wypadku a ja wiedziałam, że od tego momentu mogę spać spokojnie, bez obrazu biednego Joaneta przyklejonego pod powiekami. Boże, w swojej dobroci naprawiłeś to, do czego dopuściła twoja niegodziwość.

– Pani nie wierzy w Boga, prawda?

– W życiu nie słyszałam równie głupiego pytania.

– Dlaczego?

– Myśli pani, że matka, której zabito syna, może wierzyć w Boga?

– Przepraszam, nie chciałam...

– Dlaczego interesują panią sprawy, które już zostały głęboko pochowane? – zapytała Cèlia.

– Ze względu na nauczyciela.

– O co chodzi z tym nauczycielem?

– Chcę wiedzieć, jak umarł.

– Chce pani wiedzieć, jak umarł nauczyciel.

– I chcę wiedzieć, jak umarł pani mąż.

– Mój mąż nie umarł. Zaginął. – Sięgnęła po filiżankę córki i znów powąchała. – Na szczęście przeżył Valentína.

– Kiedy go zapytałam, czy jutro jeszcze tu będzie, ojciec odpowiedział nie, ale niedługo wróć. Teraz już na dobre.

– I tak się stało?

Stara Ventura sięgnęła po filiżankę córki, teraz ponownie napełnioną kawą. Milczała, słuchając uważnie, co powie Cèlia.

– Tak, powiedział prawdę. Szybko wrócił, po raz trzeci.

Tina zwróciła uwagę, że tym razem matka i córka nie patrzyły na siebie. Milczały wszystkie trzy, każda z nich zajęta myślami inkrustowanymi smutkiem. Nagle stara Ventura uderzyła laską w ziemię.

– Co pani chciała wiedzieć o tym skurwysynie nauczycielu?

– To było pięćdziesiąt siedem lat temu.

– Choćby minęło i tysiąc, dla mnie zawsze będzie skurwysynem. Co pani chciała wiedzieć?

– Jak umarł.

– Bardzo się ucieszyłam, gdy o tym usłyszałam. Bardzo. Został prawą ręką Targi i podsłuchiwał dzieci.

– Wie pani, jak umarł?

– Ovidi Tomàs wpadł, ponieważ nauczyciel usłyszał, jak jego dzieci rozmawiają, że ojciec ukrywa się w domu Barbal. – Kontynuowała na jednym oddechu: – I puszył się jak paw w tym pieprzonym mundurze.

– Ja tylko chcę wiedzieć, jak umarł.

Stara Ventura spuściła głowę. Może poczuła się zmęczona. Córka ujęła ją za pomarszczoną rękę i patrząc mi w oczy, powiedziała po cichu oddział partyzantów zaczął się na niego któreś nocy. Dzięki nim został męczennikiem i faszystowskim bohaterem. Mamy go powyżej uszu, od trzydziestu lat ta przeklęta dewotka z domu Gravat, która całymi dniami liże Bogu tyłek, chce z niego zrobić świętego.

– Dlaczego?

– Ba. Fanaberie bogaczy. I dopnie swego, jestem pewna.

Tina zapytała ostrożnie, czy znają kogoś, kto widział tę śmierć, jakiegoś partyzanta, który przy tym był... Wtedy stara znów włączyła się do rozmowy. Wpatrując się w dno filiżanki po kawie córki, powiedziała: – To jacyś czterej nieznani mężczyźni, ci partyzanci. Jeśli chce pani wiedzieć, co tam się wydarzyło, niech pani rozmawia z tymi, którzy walczyli po przeciwnej stronie.

– Tak... Ale...

– Nauczyciel i Valentí Targa nie poruszali się sami po mieście. Zawsze im towarzyszyli przynajmniej obaj sekretarze Targi. Nie wiem, jak się nazywają. – Wzięła oddech. – W ratuszu muszą to wiedzieć.

– Ależ mam, jak mama chce, żeby...

– W ratuszu. Targa ich tam zarejestrował jako woźnych. Czyli że my sami opłacaliśmy naszych katów.

– Oriol Fontelles współpracował z pani ojcem w partyzantce – powiedziała Tina, zwracając się do Cèlii. – Mówili na niego Eliot.

– Eliot był bohaterem – oburzyła się stara. – Niech pani nie opowiada głupot.

– Eliot był nauczycielem w Torenio. To Oriol Fontelles – upierała się Tina.

– Proszę natychmiast opuścić ten dom.

Tina wstała, ale jeszcze się nie poddawała:

– A Ventura? Kiedy pani mąż wrócił po raz trzeci?

– Powiedziałam już, że ma się pani stąd wynosić.

Kogo to obchodzi, kim był naprawdę Oriol Fontelles? Tylko mnie. Nikogo więcej. Może chciałaby to wiedzieć również jego córka. Albo raczej jego syn Joan, jeśli przeżył. Nie: w ludzkiej pamięci też powinna się zachować prawda o tym, kim był Oriol Fontelles. Bardzo ciekawe, dlaczego zwykła nauczycielka, która ma problemy z piersią, problemy z synem, problemy z mężem i problemy z nadwagą, zamienia się w detektywa i podąża tropem zapoznanego bohatera, a może niegodziwca, i kim jest ta kobieta, która odebrała mi szczęście. I dlaczego.



- Niech mi Bóg, jeśli istnieje, wybaczy, ale nad tym nagrobkiem pracuję z radością w sercu. Szkoda, że nie wcześniej, Jaumet. Zostawiam ci wykończenie. To będzie twoja ostatnia praca przed wojskiem.
- Nie mów do mnie Jaumet. Przynajmniej nie przy kolegach. A zwłaszcza nie przy Rosie Venturze.
- To jeszcze dziecko.
- Nie takie dziecko: będzie miała z piętnaście lat.
- Zgoda. Masz. Cała płyta dla ciebie. Jak dla mnie, możesz nawet pisać po łacinie, cholera.
- On był z Altronu, tak?
- Tak, z domu Roia, owszem. Ale mi dziś wesoło.
- To dlaczego chowają go w Torenie?
- Pewnie chce tu przypilnować tych, których uśmiercił.

V

Kindertotenlieder

Czasem myślę, że wyszły tylko na chwilę.
JOHANN MICHAEL FRIEDRICH RÜCKERT

Wspólne przyjęcie dla wszystkich delegacji w sali audiencyjnej. Pomiedzy grupami czuć wzajemną nieufność. Mistrz ceremonii oznajmia, chyba po polsku, że Ojciec Święty od razu przyjmie wszystkich tu obecnych na audiencji: proszę nie klaskać, nie krzyczeć, nie wykonywać gwałtownych ruchów, które mogłyby zaniepokoić Jego Świątobliwość. A następnie, po zakończeniu audiencji zbiorowej, tymi schodami albo rampą uda się na górę pięć rodzin, które zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami dostąpią zaszczytu osobistej rozmowy z Jego Świątobliwością. Jakies pytania? Nie? Więc powtarza to samo po japońsku, a następnie w pozostałych językach, kompromitując się za każdym razem słabą ich znajomością.

Jakie to emocjonujące widzieć papieża z tak bliska, bo w bazylice to trochę jak na stadionie. Bardzo sympatyczny, a popatrz, taki starowinka, biedaczek. Tak. Prawie nic nie rozumiem. To dlatego, że teraz mówi po japońsku. Ślina mu cieknie. Nie, to Cecylii Bäscones cieknie ślinka.

– Nie żebym krytykowała, ale po przepychu, z jakim kanonizowali don Josemarię, teraz spodziewałam się czegoś więcej, bo ja wiem.

– Kobieto, nie ma porównania: pięcioro naraz, i tylko beatyfikowanych.

– Ale to męczennicy.

– Święta racja.

Po mowie Jego Świątobliwości, kiedy przychodzi kolej na rodziny, przyprowadzają pomarszczonego staruszka, który drży z lęku i klęka przed Summus Pontifex. Z uśmiechu papieża ci, którzy znają się na rzeczy, wnioskuje, że to ktoś z rodziny polskiego żołnierza zamordowanego przez hordy. Może jego młodszy brat. Albo syn. Albo bratanek. Czy coś w tym rodzaju. Od nich niczego się nie dowiesz, bo ci Polacy nie mówią żadnym ludzkim językiem, niebożęta.

Następna jest afrykańska zakonnica, a zaraz po niej kobieta z bardzo ciemną twarzą i szronem na włosach, która porusza się na wózku inwalidzkim, siostra czy może ciotka tamtej zakonnicy zamordowanej przez hordy. Kiedy podjeżdża sparaliżowana staruszka, papież robi taki gest, jakby chciał zejść z tronu, na co natychmiast lekarz w komży i pelerynce reaguje tak zdecydowanie, że Ojciec Święty posłusznie rezygnuje.

Później przychodzi kolej na damę w czerni, elegancką, szczupłą, w ciemnych okularach i w butach ze srebrnymi sprzączkami, która mocno dzierży torebkę z czarnej skóry i która teraz po raz drugi w życiu klęka przed mężczyzną. Papież się pochyla z gotową formułką, ale ona już zaczęła mówić do niego po cichu i Ojciec Święty, najpierw trochę zaniepokojony, ale później z zainteresowaniem słucha tego, co ma mu do powiedzenia ta dama; po dwóch minutach rozmowy wszyscy zgromadzeni zaczynają wymieniać zaniepokojone spojrzenia, skonsternowani, bo na miły Bóg, tego nie przewidziano. Trzy minuty. Lekarz w komży patrzy na kamerlinga, który robi wielkie oczy na znak, że nie ma

pojęcia, co się dzieje, a po czterech minutach zaczyna mówić papież i lekarz w komży musi się odsunąć, żeby nie podsłuchiwać. Oni sobie gadają w najlepsze, a nas nikt nie pyta o zdanie. Kim jest ta pani? Nie wiem. To na pewno siostra. A może wdowa. Tak, bo błogosławiony Fontelles miałby teraz nie wiem ile. Osiemdziesiąt pięć lat miałby nasz błogosławiony. Zapytaj księdza Relli. A ja wiem, kto to jest – retinopatia proliferacyjna z powikłaniami – jak przestaniecie gadać, to wam powiem.

– Co mama tam robi? Co za bzdury plecie?

– Cicho, wszyscy cię słyszą.

– Zawsze musi wykręcić jakiś numer. Nie uprzedziła cię?

– Mnie? Nie rozmawiamy ze sobą już z tysiąc lat, kochanie.

Pięć minut. Pięć minut prywatnej rozmowy między Ojcem Świętym i panią Elisendą. Kiedy wraca na swoje miejsce, ambasador patrzy na nią z jeszcze większym szacunkiem. Ona, za ciemnymi okularami, wspomina sprawy, które buzują w jej głowie i które teraz wróciły podczas rozmowy z papieżem. Wspomina decyzję, którą podjęła w czasie pogrzebu Oriola: nie uzależniać się nigdy od nikogo poza sobą samą. Za wszelką cenę. Przypomina sobie matkę Venàncię i jej surowe nauki córko, Pan Bóg dał ci życie trudniejsze niż innym panienkom z pensji, bo wychowujesz się bez matki. A stryj August? Bez matki, moje dziecko. A to znaczy, że czuję się w obowiązku, żeby zająć jej miejsce teraz, kiedy kończysz siedemnaście lat i opuszczasz pensję z zamiarem życia jako wzorowa chrześcijanka, dobra żona i matka rodziny, a twoi rodzice nie mogą ci powiedzieć tak rób, a tak nie rób, bo twój ojciec nie ma do tego głowy. A stryj August, matko Venàncio? To co innego, dziecko, córko. Musisz wiedzieć, że mężczyzna to twój wróg, bo oni wszyscy dążą tylko do jednego i tylko to jedno im w głowie.

– Co, wielbna matko?

– Tylko to jedno.

– Ale co?

– To jedno. – W rozmównicy zapanowała cisza. Walizka uczennicy Elisendy Vilabru Ramis (celujący z religii, z arytmetyki, geografii i historii, dobry z języka, łaciny i przyrody, i dostateczny z kroju i szycia i z gimnastyki) stoi tuż przy jej nogach jak pies Queta, kiedy się zmęczy zaganianiem krów na łące w pobliżu Sorre. Matka Venància nie wie, jak ma powiedzieć jej to, co trzeba powiedzieć, bo ona nie jest matką. Wreszcie w sposób możliwie ogólny mówi, że to ma związek z miesiączką.

– Miesiączka? Mężczyźni chcą mieć miesiączkę? – Elisenda stuknęła nogą w podłogę. – Mogę ją im w każdej chwili sprezentować.

– Nie, córko, to tylko taki symbol.

Matka Venància nie potrafiła wybrnąć z sytuacji. Udało się jej tylko

wytłumaczyć, że ma się strzec mężczyzn jak grzechu, nie słuchaj tego ich uwodzicielskiego słodkiego głosu, a zwłaszcza nie patrz w ich oczy bez dna i nie zwracaj uwagi na ich ładne dłonie, rozumiesz mnie, córko? I wiedz jeszcze, że kiedy przyjdzie czas na małżeństwo, wtedy powinnaś podporządkować się temu, kto zostanie twoim mężem. Jak powiedział ojciec Ossó, szczęście małżeńskie bierze się z zaakceptowania przez kobietę przypadającej jej roli osoby podporządkowanej, aby mogła wesprzeć męża w realizacji jego planów. Mam nadzieję, córko, że mnie rozumiesz.

Coraz gorzej jej szło. Może dlatego przerzuciła się na teren, gdzie czuła się pewniej, i oświadczyła, że szczęśliwa kobieta to kobieta pobożna, która nie zaniedbuje codziennej modlitwy, która często chodzi do kościoła, która potrafi odróżnić dobro od zła, bo dąży do dobra ostatecznego. Która dziękuje Bogu za jego liczne dary i troszczy się, by one zaowocowały.

– Czy to grzech być bogatym?

– Co też ty mówisz, dziecko? Wręcz przeciwnie: ludzie bogaci mogą czynić dobro, mogą pomagać swoim braciom...

– A ta przypowieść o wielbłądzie i uchu igielnym?

– Daj sobie spokój z przypowieściami: ty masz możliwość czynienia dobra, czyli również obowiązek, by do niego dążyć.

Zamilkły. Samochód pewnie już czekał i Elisenda poczuła jakiś dziwny dreszcz. Spojrzała matce Venàncii w oczy. Tamta pojęła, że wreszcie skończył się pobyt na pensji dla tej enigmatycznej, sprytniej, milczącej, twardej, żwawej, ładnej, bogatej, dobrze urodzonej, dumnej i zdystansowanej dziewczyny. Byłaby z niej dobra zakonnica. A przynajmniej znakomita matka przełożona. Nie odstępować od zrobienia tego, co powinnaś zrobić, jeśli uważasz, że tak zrobić powinnaś, powiedziała na koniec, nie wiedząc, że właśnie wypaliła ogniem, w tej delikatnej duszyczce, dewizę, którą tamta zapamiętała na całe życie.

Po pogrzebach Santiaga i Valentína Targi, kiedy Marcel znów wrócił do internatu, Elisenda Vilabré siadła przed portretem, który jej namalował Oriol, żeby sobie wszystko przemyśleć. Tak jak obiecała gubernatorowi cywilnemu, nazajutrz po nieoczekiwanej śmierci burmistrza Toreny zjawił się chętny do sprawowania tej ważnej funkcji publicznej. Pere Cases z domu Majals zgłosił się na ochotnika ciągnięty za uszy przez panią Elisendę i wygłosił krótkie, bardzo wzruszające przemówienie, w którym wychwalał zalety swojego poprzednika i obiecał, że będzie kontynuować jego dzieło, potem nieco się zapędził, dywagując na temat możliwości rozbudowy miasteczka na stoku Torre, ale wystarczyło jedno ostrzegawcze spojrzenie pani Elisendy jeszcze o tym porozmawiamy, co trzeba zrobić w Torenie, ona ma własne plany, i natychmiast zrećcznie zmienił temat i zakończył, obiecując, że zawsze będzie wiernie służył miastu, prowincji i Hiszpanii, i z entuzjazmem w oczach zawołał niech żyje Hiszpania, niech żyje Franco i jeszcze wiwat Hiszpania.

Jedna sprawa załatwiona. A teraz don Nazario Prats.

– Powiedziałam panu na pogrzebie mego nieodżałowanego męża, że chcę dostać jego udział.

– Udział w czym?

W Gubernaturze Cywilnej w Lleidzie musiano zmienić porządek audiencji u gubernatora, ponieważ do gabinetu don Nazaria wdarła się jakaś pani, owszem, ładna, ale bardzo niecierpliwa, grożąc denuncjacją i powołując się na swoją przyjaźń z ministrem Navarretem, no i don Nazario ją przyjął i rozmawiają tak już dwie godziny. Zapisz sobie nazwisko tej pani, to musi być ktoś ważny.

– Udział w zyskach z wysłania trzydziestu ton amerykańskiego mleka w proszku na Maltę za niebotyczną cenę.

– Proszę pani, jest pewien problem...

Chyba jeszcze wyładniała, od kiedy została wdową, no nie wiem. Przeleciałbym ją bez namysłu.

– Jaki problem?

– Agustín Rojas Pernerera.

W środę trzydziestego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego, o jedenastej rano, w gabinecie gubernatora cywilnego Lleidy, z portretem caudilla na ścianie, obok portretu José Antonia, z eleganckimi ciemnymi zasłonami przy oknie balkonowym, pani Elisenda Vilabré udowodniła, i mam nadzieję, że nie będę musiała tego powtarzać, że to, co ona powie, jest święte. Na oczach zaniepokojonego don Nazaria podniosła słuchawkę i zażądała, by ją

połączono z ministrem Navarretem, a dwie minuty później przerażony gubernator cywilny Lleidy usłyszał, jak dama mówi witaj, Ricardo, co u ciebie. Tak, dziękuję. Tak, niespodziewana śmierć, biedny Santiago. Właśnie chciałam ci powiedzieć... Tak, chodzi o sprawę, którą zostawił niedokończoną, tak. Tak. Poważna przeszkoda. Tak. Agustín Rojas Perner, delegat na obszar prowincji Lleida z ramienia Wertykalnego Syndykatu. Właśnie działa na moją szkodę. Zgoda, jeżeli nabierze rozumu, nie mam nic przeciwko temu, żeby został na swoim stanowisku. Dziękuję, Ricardo. A co słyszać u Felisy? Ciesz się. Ja też za wami tęsknię. Tyle lat minęło od czasów San Sebastian, ale ciągle mam was w sercu. W przyszłym tygodniu będę w Madrycie, tak. Będziemy w kontakcie. Pa, Ricardo.

Odłożyła słuchawkę, spojrzała na zegarek, potem na gubernatora don Nazaria Pratsa. Powiedziała za pół godziny wszystko będzie załatwione. Sześćdziesiąt procent dla mnie. Bez mojej interwencji nie dostałby pan nic.

Miękka, spocona ręka gubernatora spoczywała na biurku, gdzie poza prawie pełną popielniczką stał tylko wspaniały srebrny zegar podtrzymywany przez dwa rozjuszony słonie, które wznosiły trąby na przekór upływowi czasu.

– Ilu pani zna ministrów, pani Vilabru?

– Ministrów i przyszłych ministrów. Zgadza się pan na sześćdziesiąt pięć procent?

Pół godziny później delegat na obszar prowincji Lleida z ramienia Wertykalnego Syndykatu, don Agustín Rojas Perner, dzwonił do don Nazaria zmartwiony i skruszony, żeby mu powiedzieć słuchaj, przyjacielu, bardzo mi przykro z powodu nieporozumienia. Oczywiście, co twoje, to twoje. Jasne, że pani Vilabru ma do tego święte prawo. Jeszcze dziś wszystko załatwię: wezmę sobie tylko prowizję trzy procent od... Ale pani Elisenda, która śledziła rozmowę przy drugim aparacie, odezwała się Agustín, nie takie otrzymałeś rozkazy. Pożegnaj się z myślą o prowizji albo złożę formalny donos u twojego ministra.

Ani prowizji, ani niczego. I siedemdziesiąt procent dla niej. Tamtego trzydziestego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego, tuż przed czterdziestką, Elisenda Vilabru uświadomiła sobie, że właśnie okryła styl, ton i sposób, jak sobie radzić w życiu, pod warunkiem że nie cofnie się przed niczym. Ostrożnie, niczym doświadczony myśliwy, odczekała kilka miesięcy na wypadek, gdyby wyskoczył gdzieś z krzaków jak zając niejaki Dauder. Kiedy już się upewniła, że nie ma niebezpieczeństwa, przystąpiła do finalizowania projektu Tuca Negra.

– Płacę gotówką – powiedziała.

Ignasi z domu Parache kombinował, że jeżeli pani Elisenda kupowała, nie

targując się przesadnie o cenę, musiała mieć na oku jakieś zyski, których on nie potrafił dostrzec, i to go wkurzało. Sprzedał spory kawałek Tuki z mieszanymi uczuciami i kręcąc nosem. Trzej inni właściciele też się krzywili, ale wyciągnęli rękę po pieniądze. Piątym był Rafel Agullana, mówili na niego Burot, kuzyn Burésów, który od lat mieszkał w Lleidzie.

– Nie.

– Dobrze ci zapłacę.

– Po co ci to? Z tej góry nie ma żadnego pożytku. – W czerni ta kobieta wyglądała jeszcze atrakcyjniej.

– To mi ją sprzedaj.

– Podzielmy się tym tortem po połowie. Wszystko jedno w jaki sposób. – Czterdzieści lat? Nie dałbym jej tyle. Co za elegancja.

Gabinet Burota może nie był tak przestronny, ale na pewno lepiej oświetlony niż ten gubernatora, a nawet stało w nim pięć półek z książkami skazanymi na dożywotnie nieotwieranie. Przeciągnęła palcem po blacie, jakby sprawdzała czystość. Spojrzała Burotowi w oczy, a on wytrzymał jej spojrzenie. Można powiedzieć, że każde z nich miało na myśli inny tort. Dobrze sobie przekalkulowała ten ruch. Nie odstępować od zrobienia tego, co powinnaś zrobić, jeśli uważasz, że tak zrobić powinnaś. W gabinecie adwokata Agullany, naprzeciwko Paerii w Lleidzie, uśmiechnęła się do swojej ofiary, wstała i wyjrzała przez okno balkonowe. Zdjęła łańcuszek z szyi i schowała do torebki, obserwując gołębice na placu, a wtedy, bez uprzedzenia, odwróciła się w jego stronę i rozpięła czarną bluzkę. Bieliznę też nosiła czarną. Zręcznym ruchem uwolniła białą pierś i wycelowwała sutek w Burota. Oszołomiony Burot zrobił wielkie oczy; nie mógł oderwać wzroku od różowego sutka. Dopiero po dłuższej chwili Agullana spojrzał w stronę drzwi, znów skierował spojrzenie na pierś, na drzwi i wskazał je ręką, jakby chciał powiedzieć, że... ale ona odpowiedziała po cichu nie zamykaj, tak jest bardziej ekscytująco, a on przyssał się do piersi, bo już dłużej nie mógł wytrzymać, i wtedy przytuliła go czule, wiedząc, że każde pieszczotliwe przeciągnięcie ręką po łysiejącym czole Agullany przekłada się na kolejny hektar dla niej.

Usłyszeli delikatne pukanie do drzwi w momencie, kiedy próbowała uwolnić drugą pierś, aby włączyła się do walki. Stanowczym gestem, który potwierdzał fakt, że już będzie jej jadł z ręki, wskazała Agullanie, żeby skupił się na obowiązkach, a on powiedział wejdz, Carme. Ona tymczasem narzuciła na siebie żakiet i przykryła nieporządek aktówką.

Carme przyniosła do podpisania dokumenty wychodzące, a on pluł sobie w brodę, że przykazał jej, by mu je dostarczyła, gdy tylko będą gotowe. Kiedy sekretarka wyszła, Elisenda odłożyła aktówkę na biurko. Czekająca, eksponując wymiętoszoną pierś.

– Nie sprzedam – powiedział Agullana. A ona zaczęła się śmiać z taką

pewnością siebie, że Agullana się przestraszył.

– Zostało jeszcze sporo terenu do eksploracji – powiedziała, wskazując swoje ciało.

– Tutaj się nie da. Nie mogę się skoncentrować.

Pani Elisenda otworzyła torebkę i wyjęła klucz z breloczkiem, na którym widniał numer pokoju i nazwa hotelu. Poprawiła bluzkę, wstała i już wychodząc, nie odwracając się, poinformowała go: – Za pół godziny.

W błogosławionym hotelowym pokoju Rafel Agullana przeżył najbardziej ogniste popołudnie w swoim życiu, zdobywając nie szczyt Montsent ani żadną z gór w Serra d'Altars, lecz legendarne i jak dotąd nieosiągalne ciało pani Elisendy z domu Gravat z Toreny, a to warte było lasu Pardiner i stoku Grossa, dobrze zresztą opłaconych. Oddałby i więcej, gdyby tylko miał, bo Rafel Agullana, mężczyzna rozrywkowy, ściskając piersi Elisendy, czuł się panem świata, obu półkul, i rosnącego prestiżu, na jaki ciężko pracowała ta niezwykła kobieta, a jedynym mankamentem było to, że znajomi mu nie uwierzą, że naprawdę ją posiadał.

Kiedy wrócili do gabinetu, żeby sformalizować operację, Agullana się przestraszył i znów zaczął się upierać, że nie może sprzedać, że najpierw musi porozmawiać z żoną.

– Nie. Albo mi sprzedasz natychmiast, albo ja porozmawiam z twoją żoną.

– Ja też mogę mówić.

– Ja nie mam męża, do którego mógłbyś pójść na skargę.

Operacja została sfinalizowana tego samego popołudnia i nawet od razu załatwili sprawę z notariuszem.

Gdy wyszła z gabinetu, Rafel Agullana siedział dobry kwadrans, gapiąc się w drzwi, zmieszany, wypatrując czegoś w oddali, i zastanawiał się, co zrobił dobrze, co zrobił źle, czy było warto, a przede wszystkim, co tak naprawdę się wydarzyło tego popołudnia.

Sceneria jedyna w swoim rodzaju. Zgromadziła ich wszystkich w domu Gravat, na swoim terenie. Służba, pod czujnym okiem Ció, następczyni nieodżałowanej Bibiany, spędziła dwa dni, ścierając nieistniejące kurze. Kazała przynieść trójwymiarową mapę, której wykonanie zleciła wcześniej Valentínowi, pod pretekstem, bardzo zresztą przekonującym z punktu widzenia katastru, doniosłości dokładnej dokumentacji morfologii terenu w strefie, w której, tak między nami, obecność partyzantki ciągle jest problemem, i wynajęła pojętnego, ambitnego kartografa. Udała się również do piwniczki w towarzystwie Ció, żeby się upewnić, że nikt nie wypił pięciu butelek châteauneuf, na wszelki wypadek przygotowała pięć pokoi gościnnych, a kiedy zostały jeszcze trzy dni, usiadła przed wygaszonym kominkiem, by czekać na

przyjazd Szwedów.

Pani Elisenda sięgała wzrokiem daleko, jakby miała ukochany pejzaż przed sobą, kiedy kartograf wyjaśniał jej ze szczegółami, gdzie przebiegają granice jej posiadłości na całej górze Tuca Negra, tu, do tego jaru, łaskawie rzuciła okiem na dokumenty, które przygotował adwokat Gasull, bardzo zdenerwowany, bo właśnie debiutował w prowadzeniu spraw międzynarodowych jaśnie pani, pokazała kupującemu wszystkie akty własności, znów sięgnęła wzrokiem w nieskończoność, kiedy adwokat omawiał warunki spłaty, i poczuła się szczęśliwa, spełniona, na właściwym miejscu, kiedy herr Enqvist oświadczył, że cena wydaje mu się rozsądna. Poza tym, że tą transakcją właśnie potwierdziła swój status właścicielki jednej z największych fortun w kraju, spontanicznie zastosowała strategię, którą bez skutku próbowali przeforsować Ignasi z domu Parache i Rafel Agullana, choć wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

– Powiedz im, że jestem gotowa poważnie obniżyć cenę w zamian za udział w zyskach.

– Wiesz, co oni tam chcą robić?

– Stację narciarską.

– Zrzuńniją się. Ci faceci uważają, że tutejsi ludzie tak się fascynują narciarstwem jak Szwedzi.

– Proszę, żebyś się ograniczył do przedstawienia im mojej propozycji – upomniała młodego adwokata, uśmiechając się do Szwedów. – Myślenie i decydowanie zostaw mnie.

Przy herbatce, którą Szwedzi wychwalali za zapach i kolor, rozmowa toczyła się o wszystkim, tylko nie o tym, co właśnie sfinalizowali: o sprzedaży całej Tuki i o osobistym udziale pani Elisendy Vilabré Ramis, sporo uszczuplającym dochody akcjonariuszy firmy Frölund-Pyrenéerna Korporation. Mecenase Gasull, z herbatnikiem w jednej ręce, dwoił się i troił, pełniąc funkcję tłumacza. Ona jest zachwycająca, taka pogodna, taka pewna siebie mimo młodego wieku, bo wydaje mi się, że jest jeszcze przed czterdziestką, a jednocześnie taka lodowata, myślenie i decydowanie zostaw mnie, na dystans, jak bogini, nawet nie zauważa, że jestem tu przy niej, gotów na wszystko, zawsze do usług. A nawet, niech Bóg broni, gotów byłbym dla niej naruszyć prawo. Trzydzieści dziewięć lat i już jest królową. Gdziekolwiek się znajdzie, jest jak królowa. Moja królowo. Zawsze będę ci wierny.

Telefon dyrektorki internatu trafił na najgorszy możliwy moment. Kiedy herr Enqvist i herr Ahnlund rozważali możliwość przenocowania w domu Gravat i dojazdu na lotnisko następnego dnia taksówką, ni z tego, ni z owego dzwoniła ta

cała pani Pol, zaniepokojona i zmartwiona dziwnym zachowaniem jej syna, który stroni od ludzi. Nic nie robi, nie przykłada się do nauki, nie chce się bawić i całymi dniami gapi się w okno, no, naprawdę nic go nie zajmuje.

– Co pani radzi?

– Niech go pani natychmiast stąd zabierze.

– Przepraszam, ale ja teraz...

– Niech się zastanowię... Czy on bardzo go kochał, mam na myśli swojego ojca?

– Tak, oczywiście.

– Może to go dotknęło bardziej, niż można było się spodziewać.

– Bardzo możliwe. Może go pani poprosić do telefonu?

– Nie ma go tutaj. Jestem sama w gabinecie.

Na potwierdzenie słów dyrektorki do uszu Elisendy dotarł męski kaszel po drugiej stronie kabla telefonicznego.

– Dobrze – odpowiedziała znużonym głosem. – Zajmę się tym.

Kiedy wróciła do salonu, jednym rzutem oka oceniła sytuację: Szwedzi zostają na noc, a Gasull się spieszy.

– Gasull.

Adwokat zastygł, sięgając po kapelusz.

– Musi mi pan wyświadczyć przysługę. Sprawa jest ważna i pilna.

Oczy mecenasa Gasulla zaświeciły się na myśl, jakaż to będzie ta nowa misja, którą chciała mu zlecić Elisenda.

– Tak tylko pytałam, może coś zauważyłeś.

– Ja nic nie wiem.

Kolejne dziesięć kilometrów w milczeniu. Fiat balilla Gasulla jechał przed siebie, niczym się nie przejmując, a jego resory ze stoickim spokojem znosiły wyboje, których nie dało się wyminąć. Marcel rozsiadł się na tylnym siedzeniu.

– Chcę mieszkać w Torenio – powiedział.

– Co powiedziałeś?

– Że chcę mieszkać w Torenio. W internacie się nudzę i w Barcelonie też.

– Poczujesz powołanie do pracy na roli. – Gasull pozwolił sobie na żart.

– I dobrze.

– Nie, oczywiście. Ale do jakiej szkoły zamierzasz chodzić, Marcel?

– Do miejscowej. Dlaczego pytałeś mnie, czy mama zaprasza panów na kolację?

– Panów i panie, chciałem powiedzieć.

– Dlaczego cię to interesuje?

– Dlatego, że... – Na szczęście samochód podskoczył na kolejnym wyboju, dzięki czemu Gasull zyskał trochę czasu, żeby się zastanowić nad odpowiedzią.

– Dlatego, że... Dlatego, że za dużo pracuje. Powtarzam jej, że powinna wcześniej chodzić spać, ale ona...

– Mama nie pracuje za dużo. Wydaje mi się, że wcale nie pracuje.

Gasull spojrział na chłopca w lusterku wstecznym. Za wszelką cenę chciał podtrzymać rozmowę.

– Dlaczego tak uważasz?

– Ona tylko rozmawia, albo przez telefon, albo z gośćmi w salonie.

– Można pracować na różne sposoby. Chcesz lemoniadę?

– Tak.

Samochód zatrzymał się przy wjeździe do Franqueses. Podczas gdy chłopiec zachłannie zaspokajał pragnienie i patrzył przed siebie, przez niewidzialne ciało Gasulla, ten próbował go sprowadzić na ziemię: – Co się z tobą dzieje? Jesteś smutny z powodu ojca?

– E tam. Dlaczego?

– Pani Pol twierdzi, że może...

– Pani Pol jest głupia.

– Dlaczego?

– Wcale mi nie żal, że ojciec nie żyje. Nie kochał mnie.

– Skąd wiesz?

Adwokat Gasull, jeszcze dostatecznie młody, żeby się nie martwić o przyszłość, pomyślał wzruszony, że było nie było, on bardziej się sprawdził w roli ojca chłopca niż pan Santiago. Pełnił rolę ojca jej syna.

– Pewnie, że wiem. Tak dziwnie na mnie patrzył. – Kolejny łyk lemoniady. – Czemu nie jedziemy do Toreny?

– To nie dla dzieci. Dziś tam się pracuje.

– I co w związku z tym?

– Mama kazała mi cię zabrać do Barcelony i zawiozę cię do Barcelony. Myślę, że nie chciałbyś jej przysporzyć zmartwień.

– Mama chyba nie wie, że ja istnieję.

Mecenas Gasull żałował, że w barze przy zjeździe na Franqueses nagle zapadła cisza, bo wygłoszona przez chłopca z pretensją w głosie opinia zabrzmiała tak donośnie i tak wyraźnie, jakby to on ją wypowiedział na głos.

Osiemnastego listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, parę dni po uroczystej inauguracji nowiuteńkiej stacji narciarskiej Tuca Negra, mijało nieco ponad trzynaście lat od heroicznej śmierci męczeńskiej Sługi Bożego Oriola Fontellesa Grau. Ten dzień został wybrany przez Jego Eminencję biskupa z Seu d’Urgell na wydanie oświadczenia, że cnoty naszego Sługi Bożego uznano za wystarczająco heroiczne, by ogłosić go czcigodnym.

Uroczystość odprawiono w Seu, wzięli w niej udział miejscowi wierni oraz doborowa reprezentacja społeczności Toreny, uroczego miasteczka w dolinie Àssua, uroczej doliny w Pallars, uroczej komarki Lleidy, uroczej prowincji słynącej z pracowitości uroczej Katalonii, gdzie się wydarzyła ta tragedia, której skutkiem stała się męczeńska śmierć Oriola Fontellesa, od dziś czcigodnego.

Prasa nie poinformowała natomiast o tym, że wśród zgromadzonych zabrakło kanonika katedry, wybitnego uczonego, świętego człowieka, doktora Augusta Vilabrú, jednego z inicjatorów, w pierwszej instancji, wyniesienia na ołtarze owego czcigodnego.

- No właśnie, dlaczego go tu nie ma?
- Wzięli go do szpitala.
- Matko Boska! A co mu dolega?

Księdzu Augustowi Vilabrú dolegała pierwsza gwałtowna konfrontacja, do której doszło pomiędzy nim i jego bratanicą, panią Elisendą Vilabrú i Ramis. Pranie brudów za zamkniętymi drzwiami to bardzo niezdrowe zajęcie.

W tym przypadku brudami okazał się akt notarialny z załączonym dokumentem. Akt notarialny stwierdzał, że po upływie czterech lat od śmierci klienta kancelaria notarialna Coma-Garriga w Lleidzie przekazuje do rąk osoby wskazanej przez klienta odnośny dokument. Dokument wskazywał księdza Augusta Vilabrú, i to jego ręce rzuciły papier niczym gorący kartofel na stół w sali odwiedzin w kurii. Elisenda go podniosła, starając się opanować drżenie rąk, i zaczęła czytać. Natychmiast rozpoznała prymitywny styl Valentína Targi i dotarło do niej, że jej goel przygotował to zagranie jako zemstę za wiele rzeczy i za miłość, jaką ona i Oriol sobie ślubowali. Elisenda przede wszystkim musiała docenić, że Valentí okazał się zdolny zaplanować podstęp, który wejdzie w życie, kiedy on już będzie w krainie zmarłych. Sens dokumentu był taki, że niżej podpisany odwoływał świadectwo, jakie złożył wspólnie z panią Elisendą Vilabrú w sprawie okoliczności śmierci Oriola Fontellesa. Odwołuję moje oświadczenie na ten temat, mimo że przysięgałem na wszystkie świętości.

Nie było żadnej partyzantki, żadnego męczeństwa, żadnego tabernakulum. Oriol Fontelles to sprytny oszust, który zdradzał swoją żonę z wyżej wymienioną panią Elisendą, i zbrodniarz, który się wysługiwał partyzantom i spiskował przeciwko samemu Valentínowi Tardze, niżej podpisanemu. A ona, taka wielka pani z pretensjami, to tylko szmatława dziwka.

– Przepraszam, ale czy nie powinniśmy...

– W żadnym razie: szmatława dziwka, tak jak powiedziałem. Albo przenoszę wszystkie interesy do innej kancelarii notarialnej, jeśli się panu nie podoba.

Szmatława dziwka. Moją wolą jest, aby cztery lata po mojej śmierci, o ile wcześniej sam nie wycofam tego dokumentu, trafił on do rąk kanonika Vilabru.

– Napiszmy lepiej po moim zgonie.

– Zgoda. To taki bardziej elegancki sposób umierania. I chciałbym jeszcze dodać parę rzeczy.

– Co takiego, panie Targa?

– Prawdziwe okoliczności śmierci tego Fontellesa.

– Pan je zna?

– Jeszcze jak.

Cisza. Notariusz Garriga patrzył na zalany światłem plac Sant Joan widoczny za firanką. Przyjrzał się swojemu klientowi, który stał przed nim, wyraźnie zniecierpliwiony.

– Na pana miejscu zachowałbym je dla siebie.

– Dlaczego?

– Przez ostrożność.

– Kiedy to wyjdzie na światło dzienne, ja już będę martwy. To znaczy: będzie po moim zgonie.

– I co z tego?

– Że mam gdzieś ostrożność. Nie wiem, czy wyrażam się dostatecznie jasno.

– Jak pan sobie życzy, ale powinien pan wiedzieć, że zależnie do tego, jakie pan tu złoży oświadczenie, mam obowiązek zadenuncjować czyny hipotetycznie karalne, gdyby wiadomość o nich dotarła do moich uszu.

– A tajemnica zawodowa?

– Ma pewne ograniczenia.

– No to zachowam to sobie na inną okazję.

– Tak będzie lepiej, panie Targa.

Lleida, dziesiątego stycznia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego.

Elisenda odłożyła papier na stół. Mój goel rzuca mi kłody pod nogi. Mojemu goelowi nie w smak, że postanowiłam zapewnić Oriolowi miejsce w powszechnej pamięci. Nabrała powietrza w płuca i oświadczyła pan Valentí Targa poróżnił się ze mną i stał się wrogiem moich marzeń, kiedy mu powiedziałam jasno że nie, nie będę mu płacić swoim ciałem. To jego zemsta, stryjkę. Jego słowa nie zasługują na wiarę.

Elisenda mówiła, nie patrząc stryjowi w oczy. A kiedy skończyła, uklękła z namaszczeniem tam, gdzie stała, w sali odwiedzin, pocałowała go w rękę i powiedziała ojczu, chcę się wyświadczyć, a ksiądz August nie potrafił w porę zareagować, trochę dlatego, że czuł się zaskoczony, a jednocześnie zaintrygowany zachowaniem bratanicy, a trochę dlatego, że on, w przeciwieństwie do niej, zawsze miał trudności z podejmowaniem decyzji. Dopiero dając rozgrzeszenie tej spragnionej duszy, zdał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę, która będzie dla niego gwoździem do trumny. Bo wyznanie Elisendy tak, ojczu, Oriol Fontelles, który dziesięć lat temu był nauczycielem w Torenii, został moim kochankiem, tylko na parę, ale za to bardzo intensywnych miesięcy, okazało się bardzo niebezpieczną pułapką. Kochaliśmy się namiętnie, ojczu, mówiła dalej. I nieco ciszej dodała ojczu, spowiadam się z grzechu cudzołóstwa.

– Czy tego żałujesz?

Jak ktokolwiek może wymagać, żebym miała wyrzuty sumienia z powodu mojej miłości do Oriola?

– Tak, ojczu.

Po nałożeniu surowej pokuty ksiądz August zaczął wypowiadać formułkę rozgrzeszenia i kiedy doszedł do słów ego te absolvo a peccatis tuis in nomine, przerwał. Podniosła głowę i spojrzała na niego przestraszona.

– Zastawiłaś na mnie pułapkę.

– Ja?

– Co się zdarzyło tak naprawdę w dniu śmierci Oriola Fontellesa?

– Wszystko jest w protokole, który ojciec czytał ze sto razy. Jako jego główny autor zresztą.

– Przeklinam cię w imię Boże.

– Stryju! – obruszyła się. Kontynuowała dramatycznym tonem: – Stryj jest niesprawiedliwy. Bardzo niesprawiedliwy.

– Przeklinam cię w imię Boże, ponieważ powiedziałas mi to podczas spowiedzi.

Elisenda milczała. Pobożnie złożyła ręce. Nie odstępaj od zrobienia tego, co powinnaś zrobić, jeśli uważasz, że tak zrobić powinnaś. Klęcząc na środku pokoju, patrzyła, jak ksiądz August wzdycha i z trudem się podnosi.

– Specjalnie to zrobiłaś, żeby zamknąć mi usta. – Wykonał kilka kroków, jak osaczone zwierzę. – Nie mogę ci dać rozgrzeszenia.

– Już mi go ksiądz udzielił.

Elisenda, ciągle na kolanach, z zamkniętymi oczami, powiedziała: – Cokolwiek by się działo, wysłuchał ksiądz mojej spowiedzi.

– Spowiedź nie została ukończona. Jeszcze nie dałem ci rozgrzeszenia.

– Artykuł osiemset osiemdziesiąt szósty Kodeksu prawa kanonicznego.

– Co?

– Jeżeli spowiednik nie może udowodnić złej woli penitenta, który prosi o rozgrzeszenie, nie może się uchylać od jego udzielenia.

Cisza. W rzeczywistości zacytowała z pamięci to, co sprawdziła ze sto razy, i nie trzymała się ściśle oryginału, ale liczyła na to, że księdzu Augustowi nie będzie się chciało sięgać do źródeł. Nalegała: – W Kodeksie powiedziane jest udowodnić. Nie ma mowy o zwykłym przypuszczeniu.

– Chcesz, żebym tańczył, jak mi zagrasz?

– Może ksiądz udowodnić, że działałam w złej wierze?

Zapadła cisza na minutę długą jak cały wiek. Teraz oboje stali, aż ksiądz August, łamiącym się głosem, wypowiedział słowa ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti, amen. Nakazuję ci powiedzieć wszystko, co wiesz, postulatorowi w sprawie beatyfikacji. Masz mu powiedzieć, że człowiek, którego jutro ogłoszą czcigodnym, to cudzołożnik i najprawdopodobniej nawet nie wierzył w Boga.

– Pośmiertne oświadczenie Valentína Targi to oszczerstwo. Ja chcę, żeby ludzie zapamiętali Oriola jako dobrego człowieka, jakim był naprawdę.

– W tym celu nie trzeba zaraz robić go świętym.

– Chcę, żeby żył w pamięci wszystkich! Wszystkich!

– Jesteś zwykłą dziwką, mimo że jesteś moją bratanicą.

Ksiądz August przeżegnał się przerażony własnymi słowami i opuścił pokój odwiedzin, trzęsąc się, wytrącony z równowagi, zdecydowanym krokiem zmierzając prostą drogą w kierunku swojego pierwszego zawału.

Dwa tygodnie po tym wydarzeniu Bibiana upuściła prześcieradło, które rozciągała z pomocą Cateriny, i powiedziała pokojówce biegnij, wezwij tu, proszę, panią Elisendę.

Kiedy pani Elisenda zjawiła się na tarasie, Bibiana leżała na ziemi owinięta mokrym prześcieradłem niczym całunem i powiedziała dziecko, najbardziej żałuję tego, że nigdy się nie nauczysz, jak cieszyć się szczęściem, i dlatego ciężko mi umierać, bo nie chcę cię zostawiać samej, ale ja już w końcu odpocznę. Wiesz, jak to boli, kiedy przewidujesz nieszczęścia, zanim do nich dojdzie, i nie możesz zrobić nic, aby im zapobiec?

– Caterina, natychmiast wezwij lekarza. Biegiem!

Daj sobie spokój, dziecko, ja wiem, że już odchodzę, z lekarzem czy bez. Tyle razy chciałam cię ostrzec, żebyś nie robiła tego, co tak bardzo chciałaś zrobić... Najczęściej nie starczało odwagi, bo wiedziałam, że zabroniłabyś mi dawania ci rad czy choćby tylko wskazówek. Mimo wszystko często mnie słuchałaś. Dziecko, byłaś dla mnie jak córka i zawsze uważałam, że to ja cię urodziłam, a nie pani Pilar.

– O mój Boże, Bibiano. Słyszysz mnie? Poznajesz mnie? Odezwij się! Nie możesz mnie opuścić, słyszysz?

Słyszę cię, oczywiście, dziecko. Byłaś moją córką i cierpiałam przez ciebie jak matka. Teraz, kiedy odchodzę, chciałam ci powiedzieć, żebyś postępowała ostrożnie, bo wybrałaś życie niebezpieczne, masz pełno wrogów na twojej drodze, ja to wszystko wiem, nie jestem głupia. Tak bardzo cię kocham, córko. Już słyszę szum rzeki Pamano. To chyba cud.

– Zabiorę cię do łóżka. Nie martw się, Bibiano, zajmę się tobą.

Przecież nawet mnie nie uniesiesz. Cieszę się, że się o mnie martwisz. Spędziłam czterdzieści dwa lata, zamartwiając się o ciebie, od momentu, kiedy czekaliśmy dwie nieskończone długie minuty, aż zaczniesz płakać po klapsie, który dała ci w pupę Conxita z domu Trilla. A teraz zbiera mi się na płacz z radości, że przez ostatnie dwie minuty mojego życia po raz pierwszy naprawdę się o mnie martwisz.

– Nie płacz, Bibiano, będę cię pielęgnować. Niech ktoś wezwie lekarza! Caterina!

Chętnie bym tu została chociażby po to, żeby się tobą opiekować, bo mam wrażenie, że tylko ja wiem, że nieszczęście nigdy nie mija: zawsze znajdzie jakąś kość, żeby w niej zatopić kły. Dziecko, córko, miej się zawsze na baczności, zapamiętaj to sobie na zawsze, że nigdy nie wiadomo, jak daleko może się posunąć nieszczęście.

Żeby nie kusić licha, umówili się tym razem w smętnym hoteliku w Pobli, gdzie nikt ich nie znał. Kiedy odłożyła płaszcz na krzesło, wyrzała przez okno i nie odwracając się, powiedziała tak bardzo cię kocham, że chciałabym... no nie wiem, żebyśmy zostali małżeństwem. Żebyśmy nie musieli się ukrywać.

- Dobrze wiesz, że to niemożliwe – bezlitośnie rozwiązał jej złudzenia.
- Gdybyśmy mogli się rozwieść.
- Za czasów Republiki moglibyśmy. To ci twoi zakazali rozwodów.
- Moi?

Przyjrzała mu się. Podeszła bliżej, próbując odkryć sekret tego spojrzenia, które nie miało nic wspólnego ze spojrzeniem malarza pieszczącego ją wzrokiem aksamitnym jak futro kuny na nagim ciele. Było zimne jak lód. Odwróciła się w stronę szafy.

- Chyba również twoi, prawda?
- Oriol nie odpowiedział ani nie spuścił wzroku.
- Chciałabym, żebyśmy zostali małżeństwem – powtórzyła.
 - A ja nie.

Cisza. Zatrzymała się przed mętnym lustrem. Teraz patrzyły na niego dwie zaniepokojone Elisendy. Oriol przysiadł na łóżku.

Niech żyje Franco, wiwat Hiszpania. Torena, Pallars, 26-10-1944. Kontynuuję. Zostały odkryte przez nasze organy w okolicach Tuluzy zwłoki zaginionego José Pardinesa (tego z poprzedniego raportu), w zaawansowanym stanie gnicia. Nie: rozkładu. Lekarz sądowy kapitan Aurelio Cordón oświadcza, że znalazł kulę w czołowej części głowy i na tej podstawie dedukujemy, że rzezony Pardines został rozpoznany przez bandytów, u których miał być naszą wtyczką. Nie zdążył powiedzieć nam, dać znać, nie: przekazać, teraz dobrze, żadnej informacji.

- Co się z tobą dzieje? – zapytała skonsternowana.
- Jak chcesz dla siebie jakąś działkę, zadenuncjuj jej właściciela.
- Nie rozumiem.

Zrozumiała dopiero, gdy zdał jej relację z tego, co mu wykladał Targa. Zareagowała po trzech sekundach: – To są ziemie, które CNT^[3] skonfiskowała mojemu ojcu.

Oriol zamilkł zaskoczony.

...a także doszły mnie słuchy, jeszcze niepotwierdzone, o możliwej relacji Eliota i niejakiego Ossiana, tak się pisze, jak napisałem. Uważam, że byłoby dobrze, byłoby wspaniale, byłoby wskazane zbadać zaszłości wyżej wymienionego

Ossiana, czy pochodzi z tych okolic, czy tu się ukrywa pod przykrywką legalnego zajęcia, czy może jest partyzantem lub zbiegłym republikaninem.

– Kocham cię i za nic w świecie nie chciałabym cię stracić.

– Jesteś zaprzyjaźniona z burmistrzem, prawda?

– Nie. Jeśli już, to prędzej ty. Zawsze widzi się was razem.

– Targa nie ma do mnie zaufania, bo nie chcę skorzystać z okazji.

– Targa trzyma się prawa i egzekwuje jego stosowanie. Nie jest przestępcą.

– Chyba że zabija dzieci.

– Jeśli chcesz go zadenuncjować, wiesz, co masz zrobić. – Wzięła oddech, żeby się uspokoić. – Możemy przestać już o tym mówić?

– Usprawiedliwiasz go?

– Nie. To prymityw. Ale nie wyobrażasz sobie, co się działo w Torenie, zanim on tu nastał.

Powiedziała to z pasją w głosie, rozpinając bluzkę.

Oriol natychmiast zrozumiał, że jeżeli jej odpowie, że przed Targą Torena miała więcej żywych mieszkańców, to będzie koniec. A on bardzo chciał zajrzeć pod tę bluzkę. Dlatego odpuścił sobie ripostę i nie ciągnął tematu. Nawet przeszło mu przez myśl, że postąpił bardzo nieostrożnie, poruszając ten wątek. No już, ściągaj bluzkę.

Co do obaw komendantury wojskowej i niniejszej służby informacyjnej, czy europejski konflikt wojenny jako konsekwencja desantu aliantów w czerwcu tego roku rozwinie się na dobre, to nie; jego konsekwencją jest tylko większa dezorientacja w rejonach przygranicznych i muszę z dumą oświadczyć, że w strefie górskiej, która pozostaje pod moją jurysdykcją cywilną, nie zauważono żadnych podejrzanych działań, w granicach zdrowego rozsądku, bo ostrożność nakazuje nie wydawać tak radykalnych sądów, zważywszy na niemożność pełnej kontroli całej tak rozległej i trudno dostępnej okolicy.

– Kocham cię – powiedział szczerze i wbrew sobie. A ona uśmiechnęła się uspokojona.

Kochali się, ale między nimi już się pojawiła mikroskopijna szczelina. On uświadomił sobie, że cokolwiek by się działo, nigdy nie zdobędzie się na to, by się wyrzec pocałunków, głosu i zapachu tej kobiety, i poczuł się podle.

Nawiązując do jednego z poprzednich raportów, w którym padło pytanie o moje bezpieczeństwo, odpowiadam, że to nie jest dobry moment, by zrezygnować z osobistej ochrony, kiedy jestem w miasteczku, bo ciągle są tu tchórze, którzy nie akceptują ustanowienia porządku w miejscu, gdzie wcześniej był tylko chaos, zbrodnia, zemsta i nienawiść. Nie akceptują pokoju, który dostali ode mnie w prezencie, i nie rozumieją, że trzeba go strzec, dlatego musimy działać z całą energią, wcielając w życie słowa Caudilla, który nam nakazał, by nie zadrżała nam ręka wtedy, gdy trzeba wcielać w życie wartości Ojczyzny i Religii, i stosując. Nie: i w świetle. Nie: w świetle zadań, jakie wyznaczają, nie,

cholera, jak to się mówi po hiszpańsku, wytyczają odpowiedzialne czynniki Falangi Hiszpańskiej, w imieniu której tu działam. Którą ja tu skromnie reprezentuję.

Później, leżąc na łóżku, przedzieleni szczeliną ciszy, trochę za długo milczeli. Pożegnali się w milczeniu. Elisenda wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie. W drodze powrotnej, w ciszy, nie odezwała się ani słowem do Jacinta, tylko uparcie wpatrywała się przed siebie, jakby bardzo jej się spieszyło. Jacinto myślał dziś się pokłócili. Dziś się nie pieprzyli. Pokłócili się przed pieprzeniem. Wtedy poczuł zapach nardu i spojrzał w lusterko. Jaśnie pani płakała bezgłośnie. Mój Boże, co też jej zrobił ten chłystek. Żeby pani musiała płakać, a ja nie mogę nic na to poradzić.

Mimo że ta sprawa jest bardzo nieprzyjemna i mogłaby mieć poważne konsekwencje, gdyby się rozniosła; gdyby wieść o niej dotarła do społeczeństwa, czuję się w obowiązku zawiadomić pana, że trzeba, że należy podjąć dyskretną obserwację towarzysza Oriola Fontellesa podczas jego wyjazdów poza teren miasta Toreny przez nieznanne mu osoby. Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo by mi zależało, aby okazało się, że moje podejrzenia co do rzeczowego towarzysza są niesłuszne, nie: bezpodstawne.

Oriol siedział na łóżku, patrzył w lustro i tęsknił za Elisendą, zastanawiając się, czy to rozsądne tracić głowę dla kobiety, która w innych okolicznościach na pewno stałaby po przeciwnej stronie barykady. Czy nie narażał na niebezpieczeństwo wszystkich Wielkich Operacji świata przez swoją frywolność. Frywolność. Nie, namiętność. Wzajemną namiętność. Wstał z łóżka i stwierdził, że zapach nardu ciągle się unosi w pokoju.

Również byłoby wskazane zbadać pochodzenie psa rasy springer spaniel, który wabi się Achilles i który pojawił się w Torenie w Pallars parę dni temu i zamieszkał w szkole, jakby rzeczony czworonóg; ssak, nie: pies, znał wcześniej to miejsce. To przykład jednej z tych drobnych spraw, które stawiają pod znakiem zapytania postać wyżej wymienionego towarzysza Fontellesa.

Mimo że to nie należy do moich bezpośrednich obowiązków, muszę donieść, że podczas obiadu w towarzystwie oficerów ze sławetnej sześćdziesiątej, nie, szóstej, nie: dywizji numer sześćdziesiąt dwa, doszły do moich uszu krytyczne komentarze na temat zwierzchności wojskowej wygłaszane przez kapitana Alonsa Feza, a komentarze rzeczowego kapitana nie zostały odparte przez żadnego z obecnych.

Samochód nie skierował się do domu Gravat, tylko zatrzymał się przed ratuszem. Elisenda niczym Walkiria, wysoka, zdeterminowana, z czarnymi włosami, śniadą cerą, pokonała dwa stopnie schodów i stanęła na progu gabinetu Valentína, który w tym momencie pisał *ponieważ uważają, że z niedobitkami, to znaczy z resztkami partyzantki, można skończyć raz a dobrze,*

za jednym zamachem, gdyby tylko wojsko wykazało się większą stanowczością. Zarówno rzeczony kapitan Fez, jak i pozostali obecni oficerowie stwierdzili jednomyślnie, że dowództwo zbyt pobłaźliwie traktuje buntowników. Trzeba mieć ich na oku.

– Teraz słuchaj mnie uważnie.

Elisenda usiadła przed biurkiem, upuszczając na podłogę płaszcz i torebkę, łokcie oparła o blat i poczekała, aż Valentí schowa swoje sekrety w skórzanej teczce. Z satysfakcją zauważyła, że pojawił się na jego twarzy ten charakterystyczny grymas wołu, którego wiodą na rzeź. Kiedy wół zwrócił wreszcie w jej stronę smutne, wilgotne oczy, powiedziała, nie podnosząc głosu jeszcze się nie nauczyłeś, że są sprawy, o których z nikim się nie rozmawia, nawet z serdecznym przyjacielem, jeśli takiego masz. Zniecierpliwiona przedłużającą się ciszą Elisenda zapytała: – No i co?

– Czemu mi to wszystko mówisz?

– Skąd Oriol Fontelles wie, że wykupiłam część Tuki?

– Skąd ty wiesz, że Oriol Fontelles wie, że ty...

– Odpowiedz.

– Ja... – Valentí Targa zaczął przekładać papiery na biurku, szukając jakiejś wymówki, otworzył skózaną teczkę, wyciągnął z niej poufne papiery, włożył je z powrotem, ale wymówki nie znalazł.

– Świetnie. Ponieważ nie wiesz, co to sekret, będę musiała cię zdjąć ze stanowiska burmistrza.

– Nie możesz tego zrobić. Wojsko do tego nie dopuści.

– Żebyś się nie zdziwił, na jak wiele pozwala mi wojsko.

– Jeszcze nie wywiązałem się ze swojej misji. Josep Maurí ciągle żyje.

– Skoro nie chce ci się go poszukać...

– Przemytnicy są bardzo ostrożni. Ale już go osaczam. Przysięgam na to, co najświętsze w naszej umowie.

– Nadajesz się tylko do zabijania.

Valentí podniósł się, wściekły, wbijając wzrok w Elisendę.

– Takie dla mnie przeznaczyłaś zadanie, prawda?

– To prawda, ale nie po to, żebyś wszystko rozgłaszał. Ciebie zgubi język.

Valentí zrobił parę kroków, żeby się uwolnić od dyskomfortu konfrontacji z tą kobietą, dziwką, która zna wszystkie jego tajemnice, kurewską autorką jego niewiarygodnego wzbogacenia, mojego kurewskiego szczęścia i mojego pieprzonego pożądania.

– Skąd Fontelles wie...

– Przyszedł do mnie oburzony, że niesprawiedliwie się obchodzę z Manelem Carmaniu.

– Wyjaśniłaś mu, co to takiego konfiskata?

– Nie zamierzam niczego wyjaśniać. To ty powinieneś trzymać język za

zębami. – Podnosząc głos: – Bo nikt nie powinien o tym wiedzieć.

– Przesadzasz. Znam mnóstwo miejscowości, w których, no, w których dochodzi do przejęcia majątku: teraz nasza kolej, to nasz czas.

– To twój czas. Ale pamiętaj i żebyś nigdy nie zapomniał, że zawsze czas przemawia na moją korzyść, na korzyść mojej rodziny. Zawsze. Teraz, przedtem i za sto lat. Ty masz pilnować porządku, za to ci płacę. Mówiłam z tysiąc razy, że od myślenia jestem ja.

– Nie traktuj mnie jak debila.

– Jutro spotkam się z generałem Yustem i wspomnę mu o tobie.

– Czy mam to potraktować jako groźbę? – wreszcie znieruchomiał, stojąc na baczność przed jaśnie panią.

...może byłoby dobrze, gdyby pan osobiście powiedział słówko generałowi Yustemu, aby go przekonać, żeby nie dawał wiary rozpowszechnianym tu pogłoskom na temat mojej pieprzonej osoby; na temat mojej osoby i przypuszczalnego braku patriotyzmu, a także na temat imputowanych mi działań, które miałyby na celu osobiste wzbogacenie, mnie, który życie poświęciłem opatrnościowemu Powstaniu i opatrnościowemu Ruchowi Narodowemu. Ta oszczercza nagonka, która z całą pewnością się rozpęta, jest sterowana przez osobników przeciwnych ustrojowi, zazdrosnych o moją entuzjastyczną i warunkową, nie: bezwarunkową wierność Ustrojowi i Caudillovi, od samego początku i bez żadnych zastrzeżeń. O kurwa.

Drzwi otworzyła jej Bibiana. Od razu zauważyła, że płakała. Elisenda od razu zauważyła, że Bibiana dostrzegła ślad łez na jej twarzy. Uśmiechnęła się i powiedziała, że nie jest głodna dziś nie będę jeść kolacji. Bibiana odpowiedziała dobrze, proszę pani, i pomyślała w duchu uważaj, dziecko, Elisendo, świat jest najeżony cierniami.

Niech Pan Bóg; nie: niech Bóg zachowa pana w zdrowiu. Pisane w Torenio, w Pallars, dnia dwadzieścia; dwudziesty; 26 września tysiąc dziewięć; dziewięciuset czterdziestego czwartego, w dziewiątym Roku Triumfalnym. Podpisane i parafowane przez towarzysza Vale T rga S , burmistrza To eny i lokalnego przywódcę Ruchu Narodowego. Niech żyje Franco. Niech żyje rewolucja narodowo-syndykalistyczna. Wiwat Hiszpania.

Dźwięk pilarki wbijał się w uszy jak żądło; wokół unosił się pył, który sprawiał, że w warsztacie nie było czym oddychać. Tina powiedziała dzień dobry, ale elektryczny skalpel zagłuszył jej powitanie i Jaume Serrallac, w chirurgicznej maseczce, okularach ochronnych i chirurgicznych rękawicach nie przerwał wyrównywania brzegu płyty nagrobnej przeznaczonej, jak głosił napis, dla rodziny Gallec z Tírvii. Tina cierpliwie czekała, aż piła nasyci swój apetyt na kamień. Zrobiło się cicho. Serrallac ściągnął maseczkę i okulary i dopiero wtedy zauważył tę korpulentną babkę, którą kojarzył ze zdjęciami.

– Nie uwierzę, że przyszła pani złożyć zamówienie...

– Tak, w pewnym sensie.

Serrallac ściągnął rękawice i rozejrzał się za papierosami w zmiętej paczce, które zawieruszyły się w bałaganie na stole. Wyciągnął jednego, zapalił, skierował spojrzenie niebieskich oczu na Tinę i czekał.

– Chcę znaleźć córkę nauczyciela.

– Jakiego nauczyciela?

– Oriola Fontellesa.

– Ale się pani przyczepiła.

Serrallac zaprosił ją do biura, które okazało się przytulne i schludne, z włączonym grzejnikiem. Bez pytania postawił na stole dwa plastikowe kubki i nalał kawy z ekspresu.

Nie mogę mu odmówić. Czeka mnie bezsenna noc.

– Pamięta pan żonę nauczyciela?

– Nie. Mnie wtedy interesowały inne rzeczy, a oni... mieszkali tu krótko.

– Ona parę miesięcy; Oriol cały długi rok.

– Nie lubię wracać myślami do tamtego człowieka. Chociaż, wie pani, jako nauczyciel wcale nie był taki zły.

– Tamten człowiek był dobrym człowiekiem.

Serrallac pociągnął łyk kawy, przeglądając wspomnienia, co zawsze wymaga ciszy. Doszedł do wniosku, że nie widzi w Oriolu Fontellesie ani dobrego, ani złego człowieka. Dlatego spojrzał pytająco na Tinę. Pozwolił, żeby mu opowiedziała, że zachował się długi list, który Fontelles napisał do córki i który jeszcze nie dotarł do adresatki. A ona chciałaby jej przekazać ten dziennik, żeby się dowiedziała, że Oriol Fontelles nie był faszystą, tylko partyzantem, wystraszoną, dręczoną wątpliwościami, który musiał udawać falangistę, żeby móc działać skutecznie. Zanim Serrallac skończył papierosa, ostatni długi rok życia Oriola już został opowiedziany, niczym myślник między dwiema

cyframi na płycie nagrobnej.

– Ktoś by chyba coś o tym wiedział?

– Dobrze się maskował. Działał w tajemnicy przed wszystkimi.

– A jeżeli on to wszystko wymyślił?

– Z jakiego powodu? Co by mu z tego przyszło? Jeśli rzeczywiście był falangistą, po co miałby wymyślać coś, co by mu mogło zaszkodzić?

– Żeby zmienić historię. No nie wiem, gdybym mu zrobił epitafium, pisząc, oto partyzant, bohater opozycji antyfrankistowskiej, i umieścił to na jego grobie, zmieniłbym historię.

– To by już było coś.

– Tak, ale to historia wyssana z palca. Bo ja nie wierzę w nic, co mi tu pani opowiada.

Zadzwoił telefon i Serrallac musiał odebrać. Z tej bardzo pouczającej rozmowy Tina dowiedziała się, że interes prowadzi córka Serrallaca, że ma na imię Amèlia, a on, żeby się nie nudzić w domu, od kiedy został wdowcem, nadal wykonuje delikatną robotę, przemierza na własnych nogach większość cmentarzy w komarce, żeby być na bieżąco z postępem u konkurencji, zagląda do sieni wyłożonych kamiennymi płytkami, dotyka materiału, zastanawia się, skąd pochodzi, i podobnie jak jego ojciec nie może się powstrzymać przed krytykowaniem, że dzisiejszy kamień to już nie to, co kiedyś. Poza tym wozi towar nowym samochodem, który Amèlia kupiła trzy lata temu. Tina dowiedziała się też, że Jaume Serrallac doczekał się wnuka, dziś siedmiolatka, który nosi imię Pere, tak jak pradziadek. I gra w piłkę. I ma koszulkę z numerem cztery. I w niedzielę czeka na dziadka, żeby mu pokazać zdjęcia z meczu w szkole. Trzy do dwóch, tak. Nie, on nie strzelił żadnego, no dziadku, przecież gram w obronie. Co za szczęście zostać dziadkiem, a przedtem nacieszyć się miłością. Nigdy nie będę babcią, bo Arnau mi to uniemożliwił, korzystając z niepojętej opcji monastycznej, zamiast grać w obronie. Czemu życie tak głupio lawiruje. W głębi magazynu jeden z kamieniarzy walił mocno młotem w kamienny blok, aż wibrowało powietrze, i przez chwilę Tina poczuła się bezbronna, bo odniosła wrażenie, że ten człowiek rzeźbi jej myśli. Wróciła do przerwanego wątku: – Jakim był nauczycielem?

– Nic złego o nim nie powiem. Musiał być dobry. Później mieliśmy jakąś okropną babę, taką jedną, nie pamiętam, jak się nazywała. Ale wtedy ja już uczyłem się w seminarium i nie mogła mnie zniechęcić do nauki.

– Pan był w seminarium duchownym? W Seu?

– Tak. Ojciec mnie tam posłał, mimo anarchistycznych przekonań.

Tina poczuła solidarność z niebieskookim kamieniarzem; chciała mu powiedzieć a ja nie jestem anarchistką, ale mój syn zrobił ze mnie matkę mnicha, bez mojej zgody.

– Długo pan tam się uczył?

– Dopóki się nie zakochałem.

Teraz Tina przypomniała sobie o Mirei z Lleidy, której serce okazało się za słabe, by wygrać z Bogiem, i pozwoliła mu wyrwać sobie Arnaua z rąk. Dlatego nie zauważyła, że niebieskie spojrzenie mężczyzny przez parę sekund błądziło gdzieś daleko.

– Jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję. – Bezsenność, przewracanie się w łóżku z boku na bok Jordi, czemu mi to zrobiłeś, kim ona jest, powiedz.

– Słucham panią... – Serrallac gestem dał do zrozumienia, że chętnie udzieli dalszych informacji.

– Mam na imię Tina i możesz mi mówić po imieniu. Jeśli chcesz.

– Tina. Nie wierzę ci, Oriol Fontelles był wstrętnym faszystą i wszyscy w miasteczku o tym wiedzą. To nieodłączny przyjaciel Targi, tego, którego nazywają katem Toreny, wyobrażasz sobie? A partyzanci zabili go podczas akcji odwetowej. Koniec historii. Płyta na grobie. I tak dalej. Pokażesz mi zdjęcia?

– Które?

– Te, które robiłaś na cmentarzu. – Serrallac gestem wskazał warsztat. – Mógłbym je wykorzystać jako reklamę, jeśli dobrze wyszły.

– Moje zdjęcia zawsze dobrze wychodzą. Co wiesz o śmierci Fontellesa?

Serrallac rzucił okiem na paczkę papierosów, ale się powstrzymał. Zacisnął dłoń.

– Mówią, że pani domu Gravat jest jednym z niewielu świadków tego, co zaszło. Idź do niej. Chociaż nie wiem, czy cię przyjmie, bo zadziera nosa i dla niej wszyscy w miasteczku śmierdzimy gnojem. Chcesz się dowiedzieć czegoś ciekawego?

Teraz oczy mu błyszczały; widać, że lubił pogrywać. Zdjął czapkę i po raz pierwszy Tina zobaczyła jego bujne, białe włosy, które dawno utraciły pszeniczny kolor.

– Ona osobiście dbała o grób nauczyciela. Raz w miesiącu odwiedzała rodzinne mauzoleum, przynosiła kwiaty i takie tam. A potem spędzała parę minut przed grobem Oriola Fontellesa. Najbogatsza facetka na ziemi i raz w miesiącu, choćby z drugiego końca świata, przychodziła zmienić kwiaty na grobie nauczyciela, własnoręcznie.

– Teraz już nie?

– Od kiedy oślepla, nie. Przysyła służącą.

– Znasz ją osobiście?

– Pani Elisenda zawsze trzymała się od nas z daleka. Tu, w Pallars, w wielu miejscowościach jest jakiś zamożny dom, który pozostałych mieszkańców trzyma na dystans. W Torenie to dom Gravat, z całą jego nienawiścią z powodu

kilku zmarłych. Tak się składa, że mieszkam naprzeciwko tego domu.

Tina milczała, nie chciała swojemu rozmówcy przeszkadzać w snuciu opowieści, których miał pełno w głowie, a jej mogły rzucić światło na coś, co już wchłonęła przez skórę, ale pracownik z warsztatu zdecydował inaczej i wszedł do biura z kilofem, żeby się upewnić, czy tamte płyty przeznaczone są dla ratusza w Esterri. Tak naprawdę chciał tylko obejrzeć tę babkę, całkiem apetyczną.

– Tak, wszystkie. Amèlia będzie chciała je zobaczyć przed załadowaniem.

Wścibski pracownik obserwował gościa. Nie. Z bliska gorzej się prezentuje. Trochę za gruba. Podniósł rękę do czapki w geście, który przypominał Tinie tamtego robotnika z Toreny, on też salutował jak żołnierz marines, po czym wrócił do warsztatu, do płyt, wiadomo, że dla ratusza w Esterri.

– O czym mówiliśmy? – Jaume Serrallac stukał palcami w stół, żeby odświeżyć pamięć.

– O pani Elisendzie.

– Tak. Powiadają, że za młodu przyjaźniła się z Franco. I że teraz jest dobrą znajomą króla. Mimo że jest ślepa i pod żadnym pozorem nie rusza się z domu Gravat. Mówią, że ma taki majątek... Zaraz, jak to mówią? Że możesz przejść od Vielli do Puigcerdy albo do Lleidy i cały czas kroczyć przez posiadłości pani Elisendy Vilabru. Nieźle, co?

– Tak, już to parę razy słyszałam.

Serrallac skończył drugą kawę i wyrzucił kubek do kosza.

– Nie wiem, co tam nauczyciel pisze w liście, ale ja z zasady w to nie wierzę.

Tina westchnęła, otworzyła teczkę i wyciągnęła z niej maszynopis. Położyła na stole.

– To część listów Fontellesa adresowanych do jego córki. À propos, nie wiesz, czy syn Burésów kręci się gdzieś tutaj?

– Paco? Wydaje mi się, że chyba jest w Bośni czy gdzieś. Działa w organizacjach pozarządowych.

– Przydałoby się więcej takich.

– Nie mówię nie. Wyrodził się z rodziny z domu Savina, gdzie są prawie sami faszyci. – Wskazując papiery: – Chcesz, żebym to przeczytał?

– Tak, jeśli nie boisz się odejść od schematów, będę ci wdzięczna.

– Dlaczego tak się tym interesujesz? Przecież pracowałaś nad albumem fotograficznym.

Tina otworzyła usta, zajrzała na chwilę do wnętrza swojej duszy, i z nieśmiałym uśmiechem, nie patrząc na Serrallaca, powiedziała, że jeszcze nie wie, po co to robi, ale oburza mnie kłamstwo i ludzie, którzy je wykorzystują. Byłabym wdzięczna, gdybyś mi pomógł odnaleźć córkę Fontellesa. Ach, wiem tylko, że ma na imię Joan.

– Kto?

- Córka nauczyciela. Znasz jakiegoś Joana?
- Nie mówiłaś, że chodzi o córkę?
- Najpierw przeczytaj, a potem się zastanów, ilu znasz Joanów.

Przez dwa czy trzy dni dwaj faceci w prochowcach, z zakazanymi gębami, z cienkimi cygarami w ustach obserwowali, co się dzieje w miasteczku, przechadzając się przed domami Ventura, Misseret i Feliçó, a zwłaszcza kręcili się przed domem Maria del Nasi, jakby oczekiwali, że Josep Mauri lada moment odwiedzi rodzinę i przy okazji da się zabić. W międzyczasie przyszła pisemna nominacja, upoważniająca don Pedra Cases Tribó (czyli Pere z domu Majals) do objęcia stanowiska burmistrza w Torenie, w miejsce don Valentína Targi Sau (kata Toreny), którego tragiczna śmierć napełniła smutkiem nasze serca. W tym samym czasie odprawione zostały poruszające egzekwie w kościele, który wypełnili jacyś nieznajomi oraz pani Elisenda, Cecilila Bäscones, rodzina Burés, krótko mówiąc ci, co zawsze, a pozostali mieszkańcy odwracali wzrok i czekali, aż go pochowają jak najgłębiej; czekali, aż ci nieznajomi, skandujący Vale T rga S , obecny, niech żyje rewolucja narodowo-syndykalistyczna, niech żyje Franco i jeszcze wiwat Hiszpania wyniosą się w cholerę z Toreny, żeby wreszcie móc spokojnie odetchnąć, a pogrzeb na cmentarzu też był poruszający, gdyż sam Claudio Asín, ulubiony ideolog zmarłego Targi, jego krynica, jego mistrz, jego wykładnia świata, życia i Ojczyzny, Claudio Asín, obecny, zwrócił uwagę, jakże trafnie, że słuszne jest, by Targa, syn zimna, spoczął na cmentarzu smaganym bezlitosnym północnym wiatrem, a jednocześnie zadbanym jak rajski ogród, niech żyje Franco, wiwathi Szpania. Za pieniądze z kasy miejskiej zamówiono u Pere Serrallaca nagrobek dla bohatera, który został pochowany w odległości zaledwie dwóch metrów od swojego nieodłącznego przyjaciela, falangisty Fontellesa, drugiego bohatera, i niespełna metr od swojej ofiary, Joana Esplandiu, małego Ventury, który nie tylko zesrał się w portki, kiedy go mordowali, ale też pewnie jeszcze zachował w oku kulę, niczym cenny klejnot.

Faceci z zakazanymi gębami zwinęli się, nie tłumacząc się przed nikim, nawet przed nowym burmistrzem, i uznali za zakończone śledztwo w sprawie nieszczęśliwego wypadku nieszczęsnego towarzysza syndykalisty don Valentína Targi Sau, przyjmując jako właściwą i oficjalną wersję, że śmierć spowodował wypadek. Ale Historia nie bierze pod uwagę faktu, że bohaterowie są też rodzicami, i porucznik Marcó, kiedy już dokonał zemsty, która go trzymała przy życiu, nie wrócił do Francji, nie odwracając się za siebie, lecz idąc za przykładem żony Lota i Orfeusza, którzy powinni byli tak postąpić, pograżył się w piekle nienawiści i czekał w lesie nie na ukochaną Eurydykę, nie z tęsknoty za bujnymi winnicami i gajami oliwnymi szczęśliwych lat Sodomy,

tylko po to, by zobaczyć na własne oczy pogrzeb swojego wroga i usłyszeć bolesne westchnienia rodziny z Altronu, która zresztą nie wzięła udziału w pogrzebie, czy choćby jego towarzyszy z ulizanymi fryzurami. Ukryty na dębie na grzędawisku Fanal, w połowie korony drzewa, z zaczerwienionymi od jesiennego chłodu policzkami, uczestniczył w pogrzebie, w którym wzięło udział liczne grono żałobników, głównie członkowie Falangi w mundurach, ale bez udziału wojskowych, tylko burmistrzowie z Sort, Rialb, Tírvii i Llavorsí, jeden czy drugi ważniak z Seu czy z Tremp, no i jakże by inaczej, Burésowie z domu Savina, dom Narcís w komplecie, Felip z domu Birulés, no jasne. I dom Majals. I Cecilia Báscones z kiosku. Ale nie usłyszał żadnego westchnienia żalu. Wtedy porucznik Marcó poczuł niedosyt. A kiedy Pere Serrallac zamknął za sobą bramę cmentarza, już dobrze po południu, a od strony miasteczka zaczęły napływać smakowite zapachy, Ventura zeskoczył z drzewa, przeskoczył przez mur, ucałował nagrobek swojego syna w miejscu napisu Rodzina Esplandiu, zmartwił się, że rdzewieje żelazny krzyż, rzucił okiem na pomnik Fontellesa z niepewną, niewyraźną miną, jakby miał coś na sumieniu czy chciał go przeprosić, powiedział witaj, Eliot, przyjacielu, a potem podszedł do sąsiedniego grobu, wyciągnął z nogawki młotek i zaczął skuwać litery ze świeżo położonej przez Serrallaca tablicy, która od tej chwili głosiła Wiel on Vale T r S (Altron 1902 – To na 1953) Bur To en i lokal przyw Ru wego wdz czn yzna. Następnie zabrał się do usuwania jarzma i strzał. Kiedy dokonywał tych poprawek, przyszło mu do głowy, że powinien na tablicy zostawić jakiś ślad po tym, że tamten skurwysyn zmarł w wieku pięćdziesięciu jeden lat, srając w portki ze strachu, gdy zobaczył na własne oczy, jaki ma głos i jakie oczy Starucha z Kosą, jeszcze zanim stawiała się po niego osobiście, mimo że miał na sumieniu tyle ofiar i bardzo się starał, idąc przez życie, zasłużyć sobie na powszechną nienawiść, amen.

Kiedy już zakończył świętą profanację, oznajmił jeszcze całemu światu, posługując się węglem, że wszyscy faszyści powinni umrzeć. Na grobie Oriola napisał Eliot, tłumacząc się przed nim, że tak tego nie zostawi, jeszcze dziś powiem mojej żonie, ile dla nas zrobiłeś, przyjacielu, jest tyle spraw, które trzeba załatwić, a co ja biedny mogę zrobić, skoro ciągle się ukrywam w górach, gdzie moi najwierniejsi przyjaciele noszą imiona skał, turni, szczytów; to był od zawsze mój świat, w którym czułem się jak ryba w wodzie, najpierw jako pastuszek, później jako juhas zaganiający krowy w góry, a później jako przemytnik przenoszący towary przez przełęcz Salau, Negre czy gdzie się nadarzyło, a jeszcze później, ze ściśniętym sercem, jako partyzant wskazujący drogi, kryjówki i tajniki kamuflażu towarzyszom broni, takim jak ty, dzielny nauczycielu, dlatego od dawna już żyję w ukryciu, z sercem przebitym cierniami, szukając okazji do zemsty za jedną tylko z wielu śmierci, które poznałem z bliska. Wiem, że zemsta na większą skalę to nie moja rzecz. Od

dzisiaj będę mógł spać spokojnie, przyjacielu. Mały Ventura mi to powiedział.

Nie zdążył usunąć z grobu jarzma i strzał, bo nagle otworzyła się na oścież brama cmentarza, z jękiem i impetem, i uderzyła o ścianę, a ten z cienkim wąsikiem i ten drugi z kręconymi włosami oraz jeszcze jacyś dwaj wtargnęli na teren cmentarza, wyciągając z kabur pistolety. Porucznik Marcó, powodowany instynktem dzikiego zwierzęcia, rzucił w nich młotkiem, i korzystając z chwilowego zamieszania, jakie wywołał, zdążył przeskoczyć mur i wpaść między drzewa, gdzie wiedział, jak zamienić się w kamień, jeśli okoliczności będą tego wymagały. Dla postrachu wystrzelili trzy razy w powietrze i zawiadomili żandarmerię, że trzeba wysłać patrol w góry, bo jakiś zamaskowany nieznajomy właśnie sprofanował święty grób niedawno zmarłego towarzysza Vale T rg S, burmistrza To eny. Przecież dopiero co go pochowali. No widzisz.

Patrol żandarmerii prowadzony przez tego z cienkim wąsikiem, Balansó, którego najbardziej dotknęła śmierć Valentína, rzetelnie się przyłożył do przeszukiwania okolicy. W porze, kiedy kontury się zacierają i zaczynają dominować świeże zapachy nocy, strzelili do jakiegoś niewyraźnego kształtu, który zmierzał w stronę góry Tossal. Nie poszli sprawdzić, w co trafili, bo bali się poślizgnąć w ciemności na tamtych skałach. Ponieważ jednak w coś trafili, ja jako kapral i dowódca patrolu zasłużonego w ściganiu tego niepoczytalnego drania wydałem rozkaz powrotu do bazy i podjąłem decyzję, że następnego dnia wrócimy w miejsce oddania strzałów, by sprawdzić słuszność naszych przypuszczeń. Posterunek w To enie, filia Rialb, piętnastego lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego. Podpisany Fernando Ulloa, kapral.

– Co znaczy niepoczytalny?

– Nie mam pojęcia. Ale zwierchności bardzo się to podoba.

– Mnie się wydaje, że to coś jak skurwysyn – wtrącił się Balansó z mądrą miną.

Następnego dnia Balansó wykręcił się, że ma dużo roboty, i nie towarzyszył obu żandarmom, którzy musieli sami wejść na wysokość tysiąca sześciuset metrów, by się przekonać, że tego kształtu, który się poruszał, już nie ma, ale został po nim ślad w postaci strużki krwi, co oznaczało, że albo trafili tego niepoczytalnego, albo jakieś dzikie zwierzę niepodlegające jurysdykcji sił porządkowych.

– Albo wersja c, czyli kogoś innego. To znaczy jakąś osobę postronną.

– Kurwa, nie pieprz.

– Strzeliłeś bez uprzedzenia. Nawet nie zawołałeś stój, kto idzie.

– Spełniłem swój obowiązek i nie mam zamiaru niczego zmieniać w raporcie.

– Tego nie mówię, ale jesteś mi winien przysługę.

Stracił tyle krwi, że był bielszy od śniegu, który już się wycofywał z tamtych stron. Z nadludzkim wysiłkiem otworzył oczy i zobaczył pochyloną nad sobą córkę Cèlię, płaczącą bezgłośnie, ostrożnie, jak to na wojnie; usłyszał, że ktoś krząta się w pobliżu i z daleka dobiegł do niego słodki głos Cèlii czy Rosy, i słowa mamó, obudził się. A wtedy jego żona, z rękami pobrudzonymi krwią, ze szmatką, którą próbowała zatamować krwotok, powiedziała Joan, muszę cię zabrać do lekarza, już sama nie wiem, co mam robić, a on tylko pokręcił głową, że nie, bo głos nie mógł się wydobyć z sinych warg.

– Ale to znaczy, że umrzesz. Nie pomoże ci nawet cudowna woda ze źródła świętego Ambrożego.

Wtedy Joan Esplandiu z domu Ventura z Toreny, potomek domu Tomàs z Altronu, dawny bohater partyzantki, który rozślawił groźne imię porucznika Marcó, powiedział ty mi wyjmij kulę nożem do obierania ziemniaków, tym z niebieską rączką, a ona tylko westchnęła oj, Joan, tyle nocy spędziłeś poza domem, to nie wiesz, że tamten nóż się złamał już dawno temu, a on na to nie, nie wiedziałem. I jeszcze dodał to tylko kula w brzuchu. Jak mi ją wyciągniesz...

Ale Ventura nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Kula utkwiała gdzieś głęboko, a ona nie zdawała sobie sprawy, że śmierć od kuli w brzuchu jest najbardziej ze wszystkich długa i bolesna. Wiedziała tylko tyle, że niespełna pół godziny temu, gdy tylko ściemniało, a ona właśnie postawiła garnek na ogniu, usłyszały, że poruszają się okiennice, i wtedy otworzyła zaniepokojona, czy to może Joan dotrzymał słowa danego dziewczynkom i wrócił, ale bez uprzedzenia, nie pytając o zgodę i o miejsce w moim życiu, raptem dwa dni po tym, jak odszedł. Oczywiście że wrócił, bez uprzedzenia, nie pytając o zgodę i o miejsce w jej życiu, raptem dwa dni po tym, jak odszedł, a do tego jeszcze wrócił z kulą w brzuchu, z wykrwawionymi żyłami, blady jak duch i z oddechem śmierci na karku.

– O mój Boże, co mam robić?

– Pomóż mi się położyć.

– To ty byłeś na cmentarzu.

– Zrób coś, żebyśmy nie tracili więcej krwi. Niech Manel na to spojrzy. – I zemdłał. Cèlia i Rosa zaczęły płakać, bo to za duża tragedia dla takich dziewczynek.

– Biegnij po wujka. Szybko! – kazała matka starszej z dziewcząt.

Nawet Manel Carmaniu, który przyjął poród ze dwudziestu krów, nie mógł nic poradzić. Kiedy zdecydowali, że skoro i tak ma umrzeć, to lepiej wezwać lekarza, żeby nie zdychał jak pies, Ventura, uparty do samego końca, umarł, żeby do tego nie dopuścić.

O piątej nad ranem ciało porucznika Marcó zaczęło stygnąć. Ventura płakała ze spuszczoną głową nad głowami dziewczynek, które zasnęły przytulone do jej kolan, wyczerpane cierpieniem, przeżywające we śnie wszystkie nieszczęścia świata, a wtedy Manel Carmaniu dotknął ramienia kuzynki i powiedział słuchaj, Ventura, Joan nie żyje, trzeba o tym zawiadomić. Nie wiem kogo, ale kogoś musimy zawiadomić.

– Nie będzie żadnego zawiadamiania. – Ventura podniosła głowę i nagle odzyskała siły.

– Ależ kobieto... Przecież Joan już nie żyje... Nie mogą mu zrobić nic złego.

– Wiesz, dlaczego go szukali?

– Za wszystko razem. Ale nic mu już nie mogą zrobić. – Manel spojrzał na męża kuzynki leżącego na łóżku. – To on zrobił to na cmentarzu?...

Ventura kiwnęła głową. Ale zaraz wylękniona dodała sądzą, że jednak ścigali go z innego powodu.

– Jasne, wiadomo, oni wszyscy by chcieli, żeby Joan zgnił w więzieniu.

– Nie, nie: szukali go, bo... Była inna przyczyna.

– Jaka?

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

– Przecież jestem twoim kuzynem.

– On i ja razem zabiliśmy Valentína Targę.

– O mój Boże.

– Boga nie ma. Po dziewięciu latach udało się nam wreszcie zabić Targę.

– O mój Boże.

W panice Manel Carmaniu wykopał grób głęboki na dziewięć piędzi. On i Ventura kopali aż do brzasku, ledwo widziała przez łzy, aż padła wycieńczona, z rękami zamienionymi w jedną wielką ranę, a Manel kopał dalej, do głębokości dziewięciu piędzi, żeby żaden pies, żaden szczur, żaden faszysta nigdy nie mógł się nawet domyślić, że Joan Ventura, znany jako porucznik Marcó, ścigany przez frankistów, skazany na śmierć buntownik, znienawidzony przez bandę faszystów z miasteczka, zmarł od przypadkowej kuli, która utkwiała w brzuchu, i że spoczywa teraz na podwórku własnego domu, bez płyty nagrobnej, bez imienia zapisanego na ziemi, które gwiazdy mogłyby odczytać podczas jasných, lodowatých, zimowých nocy. Spoczął w miejscu, gdzie trzymali wóz, obok szopy na uprzęż, i choć za życia ciągle gdzieś się wyrывał z domu, na zew swoich snów, teraz Ventura zawsze będzie go mieć przy sobie, zimnego i nieruchomego, ale blisko, i wreszcie sobie odpocznie.

Kiedy zasypali grób, kuzyni przysięgli zachować milczenie, a Ventura nie powiedziała o tym nawet swoim córkom, które wtedy spały, wyczerpane tym, co się zdarzyło. A może jednak nie spały, skoro następnego dnia matka

zobaczyła, jak Cèlia bez słowa, przekonana, że nikt ich nie widzi, wzięła Rosę za rękę, zaprowadziła ją na podwórko, a tam, bez komentarzy, przybiła na ścianie szopki krzyż z palmowych liści, tuż nad grobem. A Ventura, chociaż przestała wierzyć w Boga, nie usunęła tego krzyża, bo umieściły go tam jej córki, jedyne osoby, jakie jej zostały w życiu. Matka i córki, nawet po niesprawiedliwej śmierci Rosy, nie wróciły do tego tematu aż do dnia, kiedy ta głupia, gruba, ciekawska nauczycielka z aparatem fotograficznym w ręce zadała im pytanie, a kiedy to Ventura wrócił po raz trzeci?

Gdyby Pere Serrallac o tym wiedział, wziąłby swojego syna za kark i przyprowadził na podwórko domu Ventura, wyciągnąłby nieodłączny niedopałek z ust, wyplunąłby na ziemię okruch tytoniu i powiedziałby słuchaj, co ci powiem, Jaumet, i wryj to sobie w pamięci, tak jak potrafisz ryć w kamieniu. Niech to zostanie na zawsze w twojej pamięci, że na podwórku domu Ventura, obok ściany, która graniczy z domem Maria del Nasi, dziewięć piędzi pod ziemią, w miejscu, gdzie Manel Carmaniu zostawia wóz kuzynki, kiedy wraca z pola, oznaczonym krzyżem ze zbutwiałych, wyblakłych palmowych liści, spoczywa niegdysiejszy przemytnik, partyzant, który chadzał własnymi drogami i który był solą w oku sztabu UNE, niewiarygodnie skuteczny w działaniu, bo okazał się nieustraszony i doskonale znał okolice. Jego wojenny pseudonim, ważny dla historii, która nigdy nie zostanie spisana, to porucznik Marcó. Jego imię i nazwisko, Joan Esplandiú i Rella z domu Tomàs z Altrou, ożeniony z Glòrią Carmaniu, najstarszą córką z domu Ventura z Toreny, od której wziął przydomek i dlatego wielu go zna jako Joana Venture, jest ojcem Joana Ventury oraz Cèlii i Rosy Ventury, chociaż bardzo niefortunnie wywiązał się z roli ojca i męża. Synu, niech ci to posłuży za przykład, czego masz nie robić, jak kiedyś się ożenisz. Chyba nie miał wyboru. Może do pewnego stopnia da się to zrozumieć, pod warunkiem że wiemy, co się zdarzyło trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego, kiedy jako zaledwie dwudziestojednoletni przywódca przemytników, po rozładowaniu towaru w kryjówce w spichlerzu Menaurí i daniu wolnego grupie wyczerpanej dwudniowym forsownym marszem, wracając do domu brzegiem rzeki Pamano, na wysokości pogrążonego w ciemności Bernui, w pobliżu pasieki Ravell, gdzie, jak ludzie mówią, kiedyś wznosiły się mury zamku Malavella, zobaczył robaczka świętojańskiego, który się okazał zapalonym papierosem. Valentí Targa z domu Roia, który tam na niego czekał, powiedział spokojnym barytonem chciałbym wiedzieć, skąd do jasnej cholery wracasz.

Ale Pere Serrallac nigdy się o tym nie dowiedział i nie mógł o tym pouczać swojego syna Jaume.

– Czego chcesz?

Targa, w migotliwym świetle zapalki, pokazał mu czerwony metalowy dzwoneczek, który Joan Esplandiu nosił zawsze przypięty do koszuli, od dnia, kiedy pewna panna z Toreny o oczach takich, że jak się w nich zatopisz, to już, bracie, po tobie, swoim tajemniczym głosem powiedziała dobrze, możesz się do mnie zalecać, a potem podarowała mu ten dzwoneczek. Zgubiłeś go w spichlerzu Palanca, powiedział Targa, a więc to ty jesteś jednym z tych zamaskowanych, a więc Caregue wykopał mnie z twojej winy, a więc tu cię zaraz zabiję, ty jebany skurwysynie. Sztylet nie błysnął tylko dlatego, że zawstydzony księżyc ukrył się za chmurami, ale wbił się aż po rękę w brzuch Joana Esplandiu. Targa nie czekał do trzeciego dnia z opuszczeniem Altronu, swoich bliskich, rodzinnych stron i szumu rzeki Pamano, i zaraz zamieszkał, w wieku dwudziestu jeden lat, w Barcelonie przerażonej trupami, którymi pracodawcy i robotnicy upstrzyli ulice, nie tęsknił, bo natychmiast znalazł pracę. Joan Esplandiu, wbrew przewidywaniom, nie umarł po tym napadzie, przeleżał dwa miesiące w łóżku, żeby się wylizać z dziwnej rany zadanej rogiem barana, a kiedy już wydobrzył, przed powrotem do Toreny i na zaloty do Glòrii, wybrał się do Sort, a tam zamówił nowy czerwony dzwoneczek w zakładzie galanterii żelaznej, żeby nie dopuścić do tego, by Glòria z domu Ventura zauważyła stratę.

Zazwyczaj wyjazd do Barcelony nie był dla niej żadnym poświęceniem, mimo trzech długich godzin jazdy. Ale dziś wolałaby jakiś inny powód podróży. Podczas przyjęcia na cześć króla nie będzie króla, za to z dużym prawdopodobieństwem natknie się na tę sukę Mamen, która podejdzie do niej z wyraźnym zamiarem rzucenia się jej na szyję, czy sobie tego życzy czy nie, z pochyloną głową, czule wykrzywionymi ustami, wyciągniętymi ramionami i niebezpiecznie przechyloną szklaneczką whisky. Nie powie jej och, Elisendo, bardzo cierpiałam i dużo płakałam przez te cztery lata, kiedy się nie widziałyśmy; przepraszam cię, że się pieprzyłam z Quique. Nie, Mamen Vélez de Tena będzie ją traktować tak, jakby się widziały wczoraj. Nadciągnie jak czółg, złoży na jej policzkach dwa judaszowe pocałunki i powie jak to cudownie mieć króla, nie sądzisz, Eli?

Dowiedziała się o tym już miesiąc temu, kiedy zadzwonił do niej Ricardo Tena, mąż Mamen Vélez, całkowity ignorant w kwestii rogów, ale świetnie poinformowany o wszystkim, co w jakikolwiek sposób wiązało się z podupadłym reżimem, który właśnie wyzionął ducha, co mnie bardzo zasmuciło, bo naznaczył całe moje życie.

– Nie żyje, Elisendo – powiedział.

– Kto nie żyje?

– caudillo. Smutno mi.

– A gdzie jest Mamen?

– Nie wiem, nie zastałem jej w domu.

Pieprzy się z kochankami przyjaciółek, ot co.

– To pewna wiadomość?

– Z pierwszej ręki. Byłem właśnie w Círculo i tam... No, rozmawiałem tam z ludźmi, którzy mają bezpośredni kontakt z pałacem w Pardo. Ty jeszcze nic nie słyszałaś?

– Nie.

– Boję się, co teraz może nastąpić.

Powinieneś martwić się o swoją żonę. O kraj nie trzeba. Tkwi w letargu.

– A co twoim zdaniem miałyby nastąpić?

– Nie wiem. Rewolucja. Zemsta. Ludzie mogą wyjść na ulicę.

– Nic z tych rzeczy. Spokojna głowa.

– Sądzisz, że powinienem zdeponować gotówkę za granicą?

– Już dawno powinieneś był to zrobić. – Elisenda przyjęła zimny ton, odpowiedni do tematu rozmowy.

- Skąd mogłem wiedzieć!
- Franco nie był wieczny.
- caudillo nie był wieczny, ale reżim tak.
- Przecież ma nastać król, prawda?
- To decyzja caudilla.

Brakowało jej argumentów, aby się upierać, że po śmierci dyktatora życie tych, którzy go popierali, nie ulegnie zmianie. Niby skąd miała wiedzieć. Ona sama, wiedzona raczej intuicją niż zimnym wyrachowaniem, krok po kroku, przysługą za przysługę, dystansowała się od gubernatorów cywilnych i falangistowskich ministrów, aż wylądowała jako oddana przyjaciółka w ramionach ministrów należących do Opus.

- Ale coś na pewno się zmieni, Ricardo.
- Wiem, że ty masz kontakty i...

Co też ci ludzie sobie wyobrażają: że Franco zapraszał mnie co tydzień na obiad?

- Nie, nic. Mogę cię jedynie uspokoić, że rząd ma wszystko pod kontrolą.

Kiedy odkładała słuchawkę, pani Elisenda usłyszała nienawistny dźwięk. Mimo że w końcu listopada trzymała okna pozamykane, usłyszała bardzo wyraźnie niebudzący najmniejszych wątpliwości czysty, wichrzycielski, prowokacyjny, obraźliwy, ale przede wszystkim niepokojący dźwięk korka butelki szampana. W domu Felićó świętowano właśnie śmierć Franco. Tam też musieli mieć dobre kontakty.

Nazajutrz, gdy tylko Jaume Serrallac zobaczył w barze Marésa, co jest na pierwszej stronie gazety, powiedział nareszcie Franco zmarł, upiję się szampanem, o mój Boże. Inaczej spojrzał na dom Gravat. Przyszedł do warsztatu z butelką, którą kupił w barze, jeszcze zanim zjawił się jego ojciec, który już od lat nie zajmował się interesami, ale teraz chciał mu przypomnieć dług, jaki zaciągnęli wobec rodziny Ventura. Otworzył szampana, ucieszył go dźwięk strzelającego korka, wyciągnął szkic, który dotąd stał odwrócony do ściany i zaczął wykuwać w kamieniu pamięć, na jaką mały Ventura zasługiwał, z ozdobnym krzyżem i innymi ekstradodatkami, według projektu Manela Lluísa. Z lękiem w sercu, bo nie wiedział, co się będzie działo od tego listopada, miesiąca nadziei. Kiedy skończył, zawołał żonę i córkę, pokazał im nowy nagrobek i wszyscy troje wypili na pohybel potworowi i za nowe dni pod niebem znowu niebieskim, choćby i padało.

Tej nocy po rozmowie z Ricardem Teną Elisendzie Vilabru przyśniła się zemsta tych z domu Felićó, Ventura, rodziny Mauri z domu Maria del Nasi, i słyszała we śnie pum korków szampana wystrzeliwanych przez ludzi, którzy

odzyskali nadzieję. A ona też się do nich przyłączyła i wznosiła toast z nieznanymi, w sposób naturalny uczestnicząc w ich radości. Przyszłość należy do przyszłości, powtarzała we śnie. Po miesiącu, kiedy dano jej do zrozumienia, że byłoby wskazane, żeby wzięła udział w przyjęciu w Kapitanacie, niebo nad Toreną wyplakiwało swoją niepewność, a Ció położyła obok śniadania bieżącą korespondencję i zostawiła wózek w jadalni. Jeszcze przed herbatą pani Elisenda zabrała się do otwierania listów z tą niecierpliwą cierpliwością, z którą robiła rzeczy nieuniknione. Trzyście pism z banków, dwa przewidywalne zaproszenia na uroczystości, jedna pocztówka od Marcela wysłana ze Sztokholmu, miasto jest bardzo ładne, spotkanie odbędzie się jutro, wydają się zainteresowani propozycją, i jeszcze jedna dziwna koperta, która od razu jej się nie spodobała. Typowych rozmiarów, w kolorze szarawym, z pieczętką z Sort, bez nadawcy. Wzięła ją do ręki i zaraz odłożyła. Nalała sobie herbaty i sięgnęła po nóż do papieru. Kartka w środku, złożona na trzy, też była szarawa, do kompletu z kopertą. Litery drukowane, ale napisane ołówkiem.

Elisenda ty Zdziro Nasza grupa wie jak zmarł pan Oriol Fontelles trzydzieści lat temu Wiemy wszystko i żądamy dwudziestu milionów bo inaczej dowie się prasa i postulator w sprawie beatyfikacji i policja i krewni ofiary Będzie dochodzenie jeżeli nie dostaniemy dwudziestu milionów w ciągu dwóch dni Policja o wszystkim się dowie Podamy do publicznej wiadomości także pochodzenie tego który uchodzi za twojego syna Marcela Vilabru Nasze milczenie ma cenę dwudziestu milionów Taki jeden który nie zapłacił już nie żyje za karę Mam nadzieję że to do ciebie dotarło i że dostarczysz nam o trzeciej nad ranem dwadzieścia milionów w banknotach po tysiąc i pięćset na szosie Arrabassada kilometr trzy trzysta jutro w nocy o trzeciej nad ranem ty jaśnie pani zdziro Grupa Akcji Rewolucyjnej (GAR) PS Jutro rano otrzymasz dalsze instrukcje Jeśli zawiadomisz policję wszystkich was wykastujemy (GAR) Adwokatowi Gasullowi drżały ręce, w których trzymał ten papier.

– Mówisz, że ten list znalazłaś w skrzynce pocztowej...

– Tak.

– O co chodzi z tymi okolicznościami śmierci Fontellesa?

– Nie mam pojęcia.

Gasull patrzył na kark łysego szofera za szybą ochronną. Zwrócił się w stronę Elisendy i przyjrzał się jej twarzy. Nie wiedział, czy ma to powiedzieć, czy lepiej dać sobie spokój. Odezwał się cicho: – Chcesz, żebyśmy zawiadomili policję?

Zauważył, że Elisenda wstrzymała oddech na cztery, sześć sekund i dopiero wtedy zareagowała. Odzyskawszy panowanie nad sobą, powiedziała nie, to przecież śmieszne...

– To dlaczego mi to pokazałaś?

– Z przezorności. Ponieważ ty...

– Zgoda. Chcesz znać moje zdanie?

Samochód jechał teraz ulicą Fontanella, tą samą, którą jej ukochany Oriol szedł za Valentínem, trzydzieści jeden lat temu, żeby przedziurawić mu potylicę. Zaraz potem skręcił w via Laietana, w stronę portu. Adwokat pomachał szarą kopertą i odłożył ją na stolik.

– Nie zwracaj uwagi. Ktoś, kto cię nie lubi, chce cię postraszyć.

Nie odzywali się przez dłuższą chwilę. Gasull patrzył w okno. Kiedy w Barcelonie padał deszcz, światła strajkowały i gęstniał ruch na ulicach. Wziął papier do ręki i ponownie przeczytał.

– Zastanawiam się, o co chodzi z tą śmiercią Fontellesa – powiedział zamyślony. – To brzmi jak groźba. Czy pochodzenie Marcela.

– Jakby komuś bardzo zależało, mógłby się dowiedzieć, że Marcel jest adoptowany. Ale dlaczego mi tym grożą? Czy to przestępstwo adoptować dziecko?

– A śmierć Fontellesa?

– Jestem jedyną żyjącą osobą, która była przy tym obecna. Dlatego wiem, co się wydarzyło, i nie rozumiem tej groźby.

Znów zapadło milczenie. Gasull czekał na dalsze zwierzenia. Ale Elisenda podziwiała widok za oknem rozmyty strużkami wody spływającymi po szybie.

– Poślij tam Gómeza Pié. O godzinie wskazanej w liście.

– Jutro nad ranem.

– Zobaczymy, czy znajdzie coś interesującego. Ja wrócę do Toreny na wypadek, gdyby przyszły dalsze instrukcje od tych wariatów.

– Zawiadomimy policję.

– No dobrze, żebyśmy się zrozumieli: jeśli zawiadomisz policję, natychmiast cię zwalniam. – Oparła się na wygodnym siedzeniu i zamilkła.

– Będą jacyś znajomi na przyjęciu? – zapytał Gasull, żeby zmienić temat.

– Będę otoczona monarchistami czystej wody, takimi jak ja. – Zamknęła oczy. – Teraz muszę się skoncentrować.

Gasull patrzył na nią, nie wiedząc, czy się uśmiechnąć czy lepiej zachować powagę. Ona z zamkniętymi oczami niczego mu nie sugerowała, a on nie odważył się zapytać wprost. Taka była piękna, w ten deszczowy, grudniowy wieczór, w drodze do Kapitanatu Generalnego.

Bankiet okazał się nudny i dziwaczny. Jako że król, który dopiero co zadebiutował, nie był cudotwórcą i nie potrafił się rozdwoić, żeby odwiedzić jednocześnie wszystkie przyjęcia, jakie wydawały na jego cześć wszystkie delegatury wojskowe, zaproszeni goście musieli oglądać, jak oficerowie obecni na uroczystości oddawali honory telewizorowi Telefunken, dwadzieścia dwa cale, na którego ekranie widniał obraz króla i słyszało się jego krótkie

przemówienie. A poza tym miały miejsce uściski dłoni, ukłony, uśmiechy, ukradkowe spojrzenia i szepty to jest pani Vilabrú, ta od Brusport, tak, ta multimilionerka, tak, i z któregoś kąta sali wyłoniła się przyklejona do szklaneczki whisky Mamen, która podeszła z wyraźnym zamiarem rzucenia się Elisendzie na szyję, czy to jej się podoba czy nie, z pochyloną głową, czule wykrzywionymi ustami, wyciągniętymi ramionami i niebezpiecznie przechyloną szklaneczką whisky, i kiedy już była bardzo blisko, zawołała jak to cudownie mieć króla, nie sądzisz, Eli? Nie pozwoliła sobie na agresję ani też jej nie przypominała o Quique, uśmiechnęła się tylko i dalej rozmyślała o liście, który zaczynał się od słów Elisendo, ty zdziro.

Następnego dnia przy śniadaniu sok pomarańczowy smakował jak zawsze, grzanka również, podobnie herbata, nawet Ció się nie zmieniła. Ze stosu korespondencji Elisenda wyłowiła list, który wyglądał znajomo. Tym razem nie był szarawy, tylko zielonkawy. Pieczętka też pochodziła z Sort, a zielonkawy papier w środku głosił tymi samymi drukowanymi literami To znowu ja pamiętaj tej nocy dwadzieścia milionów A jak zawiadomisz policję zabiję twoje wnuki i opowiem całemu światu ze szczegółami wszystko co wyczyniałaś z nauczycielem Fontellesem i z innymi kochankami których lista jest długa Valentí Targa falangistowski burmistrz morderca Jacinto Mas napalony szofer adwokat Romà Gasull i ta pomyłka uchodząca za człowieka imieniem Quique Esteve To lepiej się zastanów ty zdziro I na pewno było ich więcej bo masz taką żarłoczną cipę którą trudno zapchać Grupa Akcji Rewolucyjnej Kastracji (GARK) I dlatego Elisenda dobrze ukryła kopertę, bo nie miała zamiaru pokazywać Gasullowi żadnej listy kochanków. Gark. Trzeba będzie zastosować radykalne środki. Nie odstępuj od zrobienia tego, co powinnaś zrobić, jeśli uważasz, że tak zrobić powinnaś. Dla dobra wszystkich.



– Choćby ci się źle powodziło, pamiętaj, żeby od nikogo z domu Ventura nie wziąć ani grosza za wyrzeźbioną przez siebie płytę. Nadejdzie dzień, kiedy niebo znów stanie się niebieskie i już nie będzie grzechem wykuwanie prawdziwych nazwisk w kamieniu, Jaumet.

– Tak dziadek powiedział?

– Tak. Amèlio, córeczko, uważaj. Cofnij się, tu ją położę.

– Co za potwór, no nie, z tego burmistrza.

– Jaume, jesteś pewien, że nic nie powiedzą, jeśli zamienisz...

– A co mi mogą zrobić? Rozstrzelają mnie? Franco zmarł dwadzieścia cztery godziny temu.

– Może zapytaj o zdanie Venture.

– Prawdziwy prezent musi pozostać niespodzianką.

– Tato, a kto to taki ta Rosa Esplandiu?

– Jedna z sióstr małego Ventury.

– Miała serce czyste i wielkie jak góra Montsent. Kto zamówił takie piękne epitafium?

Jaume Serrallac przesunął szorstką ręką po gładkiej powierzchni płyty, jakby chciał z niej usunąć niewidzialny pyłek.

– To była pierwsza narzeczona twojego ojca. – Serrallac usłyszał głos swojej

žony.

VI

Pamięć kamieni

Nigdy nie wiadomo, jak daleko może się posunąć nieszczęście.

BIBIANA Z DOMU MOROS Z BAIASKI

– Precyzyjnie rzecz ujmując, chodzi o patologiczny stan żywej substancji (organu, tkanki czy komórki), który się objawia zmianami morfologicznymi, fizycznymi lub chemicznymi. W moim przypadku chodziło o to zwyrodnienie hepatocerebralne nabyte rozpoznane jako syndrom Woerkama-Stadlera-Adamsa przez konsylium trzech moich kolegów, którzy badali mój przypadek, dający obraz anatomiczno-kliniczny nie wrodzony czy dziedziczny, lecz nabyty, o charakterze neurologiczno-psychicznym, bardzo podobnym do choroby Wilsona, obserwowany u pacjentów, którzy cierpią na chroniczne dolegliwości hepatyczne.

– Ja cię kręcę.

– Aha. Lekarz wojskowy, pułkownik Celio Villalón Cañete de Híjar i doktor José Puig Costa zgodnie stwierdzili, że to zwyrodnienie hepatocerebralne nabyte zwane syndromem Woerkama-Stadlera-Adamsa samoistnie ustąpiło i znikło w sposób, którego medycyna nie potrafi wyjaśnić, kiedy pacjentka, to znaczy ja, pomodliła się do czcigodnego Joségo Oriola Fontellesa, aby wstawił się za mną u Najwyższego słowami modlitwy, którą sama ułożyłam i która jest na tym obrazku, proszę, proszę, i pani też, przystojny był, co, a idzie to tak o Boże, który w swoim miłosierdziu przyjmujesz do siebie dusze swoich stworzeń, kiedy przyjdzie na nie czas, udziel mi łaski [*tu trzeba wymienić, o co prosimy*] za wstawiennictwem czcigodnego męczennika Joségo O kropka Fontellesa, który przebywa z tobą w Królestwie Błogosławionych. Amen. A potem dobrze jest odmówić dziesięć zdrowaśmario i łaska, o którą prosimy, zostanie nam udzielona. Za-wsze-się-spraw-dza. Zawsze.

– Panno Báscones.

– Rozmawiam z tą panią.

– O to właśnie chodzi: proszę o ciszę.

– Proszę księdza, właśnie wyjaśniam tej pani, jaką rolę odegrałam w procesie beatyfikacji naszego...

– Rozumiem, ale teraz proszę przestać, przywołują nas do porządku.

– Co oni tam wiedzą.

Jeden z tych krótko ostrzyżonych siepaczy w komży podchodzi tam, gdzie Cecilia Báscones rozdaje obrazki, na których poza modlitwą znajduje się na odwrocie jedyna zachowana fotografia Oriola w uniformie falangisty, słabej jakości. Trzy panie i trzech panów całuje z czcią wizerunek tego, którego dziś Kościół ogłasza błogosławionym, i chowa razem z ulotką, na której widnieje prośba, nie: żądanie natychmiastowej kanonizacji generała Franco, jako idealne pamiątki z tej niezapomnianej uroczystości. Ksiądz Rella macha ręką do tego w komży, żeby go uspokoić, że wszystko jest pod kontrolą, wiadomo, to tylko emocje wywołane ceremonią, takie tam.

– Kiedy to było, proszę pani?

– Niech policzę, ja teraz mam osiemdziesiąt sześć...

- Niemożliwe.
- Tak jak pani słyszy.
- Nigdy bym nie powiedziała. Wygląda pani, no nie wiem, najwyżej na...
- A jednak. Wtedy miałam czterdzieści jeden. Tyle co ogłosili naszego błogosławionego Josého czcigodnym.
- Błogosławionego Oriola.
- Nie. Błogosławionego Josého. Co najwyżej błogosławionego Josého O kropka.
- Błogosławiony Oriol Fontelles.
- Kto wie lepiej, pani czy ja, ofiara cudu?
- Panno Cecilio Báscones, drogie panie, bardzo proszę o ciszę.
- Pani Elisenda rozmawia tu sobie z Ojcem Świętym i nikt jej nie zwraca uwagi. A ja powiem dwa słowa i zaraz wielki krzyk. – Ścisząc głos: – Ksiądz Rella jest o mnie zazdrosny. Taka jest prawda.
- I mówi pani, że pani Elisenda osobiście opłaciła cały proces beatyfikacji.
- Stać ją. I dobrze robi, skoro jest bogata. Ta kobieta śpi na pieniądzach.
- Pani ją zna?
- Pochodzimy z tej samej miejscowości. Ale ona za bardzo... no nie wiem, za bardzo zadziera nosa. Jest z tych, co to uważają, że nikt im do pięt nie dorasta. Ale w głowie ma dobrze poukładane, nie powiem, że nie. Niech pani spojrzy, to pewnie krewni tego Polaka. Wyglądają na wieśniaków, co?

Mimo obecności porządkowego w sutannie, mimo wysiłków księdza Relli, Cecilia Báscones zdołała opowiedzieć wiernej publiczności sporą część swojej pasjonującej biografii, która zaczynała się w momencie, kiedy jej ojciec, dzielny żandarm Atilano Báscones Atienza, pochodzący z Calahorry w Hiszpanii, został zraniony przez bandę zamaskowanych złoczyńców, przemytników, którzy przepędzili w bestialski sposób ludzi Caregue, podczas gdy oni od lat, ku ogólnemu zadowoleniu, działali w dolinie Tor i Ferrera i mieli stałe kontakty z Andorą. Na przełęczach Boet, Vell, Negre w Pallars czuli się jak we własnym domu, na długo zanim piętnasta brygada ośmieszyla się w dolinie Ferrery, bo nie zasięgnęli opinii tych, którzy naprawdę dobrze znają tamte okolice. Okazuje się, że Caregue poszedł na skargę do władz w Sort, wyklinał na młodzież, która nie przestrzega reguł, i spotkał się ze zrozumieniem władz, bo ci zamaskowani nikomu nie wypłacali doli. Złe, ale dobrze poinformowane języki twierdzą, że przyczyną nieszczęścia Caregue nie była samowola młodego Valentína Targi, lecz fakt, że jeden z jego ludzi, nie wiadomo który, ukradł obrusy z prania rozwieszonego przez Encantades, więdźmy, przed jaskinią Bones Dones w Tor, i ukrył je razem z towarem. Koniec końców, w efekcie desperackich interwencji Caregue, został wysłany patrol, żeby przeczesać teren wokół rzeki Noguera w dolinie Tor; podnosili

kamienie, zaglądali do mrowisk, wchodzili na drzewa, sprawdzili wszystkie jaskinie, żeby wyłapać zamaskowanych przemytników i wsadzić ich do więzienia. Ale akcja przebiegła zgoła inaczej. Ponieśli sromotną klęskę (jeden zabity, trzech rannych, a jednym z nich okazał się ojciec Cecilio Bascónes, z przetrzelenym kolaniem), co zmusiło władzę do patrzenia przez palce na przemytników, bo nikt nie potrzebował problemów teraz, gdy Primo de Rivera przejmuje stery w państwie. Ojciec, kiedy musiał przejść w stan spoczynku z powodu kuli w kolanie, sprowadził się do Toreny z moją matką i ze mną, pięcioletnią dziewczynką. A przemyt do Andory pozostał w rękach zamaskowanej bandy, której członków nikt nie znał. Aż do momentu, kiedy wydarzył się ten incydent w Malavelli, oczywiście. Co, nie słyszała pani o tym? No tak, pani nie jest z tamtych stron... Z Balaguer? Mieszkali tam moi kuzyni, tak, tak. No, ale już nie żyją. Tak, Campàsowie. No, jednym słowem, co za skandal, ten incydent w Malavelli. A w roku czterdziestym dostałam kiosk, tak. No, kiosk wielobranżowy, wiadomo, jak to w małym miasteczku. Szczęście, że go miałam, bo z renty sierocy bym nie wyżyła. Co pani sądzi o kanonizacji caudilla?

– Co proszę?

– No, o tej ulotce, że Franco zasługuje na...

– To skandal.

– A ja jestem jak najbardziej za. A jak będzie trzeba uznania cudu za jego przyczyną, można na mnie liczyć, tak, proszę pani. Och, ci to na pewno krewni tej Japonki. Nie, ja trochę nie dosłyszę, słuch mi się pogorszył. Ale wzrok mam jak za młodu, tak, tak. Nie to co pani Elisenda, biedaczka, która od dawna jest ślepa.

– Ach, to od urodzenia?

– Nie, skądże znowu: to efekt cukrzycy z hiperglikemią, która charakteryzuje się poliurią, czyli wielomoczem. A dokładnie polega to na uszkodzeniu naczyń krwionośnych siatkówki, czyli na retinopatii cukrzycowej, której skutkiem jest amaurosis.

– Amaurosis... – Nieufnie, żeby przypadkiem się nie zarazić.

– To znaczy ślepotą.

– Ach, ślepotą. A skąd pani tyle wie o leczeniu?

– Silna wola. W kiosku się nudziłam, no to się zabrałam do studiowania farmacji. Zawsze mnie interesowało wszystko, co ma związek ze zdrowiem. Syndromologia. Synektenterotomia. Partenogeneza.

– To nadzwyczajne.

– W medycynie podoba mi się brzmienie słów. Pantomografia.

– Można tylko pozazdrościć takiej jasności umysłu w pani wieku.

– Kim chciałabyś zostać, jak dorośniesz, Cecilio? – pytał ją ojciec. A ona odpowiadała: generałem Franco. Ojciec z rozbitym kolaniem śmiał się i mówił

do klientów w barze Marésa widzieć, jaka mądra dziewczynka? Chce być generałem Franco. A oni zatapiaли zimne jak lód spojrzenia w niemym dnie szklanki kawy z procentami.

– W dzieciństwie chciałam zostać generałem Franco albo lekarzem. Ale jako kobieta nie mogłam zostać lekarzem.

– Ale kiosk to też niezły interes, prawda?

Cecilia Báscones nie przyznała się, że kiedy była młodsza i ktoś do niej przychodził po celtesy bez filtra dla Gassiana (odrażający republikanin, kataloński nacjonalista) czy kostki rosołowe i bibułkę dla tych z domu Felicó (odrażający republikanie, katalońscy nacjonałiści) albo paczkę cygaretek i trzy puszki sardynek dla Burésa (prawdziwy, szczery patriota), zamiast sardynek, cygaretek, kostek rosołowych, bibułki czy celtesów bez filtra odmierzała odpowiednie dawki insuliny, tabletek paracetamolu czy fiolki silnego środka antyfibrynowego o natychmiastowym działaniu, a nawet kropelki przeciwhistaminowe zapobiegające wstrząsom anafilaktycznym.

– Bisonty, Cecilio.

Cecilia Báscones szła na zaplecze, gdzie trzymała puszki przecieru pomidorowego i szpulki kolorowych nici, kładła na precyzyjnej wadze paczkę bisontów, patrzyła, jak na drugą szalkę opada proszek Seidlitz, i wyobrażała sobie, że uciera tabletki, po czym wracała do sklepu z paczką bisontów i z nieprzytomnym wzrokiem.

– Jeszcze znaczek za pięćdziesiąt centymów. Cecilio, słyszysz, co do ciebie mówię?

– Tak, paracetamol.

– Cecilio...

– Tak, kiosk to niezły interes. Oj, jaki on starusieńki, ten nasz papież.

– Zdążyliśmy z beatyfikacją naszego Oriola dosłownie w ostatniej chwili.

– Beatyfikacją Joségo O kropka Fontellesa.

O trzeciej nad ranem wyczerpana wyłączyła komputer. Do szybszego ukończenia przepisywania ostatniego zeszytu Fontellesa zmobilizował ją pewien koszmar. Parę nocy temu zbudziła się spocona, gdy we śnie zobaczyła niszczenie pudełka po cygarach. Chyba przypadkiem Jordi wykorzystał te zeszyty do rozpalenia ognia w kominku, a kiedy ona dotarła na miejsce zbrodni, z jakąś nieznajomą u boku już rwał pudełko na strzępy. Obudziła się na granicy zawału. Jordi leżał na swojej połowie łóżka, oddychał równo, ze spokojnym sumieniem. Musiała wstać, żeby sprawdzić, czy pudełko po cygarach nadal jest w drugiej szufladzie jej biurka. Było. Wtedy podjęła trzy decyzje: trzeba zrobić kopię, zapytać, jak się załatwia skrytkę w banku, i o niczym nie wspominać Jordiemu.

A teraz skończyła realizację pierwszego postanowienia. Leżał przed nią spory plik kartek, z których łatwiej się czytało, ale nie miały tej patyny, którą dystans blisko sześćdziesięciu lat pozostawił na zeszytach.

Wtedy wpadła na pewien pomysł, o trzeciej nad ranem, kiedy najwięcej sensu miałyby sen, zwłaszcza że na zewnątrz, jak ostrzegał termometr za oknem, temperatura spadła sporo poniżej zera. Zrobiła sobie kawę, bo o tej porze wszystko w mieście jest pozamykane, założyła najcieplejszą kurtkę i wyszła z mieszkania, starając się nie hałasować. Na ulicy jej oddech zamienił się w gęstą chmurę. Nie padało, ale ziemię pokrywał brudny, rozdeptany śnieg. Citroen przycupnięty przed jednym z sąsiednich domów zapalił od razu. Pół minuty później już jechała poza miastem, sama, z wyziębioną duszą, oczami zmęczonymi od długiego wpatrywania się w ekran, zmuszonymi teraz do śledzenia gładkiego pasma drogi, pomiędzy długimi zaspami śniegu. Drżała z zimna, bo ogrzewanie w tym aucie będzie trochę bardziej skuteczne dopiero po pokonaniu paru kilometrów. Ale to nieważne, pomyślała. To nieważne, o wiele gorzej jest wiedzieć, że Jordi okazał się niehonorowy, że prawdopodobnie jakaś wspólna znajoma stanowiła część tego oszustwa. A jeżeli ta tajemnicza kobieta to prostytutka? Co tydzień ta sama? Nie: ona nie mogła być całkiem nieznajoma, Jordi musiał ją sobie znaleźć w szkole, bo nie miał czasu ani okazji do zawierania znajomości w jakimś innym środowisku, po prostu nie znał innego środowiska. No więc to na pewno ktoś ze szkoły. Problem w tym, że w szkole pracowało dziewiętnaście nauczycielek, dwie sekretarki, dwie kucharki i trzy sprzątaczkę, w sumie dwadzieścia sześć kandydatek. Dwadzieścia pięć, jeśli odliczy siebie. Jakiś samochód za nią dawał jej znak światłami; przestraszyła się, bo od razu pomyślała, że to Jordi ją śledzi. Zmniejszyła

szybkość i zjechała na pobocze, prawie na śnieg. A więc koleżanki. Po raz kolejny, nie wiadomo który, robiła przegląd: Dora, Carme, Agnès albo Pilar. Pilar odpada, ma sześćdziesiąt lat. Nie sądzę. Agnès, na pozór ciepłe kluski, ale swoje wie... Albo Carme, która zaliczyła już dwa rozwody i dwóch mężów. Jest z tych nienasyconych, widać po ogniu w jej oczach, że nigdy nie ma dość i zawsze myśli o jednym, jak faceci. Dora jest za młoda. Teraz samochód z tyłu zmienił długie światła na światła mijania, żeby ją wyprzedzić. Za młoda? Może to właśnie jej atut... Ta nieustanna ruletka w głowie z imionami wchodzących w grę kobiet stała się prawdziwą udręką. Kiedy samochód, który prześladował ją światłami, przejechał obok, pokazała środkowy palec kierowcy. Ogarnęła ją panika, gdy stwierdziła, że za kierownicą siedzi Jordi. Jak już ją wyprzedził, pomyślała, przecież to niemożliwe, to żółte światła, a kiedy znalazł się przed nią i zobaczyła francuską rejestrację, odetchnęła z ulgą. Była zła na samą siebie: czego się bała? Że ktoś ją przyłapie? Nie miała nic do ukrycia, poza pudełkiem po cygarach. Dlatego parę razy włączyła długie światła, żeby oddać przysługę za przysługę samochodowi żabojada, i od razu jej ulżyło.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego – powiedział niezadowolony mężczyzna i wpuścił ją do środka.

Sala w słabym świetle lampek awaryjnych wydawała się uśpiona; odpoczywała przed podjęciem od świtu trudu kolejnego dnia pełnego dymu, hałasu, rozmów i chłodu. Większą część przestrzeni zajmowało około dwunastu stolików z krzesłami. Po przeciwnej stronie był kontuar baru, a w głębi oświetlona ciepłym światłem, usytuowana w rogu lada recepcji z przegródkami na klucze. Tina ściągnęła czapkę i rozpięła kurtkę. Mężczyzna podszedł do lady.

– Potrzebny pani pokój? – starał się przyspieszyć rozmowę, żeby skończyć jak najszybciej i wrócić do łóżka.

– Nie. – Patrząc na jego szlafrok i piżamę: – Przepraszam, sądziłam, że zawsze ktoś ma tu dyżur. A ja właśnie chciałam porozmawiać z kimś, kto ma dyżur nocny.

– Nie ma tu takiego ruchu, żeby utrzymywać nocny personel.

– A jak ktoś przyjeżdża o tej porze?

– O co pani chodzi? Chce pani pogadać... – Jego nadgarstek znalazł się w kręgu światła nad ladą. Tina zauważyła, że mężczyźni z trudem przychodzi utrafienie we właściwy ton. – O czwartej nad ranem? – Surowo: – Proszę przyjąć do wiadomości, że ja już od szóstej zaczynam podawać kawę.

Tina wyciągnęła zdjęcie Jordiego. Zrobiła je dwa lata temu, kiedy pojechali do Andory po świętach Bożego Narodzenia przepuścić trzynastkę. Ciemne oczy Jordiego błyszcząły; patrzył z miłością w obiektyw aparatu.

– Zna go pan?

Mężczyzna zmieszany, zdziwiony i zirytowany popatrzył na Tinę, wziął do ręki zdjęcie i zbliżył je do światła. Przyjrzał się Jordiemu. Żadnej reakcji.

– A pani kim jest? Policjantką? Detektywem?

– Jego żoną.

Mężczyzna oddał jej zdjęcie i gestem wskazał drogę do wyjścia: – Przepraszam, mnie pani intrygi nie... – Pokręcił głową. – Nie chcę nic o nich wiedzieć. To jest pensjonat i bar, a ja nie odpowiadam na pytania, które mogłyby zaszkodzić naszym klientom.

– Czyli pan go zna, skoro jest waszym klientem.

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że...

– Dziękuję.

Tina wyszła, kiedy on jeszcze kończył się tłumaczyć z niemiłym poczuciem własnej śmieszności. Mężczyzna zamknął drzwi na klucz i zasuwę, zły, zirytowany z powodu tej upierdliwej baby, która się uparła, żeby sobie ostrzyć rogi nad ranem.

Zaparkowała citroena w tym samym miejscu, w którym zabarykadowała się wtedy, kiedy ich śledziła. Obserwowała drzwi pensjonatu, teraz pogrążonego w ciemności. Od tamtego czasu minął miesiąc, a ona zyskała tylko niepewność i niepokój. Przyszło jej do głowy, że jest o wiele wygodniej nie uświadamiać sobie swoich nieszczęść niż stawiać im czoło. Ale trudno jest ignorować coś, o czym już wiesz. Osiągnęła już szczyt tchórzostwa, bo ani nie mogła go zignorować, ani nie zdobyła się na odwagę, żeby walczyć z otwartą przyłbicą: bawiła się w szpiegowanie. Zapaliła samochód zła na samą siebie i przeklęła tego cholernego hotelarza, który nie wykazał się nawet minimum uprzejmości... Samochód przejechał zaledwie cztery metry i gwałtownie wcisnęła hamulec. Punkt czwarta. Szkoda, że nie pomyślała o termosie.

Kobieta przyglądała się zdjęciu Jordiego przez dłuższą chwilę, może chciała ocenić jakość tych ukochanych i znienawidzonych rysów twarzy. Jak można znienawidzić twarz tak bardzo kiedyś kochaną? Tina pomyślała o Oriolu, który wiedział, że Rosa nim wzgardziła, choć jeszcze niedawno go kochała. Kobieta postukała starannie wypielęgnowanym paznokciem w ciemnobrązowe oko Jordiego i zdjęła okulary, które teraz wisały jej na szyi.

– Raz w tygodniu. Ze swoją żoną.

– Ja jestem jego żoną.

– Coś takiego...

– Tak.

Tina ujęła filiżankę kawy z mlekiem obiema rękami, żeby się rozgrzać. Za ladą właściciel przygotowywał kawę dla pierwszych wycieczkowiczów i

kierowców ciężarówek, i od czasu do czasu zerkał niezadowolony na obie kobiety.

– Co ja na to poradzę? – westchnęła właścicielka.

– Chcę wiedzieć, kim ona jest.

– Mnie się wydaje, że lepiej w to nie wnikać.

– Nie. Nie zasnę, dopóki się nie dowiem, kim ona jest.

– Żyłaby pani spokojniej bez tej obsesji.

– Ale to musi być ktoś, kogo znam. Na pewno. A ja się nie zgadzam, żeby mnie oszukiwali, nie dam się okpić ani jemu, ani jej. Muszę im to powiedzieć w twarz.

– Tego pani nie zrobi. To bardzo trudne.

– Zrobię.

– No, to się okaże.

Właściciel przyniósł zamówioną przez Tinę kanapkę. Zły, po cichu strofował swoją żonę.

– Nie możesz z nią rozmawiać o klientach.

– Wracaj do robienia kawy, skarbie... – Prawie na niego nie patrząc, zdecydowanym gestem wskazała głową bar i uśmiechnęła się do Tiny. Otworzyła księgę meldunkową i założyła okulary. – Mówi pani ubiegły wtorek.

– Każdy wtorek. Nie wiem, od jak dawna.

– Od lata. Przynajmniej u nas od lata.

Od lata, o mój Boże, od lata Jordi ją okłamuje i ukrywa przed nią część swojego życia, latem jej ukochany odebrał jej swoją miłość.

– Bardzo mi przykro – powiedziała właścicielka. – Może damy sobie z tym spokój?

– Nie.

Kobieta zaczęła przeglądać księgę meldunkową, mrużąc pod nosem wtorek, wtorek...

– Tutaj. – Pokazała starannie wypielęgnowanym paznokciem imię i nazwisko. – Nazywa się Rosa Bel.

– Rosa Bel.

– Zna ją pani? – Teraz to właścicielka uległa ciekawości.

Rosa Bel. W szkole dwie nauczycielki nosiły to imię, ale żadna nie nazywała się Bel. Rosa Bel. Rosa Bel. Więc jednak jej nie znała. Nie znała kochanki swojego męża. A myślała, że jest nią jedna z koleżanek z pracy. Może lepiej, że to tak wygląda. Może lepiej... Ale skąd by ją wziął? Przecież nie miał kiedy jej poznać...

– Może to fałszywe nazwisko.

– Proszę pani, my tu prosimy o dowód osobisty; wszystko jest legalne.

– Przepraszam...

Dojedzona do połowy kanapka stanęła jej w gardle. Przecież powinna się

cieszyć, że nie zdradza jej z żadną koleżanką z pracy! A ona przeciwnie, czuła się rozczarowana, bo w ten sposób Jordi oddalał się od niej jeszcze bardziej, bo żył w świecie, którego ona nie kontrolowała, i jego zdrada zataczała szersze kręgi, stawała się jak ocean. I wtedy przyszło jej coś do głowy.

– A jak się nazywa ten mężczyzna?

– Jordi Oradell.

– Co takiego?

Właścicielka przesunęła księgę tak, żeby mogła sama zobaczyć. Pismem Jordiego napisano Jordi Oradell. I pismem... czyim pismem? Pismem, które nie było jej całkiem obce, pod spodem zapisano nazwisko Rosa Bel. Zaczynała rozumieć.

Kiedy brała prysznic, żeby się rozgrzać, Jordi zajrzał do niej zdziwiony, odsuwając zasłonkę.

– Nie kładłaś się dziś do łóżka?

– Wstałam jakiś czas temu – powiedziała i odkręciła kran, żeby uniknąć dalszych pytań. Teraz to ona miała sekrety. Jordi golił się w milczeniu, myślami błądził gdzieś daleko, może zaprzętały go własne sprawy. Krzątał się jeszcze w łazience, kiedy wyszła do szkoły, unikając w ten sposób kolejnej serii niewygodnych pytań.

Rosa i Joana podniosły głowy, gdy weszła do sekretariatu. Stwierdziły, że to ona, i wróciły do swoich zajęć.

– Macie listę nauczycieli?

– Tak. Co chcesz wiedzieć?

– Chcę sprawdzić niektóre telefony.

– Jeśli chcesz, zaraz sprawdzę. – Joana przesunęła fotel w stronę monitora. – O kogo chodzi?

– O Agnès i... Ricarda Termesa – musiała improwizować.

Joana, jak zwykle nieludzko skuteczna, w dwie sekundy powiedziała zanotuj sobie. I Tina musiała zanotować telefony Agnès i Ricarda Termesa, których wcale nie potrzebowała. Uśmiechnęła się zadowolona, powiedziała do widzenia, a kiedy wyszła, Rosa podniosła głowę znad swojej roboty i skomentowała zastanawiam się, czemu sama ich o to nie zapyta.

Lęk. Szkoła nocą budzi lęk. Nic się nie powinno wydarzyć, ale słabe światła awaryjne były gorsze niż ciemność, bo wywoływały cienie i zjawy. Usunęła blokadę w okienku na portierni, przesunęła szybę i po omacku obmacywała ścianę, aż ukłuła się w rękę hakiem, na którym wisały klucze. Zdjęła cały pęk: po dwóch minutach sprawdzania, który z nich pasuje, już stała w sekretariacie. Przygotowała sobie latarkę, jak złodziej. Jak złodziej wejść do twojego

przybytku, o Jahwe, i jak złodziej wyjdę z niego o brzasku.

Teraz jasność monitora odbijająca się na jej twarzy ją samą zamieniła w zjawę. Straciła dobre piętnaście minut, zanim znalazła plik z nazwiskami nauczycieli. Nie wystarczyło jej cierpliwości, żeby go wydrukować, tylko przesuwiała na ekranie listę i szukała tej, której drugie nazwisko brzmiało Bel, tak jak Jordi podał swoje drugie nazwisko figurujące w dowodzie osobistym, ukrywając dzięki temu swoją tożsamość. Agnès na drugie miała López, Dora nazywała się Espinalt, Carme – Duc. A Maite? Riera. Czy nie znajdzie nikogo, kto po matce nazywałby się Bel?

Żadna nauczycielka nie nazywała się Bel. Żadna, słyszysz? Żadna. Twoja dociekliwość sięgnęła bruku, cała ta ryzykowna operacja na nic, tyle udręki i niepokoju na nic. Wtedy przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić inny plik, z resztą personelu szkoły, i tam ją znalazła. Jeszcze jak znalazła. Tę zdziwę Joanę Rosę Candàs Bel. Rosa Bel. Joana nazywała się Joana Rosa. Sekretarka szkoły. Jordi się zadawał ze szkolną sekretarką, dobrą koleżanką z pracy, przykładną, idealną, bezpośrednią, honorową, pomysłową, szczerą, zdolną, przyzwoitą, poważną, uczciwą, prostolinijną, dyskretną, zimną, serdeczną, niezawodną, poprawną, rzetelną, dobrze wychowaną, pracowitą, skuteczną, mało mówną, praktyczną, solidną, wykształconą, zaradną, ambitną, fałszywą, karierowiczką, sprytną, przebiegłą, dwulicową, chwiejną, hipokrytką, kłamczuchą, nieuczciwą, makiaweliczną, złośliwą, zdradziecką, perfidną, nienawistną, bezwstydną, obrzydliwą, perwersyjną, niegodziwą, wstrętną, odrażającą, podłą i żalną koleżanką z pracy, Rosą Bel. Tina wyłączyła komputer i w jej duszy zapanowała ciemność.

Kiedy Marcel Vilabrú i Vilabrú, syn Oriola Fontellesa Grau (z rodu Vilabrú-Comelles i Cabestany Roure) i Rosy Dachs Esplugues (z rodu Vilabrú z Toreny ze strony ojca i rodu Ramis ze strony matki, Pilar Ramis z Tírvii, tej pół dziewczki, pół latawicy, o której lepiej nie wspominać przez szacunek dla biednego Anselma) skończył trzydzieści dwa lata, mijał właśnie rok od śmierci Franco i pół roku, od kiedy jego matka, pani Elisenda, zerwała niektóre znajomości, te najbardziej kłopotliwe, powiedzmy lepkie, które utrzymywała podczas minionego reżimu (ale nie wszystkie naraz, ponieważ, w zasadzie, zmiany, które miały nastąpić i których oczekiwał cały kraj, były pomyślane w sposób tak racjonalny, żeby nic się nie zmieniło), i mijały trzy miesiące od osobistej audiencji u króla, na którą dostała zaproszenie dzięki temu, że mogła się powołać na inną, doprawdy opatrnościową audiencję, jaką wpisała do swojego życiorysu dosłownie w ostatniej chwili (dobrze, że pomyślała o ściągnięciu fotografów, no cóż). Bardzo zatroskany i zmizerowany Paweł VI powiedział wtedy, omijając ją wzrokiem tak, córko, Watykan śledzi z zainteresowaniem twoje zaangażowanie w sprawę czcigodnego Fontellesa. Na audiencję u króla udała się w towarzystwie syna, którego przedstawiła jako rękojmię przyszłości sportów zimowych. Dzięki wyrafinowanej strategii uzyskała królewską obietnicę (nie od samego monarchy, ale z jego dworu), że podczas najbliższych ferii zimowych rodzina królewska przestanie się kompromitować na łąkach Vaquèiry i będzie to robić w otoczeniu wspaniałych instalacji w Tuca Negra w gminie Torena, a w podzięce za pańską nieocenioną interwencję, panie pułkowniku, pan i cała pańska rodzina macie gratis wszystkie pobyty w naszym ośrodku, na jakie wam przyjdzie ochota, do końca życia. Amen.

Marcel wiedział od kołyski, jak się załatwia takie sprawy. Najpierw trzeba uważnie przestudiować strukturę organizacyjną właściwą upatrzonej ofierze i sprawdzić, kto podejmuje decyzje, jakiego rodzaju i w jakim zakresie. Następnie trzeba przewidzieć możliwe punkty oporu, żeby je atakować tylko w ostateczności, rozdając uśmiechy i duże sumy pieniędzy, niekoniecznie na łapówki, ale, no wiesz, raz to, raz tamto. To subtelna sztuka, której nie osiąga się dzięki znakomitym wynikom na studiach czy wysokiemu ilorazowi inteligencji, tylko dysponując ulotną gotowością duszy do takiego działania. A jego dusza była zwarta i gotowa. Do tego stopnia, że mógł uchodzić za najlepszego ucznia swojej matki. W trakcie kontaktów z dworem królewskim Marcel zaprzyjaźnił się z młodszym personelem, który zapraszał niezliczoną

ilość razy, żeby robili w Tuca, na co im przyjdzie ochota, a tam jest wszystko z wyjątkiem nudy. Te inicjatywy uspokoiły matkę i przekonały ją, że Marcel, gdy tylko nabierze ogłady, będzie jej godnym następcą. Tak więc we wrześniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego firma Vilabru Sport oraz instalacje sportowe w Tuca Negra dysponowały znakomitym menedżerem, a ponadto miała pod ręką wiernego jak pies adwokata Gasulla, który mógł nauczyć Marcela przeczności, dzięki czemu pani Elisenda Vilabru i Ramis mogła spokojnie kupić sobie kolejny bilet lotniczy do Rzymu.

– Nie pozostajemy obojętni na pani szczodry udział w dziele ukończenia budowy sanktuarium w Torreciudad, dzięki czemu wielbny ojciec fundator mógł je podziwiać przed śmiercią – wygłosił z takim samym namaszczeniem jak wielbny ojciec fundator i z taką samą wystudowaną skromnością jak wielbny ojciec fundator, dyrektor instytucji i przyszły biskup prałatury personalnej, monsinior Álvaro del Portillo.

– Wolałabym, żeby ta nieobojętność przekładała się na fakty.

– Szanowna pani, jakkolwiek krok poczyniony w tym kierunku z natury rzeczy musi postępować powoli. Tak nakazuje rozważa. I umiłowanie prawdy. Powiem więcej: ewangeliczna skromność.

Monsinior oparł dłonie na stole i pobożnie deklamował dalej: honory, wyróżnienia, tytuły... to pyłki na wietrze, purchawka pychy, kłamstwa, nicość.

– To dlaczego już się mówi o podjęciu działań zmierzających do rychłej beatyfikacji wielbnego ojca fundatora? – Wobec milczenia monsiniora Portilla pani Elisenda się uśmiechnęła. – Monsinior? Purchawka pychy?

– Nie wiem, do czego pani zmierza.

– Chcę powiedzieć, że jeżeli instytucja bezpośrednio zaangażuje się w proces beatyfikacji czcigodnego Oriola Fontellesa... ten proces wreszcie zacznie się toczyć. Rozumiem, że to musi trwać, ale przecież nie wiecznie.

– Szanowna pani... Powinna mi pani wyjaśnić, dlaczego jest pani tak bardzo zainteresowana tą sprawą...

– Nie mam w tym żadnego interesu, monsinior. – Spiorunowała go wzrokiem. – Ja tylko byłam świadkiem jego heroicznej śmierci. Chcę, aby wszyscy o nim pamiętali. W pojedynkę stawiał czoło czerwonym hordom. I oddał życie za swoje ideały, broniąc Najświętszego Sakramentu i Kościoła świętego, naszej matki. Przecież monsinior doskonale o tym wie.

Nie powiedziała nic więcej. Nie powiedziała, że jego śmierć przyszła nie w porę, proszę, nie umieraj, Oriol, teraz, kiedy cię kocham do szaleństwa, teraz, kiedy pierwszy raz w życiu naprawdę kocham jakiegoś mężczyznę, nie umieraj, nigdy sobie tego nie wybaczę. Wzięła go w ramiona, trzymała jego głowę na swojej piersi. On się w nią wpatrywał tymi ciemnymi, bezdennymi oczami, aż zrozumiała, że zamieniły się w zimne szkło. Jak mogłeś zrobić mi takie draństwo, Oriol, żeby umrzeć właśnie teraz, kiedy już powiedziałam, że nie,

nie, on nie może umrzeć, rozumiesz? A z tobą, Panie Boże, jeszcze się policzę.
– Proszę pani, on już nie żyje.

Kiedy wróciła z Rzymu, czekał już raport Gasulla, który z ogromną, naprawdę ogromną przykrością donosił, że Marcel nie zachowuje środków ostrożności w swoich romansach pozamałżeńskich i ostatnio, kiedy sobie zaszalał, przyprowadził do pracy prostytutkę i... nie wiem, jak to powiedzieć, ale tu, na tym stole. Tak było, Marcel?

– Ależ mam, ja...

– Zaraz, zaraz... Do czego ty dążysz?

Kiedy mama zadawała mu podchwytliwe pytania, grunt pod jego stopami stawał się niebezpiecznie grząski.

– Mam, o co ci chodzi?

– To całkiem proste. Chcesz zostać wielkim biznesmenem? Kochasz Mertxe? Chcesz separacji? Chcesz się z nią rozwieść, kiedy to będzie możliwe, a kiedyś będzie? O to ci chodzi? Jest ci obojętne, co się stanie wtedy z twoim synem, czyli moim wnukiem?

– Jakbyś ty była przykładem matczyngo poświęcenia.

Pani Elisenda Vilabru obrzuciła syna spojrzeniem, które miała zarezerwowane dla wrogów, i powiedziała bardzo cicho ty nie masz prawa mnie osądzać. I po raz trzeci czy czwarty w życiu tylko krok dzielił ją od wyznania dziecku, gdybym cię nie przygarnęła, skończyłbyś w przytułku, więc lepiej się zamknij. Nadludzkim wysiłkiem powstrzymała się przed wygłoszeniem tych słów.

– Chcesz, żebym o wszystkim poinformowała Mertxe?

– Nie chcę separacji. Głupio wyszło, pozwoliłem sobie raz zaszaleć. Epizod bez znaczenia.

W dniu, w którym wypędziła ze swego prywatnego życia Quique Esteve, Elisenda zainaugurowała długą drogę wysublimowanej abstynencji i dzięki niej z jednej strony wyraźniej widziała Oriola we wspomnieniach, a z drugiej bardziej zbliżała się do instytucji, zdobywając jej przychyłność. A przede wszystkim zapewniła jej komfortowe wrażenie, że ma teraz dwudziestoczworgodzinną kontrolę nad własnym życiem i że wróg ciężko musiałby się napracować, żeby znaleźć szczelinę jakiejś jej słabości, przez którą mógłby się wdrzeć.

– Nie rozumiem cię, synu.

– Taka dewotka jak ty nie może tego zrozumieć.

Jak mam zareagować? Opowiedzieć mu swoje życie? Postraszyć go?

– Jeżeli cię zobaczę z kobietą... inną niż Mertxe... to mnie popamiętasz.

– Ale przecież ty i Mertxe nie możecie na siebie patrzeć!

– I co z tego? – mama podniosła głos. – To twoja żona i matka mojego wnuka. Twojego syna.

Ojciec jej wnuka wstał i po raz pierwszy w życiu jej się postawił. Powiedział słuchaj, mamę, mam swoje życie osobiste, czego ty ciągle nie potrafisz zrozumieć. Nie, nie, jeszcze nie skończyłem. Mam trzydzieści dwa lata i mogę robić, co mi się spodoba. I co, nie zdobyłem poważnych klientów w Szwecji, Norwegii, Danii i Finlandii? Co? I co, mimo że nie dawaliście za to pięciu groszy, że niby oni zęby zjedli na zimowych sportach? I co, sześćdziesiąt trzy procent eksportu naszych nart nie idzie teraz do krajów nordyckich?

– Idzie.

– Choć Gasull do znudzenia powtarzał, że to nas pogrąży, ja mu na to: naszym atutem jest cena. Jakość jest prawie taka sama, lecz wywalczymy sobie miejsce na rynku dzięki konkurencyjnej cenie.

– Masz rację.

– A czy stacja narciarska nie okazała się maszynką do robienia pieniędzy, zwłaszcza od kiedy zainstalowałem armatki śnieżne?

– Tak.

– Świetnie: zostań sobie w Torenie, a ja tu się wszystkim zajmę.

– Nie. Bardzo dobrze ci idzie, ale poprowadzisz interes, kiedy ja powiem.

– Przestań mnie wkurzać, dobrze?

– Na takie słowa nie pozwalam ani tobie, ani nikomu.

– Już zostały powiedziane. A teraz mam robotę. – Marcel wstał i zdenerwowany wpychał dokumenty do teczki.

Mama też wstała i okrążyła stół, aż stanęła przed nim. Najpierw spojrzała mu w oczy, a potem wymierzyła głośny i bardzo bolesny policzek. To był jej sposób, bezsilny i desperacki, na zagwarantowanie sobie ostatniego słowa.

Pułkownik Silván z groźną miną wysiadł z czarnego samochodu, nacisnął na głowę czapkę wojskową i objął w posiadanie Rynek Toreny, tak samo, jak to lubił robić burmistrz Targa: podparł ręce na biodrach, rozejrzał się powoli i uważnie, a na koniec wykonał obrót wokół własnej osi, trzy–cztery razy, na palcach, lekko unosząc pięty. Rytuał pana i władcy. Mimo stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu był panem i władcą. Mimo białych włosów i piskliwego falsetu był tu panem i władcą. Burmistrz w pełnym umundurowaniu falangistowskim oraz jego ludzie już czekali w komplecie na schodach ratusza. Pułkownik wszedł do budynku w asyście swojego adiutanta i Valentína Targi. W gabinecie burmistrza nagle zatrzymał się zdumiony. Portret Targi. Wyciągnął rękę za siebie, a adiutant pospieszył z cygarem i ogniem. Przyjrzał się uważnie bystremu spojrzeniu sportretowanego Targi, zaciągając się dymem. Nie komentując, podszedł do stołu konferencyjnego na środku sali, wokół którego stało na baczność, w oczekiwaniu rozkazów, dwóch kartografów w randze porucznika i nauczyciel Fontelles, też w mundurze falangistowskim; ściągnął czapkę, którą zabrał adiutant, i pochylił się nad mapami. Pułkownik Silván, nie patrząc na nich, dał rozkaz spocznij i zachęcił gestem do mówienia no, o co chodzi, co tu się dzieje.

– Dwaj pasterze donieśli do ratusza, że widzieli podejrzanych osobników na starym szlaku przemytniczym.

– A ci pasterze to co za jedni? – Zniecierpliwiony stuknął w ziemię podeszwą buta.

– Lojalni wobec ustroju.

– Co to takiego, ten stary szlak przemytniczy?

– To ten, który przechodzi przez łańcuch Altars i prowadzi na północ – pokazał na mapie jeden z kartografów. Zaznaczył czerwonym ołówkiem dwa krzyżyki w pobliżu szczytu Montsent.

– Ale szlak przemytników był na przełęczy Salau.

– Po wojnie sytuacja się zmieniła – wtrącił się Targa. – Od kiedy przełęcz Salau jest patrolowana.

– Tu niczego nie da się porządnie patrolować.

Teraz napuszony pułkownik zniżył się do ich poziomu i poskarżył się w obecności wszystkich, łącznie z partyzanckim szpiegiem, falangistą Fontellesem, jak, do cholery, ten cały sztab może wymagać pilnowania tak długiej granicy, gdzie nic, tylko wiatr, śnieg i zamieć jak okiem sięgnąć. Skąd mieliby wziąć tylu żołnierzy czy żandarmów, a zresztą, czy którykolwiek

partyzant chciałby ryzykować...

– A ci podejrzani osobnicy? – odezwał się Judasz Fontelles, starając się, żeby go nie zapamiętano jako tego, który zawsze milczy. – Przecież ich tam widziano.

– Wyślemy patrol tam, gdzie się pojawili. Trzeba przeczesać teren aż do stawu Sant Maurici. – Uważnie popatrzył na mapę. – Ależ to długi odcinek! Dlaczego właśnie tędy przechodzą? – Zwracając się do adiutanta: – Patrole przez dwa tygodnie. – I do wszystkich obecnych: – Nie możemy osłabić czujności na Salau. Całymi dniami będziemy przeczesywać te pieprzone góry, jak nie przymierzając jakieś fryzjerki.

– Oczywiście, oczywiście – wtórowała mu pod nosem cała poinstruowana asysta.

– Co pan nam zaleca, panie pułkowniku? – wyrwał się Targa, gotów w każdej chwili służyć Ojczyźnie, Caudillovi, wojsku i pułkownikowi Silvánowi w szczególności, jako że był jednym z niewielu wojskowych wyższej rangi, którzy sprzyjali falangistom, więc mógł poprzeć jego karierę w Falandze, dzięki wpływom, jakie miał jako brat bohaterskiego towarzysza Silvána, obecny, i towarzysza Silvána, przywódcy prowincji Lleida, a zwłaszcza jako syn towarzysza Silvána, przyjaciela Joségo Antonia.

– Nic. Niech bandyci poczują się tu pewnie. Wojsko będzie przeczesywać teren do końca miesiąca, bo później musimy...

– To znaczy, że wojsko wycofuje się z Pallars?

Jeśli jesteś zawodowym szpiegiem, który przeszedł intensywne kursy brytyjskiego MI5 lub przynajmniej otrzymał szczegółowe instrukcje praktyczne od kogoś doświadczonego, przede wszystkim powinieneś wbić sobie do głowy, że kiedy występujesz w podwójnej roli, masz nie zadawać bezpośrednich, ważnych pytań, po których wszyscy milkną i w tej nagłej ciszy dokonują szybkiej oceny, czy już wyciągać pistolety z kabury, a nie macie pojęcia, jak trudno jest pozyskać nowego agenta.

Wszyscy obecni (Valentí Targa, burmistrz Toreny, pułkownik Silván, głównodowodzący wojsk stacjonujących w Pallars, pierwszego ugrupowania sześćdziesiątej drugiej dywizji Korpusu Nawarry, kapral Benicio Fuentes, adiutant pułkownika Silvána i dwaj kartografowie w randze porucznika z drugiego ugrupowania sześćdziesiątej drugiej oddelegowani do misji specjalnej na żądanie dowództwa pierwszego ugrupowania tego samego korpusu) zamilkli i w tej niezręcznej ciszy, która zapanowała, gdy wybrzmiały wypowiedziane przez niego zatrute słowa, oczy zebranych skierowały się na falangistę Judasza Fontellesa. Ale na razie nie sięgnęli po broń.

– Dlaczego mnie pan o to pyta, towarzyszu...

– To nauczyciel Fontelles, jeden z...

– Wiem, wiem. – Do Oriola: – Dlaczego? – Jeszcze raz zaciągnął się

cygarem, coraz krótszym.

– Dlatego... – Wyobraził sobie, że jest Wiriatusem, a pozostali Rzymianami, i powiedział głośno, z dumą, aby już się przygotowywać, gdyby zaszła taka okoliczność, i natchnąć duchem walki cały korpus nauczycielski w tej strefie. Myślę, że mógłbym zrobić z nich dobrych informatorów, panie pułkowniku.

Pułkownik rzucił cygaro na ziemię i przydeptał:

– A wie pan, towarzyszu Fontelles, że to, co pan mówi, wcale nie jest takie głupie?

Wyciągnął rękę za siebie po czapkę, którą podał mu adiutant. Natychmiast wyszedł z ratusza, tak szybko, jak do niego wszedł. Wszyscy wtajemniczeni wiedzieli, że zebrania prowadzone przez pułkownika Silvána trwały dokładnie tyle, ile zajmuje wypalenie cygara.

Valentí Targa był w euforii, ponieważ przy pożegnaniu pułkownik położył mu po przyjacielsku rękę na ramieniu, a ten gest wiele znaczył. Bardzo wiele znaczył. Kiedy wrócił do sali, w której falangista Fontelles z uwagą studiował mapy, zebrało mu się na zwierzenia. Palcem wskazał miasteczko Torena rozpostarte na stole.

– Tutaj.

– Co tutaj?

– Tu sobie wybuduję dom. Już mi dopiekło to życie na stacji.

– Dlaczego nie mieszkasz w Altronie?

– Pokłóciłem się z rodziną.

Valentí Targa nie wtajemniczył towarzysza Fontellesa, w jak pokrętny sposób wszedł w posiadanie gruntu, bo nie chciał się poróżnić z nauczycielem. To był atrakcyjny stok w pobliżu Arbessé z widokiem na całą dolinę Àssua; marzyło mu się, że wybuduje tam dworek na wzór domu Gravat, z milczącą służbą i salonem. Na ścianie powiesi swój portret i zegar w obudowie ze szlachetnego drewna, wybijający godziny z takim dostojeństwem jak zegar katedralny. I sprowadzi swojego Pączuszka. Zanim zgodzi się zostać panią domu, musi ją najpierw przekonać, by przeprowadziła się do miasteczka, z którego do placu Urquinaona jest kawał drogi. A na fasadzie znajdzie się sgraffito, podobnie jak w domu Gravat, tylko jeszcze bardziej wyrafinowane: po prawej Bóg Ojciec Wszechmogący i Falanga pod postacią kobiety z tarczą, na której będzie widniała podobizna Joségo Antonia; po lewej caudillo i Matka Boża z Saragossy, patronka armii, i paru dzielnych żołnierzy do kompletu. A ty mi przygotujesz projekt. A właśnie, jeśli chcesz zostać w Torenie na dłużej, może też już czas pomyśleć o zbudowaniu domu. Dwa razy nie będę ci tego powtarzać, ale raz musiałem to powiedzieć.

Zakładając, że po drugiej stronie jest latarnik gotów przypłacić zapaleniem płuc wierność ruchowi oporu, o jedenastej w nocy z okna w mieszkaniu nauczycielskim Oriol wysłał sygnał niebezpieczeństwo; pilnie proszę o rozmowę na neutralnym gruncie. Niech nikt, ale to nikt nie włączy się w okolicach gór Altars, niech nikt nie zbliża się do szkoły przez najbliższe piętnaście–dwadzieścia dni. Niech wytyczą nowe szlaki. I możliwe, że latem wojsko wycofa się z Pallars.

– Wiesz na pewno?

Porucznik Marcó podrapał się po brodzie i spojrzał na niego oczami zaczerwienionymi z niewyspania.

– Nie. Ale o tym się mówi.

– Chodź, pokażemy ci, jak działa radiostacja.

Dwaj milczący mężczyźni rozpakowali paczkę i ostrożnie postawili aparat na podłodze na strychu szkoły. Metalowa skrzynka, wskazówki, słuchawki i kolejne niebezpieczeństwo.

Mnich przy furcie tuż za nimi udawał żywe zainteresowanie monitorem komputera pełnego zakonnych sekretów. Może dlatego pożegnalny całus był taki ulotny, zbyt zdawkowy jak na jej oczekiwania. Arnau delikatnie zamknął za nią drzwi, a ona pokonała cztery stopnie zrozpaczona, ograbiona z syna; zmienili go, zrobili z niego zrezygnowaną, eteryczną istotę. Ale jest szczęśliwy. I nadal ma na imię Arnau. Nie Arni. Na placu przed bazyliką oślepiło ją niegroźne światło przedwiosennego popołudnia i nagle całe cierpienie spadło na nią, jakby tylko czekało na ten moment, przycupnięte obok klasztornej furty, żeby ją zaatakować bez litości. Przez długą godzinę rozmowy udało jej się odsunąć od siebie obsesję tej podłej suki, Joany, i tego skurwysyna Jordiego, który ją okłamywał i upokarzał. Przez godzinę zajmowała się tylko odgadywaniem, czy rzeczywiście Arnau czuł się szczęśliwy, czy tylko udawał. Nawet w habicie nowicjusza wyglądał przystojnie. Z krótkimi włosami, bez brody, ale oczy miał te same i ten sam sposób mówienia bez podnoszenia głosu, z zastanawiającą pewnością siebie.

- Jesteś smutna.
- Nie umiem się pogodzić, że cię straciłam.
- Nie straciłaś. Jestem tutaj. Możesz mnie odwiedzić od czasu do czasu.
- Straciłam cię.
- A gdybym wyjechał na studia do Bostonu czy do Cambridge?
- Byłbyś łatwiej dostępny. Teraz jest bariera, która...

Ogarnęła wymownym gestem czarne drewniane krzesła, bezużyteczny stół, małą rozmównicę, w której się znajdowali, wiszącą na ścianie prymitywną imitację Miró przedstawiającą jakiś pejzaż Montserrat, nie wiadomo dokładnie co. Nie umiała tego wyrazić, ale to chyba oczywiste, że trudno się tu poczuć jak w domu. Przyjechała do syna, a czuła się jak podczas oficjalnej wizyty.

Arnau ujął jej dłonie i spojrzał w oczy.

- Mamo, nie ma żadnej bariery.
- Na pewno się modlisz, żebym się nawróciła.

Powiedziała to z goryczą i od razu pożałowała. Ale na jego twarzy na krótko zarysował się uśmiech, po czym spowaźniał, zamyślił się i odpowiedział z tą pewnością siebie, której ona mogła mu tylko pozazdrościć kimże ja jestem, żebyś chciała zmieniać twój sposób widzenia świata. Jeśli modłę się za ciebie, to tylko o to, żebyś na zawsze pozostała taką dobrą osobą, jaką jesteś.

Przeklęty mnich, który zawsze ma pod ręką liberalne, tolerancyjne, inteligentne, spójne i uspokajające odpowiedzi, jakby wszystko wcześniej

przestudiował i przemyślał. Jakby miał całe życie naniesione na mapę Prawdy, a w razie wątpliwości wystarczyło rozłożyć odpowiedni fragment i sprawdzić. I zawsze znaleźć gotową odpowiedź, odpowiedź na wszystko, żadnych wątpliwości, bo przecież gra w ekipie Pana Boga.

– Chciałabym uwierzyć w Boga. Jaką czułabym ulgę, gdybym mogła w niego wierzyć...

Arnau był zbyt inteligentny, żeby jej na to odpowiedzieć. Milczał pewnie dlatego, że ją rozumiał. Mówiła dalej: – Ale Bóg to nierozwiązywalna zagadka.

– Dla mnie nie. Zagadka implikuje dowodzenie, poszukiwanie rozwiązania, zmierzenie się z problemem... Dla mnie Bóg jest tajemnicą i mogę się z nim zmierzyć tylko wiarą.

– Nie potrzebujesz dowodów?

– Wiara żywi się wiarą, nie dowodami.

– I ty jesteś moim synem?

– Rozumiem, że tak.

Zamilkła, bo naprawdę nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Ale źle znosiła tę ciszę. Jeszcze bardziej się wkurzyła, kiedy zdała sobie sprawę, że nie naruszyła jego spokoju. Ponownie spróbowała przebić twardą skorupę: – Nie zimno ci tu?

– Nie.

– Ale może ci potrzebna bielizna? Dobrze się odżywiacie?

– Co robi Jordi?

– Twój ojciec nie wie, że tu przyjechałam.

– Dlaczego miałby nie wiedzieć?

– Bo nie jadę z domu. – Z irytacją, nad którą przestała panować: – Nie domyślaj się Bóg wie czego. Wiesz, że dostał nominację do rady miejskiej?

– Tak. Otrzymałem list parę dni temu.

Już zdążył się pochwalić. Napisał ci coś jeszcze? Pochwalił się, że mnie zdradza?

– To z powodu dymisji Porty: on był szósty na liście, a tu masz.

– Cieszy się?

– Tak przypuszczam. Teraz rzadko się widzujemy. – Żeby zmienić temat: – Dobrze się odżywiacie?

– Bardzo dobrze. O to nie musisz się martwić.

– Martwię się o twoje zdrowie.

– We wspólnocie jest ośmiu zakonników, którzy przekroczyli osiemdziesiątkę.

– Chcesz spędzić całe życie w tych ścianach? Aż do osiemdziesiątki? Aż do śmierci? – Ze świadomością, że gra nieczysto, brnęła dalej. – A świat? Wynalazki, postęp, krajobrazy, filmy, ludzie wymagający pomocy, twój własny, osobisty rozwój? – Po przerwie złośliwie dokończyła: – A kobiety?

Arnau znów ujął jej dłonie i powiedział mamó, to żadne poświęcenie: jestem

szczęśliwy, jestem spokojny i bardzo bym się cieszył, gdybyś się o mnie nie martwiła: kurczę, w końcu masz szczęśliwego syna. Nie wszystkie matki mogą to powiedzieć.

– Zjawiłam się w złym momencie?

– Nie, skądże. Co też ci przyszło do głowy. Za trzy tygodnie będziemy tu mieć uroczystość z okazji... gdybyście chcieli przyjechać...

– Jaka uroczystość?

– No wiesz... Uroczysta Eucharystia dla rodzin zakonników z naszej wspólnoty. Ja wiem, że...

Za trzy tygodnie będę leżeć w szpitalu, gdzie spróbują wyrwać mnie ze szponów śmierci przy pomocy chemioterapii czy czegoś w tym rodzaju.

– Dostaniemy jakieś zaproszenie?

– Jak nie chcecie przyjechać, nie...

Tina popatrzyła na podróbkę obrazu Miró na ścianie. Później, ciągle obserwując obraz, powiedziała: – Dlaczego sądzisz, że nie zechcemy przyjechać?

– No bo będzie msza i tak dalej...

Boję się. Arnau, boję się śmierci.

– Umiemy się zachować. Nie martw się.

– Dlaczego jesteś smutna?

Autorytet moralny syna. Teraz syn tu rządzi i proszę, chce wiedzieć, dlaczego jesteś smutna. A ty widzisz w nim tylko syna i nie powiesz mu, że masz problemy małżeńskie i jeszcze jeden, z pierśią, nie wiesz na razie, w jakiej kolejności. I problem z tożsamością pewnego nauczyciela partyzanta uwikłanego w sieć kłamstw, którą chcesz ujawnić, nie bardzo wiadomo po co, chyba żeby samą siebie ocalić, zmniejszyć poczucie własnej winy. A życie jest takie skomplikowane. Chciałabym powiedzieć ci, że jestem chora i że boję się choroby, ale nic ci nie powiem, bo nie chcę, żebyś się za mnie modlił; uważam, że byłoby zgrzytem mieszanie modlitw z chemioterapią, Arnau, rozumiesz? Chcę zachować w życiu tę konsekwencję, której Jordi nagle się wyrzekł. To milczenie mnie dobija, gdybym mogła, mówiłabym ci tylko o tym, że jestem chora, muszą mi usunąć prawą pierś i mam nadzieję, że nie będzie przerzutów; lekarka mówi, że nie, że wszystko da się usunąć, że mam szczęście, a ja się pytam, co to za szczęście dać sobie wyrwać pierś.

– Nieważne.

Tina podeszła do syna i pogłaskała go po głowie. Przyjrzała mu się. Nie było jej miło widzieć go w czerni, w habicie nowicjusza. Bardzo niemiło. Miała poczucie klęski, ale nie powiedziała tego głośno, bo nie chciała mu robić przykrości.

Kiedy o niego zapytała, brat furtian wyraził zdziwienie w imieniu wspólnoty,

bo zdaje się, że mają tu jakieś godziny odwiedzin, więc zaczęła się tłumaczyć, że ona nie jest stąd, co za głupota, w Montserrat nikt nie jest stąd. I że musiała pomówić z synem o czymś ważnym, bardzo proszę. Brat furtian zniknął dyskretnie, po czym równie dyskretnie wrócił i bez słowa zaprowadził ją do małej, anonimowej salki, z niewydarzoną dekoracją próbującą ocieplić bezosobowe wnętrze. Na ścianie jakiś nieznany górski zakątek w tonacji ochry i zieleni, imitacja Miró, ale podpisana przez jakiegoś Cuscó. Albo Cussó. Czują pewien szczególny, nieokreślony, trudny do zdefiniowania zapach. Czekala z pięć minut sama i zastanawiała się ciekawe, gdzie poszli go szukać, w tak dużym domu. W ogrodzie, w zakrystii, w bibliotece, w kuchni, wszystko oddzielone tysiącami kilometrów. Wtedy usłyszała gdzieś niedaleko skrzypnięcie drzwi i kroki zmierzające do rozmównicy. Zakonnik... Nie, Arnau. Arnau w czarnym habicie, z krótkimi włosami, zdrowymi, silnymi, ale krótkimi. Bez brody. Uciekinier, który się schronił w klasztorze. Arnau w przebraniu zakonnika. O mój Boże. I białe dłonie jak dwa ptaki o świcie, wyłaniające się z nadmiaru czarnej odzieży, spokojny uśmiech i pytanie mamó, co tu robisz, coś się stało? Wtedy go objęła bez słowa, bo najpierw musiała ochłonąć z wrażenia na widok syna w stroju mnicha. I nie mogła o tym porozmawiać z Jordim. Nie mogła dać ujścia tyłu dręczącym ją sprawom.

– Nie jestem smutna, raczej zmęczona. Wiesz, że już kończę książkę?

– A o czym?

Rozczarowanie. Nie pamięta. Nie uczestniczy w moim życiu.

– O domach, miejscowościach i cmentarzach w Pallars.

– Och, to wspaniale. Przywieziesz jedną dla klasztoru?

– Przywiozę dla ciebie. Kosztuje mnie więcej wysiłku, niż myślałam... Te podpisy pod zdjęciami... i wszystko, co odkrywam przy okazji. Cały czas nad nią pracuję.

Wtedy gdzieś daleko zabrzmiał gong. Dźwięk był ledwie słyszalny w rozmównicy, ale zauważyła, że Arnau natychmiast zrobił się czujny. W ciągu dwudziestu sekund podniósł się i już ją odprowadzał do czegoś w rodzaju holu, gdzie przy komputerze siedział brat furtian, z tajemnicami, w okularach, z uśmiechem prawie identycznym jak uśmiech Arnaua. Kiedy skonsternowana znalazła się na schodach, usłyszała głos syna, który pytał jak się miewa Jurij Andriejewicz? tym samym tonem, jakim wcześniej zapytał o Jordiego. Wtedy do niej dotarło, że już go nie odzyska i że za jednym zamachem traciła syna, męża, kota i jak będzie miała pecha, to także pierś i życie. Jeszcze te szare schody, przenikliwe zimno na placu, światło zmierzchu i rozpacz. Zrobiła zdjęcie tego światła, żeby w nim zdeponować smutek, którego nie mogły ogarnąć słowa.

Pociąg do Saragossy odjeżdżał dopiero o dziesiątej wieczorem. Zostało aż nadto czasu, żeby gdzieś zapłakać nad swoim losem najniezwyklejszej

kobiety na świecie. Od tylu lat nie przekroczyła progu kościoła, że teraz ją samą zdziwił odruch rozglądania się za święconą wodą przy wejściu. Zapach stopionego wosku, utrzymujące się w powietrzu wspomnienie kadzidła po liturgii, półmrok i cisza. Przysiadła dyskretnie na brzegu ławki, gdzieś z przodu. Jacyś gapie oglądali kapliczki w bocznych nawach. Ciemna sylwetka zawiesiła kartkę, że skończyło się zwiedzanie kaplicy Morenety na górze i nagle, nieoczekiwanie, prezbiterium wypełniła Escolania, chór chłopców w komżach zakrywających dłonie, którzy, nie czekając na boże błogosławieństwo, zaczęli śpiewać *Virolai*, pieśń na cześć Czarnej Madonny. Tina, pomimo zmęczenia, słuchała ich uważnie: śpiewali z zaangażowaniem, doskonale, może nieco monotennie, ale w przeciwieństwie do niej oni nie popełniali błędów i nie mieli wątpliwości. Uświadomiła sobie, że po wielu latach omijania kościołów zaczęła w nich bywać regularnie na koncertach, a przy okazji odnajdywała znaki, symbole, hasła, emblematy, obrazy i zapachy, które wywoływały odległe, raczej obojętne skojarzenia i wspomnienia. Ale tego wieczoru nie mogła sobie pozwolić na obojętność, bo znów dostrzegła w kościele wroga, który ukradł jej syna. Znajdowała się na wrogim terenie. Boże, poróżniliśmy się, ty i ja. Dlatego przestałam z tobą rozmawiać, tak jak stara Ventura.

Kiedy się obudziła, bazylika tonęła w ciemnościach, a ona drżała z zimna. Niepewnie rozejrzała się wokół siebie, wystraszona. Została sama, usnęła w tym kąciuku i... Zerwała się na równe nogi, podeszła do drzwi. Zamknięte. Panika. Co się robi, gdy ktoś zostanie zamknięty w kościele? Mogła krzyczeć, ale wtedy jej zwielokrotniony lęk odbiłby się echem od sklepienia, a Arnau najadłby się wstydu, usłyszałby coś jest nie tak z twoją matką, kurczę, jak można dać się zamknąć w kościele. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta wieczór, a ona była jedynym znakiem życia w całej bazylice. Wtedy sięgnęła po komórkę i odruchowo wybrała numer domowy. Ale się zreflektowała, kiedy tylko Jordi powiedział halo, halo, Tina, to ty? i natychmiast się rozłączyła. Nie chciała się przed nim tłumaczyć, że przyjechała odwiedzić syna. Nie chciała, żeby jej głos rozniósł się echem w tym ciemnym wnętrzu; przerażała ją sama myśl o tym. Nie chciała, żeby Jordi się dowiedział, że znalazła się w kościele. Nie chciała, żeby Jordi jej pomagał. Nie chciała mieć z nim do czynienia.

Nieliczne słabe żarówki zamiast świecić rzucały tylko długie cienie. Usiadła w ławce, niespokojna z powodu ciemności za sobą, ale zdecydowana czekać z rezygnacją nie wiadomo na co. Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że płacze, nie dlatego, że piekły ją oczy, lecz z czystej rozpacz. Przeszło jej przez myśl, że może powinna zacząć się modlić, prosić Boga o pomoc, ale natychmiast do niej dotarło, że taka inwokacja w trudnym momencie stałaby się po prostu obsceniczna. Jasne, że łatwiej żyć, jeśli się wierzy. Wierzy w cokolwiek,

choćby w jakąś ideę polityczną. Ona tylko uczyła w szkole i robiła zdjęcia; wierzyła jedynie w to, co można utrwalić na zdjęciu, czy to będzie materia, wspomnienie czy uczucie. Do tego praktycznie ograniczała się jej wiara. Może jeszcze wierzyła w coś tak abstrakcyjnego jak wykształcenie. A od paru miesięcy przestała wierzyć w Jordiego, jej wielką miłość, która nagle przekształciła się w jej wielką nienawiść. Czy raczej: w jej wielką obojętność. Nie, nie obojętność: pogardę. Kiedy człowiek sobie uświadamia, że stracił zaufanie do kogoś, kogo kochał bezwarunkowo, to tak, jakby ta osoba postanowiła umrzeć w twoich ramionach, nie pytając cię o zgodę. Dlatego nie mogła się modlić, nie mogła wykorzystać tej chwili, kiedy cała bazylika należała tylko do niej. Mogła tylko przyznać się przed sobą, że jej syn i mąż odtrącili ją dla innej miłości.

Już od miesięcy Tina nie spędziła tak wiele czasu w milczeniu, zastanawiając się nad sobą. Już od miesięcy. Dokładnie od chwili, kiedy Renom powiedziała jej, że widziała Jordiego w Lleidzie, podczas gdy on powinien siedzieć w Seu, zamknięty w czterech ścianach, na konferencji, bardzo zajęty. Od dnia, w którym się dowiedziała, że Jordi ją okłamuje, nie potrafiła się skupić dłużej niż przez moment, bo natychmiast rozpałały jej głowę wszystkie demony. Dobrze, że musiała skończyć książkę i rozwikłać życie Oriola Fontellesa. Miała szczęście, że tak sprytnie potrafiła się bronić przed refleksją. Aż do tego triumfalnego dnia, kiedy dała się zamknąć jak jakaś idiotka w bazylice w Montserrat, gdzie w końcu nieszczęście ją dopadło i przedefilowało przed jej oczami niczym ironiczny i okrutny pokaz mody.

O wpół do dziesiątej, kiedy powinna czekać na stacji Sants w Barcelonie, usłyszała coś za sobą i zauważyła, że na górze zapala się delikatne światło. Odwróciła się. To działa się na chórze. Jakiś ruch. A gdyby zaczęła krzyczeć? Pod wpływem niekontrolowanego atawizmu ukryła się za kolumną i patrzyła na chór. Zaczęli wchodzić mnisi i, jak mogła wywnioskować z porządku, od razu szli na swoje stałe miejsca.

Tina Bros po raz pierwszy w życiu uczestniczyła w odmawianiu komplety. Zaśpiewali coś krótkiego, surowego, nie wiedziała co, i pomyślała, że jeden z tych głosów należy do jej syna. Śpiew tak jej się spodobał, że za żadną cenę nie chciała się ujawnić, żeby nie zakłócić tej magii. Kiedy skończyli, w przeciągu niespełna pół minuty chór opustoszał i znów pogrążył się w ciemności, a w niej pozostało wrażenie czegoś niezwykłego. Zapomniała o pociągu, a teraz było już za późno. „Jak złodziej wejdę do domu twego, o Jahwe, i jak złodziej wyjdę z niego o świcie”, przeczytała w modlitewniku z psalmami, który znalazła na półce za kolumną. Jak złodziej przejdę przez moje życie i przez życie innych, jeśli mi pozwolą.

Mimo lodowatego zimna i lęku udało jej się trochę przespać na niewygodnej ławce. Kiedy wymknęła się wraz z pierwszymi odwiedzającymi świątynię i

zamrugnęła, oślepiona światłem na zewnątrz, cała obolała, uświadomiła sobie, że pomimo gwałtownej reakcji oczu na światło dzień spowijały chmury; skrył się w zimnej mgłę pierwszych dni marca, która tworzyła idealne tło do marzeń, bo rozciągała litościwe prześcieradło nad szczegółami, anegdotami, wadami i zostawiała cię sam na sam z wyobraźnią i snem. Kiedy wrócę z Saragossy, powiedziała nad mglistą przepaścią, przyjadę znów do Montserrat i powiem rozstaliśmy się, synu, choć twój ojciec jeszcze o tym nie wie; nie pytaj mnie o szczegóły, nic więcej ci nie powiem.

Tina odwróciła się i spojrzała na klasztor. Choć nienawidziła melodramatów, przyszło jej do głowy, że pewnie jest tu po raz ostatni. Kocham cię, Arnau. Nie mam obowiązku cię rozumieć, ale powinnam cię zaakceptować. Klasztor jej syna. Zrobiła mu smutne zdjęcie. Tyle zyskała, że spóźniła się na pociąg do Saragossy, ale nie odzyskała wiary.

Feliu Bringué z domu Felició przekroczył pierwszy raz w życiu próg domu Gravat jako trzydziestoośmioletni mężczyzna. O domu Gravat dużo się mówiło i każdy w dolinie Àssua mógł z pamięci bezbłędnie opisać ustawienie mebli, rodzaj drewna, odcienie i kolory zasłon, portret jaśnie pani, na którym pozostawała wiecznie młoda i promienna, ciszę grubego dywanu, ulotny zapach lawendy czy jabłek przesycający atmosferę domu, głos wspianiałego ściennego zegara z powagą wydzwanającego godziny, aż trudno uwierzyć, że taki dom naprawdę stoi w Torenii, schody ze szlachetnego drewna prowadzące do największych sekretów, wiele fotografii wystawionych w salonie, subtelne trzaskanie polan w kominku. I wspianiały zapach perfum, kiedy weszła jaśnie pani.

– Jesteś młody, ambitny i masz przed sobą przyszłość.

– Zgłosiłem się, żeby służyć ludziom. Nie żeby robić karierę.

Uśmiechnęła się, mimo że ten młody człowiek był synem jednego z najbardziej przez nią znienawidzonych ludzi i długo się zastanawiała, zanim go do siebie zaprosiła.

– Naturalnie – zgodziła się. – I wszystko wskazuje na to, że wygrasz wybory.

– Mam nadzieję, że tak.

– Druga lista nie ma szans.

– Na drugiej liście – teraz Bringué całkiem niepotrzebnie zaczął przemawiać jak na wiecu – są pogrobowcy frankizmu, którzy nie chcą dać sobie wyrwać władzy.

– Jestem przekonana, że brak im odpowiednich kompetencji.

Teraz spojrzał jej w oczy, jakby wreszcie dotarło do niego, że znalazł się w domu Gravat tylko dlatego, że to ona wyraziła chęć spotkania w celu wymiany opinii i tak dalej.

– A pani czego oczekuje?

– Ty jesteś bardzo młody i są rzeczy, których... – Napęłniła herbatą filiżankę przyszłego burmistrza. Ten zamiast się zainteresować filiżanką, spojrzał na zegarek.

– Najbardziej się cieszę – odezwał się – że mogę zostać wybrany jako pierwszy demokratyczny burmistrz. – Spojrzał jej w oczy. – Kontynuuję dzieło mojego ojca.

Co mam zrobić? Odczekać? Rozbić mu dzbanek na głowie?

– Orientuję się, jak się sprawy przedstawiają w Torenii i w dolinie. I ogólnie w kraju. Zresztą sam wiesz.

- I?
 - Dobrze byś robił, gdybyś zasięgał mojej rady.
 - Przepraszam, ale...
 - Bogactwo doliny nie bierze się z hodowli krów, tylko ze śniegu. To ja jej przysparzam bogactwa. Cukier czy miód?
 - Proszę pani, ja... Honor mi nie pozwala...
 - Bardzo dobrze cię rozumiem – przerwała mu łagodnie. – Ale omawiaj ze mną sprawę. Wszyscy na tym skorzystamy.
 - Może powinienem pani przypomnieć – odezwał się obrażony – że śnieg nie leży przez cały rok.
- Właśnie te słowa Bringuégo sprawiły, że zapaliła się jej lampka alarmowa. Marcel, synu, zastanów się, jak to zrobić, żeby sezon nigdy się nie kończył. Jedź do Kolorado czy gdziekolwiek, gdzie są dzikie strumienie, i poobserwuj, zapisz sobie wszystko, a potem porozmawiamy.
- Adidas jest zainteresowany obuwem sportowym.
 - Dobrze. Nie przegap tej okazji. Choćby tylko chodziło o podeszwy. Pomyślisz o tym, co ci powiedziałam?
-

Wiedziała, że początek będzie trudny. Bringué z domu Felićó, syn znienawidzonego Bringué ojca, został pierwszym demokratycznym burmistrzem Toreny po latach dyktatury i ludzie wyszli na ulice, żeby to świętować, a wtedy każdy, mniej lub bardziej otwarcie, spoglądał w stronę domu Gravat, który udawał, że o niczym nie wie, gotów przetrzymać tę nawałnicę. Następnego dnia po wyborach Feliu Bringué wkroczył do ratusza, otworzył okna i sam osobiście, oklaskiwany przez radnych ze swojej listy, ściągnął ze ścian portrety Franco, Joségo Antonia i, niech mu Bóg przebaczy, również krucyfiks, który aż do tego momentu od zawsze wisiał na honorowym miejscu w gabinecie burmistrza. Ściągnął też obraz olejny, który swoją obecnością przypominał Valentína Targę, kata Toreny, i który do tej pory, nie wiedzieć jakim cudem, ciągle wisiał w sali obrad. Dobry portret. Ciekawe, kto go namalował. I zaprosił radnych, w tym osamotnionego przedstawiciela opozycji, Xavięgo Burésa z domu Savina, by wspólnie zasiąść za stołem i zastanowić się nad przyszłością Toreny.

Dobrze, trzeba się uzbroić w cierpliwość, pomyślała pani Elisenda. Ale musiała znieść jeszcze jedną nawałnicę, kiedy rada miejska nie zmieniła zdania i odrzuciła jej zasadny protest, po czym pewnego dnia, kiedy padał deszcz i ulice świeciły pustkami, mimo wcześniejszej usilnej zachęty Feliu Bringué z domu Felićó dotrzymał obietnicy wyborczej, że przywróci dawne nazwy ulic, i zaprosił wszystkich mieszkańców, by byli obecni przy uroczystej zmianie nazw. Chroniąc się przed deszczem na osłoniętym balkonie pierwszego piętra,

otulona szalem, obserwowała Rynek, który jeszcze nosił nazwę placu Hiszpanii. Zebrała się tam niewielka grupka gapiów, łącznie z tą jadowitą żmiją Cecilią Bäscones, której wszędzie pełno, a teraz ta wielka demokratka wykląda radcy od spraw urbanizacji, że niedokrwistość hemolityczna to rodzaj wrodzonej anemii spowodowanej niedoborem enzymów [glikolitycznych](#).

– Niech mama wejdzie do środka, jeszcze się mama przeziebi.

Elisenda spojrzała na Mertxe, ale nie zniżyła się do odpowiedzi i dalej prowadziła swoje obserwacje. Mertxe zamknęła drzwi coraz bardziej wkurzona.

Niech sobie zmieniają, co chcą, ulicę Franco i Joségo Antonia, ale na litość boską, niech zostawią w spokoju ulicę Oriola.

Na placu Jaume Serrallac, syn kamieniarza, już zdjął starą tabliczkę i wyciągnął nową, też z marmuru. Wystarczyła minuta na zamianę. Nieliczne grono przypieczętowało tę czynność oklaskami, a ten skurwysyn Bringué wypowiedział parę słów, których nie dosłyszała, ale i tak z całego serca życzyła mu, żeby go jasny szlag trafił.

Z przykrością patrzyła, jak Serrallac tłucze starą tabliczkę i wrzuca odłamki do kosza. Poczowała, że zamgliły się jej oczy, jak zawsze wtedy, gdy zdarzało się coś przykrego. Zdjęła okulary i delikatnie przetarła powieki opuszkami palców. Nie, nie płakała. Prędzej się przeprowadzi do Barcelony, niż dopuści do tego, by ten motłoch zobaczył jej łzy.

– Twoja matka nie chce mnie posłuchać.

– Co ci przeszkadza, że sobie popatrzy?

– Ale ona tam tkwi już trzy godziny. Na stojąco. Jakby pełniła wartę. Nie chce się napić czegoś ciepłego. Ani ciepłego, ani zimnego. I jeszcze się wkurza, gdy jej przypominam, że musi na siebie uważać.

– Cholera. Pewnie rozpacza z powodu usunięcia nazwiska tego pieprzonego Fontellesa.

– Tak przypuszczam. Czasem wydaje mi się, że jest trochę...

– Poproś, żeby podeszła do telefonu.

– Ależ ona o niczym nie chce słyszeć!

– Kurwa, poproś ją, do cholery.

– Nie wejdzie do środka. Możesz mi wierzyć.

– Spróbuj wynieść telefon na taras. Na całą długość kabla. Co robi mały?

– W porządku. Sam zobaczysz, że nie będzie chciała...

– Niech odbierze. Tylko tego mi dziś brakowało.

Chodziło o usunięcie starych tabliczek i zastąpienie ich nowymi. Oczywiście nie można było tego zrobić tak, żeby poprzedniego dnia brygada miejska (czyli tenże sam Jaume Serrallac) zamieniła dyskretnie tabliczki, a dzień później odłonić je i wygłosić stosowne przemówienie. Nie. Perwersyjna mentalność Feliu z domu Felicó wymagała, by dosłownie przekreślić miejscową historię, by zrywanie ze ścian imion Franco, Joségo Antonia i Oriola i zastępowanie ich

jakimiś namiastkami stało się aktem zemsty. Wyrwać je tak, jak się wrywa ząb. Nazywają to obywatelską uroczystością, ale to jest akt rewanżystowski. A Cecilia Bäscones, ten farbowany lis, oczywiście w pierwszym rządzie. W jej wieku mogłaby mieć więcej godności, bo tytoń i pastę do zębów sprzedaje tak jednym, jak drugim. Teraz Elisenda przemieściła się na drugą stronę tarasu, w ślad za zgromadzeniem, które zatrzymało się pod tabliczką ulicy Joségo Antonia. Nadal padało i rozłożone parasole władz oraz nielicznej publiczności wyglądały jak kapelusze czarnych grzybów. I jeden kolorowy akcent, jacyś nieznajomi w jaskrawych płaszczach przeciwdeszczowych, którzy robią zdjęcia. Może z jakiejś gazety.

– Mamo, Marcel dzwoni.

– Nie teraz. Później.

– Mamo, to pilne. Proszę tu podejść, kabel dalej nie sięga.

– Podaj. Słucham.

– Mamo, co tam się dzieje?

– Nic. Gdzie jesteś?

– W Paryżu. Zamykam umowę z Adidasem.

– Na jaki produkt?

– Sznurówki do butów sportowych.

– Lepszy rydz niż nic.

– Ależ... Przecież to sukces!

– Mogłeś wynegocjować cały but.

– Tak. I może jeszcze skarpety? O co chodzi z tymi tabliczkami na ulicach.

– Nic ważnego.

– To czemu nie wejdiesz do domu! Mertxe mówi, że...

– Mertxe ma za długi język. Żegnam, jestem zajęta.

– Ależ, mamo! Cholera, przecież masz cukrzycę! Nie zapominaj, że...

Elisenda oddała telefon synowej, bo teraz czarne grzyby podeszły do wylotu ulicy falangisty Oriola Fontellesa (1915–1944) i zatrzymały się pod tabliczką widoczną z tarasu. To była jedyna tabliczka, niech będzie przeklęty Serrallac i jego dusza, którą kamieniarz rozbił bezpośrednio na ścianie, dokonując czegoś w rodzaju ukrzyżowania imienia patrona ulicy. A potem jeszcze dłutem usuwał resztki prosto na ziemię. Następnie umieścili tam, jak się domyślała, tabliczkę z nazwą ulicy Środkowej.

– Popatrz, a ja tej nazwy bym nie ruszała, bo wkrótce zrobią go świętym i znów trzeba będzie zmieniać tabliczkę.

– A skąd wiesz, że będzie świętym? Przecież to był...

– Ach, wy młodzi. Nie chodźcie do kościoła... – Cecilia Bäscones spojrzała na rozmówcę z politowaniem. – Zdarzyły się cudowne uzdrowienia – dodała tajemniczo.

– W to nie uwierzy nawet sam Pan Bóg.

Kiedy skończyli, całe zgłodniałe towarzystwo natychmiast rozeszło się do domów. Ci w jaskrawych płaszczach przeciwdeszczowych jeszcze trochę pokreśli się po mieście, a Jaume Serrallac wysypał zawartość kosza pełnego fragmentów historii do kontenera na śmieci przy ulicy Fontellesa. Wtedy Elisenda dostrzegła dwie plamy na końcu ulicy. Miała zbyt słaby wzrok, by je zobaczyć wyraźnie, ale to na pewno dwie kobiety szły, trzymając się pod rękę. Obie Ventury. Dwie plamy zaczęły schodzić w dół, w ciszy, rozglądając się uważnie na boki, jak ktoś, kto zamiast iść przed siebie, dotykiem bada trasę. Kiedy doszły do kontenera, jedna z nich zajrzała do środka, żeby coś sprawdzić. I poszły dalej w dół ulicą Fontellesa. Poszły w dół ulicą Środkową.

Urodził się w Huesce drugiego maja tysiąc dziewięćset dziewiętnastego w rodzinie rzemieślniczej. Jego ojciec prowadził sklep spożywczy, dzięki któremu utrzymywał rodzinę składającą się z żony, ciotecznej babki Soledad, Jacinta i Nieves. Przez wiele lat największym marzeniem małego Jacinta była szufelka z błyszczącego jak złoto mosiądzu, którą chciał zanurzyć w szufladzie z makaronem, by napełnić nim papierową torebkę. I to samo z ryżem i z cukrem. A gdyby tak jeszcze mógł nalać ćwiartkę oliwy z lepkiego od tłuszczu baniaka, wówczas już niczego nie brakowałoby mu do szczęścia. Dlatego w jego pamięci w sposób szczególny zapisał się dzień czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego, nie z powodu proklamowania Drugiej Republiki w Barcelonie i w Madrycie, ale dlatego, że poprzedniego dnia don Rosendo zdecydował, że dość już chodzenia do szkoły i że od jutra Jacinto zacznie mu pomagać w sklepie, na rogu ulic Desengaño i Caballeros. Nosił skrzynki z syfonami i rozlewał wino do butelek, aż pot mu się lał z czoła. Ale również poznał smak szczęścia: ryż, makaronowe rurki, makaron drobny, długi (który wymagał innej techniki posługiwania się szufelką), soczewica, groch, fasola i oliwa; tak, Jacinto został dopuszczony do rozlewania oliwy i jego szczęście sięgnęło zenitu, kiedy wycierał ręce ścierką wątpliwej czystości po napełnieniu pierwszej w życiu litrowej butelki dla pani Pilar z farbiarni San Vicente. W wieku dwunastu lat wreszcie poczuł się szczęśliwy. Później, za czasów Republiki, sprawy zaczęły się komplikować. A podczas wojny jeszcze bardziej się zagmatwały, bo to prawdziwa mordęga pakować ciągle makaron i ryż do torebek i brudzić sobie ręce tym gównianym olejem, zwłaszcza gdy zjawiała się jakaś ładna klientka, a ty stoisz przed nią utyłany jak nieboskie stworzenie, i tak mu to dało w kość, że przy pierwszej lepszej okazji zaciągnął się do wojska, jak najdalej od tego zasranego sklepu, na zasranym rogu ulic Desengaño i Caballeros, żeby zobaczyć trochę świata i poszukać szczęścia. Maszerując z wojskiem republikańskim, znalazł się w samym środku tego piekła, które później będzie określane jako bitwa nad Ebro. Przeszedł przez rzekę w Vinebre, zadowolony, bo poznał tam niezwykłą dziewczynę, która podarowała mu różową różę i która nie zdążyła powiedzieć, jak się nazywa, bo to wszystko się działo, kiedy jego kompania schodziła w stronę rzeki. Zgubił różę w trakcie przeprawy, ale dotarł żywy do gór Fatarella. Strzelał na oślep i posikał się w spodnie, bo nie mógł wychodzić z za karabinów maszynowych, skąd bronili jakiegoś ścierniska, które z jakiegoś powodu okazało się bardzo ważne, i wziął udział w strasznej walce wręcz, podczas której bagnet

faszystowski naznaczył mu twarz ponurym uśmiechem rozciągającym się wzdłuż prawego policzka. Na szczęście rana nie zaczęła się paprać. Po osiemdziesięciu dniach walki o przetrwanie pośród martwych towarzyszy broni wycofał się również przez Vinebre. Mimo że uważnie się rozglądał, nie odnalazł dziewczyny, której imienia nie znał, tej od róży dla idących na pewną śmierć. Kiedy skończyła się wojna, po paru miesiącach aresztu wrócił do Hueski, zbuntowany, i stwierdził, że odtąd koniec z odmierzaniem makaronu tą pieprzoną mosiężną szufelką, i w tajemnicy przed rodziną zaciągnął się do Falangi, i zaczął brać udział w akcjach, głównie ze względu na mundur, pamiętając o podekscytowanej przemarszem wojska bezimiennej pannie z Vinebre. Wtedy podjął decyzję, że jego blizna to pamiątka po czerwonym separatystyce, który już nie mógł oglądać skutków swojego wyczynu ani się nim przechwalać, bo on sam, zaślepiony gniewem, wykłuł mu oczy bagnetem. A setnik go pochwalił bardzo dobrze, Jacinto, dobrze się spisałeś. Ten gniew musi nam zawsze towarzyszyć, tak jest. Rozumiecie, towarzysze? Rozumiecie, czego od was oczekuję? Jacinto Mas, który doskonale rozumiał, zapuścił sobie cienki, ciemny, sztywny wąsik nad górną wargą. Nauczył się patrzeć ponuro i kiedy szukano ochotników do szwadronu, który przez parę miesięcy miał działać daleko od domu, w Katalonii, robiąc czystki wśród elementów niepożądanych, zgłosił się, ale nie został przyjęty. Zamiast tego wysłali go do San Sebastian i tam zaczął pracować jako osobisty ochroniarz pewnej młodej mężatki, która właśnie wracała do domu. Szwadron śmierci kojarzył się z większym heroizmem, ale pensja, jaką mu zaproponowano za funkcję ochroniarza, szofera i człowieka do wszystkiego okazała się nie do pogardzenia i przyjął propozycję, nie zastanawiając się długo. Jacinto Mas przyjechał do Toreny po raz pierwszy za kierownicą samochodu pani Elisendy Vilabré. Był niezawodny, twardy, małomówny, dzielny, wierny, i ona mu powiedziała dobrze, Jacinto, dobrze się spisujesz, i od czasu do czasu dawała dodatkowe, hojne wynagrodzenie, zwłaszcza kiedy coś się działo, a on zachowywał kamienną twarz.

– Kiedy przeszedł na emeryturę, powiedział, że pod żadnym pozorem nie wróci do Hueski. Dlatego poprosił, żebym przyjechała do Zuery, a ja się zgodziłam. I tutaj umarł, tak.

– Nie. Został ogrodnikiem. Za pieniądze z odprawy założyliśmy sklep ogrodniczy. Nie mogę narzekać.

– No wie pani, byliśmy rodzeństwem...

– Pani jest z policji?

– To dlaczego zadaje mi pani takie pytania? Czemu wygrzebuje pani te sprawy spod ziemi?

– A co ja mam wspólnego z jakimiś zdjęciami?

– Nie. Mój brat zmarł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym. Dwadzieścia pięć lat temu, proszę pani!

- Na atak serca w barze w Zuerze, tak.
- Dlaczego to mówię z ironią? Bo policja w ogóle się nie zainteresowała jakimś osobnikiem, który długo z nim rozmawiał i wyszedł dosłownie minutę przed jego śmiercią. Tak mówił Carreta z baru.
- Tak, pięćdziesiąt siedem lat.
- Początkowo tak. Ale potem sobie pomyślałam, kto wie, narobił sobie wielu wrogów, zwłaszcza kiedy się zapisał do Falangi w Huesce i Bóg wie co wyprawiał na zlecenie jaśnie pani.
- No więc... Nie wiem. On o tym nie chciał mówić, ale odniosłam wrażenie, że otarł się o śmierć kilku osób.
- Bo mówił przez sen. O kimś powieszonym na figowcu. To były czasy bardzo... Ale ja nic o tym nie wiem.
- Tak. Może lepiej do tego nie wracać. Kiedy wycofałam złożone doniesienie i przestałam się domagać wyjaśnienia okoliczności jego śmierci, dostałam czek od anonimowego nadawcy.
- Oczywiście, że przyjął. Takie same pieniądze jak każde inne.
- Nie, nie zamierzam wracać do Hueski. Już się przyzwyczaiłam do Zuery.
- Sort? Nie, nigdy tam nie byłam.
- Nie. Jeżeli zrobił coś złego... to musiało zdarzyć się tam. Tu tylko uprawiał rośliny tropikalne i wyhodował takie pelargonie i begonie, że aż oczy się do nich śmiały. Tak, tu, w Zuerze, tutaj.
- Takie mieliśmy czasy. Należało bronić ojczyzny.
- Wiadomo, jaka jest teraz młodzież: w nic nie wierzy. Ale ja tak. A tym bardziej mój Jacinto.
- Teraz to trudno udowodnić. Umarł na zawał serca. Koniec kropka.
- Od czasu do czasu, napady depresji. Musiałam mu wtedy mówić bardzo dobrze, Jacinto, dobrze się spisujesz, i wtedy się ożywiał.
- Nie. Kiedy czuł przygnębienie, zawsze powtarzał, że służył pani Elisendzie ciałem i duszą, że to była wielka dama. Że na jej prośbę musiał cały czas szpiegować panicza Marcela, który zachowywał się skandalicznie. Że pokonał za kierownicą samochodu jaśnie pani tysiące kilometrów, że wielokrotnie wyciągał ją z opałów i tak dalej, a ona na koniec wyrzuciła go jak karalucha.
- Nie wiem dlaczego. Nie chciał o tym rozmawiać.
- Oczywiście. Pani Elisenda, dotychczas wielka dama, została Elisendą Zdzirą. Za przeproszeniem. Moim zdaniem Jacinto się w niej zakochał.
- Nie wyjaśnił mi tego. Przypuszczam, że zaboląła go niewdzięczność za wierną służbę.
- Co ja o tym sędzę? Nie chcę wiedzieć, czy jeszcze żyje czy nie, nic mnie to nie obchodzi.
- Też coś! Nie chciał o tym rozmawiać, ale znał wszystkie sekrety jaśnie

pani...

– No więc... Ale dlaczego to panią interesuje?

– Jakby to powiedzieć. Miała kochanków. Wielu kochanków. Aż pewnego dnia zdecydowała, że zostanie świętoszką, i od tego momentu całe dni spędzała w kościele na rozmowach z księżmi. Tak twierdził Jacinto.

– Wie pani, mam wrażenie, że Jacinto też był jej kochankiem... Nie powiedział tego wprost, ale...

– Takie rzeczy po prostu się wie.

– Nie. Była bezpłodna. Pani Elisenda była bezpłodna. Nie mogła mieć dzieci.

– Bo szofer całe życie spędza w samochodzie, albo zamyka dokładnie szybę, albo jej nie domyka, otwiera drzwi, słyszy rozmowy telefoniczne, zawozi koperty, załatwia zlecenia, szuka konkretnych osób... A pensję otrzymuje za prowadzenie samochodu i za dyskrecję.

– Dlaczego miałyby kłamać, biedaczek. Gdy tu przyjechał, chciał już tylko umrzeć.

– To jest oczywiste. Panicz Marcel nie jest jej synem.

– Tak, ma na imię Marcel.

– Skąd niby mam wiedzieć! Na pewno nie moim.

– Bogaci mogą robić, co chcą. Nawet powtórnie ochrzcić dziecko.

– No właśnie to: zmienić dziecku imię.

– Bo słyszał to, siedząc za kierownicą. Nie chcę, żeby mój syn się nazywał tak jak jeden z zabójców mojego ojca i mojego brata. Romà, zrób coś z tym.

– Będę musiał pójść do urzędu stanu cywilnego i do parafii. Mam nadzieję, że nie będzie...

– Postaraj się, w końcu to twoja robota. Mój syn będzie się nazywać Marcel tak jak mój dziadek.

– Załatwię to, Elisendo.

– Czyli przestał się nazywać tak, jak się nazywał wcześniej, nie wiem jak, i został paniczem Marcelem. Widziała pani kiedyś takie piękne glicynie?

Wierzę w harmonię przyrody, silnej i zdrowej, i w Greenpeace, który o nią dba i otacza ją troską, i we wszystkie istoty ludzkie, które wyrzekają się nienawiści między osobami i narodami. Wierzę w równość każdej ludzkiej jednostki i opowiadam się przeciw wojnom i nierównościami ze względu na płeć, rasę.

– Są różnice płci. Rasy też się różnią, co ty pieprzysz.

Wierzę w równość każdej ludzkiej jednostki i opowiadam się przeciw wojnom i nierównościami ze względu na płeć.

– Dobrze. Tak, teraz ty. Nierówności.

Wierzę w równość każdej ludzkiej jednostki i opowiadam się przeciw wojnom i nierównościami ze względu na płeć, rasę, religię, przynależność. I wierzę, że nie wolno wierzyć w nic, co by zakłóciło wolność duchową człowieka.

– Osoby.

– Wolność duchową osoby.

Z balkonu nowego mieszkania Jordi i Tina podziwiali rzekę, która płynęła, wchłonałszy wody Pamano, i kawałek góry, która pochylała się, o czym nie wiedzieli, w stronę Toreny. Jakie czyste, jakie zdrowe powietrze. Że też wcześniej nie wpadliśmy na to, żeby zamieszkać w górach, gdzie podobno ludzie są czysti i szlachetni, mądrzy, bogaci, wolni, zaradni i szczęśliwi!

– Kocham cię, Jordi.

– Ja ciebie też. Och, przecież się umówiliśmy, że będziemy tam o pierwszej.

Tina i Jordi świętowali swoje przybycie do Sort, zamawiając soczysty ryż w restauracji Rendégo, tuż obok stolika, przy którym Feliu Bringué jadł obiad ze swoim klientem po zakończeniu obywatelskiej uroczystości zmiany nazw ulic w Toronie i opowiadał o wewnętrznym oczyszczeniu, jakiego doznał, podczas gdy jedno po drugim spadały nienawistne imiona faszyzmu, który w tej strefie dopiekł im do żywego.

– Jak wszędzie.

– W małych miejscowościach bardziej, bo tu nienawiść wrasta w ściany domów. Wszyscy się znają i wszyscy wiedzą, co kto zrobił. Sam wiem o paru zbiorowych grobach.

– Wielu ludzi o tym wie, ale milczą.

– Jeszcze się boją.

– Ja wiem, kto zabił mojego ojca.

– Targa. Ale on już nie żyje.

– Ale znam też tych, którzy bili mu za to brawo. – Rozmowa przybrała niewłaściwy obrót i o mały włos nie popsuka im apetytu na soczysty ryż, popisowe danie restauracji Rendégo, więc spróbował zmienić temat: – Życie w małej miejscowości bywa bardzo okrutne.

– Chyba że masz łąkę, która może się zamienić w czarny szlak.

– Bardzo dobrze. Po to tu się spotkaliśmy, nie żeby mówić o smutnych czasach. Jestem otwarty na wasze propozycje, ale uprzedzam, że chcę na tym zarobić. W końcu jestem burmistrzem.

– W małej miejscowości życie jest bardziej autentyczne.

– Mnie się wydaje, że... Mam dość miasta. Bycia pionkiem...

– To może spróbujemy? – powiedzieli sobie cztery miesiące temu.

Spróbowali. Oboje poprosili o skierowanie do szkoły w Sort, i żeby się doksztąpić, otworzyli encyklopedię.

– Popatrz: gmina w Pallars Sobirà w dolinie Noguery Pallaresy. Na terenach suchych uprawia się żyto i inne zboża, na nawadnianych są sztuczne łąki, ogrody warzywne i ziemniaki. Jest dziewięćset siedemnaście hektarów pastwisk. Zajmują się hodowlą.

– Jakie to urocze, krowy.

– Tak. Przemysł mleczarski i produkcja serów. Miasto Sort, stolica Pallars Sobirà, rozciąga się wzdłuż doliny, po prawej stronie Noguery Pallaresy. Pierwsze wzmianki o mieście pochodzą z tysiąc sześćdziesiątego dziewiątego roku...

– Coś takiego! Wyobrażasz sobie? Tysiąc sześćdziesiąt dziewięć!

– Tak, należało wtedy do biskupstwa w Urgell.

– Jak nam dadzą etaty, osiedlimy się w samym Sort.

– Stare miasto, utworzone przez wąskie uliczki i stare domostwa, rozciąga się u stóp skalistego urwiska, na którym pozostały duże okrągłe wieże, fasada gotycka (piętnasty wiek) i mury (zamienione w tysiąc osiemset czterdziestym drugim na ogrodzenie cmentarza) zamku Sort, dawnej rezydencji hrabiów Pallars. Miasto rozrosło się wokół zamku, wzdłuż drogi nad rzeką, aż do ulicy Głównej, a w miejscu, gdzie przedmieście Raval łączy się ze starym miastem, jest Rynek z kościołem parafialnym pod wezwaniem Świętego Filipa na poczesnym miejscu.

– Idylliczny zakątek – podsumował Jordi bez cienia ironii, zamykając encyklopedię, bo nie mógł odgadnąć przyszłości i przeszłości też nie znał.

– Nie sądzę, żeby zgłosiło się dużo kandydatów. A gdybyśmy spróbowali tu znaleźć jakiś stary, typowy dom?

– Tak. A jak nie, to normalne mieszkanie.

– Myślisz, że mają takie?

– Możemy tam pojechać na weekend i oddać się marzeniom.

A teraz to świętowali. Nie stary dom, tylko prawie nowe mieszkanie do

wynajęcia, bardzo dobre, blisko rzeki, otwierałeś okno i już ją słyszeć. I ten widok na góry, całkiem niezgorza panorama. Mieszkanie było niewielkie, ale dla nich dwojga aż nadto, a i cena bez porównania z Barceloną, och, naprawdę. Inny świat, tu ludzie żyją bardziej, no nie wiem, w inny sposób, grają w remika i te rzeczy, rozumiesz?

– Jakie to urocze.

– A gdybyśmy mieli dzieci, będą tutejsze.

– Musimy popytać o regionalną kuchnię.

– Wyobrazasz sobie, co to za frajda mieć do szkoły pięć minut piechotą?

– Mieszkanie na prowincji to prawdziwy luksus. I pieniędzy starcza na dłużej.

– Jak się zacznie rok szkolny, przestanę palić.

– Możemy zostać wegetarianami.

– Kocham cię, Tino.

– Ja ciebie też.

Soczysty ryż w restauracji Rendégo przeszedł ich najśmielsze oczekiwania. A Pan Bóg, który ma poczucie humoru, mimo że znany jest raczej z innej strony, umieścił dwa stoliki opodal Tyny i Jordiego dopiero co wybranego pierwszego demokratycznego burmistrza Toreny, Feliu Bringué (syna nieszczęsnego działacza partii Esquerra Republicana^[4], który był burmistrzem męczennikiem dla jednych, a mordercą dla innych, Joana Bringuégo z domu Felió), gdy właśnie ubijał interes z pośrednikiem w handlu nieruchomościami, przedstawicielem spółki zajmującej się sportami zimowymi. A jeszcze dalej, przy stoliku w rogu, adwokat Gasull i młody, dynamiczny Marcel Vilabrú z firmy Vilabrú Sport, właściciel, współwłaściciel czy wspólnik stacji narciarskiej Tuca Negra w gminie Torena, negocjowali coś nad półmiskiem wybornej, słodkiej jak miód cielęciny, patrząc przed siebie, po cichu, nie mając pojęcia o ludziach przy sąsiednich stolikach.

Właściciel Rendé, siedząc za kasą przy barze, pogrążony w błahych dywagacjach spoglądał na ulicę i nie wiedział, że ma przed sobą taki kawał historii Toreny, zgromadzonej wokół stolików w jego restauracji w Sort. A żeby było jeszcze bardziej doniośle, podał kawę z kropelkami pewnemu mężczyźnie o błękitnych oczach, z ubraniem i włosami przesiąkniętymi pyłem, który zaparkował na wprost restauracji ciężarówkę załadowaną dachówkami łupkowymi i kamiennymi tablicami na nagrobki. Nie wymienili żadnych uwag, Jaume Serrallac i właściciel Rendé, bo przyzwyczajenie zniechęca do pustego gadania. Mężczyzna położył jednego duro na blacie i grzebiąc w zmiętej paczce papierosów Celtes, popatrzył z roztargnieniem na klientelę w lokalu. Zwrócił uwagę na parę hipisów, którzy zamieszkali w domu Fanga, nie mając pojęcia, co się między nimi wydarzy dwadzieścia lat później. Wypił kawę jednym

haustem, cmoknął, zapalił papierosa i kiwnął na pożegnanie właścicielowi. Nie odwrócił głowy. Nie miał powodu, przynajmniej na razie, żeby to robić.

– Twoja matka nie dba o siebie. Coraz bardziej pogarsza się jej wzrok.

– Co ci mam powiedzieć, szczerze mówiąc, bardziej martwi mnie jej dewocja. Kiedyś taka nie była.

– Zawsze taka była. Na swój sposób, ale zawsze była pobożna. – Napił się wina. – Ona zawsze wie, jak najlepiej się ustawić. Trzeba jej zostawić wolną rękę. – Odsunął kieliszek i spojrzął na tamtego. – Poza tym nikomu krzywdy nie robi.

– Kurwa mać, jak to nie. Wydaje fortunę na księży i na farsę z kanonizacją, czy jak jej tam, tego Fontellesa. – Zrobił gest w stronę Gasulla. – Czasem się zastanawiam, czy nie kręcili ze sobą, i stąd to zainteresowanie.

– Nigdy tak nie mów o swojej matce.

– Wiem, tylko żartuję. Ale ona na dodatek daje pieniądze tym z Opus.

– Przekazywanie pieniędzy Opus Dei jest znakiem dojrzałości i inteligencji.

– Ale my przecież dążymy do stworzenia laickiego społeczeństwa! A Opus skompromitował się, zadając się z reżimem.

– Tak jak ty, jak ja.

– Ja byłem wtedy bardzo młody.

– Weź pod uwagę, że przekazywanie pieniędzy na rzecz Opus można rozliczyć jako wydatki przedsiębiorstwa, co na dalszą metę przynosi zysk. Opus zawsze będzie przy władzy. To jest władza, stanowi jej nierozzerwalną część, tak jak lobby królów europejskich czy rekinów naftowych. W tych sprawach nos twojej matki jest niezawodny. Zawsze wiedziała, gdzie się znaleźć, i tam była, do kogo zadzwonić i jakim tonem rozmawiać. Wiedziała z rocznym wyprzedzeniem, przed innymi śmiertelnikami. I jest bardzo zadowolona z twoich negocjacji w Europie.

– Nie mogła mi tego sama powiedzieć, co?

– Wiesz, jaka jest.

– Mama uważa się za wyjątek.

– Elisenda jest wyjątkowa. – Zakochany bez wzajemności adwokat wziął kęs z talerza i zamyślił się o różnych rzeczach, odległych i bliskich, i przywołał wspomnienie zapachu nardu, który przestał wyczuwać, bo cały nim przesiąknął.

– Wiesz, nad czym się zastanawiam, Tino?

– Nie. Nad potomstwem?

– Nie, no coś ty. Może zapiszę się do PSC^[6].

– O, świetnie. A PSUC^[6]? Wypiszesz się?

– No, jeszcze się zastanawiam.

– Nie ma pośpiechu. Przemyśl to sobie. Spójrz na to z tutejszej perspektywy.

– A ty?

– Nie wiem. Chcę czytać.

– Co?

– Właśnie to. Chcę czytać. Mam już dwadzieścia dwa lata, właśnie przeniosłam się do raju w towarzystwie mężczyzny, którego kocham, od niedawna jestem mężatką, czuję, że zaczynam nowe życie i chcę to przeżywać świadomie.

– Ale to nie ma nic wspólnego z...

– To ma wiele wspólnego – przerwała mu Tina. – W Sort czuję po raz pierwszy, jak działa życie, czuję pomruk czasu przepływającego między palcami, kiedy rytm życia nadają słońce i księżyc. W Barcelonie nigdy tego nie czułam.

– Ty jesteś poetką, Tino.

– Nie. Nie wiem, kim jestem. Chciałabym umieć malować, umieć wyrazić to, co czuję. Po raz pierwszy w moim dojrzałym wieku czuję, że żyje się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ten sam Rendé zabrał im talerze i przyniósł lody waniliowe. Kawa? Dwie? Jakiś likier? Nie? Wtedy Jordi z oczami rozpalonymi niecierpliwością otworzył torbę i wyciągnął z niej dużą paczkę zawiniętą w zielony papier, zapakowaną jak prezent. Położył na stole.

– Życie na tej zabitej deskami prowincji nie służy mamie.

– Elisenda nie chce się ruszać z Toreny, chyba że jest to niezbędnie konieczne.

– W Barcelonie miałaby wszystkich lekarzy pod ręką, i wnuka, i ja mógłbym... I ty, Gasull...

– Zawsze uważałem, że poważną część hojnego wynagrodzenia, jakie pobieram od lat, dostaję za pokonywanie trasy z Barcelony do Toreny. Któregoś dnia, nie wiem kiedy, będzie można rządzić światem z jakiegoś odległego kąta.

– Bajki. Słuchaj i spróbuj ją przekonać: z nastaniem demokracji i nowych rad miejskich będzie popyt na kluby sportowe.

– Teraz mamy się zająć budowaniem?

– Nie: mamy się specjalizować w instalacjach sportowych. To prawdziwa kopalnia złota. Zwłaszcza jeżeli będziemy pierwsi na starcie. Weź pod uwagę, że rady miejskie muszą zadbać o prestiż, muszą zmienić miejską panoramę, jeśli nie chcą przegrać wyborów.

– Czasem się ciebie boję bardziej niż twojej matki.

– Dlaczego?

– Jesteście zawsze dwa kroki przed szeregiem.

– To pewnie kwestia chromosomów. A właściwie co ty masz przeciwko budowaniu? Dywersyfikacja ryzyka.

– Mam coś jeszcze podać, panie Vilabru?

Marcel spojrzął na Gasulla i zanim adwokat zdążył cokolwiek powiedzieć,

zdecydował za nich obu: – Od razu przejdziemy do kawy. I dwa razy whisky. –
Mając na myśli lokal, kiedy pan Rendé się oddalił, zapytał: – Nie wydaje ci się,
że coś w sobie ma ta restauracja?

– Nie byłem tu już chyba z tysiąc lat.

Tina uradowana wzięła do ręki paczkę. Niecierpliwymi palcami rozdarła
papier, mówiąc nie mam dziś imienin ani urodzin, co to za okazja?

– Pobraliśmy się dokładnie trzydzieści sześć dni temu.

– Tak dawno?

– Tak dawno.

O mój Boże, jak ten czas leci, trzydzieści sześć dni. Tak, tempus fugit. Och,
trudno to wyciągnąć ze środka, cholera, no, wreszcie. W ozdobnym papierze
znalazła czarne pudełko, trochę mniejsze od kartonu po butach. O połowę. Nie,
trzy czwarte pudełka po butach. Tina patrzyła na karton stojący na stole.
Musiała powstrzymać entuzjazm, którym promieniowały jej oczy, bo pan
Rendé właśnie przyniósł kawę. Kiedy znów zostali sami, otworzyła pudełko
niemal liturgicznym gestem, tym sprzed trzydziestu sześciu dni, kiedy zostali
małżeństwem, a tymczasem Jordi powstrzymał oddech i wróżył z płatków
spodoba się jej, nie spodoba.

Zobaczyła fantastyczny aparat marki Nikon Reflex, który musiał cię
kosztować furę pieniędzy, Jordi. Ale podoba ci się? Jestem zachwycona, tylko
że ja nie mam pojęcia o fotografowaniu. No to się nauczysz. I może ci się
przydać, żeby wyrazić całe to wewnętrzne wrzenie.

Palce Tiny drżały z ciekawości, kiedy sięgnęła po nikona.

– W środku jest film.

Marcel zobaczył kątem oka, popijając cardhu w towarzystwie Gasulla, jak
kobieta z tej hipisowskiej pary przy stole na środku sali robi zdjęcie swojemu
towarzyszowi, brodaczowi z tłustymi strąkami na głowie i z myślami
opanowanymi przez trzydzieści tysięcy wszy.

– Wiesz, kim jest ten przy stoliku w głębi?

– Nie.

– To Feliu Bringué. Nowy burmistrz Toreny.

– Ach, to ten?

– Jego ojciec był burmistrzem podczas wojny. Nienawidzi mamy.

– Czemu uważasz, że jej nienawidzi.

– Miejscowe zaszłości.

– Nie, żadne miejscowe zaszłości. – Gasull jak zawsze miał informacje z
pierwszej ręki. – Bringué chce otworzyć nową stację narciarską.

– O kurwa. Gdzie?

– Obok stacji Tuca Negra.

– Skurwysyn. Musimy natychmiast działać.

– Ty zajmuj się dalej swoimi Szwedami, a o stację w Tuce zatroszczy się już

twoja matka.

- Na pierwszym zdjęciu, jakie zrobiłam aparatem, jest mój ukochany.
 - Dziękuję. Chciałbym, żeby ta miłość ciągle wzrastała, teraz i zawsze.
- Amen.
-

Przez trzy czy cztery lata Bóg, który zdaniem starej Ventury nie istnieje, nie miał ochoty na żarty i nie zgromadził ponownie wszystkich tych osób w jednym miejscu. Gotowi do działania, tak jak wtedy, rozproszyli się, każdy w ślad za swoją obsesją. Obsesją Marcela Vilabru, coraz konsekwentniej wchodzącego w rolę menedżera firmy Vilabru Sport SA i współwłaściciela stacji Tuca Negra, podczas tej mroźnej zimy roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego był Strasburg.

– ...to nie to samo. Gdzież tam, bez porównania. To jest, jakby ci to wyjaśnić, no... Słuchaj, ja bardzo kocham moją żonę. Ale to co innego. To taki skok w bok, który nikomu nie szkodzi i na który, jak się dobrze zastanowić, zasłużyłem. Minęły już dwa, co ja mówię, nie dwa, więcej...

- Słuchaj, kochasiu. Ja tylko spytałam, czy jesteś żonaty.
- No, ale ja chciałem wytłumaczyć, że...
- Żeby o czymś mówić.
- Aha.
- Zobaczysz, na pewno ci się spodoba.

Dziewczyna podeszła do Marcela, który wbrew swoim zasadom nie przejął inicjatywy. Zaczęła go rozbierać, a on jej na to pozwolił, ale od czasu do czasu zerkał na telefon. Świadomość, że czekał na sygnał od chorej Mertxe, wywoływała w nim wyrzuty sumienia. Bardzo się nimi przejmował, bo mogły wpłynąć na erekcję.

Obsługa okazała się fantastyczna i Marcel już prawie zapomniał o nieudanej próbie zakupu dresów za skandalicznie śmieszoną cenę, bo ci z Laxis Co. wyprzedzili go dosłownie o parę godzin. Zapomniał też o stresie przed jutrzejszą rozmową w Strasburgu z przedstawicielami dwóch stacji narciarskich w Sapporo, zainteresowanych odkupieniem stacji Tuca Negra.

– Za żadną cenę, Marcel – powiedziała matka. – Jeżeli chcą ją kupić, to dlatego, że może przynieść jeszcze większy zysk niż w tej chwili: przygotujmy analizę wydajności, ale o sprzedaży nie ma mowy.

Od kiedy Elisenda, dziesięć lat temu, w czasie, gdy urodził się jej wnuk Sergi, stała się głównym udziałowcem stacji Tuca Negra, ośrodek prężnie się rozwijał. Od kiedy współnikiem został jej syn, wypierając Szwedów z Frölund-Pyrenera Korporation, jak grzyby po deszczu zaczęły się mnożyć coraz to nowe czarne trasy, trasy ekstremalne, nadzwyczajna oferta narciarstwa nordyckiego w tak pięknych okolicach, że kto raz spróbował, na pewno będzie

chciał powtórzyć. A oprócz tego szeroka oferta dla rodzin, łatwe zjazdy i wszelkie możliwe usługi. Teraz już tylko należało zadbać o pogodę i postawić świeczkę wszystkim świętym, bo ludzi nie trzeba było zachęcać. Kupowali coraz więcej sprzętu marki Brusport, prestiżowego, designerskiego, kwintesencję sportowej elegancji. Brusportwear, światowy prestiż. Yannick Noah nosi wyroby Brusport. Stefan Edeberg i Brusport, dobrana para. (Całymi godzinami dział kreatywny spekulował, czy nie lepiej powiedzieć nierozłączna para, ze względu na obrączki w logo Brusport, ale ostatecznie została dobrana para. Jasne, bo nierozłączna zbyt się kojarzy ze sprawami osobistymi: aż sama się ciśnie na usta prognoza poczekamy, zobaczymy, jak długo Edeberg wytrzyma w nierozłącznej parze z firmą Brusport. Natomiast dobrana para znaczy jeżeli dobierzesz do kompletu koszulkę z dwiema magicznymi obrączkami, zyskasz na wszystkich frontach, w sporcie, w życiu i w trzecim, decydującym secie. A ponieważ pani Elisenda powiedziała, że tak, że ją przekonali, została dobrana para.) – Ja bym jeszcze zajrzał do Val de Proudhom – zasugerował Marcel, już wychodząc.

– Jak się miewa Mertxe?

– Nie najlepiej: te jej problemy z jajnikami i... na dodatek ma grypę.

– Dlaczego do Val de Proudhom?

– Mówi się, że zamierzają ją sprzedać.

– Jedź tam. Ale nie podejmuj żadnej decyzji bez konsultacji ze mną.

– Tak, mamo.

Wziął płaszcz i bezszelestnie zamknął drzwi za sobą, zanim Ció, coraz starsza, zdążyła podejść. Zapomniał pocałować matkę na do widzenia, bo bardzo chciał mieć już za sobą tę pieprzoną drogę do Barcelony. Kiedy ona zdecyduje się wreszcie zostawić dom w Torenie, ja już będę na emeryturze.

Dlatego teraz Marcel Vilabru był w Strasburgu, w hotelu, prezentując penisa prostytutce, której nikt by nie skojarzył z tą profesją, wyglądała bowiem jak księżniczka z bajki, ale mówiono o niej, że zajebicie obciąga, że tworzy z seksem tak dobraną parę jak Brusport z Edebergiem, a on wiedział, co będzie dalej, bo to już zostało zapisane. Podczas gdy dziewczyna robiła mu fantastyczne fellatio, zadzwonił telefon.

– Słucham.

– To ja. Gdzie jesteś?

– Ja? Jak ty się czujesz, kochanie?

– Tak sobie. Jestem osłabiona. Dzwonię, bo chciałam cię usłyszeć i...

Penis zaczął wędznąć i królowa Strasburga zareagowała profesjonalnie, podczas gdy Marcel mówił do słuchawki, że zebranie skończyło się dużo później, niż myślałem. Zadzwoń do mamy i powiedz jej, żeby się nie martwiła o Val de Proudhom, bo nie warto.

– A ty dobrze się czujesz? Marcel?

- Ja, tak. Dlaczego pytasz?
- Nie wiem, głos ci drży. Co ci jest?
- Mnie?

Jednym ruchem ręki odsunął od siebie królową Alzacji. Może zbyt gwałtownie. W każdym razie ona zareagowała słowami cholera, chłopie, uważaj, nie? wkurzona, głośno, po francusku z niemieckim akcentem.

- Co się dzieje? Kim ona jest?
- Kto kim jest?
- Ta, która coś przed chwilą powiedziała.
- Nic nie słyszałem. To pewnie jakieś zakłócenie na linii.

Mertxe się rozłączyła. Nie dała mu czasu na dopracowanie kłamstwa. On też odłożył słuchawkę, delikatnie, zastanawiając się, jak to jest, że ostatnio mam takiego pecha. Tymczasem zakłócenie znów się zabrało do jego członka, a on, nie kontrolując się, z taką siłą uderzył ją w twarz, że ze zdumienia zastygła z otwartymi ustami.

- Chuj.
- Pizda.

Zakłócenie wstało, czerwone z wściekłości i od uderzenia, szybko się ubrało i chwyciło torebkę. Ale Marcel stanął jej na drodze do drzwi.

- Jak mnie dotkniesz, wzywam policję.
- Jak spróbujesz kogokolwiek wezwać, połamię ci nogi. Rozbieraj się.

Marcel zachował się jak dzikus. Może nawet przesadził. Uderzył ją parę razy i nie okazał czułości ani przez chwilę, nawet nie próbował zachować pozorów. Kiedy skończył, wiedział, że najtrudniejszym, co go czeka, nie jest jutrzejsze zebranie, ale powrót do domu ze spuszczoną głową, w kółko obmyślał strategię, a skończyło się tak, że znalazł na stole w jadalni kartkę i słowa jestem z Sergim w domu mojej matki. Nie dzwoń. Gorączka mi przeszła. Musiałam być uczulona na ciebie.

O kurwa, pomyślał. Dwanaście lat małżeństwa, syn ośmio- czy dziesięcioletni, tyle bezkarnych romansów i tylko dlatego, że jakaś głupia cipa powiedziała cholera, chłopie, uważaj, masz babo placek, nici z naszego małżeństwa. W głowie się nie mieści.

Rekonstrukcja małżeństwa okazała się koronkową robotą, którą osobiście zajęła się pani Elisenda. Zrobiła wszystko, żeby uniknąć skandalu, żeby nie chodziły plotki i żeby nie dowiedziała się Mamen Vélez de Tena. Sprawiała, że zaangażowała się w tę sprawę matka Mertxe (z rodu Centelles-Anglesola, spokrewnionego z rodem Cardona-Anglesola przez Anglesolów, i z rodu Erill z Sentmenat, ponieważ matka matki jest córką Eduarda Erilla z Sentmenat, tego, który w czasie, gdy małżeństwo Mertxe przeżywało kryzys, już od trzech lat nie żył, popełniwszy samobójstwo nie tylko z powodów materialnych, ale jak

obecnie wiadomo, także i sercowych) i przekonała jej synową i wnuka do powrotu do domu. Od tej chwili, od lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego, Mertxe przestała się uśmiechać, zarządziła rozdział sypialni i postanowiła więcej nie rozmawiać ani z teściową, ani z mężem. Marcel zgorzkniał jak przeterminowany jogurt i wyrobił w sobie nawyk mówienia źle o wszystkim i o wszystkich, nawet czepiał się pogody, że za mało śniegu albo że wiatr sieje spustoszenie na trasach wysokogórskich. W głowie się nie mieści, że powód tego nieporozumienia to zwykłe zakłócenie na linii, no kto by pomyślał.

Kiedy sytuacja w rodzinie się uspokoiła, Elisenda Vilabré wezwała syna, by mu przekazać instrukcję obsługi życia małżeńskiego. Po długiej rozmowie, w której ona dyktowała zasady postępowania, a on nie odważył się z nią polemizować, kiedy już cała instrukcja została odczytana, Marcel Vilabré przystąpił do ataku i zamroczony gniewem oświadczył skoro się już tak rozliczamy, moglibyśmy pomówić o twojej obsesji kanonizacji jakiegoś belferka.

– Nie wsadzaj nosa w nie swoje sprawy.

– Ty przez cały wieczór wsadzałaś nos, gdzie nikt cię nie prosił. A poza tym wydałaś kupę forsy na te wszystkie świętości.

Pani Elisenda otworzyła szufladę, wyciągnęła z niej kolorowy skoroszyt i położyła na stole kartkę.

– Co to ma być?

– To posumowanie tego, co wydałaś na dziwki tylko od czasu ślubu.

Cassiànowi brakowało piątej klepki. Ślina, która kapiała mu z ust, kiedy się uśmiechał, była jego listem kaperskim. Dlatego w barze Marésa zawsze mógł liczyć na darmową szklaneczkę wina. Nawet pani Báscones, która na innych klientów kręciła nosem, traktowała obojętnie Cassiàna, kiedy kupował tytoń, a nawet gdy nie starczało mu pieniędzy, mówiła zapłacisz później, a jak chciała się z niego pośmiać, prosiła Cassià, powiedz synchondrosis, a na to Cassià przecież wiesz, że u mnie z głową nietęgo, a wtedy ona, usatysfakcjonowana, powtarzała parę razy synchondrosis, a potem mówiła no już, wracaj do domu, jakby nie pamiętała, że Cassià należy do domu Maria del Nasi, skąd się wywodził jeden z najbardziej zatwardziały, wszawych republikanów, masonów, separatystów, czerwonych, ateistów, najgorszych w miasteczku katalońskich nacjonalistów, młodszy brat Cassiàna, Josep Mauri z domu Maria del Nasi, który w tym momencie liczył po raz nie wiem który belki na suficie i starał się nie zaglądać do dziury czasu, bo przeszłość, terażniejszość i przyszłość już do niego nie należały. Unikał zagłębiania się w ciemną dziurę sprzed ośmiu lat, kiedy w trzydziestym szóstym, w końcu lipca, w pierwszych dniach rebelii faszystowskiej przyjechała do miasteczka bojówka anarchistyczna na ciężarówce udekorowanej sztandarami, z siedmioma mężczyznami na pace. Przewodził im nauczyciel z Tremp, Máximo Cid, który gdy tylko zeskokczył na ziemię, od razu zaczął komenderować ty, ty, ty i ty, przyprowadźcie mi tego, kto tu rządzi, i wtedy ty, ty, ty i ty poszli do ratusza, gdzie nie znaleźli burmistrza, bo Joan Bringué miał wtedy spóźnione sianokosy i Máximo Cid musiał wspiąć się po niego na łąkę Músic, wysoko jak cholera, a jak już go sprowadził na Rynek, kazał mu ściągnąć dwóch radnych, Josepa Mauriego i Rafaela z domu Misseret, i zebrał ich na placu, a Bringué protestował ej, ej, ej, my jesteśmy za Republiką, cholera jasna, co z nami chcecie zrobić, a Cid odpowiedział nic wam nie zrobię, chcę tylko wymierzyć sprawiedliwość. I podnosząc głos, patetycznym tonem oświadczył chcę, by Historia wymierzyła Sprawiedliwość. A kiedy już Bringué, Mauri i Gassia czekali na śmierć z ręki anarchistów z FAI, bo takie miał widzimisię nauczyciel Cid, wtedy on kazał im wskazać najbogatszy dom w miasteczku i Josep Mauri pomyślał, że pan nauczyciel chyba jest idiotą, bo kiedy pytał o ten dom, stał tyłem do okazałej fasady domu Gravat, pokrytej w górnej części sgraffito, na którego linie Josep Mauri mógł się teraz napatrzeć do woli ze swojej kryjówki na strychu. Cała bojówka anarchistyczna oraz Bringué, Gassia i Mauri wtargnęli do domu Gravat, zapowiadając się waleniem z otwartej dłoni w drzwi

ze szlachetnego drewna. Odepchnęli Bibianę, która im otworzyła, i w obecności przerażonej Elisendy zabrali jej ojca, pana Anselma Vilabré Bragulata, kapitana w stanie spoczynku, bohatera spod Alhucemas i uczestnika paru wojskowych zamachów stanu, w czasie gdy jeszcze służył w wojsku, oraz jej brata, Josepa Vilabré i Ramis (z rodu Vilabré z Toreny ze strony ojca i rodu Ramis ze strony matki, Pilar Ramis z Tírvii, tej pół dziwki, pół latawicy, o której lepiej nie wspominać przez szacunek dla biednego Anselma), starszego od panienci zaledwie o jakieś cztery czy pięć lat. Nauczyciel Máximo Cid splunął na ziemię i powiedział wkrótce tu wrócimy, żeby zająć dom, który niniejszym konfiskujemy w imieniu ludu. I w świetle dnia, z przekonaniem o własnej słuszności wypisanym na kamiennych twarzach, ścigana przerażonymi lub zadowolonymi spojrzeniami tych, którzy przyglądali się zza okien, anarchistyczna bojówka i Máximo Cid, Joan Bringué z domu Felicó, Rafael Gassia z domu Misseret i Josep Mauri z domu Maria del Nasi, poprowadzili obu mężczyzn z domu Gravat z rękami związanymi sznurkiem na plecach w stronę ugoru Sebastiana, obok cementarza. Rzecz w tym, że pochyłość ugoru Sebastiana jest idealna, jakby powstał z myślą o potrzebach politycznych okolicy. To na pewno sprawka tego całego Bringuégo i tamtych dwóch, jak im tam, musieli na nas donieść, Bibiano, bo co o nas mogą wiedzieć w Tremp, to oni musieli ich tu sprowadzić, zobaczysz, Bibiano, przysięgam, że ta śmierć stanie im ością w gardle. Cicho bądź, dziecko jesteś. Nie mam zamiaru siedzieć cicho, Bibiano, no już, powiedz, jak się nazywają tamci dwaj. A Bibiana, mimo że znała panienkę i miała świadomość, jakie to może pociągnąć za sobą fatalne skutki, powiedziała Rafael z domu Misseret i Josep z domu Maria del Nasi.

Nauczyciel Máximo Cid z Tremp ustawił obu panów Vilabré twarzą do pochyłości i Anselm Vilabré powiedział, widząc, że Josep upadł na kolana, zostawcie go, to prawie dziecko. A nauczyciel Cid podniósł Josepa i wręczył jeden pistolet Bringuému, drugi Mauriemu a trzeci Gassianowi i powiedział mierzcie w potylicę i po krzyku. Trzej mężczyźni, niezdecydowani, patrzyli jeden na drugiego. Za nimi kręcili się pozostali członkowie bojówki, coraz bardziej zniecierpliwieni oczekiwaniem, aż trzej republikańscy burżuje zdecydują się rozpocząć rewolucję w dolinie Àssua, i wtedy Mauri z domu Maria del Nasi wzruszył ramionami i wymierzył w potylicę pana Anselma, podczas gdy nauczyciel Cid z dydaktycznym zacięciem wykladał im, że chodziło o to, by każda miejscowość sama się zajęła wymierzaniem sprawiedliwości. Nie może być tak, że się przyzwyczajamy czekać, aż ktoś z zewnątrz wyciągnie za nas gorące kartofle z ognia. Wtedy Gassia, zachęcony obecnością tylu obcych, również podniósł pistolet, a Bringué, jeszcze bardziej błądy niż pan Anselm, cały czas trzymał broń opuszczoną. Mauri wystrzelił, dodając sobie animuszu krzykiem, którym usiłował zagłuszyć własny strach, i do Elisendy, stojącej na progu domu Gravat, dotarł właśnie ten krzyk, który

okazał się głośniejszy niż strzał. Pan Anselm Vilabré, kapitan hiszpańskiej armii w stanie spoczynku, padł, zanim zdołał wypowiedzieć jakieś słowa, które by nadały bardziej epicki charakter jego śmierci. Nie miał do tego głowy, bo przejmował się synem. Ale jeszcze zdążył wypomnieć w myśli, tej dziwce Pilar, dokładnie w momencie, gdy kula torowała sobie drogę przez jego mózg, ty zdiro, żeby mi przyprawić rogi w moim własnym domu, w moim łóżku, z moimi dziećmi za ścianą, i to jeszcze z jakimś chłystkiem nafaszerowanym forszą, bo w teatrze na pewno się zarabia kupę forsy, podczas gdy ja ryzykowałem własne życie, walcząc za ojczyznę. Mam nadzieję, że przynajmniej ten skończony łajdak unieszczęśliwi cię do końca życia, co daj Boże amen. Wtedy Gassia ryknął na cały głos tak jak jego poprzednik i rozwalił klatkę piersiową Josepa Vilabré Ramis z domu Gravat, który upadł bez problemu, bez jęku, przerywając w pół słowa marzenie o Júlii Sorre, z absurdalną myślą jak to dobrze, że umieram, bo teraz nie będę musiał się tłumaczyć przed tatą, że chcę się ożenić z ładną, delikatną i ubogą wieśniaczką z domu Pona z Sorre, i już mi nie odpowie jak mi jeszcze raz wyskoczysz z podobnym bzdetem, to cię zabiję.

– Wszyscy jesteście świadkami – obwieścił nauczyciel Cid, zabierając pistolety i wręczając baniak z benzyną temu tchórzowi Bringuému – że miejscowość Altron wzięła sprawiedliwość w swoje ręce.

– Torena.

– Co?

– To jest Torena, nie Altron.

– Ach tak? Na pewno?

Wymienił spojrzenia ze swoimi ludźmi, lekko spłoszony czy zaniepokojony. Wtedy wydał stanowcze polecenie oblej ich porządnie benzyną i Bringué, jak ktoś, kto odkaża podłogę totalnie, w milczeniu rozlał zawartość bańki na oba ciała. Nauczyciel podał mu zapaloną zapałkę i Bringué rzucił ją na ciało Josepa zakochanego w wieśniaczce, które zamieniło się w pochodnię, ale ogień nie zajął drugiego ciała, które leżało trochę dalej. W tym czasie przybysze już zmierzali w stronę miasteczka i pół minuty później ciężarówka odjeżdżała w kierunku Sorre, Altronu czy Rialb. Na środku placu stali pozostawieni samym sobie Rafael Gassia z domu Misseret, Joan Bringué z domu Felicó i Josep Mauri z domu Maria del Nasi, którzy od tego momentu musieli dzielnie znosić rozpętaną przez siebie rewolucję. Elisenda spojrzała im w oczy przez okno w domu Gravat, zanim zbiegła po schodach, żeby sprawdzić, co się wydarzyło, z szaloną nadzieją, że skończyło się na krzyku. I nie jeden, i nie dwóch, i nie trzech mówili sobie dobrze im tak, tym faszystowskim bogaczom.

Tamtego dnia, kiedy pani Báscones już wymamrotała cicho pod nosem

synchondrosis, głośno zauważyła za dużo palisz, Cassià, przewody ci się zatkają, a on, potrząsając paczką tytoniu, odpowiedział jej nie przejmuj się, och, prawie cały ten tytoń wypala Josep. Nic mu na to nie odpowiedziała, tylko drgnęła jej na szyi żyła (mięsień mostkowo-obojęczykowo-sutkowy). Wydała resztę Cassiànowi, poczekała, aż mężczyzna i jego nieodłączna aura znikną, i wyszła z kiosku, przymykając okiennice. Pobiegła do burmistrza (burmistrz Targa znajdował się, owszem, w ratuszu), żeby mu powtórzyć, co usłyszała od Cassiàna nie przejmuj się, och, prawie cały ten tytoń wypala Josep, na co Valentí Targa się wkurzył niech szlag trafi ich wszystkich, wszystkich, wszystkich. Kiedy pani Báscones usłyszała jestem twoim dłużnikiem, wyciągnęła rękę w faszystowskim pozdrowieniu i odpowiedziała spełniłam tylko swój obowiązek, niech żyje Franco. Valentí Targa, w towarzystwie trzech czy czterech swoich ludzi, wkroczył o zmroku do domu Maria del Nasi, przestraszył dziadków, którzy siedzieli w kuchni, wpatrując się w ogień i snując wspomnienia z całego życia, stęsknieni za dawną miłością, i przetrząsnęli wszystko, wszystko, wszystko, piwnicę, stodołę i strych, i w tym kąciku, na który nie zwrócili uwagi przy dwóch poprzednich rewizjach, bo go dobrze zakamuflowano, za ścianą z cegły, znaleźli pobladłego Josepa Mauri, który od czterech lat i jedenastu i pół miesiąca, odkąd ukrywał się na strychu, nie mógł się doczekać dnia, kiedy wyjdzie na łąkę z kosą albo pójdzie obmacywać wymiona krów. Przez otwór, którym wlatywały do środka gołębie, mógł tylko oglądać dach i część fasady domu Gravat. Liczył na to, że któregoś dnia Targa odejdzie i ja będę mógł wyjść, ale nie był tego wcale pewny, bo Rafael Gassia i Joan Bringué nie mieli takiego szczęścia jak on, jeśli zasrane życie szczura przemarzniętego do szpiku kości we własnym domu pod stosem koców można nazwać szczęściem. Schodził ze strychu tylko w nocy, żeby rozprostować nogi, poklepać po tyłku Felisę, zaopatrzyć się w gazety i ponarzekać brak mi powietrza, już dłużej nie wytrzymam, Felisa, co się mówi o wojnie w Europie.

Josep Mauri wyglądał jak duch, pobladły od siedzenia na strychu i ze strachu, kiedy wyciągali go na ulicę. Mrugał oślepiiony słabym światłem księżyca w czwartej kwadrze. Pomyślał tylko no masz, skończyło się cierpienie.

Następnego dnia rozeszła się wiadomość, że Mauri, tak, ten uciekinier, wrócił do miasteczka, żeby tu popełnić samobójstwo. Co takiego? Jak to gdzie? Na ugorze Sebastiana powiesił się na figowcu. O mój Boże, to straszne. Tak, to straszne. Jak Judasz, który też powiesił się na figowcu z powodu jakiejś historii z trzydziestoma monetami. Dlatego, że był zbrodniarzem, rewolucjonistą, anarchistą, katalońskim nacjonalistą. Biedny Josep, ile on mógł mieć lat. Kiedy to wszystko wreszcie się skończy. A porucznikowi Marcó przekazano gryps od Oriola wczoraj, kiedy chodziłem po przełęczy Triador, Targa i jego ludzie zamordowali kolejną osobę. Nie mogę tego udowodnić, ale to oczywiste. Niejaki Josep z domu Maria del Nasi, którego nie zdarzyło mi się poznać, bo

był uciekinierem, i według nich wrócił, żeby się powiesić.

– Ten jest trzeci – powiedział porucznik Marcó i tak samo mówili ludzie w miasteczku, bo ich imiona wyrzyły im się w pamięci. – Pierwszy poszedł na zatracenie Bringué, gdy tylko wkroczyło wojsko. Ten idiota nie uciekał i tak stał się burmistrzem męczennikiem. Z Gassianem poszło trochę trudniej, ale też wpadł. A teraz Mauri. Trzeci. Trzej anarchiści nauczyciela Cida. – Przydeptał niedopałek papierosa na kamiennej posadzce. – To ci trzej, o których się mówi, że załatwili mężczyzn z domu Gravat.

Oriol poczuł się niezręcznie i skupił się na kalendarzu szkolnym na ścianie, jakby się zastanawiał nad upływem czasu. Porucznik Marcó przeciągał ciszę tak długo, aż wreszcie pękła pod wpływem napięcia.

– Rzuca kamieniem i chowa rękę – powiedział.

– Kto?

Joan Ventura wstał i rozejrzał się wokół siebie. Nie znalazł nawet zjeżdżających orzechów.

– A ty uważaj i nie rób z siebie idioty – ostrzegł go, zanim otworzył drzwi i zniknął, cicho i zręcznie niczym dym ze szkolnego pieca. Oriol został sam w ciemnej klasie, wyglądając przez okno w stronę Rynku, w stronę miasteczka pogrążonego w ciemności; wszyscy już spali albo udawali, że śpią, a on myślał to niemożliwe, ona jest taka słodka, nieskazitelna, to niemożliwe.

Znaleźli go powieszzonego wysoko na gałęzi największego figowca na ugorze Sebastiana i Felisa krzyczała z bólu, ale nie odważyła się powiedzieć, co się wydarzyło nocą. Tylko krzyczała i wyła z bólu. Kiedy krzyki Felisy usłyszała ze swojego balkonu pani Elisenda Vilabré, po raz pierwszy od ośmiu lat spokojna, że jej goel wypełnił zadanie, do którego go wynajęła, zaczęła płakać, a Bibiana pomyślała co z tego, że jej podałam nazwiska, i tak były na wyciągnięcie ręki; wtedy zamknęła oczy i powiedziała wreszcie, biedne dziecko, wreszcie może płakać tak jak wszystkie kobiety.

Najpierw zaczerpnęła powietrza, jak ktoś, kto nurkuje w basenie, i wtedy, nie zastanawiając się dłużej, weszła do restauracji w pensjonacie, w którym Jordi i Joana konsumowali zdradę małżeńską przy potrawie ze ślimaków. Spojrzała Jordiemu w oczy, wzięła krzesło i siadła między nimi, jak ktoś, kto się włącza do gry; nie patrząc na Joanę, powiedziała, adresując swoje słowa do obrusa na stole Joano Roso Candàs Bel, myślę, że będzie lepiej, jak na jakiś czas stąd znikniesz. Wtedy znów spojrzała Jordiemu w oczy; on wytrzymał jej spojrzenie, a ją ogarnęła wściekłość na samą siebie, bo zamiast pogardy, nienawiści, wstrętu, pragnienia zemsty czy jakiegokolwiek równie szlachetnego uczucia, Tina wobec tego spojrzenia poczuła tylko żal, że tyle lat, że Arnau, że ty i ja mieliśmy być szlachetni i honorowi, że wspólne wyprawy pociągami, że zamieszkamy w Sort, w górach, że za nami tyle, tyle dni szczęścia, spokoju, wzajemnego zrozumienia. Musiała bardzo się starać, żeby teraz nie ulec swojej własnej historii. Ponieważ Joana podniosła się bez słowa, pobladła, wzięła swoją torebkę i poszła gdzieś w cholerę, wykorzystała ten moment, by usiąść naprzeciwko Jordiego, na krześle, które jeszcze zachowało ciepło tyłka Joany. Z niezdrową satysfakcją zarejestrowała kątem oka, że ludzie siedzący przy najbliższych stolikach zauważyli, co się dzieje. Hotelarz w recepcji też zauważył i pomyślał no, nie, to znów ta baba, a gospodyni, która właśnie wychodziła z kuchni, widząc Tinę, skomentowała popatrz, to przecież tamta kobieta, dyskretnie uśmiechając się z podziwem.

– Jest mi przykro, że mnie okłamujesz.

Jordi, na zmianę czerwony, biały i zielony, nie wiedział, czy wstać i wyjść, czy stawić czoło burzy.

– Ja...

Patrzyła mu prosto w oczy, opierając podbródek na rękach, z uwagą, zaciekawiona, jak będzie się usprawiedliwiał. Ponieważ z otwartych ust Jordiego nie padły żadne słowa, zaatakowała:

– Zebranie zespołu okazało się zebraniem w minizespole.

– Tak, właśnie... Bo widzisz... Ostatecznie... Tak, zostało odwołane.

– Aha.

– Ale o co ci chodzi? – No, tylko tego brakowało: ten skurwysyn przechodził teraz do ataku: – Dlaczego robisz scenę? Co ty sobie pomyślałaś?

– Chcesz wiedzieć, co pomyślałam?

– No nie: ty mnie oskarżasz o... – Uderzył się ręką w czoło. – Proszę, nie bądźmy tacy ograniczeni, tacy zacofani, przecież weszliśmy już w dwudziesty

pierwszy wiek. – Spojrzał na nią, żeby sprawdzić, jaki efekt wywarły jego słowa. I zakończył: – Wiem, co ty sobie wyobrażasz.

– Jesteś żaloszny.

Myślałam, że zachowasz się bardziej elegancko, Jordi, przysięgam na mojego raka.

Oboje milczeli. Jordi, zawstydzony, wołał nie rozglądać się wokół siebie. Kiedy cisza zaczęła nadmiernie ciążyć, postanowił wszystko zbagatelizować:

– Co ty sobie ubzdurałaś – upomniał ją protekcyjnie. – Że Joana i ja... Naprawdę? Nawet na tyle mi nie ufasz? – Ciężko obrażony: – Nie ufasz mi?

– Kiedy wrócę do domu dziś w nocy, nie chcę widzieć ani jednej twojej rzeczy, inaczej wszystko wyrzucę przez okno. Jak Sophia Loren.

– Może byśmy o tym najpierw porozmawiali, co...?

– Ty powiedziałaś już wszystko. Ja jeszcze nie. – Wyprostowała się, zeszywniała i dodała na tyle podniesionym głosem, żeby narobić Jordiemu wstydu: – Czy nie obiecywaliśmy sobie postępować honorowo, Jordi?

Jordi podniósł palec, żeby wtrącić coś głupiego. Ale po chwili zastanowienia cofnął go i spuścił głowę. Nie chciał dalej walczyć. Może dlatego, że go zaskoczyła. Zdobył się jeszcze na czelność spojrzenia jej w oczy i zapytania:

– Co ci powiedział lekarz?

Tina wstała i spojrzała na zegarek.

– Wrócę do domu o jedenastej wieczorem. Tylko żeby ci nie przyszło do głowy zabrać Jurę.

Miała na końcu języka jesteś skurwysynem, ale się powstrzymała. Chciała powiedzieć daję ci drugą, trzecią, czwartą szansę, ale też się powstrzymała. Poszła sobie, z twardym, niewzruszonym, matowym spojrzeniem, starając się powstrzymać łzy, zanim dojdzie do Citroena. Najbardziej zdenerwowało ją to, że Joana czekała. Siedziała w nowym, zielonym samochodzie, jakiś trudny do zidentyfikowania model. Przez moment żywiła nadzieję, że pojechała wypłakać złość we własnym domu, ale nie: była tam, czekała, aż wyjdzie, czekała, aż się oddali i zostawi jej wolną drogę, zejdzie jej z drogi raz na zawsze.

Tina ruszyła. Citroen uruchomił się natychmiast, jakby spieszył się, by opuścić ten wstrętny pensjonat, który stał się drugim domem Jordiego.

Żeby się czymś zająć do jedenastej, pojechała z wizytą do Serrallaca, sprawdzić, czy już przeczytał papiery Oriola i czy również o tej porze pił kawę. Zastała go w czystym, uporządkowanym biurze kontrastującym z zakurzonym warsztatem. Robotnicy kończyli właśnie pracę, a on o czymś dyskutował ze swoją córką, której jej nie przedstawił. Kiedy córka wyszła z biura, Serrallac dał znak, żeby weszła. Tak, o tej porze też popijał kawę. Zaprosił, żeby usiadła, otworzył szufladę i wyciągnął z niej teczkę z papierami Oriola.

– Czy to wszystko? – Wskazał plik papierów.

– Nie. Tylko część.

- Chcę przeczytać całość.
- Teraz wierzysz?
- Nie wiem. Może i tak. Nie o to chodzi, czy wierzę czy nie, ale czy to prawda czy nie.

Milczeli. Po chwili on, myślami błądząc wokół zeszytów, powiedział według ciebie, córeczka, której imienia nie znam, ma na imię Joan.

– Owszem, tak. Nosił imię Joan. Teraz nazywa się Marcel. Już wiem, kto to jest.

Jaume Serrallac, na którego oczach Marcel Vilabru rósł i robił się coraz bardziej nieodgadniony, równie nieprzystępny i równie wyniosły jak jego matka, z trudem przyjmował do wiadomości, że chłopak nie był synem tej nieodgadnionej, nieprzystępnej i wyniosłej matki, tylko takiej samej gruźliczki jak moja Rosa, która na dodatek nosiła to samo imię co moja Rosa, i nauczyciela, który okazał się albo zdrajcą, albo bohaterem. Usłyszał jeszcze, że Tina kończy swoje rewelacje, mówiąc nie wiem, z jakiego powodu, ale pani Elisenda adoptowała go w tajemnicy.

– Możesz to udowodnić?

– Wiem tylko to, co ci mówię. Gdzie mogę znaleźć tego Marcela? Nie orientujesz się?

– Mieszka w Barcelonie. Już ci... – Nagle się przestraszył. – Słuchaj, ty chyba płakałaś?

Serrallac odruchowo dotknął jej policzka dwoma szorstkimi, ale delikatnymi palcami, z niemal taką czułością, z jaką gładził kamienie. Cofnął rękę, kiedy do niego dotarł sens tego gestu, niczym ślimak, który szybko chowa rogi.

– Przepraszam, to nie moja sprawa.

Tina wzięła do ręki papiery Oriola. Rozłożyła je, żeby nie odpowiadać na to impertynenckie pytanie, i trafiła na fragment moja córeczko, tej nocy piszę tylko do ciebie. Chciałbym, żeby pozostałe strony przeczytała też twoja matka. Ale jeśli zobaczy to, co dzisiaj piszę, zrozumie, do kogo się zwracam. Podoba ci się mój pies? To springer spaniel, jak mi powiedziano. Wierny i mądry pies, który przybył z daleka i który, jak przypuszczam, zniknie, gdy nabierze sił, bo on jeszcze wierzy w Europę, rozbitą w proch.

Wiem, że mój czas się kończy. Te ostatnie gorączkowe miesiące zwieńczy akcja, która, niezależnie od dobrego czy złego zakończenia, najprawdopodobniej zdemaskuje moją prawdziwą rolę i wtedy będę musiał uciekać do Francji. Wiem, że jeśli mi się nie uda, nie będę miał szans na ucieczkę. Dlatego najprawdopodobniej... ty i ja, ukochana moja córeczko, której imienia nie znam, nigdy się nie poznamy. To znaczy: nie znamy się, ale ja któregoś dnia cię widziałem. Widziałem jedną twoją rączkę. Od tej pory każdej nocy, jeśli mam chwilę na sen, myślę o twojej rączce i zasypiam odrobinę

szczęśliwszy. Czy raczej, dokładniej rzecz ujmując, nieco mniej smutny.

Mam nadzieję, że przeczytasz te kartki. Myślę, że twoja matka, kiedy się dowie, że umarłem, pracując dla partyzantów, zechce przyjechać po moje rzeczy i zajrzy do naszego sekretnego schowka. Taką mam nadzieję, bo to jedyny sposób, żebyś mogła przeczytać to, co do ciebie piszę. Jeżeli teraz czytasz, to znaczy, że nie przeżyłem i nie mogłem zniszczyć tych zeszytów, zanim dotrą do twoich rąk. Wiesz? Są gwiazdy tak odległe, że mijają całe lata, zanim dotrze do nas ich światło. Mija tyle lat, córeczko, że światło, które teraz widzimy, być może gwiazdy wysłały, nim człowiek pojawił się na Ziemi. Jak światło odległych galaktyk, tak mój głos, jeśli będę miał szczęście, dotrze do ciebie, kiedy mnie już od dawna nie będzie. Jesteśmy jak światło gwiazd, córeczko. Odległość sprawia, że jesteśmy ciernistymi gwiazdami na ciemnym niebie.

– O, jak ładnie mówi o gwiazdach.

– A ty też jesteś po trosze poetą, prawda, Serrallac?

Mężczyzna wysączył z kubka ostatnie krople kawy i wzruszył ramionami. Tina popatrzyła na rysunek psa, doskonały, z tyloma szczegółami, sierść jak żywa... a wszystko to zwykłym szkolnym ołówkiem. A potem na autoportret. Widać, że dobrze przyjrzał się swoim oczom, nie bał się własnego spojrzenia.

Widzisz? To ja. Rysuję siebie przed lusterkiem w szkolnej łazience, żebyś wiedziała, jak wyglądał twój ojciec. Nie myśl sobie, że oszukuję: naprawdę jestem taki ładny i przystojny. Jestem dokładnie taki, bo jeśli cokolwiek umiem dobrze robić, to właśnie rysować i malować. Gdybym się temu poświęcił, nie przyjechałbym tu i nie miałbym okazji dać się poznać twojej matce bądź jako tchórz, bądź jako spóźniony ryzykant. Teraz bylibyśmy szczęśliwi, odprowadzałbym cię do szkoły i pokazywał, jak karmić gołębie. Poza tym nie bałbym się spojrzeć sobie w oczy przy codziennym goleniu przed lustrem. Już sam nie wiem, jaka jest moja prawdziwa twarz. Wczoraj oficjalnie leżałem w łóżku z gorączką, a gdy tylko się ściemniło, poszedłem na przełęcz Triador instalować antenę. Stworzyliśmy sieć komunikacyjną pod samym nosem frankistów, a ja stukam się w czoło, jak mogli jej dotąd nie wykryć. Kiedy wracałem do siebie, usłyszałem głosy i krzyki. Lament Felisy z domu Maria del Nasi i westchnienie ulgi tych, którzy uważali, że już najwyższy czas, najwyższy czas, żeby zapłacił za to, co zrobił. Pomyślałem, że najlepiej będzie dyskretnie wrócić do łóżka i nadal leżeć z gorączką, a dopiero następnego dnia odkryć kolejną tragedię, z niewzruszoną twarzą wobec cudzego bólu. To takie trudne, córeczko. Ale moje przewidywania to jedno, a plany Valentína Targi to całkiem inna śpiewka. Przysłał Balansó, jednego z najwierniejszych ze swojej gwardii, żeby wyciągnął mnie z łóżka, i o pierwszej w nocy zrobił nam odprawę na temat życia, śmierci, sprawiedliwości i żeby każdy miał jasność, że ten skurwiel Mauri wrócił nie wiadomo skąd, żeby się powiesić nie wiadomo

dlaczego na obrzeżach miasteczka. A kto twierdzi inaczej, będzie moim śmiertelnym wrogiem. Zrozumiano?

– A Felisa?

– Nic nie powie. Nikt z domu Maria del Nasi nawet nie piśnie, jeżeli nie chcą dać się aresztować jako współnicy. – Ciężko obrażony: – Żeby się ukrywać przez pięć lat pod samym nosem! – Niepotrzebnie podnosząc głos: – Czy to do wszystkich dotarło?

Tak, no jasne, bardzo dobrze, i tak dalej, i zaczęliśmy się rozchodzić.

– Mówili, że masz gorączkę.

– Trzydzieści osiem. Mogę wrócić do łóżka?

Targa podszedł do Oriola i gestem, który mógł sprawiać wrażenie odruchu czułości, położył mu rękę na czole.

– Gorące. Idź.

Nie wiem, córeczko, co było gorętsze, moje czoło czy jego ręka. Może po prostu ze mnie kpił. W każdym razie powiedział gorące, popatrzył na mnie tym budzącym lęk wzrokiem, który utrwaliłem na zawsze na jego portrecie, i przyglądał się w milczeniu, jak odchodzę, by się położyć do łóżka, gdzie według oficjalnej wersji spędziłem ostatnie godziny.

Pozwól, że ci udzielę kilku rad, skoro nie miałem okazji poczuć się twoim ojcem ani przez minutę w całym swoim życiu. Słuchaj matki; to wspaniała, silna kobieta, serce ma dzielne i radosne. Kochaj ją i nigdy jej nie opuszczaj. Nie rób niczego, córeczko, co by mogło komuś zaszkodzić lub obrazić inną osobę. Bądź wolna i dzielna, byś mogła robić to, co powinnaś robić w każdej chwili. Twój ojciec najprawdopodobniej umrze, bo nauczył się nie akceptować sytuacji politycznej, która odbiera ludziom wolność. Pamiętaj o tym i postaraj się być godna tych idei, za które ja oddaję życie. Nie wyobrażaj sobie, że jestem bohaterem. No popatrz, może się tak zdarzyć, że umrę ze zmęczenia. Wiedz, że kosztowało mnie wiele, bardzo wiele, córeczko, pogodzenie się z tym, że powinienem walczyć o wolność. Pajacyk na sznurku pewnego dnia się zbuntował. Nie zastanawiałem się długo nad tą decyzją. Po prostu czułem do siebie zbyt wielki wstręt. A i tak zmieniłem się dopiero pod wpływem okoliczności, prawie pod przymusem. Zanim się to wszystko wydarzyło, byłem tchórzem. Ale kiedy się już oswoiłem z niebezpieczeństwem, nauczyłem się oceniać jego wartość. Wiem, dlaczego narażam każdej nocy swoje życie, przyjmując uciekinierów, przekazując wiadomości czy sam je wysyłając, wspinając się po zboczu Tuca Negra, góry, którą lepiej poznałem nocą niż za dnia i która jest wystarczająco daleko od granicy, by nie budzić zainteresowania wojska. Armia zawsze patrzy w inną stronę. Wiesz, że od dwóch miesięcy nie śpię dłużej niż dwie–trzy godziny na dobę? A na dodatek nie wolno mi tego po sobie pokazać. Tak trudno jest udawać... Chciałbym, żebyś nigdy nie musiała

tego robić, w żadnych okolicznościach; żebyś zawsze mogła żyć w zgodzie ze sobą.

Faszyzm i nazizm zostały pokonane w Europie dzięki ofierze wielu poległych. Teraz został już tylko reżim generała Franco. Mam nadzieję, że go obalimy, dzięki tym niewielu środkom, jakimi dysponujemy. A jeśli nam się nie uda, oby Europa nam pomogła tego dokonać.

Wiem, że nie jestem dobrym ojcem i że pewnie mówię ci o sprawach na wyrost. Ale nie chcę ci przedstawiać świata innego niż jest; nie potrafię. Zrozumiesz to, gdy będziesz starsza. Tak bardzo chciałbym zobaczyć, jak będziesz wyglądać jako piętnastolatka, może z warkoczykami, gdzieś na spacerze, jak będziesz rzucać okiem na chłopców, uśmiechać się nieśmiało i komentować coś na ucho ze swoją przyjaciółką. Jak bardzo bym chciał, żebyś

W tym miejscu jest plama i nie wiadomo, czego by chciał, żebyś, Oriol Fontelles. Niżej, na samym dole kartki jest ciąg dalszy tekstu i nie myśl sobie, że twój ojciec tak brzydko pisał: tutaj jest bardzo zimno, palce mi zeszywniały. W końcu września noce w Torenie są lodowate, nawet jeśli napalisz w piecu. Za godzinę mam wyjść ze szkoły i czekać na Tuce na grupę, która ma u mnie spać. Spać.

Ty teraz, córeczko, powinnaś się bawić, dużo jeść, ufać matce i zdrowo rosnąć. Kiedy dorośniesz, chciałbym, żebyś zachowała wspomnienie o twoim lęklwym ojcu, trochę zbuntowanym, który robił, co mógł, ale zdaniem twojej matki za późno, żeby bronić naszej wolności. Pozwól, że powiem ci jeszcze coś, co zazwyczaj mówią ojcowie: kiedy już dorośniesz, córeczko, unikaj hipokryzji, nie osądzaj innych, nie rób im żadnej krzywdy, nie szukaj zaszczytów, wybieraj takie zadania, w których twój wkład będzie najbardziej skuteczny, a nie najbardziej widoczny. I staraj się nie mieć zbyt wielu sekretów przed tymi, których kochasz. Pomiedzy twoją matką i mną jest sekret, który złamał nam serce. Sekret? Raczej pewne różnice. Poza tym nie dość ją kochałem. Tak czy inaczej, to złamało nam serce i nie chciałbym, żeby kiedykolwiek tobie przytrafiło się coś podobnego. Nie wiem, co ci powiedzieć na zakończenie: już dłuższą chwilę zastanawiam się, jak się pożegnać z moją córką. Nie znajduję odpowiednich słów. Muszę już iść. Gdybym miał pod ręką cukierka, zostawiłbym ci obok zeszytów. Żegnaj, córeczko. Rób wszystko, by szanować, jak długo będziesz żyła, moją pamięć i te idee, za które oddaję życie. Twój kochający ojciec, pod spodem Oriol, ale atrament się rozmazuje. Może Oriol Fontelles rozplakał się, kiedy skończył list do swojej córki, której nie było.

– Rozumiesz teraz, dlaczego tak to sobie wzięłam do serca? Rozumiesz?

– Wydaje mi się, że tak.

– Nie chciałbym, żeby światło tej martwej gwiazdy nie dotarło do prawdziwego celu.

– No właśnie. Właśnie o to chodzi, Tino.

Zastanawiał się przez chwilę, a później wskazał ręką papiery:

– Pan Oriol jest jak budowniczowie katedr.

– W jakim sensie?

– Ano tak. Wiedzą, że pracują dla nikogo. Robią rzeźby, gargulce, barierki, archiwolty, maswerki, płaskorzeźby i rozety, które po umieszczeniu na swoim miejscu znajdują się poza zasięgiem wzroku. – Spojrzał z powagą na Tinę. – Nie licząc gołębi, które jeszcze na dodatek je obsrywają.

Zamilkli. Serrallac, bawiąc się pustym kubkiem, powiedział pewnego dnia ksiądz Llebaria pokazał nam górne partie katedry w Seu. Zrobiły na mnie wrażenie.

– Kim jest ksiądz Llebaria?

– Prefektem w seminarium duchownym. Nie wiem, czy jeszcze żyje.

– Pewnie was przekonywał, że rzeźbiarze pracują dla Pana Boga.

– Zapewne, ale nie pamiętam. Ale to tak jak z panem Oriolem. Gdybyś ty tego nie przeczytała...

Pokręcił głową pod wrażeniem tych trzech kropek na końcu swojej wypowiedzi. Tina włożyła papiery do teczki i strzeliła gumką na znak, że wizyta dobiegła końca. Nie przyznała się Serrallacowi, że wyrzuciła męża z domu i że musiała jakoś zagospodarować czas, aż wybijie jedenasta wieczorem. Powiedziała mu tylko do widzenia, a Serrallac odpowiedział chciałbym zobaczyć więcej tych papierów.

Kiedy opuściła warsztat Serrallaca, pojeździła jeszcze trochę po okolicy, aż się zrobiła jedenasta. O jedenastej sześć wkroczyła do mieszkania i zastała je w połowie opróżnione: zniknęła połowa książek z jadalni, wieża hi-fi wysokiej klasy, należąca do tego bez klasy, jego ubranie z szafy, połowa butów z półki, żadnej kartki pożegnalnej, usprawiedliwienia czy przeprosin. Ale mniejszą łazienkę, jej pracownię fotograficzną, zostawił nienaruszoną. Jednak nie. Brakowało zdjęcia Arnaua przyczepionego pinezkami do korkowej tablicy. Nie szkodzi, zachowała kliszę. Tina weszła do jadalni i usiadła na krześle, na samym brzeżku, jakby przyszła z wizytą do własnego domu. Na stole doktor Żywago, niezainteresowany swoją panią, właśnie się skoncentrował na lizaniu łapy.

- Pani Vilabré, w tym przypadku nauka jest bezsilna.
- Ależ ja regularnie zażywałam lekarstwa, stosowałam się do wszystkich pańskich zaleceń...
- Szanowna pani, nauka ma swoje ograniczenia. Na dzień dzisiejszy ten rodzaj retinopatii cukrzycowej, w takim jak pani przypadku – w tym momencie doktor Combalia zaczął mówić ciszej; może się wstydził tego, co ma do powiedzenia – jest nieuleczalny.

Kiedy to usłyszała, poczuła się oszukana. Przez naukę i przez Boga, z którym prowadziła regularną wojnę, od kiedy anarchiści z FAI z Tremp wtargnęli do jej życia. Nie chciała dać satysfakcji Bogu i mimo że czuła lęk przed wiecznym mrokiem, nie poskarżyła się ani słowem. Nawet przed doktorem. Dlatego milczała, gotowa stawić czoło ciemności bez zbędnej hysterii. Świat jest pełen ślepców.

W dniu swoich siedemdziesiątych piątych urodzin wstała z oczami innymi niż zwykle. Zapowiadana choroba czekała pewnie na konkretną datę, by się ujawnić. Spędziła parę godzin, wykonując telefony, udając, że nic się nie dzieje, aż do popołudnia, kiedy zdecydowała, że czas wszcząć alarm.

– Nie, nie: powiedziała, że chcę rozmawiać osobiście z doktorem Combalią.

– Proszę pani, doktor Combalia nie może...

– Proszę mu powiedzieć, że dzwoni pani Elisenda Vilabré.

Zapadło pełne szacunku milczenie, a potem dobiegł ją szmer niepewnych głosów. Po dwudziestu dwóch sekundach odezwał się sam doktor Combalia droga pani, czym mogę służyć? Chciałaby móc mu powiedzieć panie doktorze, boję się mroku, bardzo się boję, bo ciągłe przebywanie w ciemności to ciągłe sam na sam z sobą samą, z własnymi myślami, człowiek staje się własnym zwierciadłem, które wszystko osądza, a to przecież ponad ludzką wytrzymałość, panie doktorze. Miała też na końcu języka nienawidzę mroku, bo w ciemności przestajesz kontrolować sytuację, ktoś może cię zaatakować z tyłu; w ciemności wspomnienia stają się wyraźniejsze; nie będę mogła znieść cierpienia, bo już nie zamknę oczu, aby skryć się w mroku.

– Tracę wzrok.

– Jakie są symptomy?

– Nie wiem. Wszystko mnie razi, widzę jak za mgłą pomimo okularów, tylko plamy...

Po raz pierwszy doktor Combalia stwierdził, że pani Vilabré traci panowanie

nad sobą.

– To stało się nagle?

– Mogę teraz przyjechać?

– Ale... Która to godzina?

– Nie jestem w Barcelonie. Będę za trzy godziny.

– To może lepiej jutro...

– Mną proszę się nie przejmować, panie doktorze: za trzy godziny będę w klinice.

Odłożyła słuchawkę, przekreślając kolację doktora Combalii, kazała Miquelowi, żeby pędził szosą, i po raz pierwszy w życiu zapomniała o neseserze.

O wpół do dziewiątej wieczorem już leżała na kozetce, a doktor Combalia, badając lewe oko, zrezygnował z dyktowania Vanessie, żeby pacjentce nie udzieliło się jego przerażenie. Dlaczego do zaszranego kurwy nędzy to akurat ja mam powiedzieć samej Elisendzie Vilabré, że wszystko się skończyło, że uprzedzałem ją, ale już nadszedł ten moment, to kwestia tygodni, najwyżej paru miesięcy... Dopiero wtedy przestał myśleć o kolegach, z którymi się umówił na kolację (dwadzieścia pięć lat od zakończenia studiów, chciałby zobaczyć, jak teraz wyglądają Amouroux i Pujol), i kiedy go zapytała ile mi jeszcze zostało czasu, zanim całkiem ociemnieję, odchrząknął i powiedział no więcej pół roku, może rok i zakończył słowami pani Vilabré, w tym przypadku nauka jest bezsilna.

Pies czy służąca? Laska? A rachunki? A podróże? A jedzenie, żeby ludzie nie widzieli, że sobie nie zdaję sprawy, że się pobrudziłam?

– Naprawdę, w tym przypadku nauka jest bezsilna.

Zrozumiała, że szofer, który służył u niej dopiero od dziesięciu czy dwunastu lat, będzie musiał stać się jej oczami na drodze; w pewnym sensie choroba sprawiła, że zatęskniła za Jacintem. Zrozumiała, że Ció, mimo reumatyzmu, będzie teraz jej laską w domu, że Gasull zostanie jej sekretarzem, będzie miał dostęp do wyciągów z konta i będzie ją informować Niemcy już ci zrobili przelew. A ona więcej nie zobaczy błagalnego wyrazu twarzy Gasulla, zakochanego w niej beznadziejnie, wyobrażającego sobie, że pewnego dnia powie mu Gasull, wiem, że jesteś najlepszym adwokatem obdarzonym inwencją w rozwiązywaniu problemów, ale tak naprawdę interesujesz mnie dlatego, że cię kocham. Jednak ten moment nigdy nie nadszedł i Gasull ciągle był u niej na służbie. Dlaczego ludzie wypalają przeszłość w pamięci ogniem?

O północy doktor Combalia skończył badania i powiedział musimy teraz czekać na wyniki, co zwykle trwa jakieś pięć do sześciu dni, i proszę, żeby pani w tym czasie się nie zadręczała Bóg wie czym. Wszystko w życiu ma jakieś rozwiązanie, nawet w najgorszym przypadku, ale pani, dzięki Bogu, uniknęła bardziej agresywnej formy choroby.

Idiota. Czy może istnieć coś bardziej agresywnego niż ciemność? A poza tym, co to za lekarz, żeby tak szybko się poddawał.

– Chcę jeszcze pójść... Chcę zasięgnąć opinii innych specjalistów.

– Naturalnie, pani Vilabru, ma pani do tego prawo.

Zebrała trzy diagnozy. Różniły się tylko w ocenie czasu. Otwierały się widełki od pięciu tygodni do dwunastu miesięcy, co jej dawało chwilę na wzięcie oddechu, zanim potknie się o własny cień. Kiedy wyrok został już potwierdzony, nie użalała się nad sobą. Przeanalizowała to, co jej powiedzieli, że najpierw zauważy osłabienie wzroku, potem nagle, w ciągu paru tygodni, będzie pogarszać się z dnia na dzień, aż zostaną tylko czarne plamy. I na koniec jedna isierka światła, która zgaśnie tak jak gaśnie życie. A lustro zamieni się w chłodny, zbędny dotyk, jak śmierć.

– Podobno psy aportujące najlepiej się sprawdzają w roli przewodników.

– Jeśli mi kupisz psa, wyrzucę cię z pracy i z mojego życia.

Gasull spojrzał na nią zmartwiony. Chociaż w wieku siedemdziesięciu dwu lat powinien się liczyć z tym, że w jego nieistniejącym życiu uczuciowym już do końca nic się nie zmieni, ciągle jednak marzył o tym, że któregoś dnia Elisenda weźmie go za rękę i powie Romà, przytul mnie, zimno mi albo coś w tym rodzaju. Ale Elisenda wtajemniczała go tylko w sekrety przedsiębiorstwa, w sekrety osobistych rachunków, sekrety prywatnych układów z różnymi ludźmi, a on służył jej lojalnie, dostawał za to dobrą pensję i nic więcej. Jasne, że mógł do niej mówić po imieniu praktycznie od zawsze. Ale tylko wtedy, gdy byli sami. Mimo wszystko on dla niej ciągle pozostawał Gasullem. A teraz wezwała go do cichego salonu domu Gravat po to, żeby mu zakomunikować Gasull, nawet najlepszy adwokat na świecie, za jakiego cię uważam, nie może nic poradzić na to, że nie zobaczę igrzysk olimpijskich w Albertville, a już tym bardziej w Barcelonie. A kiedy on się przestraszył, przekonany, że jest śmiertelnie chora, uspokoiła go, nie, chodzi o oczy, o wzrok, no wiesz, cukrzyca, wtedy Gasull odetchnął z ulgą, ukradkiem, ale nie przychodziły mu do głowy odpowiednie słowa i został z otwartymi ustami. Zapaliło się światełko egoistycznej nadziei, a nuż po raz pierwszy Elisenda wezwała go, żeby powiedzieć coś osobistego, i może teraz oczekuje okazania odrobiny ludzkiego ciepła. Już chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie znów przejęła kontrolę nad sytuacją i Gasull musiał się z tym pogodzić, że nie oczekiwała wsparcia, tylko po prostu dopisywała swoją przyszłą, całkiem pewną ślepotę do kolumny komplikacji i utrudnień w księdze rachunkowej przedsiębiorstwa. Pytanie podsumowujące brzmiało co trzeba zrobić, żebym nadal mogła zachować kontrolę nad wszystkim. A on spodziewał się pytania w rodzaju Romà, kochasz mnie? Odpowiedziałby tak, ukochana, Elisendo najdroższa, kocham cię, mimo że popełniłaś w życiu, o ile wiem, trzy dziwne, zupełnie niepojęte błędy. Po

pierwsze, wyszłaś za mąż za tego godnego pogardy dziwkarza, tego chłystka Santiaga Vilabrú, którego nigdy nie kochałaś. Po co, Elisendo? Niemożliwe, żeby coś kiedykolwiek między wami zaiskrzyło. Drugi błąd, Elisendo, mój ty ślepaczku kochany, to ta twoja obsesja, żeby za wszelką cenę beatyfikować nauczyciela z Toreny. Zgoda, skoro tak twierdzisz, może i sobie zasłużył; nie wiem, nie poznałem go. Ale popatrz, jak długo to się ciągnie, wydałaś na niego fortunę, a za każdym razem, kiedy sugeruję, żebyś sobie odpuściła, zmieniasz temat. Gdybym nie znał twojego lodowatego serca, zastanowiłbym się, czy przypadkiem się w nim nie kochałaś. I trzeci... mówią tu i tam, że zadawałaś się z młodszym od siebie kochankiem, i to przez wiele lat. Jak ty to robisz, że tak perfekcyjnie ukrywasz przede mną coś, o czym nie powinienem wiedzieć? Mówią o instruktorze narciarskim. Nie wierzę: jesteś zbyt wielką damą. Ale czasem słyszę słaby głosik, zwłaszcza we śnie, który mi mówi Romà, to niemożliwe, żeby taka kobieta żyła ciągle sama, i przez całe życie myślała tylko o pracy. Jednak ona nie zadała mu pytania kochasz mnie, Romà, tylko kazała usiąść naprzeciwko i powiedziała no już, mów, co takiego zrobił Marcel.

Romà Gasull, bezgranicznie oddany, opowiedział o zdradzie, jakiej się dopuścił jej syn, o zamachu pałacowym, jaki knuł pod pretekstem, że mama z każdym dniem coraz bardziej dziecinnieje...

– Tak powiedział? Dziecinnieje?

– Ależ kobieto, Elisendo, nie wiem, czy...

– Powiedział czy nie powiedział?

– No dobrze, owszem, to jego słowa... Ale ważniejsze jest to, co...

– Sama wiem – przerwała mu – co jest ważne, a co nie. To mój syn.

– Mówił, że masz siedemdziesiąt pięć lat i że powinnaś się wycofać. A on jest już po czterdziestce i z każdym dniem coraz bardziej mnie wkurza, że muszę prosić o zgodę na wszystko, tak jakbym nie był właścicielem.

– Bo nie jesteś właścicielem – odpowiedział Gasull, postawiony w niezręcznej sytuacji, wzięty w dwa ognie dwóch przeciwstawnych i wykluczających się lojalności.

No więc on to sobie wszystko przemyślał, a teraz chciał tylko wyszlifować od strony formalnej, przy pomocy aktów notarialnych, pozbawienie pani Elisendy praw w zakresie kwestii majątkowych, inwestycyjnych i rodzinnych na rzecz jej prawowitego spadkobiercy.

– Dlaczego?

– Bo jest już całkiem zramolała, odbiło jej i dziecinnieje. I lada moment straci wzrok. A ja nie chcę, żeby Kościół przechwycił nasz majątek.

– Jesteście niewyobrażalnie bogaci, Marcel.

– Ile milionów już wydała na proces beatyfikacyjny tego zasranego nauczyciela?

– Fortunę.

- A widzisz?
 - Ale twoja matka ma wycucie proporcji. Ona wie najlepiej, jak daleko może się posunąć i jak długo można naciągać strunę, żeby nie pękła. To najbardziej wyrachowana osoba, jaką...
 - Jesteś ze mną czy przeciw mnie, Gasull? – zapytał jak Jezus Chrystus, tyle że w dzinsach i ze szklaneczką dżinu z tonikiem w dłoni, na tarasie biura w Barcelonie, naprzeciwko Pedrery obłożonej przez tłum Japończyków.
 - Niczego nie podpiszę. Nie zrobię tego twojej matce.
 - Jesteś przeciwko mnie. – Biblijny gest szklaneczką dżinu z tonikiem.
 - Nie. Ale nie mogę zrobić czegoś...
 - Jesteś przeciwko mnie. Żegnam. – A kiedy Gasull już opuszczał taras, zatrzymał go i dodał: – Aha, jeśli piśniesz słowo mamie, zabiję cię.
-

Najpierw zrobiła macierzyński rachunek sumienia. Zanim pograżyła się w świecie ciemności, kiedy już poznała szczegóły zamachu stanu dzięki usłudznemu Gasullowi, spędziła dwa dni, wyrzucając sobie co za porażka, Oriolu, dlaczego nie potrafiłam wychować twojego syna, tak jak na to zasługujesz. To wszystko jest takie skomplikowane, a ja nie potrafiłam lepiej nim pokierować. Dotknęła krzyżyka na łańcuszku, żeby się uspokoić. Marcel ma twoje oczy i twój nos, natomiast jego syn ma całą twarz po tobie. Sergi jest taki jak ty w młodości. Czasem, kiedy go widzę, aż dech mi zapiera, i żeby to ukryć, wciskam mu do ręki zwinięty banknot, a on się uśmiecha dokładnie tak jak ty, kiedy stałeś za sztalugami. Nie umiałam wychować ani twojego syna, ani wnuka, ale kocham ich, bo są częścią ciebie. Nie obraż się za to, co teraz muszę zrobić, Oriolu: taka jest naturalna kolej rzeczy i tyle. Powinnam zdjąć łańcuszek, jednak przysięgam, że tego nie zrobię, i dlatego łańcuszek zostanie. Kocham cię, Oriolu. Kiedy skończyła tę swego rodzaju modlitwę, wezwała Mertxe, przekazała jej kompletne dossier pozamałżeńskich łajdactw Marcela, zasugerowała, że według jej wiedzy transwestytami Marcel też się nie brzydzi, a następnie wręczyła wizytówkę rewelacyjnego adwokata, który cię wyciągnie z każdej opresji. Kiedy cienie zaczęły ją otaczać nawet za dnia (w trzecim tygodniu jej osobistej drogi krzyżowej), wezwała Marcela i powiedziała pokładałam w tobie całą nadzieję, synu, a ty mnie zdradziłeś, wiedz, że od tej chwili nie dam ci ani centa z majątku rodzinnego, będziesz żył z tego, co masz, z pensji, którą sobie wyznaczysz w koncernie Brusports, i z premii, zresztą bardzo hojnej. Przyjmij do wiadomości, że nie dopuszczę, abyś położył łapę na czymkolwiek poza stacją Tuca Negra i firmą Brusport, tak jak to ustaliliśmy lata temu. Wiesz już, czym się masz zająć, i pamiętaj, żeby konsultować ze mną każdą decyzję zakładającą ryzyko powyżej dwudziestu milionów. I przyjmij do wiadomości, że najprawdopodobniej Mertxe cię porzuci. Czy

sądziłeś, że skoro ślepnę, to i głupieję? A jeśli się dowiem, że nadal próbujesz wyrażać swoje niezadowolenie z powodu mojego zaangażowania w beatyfikację czcigodnego Oriola Fontellesa, to cię wydziedziczę. Zrozumiałeś?

W życiu człowieka są momenty zwrotne wyznaczone przez wrodzone predyspozycje do buntu, zależne od skłonności awanturniczych i czupurnego temperamentu. Bunt przeciwko tyranii mamy. Marcel, który wiedział, że jego buntownicze możliwości są raczej umiarkowane, parę razy w życiu postawił się swojej matce, na przykład wtedy, gdy się odważył zakochać w Ramonie, przyszłej pisarce. Albo kiedy zdecydował na własną odpowiedzialność przyjąć od Bedogniego zamówienie na skarpety i zrealizować je w Singapurze, na czym nieprzyzwoicie się wzbogacili i czym sobie zasłużył pierwszy raz w życiu na bezpośrednie, osobiste gratulacje mamy. Albo kiedy zaalarmowany subtelny, trudnymi do udowodnienia poszlakami, przerwał na własną odpowiedzialność negocjacje z Nishizaki, wbrew zaleceniom mamy, i w konsekwencji przeżył prawdziwe gradobicie, aż mama, zmuszona połknąć tę żabę, zmieniła front, jak przewrócona skarpetka Bedogniego szyta w Singapurze, i publicznie przyznała że Marcel miał rację, gdy już wybuchła afera w firmie Nishizaki Group. Po prostu nie można się z nią nie zgadzać. A jeszcze na dodatek ten pedał Gasull. Bardzo dobrze: teraz nadszedł moment na gest wielkiego buntu. Teraz albo nigdy.

– Tak, mammo.

W życiu Marcela nic się nie zmieniło oprócz tego, że Mertxe odeszła i nie pomogli żadni erillsowie, ni centellesi, ni anglesolesowie, ni sentmenatsowie, ani inni popaprańcy, poza tym nie ma się czym gorszyć, bo teraz wszyscy się rozwodzą, co z tego. Trudno wśród znajomych znaleźć kogoś, kto się nie rozwiódł, słowo honoru. No i popatrz, na dodatek teraz jestem wolny. Mertxe odeszła z rodziny Vilabru z wysoko podniesioną głową i z pełnym portfelem, ale bez Sergiego, który został przy babci, co nie oznaczało dosłownie życia w Torenio, newralgicznym centrum nudy w najczystszej postaci, lecz pod jej nadzorem, ze zgodą na częste wizyty matki, mimo że to ona opuściła domowe ognisko. Sergi zaczynał wtedy tworzyć fundamenty swojego umiarkowanego buntu w przyszłości. On jest prawdziwym buntownikiem, nie tak jak ja, bo zimą jeździ do Tuki, jak to się mówi, z musu, natomiast ma już sześć desek surfingowych z tytanu i poliestru (Brusport Marina, trzecia generacja, prawdziwe cacko) i dwa trofea, które zdobył w dwóch z pięciu najważniejszych zawodów, jedno w Gibraltarze, drugie na Pacyfiku blisko San Diego. I to w wieku zaledwie szesnastu lat, wyobrażasz sobie? Ma tylko problem z pierwszą klasą licealną, którą powtarza już po raz trzeci. Musimy coś zrobić z tym chłopcem. Gasull, co proponujesz. I nie patrz tak na mnie, już ci przebaczyłem,

skoro nie miałem jaj, żeby cię zabić, tak jak obiecywałem. Po prostu jesteś mi potrzebny. I wolę rozmawiać z tobą, mimo że jesteś zdrajcą, niż z mamą, bo mama to mama.

Pewnej środy w końcu sierpnia Elisenda Vilabru wstała jak zwykle o wpół do siódmej i zdziwiła się, że światło poranka nie przebija się jeszcze przez zasłony. Zapaliła lampkę na szafce i pomyślała, że chyba nie ma prądu. Dotknęła żarówki i stwierdziła, że się nagrzewa. Już od wielu tygodni nie czytała, nie mogła na niczym skupić wzroku, musiała pytać, ile osób jest w pomieszczeniu, nad przedmiotami zastanawiała się równie długo jak nad decyzjami, brała pod rękę Ció. Mimo wszystko jeszcze widziała: jak za mgłą, tylko plamy, ale jednak coś. Tamtej środy pod koniec sierpnia o wpół do siódmej rano zgasła niepotrzebne światło i znów się położyła do łóżka, twarzą do niewidzialnego sufitu. Odetchnęła głęboko i nastawiła się na pogodne wejście do świata wiecznych cieni.

Rody Vilabrú Ramis i Vilabrú Cabestany, czyli to odgałęzienie, z którego się wywodzi pani Elisenda, i to, z którego pochodzi jej mąż Santiago, to frankistowska część rodu Vilabrú. Ze strony pani Elisendy był to ród Vilabrú z Toreny, Vilabrú Bragulat, a ze strony jej męża Santiago, Vilabrú-Comelles, którzy już od trzech pokoleń mieszkali w Barcelonie i bywali w kołach monarchistycznych i konserwatywnych od początku wieku, zwłaszcza po zasileniu rodu szczepem Comelles, spokrewnionym z rodem Aranzo z Nawarry, tych Aranzo, o których mówiono, że stali się karlistami jeszcze przed powstaniem karlizmu. Tak. Tak. No, to chyba głównie ród Roure, ich kuzyni. A ród Cabestany, z tego, co wiem, nie miał sprecyzowanych poglądów politycznych, kalkulowali, co im się bardziej opłaca. Natomiast ród Roure miał wspólnych przodków z tamtymi sławnymi Roure: to ich kuzyni pierwszego stopnia. Wyobrażasz sobie? Jedni należeli do prawicowej partii CEDA^[2], drudzy do lewicowej Esquerra Republicana, a w Wigilię spotykali się wszyscy razem przy rosole z uszkami.

– Bogaci nie zabijają się z powodu różnicy poglądów.

– Dopóki nie wybuchnie wojna. Wtedy bogaci znikają, zostaje tylko nienawiść. Może nie zabijają się między sobą, ale zabijają innych.

– Masz na myśli panią Elisendę?

– Wszyscy w miasteczku wiedzą, że te trzy osoby, które wzięły udział w egzekucji mężczyzn z rodziny Vilabrú z Toreny, zginęły z ręki burmistrza Targi.

– Co z tego?

– Wygląda na to, że to jej zemsta.

– Potrafisz to udowodnić?

– Nie, mimo ewidentnego zbiegu okoliczności. Raczej dało się odnieść wrażenie, że ona i Targa szczerze się nienawidzili. Nie wiem, byłem wtedy za młody... co innego mnie wtedy interesowało. Ale ludzie komentowali po cichu. No i patrz... – Jaume Serrallac zamilkł na moment. Nagle, jakby coś sobie przypomniał: – Chyba jako jeden z ostatnich widziałem nauczyciela żywego.

– Jak to?

– No tak. Wysłali mnie po niego do szkoły, wieczorem, przed kolacją.

– Kto?

– Targa. Ej, ty, mały, chodź no tu, jak ci na imię.

– Jaumet.

– Z którego domu?

- Lliset.
- Syn kamieniarza?
- Tak, proszę pana.
- Biegnij do szkoły i powiedz nauczycielowi, żeby się tu natychmiast stawił.

Piorunem!

- I co dalej? No?

– Nie pamiętam. Jakieś strzały. Podobno oddział partyzantów zaatakował miasteczko. Ludzie pozamykali się w domach. Nie wiem. Ja wtedy byłem bardzo... A kiedy mogłem już o wszystkim się dowiedzieć... co innego mnie interesowało...

Odnosiła wrażenie, że Serrallac przypomniał sobie coś smutnego. W tym momencie jej rozmówca zdecydował, że już wystarczy.

- Bo wiesz, młodość przydarzyła mi się, kiedy byłem na nią za młody.

Chociaż Tina wsłuchiwała się z uwagą w jego słowa, nie mogła nic na to poradzić, że jej wzrok przykuwał Jordi, siedzący trzy stoliki dalej. Teraz otarł usta chusteczką, wstał i zamiast podejść do niej ze słowami Tina, musimy o tym porozmawiać, żałuję tego, co zrobiłem, i tak dalej, podszedł do lady, żeby zapłacić, i wyszedł z restauracji Rendégo, nie odwracając się za siebie, jakby nigdy nie był jej mężem. Musiała siłą się powstrzymać, żeby nie pobiec za nim z pytaniem Jordi, gdzie mieszkasz, znalazłeś sobie jakieś lokum, nie brakuje ci ubrań, chcesz może sera, pamiętaj, żeby jeść dużo warzyw, za dwa tygodnie masz wizytę u homeopaty, zapisz sobie...

Rano wybrała się do Jaumego Serrallaca odebrać ostatnie teksty Oriola, zaciekawiona, co o nich sądzi. Tak naprawdę chciała, żeby jej opowiedział historię nienawiści w Torenii.

Serrallac zaprosił ją do biura. W warsztacie ktoś tymczasem z całej siły wykuwał czyjeś życie na nagrobku. Ponieważ przy tych regularnych uderzeniach nie dało się usłyszeć własnych myśli, nagle podniósł się i wyszedł z biura.

- Cesc, wróć po południu! – Wyciągnął z kieszeni kartkę i znów krzyknął: – O trzeciej przyjadą po kostkę brukową na mały plac w Tírvii!

Wsadził głowę przez drzwi i powiedział zapraszam cię na obiad. Kiedy samochód Serrallaca zbliżał się do doliny Cardós, zapytała dokąd jedziemy i usłyszała do takiego pensjonatu w Ainet, gdzie zajebicie gotują. Do pensjonatu w Ainet, akurat. Tina zareagowała natychmiast słuchaj, Jaume, gdziekolwiek, byle nie do pensjonatu w Ainet, tylko nie to.

- To może do restauracji Rendégo?
- Świetnie.

Serrallac zawrócił i pojechali do Sort. Tak jakby restauracja Rendégo miała gorącą linię z Panem Bogiem, bo kiedy weszli, Tina od razu zobaczyła Jordiego, który niespełna dwadzieścia cztery godziny wcześniej został jej

byłym mężem. Siedział sam przy stole na środku. Wtedy pomyślała o pierwszym obiedzie w tym miejscu, przy tym samym stole, dwadzieścia lat temu, kiedy ty i ja czuliśmy się tacy szczęśliwi. W sumie mogliśmy zostać w pensjonacie w Ainet, na to samo by wyszło.

– Coś nie tak? – Serrallac był gotów iść do innej restauracji.

Wszystko w porządku. Usiedli przy stoliku w głębi. Kiedy przechodzili obok Jordiego, nie powiedzieli sobie dzień dobry. Według Tiny wszyscy musieli dostrzec, że oni już ze sobą nie rozmawiają, tak jak dwadzieścia trzy lata temu wszyscy na pewno zauważyli, że po raz pierwszy trzymali się za ręce na ulicy. Wtedy przyszło jej do głowy, że Jordi mógł wziąć Serrallaca za mojego kochanka, bo jemu pewnie teraz wszystko się tak kojarzy, i nawet spojrzała intencjonalnie na Serrallaca, ale uznała, że jest dla niej za stary. A teraz Jordi wychodził i nawet nie spojrzał w jej stronę. Co z ciebie za idiotka, po co się tym zadręczasz. Skoro ma łóżko, musi mieć dach nad głową. Co takiego? Przepraszam?

– Smutna z ciebie kobieta.

– Ja?

Serrallac spojrzał na potrawę, którą im właśnie przynieśli. Nie pytając o zgodę, osłonił dłoń Tiny przed niepogodą swoją dużą, szorstką ręką i trzymał ją tak kilka sekund, jakby zdając sobie sprawę, że ona właśnie tego teraz potrzebowała. Nie czekając, aż kobieta zdąży zareagować, cofnął dłoń.

– Ta jagnięcina wygląda rewelacyjnie – osądził, wskazując talerz.

Rzeczywiście, jestem smutną kobietą, ale smutek nigdy nie odbierał mi apetytu, co chyba po mnie widać.

– Mój mąż tu był, przed chwilą wyszedł.

– Coś takiego, to dlaczego...

– Jeszcze nie minął dzień, od kiedy jesteśmy w separacji.

– Przykro mi. – Spojrzał na nią. – Dlatego jesteś smutna.

– Nie wiem. Skąd tyle wiesz o rodzie Vilabrú?

– W moim zawodzie... wie się dużo o rodzinach, a mało o osobach.

Tina zabrała się do jagnięciny w momencie, gdy kelner postawił przed nimi gigantyczną salaterkę.

– Opowiedz coś jeszcze o tym rodzie.

Serrallac nalał sobie wina do pełna i kontynuował oczywiście mam na myśli tych Vilabrú, którzy związali się z frankistami, troje rodzeństwa i najmłodszą z nich, pannę Vilabrú, która odziedziczyła krew rodziny Roure i wyszła za mąż za niejakiego Vilę Abdala, krewnego rodziny Trias, ale nie z faszystów, tylko normalnego. Poznałem ich, bo wszyscy wcześniej czy później zaglądali do Toreny. A z całej trójki najbardziej beznadziejny, jak mówiono, był Santiago. Głównie zajmował się chędożeniem. Dlatego po kilku okropnie nudnych

tygodniach po powrocie z San Sebastian, z wygnania, uciekł z Toreny do Barcelony, do swoich ulubionych dziwek i wszystkich kobiet zamężnych czy niezamężnych, które lubiły, żeby im robił przedziałek pośrodku.

Śmiech Tiny z pełnymi ustami miał katastrofalne skutki.

– Już ci mówiłam, że jesteś po trosze poetą – powiedziała, wycierając usta serwetką.

– My, kamieniarze, oddziedziczyliśmy po grabarzach upodobanie do taniej filozofii. Ale co do poezji... mam z nią do czynienia tylko wtedy, gdy wypisuję sentencje na niektórych nagrobkach.

Zaatakował sałatę, jakby chciał zniszczyć wroga. Kiedy już mógł mówić, dokończył: – Podsumowując: to rodzina bardzo zamożna. A pani Elisenda jest jedną z najbogatszych osób w kraju.

– Mimo to nie ruszyła się z domu Gravat.

– Podróżowała więcej niż ty i ja, i wszyscy mieszkańcy razem wzięci.

– Mam na myśli, że tu mieszka.

– A co w tym złego? Ja też mieszkam w Torenie. Wydobył papierosa ze zmiętej paczki i spojrzał na nią z powagą. Otworzył zamek błyskawiczny swojej aktówki i wyciągnął z niej bardzo grubą kopertę. Oddał ją Tinie. – Papiery nauczyciela są autentyczne?

Tina w życiu nie widziała kogoś, kto by jadł tak szybko.

– Autentyczne, jeszcze jak autentyczne.

– Co za zaszary los, za przeproszeniem.

– Tak, zaszary los.

– Za dużo czasu upłynęło. Teraz to już nikogo nie obchodzi.

– Mnie obchodzi.

– Ani to twój brat, ani swat.

– Dotarł do mnie list, który pewien człowiek napisał pięćdziesiąt lat temu.

– Przekaż go synowi nauczyciela i zapomnij o sprawie.

Serrallac pogrzebał w aktówce i wyciągnął wizytówkę Marmury Serrallac Sp. z o.o. Na odwrocie coś zanotował.

– Adres Marcela Vilabré.

Tina wzięła wizytówkę. Serrallac ciągnął dalej nieprzyjemnym tonem a teraz co? Pójdiesz tam i powiesz panie Vilabré, nie jest pan synem swojej matki, tylko swojej matki. A on ci odpowie och, fantastycznie. Co? Pójdiesz tam tak po prostu? Bez żadnego dowodu?

– Mniej więcej. Coś wymyślę.

– Chciałbym, żeby mnie ktoś kochał z takim zaangażowaniem jak twoje.

– Jestem za stara na miłość.

– To dlaczego to robisz?

– Nie wiem. Może po to, żeby ostatnie słowo nie należało do śmierci.

Serrallac zaciągnął się papierosem, uśmiechnął się i pokręcił głową. Tina

spojrzała na niego ze zdziwieniem. Poczowała się urażona.

– O co chodzi? Ty nigdy nie bywasz smutny?

Ostatni raz Serrallac zasmucił się parę lat temu, kiedy w telewizji zobaczył reportaż o cmentarzach w Genui, o Zentralfriedhof w Wiedniu i Père-Lachaise w Paryżu. Wtedy powiedziałem dość. Bo ja znam cmentarze w Sort, Rialb, w całym Batlliu, w dolinie Àssua, w Tírvii i w innych dolinach, gdzie pracowałem, i żaden, naprawdę żaden nie mógł się równać z cmentarzem w Torenie. A teraz, po obejrzeniu tego programu, popadłem w melancholię. I pomyślałem, co za prymitywne zajęcie zarabiać na utrzymanie, wykuwając imię i dokładną miarę życia człowieka.

– Robicie też inne rzeczy.

– Głównie robimy inne rzeczy. Ale to, co ja lubię, to nagrobki.

– W książce podkreślam, że Gerri wyznacza granicę między dachami krytymi dachówką i łupkami.

– To niezupełnie tak i poza tym nie wiem, co to ma wspólnego z moimi problemami.

– Bo to też granica między nagrobkami niszowymi i grobami w ziemi.

– Nisze są popularne na północy. Też zarabiam na płytach niszowych. Są bardziej wyrafinowane, gładzony czarny marmur. – Pauza. – Kiedy wyjdzie twoja książka?

– Mam nadzieję, że przed... No, przed.

– Jesteś bardzo tajemnicza.

Czuję się samotna, bo nie mam z kim porozmawiać o lęku przed kolejną wizytą w szpitalu, o uprzejmym dystansie Arnaua, o zdradach Jordiego. Nie mam przyjaciółek. Po prostu. A przede mną siedzi jedyna osoba zainteresowana moją strefą cienia, już prawie emerytowany kamieniarz, który wybrukował i pokrył dachami niemal połowę komarki i który zawodowo wydaje świadectwa życia i śmierci wykute na kamiennych tablicach.

– Nie przejmuj się, każdy ma jakieś tajemnice.

– Jak mam się nie przejmować. Taka młoda kobieta jak ty... powinna... Sam nie wiem. Wiesz, o co mi chodzi?

Tina zmieniła temat, zanim zdążył powiedzieć coś niewłaściwego, co by postawiło ich oboje w niezręcznej sytuacji: – Jak się ukaże, podaruję ci egzemplarz.

– A ja ci podaruję nagrobek – zrewanżował się Serrallac.

Oboje zaczęli się głośno śmiać, a pode mną nogi się ugięły ze strachu przed tym żarciem jakże na czasie, a tymczasem Rendé, właściciel restauracji, stojąc za ladą, kręcił głową patrzcie państwo, oj, ten Jaume, cicha woda z niego, flirtuje sobie w najlepsze z tamtą korpulentną nauczycielką.

Historia, kiedy wchodzi w szczegóły, traci epicki rozmach. A ja, przeżywając od wewnątrz, z bardzo bliska ten odcinek Historii, który przypadł mi w udziale, nie mogę nie zwracać uwagi na te szczegóły. Wygląda to niepoważnie, ale myślę sobie, córeczko, że umrę z powodu kawy z procentami. Dziś rano, jak co dzień, od kiedy zaczęły się chłody, przed otwarciem szkoły wstąpiłem do Marésa na kawę. Ale tak się niestety głupio czy raczej pechowo złożyło, że z lenistwa trochę dłużej zabałamuciłem w domu. Zimny, przenikliwy wiatr, który wył przez całą noc, nie zachęcał do wyjścia. W końcu jednak się przemogłem (polecam ci to w każdych okolicznościach) i poszedłem do baru Marésa.

– Niech szlag trafi ten cholerny wiatr z gór – skomentował Marés, przynosząc mu kawę z procentami do stolika. Oriol nic nie odpowiedział. Właśnie wyjrzał przez okno i zauważył kilkoro dzieci z tornistrami na plecach i ze spojrzeniem smutnym jak dzisiejszy dzień, idących pod wiatr, i pomyślał trzeba się pospieszyć, żeby nie zostawiać dzieciarni samej w szkole. Wypił pierwszy łyk, poczuł, że go stawia na nogi, i zanim zdążył wypić drugi i ostatni, na drzwi wejściowe padł jakiś cień. Rzucił okiem na zewnątrz. Do baru Marésa wchodził burmistrz Targa z walizką, z dumną miną i z kobietą u boku. Oriol zastygł z uniesioną w powietrzu filiżanką. Odruchowo zasłonił twarz i odwrócił się w stronę baru.

– Modest, ta pani zostanie u nas kilka dni. – Zwrócił się do kobiety: – To ten towarzysz, o którym ci wspominałem.

Podszedł do Oriola, który właśnie wypił drugi łyk kawy i odstawił filiżankę na marmurowy blat.

– Towarzyszu Fontelles, przedstawiam ci Isabel.

Rad nierad Oriol się odwrócił i uśmiechnął uprzejmie, ale był tak spanikowany, że jego przerażenie musiały zauważyć nawet krowy, które właśnie wracały z pastwisk Eugues, by spędzić zimę pod dachem, i stanął twarzą w twarz z Pączuszką, kobietą, której nie widział od tamtego dnia w restauracji Estació de Vilanova, kiedy ona na niego spojrzała i wtedy zadrżała mu ręka, bo wcale nie jest tak łatwo, jak mu się wydawało, zabić kogoś, zwłaszcza gdy znasz imię ofiary; zwłaszcza gdy nienawidzisz tego, którego masz zabić, ale jeszcze nie nauczyłeś się nim gardzić. A ręka drżała mu w sposób tak żałosny, że jakiś klient przy stoliku obok zaczął rzucać w jego stronę dyskretne spojrzenia, i musiał chwycić pistolet w obie ręce, podczas gdy pan Valentí schylał się nad stołem, żeby lepiej wystawić potylicę, i już miał powiedzieć swoim aksamitnym głosem jesteś naprawdę fantastyczna, może jak

skończymy obiad, wrócimy do domu, żeby kontynuować, ale urwał niezaczęte zdanie, bo zauważył, że Pączuszek otwiera usta i ponad jego ramieniem wpatruje się w coś za nim.

Isabel-Pączuszek zareagowała uśmiechem na jego pozdrowienie, ale w chwili, kiedy podawali sobie ręce po otwartych ustach, po rozszerzonych skrzydełkach nosa, po tym, jak szybko wypuściła jego dłoń i spojrzała ukradkiem, przez moment, na Valentína, zorientował się, że albo już go rozpoznała, albo rozpozna lada moment.

– Bardzo mi miło, proszę pani.

– Przekonuję ją – powiedział Valentí po cichu, tak żeby inni ich nie słyszeli – żeby zdecydowała się tu zamieszkać.

– To spokojne miejsce – skłamał Oriol, żeby coś powiedzieć.

Kobieta była tak zaszokowana, że nie włączyła się do wymiany komentarzy. Rozgląda się teraz na prawo i lewo, zauważył Oriol, żeby oszacować swoje szanse na ucieczkę przed takim jak on zabójcą. Dlatego z uprzejmym, rozbajającym uśmiechem usprawiedliwił się, że już najwyższy czas rozpocząć lekcje i ulotnił się z baru Marésa, wiedząc, że oto wszystko się dokonało. Jednak przez cały dzień, córeczko, cały dzień nikt mnie nie szukał i nikt nic nie mówił. Ja co chwila wyglądałem dyskretnie przez okno. Nic. Wszystko normalnie. Dlaczego nie uciekam? Bo czeka mnie bezsenna noc przy radiostacji, którą zainstalowali mi na strychu dziesięć dni temu. Mam przekazać meldunek (jestem teraz łącznikiem między trzecią i czterysta siedemdziesiątą pierwszą brygadą), że jutro, w dniu Wielkiej Operacji, mają zejść, każda ze swojej strony góry Montsent, aż do Tremp, szlakiem zwycięstwa, i mają pogonić wojsko frankistowskie w dół, aż do doliny, żeby uciekało, krzycząc z przerażenia. Dlatego nie mogę teraz zniknąć, córeczko, chociaż o niczym innym nie marzę.

Kiedy dzieci wychodziły ze szkoły, fen już przeszedł do historii. Jedna dziewczynka, Valldeflors z domu Ruti, ta z oczami jak węgielki, która nauczyła się czytać w poprzedniej klasie, a teraz, w połowie października, już mnożyła przez trzy, przed wyjściem ze szkoły wzięła go za rękę swoją rączką i przeszyła go swoim czarnym spojrzeniem, takim samym jak spojrzenie porucznika Marcó, chyba wyczuła, że trzeba pożegnać nauczyciela, którego znieawidziło tylu dorosłych. Żegnaj, nauczycielu, życzę ci dobrej śmierci. To twoja ostatnia noc w miasteczku. Ostatnia w życiu. Będziemy o tobie pamiętać, jeszcze jak pamiętać, bo kiedy mogłeś coś zrobić, nie ruszyłeś nawet palcem, by przeszkodzić burmistrzowi Tardze, katowi Toreny, w całkowicie bezkarnym mordowaniu i w grabieży, w pogrążeniu całego miasteczka na wieki we wzajemnej nieufności tak wielkiej, że pod koniec XX wieku potrzebny będzie

upór innej nauczycielki, korpulentnej i zagubionej, żeby wyciągnąć na światło dzienne twoje chwile i westchnienia, bo jeszcze teraz falangistowski nauczyciel jest obecny we wspomnieniach i w spojrzeniach wielu staruszków, i w kamieniu, który zręczne ręce uczyniły probierzem pamięci.

– Do jutra, Valldeflors.

Został sam z rękami białymi od kredy. W zmierzchu wczesnego wieczoru obserwował przez chwilę jakiegoś chłopca, który kopał kamień na drodze, zmierzając do domu na podwieczorek. Nie stał tablicy. Zamknął drzwi na klucz i poszedł na strych; odsunął dwa materace, zapalił lampę naftową i włączył radiostację. Czy powinien uprzedzić, że najprawdopodobniej szykują się problemy? Czy ma się ograniczyć do wykonywania poleceń radiotelegrafistów obu brygad, którzy się z nim skontaktują? Nawiązał łączność, ale nic nie powiedział o tym, że nie będzie uciekał, chociaż tej nocy będą chcieli go zabić z powodu pewnego Pączuszka lub, jak kto woli, z powodu kawy z procentami. Powiedział tylko jot pięć, tu jot pięć, słyszysz mnie, odbiór, i dalej w tym stylu. Tak, wszyscy znajdowali się na stanowiskach i antena, którą umieścił na szczycie góry Tossal de Triador musiała zamarznąć, mimo wszystko zadowolona, że może przekazać jot pięć, tu jot pięć, słyszysz mnie, odbiór. Pozostali niewidoczni radiotelegrafiści też byli zadowoleni z próby nawiązania połączenia i umówili się na kontakt za dwie godziny, jot pięć, o dwudziestej pierwszej, jot pięć, wieczorem, wtedy, gdy się zacznie na dobre. Biała noc, bez snu, pod śniegiem.

Kiedy wyłączył radiostację, definitywnie zrezygnował z ucieczki i pogodził się ze śmiercią, która, o dziwo, wcale się tu nie spieszyła. Jeśli jego działanie miało mieć jakikolwiek sens, nie chciał wszystkiego zaprzepaścić ucieczką, bo pozostawiłby bez kontaktu radiowego dwie z pięciu brygad, które powinny teraz wejść do Pallars. W tym momencie, o czym nie wiedział, w ponad trzydziestu różnych punktach w Pirenejach, od Atlantyku aż po przylądek Cap de Creus, zaczynał się atak setek partyzantów, którzy śledzili uważnie, co się dzieje w dolinie Aran. Ale Oriol, który wiedział tylko to, co do niego należało, wyobrażał sobie, że jeżeli Valentí Targa zdecyduje się go zadenuncjować lub sam go wreszcie zabije, uwolni go z tej głuchej opresji, nad którą wolał za wiele nie deliberować, i wtedy wszyscy w Torenie, i Rosa, i ty, moja córeczko, której imienia nie znam, dowiedzą się, że jest bojownikiem o wolność, a nie falangistowskim zdrajcą, zaprzyjaźnionym z mordercami.

Dokładnie w tym momencie, gdy piętnasta brygada wkraczała w dziki, bezludny pejzaż doliny Tor, zmierzając ku nieuchronnej klęsce w dolinie Ferrera, Oriol Fontelles Grau podjął decyzję. Skoro i tak musi teraz czekać dwie godziny, co za różnica, jak je spędzi. Ubrał się i wyszedł. Tylko na półtorej godziny, najwyżej godzinę i trzy kwadransy, zdąży wrócić na umówione spotkanie z radiostacją jako jot pięć. Również tchórzliwi

bohaterowie potrafią wykazać się nieostrożnością. Dwudziestu pięciu mężczyzn, z tych, którzy weszli od strony Andory przez przełęcz Negre, mocząc nogi w wodzie rzeki Noguera de Tor, forpocza piętnastej brygady, nie wiedziało, że w Alins, już w samej dolinie, uleci z nich życie jak ptak spłoszony ogniem siedmiu karabinów maszynowych, wiecznie wycelowanych w Historię.

Oriol wszedł do klasy pogrążonej w półmroku. Na zewnątrz szybko zapadała noc, chyba żeby ukryć jak najszybciej marsz setki mężczyzn z pięćset dwudziestej szóstej, którzy z zamiarem zaatakowania Estერი przeszli przez przełęcz Salau, tę samą, którą porucznik Marcó przekraczał przez ostatnie trzy-cztery lata dziesiątki razy, a Oriol znał ją tylko z opowieści przewodników odpoczywających w szkole w trakcie wyprawy w górę lub w dół na spotkanie z niebezpieczeństwem. Nie zapalił światła. Na tablicy pozostały jeszcze słupki mnożenia przez sześć, które zadał jako pracę domową tym ze średniej klasy. Nie starł ich. W prawym górnym rogu rano ręką drżącą od chłodu i z wrażenia po spotkaniu z Pączuszkim zapisał osiemnastego października tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. To była ostatnia data w jego życiu, ale nie przejął się tym. Popchnął w bok nieprzymocowaną na stałe do ściany tablicę. Odsłoniła się niewielka wnęka, piracka kryjówka, a w niej skarb. Wziął do ręki pudełko po cygarach, rozejrzał się i zauważył pozostawiony przez kogoś czarny sznurek. Jeszcze raz otworzył ostatni zeszyt i przeczytał słowa, które tak niedawno pisał do córki, te, w których jej oznajmiał, że umrze z powodu kawy z procentami, i zwracał się do Rosy kochana Roso, nie miej do mnie żalu. Ucałował zeszyt, odłożył do pudełka po cygarach obok innych, związał je czarnym sznurkiem i schował w sekretnej wnęce. Obok listu leżało zawiniątko. Wziął je do ręki i rozwinął. Pistolet Astra, kaliber dziewięć milimetrów, załadowany, naoliwiony, buńczuczny. Włożył go do kieszeni, poklepał przyjaźnie pudełko po cygarach, schował swój skarb i pomyślał gotowe, w drogę, mam półtorej godziny.

Jeżeli A jest podzbiorem przestrzeni euklidesowej R^n , funkcje zdefiniowane na A nazywamy funkcjami n zmiennych rzeczywistych, a jeśli A jest zawarte w płaszczyźnie zespolonej, to nazywamy je funkcjami zmiennej zespolonej. Analiza funkcjonalna zajmuje się funkcjami w przestrzeni topologicznej, przestrzeni wektorowej, metrycznej *etc.*

– Proszę pani.

Książd August podniósł głowę i zdjął okulary. Spojrzał na swoją bratanicę, na tykający powoli zegar, na wspaniały obraz Elisendy na ścianie po prawej, na cichą, lodowatą noc Toreny za oknem. Znieruchomieli oboje, jakby przejął ich chłód w tym reprezentacyjnym salonie, przy trzaskającym ogniu w kominku, który dawał tyle samo ciepła co dwadzieścia lat później, kiedy Marcel i Lisa Monells zabawiali się nadzy na tym samym dywanie, na którym teraz książd

August Vilabrú opierał swoje czcigodne stopy; w myślach powtarzał formułę $(f + g)(x) = f(x) + g(x)$, $(f \times g)(x) = f(x) \times g(x)$, $(\lambda f)(x) = \lambda \times f(x)$, jego oczy obserwowały bratanicę i Bibianę, a serce wyczuło, że chyba za długo się przeciąga milczenie między obiema kobietami.

– Słucham, Bibiano.

Elisenda wstała i wyszła, nie czekając na odpowiedź. Jakies głosy, dźwięk zamykanych drzwi i kiedy Oriol Fontelles, z płaszczem przewieszonym przez ramię, wszedł do salonu, zrozumiał rezerwę Bibiany i Elisendy. Do domu Gravat przyjechał z wizytą ten gruby kanonik. Podszedł bliżej, przywitał się z nim grzecznie, podczas gdy Elisenda przedstawiła go stryjowi, mówiąc, że ten pan jest nauczycielem w Torenio oraz autorem jej portretu. Ksiądz August pogratulował mu wylewnie i zapytał, jako człowiek dobrze wychowany, czym może służyć.

Nie, niczym. Przyszedłem tylko, żeby ucałować Elisendę, kochać się z nią i powstrzymywać się z całych sił, by nie powiedzieć jej żegnaj na zawsze, bo najprawdopodobniej już nigdy się nie zobaczymy.

– Nie, nic takiego... – Zwrócił się do Elisendy: – Przyszedłem po książki, które ci pożyczyłem. Które pani pożyczyłem.

Elisenda na moment straciła wątek, ale zaraz uśmiechnęła się do ukochanego i wskazała mu fotel ze słowami zapraszam, proszę usiąść, panie Fontelles, po czym wzięła od niego płaszcz i wyszła.

Pan Fontelles usiadł i odezwał się do grubego kanonika fen dał nam się dziś we znaki, na co ksiądz odpowiedział och, jeszcze jak, głowa tak mnie rozboleła, że najchętniej już bym się położył do łóżka.

Na tym wyczerpał im się temat rozmowy. Ksiądz założył okulary i sprawdził roztargniony, że zbiór funkcji rzeczywistych ma strukturę pierścienia z jedyneką, a Oriol w tym czasie spojrzął na portret i pomyślał przyszedłem cię zobaczyć, bo nie jestem pewien, czy dożyję jutrzejszego dnia. Długo by o tym mówić, ale tak jak jestem twoim sekretnym kochankiem, tak samo mam też inne sekrety, ukrywam je przed wszystkimi i przed tobą. Jestem zmęczony, wyczerpany życiem podzielonym na mnóstwo sekretów, i wyglądam śmierci jak wytchnienia.

– Jakie książki pan jej pożyczył? – zainteresował się ksiądz August. Zamknął swoją, nastawiając się na chwilę miłej rozmowy z tym sympatycznym młodym człowiekiem.

– Nic ważnego, te, które... po prostu, te, które jej pożyczyłem. Jaśnie pani jest zagorzałą czytelniczką. A że tu tak mało ceni się kulturę...

– Ach, to prowincja – mruknął ksiądz August. – Nie można po tutejszych ludziach wiele się spodziewać. Krowy, siano, barany, kozy skaczące po górach, parę korców pszenicy na własne potrzeby, i żeby ozimina dobrze rosła... ot, cała ich ambicja.

Tik-tak. Uprzejmy uśmiech Oriola. Zimna cisza na zewnątrz i płonąca z trzaskiem w kominku, rzucająca iskry kłoda. Elisenda nie wraca, a on miałby ochotę odpowiedzieć no ale pańskiej rodzinie nieźle się powodzi dzięki tym krowom, baranom i wielodniowym sianokosom z pól rozproszonych po całym świecie.

– Wiem, pan myśli, że dom Gravat też z tego żyje – powiedział głośno kanonik jasnowidz – ale jak się ma tysiąc owiec, a nie dwa tuziny, człowiek automatycznie ma szersze horyzonty. Nie sądzi pan, młodzieńcze?

W tym momencie wróciła Elisenda z dwiema książeczkami, które położyła z boku na stoliku, ale ciekawski stryj poprosił pokaż, pokaż, zobaczymy, co też ci pożyczył pan nauczyciel, i Elisenda, chcąc nie chcąc, podała mu dwie niewielkie książki w podniszczonych okładkach. Ksiądz August poprawił okulary, które zsunęły mu się na czubek nosa, otworzył pierwszą książkę i zamilkł. Przejrzał ją szybko, spojrzawszy sponad okularów na nauczyciela i przeszedł do drugiej lektury, też bez komentarzy, a nawet z pewnym podziwem.

– No proszę – powiedział tylko, odkładając książki na stolik. Elisenda z uśmiechem przyklejonym do twarzy przekazała je Oriolowi, a ksiądz August, trzymając okulary w ręce, cały czas intensywnie mu się przypatrywał.

Porozmawiali jeszcze trochę o fenie i o ilości baranów. Ksiądz August powiedział, że jutro, najpóźniej pojutrze musi wrócić do Seu, biskup go wzywa, i modli się, żeby przełęcz Cantó była przejezdna. Oriol, aby podtrzymać rozmowę, podzielił się nowiną, że mówi się o możliwości zatrudnienia od nowego roku drugiego nauczyciela, bo jest coraz więcej dzieci. Elisenda skorzystała z okazji i poinformowała Oriola o czymś, co go już nie będzie dotyczyć, bo wtedy będzie martwy, a mianowicie, że mój mąż w przyszłym tygodniu przyjedzie tu na parę dni. Powiedziała to po to, żeby zagrać stryjowi na nerwach. Już od jakiegoś czasu upominał ją, że miejsce kobiety jest u boku męża, na co ona odcinała się, że u boku Santiaga zawsze są jakieś kobiety, i to wiele, na co ksiądz żegnał się zgorszony i wzdychał do Najświętszej Pani, a wtedy bezwzględna Elisenda zamykała temat słowami moim miejscem na całe życie jest dom Gravat i nie mam zamiaru o tym dłużej dyskutować.

– Będzie mi miło go poznać – powiedział. Wtedy spojrzawszy Elisendzie w oczy. Odpowiedziała mu równie intensywnym, wiele mówiącym spojrzeniem i Oriol wstał, bo mijało się z sensem przeciąganie tej nieudanej wizyty. Pożegnał się ze stryjem i wyszedł z salonu.

– Książki.

Kanonik okularami wskazał pozostawione na stoliku książki. Książki. Elisenda wzięła je i podała Oriolowi z komentarzem przyszedł pan po książki, a odchodzi z niczym. Ponieważ kanonik wstał z widocznym postanowieniem odprowadzenia go do wyjścia, Oriol szybko pożegnał ukochaną grzecznym

uściśnięciem rąk i niezobowiązującym komentarzem polecam się na przyszłość, a potem jeszcze życzę miłego wieczoru, dobranoc pani. Kiedy zamknął za sobą drzwi domu Gravat, zajrzał do książek. *O naśladowaniu Chrystusa* przypisywana Tomaszowi z Kempis i kanoniczna biografia ojca Alonsa Rodrígueza, napisana przez innego jezuitę, L. Jacobiego.

Kiedy ksiądz August zamknął wreszcie za sobą drzwi swojego pokoju, Elisenda wstała, rzuciła okiem na przyjazne płomienie w kominku i poszła po płaszcz. Nie zawracała sobie głowy uprzedzaniem Bibiany, żeby ta przypadkiem nie próbowała jej zatrzymać czy sugerować większą ostrożność; Bibiana wiedziała, że nic dobrego nie wyniknie dla panienki z tego romansu i już od jakiegoś czasu próbowała dać jej to do zrozumienia spojrzeniem.

Elisenda wyszła tylnymi drzwiami, tymi samymi, którymi kiedyś uciekła jej matka. Zimna noc wymierzyła jej na powitanie lodowaty policzek. Dopiero dziesięć dni temu w Torenie spadł pierwszy śnieg, a wczoraj temperatura gwałtownie się obniżyła, opowiadając się jednoznacznie po stronie zimy. Zachmurzone niebo, księżyc w nowiu i biel śniegu nadawały trupią bladłość pustym ulicom i policzkom Elisendy. Kiedy dotarła do stojącego na uboczu szkolnego budynku, odniosła wrażenie, że słyszy gdzieś w oddali wycie; może znów pojawiły się wilki w okolicach góry Tossal i skały Arquer. Zapukała delikatnie w okno i zdało się jej, że to pukanie odbiło się echem w najbardziej odległych zakątkach Toreny. Znów usłyszała odległe wycie. Nikt nie odpowiedział. Nikt. Co też może teraz robić Oriol, myślała. Chciała go zapytać, co znaczyło tamto spojrzenie, co chciałeś mi przekazać i nie mogłeś powiedzieć przy stryju. Znów zapukała w okno i wtedy przyszło mi do głowy, żeby przykleić twarz do szyby i zajrzeć do środka. Nic. Oriol, co znaczyło tamto spojrzenie? I wtedy skończyło się moje szczęście raz na zawsze. Pani Elisenda Vilabré, siedząca na honorowym miejscu z lekko pochyloną głową, nie zwróciła uwagi na słowa Gasulla teraz Ojciec Święty odchodzi, no, powiedzmy, zabierają go stąd, bo biedaczek nie trzyma się na nogach, przypuszczam, że zaraz nam powiedzą, że to już koniec. Chyba jesteś zadowolona z przebiegu uroczystości, bardzo wzruszająca, prawda? Eli? Słyszysz mnie? Dobrze się czujesz?

Pani Elisenda nie czuła się ani dobrze, ani źle; przeniosła się sześćdziesiąt lat wstecz, do tamtej zimnej nocy, kiedy uparcie dobijała się do okien szkoły, nie wiedząc, że znajduje się o krok od utraty swojego szczęścia, bo w złą godzinę usłyszałam ponownie to wycie i teraz wydawało mi się, że dochodzi ze środka, przestraszyłam się i otworzyłam drzwi, nawet się nie zdziwiłam, że ich nie zamknął, i weszłam do ciemnego korytarza, wołając Oriol, Oriol. Odległe

wycie dobiegało coraz wyraźniej. Dochodziło zza drzwi po lewej stronie i właśnie w tym momencie zdjąłem słuchawki, żeby odpocząć, i uświadomiłem sobie, że po cichu otwierają się drzwi strychu i pomyślałem kretynie, nie zamknąłeś porządnie szkoły i zaraz zobaczysz czarną lufę pistoletu Targi. Nawet zdążył pomyśleć szkoda, że tego już nie będę mógł opowiedzieć mojej kochanej córeczce, której imienia nie znam. Otwarte drzwi. To nie Targa, w świetle kopcącej naftowej lampy, która ledwo rozpraszała mrok, stała Elisenda. Spokojny nauczyciel z Toreny mierzył do nieoczekiwanego gościa z pistoletu. W tym momencie radiostacja zawyła oskarżycielsko przez słuchawki i oboje usłyszeli głos radiotelegrafisty z trzeciej brygady, jot pięć, zgłoś się.

– Co to ma znaczyć?

Wtedy zobaczyłam wielkie oszustwo, jakieś prycze, zawszone koce, kuchenkę na benzynę i radiostację, która trzeszczała i wydawała ten rodzaj wycia, który przypominał głos odległego wilka i nalegał jot pięć, jot pięć, odbiór, a ten niegodziwiec, mój ukochany, z rękami zbrukany anarchizmem, czerwonymi od komunizmu, celuje we mnie i patrzy przerażony i chyba też zawstydzony, a jedyne, co ma mi do powiedzenia, to pytanie, skąd się tu wzięłaś.

To są ostatnie słowa, jakie do mnie skierował. Skąd się tu wzięłaś, kto ci pozwolił wtrącić się do mojego życia i mojej zdrady. Dlatego przerażona i oburzona rzuciłam mu w twarz, jak obelgę, weszłam tu kierowana miłością, która porusza słońce i gwiazdy, tymi wszystkimi pięknymi słowami, którymi zawrócił mi w głowie on, jego oczy, jego dłonie. O mój Boże. Dlaczego nie strzelasz, co? Wtedy Oriol zdał sobie sprawę, że ciągle trzyma ją na muszce. Opuścił broń i odłożył na stolik, na którym stała radiostacja. Tak ją to zaskoczyło, że tylko jedno przyszło jej do głowy Oriol, przecież ja cię kocham, czemu mi to robisz. Uciekłam, zdezorientowana, upokorzona, zmieszana, zanim zdążył podnieść się ze stołka, na którym siedział, i opuściłam szkołę, płacząc w milczeniu w drodze do domu, skąd nie powinnam była w ogóle wychodzić, nie powinnam była sprawdzać, co pilnego próbował mi przekazać tamtym niemym spojrzeniem.

Tę noc przepełniał ból. Poczula się głęboko zraniona zdradą mężczyzny, któremu powierzyła bez zastrzeżeń całą swoją intymność. Tej nocy złamał jej serce perfidny mężczyzna, który zdradził pamięć mojego brata i ojca, wtargnął do mojego domu, zrobił ze mnie swoją modelkę i rozkochał mnie w sobie do szaleństwa. Nigdy w swoim długim życiu Elisenda Vilabru nie przeżyła tak intensywnego i rozdzierającego kryzysu wątpliwości, jak ten, przez który przeszłam podczas tamtej nocnej drogi krzyżowej. Co za niewyobrażalne cierpienie.

Zawsze kiedy zamierzał spędzić weekend nad morzem, pan Marcel Vilabré wsiadał do samochodu sportowego w garażu przy ulicy Pau Claris, a kiedy już mknął autostradą, autopilot i głośnomówiący telefon pozwalały mu wykorzystać czas na omawianie z Carminą bieżących spraw. Ale nigdy mu się nie zdarzyło, żeby w momencie otwierania drzwi zajęła miejsce obok niego jakaś nieznajoma. Kiedy zobaczył, jak wsiada, przyszło mu do głowy wiele rzeczy. Najpierw oczywiście ETA^[8] i GRAPO^[9], ale natychmiast odrzucił tę wersję, bo już by leżał w bagażniku z kapturem na głowie i liczył wyboje, żeby potem zdać sprawę policji, kiedy już będzie świętować uwolnienie i opłakiwać okup. Ale najbardziej go wkurzył brak profesjonalizmu, w końcu co miesiąc wydawał fortunę na bezpieczeństwo osobiste, a tu wchodzi mu do samochodu jakaś baba jakby nigdy nic. Dwaj ochroniarze z jego osobistej obstawy pewnie tymczasem szukają go w biurze przy pomocy tych aparatów dla głuchych, które noszą, żeby dodać sobie powagi i ściągnąć człowiekowi co miesiąc z konta kolejne pięćset euro. Te wszystkie myśli tłoczyły mu się teraz w głowie i natychmiast zapomniał, że idąc do samochodu, rozważał strategię nakłonienia Barcy, by klub dał mu wyłączność na pełny ekwipunek pierwszej drużyny, dzięki umowie, która wysła na zieloną trawkę tych skurwysynów, partaczy z Naiqui.

– Co pani tu robi?

Babka przy kości, z żywymi, miłymi oczami. Chyba dobra w te klocki. I ten nieokreślony wygląd, coś pomiędzy fatalizmem i pokorą, typowy dla ludzi upartych.

– Muszę panu coś wyjaśnić.

– Proszę natychmiast wysiąść z samochodu, bo wezwę ochronę.

– Pańscy ochroniarze pewnie teraz dopiero schodzą na dół; najwyraźniej pana zgubili.

– A skąd pani wie, że...

– Spędziłam pięć pouczających godzin, czekając w recepcji Brusport.

Zwolniona z pracy. Żona pracownika zwolnionego z pracy. Jakaś związkowa wtyczka. Była pracownica, która się domaga odszkodowania za tę pieprzoną gumę, która wywołuje astmę.

– Jeśli chciała pani ze mną rozmawiać, wystarczyło poprosić o wyznaczenie terminu na recepcji.

– To niemożliwe. Chronią pana bardzo szczelne filtry, panie Vilabré.

– Czego pani chce? – Poza, ton i gesty znamionowały zniecierpliwienie i

autorytet.

Dwaj głuśni ochroniarze, bardzo przejęci, już dopadli samochodu. Jeden z nich pochylił się i zajrzał przez okno do środka.

– Powiedziano nam, że... – Spojrzał na nieznajomą pytająco, profesjonalnie. Zwrócił się z pytaniem do pana Vilabru: – Wszystko w porządku?

Marcel Vilabru i Vilabru najbardziej wkurzył się o to, co jego goryle mogą sobie pomyśleć i opowiadać innym, że on się zadaje z tak ograniczonymi kobietami jak ta nieznajoma. W tym momencie zabrzmiała anemiczna wersja wielkiej *Uwertury wielkanocnej* Rimskiego-Korsakowa i Marcel zrobił zrezygnowaną minę, jak zawsze, kiedy rozlegała się *Uwertura wielkanocna* Rimskiego-Korsakowa, podczas gdy on siedział z jakąś kobietą, ale powiedział słucham, Carmino.

– Ikea się zgadza.

– A Bedogni? – nagle się ożywił.

– Leci do Sztokholmu.

– Anuluj mi rezerwację do Antibes. Chcę wylądować w Sztokholmie jeszcze dziś wieczorem.

– Przypominam panu, że w poniedziałek ma się pan znaleźć w Watykanie.

– Pamiętam. Jak będzie trzeba, polecę prosto ze Sztokholmu. A, i przeprós w moim imieniu Natalie. – Patrzył, jak ochroniarze się odsuwają, żeby nie podsłuchiwać rozmowy. Zwolniona roszczeniowa pracownica nadal siedziała niewzruszona na miejscu pilota. – Zadzwońię do niej. Każ jej wysłać kwiaty, duży bukiet... No nie wiem, zdecyduj sama. Jak one się nazywają... ach, dalie. Bardzo je lubi. Żeby w bukiecie były dalie.

Rozłączył się, nie żegnając się z ową Carminą, i westchnął. Do tego z ochroniarzy, który stał najbliżej:

– Jadę na lotnisko.

Nie patrząc na nieznajomą, powiedział proszę pani, jestem bardzo zajęty. Będzie pani uprzejma wyjść z samochodu? W odpowiedzi wręczyła mu dużą, grubą kopertę. Marcel wziął ją, zdziwiony i przestraszony. Szantaż. Szantaż tuż przed nosem ochroniarzy. Z jaką kobietą i w jaki sposób go przyłapali?

– To kopia listu, który wysłał do pana pański ojciec, kiedy pan się urodził, pięćdziesiąt siedem lat temu. Oryginał jest u mnie. – Otworzyła drzwi ze swojej strony. – W środku ma pan moją wizytówkę. Z telefonem i całą resztą.

– To jakiś żart?

– Proszę przeczytać ten list i niech pan potraktuje go poważnie. Porozmawiamy o tym później, jeśli pan zechce.

Marcel Vilabru zaintrygowany rozerwał kopertę. W środku zobaczył wydruk komputerowy: „Kochana córeczko, której imienia nie znam”; rzucił okiem na treść, nie wyciągając kartek z koperty. Spojrzał na kobietę.

– Chyba się pani pomyliła. Mój ojciec nie miał żadnej córki.

– Nie: to pański ojciec i pisze do pana, mimo że się zwraca córeczko. Sam pan zrozumie, jak przypuszczam...

Wysiadła z samochodu. Jeszcze w otwartych drzwiach powiedziała proszę do mnie zadzwonić, gdy pan przeczyta.

Lot do Kopenhagi upłynął bardzo szybko. Nic nie jadł, nie brał też pod uwagę możliwości zamówienia kieliszka szampana czy czegoś w tym rodzaju. Zamiast przeglądać materiały i dokumenty Ikei – w końcu znał je przecież na pamięć – przeczytał dwukrotnie list słynnego nauczyciela Fontellesa adresowany do jego córki, którą, według nieznanegoj, tej szurniętej facetki, miał być on. Skupiał się na tym, co za okienkiem samolotu. W poczekalni dla VIP-ów na lotnisku w Kopenhadze odruchowo jadł słone orzeszki, które przed nim postawiono, i jeszcze raz czytał, teraz na chybił trafił, ten wielostronicowy dziwny list. Spojrzał na wizytówkę: nazwisko, adres mejlowy i telefon. I adres pocztowy w Sort.

Nagle oprzytomniał, chwycił plik papierów i podszedł do niszcarki. Wkładał kartkę za kartką, aż jęczała z bólu pamięć o Oriolu. W ostatniej chwili schował wizytówkę tamtej kobiety. Marcel Vilabrú, córeczka, której imienia nie znam, zdeterminowany chwycił mocno teczkę z dokumentacją Saveria Bedogniego oraz Ikei i opuścił poczekalnię dla VIP-ów dokładnie w chwili, gdy delikatny, uwodzicielski głos zapowiadał lot do Sztokholmu.

Rzym, zwłaszcza po Sztokholmie, sprowadzał się do chaosu, hałasu, bałaganu, niebezpiecznego i nieobliczalnego ruchu na ulicach, krzyków i dwóch tysięcy kościołów na siedmiu wzgórzach. Mama wykazała tyle wyczucia, żeby ich ulokować w różnych hotelach, dlatego Marcel Vilabrú musiał zadzwonić do tego, w którym zatrzymała się pani Elisenda, by zapowiedzieć, że zajrzy do apartamentu matki jeszcze przed kolacją. Okazuje się, że zarezerwowała stolik w tym samym hotelu, signora Vilabrú, i że zamierzała zjeść kolację sama albo z Gasullem, czyli też praktycznie sama. Taksówką prowadzoną przez samobójcę przemieścił się na spotkanie z matką w pobliżu Watykanu. Zapadał zmierzch i już zapalono światła na il Cupolone.

Pani Elisenda, siedząca nieruchomo na sofie w swoim apartamencie, ze splecionymi rękami na kolanach, kiedy skończyła w myśli przeglądać wspomnienia, powiedziała Romà, przeczytaj mi natychmiast z łaski swojej te papiery.

– Mamo, ja je zniszczyłem.

– Idiota.

– Nie. Dzięki temu znasz je tylko z mojej relacji. – Do Gasulla: – Zostawisz

nas samych na chwilę?

– Romà, zostań.

Gasull, złapany jak zwykle w dwa ognie lojalności, już wstawał, ale spojrzał na Marcela jak zwierzę w potrzasku. Po co mu na starość takie przepychanki. Marcel gestem dał mu do zrozumienia rób co chcesz i Gasull opadł na fotel z westchnieniem nie tyle ulgi, co bólu, bo poza gościem w prawym kolanie czuł, że zbliża się nieuchronna burza z piorunami.

– Według tych papierów twój święty Oriol Fontelles to komunistyczny partyzant i nietrudno sobie wyobrazić, że także twój kochanek.

– To jakaś bzdura. Wymyślona w złej intencji.

– Nie żebym się na tym znał... – kontynuował Marcel, nie zwracając uwagi na komentarz matki – ...ale jeżeli Fontelles nie był tym, za kogo oficjalnie się go uznaje, nie można go jutro beatyfikować, prawda?

Dwie sekundy na obmyślenie nowej, desperackiej strategii w okopach po drugiej stronie barykady:

– Grzebiesz w szczegółach życiorysu kogoś, kto zginął jak męczennik, a nie zastanawiasz się, czy to nie twój ojciec.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Co takiego? – zapytała urażona i zbulwersowana.

– To co słyszysz. Mam to gdzieś. – Tonem bardziej energicznym, nie dając jej czasu na ripostę: – Nie zawaham się wywołać skandalu. Na pamiątkę tego, który ty rozpętałaś dokładnie dwanaście lat temu.

– Marcel, opamiętaj się, miej...

– Nie powinno cię tu być – upomniał kategorycznie Gasulla – więc lepiej się nie odzywaj. – Do Elisendy: – Jutro nie dojdzie do beatyfikacji twojego świętego.

– Bardzo dobrze. Jaka jest twoja cena?

– Wszystko.

Cisza. Romà Gasull balansował na granicy zawału, a pani Elisenda po raz drugi w życiu pomyślała Oriol, źle go wychowałam, to niedopuszczalne, żebym teraz przez twojego syna zamartwiała się na śmierć, dobieje mnie, tak samo jak ty, kiedy mierzyłeś do mnie z pistoletu, wystraszony, ze wszystkimi twoimi sekretami nagle jak na dłoni. A on przecież ma twoje oczy i taki sam kształt nosa. Może obaj należycie do rasy wyklętej, która zrodziła się tylko po to, by podsyć moje nieszczęście? Zmieszana otworzyła szeroko oczy, zapominając, że jest niewidoma.

– Co znaczy wszystko?

– Dobrze wiesz. Wszystko. Ty możesz się zamknąć w Torenii i odmawiać zdrowaśki do świętego Fontellesa.

Gdyby nie była ślepa, gdyby była parę lat młodsza, gdyby nie było tam Romàna, spoliczkowałyby syna.

– Chcesz mnie zabić, prawda?

– Nie, mam, na litość boską! Chodzi tylko o to, że mam pięćdziesiąt siedem lat i chcę rządzić tym, co do mnie należy, bez konieczności pytania o zgodę w każdej sprawie. W każdej sprawie! Prawda, że to proste?

– Dobrze. Po beatyfikacji podpiszę akt rezygnacji. – Zwracając głowę w kierunku Gasulla: – Przygotuj to na jutro.

– Robisz błąd, Elisendo.

Matka i syn zareagowali jednocześnie siedząc cicho i nie wtrącając się, oboje wyjątkowo jednomyślni. Jeszcze uzgodnili, że w zamian za odpowiednią rekompensatę finansową Mertxe wsiądzie w Barcelonie do samolotu i wystąpi w Watykanie w długiej ciemnej sukni. Tylko na uroczystość, naprawdę, Mertxe. Wobec argumentu użytego przez Gasulla Mertxe eks-Vilabré Centelles-Anglesola i Erill powiedziała zgoda, tylko na uroczystość, i podała adwokatowi rodziny numer konta, na który ma wpłacić argument w przeliczeniu na gotówkę.

– No i co z tą Ikeą? – zapytała pani Elisenda, kiedy temat został zamknięty.

– Mamo, przecież przed chwilą się wycofałaś.

– Dopiero po beatyfikacji.

Marcel pokiwał głową z podziwem dla charakteru mamy i powiedział, że Bedogni i Brusport kupują czterdzieści pięć procent trzech spółek córek, bo główny trzon to kooperatywa.

– Ale czy warto?

– Na krótką, średnią i długą metę. To wielka operacja. – Z żartobliwą intencją córeczka, której imienia nie znam, podkreśliła dużymi literami: – Wielka Operacja.

– Naprawdę nie chcesz wiedzieć, czy Oriol to twój ojciec?

– Nie. Żegnaj, mamo, do jutra.

– Żegnaj, synu. Niech Bóg cię przeklnie.

Z oczami zaczerwienionymi z niewyspania zapukała do drzwi gabinetu burmistrza i usiadła przy biurku. Pomieszczenie śmierdziało zwietrzałym tytoniem, wyczuwało się też alkohol. Stukała palcami w blat, patrząc gdzieś w dal i próbując spojrzeniem nadążyć za myślą, przygotowana na cierpliwe czekanie, teraz, kiedy decyzja już zapadła.

Valentí Targa nie kazał na siebie czekać nawet pięciu minut; przyszedł wkurzony na Pączuszkę, doprawdy, zrobiła się nieznośna, od kiedy przyjechała do Toreny, ach, baby, baby, po jaką cholere wpuściłem ją do domu, skoro wiedziałem, że wynikną z tego problemy. Burmistrz miał na sobie byle jak narzucony płaszcz, był nieogolony, z wypisanym na twarzy pytaniem czego ode mnie chcesz, do jasnej cholery.

– Nauczyciel.

Valentí Targa, nie zdejmując płaszcza, usiadł po drugiej stronie biurka. Od razu dało się dostrzec, że został wyrwany ze snu.

– Towarzysz Fontelles ma jakiś problem?

– Zrób rewizję na strychu szkoły, to sam się przekonasz, jaki ma problem. – Elisenda Vilabru nabrała w płuca zatęchłego powietrza gabinetu, przysunęła bliżej krzesło i oparła się łokciami o biurko. Słowa podyktowały jej ból i nienawiść.

– Oszukał nas wszystkich, a ja na coś takiego nie pozwalam nikomu.

– O czym ty mówisz?

– Zabij go.

– Ale czy... Czy ty i on nie...

– Zabij go.

Pociąg Euromed powoli wytracał szybkość, jak gdyby chciał dać pasażerom ostatnią okazję na podziwianie oślepiającego pejzażu śródziemnomorskiego za oknem. Kiedy się zatrzymał z czymś w rodzaju westchnienia, otworzyły się niektóre drzwi. Tina wysiadła i nagle poczuła podmuch gorąca, przed którym chroniła klimatyzacja w pociągu. A jest dopiero marzec.

Tak jak ją poinformowano, grupa emerytów właśnie skończyła zwiedzanie zamku w Peníscola, zgodnie z harmonogramem. Jedni trzymali w rękach pocztówki, inni chowali do futerałów aparaty, a wszyscy nastawiali się na zapowiedzianą na drugą paellę. Wypatrzyła pana Balansó na końcu grupy, miał harmonijkę pocztówek przedstawiających zamek z różnych perspektyw. Szedł powoli, z tym swoim charakterystycznym cienkim wąsikiem, teraz już białym, i ze spojrzeniem tak żywym, że trudno uwierzyć, że ten staruszek jest już dobrze po osiemdziesiątce. Kiedy mu powiedziała, że nazywa się Tina Bros, że przygotowuje reportaż o kościołach i cmentarzach w Pallars i sądzi, że mógłby jej w tym pomóc, zauważyła, że zrobił się czujny, na wszelki wypadek złożył harmonijkę pocztówek i powiedział proszę pani, z kimś mnie pani pomyliła.

– Andreu Balansó z Pobli, asystent burmistrza Valentína Targi, zamieszany w pięć morderstw, które nigdy nie zostały osądzone. Pomyliłam się?

Przełknął ślinę. Nadszedł decydujący moment: albo mnie teraz pośle do diabła, albo zrobi to, co właśnie robił Balansó, czyli przestraszy się, uznając, że grunt mu się pali pod nogami, i zaproponuje tej nieznanym spotkanie po obiedzie przy kawie. Ale ona nie dała się nabrać i przypomniała mu, że zaraz po obiedzie wsiadają do autokaru. Ja zapraszam pana na obiad.

Wzięła go pod rękę, jak ktoś, kto pomaga kochanemu dziadkowi.

– Będą mnie szukać.

– Niech szukają. Obiecuję, że nie spóźni się pan na autokar.

Zamiast prawdziwej paelli zamówili paellę wegetariańską, usiedli w dyskretnej restauracji daleko od strefy turystycznej wokół zamku. Tina przeszła samą siebie w zmyślaniu, przekonując go, że jakiś jego dawny kolega, który jeszcze żyje, już jej wszystko opowiedział i podał jego nazwisko, i że nie musi się niczego obawiać, bo z początkiem nowego wieku uległy przedawnieniu wszystkie przestępstwa kryminalne o podłożu politycznym, i nawet to udowodniła, wskazując stronę w gazecie, gdzie pisali o subwencjonowaniu twórczości literackiej, plastycznej i muzycznej.

– Nie muszę nic pani mówić.

– Owszem, ale jeśli tak, obsmaruję pana gównem, panie Balansó. – Uśmiechnęła się nad łyżką ryżu, zbyt dobrego jak na tę rozmowę. – Obsmaruję aż po szyję.

– Nie mówiła pani, że wszystko się przedawniło?

– Tak, niemniej i tak pana obsmaruję. Jestem dziennikarką. – Sama już nie wiedziała, dokąd ją zaprowadzą te kłamstwa. – Wie pan, jak to jest: pańskie zdjęcie, program w telewizji, prezenterka szukająca sensacji...

– Ja wykonywałem rozkazy, a wszystko, co robiliśmy, było wtedy konieczne.

– Nie wątpię. Jak zginął Oriol Fontelles?

– Kto taki?

– Nauczyciel z Toreny.

Jaśnie pani wyszła pięć minut temu, ale jeszcze unosił się w powietrzu zapach jej perfum. Targa ciągle siedział nieruchomo i myślał no, pewnie tym razem jej nie dogodził, myślał no, dobrze, ja też kazałem go śledzić, myślał ty skurwysynie, jeśli się okaże, że naprawdę jesteś zdrajcą, rozerwę cię na strzępy, nawet gdybym miał z tego powodu problemy. Podniósł nieuczesałą głowę i zapytał co tam?

Telegram. Jakiś nieznajomy żołnierz przyniósł mu osobiście telegram. Ze sztabu generalnego. Ściśle tajne. Zaproszcie go na kawę do baru Marésa, powiedział. Otworzył telegram niecierpliwymi palcami, oczekując nagrody, pochwały, pieśszoty, miłosnego wyznania, cholera, choćby jeden raz w życiu, od kogokolwiek.

Ściśle tajne Stop

Co do śledztwa w sprawie niejakiego Ossiana jedyny ślad prowadzi do szóstego wieku Szkocja Stop Nie ma bezpośredniego zagrożenia Stop Pozdrowienia Stop Niech żyje Franco Stop Venancio Stop

Nie ma bezpośredniego zagrożenia. Balansó, Arcadio, zawołał. Rozkazał swoim ludziom, by poszli do szkoły i przewrócili wszystko do góry nogami, wszystko, łącznie ze strychem, nie oszczędzając żadnego dopływu, żadnego przymiotnika, i żeby mu powiedzieli, co zastali. Ale zanim poszli wykonać rozkaz, telefon się rozgrzał do czerwoności, halo, Torena, tu mówi Sort, Torena, kochanie, słyszysz mnie. Tak, Sort, moja droga. Powiedz burmistrzowi, że setki partyzantów z całych gór idą na Esterri, Valèncię, Isil, Alins, Escaló, i ponoć na Baiascę też, zwłaszcza na Baiascę. O Matko Boska Przenajświętsza. Jesteś pewna? Halo, Sort? Słyszysz mnie, moja droga? Pytam, czy jesteś pewna. Sort? Wiesz, Torena, teraz wszystkie linie są, och, wszyscy tu są strasznie nerwowi. Mówią mi, żebyś przekazała burmistrzowi niech żyje Hiszpania. No, a tu jest spokój. Poczekaj chwilę, Sort. Mów, Esterri, ślicznotko, słucham. Nie. Naprawdę? Bardzo mi przykro, Esterri. Sort, Esterri mówi, że tam jest pełno komunistycznych żołnierzy. I tutaj też. O Matko Boska. A u ciebie, Torena? Tu jest spokój. Torena, muszę kończyć. Cześć, Sort. Cześć, Torena, moja droga.

– Tak, panie burmistrzu, tak mi powiedzieli. I jeszcze niech żyje Hiszpania.
– Do diabła, jak tu przyjdą, przetrzepiemy im skórę, niech żyje Hiszpania.
Cinteta, nie odchódź od telefonu.

– Tak jest, panie burmistrzu.

Balansó, Gómez Pié i ten z nastroszonymi brwiami, nie pamiętam, jak się nazywał, i jeszcze trzech innych milczących mężczyzn, wszyscy zmobilizowani przez meldunek telefoniczny, wszyscy w mundurach Falangi i z pistoletem w kaburze, czekali niecierpliwie, aż jakiś bandyta zdecyduje się zaatakować Torenę. Szkoła nie ucieknie.

– No, to już wiecie, co i jak. Muszę wrócić na chwilę do domu, żeby się ogolić. Każdy na wyznaczonym posterunku, tylko się ciepło ubierzcie.

– Z której strony wejdą?

– Prawdopodobnie drogą z Espot. Musimy czekać.

– A gdybyśmy tak wezwali żandarmerię...

– Żandarmeria ma co robić na dole. Tu jesteśmy my i nasze jaja.

Oddział falangistowski w Torenie spędził cały poranek między ratuszem a posterunkami obserwacyjnymi. Targa zmuszał do pracy bez wytchnienia telefonistkę Cintetę, każąc jej wydzwaniać ciągle do Sort, wpatrywał się w góry, palił papierosa za papierosem i czekał na wroga, który nie decydował się wyściubić nosa. Podczas długiej przerwy, nie zatrzymując się, przeszedł przed szkołą. Dzieci nie wybiegły bawić się na zewnątrz, bo było za zimno, i nauczyciel coś im opowiadał. To niemożliwe, pomyślał. Zanim towarzysz Fontelles zdążył go zauważyć, wyrzucił niedopałek i ruszył w kierunku baru Marésa na obiad i na spotkanie ze swoim Pączuszką, która zrobiła się jakaś dziwna, zupełnie bez życia.

Oriol spędził dzień, rozmyślając o poprzedniej nocy i o tej, która nadejdzie, a teraz siedział nad dyktandem małej Carme z domu Cullerés i zaznaczał czerwonym ołówkiem błędy ortograficzne; dziewczynka już od paru dni powtarzała, że chce iść na praktyki do pracowni krawieckiej w Sort, i na niczym nie potrafiła się skupić. Może się zakochała. Przez cały dzień czekał na decydującą wizytę Targi, ale tamten się nie spieszył. Siłą powstrzymywał się przed ucieczką w góry, bo oczekiwano od niego, że od siódmej jot pięć zacznie pełnić obowiązki radiotelegrafisty, a ponoć jego rola miała zasadnicze znaczenie dla łączności między dwiema brygadami, każda z innej strony góry Montsent. Siły go opuściły, nie tylko ze strachu, ale też dlatego, że spędził poprzednią noc jako łącznik między brygadami, które zmierzały w ciemności w kierunku València d'Àneu i w kierunku Esterri, podczas gdy większa część sił koncentrowała się w dolinie Aran. A teraz, przed południem, z wyłączoną radiostacją, ledwie przytomny z niewyspania, zaznaczał kolejne błędy

ortograficzne, teraz w dyktandzie Jaumego Serrallaca, któremu rzadko się zdarzało pomylić; mimo że najwyraźniej nie darzył go zaufaniem, ten chłopak odczuwał taki głód wiedzy, że chcąc nie chcąc, korzystał z pomocy nauczyciela. Podczas gdy on szukał źle postawionych akcentów, brygada czterysta dziesiąta, nie zważając na zimno, przecinała lodowate powietrze, zbliżając się do Bòrdes, a brygada numer jeden wycofywała się po nieudanej próbie opanowania północnego wylotu tunelu Viella, bo nie przybyliśmy tu, o Panie, walczyć z żywiołami, tylko z wojskiem frankistowskim. Ale brygadzie pięćset piętnaście, która weszła od strony Canejan, udało się zająć dolinę Toran i zmierzała wzdłuż rzeki Garonne w stronę wolności.

- Kto -uje kreskuje, ten dostaje dwóję, Jaumet.
 - Faktycznie, zapomniałem.
-

W południe burmistrz wyjaśnił sytuację wszystkim milczącym klientom baru Marésa i powiedział na koniec jak tu się zjawi jakiś kurewski partyzant, powieszę go za jaja, a kiedy po tym wystąpieniu skoncentrował się na talerzu soczewicy, Pączuszek powiedziała mu półgłosem, co wie i czego się boi. To dlatego jestem taka niespokojna.

- Jesteś pewna?
 - Jeśli to nie on, to jego sobowtór. Przysięgam.
 - Kobiety. Nie potraficie odróżnić owcy od barana, cholera.
 - To co mówisz, to bardzo poważna sprawa.
 - Myślisz, że zmyśliłabym sobie coś podobnego, kochanie?
-

Aż do siódmej, do zapadnięcia zmroku, nie włączał radiostacji. Właściwie w jego rozkładzie dnia coś takiego jak noc w ogóle nie istniało. Porucznik Marcó i jego ludzie, narażając własne życie gdzieś na skałach czy w stuletnim lesie Gerdar de Sorpe, mieli rozkaz robić zamieszanie w sześciu czy siedmiu różnych punktach z dala od granicy, żeby wywołać chaos i nie dopuścić, by wojsko frankistowskie ruszyło w kierunku przełęczy Bonaigua. A on tymczasem poprawiał zeszyt Jaumego Serrallaca z domu Lliset. Wiedział, że prędzej czy później Ventura zjawi się w Torenie. Dlatego pozwolił sobie na czyste szaleństwo i kiedy wszystkie dzieci, duże, średnie i małe, wyszły w czasie przerwy na boisko uganiać się za szmacianą piłką, bo mróz trochę zelżał, on szybko pobiegł na strych, włączył radiostację, nastawił na częstotliwość porucznika, a doskonała słyszalność pozwalała się domyślać, że nie byli teraz w Sorpe tylko o wiele bliżej i wysłał komunikat tu jot pięć, jot pięć do sierżanta Marcó i powiedział wilk i pięć hien spędzają dzień w jamie, wszyscy siedzą w jamie, rozłączył się, zgasił radiostację, zszedł ze strychu i jeszcze zdążył rozdzielić Nando i Roberta z domu Batalla, którzy się kłócili o jakiś ważny gol,

czy przypadkiem nie padł ze spalonego.

- Ej, ty, mały, chodź no tu, jak ci na imię.
 - Jaumet.
 - Z którego domu?
 - Z Lliset.
 - Syn tego kamieniarza?
 - Tak, proszę pana.
-

Bibiana przestawiała słoiki konfitur w kuchni, polerowała na wysoki połysk blat i cały czas gryzła się tym, co jej jest, co jej jest, tym razem to bardzo poważna sprawa, ten smutek ma ciężar kamienia, jeszcze mi tu umrze ze zgryzoty: ona już nie płacze, tylko wyje, jakby walczyła z Bogiem, a ja nie wiem, co robić, żeby załagodzić tak głębokie cierpienie. W tym samym czasie Elisenda w salonie przed swoim portretem wylewała gorzkie, nieme morze łez, i była o krok od zmiany decyzji, chciała wyjść na ulicę, uścisnąć Oriola i uchronić go przed wrogami, których sama na niego nasłała. Potem brała do ręki zdjęcia uśmiechniętego brata i naburmuszonego ojca i znów dławiła ją wściekłość to niedopuszczalne, żeby ktokolwiek mnie bezkarnie oszukiwał. A minutę później znów wylewała potoki łez jak wodospad Gagalla i mówiła Oriol, Oriol, jak mogłeś dopuścić się takiego zła, ty, który sprawiłeś, że cały mój świat zamyka się w tobie.

- Dziecko... przyniosłam ci ziółka.
- Mówiłam, żeby mi nie przeszkadzać.

Biedne dziecko. Jak jej pomóc, co powiedzieć. Gdybym mogła wziąć ją w ramiona i zaśpiewać kołysankę o głuptasce z Baiaski czy o grubej krowie z Arestui, ale panienska już nie daje się ukołysać w ramionach, ach, jak bardzo człowiek cierpi od cierpienia.

Nadszedł wieczór, godzina zimnego półmroku, i dzieciarnia rozbiegła się z radosnymi okrzykami do domów, gdzie już na nich czekała pokropiona oliwą kromka chleba na podwieczorek, a tymczasem dolina Aran stała się linią frontu i telefony frankistowskie aż dymiły, domagając się posiłków. Na zapleczu szkoły Oriol przygotował sobie Ostatnią Wieczerzę na bazie peklowanego mięsa, którym go poczęstowała przedwczoraj pani Báscones, gorliwa w trosce o prawdziwych patriotów. Jadł resztki mięsa z dodatkiem gotowanych ziemniaków, chleba i odrobiną wina, myśląc przy tym o swoich kobietach, o Rosie, o bezimiennej córce i o zaskoczonej Elisendzie, do której mierzył z pistoletu. A jednak najwidoczniej go nie wydała. Uświadomił sobie, że cisza za oknem była głębsza niż zwykle. Ale jeszcze bardziej dziwiło go milczenie Targi, który przeciągał moment, kiedy rzuci mu w twarz tu quoque, ty chciałeś

mnie zabić, to ty, skurwysynie, morderco, wiem to od Pączuszka, ona widziała strach w twoich źrenicach. Dlaczego, skoro jesteśmy towarzyszami? A Claudio Asín? A lekcje anatomii doktora Targi? A caudillo, do jasnej cholery?

Usłyszał szybkie, niepewne kroki i na zapleczu nagle pojawił się Jaumet, chłopiec, który bez przerwy biegał wte i wewte, jakby się bał, że coś w życiu przegapi. Mały wpatrywał się w talerz, żeby nie patrzeć mu w oczy. Stał tak przez chwilę bez ruchu, w milczeniu, zadyszany.

– Z czym przychodzisz, Jaumet?

– Mówi, że jakiś Ossian czeka na pana w kościele.

– Kto?

– Ossian.

– Kto ci to powiedział?

– Powiedział, żeby nie mówić. Tylko, że pewien przyjaciel.

Za pół godziny czekała go służba radiotelegrafisty, a skoro i tak miał umrzeć, wolał, żeby do tego doszło w szkole.

– A ksiądz?

– Ksiądz jest teraz w Seu. Mówi, żeby powiedzieć, że to przyjaciele.

– Nikomu nic o tym nie mów. Nigdy.

– Nie, proszę pana.

– Poczęstujesz się?

Jaumet Serrallac spojrział łakomie na talerz nauczyciela, ale odpowiedział nie, dziękuję, i pobiegł szybko do domu, nie wiedząc, że właśnie stał się emisariuszem śmierci.

Kiedy Oriol został sam, pomyślał o Venturze: pewnie właśnie szykował się do rozprawy z ratuszem. Mój Boże, jeśli im się uda, może nawet ujdę z życiem. Odsunął talerz i poczuł ulgę; zapomniał, że o Ossianie rozmawiał tylko z Valentínem. Ubrał się i przechodząc przez klasę, spojrzął w stronę tablicy; pomyślał córeczko, zachowuj się z godnością. Wychodząc, wymacał coś w kieszeniach płaszcza: ciągle nosił tam książki, które Elisenda niby mu zwróciła. Uśmiechnął się, mimo wszystko.

– Bibiano, zaparz mi ziółka.

Oriol się odwrócił i spojrzął za siebie, na szkołę; przeszył go dreszcz, teraz oglądał ją z dokładnie tego samego miejsca, z którego on i Rosa widzieli ją po raz pierwszy i z którego spojrzął na niego po raz ostatni Achilles, zdecydowany kontynuować swoją podróż donikąd, na północ, kiedy tylko odpoczął i wylizał poranione łapy, i pobiegł dalej z wyciągniętym językiem, za niewyczuwalnym tropem Yves'a i Fabrice'a, a jego zostawił ze ściśniętym sercem. Wybrał tę drogę, żeby nie przechodzić przed ratuszem.

– I kieliszek koniaku.

– Ależ dziecko, przecież ty...

– Koniak, Bibiano.

Drzwi do kościoła Świętego Piotra w Torenio okazały się przymknięte. Pchnął je ostrożnie. Wewnątrz panował półmrok. Powiało chłodem i wilgocią i usłyszał ledwie wyczuwalny szcęk metalu. Zapaliło się światło elektryczne, tylko jedna żarówka nad ołtarzem.

Kiedy sobie uświadomił, że Ventura z oczami jak węgielki i jego leśni towarzysze to Targa ze swoimi falangistami, nie miał już pola manewru.

– Witaj, towarzyszu.

Żegnajcie, pomyślał. Żegnaj, córeczko. Żegnajcie, góry. Obrzucił wzrokiem pięciu mężczyzn.

– Witajcie, towarzysze. Co się dzieje?

Valentí Targa dał znak i dwaj mężczyźni pospiesznie wyszli z kościoła. Valentí przysiadł na ławce i z zainteresowaniem przyglądał się Oriolowi, podczas gdy Balansó rewidował go, aż trafił na pistolet, astrę, jeden z tych, których używają partyzanci, proszę pani, jakem Balansó.

– Ale co się dzieje?

– Musimy chwilę poczekać. Czemu nie przyszedłeś nam pomóc?

– Pomóc w czym?

– Właśnie zaczęła się komunistyczna inwazja. – Wskazał lekkim ruchem głowy broń. – Od kiedy masz pistolet?

– Ale o co ci chodzi? Co my tu wszyscy robimy?

– Czekamy. Musimy coś sprawdzić, jedną z wielu rzeczy, która została nam dziś do sprawdzenia.

Gestem nakazał Balansó, żeby wyszedł, a jego kroki rozniosły się echem po kościele, i dlatego, proszę pani, naprawdę nie wiem, co tam się działo w niektórych momentach.

Z konfesjonau wyłonił się cień. W miarę, jak zbliżał się do kręgu światła, zamieniał się w milczącego szofera Elisendy. Stał obok Targi, który oskarżycielsko wymierzył w Oriola palec.

– Posuwasz panią Elisendę – rzucił mu w twarz.

– Dlaczego teraz mielibyśmy o tym rozmawiać?

– Ja też ją zaliczyłem – kontynuował Targa. – Niezła jest w te klocki, co?

– Jeszcze jak! Ja też ją chędożę. – Po raz pierwszy Oriol usłyszał głos Jacinta Masa. – Gorąca babka. Ale tobie nie wolno było jej tknąć, panie nauczycielu.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Niech pan nie udaje, że nie wie, o czym mowa...

W głosie Jacinta brzmiała groźba; wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął z niej podniszczony notes.

– Daj mi płaszcz, Bibiano.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jakie zamieszanie jest na zewnątrz? Gdzie ty się wybierasz?

– Nie zrzedź. Podaj płaszcz.

Otworzył notes i zaczął wertować kartki, śliniąc przy tym kciuk, najwyraźniej celebrując każdy gest.

– Chce pan usłyszeć dokładne sprawozdanie ze wszystkich pańskich schadzek z jaśnie panią?

– Naprawdę nie wiem... – Oriol skonfundowany spojrzał na Targę. – Nie wiem, co tu jest grane.

Targa wstał, zaczął się nienaturalnie śmiać i odpowiedział ja w nic nie gram; nagle śmiech się urwał; stanął przed Oriolem i syknął przez zęby jeszcze czekamy.

Jakiś hałas przy wejściu do kościoła. Ludzie Targi taszczyli coś, co postawili u stóp Valentína. Radiostacja. Teraz już naprawdę żegnaj, córeczko, żegnajcie, góry, żegnaj, jot pięć. Targa uważnie obejrzał urządzenie i mimo woli zagwizdał z podziwu. Jeden z jego ludzi coś mu szeptał na ucho, a on tylko kiwał głową, nie przestając przyglądać się przyciskom i guziczkom. Następnie wziął do ręki pistolet Oriola i też go dokładnie obejrzał.

– Czy to nie jest ten model, który...

– Którym posługują się partyzanci – potwierdził Arcadio Gómez Pié.

Targa stanął przed Oriolem i zaczął mówić, nie podnosząc głosu, zgorszony, bo to, co ma mu teraz do powiedzenia, po prostu nie mieści się w głowie. To ty mnie chciałeś zabić, to ty, skurwysynie, morderco, z tyłu, jak tchórz; dlaczego, skoro jesteś moim towarzyszem? Skąd ten strzał w potylicę, skoro wszystko mnie zawdzięczasz? Od kiedy? Co tu jest grane? Kim ty jesteś?

Światło żarówki odbijało się we wściekłych oczach Valentína i w udręczonych, milczących oczach Jacinta.

– Mówiłeś, że coś wiadomo o ruchu wojsk?

Targa spojrzał na niego zaskoczony i rozbrojony.

– Czy ty w ogóle rozumiesz, co ja do ciebie mówię? – Wskazał radiostację. – Nie zauważyłeś, co trzymasz w domu?

– Nie wiem, o czym mówisz. Dlaczego miałbym chcieć cię zabić?

Valentí Targa chwycił partyzancki pistolet, odbezpieczył i wymierzył prosto w czoło Oriola. Już chciał wystrzelić, kiedy rozległ się krzyk i drzwi kościoła z hałasem uderzyły o ścianę.

– Stop! Nie! Nie rób tego!

W drzwiach stanęła Elisenda. Zdecydowanym krokiem zeszła trzy stopnie. Jacinta nie zawiódł refleks i szybko poszukał cienia, aż znalazł bezpieczne schronienie w konfesjonale, a na ustach Oriola pojawił się uśmiech. Już odwracał głowę w stronę ukochanej, kiedy palec Targi docisnął spust. Strzał rozniósł się pod wąskim sklepieniem kościoła i wybuchł w głowie Oriola Fontellesa, którego usta ciągle się uśmiechały i który zdążył jeszcze przyznać, niezupełnie słusznie, że owszem, umierał z powodu kawy z procentami, a tu

jeszcze tyle zadań do wykonania.

- Coś ty zrobił?
- Wykonałem rozkaz.
- Powiedziałaś mi, że...
- Za późno.

Targa wytarł lufę pistoletu chusteczką i rzucił go obok zwłok, z pogardą. Wtedy nas zawołał. Nauczyciel leżał na ziemi i pistolet, który go zabił, też. Przysięgam pani, że ja w tym czasie stałem na zewnątrz, paliłem papierosa i niczego nie widziałem, więc nie może mnie pani o nic oskarżać.

– Przecież mówiłam panu, że wszystko już przedawnione. – Tina znów wskazała fotokopię artykułu o subwencjonowaniu twórczości literackiej, plastycznej i muzycznej.

Kiedy dzwon Świętego Piotra wybił dwa kwadransy, w kościele jeszcze niósł się krzyk Elisendy i odgłos strzału w głowę Oriola. Wtedy sprawy nabrały przyspieszenia, jak gdyby Historii bardzo zależało na tym, by zakończyć wszystkie te podłości bezzwłocznie. Strzał Targi stał się mimowolnym sygnałem: w tym samym momencie do ich uszu dotarła strzelanina od strony Arbessé i Targa zareagował z taką szybkością, jak za czasów, gdy pracował dla Caregue, i wybiegł z kościoła ze swoimi ludźmi, bo było dla niego oczywiste, że partyzanci zaatakowali ratusz, że przyszli po niego. Przez kilka minut panowało zamieszanie, partyzanci weszli do budynku, porucznik Marcó przeszukał wszystkie pomieszczenia, wściekły otwierał kolejne drzwi, powtarzając gdzie się ukryli, ten zasrany wilk i jego pięć hien, a potem krzyknął wychodźcie, wychodźcie, musieli nas zauważyć, to zasadzka, ale nie zdążyli, bo oddział falangistów odgradził ich kurtyną ognia, i role się odwróciły: partyzanci bronili ratusza, a Falanga go atakowała.

Siedząc na ziemi przed ołtarzem, Elisenda obejmowała ciało Oriola i przytulała jego przestrzeloną głowę do swojej piersi, która zaraz zrobiła się czerwona od krwi. Spoglądała to na ołtarz, to na Oriola, tuliła go, oddychała głęboko, niezdolna do wydania z siebie głosu. Dużo, dużo później, przekonana, że nikt jej nie słyszy, zaczęła się usprawiedliwiać Oriol, ja nie chciałam, Oriol, ukochany, jesteś moim życiem, moją duszą... Uniosła go i oparła o siebie. Spojrzała mu w twarz, w otwarte oczy, które już zaczęły się zmieniać w zimne szkło, i przycisnęła go do serca, powtarzając w myślach ojciec, brat, mój ukochany. Moje życie jest pełne śmierci, a teraz to moja wina, przysięgam, że ci to wynagrodzę. Mój Boże, jaki jesteś niesprawiedliwy, jak okrutnie mnie karzesz, mnie, która tak wiernie służy Tobie i Twojemu Kościołowi. Jeszcze raz objęła głowę Oriola i wykrzyczała łamiącym się głosem modlitwę Panie Boże, jeszcze mnie popamiętasz.

– Proszę pani, on już nie żyje – usłyszała za plecami głos Jacinta, któremu

zaimponowała tak wielka miłość, dokładnie w chwili, gdy bojówka Targi znów wróciła do kościoła.

Andreu Balansó nalał sobie kolejną szklaneczkę białego wina, zadowolony, że w tej spokojnej restauracji nikt go nie upomina, że za dużo wypił, w końcu jedna szklaneczka więcej nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

– Kiedy wróciliśmy do kościoła, po skutecznym odparciu ataku partyzantów, jaśnie pani jeszcze tam klęczała. A obok niej szofer. Wie pani, że oni zostali kochankami?

– Kto?

– Szofer i jaśnie pani.

– Skąd pan to wie?

– Przyjaźniłem się z Jacintem. Opowiadał mi wszystko ze szczegółami. Zadurzyła się w nim po uszy i traktowała go po królewsku. Szofera! A właśnie, słyszałem, że coś było nie tak z tą jego śmiercią.

– Co było nie tak?

– Jakby to powiedzieć.

– Co pan sugeruje?

– Ja tylko powtarzam, co mówią inni.

Balansó wykorzystał moment niezręcznego milczenia, żeby pociągnąć ze szklaneczki. Tak jak jego kolega, ten z kręconymi włosami, teraz już białymi, kiedy siedział twarzą w twarz z Jacintem Masem, w milczeniu, w tym ciemnym lokalu w Zuerze, nieopodal rzeki, której nazwy, Gállego, nie znał i znać nie chciał, jednej z tych rzek, których nazw dzieciarnia ze szkoły w Torenio, w tym czasie już sama wychowująca własną dzieciarnię, uczyła się na pamięć i natychmiast zapominała, bo wiedza o tym, że Gállego jest rzeką, która wpada do Ebro w Saragossie, nie była im w życiu do niczego potrzebna, a jak się nazywa rzeka, która wpada do innej rzeki, a nie do morza?

– Dopływ – odpowiedziała Elvira Lluís, na siedem i pół miesiąca przed śmiercią na gruźlicę.

– Bardzo dobrze, Elvireto.

– Bardzo dobrze, Arcadio. Co cię tu sprowadza? Ona cię przysłała?

Arcadio Gómez Pié rozejrzał się po sali ciemnej od kopącego kominka. Po przeciwnej stronie, wysoko na półce stał stary telewizor z powyginaną, niewydolną anteną, w którym powtarzali, po raz czwarty czy piąty, najbardziej doniosłe chwile z koronacji nowego króla Hiszpanii, i po to wygraliśmy wojnę, brudziliśmy sobie ręce, walcząc o pewien ideał, przysięgaliśmy wierność zasadom Ruchu Narodowego i Falandze na śmierć i życie, żeby nazajutrz po śmierci Caudilla, naszego przewodnika, naszego wzoru, kraj się obudził jako monarchia, to się nie mieści w głowie. Dlatego obaj mężczyźni demonstracyjnie odwrócili się tyłem do telewizora i popijali wino. Ponieważ Gómez Pié mu nie odpowiedział, Jacinto zapytał wprost: – Przyszedłeś mnie

zabić?

– Zrobiłeś to?

– Że niby co?

– Ja tam nie wiem.

– Ty tylko wypełniasz rozkazy.

– Ty też. Taka nasza rola.

– Tak, ale pani nie może się pogodzić z tym, że ją opuściłem. Po tylu latach zdążyła mi się przejeść i ona, i ta robota, chciałem mieć więcej czasu dla siebie.

– Naprawdę, ty i ona...

– Mógłbym ci opowiedzieć jej ciało centymetr po centymetrze. Gorąca. Wyuzdana. Świetnie obciąga. Nawet w samochodzie, wyobraź sobie.

– Coś takiego.

Jacinto się uśmiechnął. Zastanawiał się, czy powinien się rzucić na dawnego kumpla, czy lepiej dać się zabić i zachować resztki godności. Myślał też o wrażeńiu, jakie wywarłaby na ludziach w Zuerze jego śmierć z rąk uzbrojonego bandyty. Patrzcie państwo, taki spokojny człowiek, brat Nieves, tylko pilnował swojego ogródka z glicyniami.

– Chodźmy stąd.

– Nie trzeba – powiedział Gómez Pié, wstając. A Jacinto pomyślał teraz, teraz wyciągnie pistolet, wymierzy w czoło, tak jak Targa, i pif-paf, żegnaj. Arcadio Gómez Pié sięgnął do kieszeni, wyciągnął drobne i zostawił na stole. Powiedział obcesowo lepiej będzie dla ciebie, jak przestaniesz ludziom wciskać te głodne kawałki, bo jak nie, to się doigrasz. I wyszedł na grudniowe zimno wprost na coś w rodzaju promenady wzdłuż rzeki, zostawiając Jacinta, jeszcze roztrzęsionego, zaskoczzonego jak to, po to tylko przyjechał, żeby prawić mi morały? zadowolonego, że wykazał się odwagą i nie zrobił jakiegoś numeru, nad szklaneczką, którą wysączył do końca, i cmoknął, patrząc za oddalającym się mężczyzną. Dokładnie w momencie, kiedy Arcadio doszedł do latarni, wzrok Jacinta stracił ostrość, szczęki mu zesztyniały jak sparaliżowane i całe powietrze ulotniło się z płuc, a pusta szklaneczka spadła na ziemię z wesołym stuknięciem, zanim rozbiła się pod półką z telewizorem na kawałki, podobnie jak życie Jacinta Masa.

– A co mówią ci inni.

– Nie, nic takiego. Chodziły słuchy, że jaśnie pani... A zresztą.

Zresztą. Że jaśnie pani, a zresztą. Takie tam plotki. Tina zanotowała je sobie w pamięci, trochę już skołowana, i poprosiła, żeby wrócił do dnia, w którym umarł nauczyciel, co jeszcze, żeby niczego nie pominąć, teraz, kiedy siedział przed nią ktoś, kto był prawie naocznym świadkiem jego śmierci. Dlatego powiedziała proszę mówić dalej, chcę wiedzieć wszystko. Co jeszcze się wydarzyło?

- Nic, tylko że... po tym partyzanckim ataku zostały ślady na frontowej ścianie ratusza. Pewnie nadal je widać, jeśli nie zrobili remontu.
 - I nic więcej?
 - No i moja noga też nosi ślady tej nocy. Dlatego kuleję.
 - Co jeszcze zrobili partyzanci?
 - Uciekali jak szczury. Zabiliśmy jednego, a oni nam zabili nauczyciela.
-

O Matko Boska, o Matko Boska, Panno Najświętsza, to niemożliwe, to niemożliwe, to niemożliwe. Jak to się stało. Przecież dosłownie przed chwilą. Przecież jeszcze dziś rano. Przecież jeszcze wczoraj wieczorem. Jak to możliwe, że.

- Nie wiem, proszę księdza. To partyzanci. Proszę uważać pod nogi.

Ksiądz August Vilabru zmrużył oczy, gdy przekraczał próg kościoła Świętego Piotra. Mimo słabego światła anemicznych żarówek wszedł oślepiiony jasnością, która, jak później zrozumiał, miała nadprzyrodzony charakter. Przede wszystkim zwrócił uwagę na burmistrza w mundurze falangisty, który siedział w ławce ze spuszczoną głową; po raz pierwszy widział Targę ze spuszczoną głową. Później zwrócił uwagę na swoją bratanicę stojącą przed ołtarzem, całą we krwi, modlącą się półgłosem. Dopiero na końcu zwrócił uwagę na rozciągnięte na ziemi ciało, u stóp ołtarza, jakby złożone w ofierze. To nauczyciel, o mój Boże. Z kieszeni zmarłego wystawał grzbiet jakiejś książki: rozważania Kempisa. Ten nauczyciel od Kempisa. Nauczyciel od Kempisa z dziurą w czole.

- O mój Boże, co tu się stało?

Spokojnym głosem Targa opowiedział ze szczegółami o nadzwyczajnym, powiedziałbym, że cudownym, wydarzeniu, i zakończył tonem jeszcze bardziej pokornym i przygnębionym, rzucając oskarżenie: – Strzelił do niego Joan z domu Ventura.

- Kto?

- Esplandiu, ten przemytnik.

- Ten, który pochodzi z Altronu, jak pan?

– Tak. Jest w partyzantce. – Wzniósł ręce do twarzy. – To on zabił. A ja... nie mogłem nic zrobić, żeby mu w tym przeszkodzić. – Wymownym gestem rozłożył ręce przed księdzem. – Nie byłem uzbrojony.

– To prawda, ja jestem świadkiem – potwierdziła Elisenda, nie odwracając się, wpatrzona w ołtarz. – Pan nauczyciel stanął między zbrodniarzami i Najświętszym Sakramentem.

– O mój Boże, skąd tyle nienawiści, mój Boże... – recytował wyuczoną lekcję ksiądz August, przybity.

Wtedy padł na kolana, spojrzął na tabernakulum, na wieczną lampkę przed

Najświętszym Sakramentem i dwie, trzy, cztery okrągłe łzy spłynęły po jego świętych policzkach.

– Nauczyciel bronił tabernakulum – oznajmił wzruszony. Zwrócił uwagę na złoty łańcuszek. Opuszkami palców odsunął zakrwawioną koszulę i wydobył spod niej coś w rodzaju krzyżyka, czy raczej połowę złotego krzyżyka. Ten widok znów napełnił łzami jego oczy. Ciągle jeszcze na klęczkach, pochylił głowę nad męczennikiem i z żarliwością ucałował jego czoło. Święty Obrońca Tabernakulum, ogłosił niemal szeptem. Boże, uprzedzam Cię, jeszcze mi za to zapłacisz, powtórzyła Elisenda półgłosem i znów uklękła nad sztywnym ciałem swojej jedynej, wielkiej, wiecznie żywej miłości.

Kiedy już się opanował, ksiądz August podniósł się z trudem i zapytał burmistrza: – Nie udało się wam zatrzymać żadnego z nich?

Odpowiedziało mu milczenie. A my tymczasem drżeliśmy z zimna, czekając na zewnątrz kościoła, zgodnie z wyraźnym rozkazem pana burmistrza. Aż wreszcie szofer jaśnie pani kazał nam wejść. Zobaczyliśmy kanonika nad ciałem nauczyciela, tak, i od niego dowiedzieliśmy się, co się tam stało.

– Tak się sprawa przedstawia – zakończył ksiądz z westchnieniem, blady, z jakimś dziwnym światłem w oczach.

Burmistrz wstał i samą swoją obecnością, ramię w ramię z księdzem, stanowił rękojmię prawdziwości tej relacji. Pani Elisenda zatopiła się w modlitwie zwrócona do ołtarza.

– Jakież pytania? – Burmistrz po kolei mierzył wzrokiem każdego z nich.

Wtedy przeszkodziła nam Cinteta, telefonistka. Mimo późnej pory jest bardzo pilny telefon do pana nauczyciela, a ja nigdzie nie mogę go znaleźć. A ponieważ tu zauważyłam światło, więc... O mój Boże!

– Do nauczyciela? – Elisenda Vilabré, wyprostowana, odwróciła się do Cintety.

– Tak. Jakaś wiarołomna zakonnica z jakiegoś szpitala. O Matko Najświętsza, co tu się stało?

– Ja odbiorę, Cinteto – odezwała się jaśnie pani. Schyliła się, złożyła niewinny pocałunek na czole męczennika, po czym podniosła się gotowa do wyjścia.

I niech mnie już pani dłużej nie męczy, bo wszystko mi się miesza w głowie... Klnę się na Boga żywego. Najlepiej pamiętam to, że panowało wtedy pierońskie zimno. I padł rozkaz rozejść się, bo później jeszcze musieliśmy pogonić kota partyzantom. To było, zanim te skurwysyny przestrelili mi rzepkę. Proszę pani, kto zapłaci za ten obiad?



ORIOŁ FONTELLES GRAU (1915–1944)
BŁOGOSŁAWIONEMU MĘCZENNIKOWI, KTÓRY
BYŁ NAUCZYCIELEM W NASZEJ MIEJSCOWOŚCI

SKŁADAJĄ HOŁD WSZYSCY MIESZKAŃCY TORENY

TORENA, KWIECIEŃ 2002

– Cały front granitowego bloku jest ozdobiony ząbkami wykutymi dłutem, bardzo ładnie to wygląda, a płyta jest z szarego marmuru z wyrzeźbionymi literami, prawdziwe чудо, jest na co popatrzeć. No i wiesz, na dodatek udało mi się znaleźć kamień z żyłkami, jakby z czasów Rzymian. W sam raz dla wymagającego klienta. Jasne, że płacą gotówką. A ile się namyślali, czy mam napisać Oriol, obrońca tabernakulum, czy Oriol z Toreny, czy Josep Oriol obrońca tabernakulum z Toreny...

– Ludzie jak już raz przekroczą granicę śmieszności, potrafią się okazać naprawdę żałośni. Zanim pójde do szpitala, mam zamiar opowiedzieć wszystko jakiemuś dziennikarzowi.

– Co ty mówisz, do szpitala? Gdzie teraz jesteś?

– Nie, to nic takiego.

– Jak to nic, cholera, gdzie ty jesteś?

– Później ci wyjaśnię. Wszystko w porządku. W przyszłym tygodniu idę do szpitala, to nic poważnego, głupstwo. Czy mógłbyś się zaopiekować moim kotem, podczas gdy... no, w tym czasie.

– Jasne. – Posmutniałym głosem: – Zadzwoń do mnie i przyjadę po mrużka.



ORIOŁ FONTELLES GRAU (1915–1944)
ALIAS ELIOT, NAUCZYCIEL, PARTYZANT, MALARZ,
POTAJEMNY KOCHANEK, ZŁY MĄŻ, BOHATER
W POTRZEBIE I OJCIEC SWOJEJ UKOCHANEJ
CÓRECZKI, KTÓREJ IMIENIA NIE ZNAM

TORENA, KWIECIEŃ 2002

Jaume Serrallac wkurzył się i pod wpływem emocji przygotował nowy projekt na swoim stole, ciekawe, czy im się spodoba. Czemu, do jasnej cholery, nie powiedziała mi wcześniej, że idzie do szpitala.

- Co robisz?
- Nic takiego, taki tam szkic.
- Chyba zwariowałaś. Jutro przychodzą oglądać.
- Córeczko, na jutro pomnik będzie gotowy. Pozwól mi trochę pomarzyć.
- Ty i te twoje historie.
- Tak, ja i moje historie.
- Kto pojedzie po bazalt?
- Do Tremp?
- Tak.

Jak miałbym jej powiedzieć, jeśli w ogóle powinienem to zrobić, że czuję się szczęśliwy, bo wiem, że ma na imię Amèlia, i widziałem, jak rośnie, jak przechodzi okres wątpienia, jak zostaje matką i jak radzi sobie w życiu?

- Ja pojedę, Amèlio.

VII

Pieśń grobów

...dom pogrążony w milczeniu, dom
bez ciebie, córeczko.

VICENT ANDRÉS ESTELLÉS

Żeby ułatwić pokonanie niekończącego się korytarza apostołskiego, po odejściu władz i wszystkich honorowych gości sadzają ją w fotelu inwalidzkim, mimo jej protestów. Mamo, o co ci chodzi, tylko my zostaliśmy, daj spokój. Milczący sanitariusz z Gwardii Szwajcarskiej popycha fotel i rozpoczynają przejście przez pustynię. Obok fotela pani Elisenda wyczuwa niepewne kroki Gasulla, pospieszne, nerwowe kroki Marcela, niecierpliwe postukiwanie obcasów Mertxe i kocie milczenie Sergia; ten gotów byłby nie założyć skarpetek na taką uroczystość. Jej ukochana rodzina, którą poświęciła dla szlachetniejszych ideałów. Wasza Świątobliwość, ja wiem, co mi wolno, a czego nie. Ależ córko, jeśli dobrze słyszę, jeżeli cię dobrze zrozumiałem, ty przypisujesz sobie władzę ustanawiania norm moralnych. Tak, Wasza Świątobliwość, ponieważ potrafię ich użyć w zbożnym celu. Ja już trochę niedosłyszę: naprawdę powiedziałaś, że stawiasz się ponad moralnością innych ludzi? Wasza Świątobliwość, nie wiem, czy tak to ujęłam, ale wiem, że mam specjalny układ z Panem Bogiem. To niemożliwe, córko; strzeż się pychy. Proszę o rozgrzeszenie. Wszystko, co mówisz, córko, wymaga dłuższej rozmowy. Zgadzam się, Wasza Świątobliwość. Kościół jest, zapamiętaj to sobie na zawsze, Kościołem pokornych. A Escrivà, Wasza Świątobliwość? Co takiego? Escrivà: czy on rzeczywiście jest świętym, czy tylko miał władzę i możliwych protektorów? Musimy kończyć, córko, bo lekarze krzywo na mnie patrzą. Chcę waszego osobistego rozgrzeszenia, Wasza Świątobliwość.

Korytarz apostołski jest długi jak dzień bez chleba. Obcasy Mertxe stukają niemal groteskowo, ale ona się tym nie przejmuje, taka już jest. Na początku sprawiała całkiem inne wrażenie. Z winy mężczyzny z wygolonym karkiem i rękami silnymi jak imadło, który ją bezpardonowo usunął sprzed oblicza Jego Świątobliwości, nie zdążyła powiedzieć ja czynię dobro, mam ewangeliczne wyczucie sprawiedliwości; kto zasłużył, ten musi otrzymać karę, ale tylko wtedy, gdy rzeczywiście na nią zasłużył, to chyba jasne; nigdy nie kieruję się względami materialnymi ani własną korzyścią, bo dzięki Bogu jestem bardzo bogata i troska o polepszenie bytu nie spędza mi snu z powiek. Chcę tylko sprawiedliwości dla mojej rodziny i wiecznej pamięci dla mężczyzny, którego naprawdę kochałam, i to już się stało, już jest błogosławiony, a kiedyś ogłosi go świętym i w ten sposób stanie się dla wszystkich oczywiste, że ja zawsze wybieram najwłaściwszą drogę. Oriol był dobrym człowiekiem, a teraz niektórzy próbują go oczerniać oszczerstwami. Dobrze się stało, że Kościołowi przybył jeszcze jeden błogosławiony. A ja pewnego dnia przysięgam, że wyniosę Oriola na ołtarze, i oto dotrzymałam słowa. Proszę o rozgrzeszenie moich wszystkich grzechów. Wasze osobiste rozgrzeszenie, Wasza Świątobliwość. Wasza Świątobliwość sprawuje najświętszą ofiarę w kościele Świętego Piotra. Wasza Świątobliwość jest Chrystusem na ziemi.

– Stop! Nie! Nie rób tego!

Jak co dzień Elisenda otwierała drzwi kościoła Świętego Piotra w Torenio i schodziła po trzech schodkach zdecydowanym krokiem i jak co dzień przybywała o jedną sekundę za późno, i to jest jej wieczne piekło; nigdy ci nie wybaczę, że pozwoliłeś się zabić zamiast się bronić. Nigdy.

– Coś ty zrobił? – oskarżała Valentína Targę, który jeszcze trzymał dymiący pistolet w dłoniach.

– Wykonałem rozkaz – odpowiadał zawsze Targa, wycierając lufę pistoletu, i patrzył jej w oczy z nową nienawiścią.

Przy wyjściu, tej samej bramie Palazzo Apostolico, którą weszli, limuzyna pasie się spokojnie na bruku. Grupa otaczająca kobietę w czerni siedzącą na fotelu inwalidzkim zatrzymuje się na kilka sekund na chodniku i patrzy przed siebie, jakby czekali, aż ktoś im zrobi zdjęcie rodzinne, do którego już nigdy później nie będą mieć okazji pozować. To wszystko widzi pani Elisenda z głębi swojej ciemności. Zapraszam was na obiad, mówi bez entuzjazmu.

– Mam robotę, mam. – Marcel pochyla się nad matką i rozmawia z nią półgłosem.

– Tu, w Rzymie?

– Tak.

– Pozdrów ode mnie Saveria Bedogniego. – Zwraca się do pozostałych postaci z rodzinnego zdjęcia: – A wy co, idziecie?

– Czy bylibyście tak uprzejmi i wezwali mi taksówkę? – To chyba pierwsze słowa, zimne jak lód, jakie wygłasza Mertxe tego dnia.

– Romà, zajmij się tym. – Odwraca głowę. – A ty, Sergi?

– Babciu, umówiłem się.

– W Rzymie nie ma wysokich fal.

– W Paramaribo. Czekają na mnie jutro i nie mogę ich zawieść.

– Oczywiście.

– Do widzenia, mam.

– Do widzenia, babciu.

– Sergi, wiesz co? Ty mnie odwieź na lotnisko.

– Tak, mam.

– Gasull, odwołaj taksówkę.

– Dobrze.

– A ty, Romà? Też masz jakieś zajęcie?

– Jestem do usług.

Pani Elisenda wstaje bez widocznego wysiłku. Ktoś zabiera fotel i Gasull bierze ją pod ramię drżącą ręką. A ona półgłosem, podobnie jak robiła to już wiele razy, dyskretnie pyta: – Jesteśmy sami?

– Tak.

– Nikt nie został?

- Nie. Ty i ja.
- Odwołaj obiad.
- My nie będziemy jeść?
- Chcę się położyć. Straciłam apetyt.
- Jak sobie życzysz, Elisendo.

Długi, lśniący mercedes, z przyciemnionymi szybami, cichy, zahamował delikatnie przed firmą Marmury Serrallac Sp. z o.o., pół metra od ściany, jakby się bał, że lśniąca karoseria może się zakurzyć. Szofer wysiadł i otworzył tylne drzwi. Z limuzyny wyłoniły się kształtne stopy obleczone w surową czerń obuwia ze srebrną sprzączką i mocno stały na ziemi.

Od lat nie widział się twarzą w twarz z Elisendą z domu Gravat. Nie miał jeszcze okazji zobaczyć jej ślepych oczu, które ukrywała za przyciemnionymi okularami, mimo że mieszkali vis-à-vis, o rzut kamieniem, po przeciwnych stronach Rynku, ale w odległości tysiąca różnych historii. Stała przed nim w eskorcie szofera i jeszcze jakiegoś mężczyzny, równie chudego i zasuszonego jak ona sama, którego widziałem już nie raz, ale nie wiem, czy to jakiś krewny czy ktoś w tym rodzaju.

– Pani chce zobaczyć cenotaf – powiedział ten krewny czy ktoś w tym rodzaju.

– To nie cenotaf. To pomnik. Memoriał.

– Mniejsza o nazwę.

Zabrał ich do warsztatu. W głębi hali piła tarczowa trepanowała uszy. Serrallac podniósł rękę i piła, zdyscyplinowana, ucichła. Z oświetlonego biura wyszła Amèlia, która, gdy tylko zobaczyła, o kogo chodzi, podeszła do nich z szerokim uśmiechem.

– Właśnie teraz ładujemy go na ciężarówkę.

Dama zwróciła głowę w stronę tego krewnego czy kogoś w tym rodzaju. Ten pewnym siebie głosem rozkazał: – Proszę go wyładować.

Jest taki ton głosu, z którym się nie dyskutuje. Trzy tony pomnika zostały wyładowane i spoczęły na środku hali, a Cesc mógł tylko zdusić przekleństwo, bo jeszcze na dodatek życzyli sobie, aby usunąć wszystkie klamry zabezpieczające. Wtedy Elisenda z domu Gravat podeszła w towarzystwie obu mężczyzn i położyła jedną rękę na chropowatej granitowej powierzchni. I drugą rękę. Bardzo chciała odzyskać teraz wzrok. Pogodziła się z wiecznie czarnym spojrzeniem pozwalającym na większą koncentrację, bo nic jej nie rozpraszało. Ale teraz, teraz tak, chciałabym zobaczyć, Oriolu, czy wszystko zrobili tak, jak kazałam. Okrążyła pomnik, wpatrując się w odległą przeszłość. I kiedy już go obeszła dookoła, skoncentrowała się na marmurowej płycie i przeczytała, litera po literze, niecierpliwymi opuszkami chudych palców to, co jej krewny czy ktoś w tym rodzaju szeptał jej do ucha. Kiedy sprawdzili w ten sposób cały pomnik, odwróciła głowę i ze swojej strefy cienia zapytała Serrallac? Czy jest

tutaj Serrallac?

– Słucham – odezwał się Serrallac, zły, że nie zwraca się do niego przez pan.

– Dziękuję. Jest dokładnie taki, jak chciałam. Czy masz instrukcje co do jego lokalizacji?

– Tak, tak. Przed szkołą. Już przygotowaliśmy fundamenty.

– Dziękuję, Pere.

– Jaume. Jestem synem Pere.

Przez moment pani Elisenda Vilabré poczuła się zdezorientowana. Ale tylko na parę sekund.

– Ach tak, synem.

– Ojciec zmarł dwadzieścia lat temu.

– Oczywiście. – Do krewnego czy kogoś w tym rodzaju: – Idziemy?

Kiedy opuścili warsztat, Amèlia wciąż jeszcze miała uśmiech przyklejony do twarzy, a Cesc znów zakładał klamry, żeby podnieść pomnik ku czci świętego nauczyciela z Toreny. Serrallac, zamyślony, uniósł zdecydowanym ruchem rękę i piła tarczowa ponownie zaczęła dziurawić bębny w uszach, co robiła niezwykle skutecznie.

Przygnębiony, ja? A co Arnau ma z tym wspólnego? Słuchaj, ja i Tina walczyliśmy o otwarte horyzonty po to, żeby się przygotować na wszystko, i nie widzimy w tym nic złego, że Arnau chce odbyć staż w Montserrat. Nie, nie, nie, to tylko staż. Spokojnie, nawet nie jest ochrzczony. Mówię ci, to ćwiczenie tolerancji i tyle. Powinno się być tolerancyjnym nie tylko w przemówieniach politycznych, ale i na co dzień, sam dobrze wiesz. No więc: chce chłopak poznać inny styl życia? świetnie. W poszukiwaniach zawsze będę go wspierać. Ejże, przecież cały czas nic innego nie robię, tylko głoszę potrzebę otwartej mentalności, która tu jest bardzo, ale to bardzo potrzebna. Tak, tak, naprawdę wierzę, że jesteśmy obywatelami świata, więc jeśli mój syn chce odbyć staż w Montserrat, bardzo dobrze, synu, potrzebujesz gotówki, powodzenia, później nam wszystko opowiesz. Ponadpartyjna ideologia transwersalna na tym właśnie polega, czyż nie? Ależ oczywiście, stary. On jest dorosły, rozumiesz. Nie, naprawdę nie jestem przygnębiony. Problem w tym, że... no, po prostu nie mam... Nie, nie, słuchaj: liczyłem na pieniądze, ale mi przeszły koło nosa. Tak, nadal myślę, że to świetny interes, bo zawsze się znajdują naiwniacy, którzy marzą o tym, żeby sobie skrócić kark podczas spływu górską rzeką, problem w tym, że nie mam kasy. Albo poczekamy, albo będziesz musiał poszukać sobie innego współnika. Stary, nie masz pojęcia, jak mi przykro; w końcu to ja wpadłem na ten pomysł, no nie? Co? A co Tina ma z tym wspólnego? Że może mnie przekonać? Wiesz, rzecz w tym, że... Nie, chodzi o to, że... już parę dni temu. No, po prostu: rozstaliśmy się. To, co słyszysz. Słuchaj, nie będę wchodzić w szczegóły, ale... Tak, ostatnio zrobiła się bardzo nerwowa, bardzo, no, sam nie wiem jaka. Kochanek? Nie, nie. No, po prostu nie, wykluczone. Cholera, bo ją znam. Stary, domyślasz się chyba, że jej nie śledzę, co ty sobie wyobrażasz? Co mówisz? Nie, Joana to dobra przyjaciółka, wrażliwa i uczynna, która mnie wspiera w trudnych chwilach, ale nic poza tym. Nie, skąd, wynająłem sobie coś na razie, tak. Jasne, że czuję się samotny, ale lepsze to, niż zła atmosfera w domu. Nie, nie, skądże, to ona pospieszyła się z podjęciem decyzji: pewnego pięknego dnia przychodzi i oświadcza, że musi odnaleźć samą siebie, że potrzebuje więcej swobody działania i takie tam głodne kawałki. Nie, skąd, próbujesz z nią rozmawiać o metysażu kulturowym i nie wie, z czym to się je, nie, żebym ją krytykował, ale jednak jest trochę ograniczona. Słuchaj, jeśli mam być szczery, to od kiedy niespodziewanie spadły na mnie obowiązki radcy, wiesz, kiedy Porta musiał zrezygnować, no tak, słowo ci daję, spadło na mnie tyle obowiązków, że nie mam czasu się

zamartwiać. Arnau? Nie, przecież ci mówiłem, że odbywa... Nie, nie powiedział nam, ile dni tam zostanie, nie. Mnich? Czy ja wyglądam na ojca mnicha? Nie, teraz przed Wielkanocą, korzystając z ferii, biorę cztery dni wolnego i jadę do Andory, wiesz. No tak, z Joaną, ale to nic nie znaczy. Stary, nie umiem ci powiedzieć: to coś w rodzaju albumu fotograficznego, głównie zdjęcia z Pallars, góry, krowy i owce. Nie, nie, wcale nie kpię, cieszę się, że ją to bawi, no wiesz. Zwłaszcza teraz, kiedy korzysta z tej tak zwanej swobody działania. Artykuł? Ona? Pierwsze słyszę. O partyzantach?... Nie, nie miałem pojęcia. To dziwne, że nic mi nie powiedziała, a wszystko zawsze razem omawiamy, tak, to znaczy, omawialiśmy. Gdzie się ukazał? Ach, no to sobie kupię, tak. Oczywiście, ona sobie poradzi, spokojna głowa. Stary, ja po prostu mam powyżej uszu tych wszystkich krów i baranów, ale chyba jednak tu zostanę. Nie, nigdy nie byłem dobrym narciarzem. Parę razy w Tuca Negra, parę razy w Port Ainé i to wszystko. Problem w tym, że przez tę zasraną separację zostałem bez grosza. No wiesz, podział majątku i cała reszta. Nie, nie, pełna kultura. Tak, tak. Stary, ostatnio faktycznie trochę histeryzowała, ale nie chcę jej krytykować, nie chcę wyciągać brudów, o nie, ja mam honor, rozumiesz. Nie, co ty pieprzysz: honor musi być transwersalny, musi obejmować wszystkie aspekty życia, i tak na przykład uczciwie mogę powiedzieć, że ostatnio trochę histeryzowała, bo to prawda, i coś sobie ubzdurała, bo to też prawda, ja tylko próbuję być obiektywny, nie mam zamiaru krytykować, no skąd. Słuchaj, sprawa jest świeża i jeszcze nie zdążyłem porozmawiać o tym z synem. Ani nawet z kotem, wyobrażasz sobie, ta pieprzona dziwka zatrzymała go sobie, nie pytając mnie o zdanie, przepraszam, stary, źle się wyraziłem, zgoda, no, ale tak się mówi, cholera, nie pouczaj mnie; wiesz, co ci powiem, ja sam jej powiedziałem, słuchaj, Tino, nie wiem, o co ci, do cholery, chodzi z tą swobodą działania, ale jak ma cię to uszczęśliwić, to zgoda. Wyprowadziłem się i zostawiłem jej całe mieszkanie, proszę uprzejmie. Tak, własnościowe, tak, ale jak to sobie wyobrażasz, mam się teraz domagać połowy wartości? Nie, to nie mój styl, o nie, nie jestem mściwy. No, formalnie tak, bo to ona chciała separacji, ale lepiej teraz zdobyć się na rozsądek i wspaniałomyślność niż potem żałować mentalnej małostkowości w zachowaniu, jak już będzie za późno, rozumiesz, co chcę powiedzieć? Szczęście, że Arnau teraz z nami nie mieszka. Nie, ale kiedy skończy ten staż, który teraz odbywa... Tak, staż może się przedłużyć, owszem. Nie, stary, gwarantuję ci, nie zostanie mnichem. A gdyby nawet, jego sprawa. Co? Nie, jutro mam walne zebranie w ratuszu. Też nie, przepraszam. Ach tak, w czwartek mogę. Nie, w restauracji Rendégo wolałbym nie. Wiesz, po prostu... Doskonale, w Escaló. W czwartek o dziewiątej. Porozmawiamy o tym na spokojnie. Tak, nie masz pojęcia, jak mi przykro, że nie mogę skoczyć na główkę w odmęty tej przygody; no tak, żartuję sobie, odmęty przygody, tak, tak. Nie, ale tak jak mówię: cztery kajaki, jeden

samochód terenowy, umowy na czas określony i można zbijać kasę, spuszczać barcelońskich dupków Noguera w dół, tak, tak.

- W ostatnim numerze pisma „Àrnica”.
- Dostają od nas dotację, prawda?
- Tak, pokażną sumę. Co roku.
- Zakręć im kurek raz na zawsze. Co jeszcze tam piszą?

Dostojny dźwięk dzwonów obwieścił godzinę jedenastą przed południem uroczyście i z wyczuwalną skargą w głosie: zimny wiatr, który wiał od świtu, teraz stał się lodowaty. Front polarny. Dokładnie z trzecim uderzeniem zaczęły spadać płatki śniegu, zaskakujące w połowie marca, które nie roztopiały się, całując ziemię. Zegar na ścianie, starszy nawet niż pani Elisenda, odebrał jako osobistą urazę tę nagłą zmianą klimatu, natomiast było mu doskonale obojętne, że pismo „Àrnica” publikuje artykuł ze zdjęciem pomnika w warsztacie Serrallaca, jeszcze jednym zdjęciem przedstawiającym tę głupią nauczycielkę i z niepokojącą reprodukcją nieznanego rysunku przedstawiającego twarz Oriola, a w artykule opisuje niewiarygodną historię, która nikogo nie interesuje, o tym, że błogosławiony z Toreny należał do komunistycznej partyzantki.

- Dziwne okoliczności śmierci nauczyciela z Toreny.
- Nie wiem, po co się wymyśla takie bzdury. – Przetarła oczy dłońmi, jakby przy pomocy tej magicznej sztuczki chciała odzyskać wzrok. – Gdyby nie to, że nie lubię się wyrażać, powiedziałabym, że wszyscy oni są bandą niewdzięcznych, popieprzonych skurwysynów.
- Tak. Ale nie przejmuj się, i tak nikt tego nie czyta.
- Ja tak tego nie zostawię.
- To co mam zrobić?
- Nie wiem.
- Ale musisz jakoś zareagować.
- Napuść na nich trzech czy czterech adwokatów. Pociągnij za odpowiednie sznurki. – Zirytowana: – Żeby skutecznie zamknąć im usta.
- Mówię ci, żebyś się nie przejmował, wszystko jest pod kontrolą i nie chciałabym się nad tym rozwodzić. Idę do szpitala w piątek.
- O cholera, przepraszam, wiesz, że w Torenie pada teraz śnieg?
- Tu nie, ale jest piekielnie zimno.
- Będą cię operować tego samego dnia?
- No nie. Najpierw badania, prześwietlenia i takie tam. Następnego dnia sala operacyjna, usuną guz i zacznym chemię. I będę mogła się wypiąć na tego pieprzonego raka.
- Słucham?

– Nie, dużo gadania, ale artykuł nie przytacza żadnych dowodów, faktycznie masz rację. Poza reklamą albumu zdjęć, który ponoć ma wydać.

– Tak, ale dlaczego przejmujesz się tym, że zamieściła autoportret Fontellesa?

– Nie przejmuję się. Chciałabym go zobaczyć. Najprawdopodobniej to mistyfikacja tej nauczycielki.

– Cały artykuł próbuje udowodnić, że Fontelles należał do partyzantki. Co za obsesja. Jak wtedy, kiedy się przyczepiła do Marcela.

– Powołuje się na jakieś dowody?

– Twierdzi tylko, że ma pamiętnik nauczyciela.

– Słynny pamiętnik. Mówi, że go ma, ale nie chce go pokazać.

– Nie wiem, skąd ten upór, żeby zbrukać pamięć Fontellesa.

– Ty jej wierzysz, Romà?

– Ja wierzę w to, w co ty mi każesz wierzyć.

– Pani nauczycielka zarzuca wędkę, a nuż się złapie jakaś gruba ryba.

– Skoro ty tak to widzisz...

– Romà, ja już od lat nic nie widzę.

– Przepraszam. Tak się mówi...

– Wiem. Jestem po prostu wkurzona. To nie strach, to złość. Jestem za młoda, żeby umierać.

– Nikt nie mówi o śmierci, Tino.

– Mam jeszcze tyle rzeczy do zrobienia. Chciałabym dokończyć książkę i zdążyć ją przekartkować. A także wrócić do Toreny i usłyszeć kantylenę rzeki Pamano.

– Stąd nie słyhać. Rzeka przepływa dużo niżej.

– A ja ją słyszałam. Jak się tam mieszka, pewnie człowiek przyzwyczaja się do jej szumu. Też chciałabym porozmawiać z moim synem.

– Dobry plan. Wiesz co? A ja bym chciał, żebyś szybko wróciła do zdrowia, bo nie lubię za długo trzymać u siebie kotów, zwłaszcza cudzych. Ile masz lat?

– Czterdzieści siedem. Zgodziłbyś się umrzeć w wieku czterdziestu siedmiu lat? Prawda, że nie?

– Ja w ogóle nie chcę umierać, bo nie wierzę, że zrobią mi porządny nagrobek. Nawet do własnej córki nie mam pod tym względem zaufania, wyobrażasz sobie?

– Ciekawy punkt widzenia.

– Wszystkie historie kończą się nagrobkiem, nie wiedziałaś?

– Zgoda: co w takim razie chciałbyś mieć na swoim?

– Nic. Tylko kamień. Mam już dość tych wszystkich biografii wykutych w kamieniu. Marmur, jeśli to możliwe, z jakąś żyłką w poprzek. Niech kamień mówi za mnie.

– Poeta.

- To tylko pozory, Tino.
- Dobrze się czujesz, Elisendo?
- Dlaczego pytasz?
- Masz taką minę...

Pani Elisenda narzuciła na ramiona zimowy szal i wyszła na balkon bez niczyjej pomocy i bez laski, której używała tylko w domu. Domyślała się, że Marcel z Helsinek czy z innego miejsca właśnie wydaje instrukcje, by obsługa otwarła stację Tuca Negra. Idealny czas na armatki śnieżne. Odwróciła się w tę stronę, gdzie w miasteczku jest szkoła, i pomyślała o Oriolu. Chciała go sobie wyobrazić z karabinem maszynowym czy z granatem. Odbijało się jej goryczą nieprzetrawione wspomnienie strychu, światło naftowej lampy, radiostacja, ewidentne, potworne oszustwo, które ją tak zdeorientowało, przerażenie Oriola, kiedy zobaczył wymierzoną weń lufę pistoletu, co za rozczarowanie. Siłą woli przywołała wspomnienie innego Oriola, z pędzlem w dłoni, mężczyznę, który ustawiał jej pozycję delikatnymi opuszkami palców i brał do ręki jeszcze cieńszy pędzelek, żeby poprawić zarys oczu, czy inny, grubszy, wpatrując się w nią z mieszaniną pożądania, szacunku, konfuzji, i rozkochał ją w sobie tym spojrzeniem. Żaden mężczyzna nigdy tak na nią nie patrzył. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie przeżyła takiej fascynacji mężczyzną wykształconym, dobrze wychowanym i czułym, którego mogła szanować. Doświadczenia z Burgos i z San Sebastian kazały jej myśleć o mężczyznach z pogardą, podczas gdy kładła dwie koszule nocne, różową i białą, starannie złożone, obok neseseru. Kapcie? Może lepiej zabrać, nie? I ze cztery książki. I ładowarkę do komórki. Jeżeli wolno telefonować ze szpitala.

- Nie oczekuj niczego od życia. Wtedy śmierć nie będzie tak bolesna.
- Co ty tam wiesz, Juriju Andriejewiczu.
- Spędzam wiele godzin na rozmyślaniu.

Przez chwilę wydawało się jej, że ta czerwona walizka to koszyk, też czerwony, z ubrankami, pieluchami i oliwką Nenuco, w dniu, kiedy jej odeszły wody w tym samym pokoju, a wtedy biegiem do szpitala, żeby wydać na świat mnicha, bo chociaż masz termin, wiesz, jesteś przygotowana, to skurcze zawsze są zaskoczeniem, tak jak śmierć nieomal zapowiedziana ukryta w mojej piersi. Arnau, kocham cię. Zawsze będę cię kochać, Oriol, zawsze, i wiem, że zrobiłam to najlepiej jak umiałam, a ty nie masz prawa mnie osądzać: zrobiłam cię błogosławionym, zwyciężyłam. Z miłości, Oriolu, zrobiłam cię błogosławionym, szanowanym przez wszystkich. Jutro jest ten wielki dzień. Odnieśliśmy zwycięstwo nad miasteczkiem, Oriolu, ty, ja i nasza tajemna miłość.

Valentí Targa wyciągał jedna po drugiej wszystkie szuflady w biurku nauczyciela i rzucał je na ziemię. Wypadały sprawdzone zeszyty, ołówki, starannie ułożone kawałki kolorowej kredy, rozproszone pamiątki, nierozpakowana gąbka; gdzie trzyma swoje rzeczy ten skurwysyn, który chciał mnie zabić, strzelając do mnie z tyłu, a później lizał mi tyłek.

– Na strychu nic więcej nie ma.

– Żadnej podwójnej ściany? Żadnej dziury? Pamiętajcie, że ten zasrany Maurí ukrywał się za pieprzoną ścianką działową.

– Nie ma żadnej ścianki, żadnej dziury, towarzyszu.

Wszyscy w falangistowskich mundurach, wszyscy jak fretki obwąchiwali każdy kąt szkoły i mieszkania nauczyciela, szukając papierów, map wojskowych, czegokolwiek, co mogłoby skompromitować nadmierne zaufanie, jakie w nim pokładał Targa, który się pocił spanikowany, bo teraz rozumiem, skąd sztab partyzancki wiedział, że wtyczką był Pardines, a ja mogę mieć problemy, jeśli wyjdzie na jaw, że o wszystkim opowiadałem Oriolowi.

– Towarzyszu.

Gómez Pié wracał z domu nauczyciela. Jedynym łupem okazała się popielniczka pełna petów.

– I co z tego?

– Nauczyciel przecież nie palił?

– Chyba nie.

– To znaczy, że przyjmował gości.

– Nic więcej?

A więc ukrywałeś przede mną różne sprawy, nie tylko to, że się pieprzyłeś z Elisendą. Ile sekretów wydałeś komunistom, ty śmierdzący draniu. Intuicja mnie nie zawiodła, żeby nie ufać komuś, kto nie chce skorzystać z okazji, cholera.

Targa zasiadł na miejscu nauczyciela, jakby się przygotowywał do wykładu na temat cech bezwzględnych przymiotników jakościowych albo zamierzał polecić Elvirze Lluís, by odmieniła przez osoby w trybie przypuszczającym czasownik protestować, śmierdząca sprawa z tą małą, kaszle przez cały boży dzień, gdyby to ode mnie zależało, już ja bym ją wyleczył. Za nim, ukryte za tablicą, zeszyty zawierające całe życie Oriola, zaadresowane do córki, jego jedyny sekret. Nic. Był bardzo sprytny. Nie ma nic, co by mogło kogokolwiek skompromitować: ani w jedną, ani w drugą stronę. Podniósł się w chwili, gdy Balansó, który nie miał wtedy żadnych problemów z kolanem, bo w

rzeczywistości rozbił je parę lat później na motorze, przybiegł zdyszany i zamiast odmieniać przez osoby protestowałbym, protestowałbyś, powiedział towarzyszu, towarzyszu Claudio Asín wybiera się do nas na pogrzeb.

– O kurwa.

– Przecież to zaszczyt, towarzyszu.

– Kto mu doniósł, że...

– Ksiądz August Vilabru wszystko roztrąbił. Przyjedzie dużo ludzi, nawet towarzysze z Tremp.

– Wojna się toczy – wtrącił się Gómez Pié. – A oni przyjeżdżają, żeby...

– Nie ma żadnej wojny, towarzyszu – uciął Targa. – To zwykła bijatyka.

Wiesz, synu? Cmentarze w małych miejscowościach zawsze mi się kojarzyły ze zdjęciami rodzinnymi, z których nie możesz się wycofać: wszyscy się znają i wszyscy pozostają nieruchomi; jeden obok drugiego już na zawsze, każdy zatopiony w swoich marzeniach. Nawet nienawiść gubi drogę w takim bezruchu.

– To tekst, który ma tam się znaleźć, Serrallac.

– Bardzo dobrze. Ale poległ pisze się przez ł.

– Jesteś pewien? – Targa spojrział na niego zdezorientowany.

– Ja się tym zajmuję zawodowo.

– No to napisz tak jak trzeba. Ale jak się dowiem, że nie miałeś racji, włosy ci powyrywam, bo przyjedzie wiele ważnych osób.

– Tak, panie Valentí.

– Płyta ma być gotowa na pogrzeb, żeby goście mogli ją zobaczyć.

– Tak, panie Valentí.

Dzisiaj, Jaumet, nie możemy zrobić przerwy o dziesiątej. Nie myśl sobie, gdyby to ode mnie zależało, nigdy bym nie kuł tego nagrobka, choć to twój nauczyciel. Nie podoba mi się, że muszę utrwać w kamieniu pamięć o mordercy. Ale czasem musimy robić coś, co nie jest po naszej myśli, tak jak teraz: poległy za Boga i za Hiszpanię i współwinny zbrodni, o której zawsze będziemy pamiętać. Równo wymierzyłem, co?

– Tak.

– Widzisz? Tu zamarkuję główkę gwoździa.

– Po jednej z każdej strony.

– Bardzo dobrze, synu. Wkrótce sam będziesz wiedział więcej niż ja. Nauczyciel nie zasługuje na takie ceregiele, ale nie umiem pracować byle jak. Tak, widzisz?

– Tak. Ojciec, pozwól mi wyszlifować płytę.

Nauczycielu spod ciemnej gwiazdy, narobiłeś więcej zła niż sam pan Valentí, bo tamten przynajmniej nie udaje.

– Serrallac: jeszcze jarzmo i strzały. Przywieźli je specjalnie z Lleidy. Postaraj się.

– To jarzmo w końcu zardzewieje. Lepiej wykuć je w kamieniu, panie Valentí.

– Mam to gdzieś. Najważniejsze, żeby dziś dobrze wyglądało.

Wyrzuć go z pamięci, Jaumet. Nie mów nikomu, o czym tu dziś rozmawialiśmy. Amen. Ja o nim zachowam wspomnienie, tak na wszelki wypadek, bo kiedyś sprawiał wrażenie przyzwoitego człowieka i dobrze mi poradził co do twojej edukacji. I jak tu wierzyć życiu.

Elisenda w ciemnej wyjściowej sukni, z duszą pełną cieni i twardym spojrzeniem, położyła jakiś papier na biurku Targa, który, mimo że za chwilę miała się rozpocząć uroczystość, nalał sobie już drugi kieliszek z butelki ukrytej w szafie, dla animuszu.

– Co to ma być.

– To, co masz mówić.

– Będzie przemawiał tylko ksiądz August.

– To, co masz mówić, poczynawszy od dziś: przyklej to sobie do czoła.

– To ty mi kazałaś, żebym...

– Ja ci kazałam przerwać. Przeczytaj to.

Z pewnym wahaniem odczytał, że nauczyciel Oriol Fontelles poległ w ataku, który...

– Poległ pisze się przez ł – oskarżycielskim tonem zaprotestował Targa.

– Czytaj dalej.

– ...o który można oskarżyć z całkowitą pewnością hordy partyzanckie, które zatruwają atmosferę w górach, a naoczni świadkowie potwierdzają niesłychane bohaterstwo zmarłego, i tak dalej. – Targa podniósł głowę i zaciekawiony spojrzął na Elisendę.

– Zapamiętaj to sobie raz na zawsze, gdziekolwiek by cię pytano, bo tak właśnie rzeczy się miały.

Żeby rozstrzygnąć wątpliwości, otworzyła torebkę, wyciągnęła z niej plik banknotów, położyła je na biurku i poczuła się podle, bo nie było jasne, czy płaci wynajętemu przez siebie mordercy za niechcianą śmierć, czy za wieczne milczenie.

Podczas długich trzydziestu sekund oboje patrzyli sobie głęboko w oczy, jedno naprzeciw drugiego, bez pruderii, jak gdyby odbywali właśnie autentyczny, intymny stosunek. Aż wreszcie ona zamknęła torebkę i odeszła bez słowa. Kiedy został sam, Valentí Targa czubkami palców oszacował z uznaniem grubość materialnego fundamentu ich nowej umowy.

Ledwo zdążył ukryć banknoty, a już sławny Claudio Asín wszedł bez

pukania, jak to miał w zwyczaju, bo Zwycięstwo dało mu do tego prawo raz na zawsze, i wyrecytował zobowiązując cię, towarzyszu, w imieniu Ojczyzny i wszystkich jej prawych synów, byś oddał cześć poległemu towarzyszowi, nazywając jedną z ulic tego uroczego miasteczka imieniem towarzysza Oriola Fontellesa, a burmistrz Targa zawołał co za genialny pomysł, że też sam na to nie wpadłem, i przeklinał swój wzór, swojego mistrza, że Claudio Asín, obecny, wtrącił się tam, gdzie go nie prosili, bo ostatnią rzeczą, jaką chciał widzieć po słonecznej stronie ratusza, była tabliczka z imieniem jego ofiary.

– Świetny pomysł – powtórzył, przełykając zółć, jeszcze raz w obecności wszystkich towarzyszy, idąc w kierunku kościoła Świętego Piotra. – Ech, że też wcześniej o tym nie pomyślałem, co?

– Bo Claudio Asín to Claudio Asín – wygłosił sentencję jeden z filozofów, którzy mu towarzyszyli.

Odprawiono mu wspólny pogrzeb. Kościół Świętego Piotra wypełnił się tłumem żałobników. Celebrował ksiądz August Vilabrú, a jego dostojnymi akolitami zostali ksiądz Bagà i kapelan wojskowy, pułkownik Bernardo Azorín, którego wiadomość zaskoczyła w Sort, gdzie towarzyszył jednej z brygad podążających w stronę doliny Aran w ślad za buntownikami. W ławkach po lewej stronie prawdziwa rodzina zmarłego bohatera, to znaczy jego towarzysze z Falangi Hiszpańskiej, z wybitnym towarzyszem don Claudiem Asínem na czele, w towarzystwie burmistrza miasta Toreny, równie wybitnego pana don Valentína Targi Sau. A w pierwszej ławce po prawej, zarezerwowanej dla rodziny Vilabrú, pani Elisenda Vilabrú, sama ze swoim tłumionym bólem, a za nią, w pełnej szacunku odległości, Bibiana, która wiedziała, że ta historia dopiero się zaczyna. W kolejnych ławkach Cecilia Bascónes i wszyscy mieszkańcy domu Savina, domu Birulés, domu Narcís, domu Majals i domu Batalla z kamiennymi twarzami oczekiwali w napięciu, co powie ksiądz August o męczeńskim nauczycielu, który był gotów oddać własne życie, żeby bronić tabernakulum, o człowieku dzielnym i z tego, co wiem, głęboko religijnym. Oddając życie za nietykalność tabernakulum, w pewnym sensie oddał życie za nas wszystkich. A Elisenda siedziała ze spuszczoną głową i z oczami zamglonymi nadmiarem winy, mając trumnę ukochanego zdrajcy niemal na wyciągnięcie ręki, i słuchała egzekwii. Nigdy ci tego nie wybaczę, Oriolu, bo cała wina jest po twojej stronie, ale wynagrodzę ci to, że przybyłam parę sekund za późno, aby wstrzymać karę, na którą zasłużyłeś, odrażający zdrajco, ukochany, jak to możliwe, że skrywałeś tak ciemny sekret, skoro twoje spojrzenie jaśniało niczym wody źródła Vaquer, a ja muszę się teraz nauczyć żyć z tym bólem. W głębi, tuż przy drzwiach, Jacinto czuwał, by uroczystość przebiegła gładko, by wszyscy zachowywali się stosownie, by nie pojawił się żaden inny partyzant, aby ją zakłócić; bardzo dobrze, Jacinto. W głębi duszy czuł nie tylko zadowolenie, ale autentyczne szczęście, bo teraz, kiedy

nauczyciela już nie ma, kto stanie na przeszkodzie między mną i jaśnie panią?

A ja tu, w bezpiecznej odległości od kościoła, słucham okrzyków, które stamtąd dochodzą. (Niech żyje Hiszpania!) Nie pozwalają mi zanieść ci kwiatów, Joanet, synku: ale jest tak, jakbym ci je nosiła. (Niech żyje!) Dziś to będzie duży bukiet żółcieni rosnących na Roques Basseres, wszystkie dla ciebie. (Towarzysz Fontelles, obecny!) Gdybym była Bogiem, wzięłabym bombę i zrzuciłabym na kościół teraz, kiedy wszyscy są w środku. (Niech żyje Franco!) Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem, czy mój Joan dowodził tymi, którzy nas odwiedzili tamtej nocy, bo do domu nie mógł zejść, ale to na pewno on, sądząc po sposobie działania. Jaka szkoda, że jeszcze mu się nie udało zabić Targi. Przynajmniej nauczyciel zapłacił teraz za naszą krzywdę. (Wiwat Hiszpania!) Przez całe życie będę o tobie myśleć i płakać, Joanet, bo najgorsze nieszczęście, jakie może spotkać matkę, to śmierć jej dziecka, zwłaszcza kiedy już go zdążyła pokochać, pokrzyzczyć na nie, dać mu wiele kromek chleba z oliwą na podwieczorek i wołać je do domu przez okno codziennie o zmierzchu.

Jaume Serrallac wyszedł przed bramę na ostatniego papierosa. Niebo było zachmurzone, ziemia pokryta białą mączką. W domu Gravat, po drugiej stronie placu, pogaszono już wszystkie światła poza lampą nad drzwiami. Grudniowe zimno w samym środku marca, pomyślał. Wyrzucić go z pamięci, Jaumet, mówił ojciec. Jak bardzo wszyscy się myliliśmy. Ale ojciec też powiedział, że on sam zachowa o nim wspomnienie, tak na wszelki wypadek, jakby przeczuwał, że Fontelles może mieć podwójną naturę. Zrobiliśmy mu nagrobek falangisty, a teraz wystawiamy pomnik błogosławionemu. Firma Marmury Serrallac Sp. z o.o. zawsze na usługach kłamstwa. Na szczęście Tina swoim pisany świadectwem wystawi mu prawdziwy pomnik. Poczuli dreszcz i spojrzeli w górę. Nie dało się wypatrzyć żadnej gwiazdy za zasłoną chmur. Chyba wszystkie musiały tam zamarznąć. Znowu pomyślał o Tinie i o jej pechu, taka młoda, czterdzieści siedem lat. Ponieważ cały pejzaż pokrywał śnieg, nocne stworzenia milczały. Wtedy wsłuchał się w ciszę i po raz pierwszy w życiu usłyszał w oddali szum wody. Komórka w kieszeni poruszyła się i odwróciła jego uwagę od tych rozmyślań. Córko, czy ty nigdy nie odpoczywasz?

Zaciągając się ostatni raz papierosem i spoglądając odruchowo w stronę domu Gravat, wysłuchał poleceń córki, rozłączył się i wybrał numer z podręcznej listy. Usłyszał głos Tyny mówiący nie mogę teraz odebrać, zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału. Faktycznie, musiała wcześniej się położyć, biedactwo.

– Słuchaj, jutro rano nie przyjdę, bo niespodziewanie przyszło zamówienie z Tremp na kamienne płyty i córka postawiła na swoim. Nie martw się, będę koło południa, przed obiadem. Cześć. Powodzenia. Buziaki. Później cię odwiedzę. Ach, jeszcze jedno: miałaś rację, rzeczywiście słychać kantylenę rzeki Pamano.

Bi, bip. Żegnaj. Męski głos, w którym pobrzmiwał akcent z gór, zachrypnięty od tabaki i kawy z procentami, z nadzieją mówił o jutrzejszym dniu. Nieznajomy odczekał chwilę, czy w mieszkaniu otworzą się któreś drzwi. Nic. Nikt. Na szczęście dla siebie Jura postanowił się nie ujawniać i tkwił nieruchomo jak przedmiot. Kiedy rozpląnęło się w powietrzu echo głosu z telefonu i nieznajomy znowu usłyszał, jak delikatne opadają płatki śniegu, pokrywając wszystko za oknem, ostrożnie zaczerpnął powietrza do płuc i ponownie włączył komputer.

Jura opuścił swoje stanowisko przy drzwiach i nie mając konkretnego planu działania, wymknął się do salonu, cały czas wsłuchując się w odgłosy dochodzące z gabinetu.

Intruz kontynuował przerwane zajęcie. Szybko zapełnił pięć dyskietek plikami z folderu oznaczonego literami O.F. i skopiował jeszcze parę innych na wszelki wypadek. Kiedy skończył, wykasował wszystkie dokumenty. Upewnił się, że nie pozostał po nich żaden ślad i że niczego nie przegapił. Następnie skopiował z własnej dyskietki złośliwe oprogramowanie. Wyjął dyskietkę z wirusem i wyłączył komputer.

Zapalił latarkę. Trzymał ją w zębach, żeby mieć wolne ręce. Opróżnił szybko trzy segregatory znalezione na biurku. Były w nich papiery, zdjęcia, jakieś dokumenty. Wrzucił wszystko do swojej teczki, a segregatory odłożył. Na podłodze pod ścianą stała czerwona walizka, gotowa do podróży. Otworzył. Uważnie przejrzał zawartość, ale nie znalazł nic ciekawego. Zamknął i odstawił na miejsce. Już miał wyjść, kiedy coś go tknęło, żeby przejrzeć jeszcze na wszelki wypadek szuflady. Dużo czystego papieru, notesy, szkolne zeszyty. I pudełko po cygarach. Otworzył i poczuł, jak oblewa go zimny pot. Zeszyty wypełnione kaligraficznym, odręcznym pismem, i jakieś rysunki. Kurwa mać. Mało brakowało, a by je przeoczył. W tym momencie usłyszał jakby ciężkie westchnienie w głębi mieszkania.

Zanim zamknął za sobą drzwi, upewnił się, że nie zostawił żadnego śladu swojej piętnastominutowej obecności, z pełną świadomością, że im dalej od tego miejsca zostanie go świt, tym lepiej dla niego. A musiał jeszcze zająć się Citroenem.

Kiedy Jura został sam, wszedł do pogrążonego w ciemnościach gabinetu. Niby wszystko pozostało na swoim miejscu, ale coś go dręczyło. Miał nieodparte wrażenie, że nie stanął na wysokości zadania.

Pomnik przykryty płótnem nieokreślonego koloru prezentował się wspaniale. Materiał przydawał mu tajemniczości i stojący przed nim Evaristo, strażnik miejski, mały na tle kamiennego bloku, czekając, aż ludzie wyjdą z kościoła, cieszył się w duchu dziś zostanie uwieczniony na wielu fotografiach. Wreszcie zaczęli wychodzić, oślepieni majowym światłem, i uformowali coś w rodzaju mimowolnej procesji, prosto na plac przed szkołą, gdzie wznosił się pomnik. Na zarezerwowanych w pierwszym rzędzie dwudziestu krzesłach, obok pani Elisendy i Gasulla, siedziała wystrojona Cecilia Báscones, która już parę godzin temu zajęła sobie miejsce. Limfadenopatia. Obok niej niezatapialny burmistrz Bringué, wystrojony jak stróż w Boże Ciało, z mocno przerzedzonymi włosami, uśmiechnięty pomimo lumbago, i cała rada miejska w komplecie w towarzystwie świeżo upieczonego radcy do spraw edukacji, kultury i sportu z Sort, który reprezentował tamtejszego burmistrza. Radca do spraw edukacji, kultury i sportu z Sort miał niewyraźną minę, bo to przesada robić tyle zamieszania wokół świętych i błogosławionych, mój Boże, przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek. Obok niego stanął jakiś chłopak, który zabłądził do zarezerwowanej strefy. Już chciał mu powiedzieć, że to nie są miejsca dla zwykłej publiczności, i dlatego podniósł na niego wzrok. Wrażenie było piorunujące.

– Cześć – powiedział chłopak.

– Arnau, skąd się tu wzięłeś?

– Poprosiłem o zgodę przełożonych. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że ciebie tu spotkam.

– Obowiązki służbowe – odpowiedział Jordi z miną męczennika. – Jak się masz?

Przed nimi ksiądz Rella z poczuciem wywiązania się z misji nadskakiwał wielebnemu biskupowi i ciągle pstrykał palcami na ministrantów, wydając im sprzeczne polecenia, zatroskany o pomyślny przebieg uroczystości ostatecznego pojednania wszystkich rodzin w miasteczku.

Kiedy już zajęli zarezerwowane miejsca, Gasull przekazał pani Elisendzie komórkę i zapytała skąd dzwoniisz.

– Z Brukseli. Można wiedzieć, co naopowiadałaś Bedogniemu?

– Nie mów do mnie tym tonem. Chciałam ci tylko uzmysłwić, że jeśli mi się zechce, będę rozkazywać.

– Ale wszystko jest na mnie przepisane!

– Nie zapominaj, że jeżeli zechcę, nadal mogę decydować. Zapamiętaj to

sobie. Dlaczego cię tu nie ma?

– Mam gdzieś świętych i błogosławionych. – Zaprotestował: – Mamo, ja pracuję!

– Marcel, to był twój ojciec.

I oddała komórkę Gasullowi, który ją wyłączył i zaczął opowiadać na ucho swojej ukochanej, że wielbny biskup stanął teraz na środku i trzyma w ręce to coś z wodą w środku.

– Kropielnica.

– No właśnie. A ten drugi ksiądz otwiera księgę.

– Dużo przyszło ludzi?

– Cały tłum – skłamał Gasull. Ten tłum to oni dwoje, władze, pani Báscones i jeszcze ze trzydzieści osób, mniej niż w delegacji, która pojechała do Watykanu. W czasie gdy trwały przygotowania, Arnau zaczął szeptać ojcu do ucha tak samo jak Gasull: – Co słyhać u mamy?

– Nie wiem.

Cisza. Obaj patrzą przed siebie na pomnik przykryty płótnem i na Evarista, który przeżywa swoje pięć minut.

– Coś się dzieje?

– Nie, tylko... O ile pamiętam, dziś pojechała do szpitala, bo coś jest nie tak z...

– Co jej jest?

– Guz w piersi. Ale nic więcej nie chciała mi powiedzieć.

– A teraz gdzie jest?

– Skąd mam wiedzieć!

– Nie wiesz?

– No więc według informacji, którą była uprzejma mi wysłać, powinna teraz być w okolicy Tremp.

– Coś takiego. Może nawet minęliśmy się po drodze.

– Twoja matka i ja jesteśmy w separacji. Nie chce, żebym ją odwiedzał w szpitalu.

Arnau odwrócił głowę. Przez chwilę siedział z otwartymi ustami.

– Mam nadzieję, że to nie przeze mnie, z powodu mojej decyzji...

– Nie – brzmiała kategoryczna odpowiedź. – Podobno potrzebuje więcej swobody działania. – Spojrzał w drugą stronę. – Kiedy zmądrzeje, wszystko się ułoży, zobaczysz.

Chłopak już chciał powiedzieć będę się za was modlić, ale w porę ugryzł się w język.

– Teraz biskup zaprosił burmistrza i wyjął jakiś przedmiot z kropielnicy.

– Kropidło.

– No właśnie. Wyobrażam sobie, że zaraz usuną płótno.

– Byle tylko mnie do tego nie wołali...

- Uprzedziłem ich, Elisendo. Nie przejmuj się, nie będą cię fatygować.
- Kto ściągnie płótno?
- Myślę, że ta pani, która...
- Jak wygląda?
- Niska, gadatliwa, wymalowana.
- Pani Báscones.
- Masz coś przeciwko temu? – upewnił się Gasull, przygotowany na każdą okoliczność.
- Jest mi to obojętne. Co dalej?
- Nic, tylko teraz ta pani chwyta płótno za jeden koniec i ciągnie. No, nie. Będą musieli jej pomóc. Burmistrz Bringué.

Elisenda pokręciła nosem na to nazwisko. Ale powiedziała tylko co dalej, co dalej.

Teraz faktycznie usunęli płótno i pomnik Oriola Fontellesa i Grau zaprezentował się w całej okazałości trzydziestce gapiów, którzy mogli przeczytać w miejscu, gdzie granit łączy się z marmurem, przesłanie wypisane w poprzek czarnym sprayem przez paru notorycznych malkontentów. Trzy słowa, „Precz z faszystami”. Evaristo poczuł, że włos mu się jeży. Teraz zaczną się dla niego kłopoty i już może zapomnieć o pamiątkowej fotografii.

- Co znaczy ta cisza?
- Nie, po prostu ludzie... – Gasull nie wiedział, gdzie podziąć oczy. – Pomnik jest taki piękny... Idealnie wpisuje się w to miejsce.

Pani Elisenda złożyła swoje nieme dłonie do oklasków. Gasull do niej dołączył. I pani Báscones. I ksiądz. I jeszcze paru obywateli. Jordi nie: rzucił niespokojne spojrzenie w prawo i w lewo i gorzko się uzalił nad sobą w duchu w co do cholery dałem się zrobić, kim był ten facet, że teraz nazywają go faszystą, czemu nie jestem teraz gdziekolwiek, byle nie tu, jak jakiś dureń na łasce księży i narkomanów, którzy wszędzie się pchają z tym swoim graffiti, to nie metro; żeby mi tu tylko nie zrobili jakiegoś zdjęcia.

Teraz klaskało już więcej osób, prawie wszyscy. Oklaski brzmiały tak słabo, że Elisenda bez trudu zdała sobie sprawę z kłamstwa Gasulla co do liczby zgromadzonych. Nieważne, ile osób oddaje ci dzisiaj cześć, to dopiero początek, kochany Oriolu, który jesteś w niebie, niech się święci ukochane imię twoje, to tylko początek, jak w dniu, kiedy oklaskiwałam świeżo ukończony obraz i powiedziałam, że to dzieło sztuki.

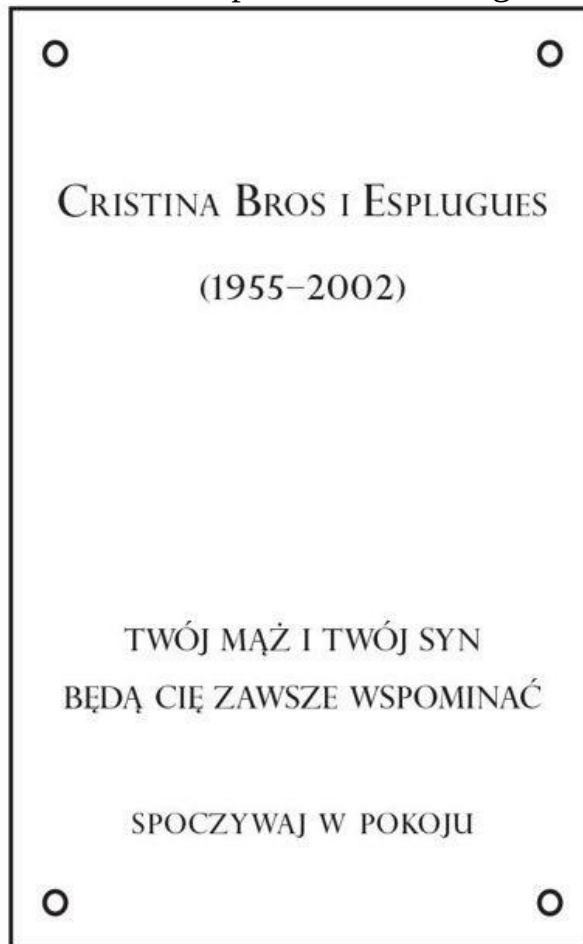
- Nie wiem – odpowiedział mój ukochany, czyli ty – ale włożyłem w to serce.

I to był początek, bo na początku był pocałunek, który złożyłam na twoim czole przed obrazem, po tym, jak ty całymi dniami całowałeś mnie pędzlem na płótnie. Jak to możliwe, że później mnie zdradziłeś? Dlaczego postawiłeś mnie

między młotem i kowadłem, ty mój perfidny nieszczęśniku?

Miała łzy w oczach, kiedy usłyszała, że ludzie wstają z krzeseł, a ksiądz mówi coś o wielkim dniu i o wzruszeniu, które nas przepełnia. Widzisz, Boże? Już jest błogosławiony: postawiłam na swoim. Teraz mogę umrzeć, proszę bardzo. A tymczasem, ukochany, poświęcę się rekompensowaniu ci wszystkiego, czy to się Bogu podoba czy nie.

Zdecydowanym ruchem pani Elisenda Vilabrú dotknęła połowy krzyżyka na swojej piersi i pomyślała to miłość porusza słońce i gwiazdy.



Nigdy nie wiadomo, jak daleko może się posunąć nieszczęście. Nawet nie dojechałaś do szpitala, biedactwo. Zawsze, kiedy cichą, bezsenną nocą usłyszę w oddali głos Pamano, będę o tobie myślał. Po długich i żmudnych poszukiwaniach znaleźli cię na dnie zalewu Sant Antoni, ciebie, twoje łęki i twojego Citroëna. Zatrzymam sobie kota, a właśnie, nie powiedziałaś mi, jak się wabi. Tino Bros, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt pięć, dwa tysiące dwa. Za późno się zjawiłem, żeby ci pomóc w szukaniu sensu i wypełnianiu treści tego myślnika między dwiema datami. Kot będzie się nazywał Niewiemjakmasznaimię. Dawno już nie zdarzyło mi się płakać, Tino. A wiesz, że już zaczynałem mieć nadzieję?

Matadepera, 1996-2003

Dramatis personae

1. LATA TRZYDZIESTE I CZTERDZIESTE

Oriol Fontelles – nauczyciel

Rosa Dachs – żona Oriola

Albert, Carme, Elvira Lluís, Helena, Miquel, Nando, Ricard, Valldeflors – uczniowie

Oriola Josep Aranda – pulmonolog, lekarz Rosy Siostra Renata – pielęgniarka

Elisenda Vilabrú – dziedziczka

Anselm Vilabrú Bragulat – ojciec Elisendy Josep Vilabrú Ramis – brat Elisendy

Pilar Ramis – matka Elisendy

Joaquim Ortiga – kochanek matki Elisendy, aktor August Vilabrú Bragulat – stryj

Elisendy, ksiądz Santiago Vilabrú Cabestany – mąż Elisendy Joan Vilabrú i Tor

– protoplasta rodu Vilabrú Marcel Vilabrú – dziadek Elisendy Jacinto Mas,

Miquel – szoferzy Elisendy Romà Gasull – adwokat Elisendy Venància –

zakonnica, nauczycielka Elisendy Combalia – lekarz Elisendy Bibiana – niania

i gosposia Elisendy Carmina, Caterina, Ció – służące pani Elisendy Mamen

Vélez de Tena, Ricardo Tena – znajomi Elisendy Nazario Prats, Agustín Rojas

Penera – urzędnicy

Carmencita, Tita Recasens – kochanki Santiaga Corine (Pilar Mengual) –

burdelmama

Valentí Targa – burmistrz Toreny

Isabel (Pączuszek) – kochanka Targi Andreu Balansó, Arcadio Gómez Pié –

asystenci Targi Claudio Asín, Eloi Cartellá – falangiści, przyjaciele Targi

Quique Esteve – instruktor narciarski Cecilia Báscones – kioskarka

Atilano Báscones Atienza – ojciec Cecylii Caregue – przemysłowiec Máximo Cid –

nauczyciel z Tremp, anarchista Modest Marés – właściciel baru w Torenie

Cinteta – telefonistka w Torenie Pedro (Peret) Moner Carrera z domu Moliner –

fotograf Evarist z Rialb – taksówkarz Garriga – notariusz

Aureli Bagà Ribà, Fernando de la Hoz Fernández y Roda, Macías, Dot – księża Dom

Ventura: Joan Esplandiu i Rella, alias porucznik Marcó – ojciec; Gloria

Carmaniu – matka; Joan Esplandiu Carmaniu (mały Ventura) – syn; Celia

Esplandiu Carmaniu – starsza córka, Rosa Esplandiu Carmaniu – młodsza

córka; Manel Carmaniu, kuzyn. Rodzina republikańska Dom Lliset: Pere

Serrallac – grabarz i kamieniarz; Jaume Serrallac – kamieniarz, syn Pera;

Amèlia – córka Jaume; Pere – wnuk Jaume. Rodzina republikańska Dom

Feliçó: Joan Bringué – burmistrz Toreny; Feliu Bringué – syn Joana, burmistrz

Toreny; Marc Bringué – prawnuk Joana. Rodzina republikańska Dom Misseret:

Rafael Gassia; Tònia – żona Rafaela. Rodzina republikańska Dom Maria del

Nasi: Josep Mauri; Felisa – żona Josepa, Cassià Mauri – brat Josepa. Rodzina republikańska Dom Cascant: Ovidi Tomàs. Rodzina republikańska Dom Majals: Pere (Pedro) Cases Tribó – burmistrz Toreny. Rodzina frankistowska Dom Narcís: rodzina frankistowska Dom Batalla: Jacint Gavarró. Rodzina frankistowska Dom Savina: Xavi Burés, Paco Burés, Rafel Agullana („Burot”). Rodzina frankistowska Dom Birulés: Feliu, Felip, Miquel. Rodzina frankistowska Paco, Caspe, Morrot, Marcó, Valdés, Eliot, José Padrines – partyzanci Antonio Sagardía Ramos, Yuste (generałowie), Nerval, Faustino Ramallo Pezón, Salcedo, Silván, (pułkownicy); Aurelio Cerdón, Alonso Fez (kapitanowie); Benicio Fuentes, Faustino Pacón, Fernando Ulloa, (kaprale) Aureli Camós (szeregowiec) – frankistowscy żołnierze 2. LATA SIEDEMDZIESIĄTE I LATA 2001–2002

Tina Bros – nauczycielka

Jordi Bofill – mąż Tiny

Arnau – syn Tiny i Jordiego

Mireia – koleżanka Arnaua

Sergi Rovira, Alba, Marc Bringué, Pep Pujol – uczniowie Tiny Maite Riera, Bego, Dora Espinalt, Carme Duc, Pilar, Agnès López, Joana, Renom, Ricard Termes, Miquel Darder, Ròdenes – koledzy z pracy Tiny i Jordiego Marcel Vilabrú Vilabrú – syn Elisendy Mertxe Centelles-Anglesola Erill – żona Marcela Sergi Vilabrú Centelles-Anglesola – syn Marcela Pani Pol – nauczycielka Marcela Lisa Monells, Montse Bayo, Bascompte, Nina, Ramona – kochanki Marcela Fernando Rella, Llebaria – księża

Doktor Cuadrat, Celio Villalón Cañete de Híjar, José Puig Costa – lekarze Evaristo – strażnik miejski Josemaría Escrivá de Balaguer y Albás, Álvaro del Portillo, sekretarz Saverio – członkowie Opus Dei Jan Paweł II – papież

PRZYPISY

- [1] Federación Anarquista Ibérica – Iberyjska Federacja Anarchistyczna (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Termin oznaczający w Hiszpanii korupcję i nielegalny handel czarnorynkowy. Skrót stra-per-lo wywodzi się od nazwisk trzech holenderskich szulerów (Strauss, Perel i Lowann), którzy dzięki przekupstwu uzyskali w 1934 roku zgodę na uruchomienie elektrycznej ruletki w kasynie w San Sebastian.
- [3] Confederación Nacional del Trabajo – Krajowa Konfederacja Pracy.
- [4] Republikańska Lewica Katalonii.
- [5] Partit dels Socialistes de Catalunya – Partia Socjalistów Katalonii.
- [6] Partit Socialista Unificat de Catalunya – Zjednoczona Socjalistyczna Partia Katalonii.
- [7] Confederación Española de Derechas Autónomas – Hiszpańska Konfederacja Prawicy Autonomicznej.
- [8] Euskadi Ta Askatasuna – Baskonia i Wolność.
- [9] Grupos de Resistencia Antifascista Primero de Octubre – Antyfaszystowskie Grupy Oporu Pierwszego Października.